Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/pismahenrykasien0000toml

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXX

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LXX

PAN WOŁODYJOWSKI

CZĘŚĆ I

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Марта 1904 г.

PAN WOŁODYJOWSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

WSTĘP.

Po wojnie węgierskiej, po której odbył się ślub pana Andrzeja Kmicica z panną Aleksandrą Billewiczówną, miał także wstąpić w śluby małżeńskie, z panną Anną Borzobohatą Krasieńską, równie sławny i zasłużony w Rzeczypospolitej kawaler, pan Jerzy Michał Wołodyjowski, pułkownik chorągwi laudańskiej.

Ale przyszły znaczne mitręgi, które sprawę opóźniły i przewlokły. Panna Borzobohata była wychowanicą księżnej Jeremiowej Wiśniowieckiej, bez której pozwolenia żadną miarą na wesele zgodzić się nie chciała, musiał więc pan Michał pannę w Wodoktach, z powodu niespokojnych czasów, zostawić, a sam do Zamościa po pozwolenie i błogosławieństwo jechać.

Lecz nie świeciła mu pomyślna gwiazda, gdyż księżnej w Zamościu nie zastał, która dla edukacyi syna do Wiednia na dwór cesarski się udała.

Wytrwały rycerz podążył za nią i do Wiednia, choć to mu siła czasu zabrało. Tam załatwiwszy szczęśliwie sprawy, z dobrą otuchą do ojczyzny powracał.

Czasy, wróciwszy, zastał niespokojne; wojsko do związku szło, na Ukrainie bunty trwały — od wschodniej ściany nie gasł pożar. Zaciągano nowe wojska, aby choć jako tako granice osłonić.

Zanim więc pan Michał z powrotem do Warszawy dojechał, zastał listy zapowiednie, na jego imię z ramienia wojewody ruskiego wydane. Uważając zaś, że ojczyzna zawsze przed prywatą iść powinna, myśli o prędkiem we-

selu poniechał, a na Ukrainę ruszył. Kilka lat w tamtych stronach wojował, mając zaledwie sposobną porę list od czasu do czasu do utęsknionej panienki posłać, żyjąc w ogniu, w niewypowiedzianych trudach i pracy.

Potem do Krymu posłował; potem przyszła nieszczęśliwa, domowa, z panem Lubomirskim wojna, w której po stronie królewskiej przeciw bezecnikowi onemu i zdrajcy walczył; potem pod panem Sobieskim znów na Ukrainę ruszył.

Rosła stąd sława jego imieniowi tak znaczna, że go powszechnie za pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej uważano, ale lata płynęły mu w trosce, wzdychaniach, utęsknieniu.

Aż nadszedł wreszcie rok 1668, w którym z rozkazu pana kasztelana na wypoczynek odesłan, z początkiem lata po miłą pannę pojechał i zabrawszy takową z Wodoktów, do Krakowa dążył.

Księżna Gryzelda bowiem, która już była wróciła z krajów cesarskich, tam go na wesele zapraszała, sama ofiarując się być matką panience.

Kmicicowie zostali we Wodoktach, nie spodziewając się rychłej od Wołodyjowskiego wiadomości i zupełnie nowym gościem, który się do Wodoktów obiecywał, zajęci. Albowiem aż do tej pory Opatrzność odmówiła im dzieci; teraz miała nastąpić szczęśliwa, a zgodna z ich pragnieniami odmiana.

Był to nadzwyczaj urodzajny rok. Zboża wydały plon tak obfity, że gumna pomieścić go nie mogły i cały kraj, jak szeroki i długi, okrył się stertami. W okolicach, opustoszałych przez wojnę, młody bór urósł jednej nocy tak znacznie, jak w innych czasach i przez dwa lata urośćby nie zdołał. Była obfitość zwierza i grzybów w lasach, ryb w wodach, jakby ta niezwyczajna płodność ziemi udzieliła się wszystkim istotom, na niej zamieszkałym.

Przyjaciele Wołodyjowskiego wyprowadzali stąd pomyślne i dla jego ożenku wróżby, ale owóż losy postanowiły inaczej.

ROZDZIAŁ I.

Pewnego pięknego dnia, jesienią, siedział sobie pod cienistym dachem letnika pan Andrzej Kmicic i popijając miód poobiedni, spoglądał przez obrosłe dzikim chmielem kraty na żonę, która przechadzała się pięknie umiecioną ulicą przed letnikiem.

Niewiasta była urodziwa nad miarę; jasnowłosa, o pogodnej, nieledwie anielskiej twarzy.

Chodziła zwolna i ostrożnie, bo było w niej pełno powagi i błogosławieństwa.

Pan Andrzej Kmicic patrzył na nią okrutnie rozkochany. Gdzie się ruszyła, tam wzrok jego zwracał się za nią z takiem przywiązaniem, z jakiem pies wodzi oczyma za panem. Chwilami zaś uśmiechał się, bo był z jej widoku rad bardzo i wąsa do góry podkręcał.

A wówczas pojawiał się w jego twarzy pewien wyraz wesołego hultajstwa. Znać, żołnierz był z przyrodzenia krotofilny i za kawalerskich lat musiał moc figlów napłatać.

Ciszę w sadzie przerywały tylko odgłosy spadających na ziemię przejrzałych owoców i brzęczenie owadów. Pogoda ustaliła się cudnie. Był to początek września. Słońce nie prażyło już za mocno, ale rzucało jeszcze obfite złote blaski. W blaskach owych lśniły się czerwone jabłka wśród szarych liści, siedzące tak obficie, że drzewa zdawały się być niemi oblepione. Gałęzie śliw gięły się pod owocem, okrytym siwym woskiem. Pierwsze, zapowiednie nitki pajęczyny, pouczepiane do drzew, chwiały się wraz z leciuchnym powiewem, tak lekkim, iż nie szeleścił nawet liśćmi.

Może i owa pogoda na świecie napawała tak pana Kmicica wesołością, bo oblicze rozjaśniało mu się coraz więcej. Wreszcie pociągnął miodu i rzekł do żony:

— Oleńka, a pójdź-ino tu! Coś ci rzeknę.

— Byle nie coś takiego, czego nie rada słucham.

— Jak mi Bóg miły, nie! Daj ucho!

To rzekłszy, objął ją wpół, przysunął wąsy do jej jasnych włosów i szepnął:

— Jeśli będzie chłop, to niech mu będzie Michał.

Ona zaś odwróciła twarz nieco zapłonioną i odszepnęła mu z kolei:

— A obiecałeś się nie przeciwiać, żeby był Herakliusz?

— Bo, widzisz, dla Wołodyjowskiego...

— Zali nie pierwsza pamięć dziada?

— I mego dobrodzieja... Hm! prawda... Ale drugiemu będzie Michał! Nie może inaczej być!

Tu Oleńka, wstawszy, próbowała się uwolnić z rąk pana Andrzeja Kmicica, ale on, przygarnąwszy ją jeszcze silniej do siebie, począł całować po ustach, po oczach, powtarzając przytem:

— A mój ty krociu, mój tysiącu, moje kochanie najmilsze!

Dalszą rozmowę przerwał im pachołek, który ukazał się na końcu ulicy i szedł śpiesznie ku letnikowi.

— Czego chcesz? — spytał Kmicic, puszczając żonę.

— Pan Charłamp przyjechał i czeka na pokojach — odrzekł pachoł.

— A owóż i on sam! — zawołał Kmicic, na widok męża, zbliżającego się ku altanie. — Dla Boga, jakże mu wąsy posiwiały! Witaj, towarzyszu miły! witaj stary kompanionie!

To rzekłszy, wypadł z altany i biegł naprzeciw pana Charłampa z roztworzonemi rękoma.

Ale pan Charłamp skłonił się naprzód nizko Oleńce, którą za dawniejszych czasów na kiejdańskim dworze u księcia wojewody wileńskiego widywał, następnie przycisnął jej dłoń do swoich niezmiernych wąsów, zaczem dopiero,

rzuciwszy się w objęcia Kmicica, zaszlochał na jego ramieniu.

— Dla Boga, co waści jest? — zawołał zdumiony gospodarz.

— Jednemu Bóg przysporzyi szczęścia — odrzekł Charłamp — a drugiemu umknął. Smutku zaś mojego powody samemu tylko waszmości opowiedzieć mogę.

Tu spojrzał na panią Andrzejową, ona zaś, domyśliwszy się, że przy niej nie chce mówić, rzekła do męża:

— Przyślę waszmościom miodu, a teraz ich samych zostawuję...

Kmicic pociągnął pana Charłampa do letnika i usadowiwszy go na ławie, zawołał:

— Coć jest? Pomocy ci trzeba? Licz-że na mnie, jako na Zawiszę!

— Nic mi nie jest — odpowiedział stary żołnierz — żadnej też pomocy nie potrzebuję, póki tą oto ręką i tą szablą ruchać mogę; ale nasz przyjaciel, najgodniejszy w Rzeczypospolitej kawaler, w srogiem strapieniu, nie wiem, czyli dycha jeszcze.

— Na rany Chrystusa! Wołodyjowskiemu się coś przygodziło?

— Tak jest! — odrzecze Charłamp, nowe strumienie łez wypuszczając. — Dowiedz się waszmość, że panna Anna Borzobohata ten oto padoł opuściła.

— Zmarła! — krzyknął Kmicic, chwytając się obiema rękami za głowę.

— Jako ptak, grotem ugodzon.

Nastała chwila milczenia. Tylko jabłka spadające biły tu i owdzie ciężko w ziemię; tylko pan Charłamp sapał coraz głośniej, płacz hamując. Kmicic zaś załamał ręce i powtarzał, kiwając głową:

— Miły Boże! miły Boże! miły Boże!

— Waszmość się nie dziw moim śluzom — rzekł wreszcie Charłamp — bo jeśli waści na samą wieść tylko o przygodzie dolor nieznośnie serce ściska, a cóż dopiero

mnie, którym patrzył i na jej konanie i na jej boleść, przechodzącą miarę przyrodzoną.

Tu wszedł sługa z gąsiorkiem na tacy i drugą szkanicą, a za nim pani Andrzejowa, która przecie ciekawości pokonać nie mogła.

Spojrzawszy teraz w twarz męża i widząc w niej głębokie strapienie, rzekła zaraz:

— Co to za wieści waszmość przywiózł? Nie oddalajcieże mnie. Będę was, ile się godzi, pocieszać, albo zapłaczę z wami, albo radą jakowąś posłużę...

— Już i w twojej głowie rady się na to nie znajdzie — odrzekł pan Andrzej. — Ale boję się, żebyś z żalu na zdrowiu szwanku nie poniosła.

A ona na to:

— Siła ja wytrzymać umiem. Gorzej żyć w niepewności...

— Anusia zmarła! — rzekł Kmicic.

Oleńka przybladła trochę i opuściła się ciężko na ławę; Kmicic myślał, że zemdleje, ale żal wziął w niej górę nad nagłością wieści i płakać poczęła, a obaj rycerze zawtórowali jej naraz.

— Oleńka — rzekł wreszcie Kmicic, pragnąc myśl żony w inną stronę skierować — zali ty nie myślisz, że ona w raju?

— Nie nad nią, jeno za nią płaczę i nad pana Michałowem sieroctwem, bo co do jej szczęśliwości wiekuistej, chciałabym mieć dla siebie taką nadzieję zbawienia, jaką mam dla niej. Nie było nad nią zacniejszej panienki, lepszego serca, poczciwszej! Oj! moja Anulka! moja Anulka kochana!...

— Widziałem jej śmierć — rzekł Charłamp — nie daj Boże nikomu mniej pobożnej.

Tu nastało milczenie, aż gdy im nieco żalu łzami spłynęło, ozwał się Kmicic:

— Powiadaj waszmość, jako to było, miodem w najżałośniejszych miejscach przepijając.

— Dziękuję — odrzekł Charłamp. — Od czasu do czasu

przepiję, jeśli waszmość do mnie przepijesz, bo ból nie tylko za serce, ale i za gardziel, jako wilk chwyta, a gdy chwyci, to bez jakowegoś ratunku, zgoła zadławić może. Było tak. Jechałem z Częstochowy w rodzinne strony, by spokoju na stare lata zażyć i na dzierżawie zasiąść. Dość mi już wojny, bom ją wyrostkiem praktykować począł, a teraz mam już wiechy siwe. Chyba, żebym całkiem wysiedzieć nie mógł, to jeszcze pod jaką chorągiew ruszę; aleć owe związki wojskowe z krzywdą ojczyzny, a na pociechę nieprzyjaciół erygowane i owe domowe wojny do reszty mi Bellonę zbrzydziły... Miły Boże! pelikan krwią dzieci karmi, prawda! Ale tej ojczyźnie już i krwi w piersiach nie staje. Świderski był wielki żołnierz... Niech go tam Bóg sądzi!...

— Moja Anulu najmilsza! — przerwała z płaczem pani Kmicicowa — toć żeby nie ty, coby się ze mną i z nami wszystkimi stało?... Ucieczką mi była i obroną! Moja Anulu kochana!

Słysząc to Charłamp, ryknął znów, ale na krótko, bo mu Kmicic przerwał pytaniem:

— A Wołodyjowskiego gdzieś waść spotkał?

— Wołodyjowskiego spotkałem takoż w Częstochowie, gdzie oboje spoczynek umyślili, bo się tam po drodze ofiarowali. Zaraz mi powiedział, jako z narzeczoną z waszych stron do Krakowa jedzie, do księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, bez której pozwolenia i błogosławieństwa panna żadną miarą ślubu wziąć nie chciała. Dziewczyna była jeszcze wonczas zdrowa, a on wesół, jak ptak. „Ot — powiada — dał mi Pan Bóg za moją pracę nagrodę!“ — Chełpił się też Wołodyjowski (Boże go pociesz!) niemało i dworował ze mnie, że tośmy się, widzicie waszmość państwo, o tę pannę czasu swego wadzili i mieliśmy się siekać. Gdzie ona teraz nieboga?

Tu ryknął znowu pan Charłamp, ale na krótko, bo Kmicic znów mu przerwał:

— Mówisz waszmość, że ona była zdrowa? Skąd jej tak nagle przyszło?

— Że nagle, to nagle. Mieszkała u pani Marcinowej Zamojskiej, która naonczas z mężem w Częstochowie bawiła. Wołodyjowski cały dzień u niej przesiadywał, trochę na mitręgę narzekał i mówił, że chyba za rok do Krakowa dojadą, bo ich wszyscy po drodze zatrzymują. I nie dziwota! Takiego żołnierza, jak pan Wołodyjowski, każdy rad ugościć, a kto złapie, to trzyma. Mnie też do panny prowadził i groził, śmiejąc się, że usiecze, gdybym ją rozamorował... Ale ona za nim świata nie widziała. Mnie też istotnie ckliwo się czasem czyniło, że to człek na starość, jako ćwiek w ścianie. Nic to! Aż pewnej nocy wpada do mnie Wołodyjowski w konfuzyi wielkiej. „Na Boga! Nie wiesz gdzie jakiego medyka?“ Co się stało? „Chora świata nie poznaje!“ Pytam, kiedy zachorowała, powiada, że dopiero co dali mu znać od pani Zamojskiej. A tu noc! Gdzie szukać medyka, kiedy tam jeno klasztor cały, a w mieście więcej jeszcze zgliszczów, niż ludzi. Wynalazłem wreszcie felczera, a i to nie chciał iść! musiałem go obuszkiem przygnać na samo miejsce. Ale tam już był ksiądz potrzebniejszy, niż felczer; jakoż zastaliśmy godnego Paulina, który modlitwą ją do przytomności przyprowadził, tak, że mogła Sakramenta przyjąć i z panem Michałem czule się pożegnać. Na drugi dzień z południa już było po niej! Felczer mówił, że jej kto musiał coś zadać, luboć to nieprawda, bo w Częstochowie czary się nie chwytają. Ale co się z panem Wołodyjowskim działo, co wygadywał, tego ufam, że mu Pan Jezus nie zakarbuje, bo człek się ze słowami nie liczy, gdy go boleść targa... Ot, mówię waszmości (tu pan Charłamp zniżył głos), bluźnił w zapamiętaniu!

— Dla Boga! bluźnił? — powtórzył cicho Kmicic.

— Wypadł od jej ciała w sień, z sieni na podworzec i taczał się, jak pijany. Tam pięści do góry podniósłszy, począł okropnym głosem wołać: „Takaż mi nagroda za moje rany, za moje trudy, za moją krew, za moją dla ojczyzny przychylność!?“... Jedno jagnię (powiada) miałem i to mi, Panie, zabrałeś. Zbrojnego męża (powiada) powalić, któren w hardości po ziemi stąpa, godna (powiada) boskiej

ręki sprawa, ale gołębia niewinnego potrafi zadusić i kot i jastrząb i kania!... i...

— Na rany boskie! — zakrzyknęła pani Andrzejowa — nie powtarzaj waść, bo nieszczęście na dom ściągniesz!

Charłamp przeżegnał się i dalej mówił:

— Myślało żołnierzysko, że się dosłużyło, a ot mu nagroda! Ha! Bóg najlepiej wie, co robi, choć tego ni rozumem ludzkim pojąć, ni sprawiedliwością ludzką odmierzyć! Zaraz tedy po onych bluźnierstwach stężał i na ziemię upadł, a ksiądz nad nim egzorcyzma odprawował, żeby sprośne duchy w niego nie wstąpiły, które mogły na bluźnierstwa się uwabić.

— Prędko-że przyszedł do siebie?

— Z godzinę leżał, jak nieżywy, potem zasie się ocknął i wróciwszy do swojej kwatery, nikogo widzieć nie chciał. W czasie pogrzebu przemówiłem do niego: „Panie Michale — powiadam — miej Boga w sercu!“ On nic! Trzy dni siedziałem jeszcze w Częstochowie, bo mi go żal było odjeżdżać, alem napróżno we drzwi kołatał. Nie chciał mnie! Biłem się z myślami, co czynić, czy tentować dłużej u drzwi, czy jechać?... Jakże tak człeka bez nijakiej pociechy zostawić? Wszelako, poznawszy, że nic nie wskóram, postanowiłem jechać do Skrzetuskiego. On przecie najlepszy jego przyjaciel, a pan Zagłoba drugi; może mu jako do serca trafią, a zwłaszcza pan Zagłoba, któren jest człowiek bystry i wie, jak do kogo przemówić.

— Byłeś waść u Skrzetuskich?

— Byłem, ale i tu Bóg nie pofortunił, bo oboje z panem Zagłobą wyjechali w Kaliskie, do pana Stanisława, rotmistrza. Nie umiał nikt powiedzieć, kiedy wrócą. Wówczas ja sobie pomyślałem: i tak mi droga na Żmudź, wstąpię do waćpaństwa dobrodziejstwa i opowiem, co się stało.

— Wiedziałem to dawno, że godny z waści kawaler — rzekł Kmicic.

— Nie o mnie tu chodzi, jeno o Wołodyjowskiego — odparł Charłamp — i przyznam się waćpaństwu, że się

wielce o niego obawiam, ażeby umysł mu się nie pomieszał...

— Bóg go od tego uchroni — rzekła pani Andrzejowa.

— Jeśli go uchroni, to pewnikiem habit wdzieje, bo powiadam waćpaństwu, że takiej żałości, jakom żyw, nie widziałem... A szkoda żołnierza! szkoda!

— Jak to szkoda? To chwały Bożej przybędzie! — ozwała się znów Kmicicowa.

Charłamp począł wąsami ruszać i trzeć czoło.

— Owóż, mościa dobrodziko... albo przybędzie, albo i nie przybędzie. Policzcie no waćpaństwo, ilu to on pogan i heretyków w życiu zgładził, czem pewnie więcej Zbawiciela naszego i Jego Matkę udelektował, niż niejeden ksiądz kazaniami. Hm! Rzecz namysłu godna! Każdy niech służy chwale Bożej, jak najlepiej umie... Owóż, widzicie państwo, między Jezuitami znajdzie się zawsze siła od niego mądrzejszych, a takiej drugiej szabli w Rzeczypospolitej niemasz...

— Prawda jest, jak mi Bóg miły! — ozwał się Kmicic. — Nie wiesz waszmość, czyli on został w Częstochowie, czy pojechał?

— Był do chwili mego wyjazdu. Co potem uczynił, nie wiem. Wiem jeno, że broń Boże zapamiętania, broń Boże choroby, która często z desperacyą idzie w parze, sam on, sam będzie, bez pomocy, bez krewnego, bez przyjaciela, bez pociechy.

— Niechże cię Najświętsza Panna w cudownem miejscu ratuje, wierny przyjacielu! — zawołał nagle Kmicic — któryś mi tyle wyświadczył, że i brat nie uczyniłby więcej!

Pani Andrzejowa zamyśliła się głęboko i długi czas trwało milczenie, nakoniec podniosła swą jasną głowę i rzekła:

— Jędrek, czy ty pamiętasz, ileśmy mu winni?

— Jeśli zapomnę, to od psa oczu pożyczę, bo swojemi nie będę śmiał na uczciwego człeka spojrzeć!

— Jędrek, ty go nie możesz tak ostawić.

— Jakże to?

— Jedź do niego.

— Oto zacne białogłowskie serce, oto zacna pani! — zawołał Charłamp, chwytając ręce Kmicicowej i pokrywając je pocałunkami.

Ale Kmicicowi nie w smak była rada, więc począł głową kręcić i rzekł:

— Jabym dla niego na koniec świata pojechał, ale... sama wiesz.. żebyś to była zdrowa, nie mówię... ale sama wiesz! Broń Boże strachu jakiego, jakiej przygody... Usechłbym z niespokojności... Żona pierwsza, niż najlepszy przyjaciel... Pana Michała mi żal... ale... sama wiesz!...

— Ja się pod opieką laudańskich ojców zostanę. Teraz tu spokojnie, nie byle czego też się ulęknę. Bez woli Bożej włos mi nie spadnie... A tam pan Michał ratunku może potrzebuje...

— Oj, potrzebuje! — wtrącił Charłamp.

— Słyszysz, Jędrek. Ja zdrowa. Krzywda mnie od nikogo nie spotka... Wiem ja, że ci niesporo odjeżdżać...

— Wolałbym na armaty z kociubą iść! — przerwał Kmicic.

— Zali to myślisz, że jak ostaniesz, nie będzie ci gorzko, ilekroć pomyślisz: przyjaciela zaniechał! A jeszcze i Pan Bóg w gniewie słusznym łatwo błogosławieństwa może umknąć.

— Sęk mi w głowę wbijasz. Powiadasz, że może błogosławieństwa umknąć? Tego się boję!

— Taki przyjaciel, jak pan Michał, toż to święty obowiązek go ratować.

— Jać Michała kocham całem sercem. Trudno!... Kiedy trzeba, to rychło trzeba, bo tu każda godzina znaczy! Zaraz do stajen idę... Przez Bóg żywy, czy już niema innej rady? Licho tamtych nadało w Kaliskie jechać! Toć mi nie o siebie chodzi, ale o ciebie, krociu najmilszy! Wolałbym majętności stracić, niż bez ciebie jeden dzień dychać. Ktoby mi powiedział, że nie dla służby publicznej ciebie odjadę, tobym mu rękojeść po krzyżyk w gębę wsadził. Obo-

wiązek mówisz? Niechże będzie! Kiep, kto się ogląda! Żeby dla kogo innego, nie dla Michała, nigdybym tego nie uczynił!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Mości panie, proszę ze mną do stajen, konie opatrzym! A ty, Oleńka, każ mi łuby pakować. Niech tam który z laudańskich omłotu pilnuje... Panie Charłamp, choć ze dwie niedziele musisz waćpan u nas posiedzieć, żony mi popilnujesz. Może też się tu w okolicy jaka dzierżawa znajdzie. Bierz Lubicz! co? Chodź waćpan do stajni! Za godzinę ruszam! Kiedy trzeba, to trzeba!...

ROZDZIAŁ II.

Jakoż dobrze jeszcze przed zachodem słońca ruszył rycerz, żegnany przez żonę łzami i krzyżem, w którym drzazgi świętego drzewa w złoto były osadzone. A że z dawnych lat bardzo był pan Kmicic do nagłych pochodów nawykły, więc ruszywszy, gnał, jakby chodziło o doścignięcie umykających z łupem Tatarów.

Dobrawszy się do Wilna, jechał na Grodno, Białystok, a stamtąd do Siedlec się przebierał. Przejeżdżając przez Łuków, dowiedział się, że państwo Skrzetuscy z dziećmi i z panem Zagłobą, dniem przedtem powrócili właśnie z Kaliskiego, więc postanowił do nich wstąpić, bo z kimże mógł nad ratowaniem Wołodyjowskiego skuteczniej się naradzić?

Przyjęli go tedy ze zdziwieniem i radością, która jednak zaraz w ciężki płacz się zmieniła, gdy im cel swego przybycia oznajmił.

Pan Zagłoba cały dzień uspokoić się nie mógł i nad stawem wciąż płakał tak rzewnie, że, jak sam później powiadał: aż staw wezbrał i stawidła trzeba było otwierać. Ale wypłakawszy się, poszedł po rozum do głowy i oto co mówił na naradzie:

— Jan nie może jechać, bo do kapturu obran, spraw zaś będzie siła, jako że po tylu wojnach pełno jest duchów niespokojnych. Z tego, co jegomość pan Kmicic powiada, widać, że bociany na zimę w Wodoktach zostaną, bo je tam do inwentarza robotniczego policzono i funkcye spełnić muszą. Nie dziwota, że przy takiem gospodarstwie niesporo waćpanu wyruszać w drogę, zwłaszcza, że niewiadomo, jak długo ona może potrwać. Wielkiegoś serca dowiódł, żeś wyjechał, a mam-li szczerze radzić, toć powiem: wracaj, gdyż tam bliższego konfidenta potrzeba, któryby do serca nie brał, choćby go ofuknięto i widzieć nie chciano. Patientia tam potrzebna i doświadczenie wielkie, a waszmość masz tylko przyjaźń dla Michała, która w takowym wypadku non sufficit. Nie gniewaj się jeno waść, bo sam przyznać musisz, żeśmy obaj z Janem dawniejsi przyjaciele i więcejśmy razem przygód przebyli. Miły Boże! ileż to razy on mnie, a ja jego w opresyi ratowałem!

— Gdybym się też zrzekł funkcyi deputata? — przerwał Skrzetuski.

— Janie, to służba publiczna! — odparł surowo Zagłoba.

— Bóg widzi — mówił strapiony Skrzetuski — że stryjecznego mego, Stanisława, miłuję szczerze, braterskim afektem, ale Michał bliższy mi, niż brat.

— Mnie on i od rodzonego bliższy, tem bardziej, że rodzonego nigdy nie miałem. Nie czas się o afekta spierać! Widzisz, Janie, żeby to nieszczęście świeżo w Michała uderzyło, może sambym ci powiedział: daj katu kaptur i jedź! Ale policzmy, ile to już czasu upłynęło, nim Charłamp z Częstochowy na Żmudź zdążył, a pan Andrzej ze Żmudzi do nas. Teraz nie tylko trzeba do Michała jechać, ale przy nim zostać, nie tylko z nim płakać, ale perswadować; nie tylko Ukrzyżowanego, jako przykład pokazywać, ale uciesznemi krotochwilami myśl i serce rozweselić. Ot, wiecie, kto powinien jechać? — ja! i pojadę! tak mi dopomóż Bóg! Znajdę go w Częstochowie, tak go tu przywiozę; nie znajdę, to choćby na Multany za nim się powlokę i póty go szu-

kać nie przestanę, póki o własnej mocy szczyptę tabaki sobie do nozdrzech podnieść zdołam.

Usłyszawszy to dwaj rycerze, poczęli brać w objęcia pana Zagłobę, a on się rozczulił nieco i nad pana Michała nieszczęściem i nad własnemi przyszłemi fatygami. Przeto łzy ronić począł, a wreszcie, gdy już miał uścisków dość, rzekł:

— Jeno mi za Michała nie dziękujcie, boście mu nie bliżsi ode mnie!

Na to Kmicic:

— Nie za Wołodyjowskiego my dziękujemy, ale żelazne, lub też zgoła nie człowiecze serce musiałby mieć ten, ktoby się tą gotowością waćpana nie wzruszył, która w przyjacielskiej potrzebie na fatygi nie dba i na wiek względu niema. Inni w tym wieku o przypiecku ciepłym jeno myślą, a waćpan tak sobie o długiej drodze mówisz, jakbyś moje albo pana Skrzetuskiego miał lata.

Pan Zagłoba nie ukrywał wprawdzie swych lat, ale nie lubił wogóle, aby przy nim o starości, jako towarzyszce niedołęstwa, wspominano; więc choć miał oczy jeszcze czerwone, spojrzał bystro z pewnem niezadowoleniem na Kmicica i odparł:

— Mój mospanie! Kiedym siedmdziesiąty siódmy rok począł, ckliwo mi jakoś było na sercu, że to dwie siekiery nad karkiem wisiały; ale gdy mi ośmdziesiąty minął, taki duch we mnie wstąpił, że jeszcze mi żeniaczka po głowie chodziła. I widzielibyśmy, ktoby z nas pierwszy miał się z czem pochwalić!

— Jać się nie chwalę, ale i waszmości-bym pochwały nie poskąpił.

— I pewniebym waćpana skonfundował, jakom pana hetmana Potockiego w obliczu króla skonfundował, któren gdy mi do wieku przytyki dawał, wyzwałem go: kto więcej kozłów od razu machnie. I cóż się pokazało? Oto pan Rewera machnął trzy i hajducy musieli go podnosić, bo sam wstać nie mógł, a ja naokolusieńko objechałem, mało trzy-

dzieści pięć razy fiknąwszy. Spytaj się Skrzetuskiego, który na własne oczy na to patrzył.

Skrzetuski wiedział, że od pewnego czasu pan Zagłoba miał zwyczaj na niego się we wszystkiem, jako na naocznego świadka, powoływać; więc ani okiem nie mrugnął, jeno o Wołodyjowskim znów mówić począł.

Zagłoba, pogrążywszy się w milczeniu, zamyślił się o czemś głęboko; nakoniec, po wieczerzy, wpadł w lepszy humor i tak ozwał się do towarzyszów:

— Powiem wam to, w coby nie każdy rozum umiał ugodzić. Oto mam w Bogu nadzieję, że nasz Michał wyliże się łatwiej z tego postrzału, niż nam się na początku zdało.

— Dałby Bóg, ale skądże to waszmości do głowy przyszło? — pytał Kmicic.

— Hm! Tu trzeba bystrego dowcipu, który z przyrodzenia jest dany i eksperyencyi wielkiej, której w waszych latach mieć nie możecie i znajomości Michała. Każden ma inną naturę. W jednego, owo, tak nieszczęście uderzy, jakobyś, figuraliter mówiąc, kamień w rzekę wrzucił. Nibyć to woda po wierzchu tacite płynie, a przecie on tam na dnie leży, a bieg przyrodzony hamuje, a zawadza, a tak okrutnie rozdziera i będzie leżał, będzie rozdzierał, póki wszystko woda do Styksu nie spłynie! Ty, Janie, do takich zaliczon być możesz; ale takim gorzej na świecie, bo w nich i boleść i pamięć nie mija. Inny zasię, eo modo, klęskę przyjmie, jakobyś go pięścią w kark huknął. Zamroczy go zrazu, potem przyjdzie do siebie, a gdy się siniec zgoi, to i zapomni. Oj, lepsza taka natura na tym pełnym przygód świecie.

Słuchali rycerze ze skupieniem mądrych słów pana Zagłoby, a on rad widział, że go z taką uwagą słuchają i dalej mówił:

— Ja Michała na wskróś poznałem i Bóg mi świadkiem, że nie chcę mu tu przymawiać, ale tak mi się widzi, że on więcej ożenku, niż onej dziewczyny żałował. Nic to, że desperacya chwyciła go okrutna, boć i to nieszczęście, zwłaszcza dla niego, nad nieszczęściami. Nie wyimaginujecie sobie nawet, jaką ten chłop miał ochotę do ożenku. Nie-

masz w nim chciwości żadnej, ni ambicyi, ni prywaty; swojego odbieżał, fortunę, tak dobrze jak utracił, o żołd się nie upominał; ale za wszystkie prace, za wszystkie zasługi niczego od Pana Boga i Rzeczypospolitej nie wyglądał, jeno żony. I to sobie w duszy wykalkulował, że mu się taki chleb należy; już, już miał go w gębę wziąć, aż tu, jakoby mu kto w wąsy dmuchnął! Masz-że teraz! jedz! Co i dziwnego, że go desperacya chwyciła? Nie mówię, żeby i dziewki nie żałował, ale, jak mi Bóg miły, tak ożenku więcej żałuje, choć sam przysiągłby, że jest przeciwnie.

— Dałby Bóg! — powtórzył Skrzetuski.

— Poczekajcie, niech jeno owe rany duszne mu się zamkną i świeżą skórą pokryją, a obaczym, czy mu dawna ochota nie powróci. Periculum w tem tylko, by teraz sub onere desperacyi czegoś nie uczynił, albo nie postanowił, czegoby potem sam żałował. Ale co się miało stać, to się już stało, bo w nieszczęściu prędka rezolucya. Mój wyrostek już szatki ze skrzyń wyjmuje i układa, więc nie mówię tego, żeby nie jechać, chciałem tylko waszmościów pocieszyć.

— Znowu plastrem ojciec Michałowi będziesz! — rzekł Skrzetuski.

— Jako i tobie byłem. Pamiętasz? Bylem go tylko prędko znalazł, bo się boję, że się w jakiej pustelni przytai, albo gdzie w dalekich stepach zapadnie, do których od młodu nawykł. Waszmość, panie Kmicic, przymawiałeś mi do wieku, a ja ci powiem, że jeśli kiedy gończy bojar tak z listem sunął, jako ja będę sunął, to mi każcie za powrotem nitki ze starych bławatów wyciągać, groch łuszczyć, albo mi kądziel dajcie. Ani mnie niewygody nie zatrzymają, ani cudza gościnność skusi, jadło lub też napitek w pędzie zahamuje. Jeszczeście takiego pochodu nie widzieli! Już teraz ledwie usiedzieć mogę, właśnie jakoby mnie kto szydłem z pod ławy ekscytował: już i koszulę podróżną kazałem sobie łojem kozłowym, dla wstrętu gadowi, wysmarować...

ROZDZIAŁ III.

Jednakże nie jechał tak szybko pan Zagłoba, jak to sobie i towarzyszom obiecywał. Im zaś był bliżej Warszawy, tem jechał wolniej. Był to czas, w którym Jan Kazimierz, król, polityk i wódz wielki, pogasiwszy pożary postronne i wywiódłszy Rzeczpospolitą, jakoby z toni potopu, zrzekł się panowania. Wszystko on przecierpiał, wszystko przetrwał, wszystkim ciosom piersi nadstawił, które szły od zewnętrznego nieprzyjaciela; ale gdy potem wewnętrzne reformy zamierzył i zamiast pomocy od narodu, oporu tylko i niewdzięczności doznał, wówczas dobrowolnie zdjął z poświęconych skroni tę koronę, która nieznośnym ciężarem mu się stała.

Sejmiki powiatowe i generały już się były poodprawiały, a ksiądz prymas Prażmowski konwokacyę na 5 listopada oznaczył.

Wielkie były wcześnie różnych kandydatów starania, wielkie partyi rozmaitych współzawodnictwa, a choć to elekcya miała dopiero rozstrzygnąć, rozumiał wszakże każdy niezwykłą sejmu konwokacyjnego ważność. Jechali tedy posłowie do Warszawy, koleśno i konno, z czeladzią i pachołkami, jechali senatorowie, a przy każdym dwór wspaniały.

Po drogach było ciasno, gospody zajęte, a wynalezienie sobie noclegu z wielką połączone mitręgą. Wszakże ustępowano panu Zagłobie miejsca, ze względu na jego wiek, ale natomiast niezmierna jego sława nieraz właśnie narażała go na stratę czasu.

Bywało, zajedzie do jakiej karczmy, a tam ani już palca wścibić, to personat, który ją wraz z dworem zajmował, wyjdzie przez ciekawość zobaczyć, kto przyjechał, a widząc starca z białymi, jak mleko, wąsami i brodą, rzecze na widok takiej powagi:

— Proszę waszmości dobrodzieja ze mną do stancyi, na przygodną zakąskę.

Pan Zagłoba grubijaninem nie był i nie odmawiał, wiedząc, że znajomość z nim każdemu miłą będzie. Gdy więc gospodarz, przez próg go przepuściwszy, pytał następnie: „kogoż mam honor?“ — on się tylko w boki brał i pewien efektu, odpowiadał dwoma słowami:

— Zagłoba sum!

Jakoż nie zdarzyło się nigdy, aby po owych dwóch słowach nie nastąpiło wielkie ramion otwieranie, okrzyki: „do najfortunniejszych dni ten zapiszę!“ i nawoływania towarzyszów, albo dworzan: „patrzcie! ów jest wzór, gloria et decus wszystkiego Rzeczypospolitej kawalerstwa!“ Zbiegali się tedy podziwiać pana Zagłobę, a młodsi przychodzili całować poły jego podróżnego żupana. Zaczem ściągano z wozów beczułki i ankary i następowało gaudium, trwające czasem kilka dni.

Powszechnie myślano, że jako poseł, na konwokacyę jedzie, a gdy mówił, że nie, zdziwienie było powszechne. Ale on tłumaczył się, że panu Domaszewskiemu mandatu ustąpił, aby zasię i młodsi do spraw publicznych przykładać się mogli. Jednym też powiadał prawdziwą przyczynę, dla której w drogę wyruszył; innych zaś, gdy się dopytywali, zbywał słowami:

— Ot, z małegom do wojny przywykł, toć zachciało się jeszcze na stare lata z Doroszeńką pohałasować.

Po których słowach podziwiano go jeszcze więcej. A nikomu przez to nie był tańszym, że nie jako poseł jechał, wiedziano bowiem, że i między arbitrami znajdują się tacy, którzy więcej od samych posłów mogą. Zresztą baczył każden senator, choćby najznamienitszy, na to, że po paru miesiącach nastąpi elekcya, a wówczas każde słowo męża, tak między rycerstwem wsławionego, nieoszacowaną wagę mieć będzie.

Brali też w ramiona pana Zagłobę i czapkowali mu, by i najwięksi panowie. Pan Podlaski trzy dni go poił; panowie Pacowie, których w Kałuszynie napotkał, na rękach go nosili.

Niejeden i dary znaczne kazał po cichu w wasąg mu

wsuwać: od wódek, win, do sepecików kosztownie oprawnych, szabel i pistoletów.

Miała się z tego dobrze i służba pana Zagłoby, ale on sam, wbrew postanowieniu i obietnicy, jechał tak wolno, że trzeciego tygodnia dopiero w Mińsku stanął.

Za to w Mińsku nie popasał. Wjechawszy na rynek, ujrzał dwór tak znaczny i piękny, jakiego dotąd po drodze nie spotkał: dworzanie w szumnej barwie; pół regimentu jeno piechoty, bo na konwokacyę zbrojno nie jeżdżono, ale tak strojnej, że i król szwedzki strojniejszej gwardyi nie miał; pełno nawet pozłocistych wozów z makatami i kobiercami dla obijania karczem po drogach, wozów z kredensem i zapasami żywności; przytem służba cała niemal cudzoziemska, tak, że mało kto się zrozumiałym językiem w tej ciżbie odezwał.

Pan Zagłoba dopatrzył wreszcie jednego z dworzan, po polsku ubranego, więc kazał stanąć i pewien dobrego popasu, wysadził już jedną nogę z wasągu, a jednocześnie spytał:

— A czyj to dwór taki foremny, że i król foremniejszego mieć nie może?

— Czyjże ma być — odpowiedział dworzanin — jak nie pana naszego, księcia koniuszego litewskiego?

— Kogo? — powtórzył Zagłoba.

— Czy waść głuchy? Księcia Bogusława Radziwiłła, który na konwokacyę jedzie, ale — da Bóg! — po elekcyi elektem zostanie.

Zagłoba schował prędko nogę w wasąg.

— Jedź! — krzyknął na woźnicę. — Nic tu po nas!

I pojechał, trzęsąc się z oburzenia.

— Wielki Boże! — mówił — niezbadane Twoje wyroki i jeżeli tego zdrajcy piorunem w kark nie trzaśniesz, to masz w tem jakoweś ukryte intencye, których się rozumem dochodzić nie godzi, choć po ludzku rzecz biorąc, należałaby się takiemu skurczybykowi dobra chłosta. Ale widać źle się dzieje w tej prześwietnej Rzeczypospolitej, jeśli podobni przedawczykowie, bez czci i sumienia, nie

tylko kary nie odnoszą, ale w bezpieczności i potędze jeżdżą, ba! jeszcze obywatelskie funkcye sprawują. Chyba, że zginiem, bo gdzież, w jakim kraju, w jakiem innem państwie, taka rzecz przygodzićby się mogła? Dobry był król, Joannes Casimirus, ale nadto przebaczał i przyuczył najgorszych dufać w bezkarność i bezpieczeństwo. Wszelako nie jego to tylko wina. Widać, że i w narodzie sumienie obywatelskie i czułość na cnotę do reszty zaginęła. Tfu! tfu! on posłem! W jego bezecne ręce obywatele całość i bezpieczeństwo ojczyzny składają, w te same ręce, któremi ją rozdzierał i w szwedzkie łańcuchy okuwał! Zginiemy, nie może inaczej być! Jeszcze go i na króla rają.... A cóż! wszystko widać w takim narodzie możliwe. On posłem! Dla Boga! Przecie prawo wyraźnie mówi, że nie może być posłem ów, który w obcych krajach urzędy sprawuje, a przecież on jest generalnym, u swego parszywego wuja, Prus książęcych gubernatorem! Aha! czekajże, mam cię. A rugi sejmowe od czego? Jeśli do sali nie pójdę i tej materyi, chociaż tylko arbitrem będąc, nie poruszę, to niech się tu zaraz w skopa zmienię, a mój woźnica w rzeźnika. Znajdą się przecież między posłami, którzy mnie poprą. Nie wiem, czyli ci, zdrajco, jako takiemu potentatowi, dam rady i z poselstwa wyrugować zdołam, ale że ci to do elekcyi nie posłuży — to pewna! I Michał, nieboże, poczekać na mnie musi, bo to będzie pro publico bono uczynek.

Tak rozmyślał pan Zagłoba, przyrzekając sobie koło tej sprawy rugów pilnie chodzić i posłów prywatnie dla niej kaptować. Z tego powodu od Mińska śpieszniej już do Warszawy dążył, bojąc się na otwarcie konwokacyi zapóźnić.

Przyjechał jednak dość wcześnie. Posłów i postronnych zjazd był tak wielki, że gospody ni w samej Warszawie, ni na Pradze, ni nawet za miastem wcale nie można było dostać; trudno się było też do kogo zaprosić, bo w jednej izbie po trzech i czterech się mieściło. Pierwszą noc przepędził pan Zagłoba w handlu u Fukiera i zeszła jakoś

dość gładko; ale nazajutrz, wytrzeźwiawszy na swym wasągu, sam dobrze nie wiedział, co ma czynić.

— Boże! Boże! — wołał, wpadłszy w zły humor i rozglądając się po Krakowskiem Przedmieściu, które właśnie przejeżdżał — oto Bernardyni, a oto ruina pałacu Kazanowskich! Niewdzięczne miasto! Własną krwią i trudem musiałem je nieprzyjacielowi wydzierać, a teraz mi kąta dla siwej głowy żałuje.

Miasto wszelako nie żałowało wcale kąta dla siwej głowy, tylko go po prostu nie miało.

Natomiast czuwała nad panem Zagłobą szczęśliwa gwiazda, bo ledwie do pałacu Koniecpolskich dojechał, gdy jakiś głos krzyknął z boku na woźnicę:

— Stój!

Czeladnik powstrzymał konie; wtem nieznajomy szlachcic zbliżył się z rozjaśnionem obliczem do wasągu i zawołał:

— Panie Zagłoba! Nie poznajesz mnie waszmość?

Zagłoba ujrzał przed sobą męża, mającego koło trzydziestu kilku lat, przybranego w kołpak rysi z piórkiem, znak niechybny wojskowej służby, w makowy żupan i ciemno-czerwony kontusz, przepasany pozłocistym pasem. Twarz nieznajomego była nadzwyczajnej piękności. Cerę miał ów bladą, nieco tylko w polach wichrem na złotawo opaloną, oczy błękitne, pełne jakowegoś smutku i zamyślenia, rysy twarzy nadzwyczaj foremne, prawie, jak na męża, zbyt piękne; pomimo polskiego stroju nosił on długie włosy i brodę z cudzoziemska przyciętą. Stanąwszy przy wasągu, otworzył szeroko ramiona, a pan Zagłoba, lubo nie mógł go sobie na razie przypomnieć, przechylił się i objął go za szyję.

Ściskali się tedy serdecznie, a chwilami jeden odsuwał drugiego, aby mu się lepiej przypatrzyć; nakoniec Zagłoba rzekł:

— Wybacz waszmość, ale jeszcze nie mogę sobie przypomnieć...

— Hassling-Ketling!

— Dla Boga! Twarz wydała mi się znajomą, ale strój całkiem waćpana odmienił, bom cię dawniej w kolecie rajtarskim widywał. To już i po polsku chodzisz?

— Bom tę Rzeczpospolitą, która mnie tułacza, pacholęciem jeszcze niemal będącego, przygarnęła i dostatnim chlebem opatrzyła, za swoją matkę uznał i innej mieć nie chcę. Waćpan nie wiesz o tem, żem indygenat po wojnie otrzymał?

— A to mi słodką nowinę zwiastujesz! Także ci się to poszczęściło?

— I w tem i w czem innem, bom w Kurlandyi, na samej granicy żmudzkiej, na człeka takiego samego nazwiska, jako jest moje, natrafił, któren mnie adoptował, do herbu przyjął i fortuną obdarzył. Mieszka on w Świętej, w Kurlandyi, ale i z tej strony ma majętność Szkudy, którą mnie puścił.

— Szczęść ci Boże! Toś tedy wojnę porzucił?

— Niech się jeno jakakolwiek zdarzy, stawię się niezawodnie. Dlatego to i wioskę w dzierżawę oddałem, a tu czekam okazyi.

— To mi kawalerska fantazya! Zupełnie jak ja, kiedym był młody, choć i dziś jeszcze wigor w kościach jest! Co tedy porabiasz w Warszawie?

— Posługuję na konwokacyę.

— Rany Boskie! Toś już z kościami Polak!

Młody rycerz uśmiechnął się.

— I duszą, a to więcej!

— Żonatyś?

Ketling westchnął.

— Nie!

— Tego ci tylko brakuje. A wierzę! czekaj jeno! Zaliby ci dotąd dawny sentyment do Billewiczówny nie wyszedł z pamięci?

— Skoro waćpan o tem wiedziałeś, com moją sądził być tylko tajemnicą, to wiedz, że żaden nowy nie przyszedł...

— Daj spokój! Ona niedługo małego Kmicica światu

przyrzuci. Daj sobie spokój! Coć za robota wzdychać, gdy kto inny w lepszej konfidencyi z nią żyje. Powiem-ć prawdę, że to i śmieszno.

Ketling podniósł swe smutne oczy w górę.

— Rzekłem tylko, że nowy sentyment nie przyszedł.

— Przyjdzie, nie bój się! ożenim cię! Wiem to z własnej eksperyencyi, że zbytnia stałość w amorach tylko zgryzot przyczynia. Żem to był swego czasu stały, jako Troilus, siła delicyi, siła dobrych okazyi poniechałem, a com się nagryzł!

— Daj Boże każdemu zachować tak jowialny humor, jako waszmość zachowałeś.

— Bom w modestyi żył zawsze, przeto mi w kościach nie strzyka! Gdzie mieszkasz, zali znalazłeś gospodę?

— Mam dworek wygodny ku Mokotowu, który po wojnie już wybudowałem.

— Toś szczęśliwy; ja zaś od wczoraj napróżno po całem mieście jeżdżę!

— Dla Boga! dobrodzieju! już-że mi tego nie odmówisz, żebyś u mnie stanął; miejsca jest dosyć; prócz dworku, oficyna i stajnia wygodna. Znajdzie się dla czeladzi i koni pomieszczenie.

— Toś mi z nieba spadł, jak mi Bóg miły!

Ketling siadł na wasąg i ruszyli.

Po drodze opowiadał mu Zagłoba o nieszczęściu, jakie w pana Wołodyjowskiego ugodziło, a on ręce nad niem łamał, bo nic był dotąd nie wiedział.

— Tem to ostrzejszy grot i dla mnie — rzekł wreszcie — że może waszmość i nie wiesz, jaka między nami w ostatnich czasach przyjaźń powstała. Wszystkie późniejsze wojny w Prusiech, przy oblężeniu zamków, gdzie tylko były jeszcze szwedzkie załogi, odprawowaliśmy razem. Chodziliśmy i na Ukrainę i na pana Lubomirskiego i znów na Ukrainę, już po śmierci ruskiego wojewody, pod panem marszałkiem koronnym Sobieskim. Jedna kulbaka nam za poduszkę służyła, z jednej jadaliśmy misy; Kastorem i Polluxem nas zwano. I dopiero, gdy on po pannę Borzobo-

hatą na Żmudź jechał, nadeszła chwila separationis; któżby się spodziewał, że najlepsze jego nadzieje tak prędko przeminą, jako strzała na powietrzu?

— Nic stałego na tym padole płaczu niemasz — odpowiedział Zagłoba.

— Prócz przyjaźni statecznej... Trzeba będzie radzić i dowiadywać się, gdzie on teraz. Może od pana marszałka koronnego czegoś się dowiemy, który Wołodyjowskiego, jak źrenicę oka, miłuje. A nie, toć tu są posłowie ze wszystkich stron. Niepodobna, aby który o takim rycerzu nie słyszał. W czem będę mógł, w tem waszmości posłużę, lepiej, niż gdyby o mnie samego chodziło.

Tak rozmawiając, przybyli nakoniec do ketlingowego dworku, który dworem się być okazał. W środku były porządki wszelkie i niemało sprzętów kosztownych, bądź kupionych, bądź ze zdobyczy pochodzących. Broni zwłaszcza wybór był znamienity. Ucieszył się pan Zagłoba na ten widok i rzekł:

— O! toż waćpan mógłbyś tu i dwadzieścia osób pomieścić. Szczęście to dla mnie, żem cię spotkał. Mogłem pana Antoniego Chrapowickiego gospodę zająć, bo to mój znajomy i przyjaciel. Cągnęli mnie i Pacowie, którzy przeciw Radziwiłłom partyzantów szukają, ale u ciebie wolę.

— Słyszałem między posłami litewskimi — odrzekł Ketling — że ponieważ teraz na Litwę kolej przypada, chcą koniecznie pana Chrapowickiego marszałkiem sejmu postanowić.

— I słusznie. Człek to zacny i realista, jeno nieco dobrowolny. Dla niego niemasz nad zgodę; tylko patrzy, gdzieby kogo z kim pogodzić, a to na nic. Ale! powiedzno szczerze, czem-ć jest Bogusław Radziwiłł?

— Od czasu, jak mnie Tatarzy pana Kmicicowi pod Warszawą w niewolę wzięli — niczem. Porzuciłem tę służbę i nie zabiegałem o nią więcej, bo choć to możny pan, ale zły i przewrotny człowiek. Napatrzyłem ja mu się dosyć, gdy w Taurogach na cnotę tej nadziemskiej istoty nastawał.

— Jakiej nadziemskiej? Człeku, co gadasz? Z gliny ona jest i tak, jak pierwsza lepsza farfurka stłuc się może. — Wszelako mniejsza z tem!

Tu zaczerwienił się pan Zagłoba z gniewu, aż mu oczy na wierzch wyszły.

— Wyobraź sobie, ta szelma posłem jest!

— Kto taki? — spytał zdumiony Ketling, którego myśl była jeszcze przy Oleńce.

— Bogusław Radziwiłł! Ale rugi! rugi od czego!? Słuchaj! tyś poseł, możesz tę materyę poruszyć, już ja ci z galeryi ryknę do wtóru, nie bój się! Prawo za nami, a zechcą-li prawo poniżyć, to możnaby między arbitrami tumulcik uczynić tak zacny, żeby się i bez krwi nie obyło.

— Nie czyń tego waść, na miłosierdzie Boże. Materyę ja wniosę, bo słuszna, ale Boże uchowaj sejm zamieszać.

— Pójdę i do Chrapowickiego, choć to ciepła woda, co ze szkodą jest, bo od niego, jako od przyszłego marszałka, siła zależy. Podszczuję Paców. Przynajmniej wszystkie jego praktyki publice przypomnimy. Przecie słyszałem po drodze, że ta szelma o koronę dla siebie myśli się starać!

— Chybaby naród do ostatniego upadku przyszedł i nie był żywota godny, gdyby tacy królami jego mieli zostawać — odrzekł Ketling. — Ale wypocznij waść teraz, a później któregokolwiek dnia, pójdziem do pana marszałka koronnego o naszego przyjaciela wypytywać.

ROZDZIAŁ IV.

Sejm konwokacyjny w kilka dni później został otwarty, na którym, jak przewidywał Ketling, powołano do laski pana Chrapowickiego, naówczas podkomorzego smoleńskiego, a późniejszego wojedę witebskiego. Ponieważ chodziło tylko o wyznaczenie terminu elekcyi i ustanowienie wyższego kapturu, a intrygi rozmaitych partyi nie mogły w takich sprawach znaleźć dla siebie pola, przeto konwokacya dosyć zapowiadała się spokojnie. W samym początku zaburzyła

ją tylko nieco materya rugów. Bo gdy poseł Ketling podał w wątpliwość prawomocność wyboru pana pisarza bielskiego i jego kolegi księcia Bogusława Radziwiłła, zaraz jakiś potężny głos z pomiędzy arbitrów zakrzyknął: „zdrajca! cudzoziemski urzędnik!“ Za tym głosem poszły i inne; przyłączyli się do nich takoż niektórzy posłowie i niespodzianie sejm rozpadł się na dwie strony, z których jedna chciała panów posłów bielskich rugować, druga zaś uznać ich wybór. Zgodzono się wreszcie na sąd, który sprawę załagodził i wybór przyznał.

Niemniej był to jednak cios dla księcia koniuszego bardzo dotkliwy; bo już to samo, że rozważano, czy książę godnym jest zasiąść w izbie; to samo, że przypomniano coram publico, wszystkie jego z czasów wojny szwedzkiej zdrady i przeniewierstwa — okryło go świeżą hańbą w oczach Rzeczypospolitej i podkopało z gruntu wszystkie jego ambitne zamiary.

Liczył on bowiem, że gdy stronnictwa kondeuszowe, neuburskie i lotaryńskie, nie licząc innych pomniejszych, wzajem sobie będą przeszkadzały, wybór łatwo może paść na krajowca.

Duma zaś i pochlebcy mówili mu, że gdyby się to miało zdarzyć, to tym krajowcem nie mógłby być kto inny, jeno pan, najwyższym geniuszem obdarzony, najpotężniejszy i z najznakomitszego rodu, a inaczej mówiąc — on sam.

Trzymając rzeczy do czasu w tajemnicy, porozciągał już poprzednio niewody na Litwie, a teraz właśnie rozpoczął zastawiać sieci w Warszawie, gdy nagle spostrzegł, że zaraz z początku mu je przerwano i uczyniono dziurę tak wielką, że wszystkie ryby ujść nią łatwo mogły. Zgrzytał też zębami przez cały czas sądu, a gdy na Ketlingu, jako na pośle, nie mógł zemsty wywrzeć, ogłosił między swymi dworzanami nagrodę temu, kto mu wskaże owego arbitra, który pierwszy po ketlingowym wniosku zakrzyknął: „zdrajca i przedawczyk!“

Pan Zagłoba zbyt był znany, aby jego nazwisko długo mogło pozostać ukryte. Zresztą nie taił się wcale. Jakoż

książę zawrzał jeszcze bardziej, ale i stropił się niemało, usłyszawszy, że mu na wstręcie staje mąż tak popularny, na którego strach było się porywać.

Wiedział o tej swojej i mocy pan Zagłoba, bo gdy z początku pogróżki zaczęły latać, ozwał się raz na wielkiem zgromadzeniu szlacheckiem:

— Nie wiem, jeśliby to komu było bezpieczno, gdyby tu jeden włos miał mi spaść z głowy. Elekcya niedaleko, a gdy się sto tysięcy braterskich szabel zbierze, łatwo się jakoweś bigosowanie może uczynić..

Słowa te doszły do księcia, który tylko wargi zagryzł i uśmiechnął się wzgardliwie, ale w duszy pomyślał, że pan Zagłoba ma słuszność.

Na drugi dzień odmienił też widocznie względem starego rycerza zamiary, bo gdy na uczcie u księcia krajczego ktoś o nim mówił, Bogusław rzekł:

— Wielce mi jest niechętny, jako słyszałem, ów szlachcic, ale ja się tak w ludziach rycerskich kocham, że choćby mi i dalej szkodzić nie przestał, zawsze go będę miłował.

A w tydzień potem powtórzył to samo wręcz panu Zagłobie, gdy się u pana hetmana wielkiego, Sobieskiego, spotkali.

Panu Zagłobie, lubo twarz zachował spokojną i pełną fantazyi, zabiło nieco serce w piersi na widok księcia, bo to był przecie pan o daleko sięgających rękach i ludojad, którego się wszyscy obawiali. Ten zaś odezwał się do niego przez cały stół:

— Mości panie Zagłoba, doszło już do mnie, żeś waćpan, chociaż nie poseł, chciał mnie niewinnego z sejmu rugować, ale ja to waćpanu po chrześcijańsku przebaczam i promocyą, jeśli kiedy będzie trzeba, służyć nie omieszkam.

— Przy konstytucyi tylko stawałem — odrzekł Zagłoba — co szlachcic czynić powinien; quod attinet protekcyi, to w moim wieku podobno Boska najpotrzebniejsza, bo mi pod dziewięćdziesiąt lat.

— Piękny wiek, jeśli był tak cnotliwy, jak długi, o czem zresztą wcale wątpić nie chcę.

— Służyłem ojczyźnie i swemu panu, obcych bogów nie szukając.

Książę zmarszczył się nieco:

— Służyłeś waszmość i przeciw mnie; wiem o tem. Ale niechże będzie już zgoda między nami. Wszystko to zapomniane, nawet i to, żeś cudzą, prywatną zawiść, contra me, protegował. Z tamtym prześladowcą mam jeszcze jakoweś rachunki, ale do waszmości rękę wyciągam i przyjaźń ofiaruję.

— Chudym tylko pachołek i za wysoka dla mnie amicycya. Musiałbym się do niej wspinać, lub podskakiwać, a to już na starość trudno. Jeżeli zaś wasza książęca mość mówisz o rachunkach z panem Kmicicem, moim przyjacielem, tedy radziłbym z serca tej arytmetyki poniechać.

— Proszę, a to czemu? — spytał książę.

— Bo cztery w arytmetyce są działania. Owóż, lubo pan Kmicic fortunę ma zacną, przecie mucha to w porównaniu do waszej książęcej, więc na dzielenie pan Kmicic nie przystanie; mnożeniem sam się zajmuje; odjąć sobie niczego nie pozwoli; mógłby chyba coś dodać, a nie wiem, czybyś w. ks. mość był na to łakomy.

Jakkolwiek Bogusław ćwiczony był w szermierce na słowa, jednak, czy to wywód pana Zagłoby, czy jego zuchwałość, zdumiała go tak dalece, że języka w gębie zapomniał. Przytomnym poczęły się brzuchy trząść ze śmiechu, a pan Sobieski rozśmiał się na całe gardło i rzekł:

— Stary to zbarażczyk! Umie ciąć szablą, ale i na języki gracz nielada! Lepiej go zostawić w spokoju.

Jakoż Bogusław, widząc, że na nieprzejednanego trafił, nie próbował więcej pana Zagłoby skaptować, tylko, począwszy z kim innym rozmowę, ciskał od czasu do czasu złe spojrzenia przez stół na starego rycerza.

Ale pan hetman Sobieski rozochocił się i mówił dalej:

— Mistrz z was, panie bracie, mistrz prawdziwy. Znaleźliście też kiedy równego sobie w tej Rzeczypospolitej?

— W szabli — odpowiedział zadowolony z pochwały Zagłoba — Wołodyjowski mnie doszedł. A i Kmicica poduczyłem też nieźle.

To rzekłszy, zerknął na Bogusława, ale ten udał, że nie słyszy i rozmawiał pilnie z sąsiadem.

— Ba! — rzekł hetman. — Wołodyjowskiego nieraz przy robocie widziałem i ręczyłbym za niego, chociażby o losy całego chrześcijaństwa chodziło. Szkoda, że w takiego żołnierza, jakoby piorun ugodził.

— A co mu się stało? — spytał Sarbiewski, miecznik ciechanowiecki.

— Dziewka mu umiłowana w drodze, w Częstochowie, zmarła — odpowiedział Zagłoba — i to najgorzej, że znikąd nie mogę dowiedzieć się, gdzie on się teraz znajduje?

— Przez Bóg! — zawołał na to pan Warszycki, kasztelan krakowski. — Toż ja, ciągnąc do Warszawy, napotkałem go w drodze, również tu jadącego i przyznał mi się, że obrzydziwszy ten świat i jego vanitates, na Mons regius się wybiera, aby w modlitwie i rozmyślaniach stroskanego żywota dokończyć.

Zagłoba porwał się za resztki czupryny.

— Kamedułą został, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął w największej desperacyi.

Jakoż wiadomość pana kasztelana na wszystkich niemałe uczyniła wrażenie.

Pan Sobieski, który żołnierzy kochał, a sam najlepiej wiedział, jak ojczyzna takich potrzebuje, zmartwił się wielce i po chwili rzekł:

— Wolnej woli ludzkiej i chwale Boskiej niepodobna się oponować, ale szkoda jest i trudno mam ukryć waszmościom, że mi żal. Ze szkoły księcia Jeremiego to był żołnierz, przeciw każdemu nieprzyjacielowi wyborny, a już przeciw ordzie i hultajstwu niezrównany. Ledwie kilku jest takich w stepach zagończyków, jako to między Kozakami pan Piwo, a w kompucie pan Ruszczyc; ale i ci Wołodyjowskiego nie doszli.

— Szczęście, że czasy jakoś spokojniejsze — odrzekł

pan miecznik ciechanowiecki — i że pogaństwo dotrzymuje wiernie traktatów podhajeckich, wymożonych niezwyciężonym mieczem mojego dobrodzieja.

Tu skłonił się miecznik panu Sobieskiemu, ów zaś uradował się w sercu z publicznej pochwały i odpowiedział:

— W pierwszym rzędzie Boska to dobroć pozwoliła mi się wówczas położyć na progu Rzeczypospolitej i nieprzyjaciela nieco pokąsać, a w drugim, dobrych żołnierzów na wszystko gotowa rezolucya. Że chan radby traktatów dotrzymać, to wiem; ale w samym Krymie przeciw chanowi są zaburzenia, a białogrodzka orda wcale go nie słucha. Odebrałem właśnie wiadomość, że owo się tam na granicy mołdawskiej chmury zbierają i że zagony wejść mogą: kazałem też pilnie nasłuchiwać na szlakach, ale mi żołnierzy niesporo. Co gdzie przyrzucę, to w innem miejscu dziura się czyni. Zwłaszcza mi praktyków, znających ordzińskie sposoby, brak i przeto tak żałuję Wołodyjowskiego.

Na to Zagłoba odjął od skroni pięści, któremi sobie głowę ściskał i zakrzyknął:

— Ależ on Kamedułą nie zostanie, choćbym miał na Montem regium zajazd uczynić i siłą go odjąć! Dla Boga! jutro zaraz do niego się udam. Przecie może mojej perswazyi posłucha, a nie, to do księdza prymasa pójdę, do generała Kamedułów! Choćbym też do Rzymu miał jechać, pojadę. Nie chcę ja chwale Bożej ujmować, ale co z niego za Kameduła, kiedy jemu i włosy na brodzie nie rosną. Tyle, co u mnie na pięści! Jak mi Bóg miły! On i mszy nie potrafi nigdy zaśpiewać, a jeśli i zaśpiewa, to szczury z klasztoru pouciekają, bo będą myślały, że koczur miauczy, wesele odprawując. Waszmościowie wybaczcie, że mówię, co żal na język przyniesie! Gdybym miał syna, tobym go tak nie miłował, jako tego chłopa miłowałem. Bóg z nim! Bóg z nim! Żeby choć Bernardynem został, ale Kamedułą! Nie może z tego nic być, jako żyw tu siedzę! Jutro zaraz do księdza prymasa zastukam, aby mi dał listy do przeora.

— Ślubów przecie nie mógł jeszcze wykonać — wtrącił pan marszałek — ale go waszmość nie naglij, żeby się właśnie nie zaciął, a i z tem się trzeba rachować, czy się wola Boska w jego intencyi nie objawiła?

— Wola Boska? Wola Boska nie przychodzi nagle, jako i stare przysłowie mówi, że co nagle, to po dyable. Miałaby być wola Boska, tobym z dawna inklinacyę w nim dostrzegł, a on był nie ksiądz, jeno dragon. Gdyby, pełnym rozumem władnąc, takowe postanowienie w spokoju i z rozmysłem uczynił, nicbym nie mówił; ale wola Boska nie uderza na człowieka w desperacyi, jako właśnie raróg na cyrankę. Nie będę go naglił. Nim pójdę, dobrze pierwej sobie ułożę, co mu mam powiedzieć, aby się od razu nie zlisił; ale w Bogu nadzieja! Konfidował zawsze żołnierzysko więcej memu dowcipowi, niż swemu; tuszę, że i teraz tak będzie, chyba, że się całkiem odmienił.

ROZDZIAŁ V.

Nazajutrz, zaopatrzywszy się w listy księdza prymasa i ułożywszy cały plan z Haslingem, zadzwonił pan Zagłoba do furty klasztornej na Mons regius. Serce biło mu mocno na myśl, jak go przyjmie pan Wołodyjowski i sam też, choć sobie ułożył z góry, co mu powie, poznał, że dużo zależało od przyjęcia, jakiego dozna. Tak myśląc, pociągnął za dzwonek drugi raz, a gdy klucz zaskrzypiał w zamku i furta odchyliła się nieco, wpakował się w nią zaraz, trochę przemocą i rzekł do zmieszanego młodego mniszka:

— Wiem, że żeby wejść tutaj, osobną permisyę mieć trzeba, ale ja mam list od księdza arcybiskupa, któren zechciej, carissime frater, księdzu przeorowi oddać.

— Stanie się wedle woli waszmości — odpowiedział furtyan, skłoniwszy się na widok prymasowskiej pieczęci.

To rzekłszy, pociągnął za rzemień, wiszący u serca dzwonka i dwa razy uderzył, aby kogoś przywołać, bo sam

nie miał prawa odejść od furty. Na on głos pojawił się drugi mnich i zabrawszy list, oddalił się z nim w milczeniu, pan Zagłoba zaś złożył na ławce zawinięcie, które miał ze sobą, poczem siadł sam i sapać począł mocno.

— Frater — rzekł wreszcie — a jak dawno w zakonie?...

— Piąty rok — odrzekł furtyan.

— Proszę, taki młody, a już piąty rok! To już, choćby się chciało wyjść, za późno! A musiało się nieraz zatęsknić za światem, bo to, mosterdzieju, jednemu wojenka pachnie, drugiemu uczty, trzeciemu białogłowy...

— Apage! — rzekł mniszek, żegnając się pobożnie.

— Jakże? Nie brała pokusa wyjść? — powtórzył Zagłoba.

Lecz mniszek spojrzał z nieufnością na rozmawiającego tak dziwnie arcybiskupiego wysłańca i odrzekł:

— Za kim się tu drzwi zamkną, ten już nie wychodzi.

— To obaczym jeszcze! Co tam z panem Wołodyjowskim się dzieje? zdrów?

— Niemasz tu nikogo, coby się tak nazywał.

— Brat Michał? — rzekł na próbę pan Zagłoba. — Dawny pułkownik dragoński, który tu wszedł niedawno?

— Tego bratem Jerzym nazywamy, ale on dotąd ślubów nie wykonał i wykonać ich przed terminem nie może.

— I pewno nie wykona, bo nie uwierzysz frater, co to był za podwikarz! Drugiego, tak na białogłowską cnotę zawziętego, nie znalazłbyś we wszystkich zako... chciałem powiedzieć: we wszystkich pułkach z całego komputu...

— Mnie się tego słuchać nie godzi — odparł z coraz większem zdziwieniem i zgorszeniem mnich.

— Słuchaj że, frater. Nie wiem, gdzie u was moda przyjmować, ale jeżeli tu, na tem miejscu, to radzę ć, jak tu przyjdzie brat Jerzy, odejść lepiej, ot, do tej izby, przy furcie, bo my tu o nader światowych rzeczach będziemy rozmawiali.

— Ja i zaraz wolę odejść — rzekł mnich.

Tymczasem pokazał się Wołodyjowski, czyli raczej brat

Jerzy, ale Zagłoba nie poznał nadchodzącego, bo pan Michał zmienił się wielce.

Naprzód w długim, białym habicie, wydawał się wyższy, niż w dragońskim kolecie; powtóre, sterczące dawniej ku oczom wąsiki zwiesił teraz ku dołowi i brodę usiłował zapuścić, która tworzyła dwa żółte kosmyczki, nie dłuższe nad pół palca; nakoniec wychudł i wymizerniał bardzo i oczy jego straciły dawny blask, a zbliżał się powoli, mając ręce ukryte na piersiach, pod habitem i spuszczoną głowę.

Zagłoba, nie poznawszy go, myślał, że to może sam przeor nadchodzi, więc podniósł się z ławy i zaczął mówić:

— Laudetur...

Nagle spojrzał bliżej, ręce roztworzył i zakrzyknął:

— Panie Michale! panie Michale!

Brat Jerzy dał się porwać w objęcia, coś nakształt łkania wstrząsnęło mu piersi, ale oczy jego pozostały suche. Zagłoba ściskał go długo, nakoniec począł mówić:

— Nie sam nad swojem nieszczęściem płakałeś. Płakałem ja, płakali Skrzetuscy i Kmicicowie. Wola Boska! zgódź się z nią Michale! Niechże cię Ojciec Miłosierny pocieszy, nagrodzi!... Dobrześ uczynił, żeś na czas w tych oto murach się zamknął. Niemasz w nieszczęściu nic lepszego nad modlitwę i pobożne rozmyślania. Daj, niech cię jeszcze raz uściskam. Przez łzy ledwie że cię dojrzeć mogę!

I pan Zagłoba płakał naprawdę, widokiem Wołodyjowskiego poruszony, wreszcie tak mówił dalej:

— Wybacz, żem ci twe rozmyślania przerwał, ale już-że nie mogłem inaczej uczynić i sam mi słuszność przyznasz, gdy ci racye moje przytoczę! Ej, Michale! siłaśmy ze sobą złego i dobrego zażyli! Znalazłżeś-że za tą kratą jakową pociechę?

— Znalazłem — odrzecze pan Michał — w tych słowach, które tu codzień słyszę i powtarzam, a które do śmierci chcę powtarzać: memento mori. W śmierci jest dla mnie pociecha.

— Hm! śmierć łatwiej na polu bitwy znaleźć, niż w kla-

sztorze, gdzie życie tak idzie, jakoby kto z kłębka powoli nić odwijał.

— Niemasz tu życia, bo niemasz spraw ziemskich i zanim dusza ciało opuści, już jakoby na innym świecie żywie.

— Kiedy tak, to już ci nie powiem, że się orda białogrodzka na Rzeczpospolitą w wielkiej potędze gotuje, bo cóż cię to obchodzić może?

Pan Michał wąsikami nagle ruszył i prawicą mimowoli do lewego boku sięgnął, ale nie znalazłszy szabli, zaraz obie ręce pod habit schował, spuścił głowę i rzekł:

— Memento mori!

— Słusznie, słusznie! — rzekł Zagłoba, mrugając z pewnem zniecierpliwieniem swojem zdrowem okiem. — Wczoraj jeszcze pan Sobieski, hetman, mówił: „Niechby Wołodyjowski choćby przez tę jedną nawałnicę przesłużył, a potem do jakiego chce klasztoru szedł, Bóg-by się o to nie rozgniewał, owszem, zasługę miałby taki mnich tem większą“. Ale trudno ci się dziwić, że własne uspokojenie nad szczęście ojczyzny przekładasz, bo przecie: prima charitas ab ego.

Nastała długa chwila milczenia, tylko wąsy pana Michała zjeżyły się jakoś i poczęły się szybko, choć lekko poruszać.

— Ślubów jeszcze nie wykonałeś — spytał wreszcie Zagłoba — i wyjść w każdej chwili możesz?

— Nie jestem jeszcze zakonnikiem, bom czekał na łaskę Bożą i na to, by wszystkie ziemskie myśli bolesne opuściły duszę moją. Ale łaska jest nade mną, spokój mi wraca, wyjść mogę, ale już nie chcę, gdyż zbliża się termin, w którym z czystem sumieniem i próżèn ziemskich pożądliwości, będę mógł śluby wykonać.

— Nie chcę ja cię od tego odwodzić, owszem, chwalę rezolucyę, chociaż pamiętam, że gdy Skrzetuski zamierzył swego czasu mnichem zostać, to jednak czekał z tem, pókiby ojczyzna od nawałności nieprzyjacielskiej wolną nie była. Ale czyń, jak chcesz. Zaiste nie ja cię będę odwodził, bom i sam czuł swego czasu do życia zakonnego wokacyę. Pięćdziesiąt lat temu zacząłem już nawet nowicyat;

szelmą jestem, jeśli łżę! No! Bóg inaczej pokierował... To ci tylko powiem, Michale, że teraz musisz wyjść ze mną choć na parę dni.

— Czemu mam wyjść? Ostawcie mnie w spokoju! — rzekł Wołodyjowski.

Zagłoba podniósł połę od kontusza do oczu i ślochać począł.

— Dla siebie — mówił przerywanym głosem — o ratunek nie proszę, choć mnie książę Bogusław Radziwiłł zemstą ściga i morderców na mnie zasadza, a mnie starego niemasz komu bronić i osłaniać... Myślałem, że ty! Mniejsza z tem!... Ja cię zawsze będę miłował, choćbyś mnie zgoła znać nie chciał.. Módl się tylko za duszę moją, bo ja rąk Bogusławowych nie ujdę!... Niech mnie spotka, co ma spotkać. Ale inny twój przyjaciel, który każdym kawałkiem chleba z tobą się dzielił, kona i koniecznie widzieć cię pragnie i nie chce bez ciebie umierać, bo ma ci wyznania jakoweś uczynić, od których spokój jego duszy zależy.

Pan Michał, który już o niebezpieczeństwie Zagłoby z wielkiem wzruszeniem słuchał, porwał się teraz i chwyciwszy Zagłobę za ramiona, spytał:

— Skrzetuski?

— Nie Skrzetuski, ale Ketling!

— Dla Boga! co się z nim dzieje?

— W mojej obronie przez siepaczów księcia Bogusława postrzelon, nie wiem, czy przez dzień jeszcze żyw będzie. Dla ciebie to, Michale, wpadliśmy oba w takie terminy, bośmy tylko dlatego do Warszawy przyjechali, by ci pociechę jakowąś obmyślić. Wyjdź chodź na dwa dni i pociesz konającego. Wrócisz później... zostaniesz mnichem... Przywiozłem instancyę prymasowską do przeora, aby ci impedimentów nie czyniono... Spiesz się jeno, bo każda chwila droga!...

— Przebóg! — mówił Wołodyjowski. — Co słyszę! Impedimentów nie mogą mi tu stawiać, bom ja dotąd jakoby tylko na rekolekcyach... Przebóg! Prośba konającego święta rzecz! Tej ja odmówić nie mogę!

— Grzech byłby śmiertelny! — zakrzyknął Zagłoba.

— Tak jest! Wiecznie ten zdrajca Bogusław!... Ale jeśli Ketlinga nie pomszczę, niech tu nigdy nie wrócę... Znajdę ja tych dworzan, tych siepaczów i łbów napłatam... Wielki Boże! już grzeszne myśli mnie opadają! Memento mori!... Czekaj tu waść, jeno się przebiorę w stare szatki, bo w habicie na świat wyjść nie wolno...

— Ot, szatki! — krzyknął Zagłoba, porywając za zawinięcie, które dotąd leżało obok niego, na ławie. — Wszystkom przewidział, wszystko przygotowałem... Są buty, jest rapirek zacny i kubrak...

— Chodź waść do celi — odrzekł z pośpiechem mały rycerz.

I poszli, a gdy się ukazali znowu, koło pana Zagłoby dreptał już nie mniszek biały, ale oficer w żółtych butach za kolana, z rapirem przy boku i z białym pendentem przez ramię.

Zagłoba okiem mrugał i pod wąsami się na widok brata furtyana uśmiechał, który z widocznem zgorszeniem w twarzy otwierał obydwom bramę.

Nieopodal klasztoru, niżej, czekał wasąg pana Zagłoby, a przy nim dwóch czeladzi: jeden siedział na koźle, trzymając lejce dobrze sprzężonej czwórki, na którą pan Wołodyjowski zaraz okiem znawcy rzucił; drugi stał przy wasągu z opleśniałym gąsiorkiem w jednej, z dwoma kieliszkami w drugiej dłoni.

— Do Mokotowa kawał drogi — rzekł Zagłoba — a przy łożu Ketlinga sroga czeka nas żałość. Napij-że się, Michale, abyś miał siłę wszystko przenieść, boś zmizerowany bardzo.

To rzekłszy, Zagłoba wyjął gąsiorek z rąk pacholika i nalał oba kielichy maślaczem, tak starym, że aż zgęstniałym ze starości.

— Godny to napitek — rzekł, postawiwszy gąsior na ziemi, a biorąc kielichy. — Za zdrowie Ketlinga!

— Za zdrowie! — powtórzył Wołodyjowski. — Spieszmy się!

I wychylili duszkiem.

— Spieszmy się! — powtórzył Zagłoba. — Lej, chłopcze! Za zdrowie Skrzetuskiego! Spieszmy się!

Wychylili znów duszkiem, bo istotnie pilno było jechać.

— Siadajmy! — wołał Wołodyjowski.

— A mego nie wypijesz? — pytał żałosnym głosem Zagłoba.

— Byle prędzej!

I wypili prędko. Zagłoba przechylił od razu, choć przecie było z pół kwarty w kielichu, zaczem, nie obtarłszy jeszcze wąsów, począł wołać:

— Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym twego nie wypił! Lej chłopcze!

— Z podziękowaniem! — odrzekł brat Jerzy.

Dno ukazało się w gąsiorze, Zagłoba chwycił go za szyję i rozbił w drobne kawałki, bo nie mógł znosić widoku próżnych naczyń. Następnie siedli żywo i pojechali.

Szlachetny napitek wnet napełnił ich żyły błogiem ciepłem, a serca jakąś otuchą. Policzki brata Jerzego powlokły się lekkim szkarłatem, a wzrok odzyskał dawną bystrość.

Dłonią mimowoli sięgnął raz, drugi do wąsików i nastawił je sobie, jak szydełka, aż końce ich pod oczy podchodziły. Począł się przytem rozglądać po okolicy z ciekawością wielką, jakby ją pierwszy raz widział.

Nagle Zagłoba uderzył się dłońmi po kolanach i zakrzyknął ni z tego, ni z owego.

— Hoc! hoc! Ufam, że jak cię Ketling ujrzy, do zdrowia wróci! Hoc! hoc!

I chwyciwszy za szyję Michała, począł go ściskać z całej siły.

Wołodyjowski nie chciał pozostać mu dłużnym, więc uściskali się najszczerzej.

Jechali czas jakiś w milczeniu, ale w błogiem. Tymczasem już domki przedmiejskie poczęły się ukazywać po obu stronach drogi.

Przed domkami ruch był wielki. W tę i ową stronę cią-

gnęli mieszczanie, słudzy w różnej barwie, żołnierze i szlachta, często bardzo strojna.

— Na konwokacyę chmara szlachty zjechała — rzekł Zagłoba — bo choć to niejeden i nie posłuje, wszelako chce być, przysłuchać się, widzieć. Domy, gospody, wszędy tak pozajmowane, że jednej izby trudno znaleźć, a co szlachcianek włóczy się po ulicach, to powiem ci, na włosach w brodzie nie zliczysz. Gładkie też, bestye, aż człek ma czasami ochotę strzepnąć rękoma po bokach, jako gallus skrzydłami i zapiać. Patrz-no! patrz-no na ową czarnuszkę, za którą hajduk zieloną szubkę niesie; czy nie rzęsista? co?

Tu Zagłoba trącił kułakiem w bok Wołodyjowskiego, a ten spojrzał, wąsikami ruszył, okiem błysnął, lecz w tejże chwili zawstydził się, opamiętał i spuściwszy głowę, rzekł po krótkiem milczeniu:

— Memento mori!

A Zagłoba znów chwycił go za szyję.

— Jak mnie kochasz, per amicitiam nostram, jak mnie szanujesz: ożeń się! Tyle jest zacnych panien, ożeń się!

Brat Jerzy spojrzał ze zdumieniem na swego przyjaciela. Pan Zagłoba nie mógł być przecie pijany, bo nieraz trzykroć tyle wypijał bez widomego skutku, więc tylko mówił z rozczulenia. Ale wszelka myśl podobna tak była daleka teraz od głowy pana Michała, że w pierwszej chwili zdumienie przemogło w nim nad oburzeniem.

Następnie jednak spojrzał surowo w oczy pana Zagłoby i spytał:

— Chybaś waść podchmielił?

— Z całego serca ci to mówię: ożeń się!

Pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze surowiej.

— Memento mori!

Lecz Zagłoba nie zrażał się łatwo.

— Michale, jeżeli mnie kochasz, uczyń to dla mnie i pocałuj psa w nos, razem ze swojem „memento“. Repeto, że uczynisz, jak zechcesz, ale ja tak myślę; niech każdy służy Bogu tem, do czego go stworzył, a ciebie stworzył do ra-

piera, w czem widoczna była jego wola, gdy ci w onej sztuce do takiej doskonałości dojść pozwolił. A gdyby chciał cię mieć księdzem, tedy byłby cię zgoła innym dowcipem przyozdobił i serce ci więcej do ksiąg a łaciny nakłonił. Zauważ także, że święci żołnierze nie mniejszego respektu w niebie zażywają od świętych zakonników i na wyprawy przeciw komputowi piekielnemu chodzą i praemia z rąk Bożych otrzymują, gdy z chorągwiami zdobycznemi wracają... Wszystko to prawda, nie zaprzeczysz?

— Nie zaprzeczę i to wiem, że trudno przeciw waścinemu rozumowi na harc wychodzić; ale i waćpan również nie zaprzeczysz, że dla smutku lepsze jest w zakonie, niż na świecie, pożywienie.

— Ba! jeśli lepsze, to tem bardziej należy zakonów dla smutku vitare. Głupi, kto smutki prowiantuje, zamiast je o głodzie trzymać, ażeby bestye zdechły jak najprędzej!

Pan Wołodyjowski nie znalazł na razie argumentu, więc umilkł i po chwili dopiero ozwał się utęsknionym głosem:

— Waćpan mi o ożenku nie wspominaj, bo takie wspominki jeno żałość na nowo budzą! Dawnej ochoty też nie staje, bo ze łzami spłynęła, a i lata nie po temu. Toć-że mnie i czupryna już świecić poczęła. Czterdzieści dwa lat, a dwadzieścia pięć trudów wojennych, nie żart, nie żart!

— Boże, nie karz go za bluźnierstwo! Czterdzieści dwa lat! Tfu! Przeszło dwa razy tyle mam na karku, a jeszcze człowiek czasem dyscyplinować się musi, aby upały ze krwi, jako kurzawę z szat wytrzepać. Szanuj pamięć onej słodkiej nieboszczki, Michale! Toś dla niej był dobry? a dla innych jesteś za tani? za stary?

— Daj waćpan spokój! daj waćpan spokój! — odezwał się bolesnym głosem Wołodyjowski.

I łzy poczęły mu ściekać na wąsiki.

— Nie powiem więcej ni słowa! — rzekł Zagłoba — daj mnie tylko parol kawalerski, że cobądź się z Ketlingem pokaże, przez miesiąc zostaniesz z nami. Trzeba, byś i Skrzetuskiego zobaczył... Jeśli później zechcesz wrócić do habitu, nikt ci impedimentów nie będzie stawiał.

— Daję parol! — rzekł pan Michał.

I zaraz jęli o czem innem rozmawiać. Pan Zagłoba począł opowiadać o konwokacyi, o tem, jako sprawę rugów przeciw księciu Bogusławowi poruszył i o Ketlingowej przygodzie.

Chwilami wszelako przerywał opowiadanie i pogrążał się w myślach. Musiały to być wszelako wesołe myśli, bo od czasu do czasu uderzał rękoma o kolana i powtarzał:

— Hoc! hoc!

W miarę jednak, jak zbliżali się do Mokotowa, na twarzy pana Zagłoby pojawiła się pewna niespokojność. Obrócił się nagle do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Pamiętasz? dałeś parol, iż cokolwiek się z Ketlingem pokaże, przez miesiąc zostaniesz z nami?

— Dałem i zostanę — odrzekł Wołodyjowski.

— Ot i Ketlingowy dwór — zawołał Zagłoba. — Zacnie mieszka!

Poczem zakrzyknął na woźnicę:

— A pal-no z bata! Święto dziś w tym domu będzie!

Rozległy się gromkie trzaskania z bicza. Ale jeszcze wasąg bramy nie przejechał, gdy z ganku wypadło kilku towarzyszów, pana Michałowych znajomych; byli między nimi i starzy kompanionowie z czasów Chmielnicczyzny i młodzi towarzysze z czasów ostatnich; między nimi pan Wasilewski i pan Nowowiejski, dzieciuchy jeszcze, ale kawalerowie ogniści, którzy w pacholęcym wieku uciekłszy ze szkół, od kilku lat wojnę praktykowali, pod panem Wołodyjowskim służąc. Tych lubił mały rycerz niezmiernie.

Ze starszych był pan Orlik herbu Nowina, z czaszką złotem lutowaną, bo mu ją szwedzki granat czasu swego nadłupał i pan Ruszczyc, pół dziki rycerz stepowy, niezrównany zagończyk, jednemu Wołodyjowskiemu w sławie ustępujący i kilku innych. Wszyscy, dojrzawszy dwóch mężów na powózce, poczęli krzyczeć:

— Jest! jest! Vicit Zagłoba! Jest!

I rzuciwszy się ku wasągowi, porwali małego rycerza na ręce i nieśli ku gankowi, powtarzając:

— Witaj! żyj nam towarzyszu najmilszy! Mamy cię i nie puścim! Vivat Wołodyjowski, pierwszy kawaler, ozdoba wszystkiego wojska! W step z nami bracie! Na dzikie pola! Tam ci wiatr smutki wywieje!

Na ganku dopiero puścili go z rąk. On witał się ze wszystkimi, bo bardzo był owem przyjęciem rozrzewniony, a potem zaraz począł wypytywać:

— Jak się ma Ketling? Zali żyw jeszcze?

— Żyw! żyw! — odpowiedziano chórem, a wąsy starych żołnierzy poczęły się poruszać w dziwnym uśmiechu. — Chodź do niego, bo nie doleży, tak cię niecierpliwie wygląda.

— Widzę, że nie tak blizko mu do śmierci, jak pan Zagłoba prawił — odrzekł mały rycerz.

Tymczasem weszli do sieni, a stamtąd do dużej izby. Na środku jej stał stół z przygotowaną ucztą, w jednym zaś kącie tapczan, pokryty białą końską skórą, na którym leżał Ketling.

— Przyjacielu! — rzekł pan Wołodyjowski, spiesząc ku niemu.

— Michale! — krzyknął Ketling i zerwawszy się na równe nogi, jak gdyby był w pełni sił, chwycił małego rycerza w objęcia.

Ściskali się tedy tak, że Ketling Wołodyjowskiego, a Wołodyjowski Ketlinga podnosił w górę.

— Kazali mi chorobę symulować — mówił Szkot — umarłego udawać, ale przecie na twój widok nie mogłem wytrzymać! Zdrów jestem, jako ryba i żadna przygoda mnie nie spotkała. Ale chodziło o to, żeby-ć z klasztoru wydobyć!... Przebacz, Michale!... Z serca uczyniliśmy tę zasadzkę!...

— Na dzikie pola z nami! — krzyknęli znów rycerze i poczęli twardemi dłońmi uderzać po szablach, aż chrzęst groźny uczynił się w komnacie.

Lecz pan Michał zdumiał się bardzo. Przez chwilę milczał, poczem jął spoglądać na wszystkich, a szczególniej na pana Zagłobę, wreszcie rzekł:

— O zdrajcy! Myślałem, że Ketling na śmierć usieczon!

— Jak to, Michale? — zawołał Zagłoba. — To gniewasz się o to, że Ketling zdrów? To żałujesz mu zdrowia, a śmierci życzysz? Tak-że to skamieniało ci serce, że radbyś wszystkich na marach widzieć i Ketlinga i pana Orlika i pana Ruszczyca i tych młodzików, ba! nawet Skrzetuskiego i mnie i mnie, który cię, jak syna, miłuję!

Tu Zagłoba oczy zatknął i wołał jeszcze żałośniej:

— Nic nam po życiu, mości panowie, bo niemasz wdzięczności na tym świecie, jeno zatwardziałość sama!

— Dla Boga! — odpowiedział Wołodyjowski — zła wam nie życzę, aleście mojego smutku nie umieli uszanować...

— Życia nam żałuje! — powtarzał Zagłoba.

— Daj waść spokój!

— Powiada, że smutku jego nie chcemy szanować, a jakież to zdroje wyleliśmy nad jego nieszczęściem, mości panowie! Prawda! Boga biorę na świadka, że twój smutek radzibyśmy na szablach roznieść, bo tak zawsze przyjaciele czynić powinni. Ale że dałeś parol, iż przez miesiąc z nami zostaniesz, to przynajmniej przez ten miesiąc kochaj nas jeszcze, Michale!

— Ja i do śmierci będę waściów kochał! — odrzekł Wołodyjowski.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowego gościa. Żołnierze, zajęci panem Wołodyjowskim, nie słyszeli, jak ów gość zajechał i spostrzegli go dopiero teraz, we drzwiach. Był to mąż ogromny, wspaniałej tuszy i postawy, twarz miał rzymskiego cezara, w niej potęgę, a zarazem iście monarszą dobroć i łaskawość. Zgoła był inny od tych wszystkich żołnierzy; znacznie większy, stał wobec nich, jakoby król ptaków, orzeł, stanął wobec jastrzębi, rarogów, kobuzów...

— Pan hetman wielki! — zawołał Ketling i skoczył, jako gospodarz, witać.

— Pan Sobieski! — powtórzyli inni.

Wszystkie głowy pochyliły się w pełnym uszanowania pokłonie.

Prócz Wołodyjowskiego wiedzieli wszyscy, że pan hetman przyjedzie, bo był Ketlingowi obiecał, a jednak przybycie jego tak silne wywarło wrażenie, że przez chwilę nikt pierwszy ust nie śmiał otworzyć. Łaska też to była nadzwyczajna. Ale pan Sobieski kochał nad wszystko żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy już z nim tylekroć tratowali po karkach czambułów tatarskich; uważał ich, jakoby za rodzinę swoją i przeto właśnie postanowił powitać Wołodyjowskiego, pocieszyć go, wreszcie okazaniem niezwykłego faworu i pamięci, wśród szeregów zatrzymać.

Więc powitawszy się z Ketlingem, wyciągnął zaraz ręce ku małemu rycerzowi, a gdy ów się zbliżył i za kolana go uchwycił, ścisnął mu dłońmi głowę.

— No, stary żołnierzu! — rzekł — no! Boża ręka cię przycisnęła do ziemi, aleć cię ona podniesie i pocieszy... Bóg z tobą! Już też zostaniesz z nami...

Szlochanie wstrząsnęło piersią pana Michała.

— Ostanę! — rzekł wśród łez.

— To i dobrze, takich mi jak najwięcej! A teraz, stary towarzyszu, przypomnijmy te czasy, kiedyśmy to w ruskich stepach pod namiotami do uczty siadali. Dobrze mi między wami! Dalej, gospodarzu, dalej!

— Vivat Joannes dux! — zakrzyknęły wszystkie głosy. Uczta się rozpoczęła i trwała długo.

Nazajutrz przysłał pan hetman dla Wołodyjowskiego bułanego dzianeta, wielkiej wartości.

ROZDZIAŁ VI.

Ketling z Wołodyjowskim obiecywali sobie, byle się okazya trafiła, znowu strzemię przy strzemieniu jeździć, przy jednym ogniu siadać, z głowami na jednej kulbace sypiać.

Ale tymczasem wypadek ich rozłączył, nie później, jak w tydzień po pierwszem powitaniu. Oto z Kurlandyi przy-

był posłaniec z oznajmieniem, iż ów Hasling, który młodego Szkota był adoptował i majętnością obdarzył, teraz nagle zachorzał i przybranego syna pilno widzieć pożąda. Młody rycerz nie namyślał się; siadł na koń i pojechał.

Przed wyjazdem prosił pana Zagłobę i Wołodyjowskiego, by dom jego uważali za swój własny i tak długo w nim mieszkali, pókiby się im nie sprzykrzyło.

— Może Skrzetuscy przyjadą — mówił. — Gdy elekcya nastanie, przynajmniej on sam z pewnością przybędzie; ale choćby ze wszystką dziatwą, znajdzie się tu dla całej rodziny miejsce. Ja nikogo z krewnych nie mam, a choćbym i braci miał, nie byliby mi od was bliżsi.

Zagłoba szczególniej był z tych zaprosin rad, bo mu było w domu Ketlingowym bardzo wygodnie, lecz przydały się one i dla pana Michała.

Skrzetuscy wprawdzie nie przyjechali, ale natomiast dała znać o swem przybyciu siostra Wołodyjowskiego, która była za panem Makowieckim, stolnikiem latyczowskim. Wysłaniec jej przyjechał na dwór hetmański dopytywać, czy kto z dworzan czego o małym rycerzu nie wie. Oczywiście wskazano mu natychmiast dom Ketlingowy.

Wołodyjowski uradował się bardzo, bo lata całe upłynęły od czasu, jak pani stolnikowej nie widział, a dowiedziawszy się, że w braku lepszej gospody, stanęła na Rybakach, w nędznym domku, poleciał zaraz, by ją do Ketlingowego dworu zaprosić.

Szaro już było, gdy wpadł do niej, ale poznał ją od razu, chociaż dwie inne jakieś niewiasty znajdowały się z nią w izbie, bo pani stolnikowa była małego wzrostu, jak kłębek nici.

Ona także go poznała; więc padłszy sobie w objęcia, długi czas słowa nie mogli przemówić i on czuł jej ciepłe łzy na twarzy, a ona jego; przez ten czas owe dwie inne niewiasty stały, jak świece, przyglądając się powitaniu.

Pierwsza pani Makowiecka odzyskała mowę i poczęła wykrzykiwać cienkim i dość piskliwym głosem:

— Ile lat! ile lat! Boże cię wspomóż, bracie najukochańszy! Jak tylko przyszła wieść o twojem nieszczęściu, zaraz zerwałam się jechać. I mąż mię nie wstrzymywał, bo od Budziaka burza grozi... Mówiono też o białogrodzkich Tatarach. I pewno szlaki się zaczernią, bo ptastwa okrutne stada widać, a przed każdym napadem zawsze tak jest. Boże cię pociesz, bracie kochany! drogi! złoty! Mąż sam na elekcyę ma tu przyjechać, więc mi powiedział tak: weź panny i jedź wcześnie. Michała (powiada) w smutku utulisz, przed Tatary i tak (powiada) trzebaby gdzie głowy schronić, bo kraj stanie w ogniu, więc jedno z drugiem się składa. Ruszaj (powiada) do Warszawy, dobrą gospodę zajmij, póki czas, żeby było gdzie mieszkać. On tam z powietnikami na szlaki ruszy ucha nadstawiać. Wojska mało w kraju. U nas tak zawsze. Mój-że ty Michale kochany! Chodź do okna, niechże ci w twarz spojrzę. Gęba ci schudła, ale w smutku nie może inaczej być. Łatwo było powiedzieć mężowi na Rusi: szukaj gospody! a tu nic nigdzie; my same, ot w chałupie. Ledwie trzy wiązki słomy na spanie dostałam.

— Pozwól siostro!... — rzekł mały rycerz.

Ale siostra nie chciała pozwolić i mówiła dalej, jakoby młynek turkotał.

— Tuśmy stanęły, nie było gdzieindziej. Gospodarzom jakoś wilkiem z oczu patrzy, może i źli ludzie. Prawda, że to mamy czterech czeladzi, dobrych pachołków, a i my same nie płochliwe, bo to w naszych stronach i niewiasta kawalerskie serce mieć musi, inaczej nie mogłaby tam mieszkać. Mam też bandolecik, który zawsze ze sobą wożę, a Baśka dwie krócice. Jeno Krzysia oręża nie kocha... Ale że tu obce miasto, więc wolałybyśmy w jakiej pewniejszej gospodzie się zatrzymać...

— Pozwól siostro... — powtórzył pan Wołodyjowski.

— A ty gdzie mieszkasz, Michale? Musisz mi pomódz w wyszukaniu gospody, boś w Warszawie bywały...

— Gospodę mam gotową — przerwał pan Michał — i tak zacną, że senatorski dwór mógłby w niej stanąć. Mieszkam

u mego przyjaciela, kapitana Ketlinga i zaraz cię tam zabiorę...

— Ale pamiętaj, że nas trzy i dwie sług i czterech czeladzi. Toż na Boga! Ja cię dotąd z kompanią nie poznajomiłam!

Tu zwróciła się do towarzyszek:

— Waćpanny wiedzą, kto on, ale on nie wie, kto waćpanny; uczyńcie choć i po ciemku znajomość. Nawet nam w piecu dotąd nie zapalono... To jest panna Krystyna Drohojowska, a ów-ta, panna Barbara Jeziorkowska. Mąż mój jest opiekunem ich i ich majętności, a one z nami mieszkają, bo sieroty. Samotnie zaś mieszkać tak młodym pannom nie wypada.

Przez czas, gdy stolnikowa mówiła, Wołodyjowski skłonił się żołnierskim obyczajem; panny, chwyciwszy palcami za suknie, dygnęły obie, przytem panna Jeziorkowska rzuciła głową, jak młody źrebak.

— Siadajmy i jedźmy! — rzekł. — Mieszka ze mną pan Zagłoba, którego prosiłem, aby wieczerzę przygotować kazał.

— Ten sławny pan Zagłoba? — spytała nagle panna Jeziorkowska.

— Baśka, cicho! — rzekła pani stolnikowa. — Boję się tylko, czy kłopotu nie będzie.

— Już jak tam pan Zagłoba o wieczerzy myśli — odparł mały rycerz — to starczy, choćby nas dwa razy tyle przyjechało. Każcie waćpanny łuby wynosić. Wziąłem też i wózek pod rzeczy, a karabon Ketlingowy tak obszerny, że we czworo wygodnie się pomieścić możemy. Ot, co mi przychodzi do głowy; jeśli pachołkowie nie pijacy, niech tu do jutra z końmi i wielkiemi rzeczami zostają, a my weźmiem jeno co najpotrzebniejsze.

— Nie mają potrzeby zostawać — rzecze pani stolnikowa — bo wozy jeszcze nie wyładowane, tylko konie wprzęgnąć i mogą zaraz jechać. Baśka, idź, przypilnuj!

Panna Jeziorkowska skoczyła do sieni, a w kilka pacierzy później wróciła z oznajmieniem, że wszystko gotowe.

— To i czas! — rzekł Wołodyjowski.

Po chwili siedzieli w karabonie i jechali do Mokotowa. Pani stolnikowa z panną Drohojowską zajęły tylne siedzenie, na przodku zaś usadowił się mały rycerz koło panny Jeziorkowskiej. Ciemno już było, więc twarzom ich nie mógł się przyjrzeć.

— Waćpanny znają Warszawę? — spytał, pochyliwszy się do panny Drohojowskiej i podnosząc głos, aby turkot karabonu zagłuszyć.

— Nie — odrzekła nizkim, ale dźwięcznym i miłym głosem. — Parafianki z nas prawdziwe i dotąd nie znamy ni sławnych miast, ni sławnych ludzi.

To rzekłszy, skłoniła nieco głowę, jakby dając znać, że do tych ostatnich pana Wołodyjowskiego zalicza, on zaś przyjął wdzięcznie odpowiedź. „Polityczna jakaś dziewczyna!“ — pomyślał i zaraz zaczął łamać głowę, jakimby w zamian ruszyć komplementem.

— Choćby to miasto było i dziesięć razy większe, niż jest — rzekł wreszcie — jeszczebyście waćpanny najcelniejszy jego mogły stanowić ornament.

— A waćpan skąd wiesz, kiedy ciemno? — spytała nagle panna Jeziorkowska.

— Ot! koza! — pomyślał pan Wołodyjowski.

Ale nie odrzekł nic i przez czas jakiś jechali w milczeniu; wtem znów panna Jeziorkowska zwróciła się do małego rycerza:

— Nie wiesz waćpan, czy tam w stajniach dość miejsca, bo to mamy dziesięć koni i dwa podjezdki?

— Choćby i trzydzieści; znajdzie się gdzie pomieścić.

A panna na to:

— Fiu! fiu!

— Baśka! — rzekła tonem perswazyi pani stolnikowa.

— Aha! dobrze! Baśka! Baśka! A na czyjej głowie były konie przez całą drogę?

W ten sposób rozmawiając, zajechali przed dom Ketlingowy.

Wszystkie okna jasno już były oświecone na przyjęcie

pani stolnikowej. Wybiegła służba z panem Zagłobą na czele, który, przyskoczywszy do wasągu i ujrzawszy trzy niewiasty, spytał zaraz:

— W której-że z pań mam zaszczyt powitać osobliwą moją dobrodziejkę, a zarazem siostrę mego najlepszego przyjaciela Michała.

— Jam jest! — odrzekła pani stolnikowa.

Wówczas Zagłoba chwycił ją za rękę i począł pośpiesznie całować, powtarzając:

— Czołem biję, czołem!

Następnie pomógł jej zsiąść z karabonu i prowadził z wielką atencyą, oraz z szurganiem nogami do sieni.

— Niech mi za progiem wolno będzie jeszcze raz powitać — mówił po drodze.

A tymczasem pan Michał pomagał zsiadać pannom. Że zaś karabon był wysoki, a stopnia po ciemku trudno było nogą zmacać, więc chwycił wpół pannę Drohojowską i uniósłszy ją w powietrzu, postawił przed sobą na ziemi. Ona zaś, nie opierając się, zaciężyła przez okamgnienie piersią na jego piersi i rzekła:

— Dziękuję waćpanu!

Pan Wołodyjowski zwrócił się z kolei do panny Jeziorkowskiej, ale ona zeskoczyła już na drugą stronę wasągu, więc podał rękę pannie Drohojowskiej.

W izbie nastąpiła znajomość z panem Zagłobą, który, na widok dwóch panien, wpadł w doskonały humor i zaraz zaprosił do wieczerzy.

Już też i dymiło się z półmisków na stole, a jak przewidywał pan Michał, wszystkiego była taka obfitość, że i na dwa razy tyle osób-by starczyło.

Więc siedli. Pani stolnikowa zajęła naczelne miejsce, obok niej Zagłoba po prawicy, a za nim panna Jeziorkowska. Wołodyjowski siadł z lewej strony, obok Drohojowskiej.

I tu dopiero mały rycerz mógł się dobrze pannom przypatrzyć.

Obie były ładne, ale każda w swoim rodzaju. Drohojowska miała czarne, jak krucze skrzydła, włosy, takież brwi,

duże, błękitne oczy, płeć smagłą a bladą i tak delikatną, że widać jej było przez skórę niebieskie żyłki na skroniach. Ledwie dostrzegalny ciemny puszek pokrywał jej wierzchnią wargę, uwydatniając usta słodkie a ponętne, jakby trochę do pocałunku złożone. Była w żałobie, bo niedawno ojca straciła i ta barwa stroju, przy delikatności cery i czarnych włosach, nadawała jej pewien pozór smutku i surowości. Na pierwszy rzut oka wydawała się starszą od swojej towarzyszki i dopiero przyjrzawszy się lepiej, spostrzegł pan Michał, że krew pierwszej młodości płynęła pod tą przezroczystą skórą. Im więcej patrzył, tem więcej podziwiał: i pańskość postawy i szyję łabędzią i te kształty smukłe, a pełne dziewiczych uroków.

— To jest wielka pani — myślał sobie — która duszę musi mieć wspaniałą! Za to druga, istny pacholik!

Jakoż porównanie było trafne.

Jeziorkowska była wiele od Drohojowskiej mniejsza, i wogóle drobna, choć nie chuda; różowa, jak pączek róży, jasnowłosa. Ale włosy miała, widocznie po chorobie, obcięte i w złotą siatkę schowane. Te jednak, na niespokojnej głowie siedząc, nie chciały także zachować się spokojnie, jeno wyglądały kończykami przez wszystkie oka siatki, a nad czołem tworzyły bezładną płową czuprynę, która spadała aż na brwi, nakształt kozackiego oseledca, co przy bystrych i niespokojnych oczach i zawadyackiej minie, czyniło tę różową twarzyczkę podobną do twarzy żaka, który jeno patrzy: jakby co zbroić bezkarnie.

Jednak tak była ładna i świeża, że trudno było oczu od niej oderwać. Nosek miała cienki, nieco zadarty, o ruchomych, ciągle rozdymających się nozdrzach, dołki na twarzy i dołek w brodzie — znak wesołego usposobienia.

Ale teraz siedziała poważnie i jadła smacznie, co chwila tylko strzelając oczyma: to na pana Zagłobę, to na pana Wołodyjowskiego i spoglądając na nich z dziecinną prawie ciekawością, jak na jakieś osobliwości.

Pan Wołodyjowski milczał, bo chociaż czuł, że mu wypada zająć rozmową pannę Drohojowską, nie wiedział, od

czego zacząć. Wogóle nie był zręczny do niewiast mały rycerz, a teraz miał przytem duszę tem smutniejszą, że mu te dziewczyny żywo na pamięć kochaną zmarłą przywiodły.

Natomiast pan Zagłoba bawił panią stolnikową, prawiąc jej o czynach pana Michałowych i swoich. W środku wieczerzy wpadł na opowiadanie, jak niegdyś z kniaziówną Kurcewiczówną i Rzędzianem samoczwart przed całym czambułem umykali i jak wreszcie, dla ocalenia kniaziówny i zatrzymania pogoni, rzucili się we dwóch na czambuł.

Panna Jeziorkowska aż jeść przestała i wsparłszy brodę na rękach, słuchała pilnie, potrząsając co chwila czupryną, mrugając oczyma, trzaskając w palce w najciekawszych miejscach i powtarzając:

— Aha! aha! No i co? no i co?

Aż gdy przyszło do tego miejsca, jak dragoni Kuszla, nadbiegłszy niespodzianie w pomoc, wsiedli na kark Tatarom i jechali na nich, siekąc przez pół mili, nie mogła dłużej wytrzymać panna Jeziorkowska, więc klasnąwszy z całej siły w ręce, zakrzyknęła:

— Chciałabym tam być, dalipan!

— Baśka! — zawołała tłuściuchna pani Makowiecka, wybitnym rusińskim akcentem — toż tu między polityczny naród przyjechałaś, odzwyczaj-że się od swoich „dalipan!“ Tego tylko, Boże wielki braknie, żebyś zakrzyknęła: „Niech mnie kule biją!“

Panienka roześmiała się świeżym i dźwięcznym, jak srebro, śmiechem i nagle uderzyła się rękami po kolanach.

— No! to niech mnie kule biją, ciotula!

— O Boże! uszy więdną! Przeproś całe towarzystwo! — zawołała pani stolnikowa.

Wówczas Baśka, chcąc zacząć od pani stolnikowej przeprosiny, zerwała się z miejsca, ale zarazem zrzuciła pod stół nóż i łyżkę, więc następnie sama nurknęła za niemi.

Okrągluchna pani stolnikowa nie mogła dłużej śmiechu powstrzymać, a miała dziwny śmiech, bo naprzód zaczęła

się trząść i podrygiwać, a potem piszczeć cienko. Rozweselili się wszyscy. Zagłoba był zachwycony.

— Patrzcie państwo, co ja mam z tą dziewczyną! — powtarzała, trzęsąc się stolnikowa.

— Czyste delicye, jak mnie Bóg miły! — mówił Zagłoba.

Tymczasem panna Basia wylazła z pod stołu, łyżkę i nóż znalazła, ale zgubiła siatkę z głowy; czupryna całkiem jej spadła na oczy. Wyprostowawszy się, poruszyła nozdrzami i rzekła:

— Aha! śmiejecie się waćpaństwo z mojej konfuzyi. Dobrze!

— Nikt się nie śmieje — rzekł tonem przekonania Zagłoba — nikt się nie śmieje! nikt się nie śmieje! Cieszymy się tylko, że nam Pan Bóg radość w osobie waćpanny zesłał.

Po wieczerzy przeszli do bawialnej izby. Tam panna Drohojowska, ujrzawszy wiszącą na ścianie lutnię, zdjęła ją i poczęła w strunę brząkać. Wołodyjowski prosił jej, żeby zaśpiewała co do wtóru, ona zaś odrzekła z prostotą i dobrocią:

— Gotowam, jeśli troskę z waćpanowej duszy wygnać zdołam...

— Dziękuję! — odpowiedział mały rycerz, podnosząc na nią z wdzięcznością oczy.

Po chwili śpiew się rozległ:

„Wierzcie rycerze,
Na nic pancerze,
Na nic się tarcze zdały!

Przez stal, żelazo,
W serce się wrażą
Kupida ostre strzały!“

— Już nie wiem, jak waćpani dziękować — mówił Zagłoba, siedząc opodal z panią stolnikową i całując ją po rękach, żeś sama przyjechała i tak foremne dziewki ze sobą przywiozła, że Gracye same mogłyby przy nich w piecu

palić. Szczególniej mi ów hajduczek do serca przypadł, bo to ci taka bestyjka tak smutki rozgoni, że i łasica lepiej myszy nie rozpędzi. Cóż bowiem są smutki, jeśli nie myszy, które gryzą ziarna wesołości, złożone w naszych sercach? Trza waćpani dobrodziejce wiedzieć, że dawny nasz król, Joannes Casimirus, tak moje comparationes lubił, że jednego dnia się bez nich obejść nie mógł. Musiałem i przypowieści i mądre maksymy dla niego układać, które kazał sobie zawsze przed nocą powtarzać i według których politykę prowadził. Ale to inna materya. Ufam, że i nasz Michał do reszty przy tych delicyach o przygodzie swej nieszczęśliwej zapomni. Waćpani nie wiesz, że ja go dopiero tydzień wyciągnąłem od Kamedułów, gdzie chciał już śluby czynić. Alem sobie samego nuncyusza instancyą zjednał, któren przeorowi zapowiedział, że cały klasztor w dragony pośle, jeśli zaraz Michała nie wypuszczą. Nic tam było po nim!... Chwała Bogu! Chwała Bogu!... Znam ja go! Nie dziś, to jutro, którakolwiek z tych dwóch takie iskry z niego wykrzesze, że się od nich serce w nim, jak huba, zajmie.

Tymczasem panna Drohojowska śpiewała dalej:

„Lecz gdy pawęża
Hardego męża
Przed grotem nie obroni! —

Mdła białogłowa
Jakże się schowa,
I gdzie się biedna schroni?“

— Tak się białogłowy tych grotów boją, jak pies sadła — szepnął pani stolnikowej Zagłoba. — Ale przyznaj waćpani dobrodzika, żeś nie bez jakowychś ukrytych zamiarów te sikory tu przywiozła. Setne dziewki! Szczególniej ów hajduczek, żebym tak zdrów był! Chytrą Michał ma siostrzyczkę, co?

Pani Makowiecka uczyniła istotnie bardzo chytrą minę, która zresztą zupełnie nie przypadła do jej prostodusznej, poczciwej twarzy i odrzekła:

— Myślało się o tem i o owem, jak to zwykle nam,

niewiastom, na przebiegłości nie braknie. Mój mąż ma tu przyjechać na elekcyę, a ja dziewczyny wcześniej zabrałam, bo Tatarów tylko u nas patrzeć. Gdyby zaś miało z tego co szczęśliwego dla Michała się zdarzyć, ofiarowałabym się piechotą do jakiego cudownego obrazu.

— Zdarzy się, zdarzy! — rzekł Zagłoba.

— Obie dziewczyny z wielkich domów i obie dostatnie, a i to coś w dzisiejszych ciężkich czasach znaczy...

— Nie mnie taką rzecz trzeba powtarzać. Michałową fortunę wojna zjadła, choć wiem, że ma coś grosiwa na prowizyi u wielkich panów. Braliśmy nieraz znamienite łupy, mościa pani, a choć się to na dyskrecyę hetmańską oddawało, przecie część szła na podział, jak się to mówi u nas po żołniersku: „od szabli“. Na Michałową tyle nieraz wypadało, że gdyby był wszystko zachował, miałby dziś piękną fortunę. Ale to żołnierz nie patrzy na jutro, jeno dziś hula. A Michał byłby i wszystko przehulał, gdyby nie to, żem go zawsze powściągał. Powiadasz tedy waćpani, że to dziewki wielkiej krwi?

— W Drohojowskiej jest senatorska krew. Prawda i to, że tam nasze pobrzeżne kasztelanie, to nie krakowska, a są i takie, o których mało kto w Rzeczypospolitej słyszał; ale przecie, kto raz na krześle zasiadł, ten swój splendor i potomstwu przekazuje. Co zaś do paranteli, to Jeziorkowska prawie jeszcze Drohojowską przewyższa.

— Proszę, proszę! Ja sam się od pewnego króla Masagietów wywodzę, więc lubię o czyjemś pokrewieństwie posłuchać.

— Z tak wysokiego gniazda Jeziorkowska się znowu nie wywodzi, ale jeśli waćpan życzysz posłuchać... bo my tam w naszych stronach każdego domu na palcach możemy wyliczyć koligacye... owóż ona jest krewna i Potockich i Jazłowieckich i Łaszczów. Widzi waćpan, to było tak...

Tu pani stolnikowa rozgarnęła fałdy sukni i usadowiła się wygodniej, aby żadnej w ulubionem opowiadaniu nie znaleźć przeszkody; rozstawiła palce jednej dłoni, a wska-

zujący drugiej przygotowała do liczenia dziadków i babek, poczem zaczęła:

— Córka pana Jakóba Potockiego, Elżbieta, z drugiej jego żony Jazłowieckiej, wyszła za pana Jana Smiotanko, chorążego podolskiego...

— Zakonotowałem! — rzekł Zagłoba.

— Z tego małżeństwa urodził się pan Mikołaj Smiotanko, takoż chorąży podolski.

— Hm! Piękna godność!

— Ten był żonaty pierwszy raz z Dorohostoj... nie! z Rożyńską... nie! z Woroniczówną... Bodaj-że cię! zapomniałam!

— Wieczny jej pokój, jakkolwiek się nazywała! — rzekł z powagą Zagłoba.

— A drugi raz ożenił się z Łaszczówną...

— Tum go czekał! Jakiż był tego małżeństwa effectus?

— Synowie im pomarli...

— Każda radość krucha w tym świecie...

— A z czterech córek, najmłodsza Anna, poszła za Jeziorkowskiego, herbu Rawicz, komisarza do rozgraniczenia Podola, któren był potem, jeśli się nie mylę i miecznikiem podolskim.

— Był, pamiętam! — odrzekł z całą pewnością Zagłoba.

— Z tego małżeństwa, widzisz waćpan, rodzi się Basia.

— Widzę i to przytem, że się w tej chwili z Ketlingowego szturmaka przymierza.

Jakoż Drohojowska i mały rycerz zajęci byli rozmową, a panna Basia mierzyła sobie dla rozrywki ze szturmaka ku oknu.

Pani Makowiecka poczęła się na ten widok trząść i piszczeć.

— Waćpan sobie nie wyimaginujesz, co ja mam z tą dziewczyną! Czysty hajdamaka!

— Żeby wszyscy hajdamakowie byli tacy, zarazbym do nich przystał!

— Jej nic w głowie, jeno oręż, a konie, a wojna! Raz

wyrwała się z domu na polowanie, na kaczki z guldynką. Zalazło to gdzieś między trzciny, aż tu patrzy: trzciny się rozsuwają i co widzi?... głowę Tatarzyna, który trzcinami pod wieś się przekradał... Inna byłaby się przestraszyła, a ta bieda kiedy nie gruchnie z guldynki, Tatarzyn chlup w wodę! Na miejscu, imainuj sobie waćpan, go położyła... i czem?... kaczym śrutem...

Tu pani Makowiecka poczęła się znów trząść i chychotać nad przygodą Tatarzyna, poczem dodała:

— I co prawda, ocaliła nas wszystkich, bo cały czambulik szedł; ale że wróciwszy, narobiła alarmu, więc mieliśmy czas z czeladzią w lasy uskoczyć! U nas tak ciągle!...

Twarz Zagłoby oblała się takim zachwytem, że aż oko na chwilę przymrużył; zaczem zerwał się, podskoczył do dziewczyny i nim się opatrzyła, pocałował ją w czoło.

— To od starego żołnierza za tego Tatarzyna w trzcinach! — rzekł.

Panienka potrząsnęła zamaszyście swoją płową czupryną.

— Co? zadałam mu bobu! — zawołała swym świeżym, dziecinnym głosikiem, który tak dziwnie brzmiał wobec sensu jej słów.

— Mój-że ty hajdamaczku najmilszy! — rzekł rozrzewniony Zagłoba.

— Ale co tam jeden Tatar! Waćpanowieście tysiącami ich nasiekli i Szwedów i Niemców i Węgrzynów Rakoczego. Co ja tam przy waćpanach znaczę, przy takich rycerzach, jakich drugich w całej Rzeczypospolitej niemasz. Wiem doskonale! oho!

— Będziem cię uczyć szabelką robić, kiedy masz taki animusz. Ja już trochę przyciężki, ale Michał to także mistrz.

Panienka na taką propozycyę aż podskoczyła w górę, następnie pocałowała w ramię pana Zagłobę i dygnęła małemu rycerzowi, mówiąc:

— Dziękuję za obietnicę! Już trochę umiem!

Ale Wołodyjowski cały był zajęty rozmową z Krzysią Drohojowską, więc odpowiedział z dystrakcyą:

— Co tylko waćpanna rozkażesz!

Zagłoba z rozpromienionem obliczem przysiadł się znów do pani stolnikowej latyczowskiej.

— Moja mościwa dobrodziko — rzekł. — Wiem ja to dobrze, jakie bakalie tureckie są wyborne, bom długie lata w Stambule przesiedział, ale i to wiem także, że właśnie jest siła na nie łakomych. Jakże się to stało, że się na tę dziewczynę nikt dotąd nie złakomił?

— Dla Boga! nie brakło takich, którzy się obydwom zalecali. A Baśkę, to nazywamy, śmiejąc się, wdową po trzech mężach, bo naraz trzech godnych kawalerów puściło się do niej w zaloty: pan Świderski, pan Kondracki i pan Ćwilichowski. Wszystko szlachta z naszych stron i posesyonaci, których koligacye mogę także dokładnie waćpanu wymienić.

To rzekłszy, pani stolnikowa rozstawiła już znowu palce lewej ręki i przyładowała wskazujący prawej, lecz Zagłoba spytał co prędzej:

— I cóż się z nimi stało?

— Wszyscy trzej na wojnie dali gardła, dlatego też to i Baśkę zowiemy wdową.

— Hm! a ona jakże to przeniosła?

— Widzi waćpan, to u nas codzienna rzecz i rzadko kto, późnego wieku doszedłszy, własną śmiercią schodzi. Mówią nawet u nas, że i nie wypada inaczej szlachcicowi, jak w polu. Jak Baśka to przeniosła? Pochlipała trochę, nieboga, a najwięcej w stajni, bo już jak jej co dolega, to ona zaraz do stajni! Poszłam kiedyś za nią i pytam: „Po którym płaczesz?“ A ona na to: „Po wszystkich trzech!“ Z tego responsu zaraz zmiarkowałam, że żadnego sobie po szczególe nie upodobała... I tak myślę, że mając głowę czem innem zaprzątniętą, wcale ona jeszcze woli Bożej nie czuje; Krzysia więcej, ale Baśka jeszcze nie!...

— Poczuje! — rzekł Zagłoba. — Mościa dobrodziejko! My to najlepiej rozumiemy! Poczuje, poczuje!...

— Takie nasze przeznaczenie! — odpowiedziała pani stolnikowa.

— Otóż to właśnie! Z ust mi to waćpani wyjęłaś!

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się młodszej kompanii.

Mały rycerz bardzo już był ośmielony do panny Krzysi, a ona, widocznie przez dobroć serca, zajmowała się nim i jego smutkiem, tak jak lekarz zajmuje się chorym. I może właśnie, dlatego więcej okazywała mu życzliwości, niż pozwalała na to ich krótka znajomość. Ale że pan Michał był bratem stolnikowej, a panienka krewną jej męża, więc nikogo to nie dziwiło. Baśka natomiast została jakoby na uboczu i tylko pan Zagłoba zwracał na nią ustawiczną uwagę. Lecz zresztą było jej to widocznie wszystko jedno, czy się kto nią zajmował, czy nie. Z początku spoglądała z podziwieniem na obydwóch rycerzy, ale z równem podziwieniem przypatrywała się i cudnej Ketlingowej broni, porozwieszanej na ścianach. Potem zaczęła trochę ziewać, potem oczy kleiły się coraz bardziej, a wreszcie rzekła:

— Jak się kropnę spać, tak się pojutrze chyba obudzę..

Po tych słowach rozeszli się zaraz wszyscy, bo niewiasty były bardzo zdrożone i czekały tylko na łóżek posłanie.

Gdy pan Zagłoba znalazł się wreszcie sam na sam z Wołodyjowskim, naprzód począł mrugać znacząco, następnie zaś obsypał małego rycerza gradem lekkich kułaków.

— Michał! a co Michał, hę? jak rzepy! co? Mnichem zostaniesz, co? A ta borówka Drohojowska smaczna! A ów hajduczek różowiuchny, uch! Cóż ty na to, Michale?

— Cóż, nic! — odpowiedział mały rycerz.

— Pryncypalnie mi się ów hajduczek udał. To powiadam ci, że kiedym przy niej podczas wieczerzy siedział, tak mnie od niej piekło, jak od piecyka.

— Koza to jeszcze; tamta gdzie stateczniejsza.

— Drohojowska węgierska śliwka, istna węgierska śliwka! Ale tamten orzeszek!... Dalibóg, żebym miał zęby!... chciałem rzec, żebym miał taką córkę, tobie jednemubym ją oddał. Migdał, powiadam, migdał!

Wołodyjowski posmutniał nagle, bo mu się przypomniały przezwiska, jakie pan Zagłoba Anusi Borzobohatej dawał.

Jako żywa stanęła mu nagle w myśli i pamięci jej postać, jej twarz malutka, jej ciemne warkocze, jej wesołość i szczebiotanie i sposób patrzenia. Te obie były młodsze, ale przecie tamta była droższa stokroć od wszystkich młodszych...

Mały rycerz ukrył twarz w dłoniach i żal porwał go tem większy, że niespodziany.

Zagłoba zadziwił się; czas jakiś milczał i patrzył niespokojnie, następnie rzekł:

— Michale, co ci to? Przemów, dla Boga!

Wołodyjowski przemówił:

— Tyle ich żyje, tyle ich chodzi po świecie, jeno mego jagniątka już niema, jeno jej jednej nigdy już nie obaczę!...

Zaczem ból mu głos zdławił, więc czoło wsparł o poręcz ławy i począł szeptać przez zaciśnięte wargi:

— Boże! Boże! Boże!...

ROZDZIAŁ VII.

Panna Basia dopilnowała jednak Wołodyjowskiego, żeby ją „fechtów“ uczył, on zaś nie odmówił, bo po kilku dniach, choć zawsze wolał Drohojowską, jednak i Baśkę bardzo polubił, ile że zresztą trudno jej było nie lubić.

Pewnego poranku zaczęła się tedy pierwsza lekcya, głównie chełpliwością Baśki wywołana i jej upewnieniami, jako że już tę sztukę wcale nieźle posiada i nie byle kto potrafi jej pola dotrzymać.

— Starzy żołnierze mnie uczyli — mówiła — których u nas nie brak, wiadomo przecie, że niemasz nad naszych szermierzów... Ba, to jeszcze pytanie, czybyście i waćpanowie równych sobie nie znaleźli.

— Co waćpanna mówisz — zawołał Zagłoba — my w całym świecie równych nie mamy!

— Chciałabym, żeby się pokazało, iż i ja równa. Nie spodziewam się, ale chciałabym!

— Na strzelanie z bandoleciku, to i jabym się poprówowała — rzekła, śmiejąc się, pani Makowiecka.

— Dla Boga! chyba same amazonki w Latyczowskiem mieszkają! — rzekł Zagłoba.

Tu zwrócił się do Drohojowskiej:

— A waćpanna, jaką bronią najlepiej władasz?

— Żadną — odpowiedziała Krysia.

— Aha! żadną! — zakrzyknęła Baśka. I tu, przedrwiwając Krzysię, poczęła śpiewać:

„Wierzcie rycerze,
Na nic pancerze,
Na nic się tarcze zdały!

Przez stal, żelazo,
W serce się wrażą
Kupida ostre strzały!“

— Taką ona bronią władnie, nie bójcie się! — dodała, zwracając się do Wołodyjowskiego i Zagłoby. — Szermierz też z niej nielada!

— Wychodź waćpanna! — rzekł pan Michał, chcąc ukryć lekkie pomieszanie.

— Ej Boże! żeby się to pokazało, co ja myślę! — zawołała Basia, rumieniąc się z radości.

I stanęła zaraz w pozycyi, mając lekką polską szabelkę w prawicy, lewą zaś rękę zasunęła za plecy i z wysuniętą piersią naprzód, z podniesioną głową i z rozdętemi chrapkami, była tak ładna i tak różowa, że Zagłoba szepnął do pani stolnikowej:

— Żaden gąsiorek, choćby ze stuletnim węgrzynem, nie udelektowałby mnie tak swym widokiem!

— Uważ waćpanna — rzekł Wołodyjowski — ja się tylko będę bronił, ni razu nie przytnę, waćpanna atakuj, jak się jej żywnie podoba.

— Dobrze. Kiedy zaś waćpan będziesz chciał, żebym przestała, to mi słowo rzeknij.

— Mogłoby się i tak skończyć, kiedybym tylko zechciał!...

— A to jakim sposobem?

— Bo takiemu szermierzykowi łatwiebym szabelkę z rąk wytrącić zdołał.

— Zobaczymy!

— Nie zobaczymy, bo tego przez politykę nie uczynię.

— Nie trzeba tu żadnej polityki. Uczyń to waść, jeśli zdołasz. Wiem, że mniej umiem od waćpana, ale tego przecie sobie nie dam uczynić!

— Więc waćpanna pozwalasz?

— Pozwalam!

— Dajże spokój, hajduczku najsłodszy — rzekł Zagłoba. — On to z największymi mistrzami czynił.

— Zobaczymy! — powtórzyła Basia.

— Zaczynajmy! — rzekł Wołodyjowski, nieco zniecierpliwiony przechwałkami dziewczyny.

Zaczęli.

Basia przycięła okrutnie, skacząc przytem, jak konik polny.

Wołodyjowski zaś stał w miejscu, czyniąc, wedle swego zwyczaju, malusieńkie ruchy szablą i nie bardzo nawet zważając na atak.

— A waćpan to się ode mnie, jak od uprzykrzonej muchy oganiasz! — zawołała podrażniona Basia.

— Jaż się z waćpanną nie próbuję, jeno ją uczę! — odparł mały rycerz. — Dobrze tak! Jak na białogłowę, wcale nieźle! Spokojniej z dłonią!

— Jak na białogłowę? Masz waćpan za białogłowę! masz! masz!

Ale pan Michał, lubo Basia zażyła swych cięć najznamienitszych, nic nie miał. Owszem, umyślnie począł rozmawiać z Zagłobą, aby okazać, jak mało dba o Basine ciosy.

— Odstąp waćpan od okna, bo pannie ciemno, a choć szabla większa od igły, za to ma panna mniej eksperyencyi do szabli, niż do igły.

Chrapki Basi rozdęły się jeszcze więcej, a czupryna spadła całkiem na błyszczące oczka.

— Waćpan mnie lekceważysz? — spytała, dysząc mocno.

— Nie osobę, broń Boże!

— Nie cierpię pana Michała!

— Masz bakałarzu za twą naukę! — odpowiedział mały rycerz.

Poczem znów do Zagłoby:

— Dalibóg, że śnieg zaczyna padać.

— Ot, śnieg! śnieg! śnieg! — powtórzyła, przycinając Baśka.

— Baśka, dosyć! ledwie już dyszysz! — wtrąciła pani stolnikowa.

— No, trzymaj waćpanna szablę, bo wytrącę!

— Zobaczymy!

— A ot!

I szabelka, wyfrunąwszy, jako ptak, z rąk Basi, upadła z brzękiem aż koło pieca.

— To ja sama! niechcący! To nie waćpan! — wołała ze łzami w głosie panienka i chwyciwszy w mig szabelkę, znowu przycięła.

— Spróbuj waćpan teraz...

— A ot! — powtórzył pan Michał.

I szabelka znów się znalazła pod piecem.

Pan Michał zaś rzekł:

— Na dzisiaj dość!

Pani stolnikowa poczęła drgać i piszczeć, głośniej jak zwykle, Basia zaś stała na środku izby, zmieszana, odurzona, dysząc mocno, gryząc wargi i tłumiąc łzy, które przemocą cisnęły się jej do oczu; wiedziała, że tembardziej będą się śmieli, jeżeli wybuchnie płaczem i koniecznie chciała się wstrzymać, ale widząc, że nie zdoła, wypadła nagle z izby.

— Dla Boga! — zawołała pani stolnikowa. — Pewnie do stajni uciekła, a taka zgrzana... jeszcze ją zamróz chwyci. Trzeba chyba pójść za nią! Krzysiu, nie wychodź!

To rzekłszy, wyszła i porwawszy ciepłą jubkę w sieni,

biegła z nią do stajni, a za nią biegł Zagłoba, niespokojny o swego hajduczka.

Chciała wybiedz i Drohojowska, lecz mały rycerz chwycił ją za rękę.

— Słyszałaś waćpanna zakaz? Nie puszczę tej ręki, póki nie wrócą.

I rzeczywiście nie puszczał. A była to ręka jakoby atłasowa miękka; panu Michałowi wydało się, że jakiś strumień ciepły przepływa z tych cienkich palców w jego kości, sprawując w nich lubość niezwykłą, więc trzymał je coraz mocniej.

Lekkie rumieńce przeleciały przez smagławą twarz Krzysi.

— Tom, widzę, branka w jassyr wzięta! — rzekła.

— Ktoby taki jassyr wziął, sułtanowi nie miałby czego zazdrościć, któren i sułtan pół państwa swojego chętnieby za taką oddał.

— Aleby mnie waćpan poganom nie sprzedał!

— Jakobym i duszy dyabłu nie sprzedał!

Tu pomiarkował pan Michał, że chwilowy zapał zbyt daleko go unosi i poprawił:

— Jakobym i siostry nie sprzedał!

A Drohojowska rzekła poważnie:

— Toś waćpan utrafił. Siostrą afektem jestem dla pani stolnikowej, będę i waćpanową.

— Dziękuję z serca — rzekł pan Michał, całując jej rękę — bo mnie okrutnie pociechy potrzeba.

— Wiem, wiem! — powtórzyła panienka — jam też sierota!

Tu mała łezka stoczyła się jej z powieki i osiadła na onym puszku nad ustami.

A Wołodyjowski patrzył na łezkę, na usta lekko ocienione, wreszcie rzekł:

— Takaś waćpanna dobra, jako właśnie anioł! Już mi ulżyło!

Krzysia uśmiechnęła się słodko.

— Daj Boże waćpanu!

— Jak mi Bóg miły!

Czuł przytem mały rycerz, że gdyby powtórnie pocałował jej rękę, toby mu jeszcze bardziej ulżyło. Ale w tej chwili weszła pani Makowiecka.

— Baśka jubkę wzięła — rzekła — ale w takiej jest konfuzyi, że za nic nie chce przyjść. Pan Zagłoba ugania się za nią po całej stajni.

Jakoż Zagłoba, nie szczędząc pociech i perswazyi, nie tylko się uganiał za Baśką po całej stajni, ale wyparł ją wreszcie na dwór w tej nadziei, że ją prędzej do ciepłej izby namówi.

Ona umykała przed nim, powtarzając: „Otóż nie pójdę! Niech mnie zamróz chwyci! Nie pójdę! nie pójdę!...“ Nakoniec, dostrzegłszy już przy domu, słup ze szczeblami, i na nim drabinę, skoczyła na nią, jak wiewiórka i oparła się dopiero na skraju dachu. Tam siadłszy, zwróciła się ku panu Zagłobie i nawpół ze śmiechem zawołała:

— Dobrze, pójdę, jeśli waćpan wleziesz tu po mnie!

— A cóż to ja koczur jestem, hajduczku, żebym za tobą po dachach łaził? Tak to mi płacisz za to, że cię kocham?

— I ja waćpana kocham, ale z dachu!

— Dziad swoje, a baba swoje! Złaź mi tu zaraz!

— Nie złazę!

— Śmiech, jak mi Bóg miły, żeby do serca tak brać konfuzyę! Nie tobie, łasico utrapiona, ale Kmicicowi, któren za mistrza nad mistrze uchodził, Wołodyjowski to samo uczynił i nie na żarty, lecz w pojedynku. Jemu najznamienitsi szermierze włoscy, niemieccy i szwedzcy, nie dłużej, jak przez jeden pacierz, mogli dać opór, a tu jeden bąk taki do serca bierze przeprawę. Fe! wstydź się! Złaź, złaź! Przecie ty się dopiero uczysz!

— Ale pana Michała nie cierpię!

— Bogać tam! Za to, że exquisitissimus w tem, co sama chcesz umieć? Powinnaś go tembardziej kochać!

Pan Zagłoba nie mylił się. Uwielbienie Basi dla małego rycerza wzrosło, pomimo konfuzyi, ale odrzekła:

— Niech go Krzysia kocha!

— Złaź, Złaź!

— Nie zlazę!

— Dobrze, to siedź: powiem ci jeno, że to nawet i niepolitycznie pannie na drabinie siedzieć, bo ucieszny może dać światu prospekt!

— A nieprawda! — rzekła Basia, ogarniając rękoma jubkę.

— Ja tam stary, oczu nie wypatrzę, ale zaraz tu wszystkich zawołam, niech się dziwują!

— Już zlazę! — wołała Basia.

Wtem Zagłoba zwrócił się w bok domu.

— Dalibóg, ktoś idzie! — rzekł.

Jakoż z za węgła ukazał się młody pan Nowowiejski, który, przyjechawszy konno, przywiązał konia przy bocznej furtce, sam zaś obchodził dom, pragnąc wejść przez główne drzwi.

Basia, ujrzawszy go, znalazła się w dwóch skokach na ziemi, lecz, niestety, było już zapóźno.

Pan Nowowiejski widział ją zeskakującą z drabiny, więc stanął zmieszany, zdumiony, oblany rumieńcami, jak panna; Basia stanęła przed nim tak samo. Aż nagle zakrzyknęła:

— Druga konfuzya!

Pan Zagłoba, rozbawiony wielce, mrugał czas jakiś swem zdrowem okiem, nakoniec rzekł:

— Pan Nowowiejski, naszego Michała przyjaciel i podkomendny, a to jest panna Drabinowska... tfu!... chciałem powiedzieć: Jeziorkowska!

Nowowiejski przyszedł prędko do siebie, a że to był żołnierz bystrego dowcipu, choć młody, więc skłonił się i podniósłszy oczy na cudne zjawisko, rzekł:

— Dla Boga! róże na śniegu w Ketlingowym ogrodzie kwitną!

A Basia, dygnąwszy, mruknęła sama do siebie:

— Dla innego nosa, niż twój!

Poczem rzekła bardzo wdzięcznie:

— Proszę do komnat!

I sunęła sama naprzód, a wpadłszy prędko do izby,

w której pan Michał siedział z resztą kompanii, zawołała, robiąc przytyk do czerwonego kontusza pana Nowowiejskiego:

— Gil przyleciał!

Zaczem siadła na stołku, złożywszy ręce w małdrzyk, a buzię w ciup, jak przystało na skromną i przystojnie wychowaną panienkę.

Pan Michał przedstawił młodego przyjaciela siostrze i Krzysi Drohojowskiej, a ów, ujrzawszy drugą pannę, chociaż w odmiennym rodzaju, lecz równie niepośledniej urody, zmieszał się po raz wtóry; pokrył to jednak ukłonem i dla dodania sobie fantazyi, ręką do wąsów, które mu jeszcze nie rosły, sięgnął.

Zakręciwszy tedy palcami pod wargą, zwrócił się do Wołodyjowskiego i opowiedział mu cel swego przybycia. Oto pan hetman wielki pilnie pożądał widzieć małego rycerza. O ile pan Nowowiejski się domyślał, chodziło o jakąś funkcyę wojskową, hetman bowiem odebrał świeżo kilka listów, mianowicie od pana Wilczkowskiego, od pana Silnickiego, od pułkownika Piwo i od innych komendantów, na Ukrainie i Podolu rozrzuconych, z doniesieniami o krymskich wypadkach, które nie zapowiadały się pomyślnie.

— Sam chan i sułtan Gałga, który z nami u Podhajec paktował — mówił dalej pan Nowowiejski — chcą paktów dotrzymać; ale Budziak szumi już, jako ul na wyroju; białogrodzka orda również się burzy; ci nie chcą ni chana, ni Gałgi słuchać...

— Już mi to pan Sobieski konfidował i o radę pytał — rzekł Zagłoba. — Co tam mówią teraz o wiośnie?

— Powiadają, że z pierwszą trawą ruszy się na pewno to robactwo, które znowu trzeba będzie wygnieść — odpowiedział pan Nowowiejski.

To rzekłszy, okrutnego marsa postawił i począł wąsy tak kręcić, że aż mu górna warga poczerwieniała.

Basia, patrząc bystrze, spostrzegła to zaraz, więc zasunęła się nieco w tył, by jej pan Nowowiejski nie widział

i dalej także wąsy kręcić, naśladując młodocianego kawalera.

Pani stolnikowa zgromiła ją zaraz oczyma, lecz jednocześnie poczęła drgać, tamując usilnie śmiech; pan Michał równie wargi przygryzał, a Drohojowska spuściła tak oczy, że aż jej długie rzęsy rzucały cień na policzki.

— Waćpan — rzekł Zagłoba — młody człek, ale doświadczony żołnierz!

— Mam dwadzieścia dwa lat, a siedm, nie wymawiając, ojczyźnie służę, bo w piętnastym roku w pole z infimy uciekłem! — odpowiedział młodzieńczyk.

— I ze stepem się zna i trawami umie chodzić i jak kania na pardwy, na ordyńców spadać — dodał pan Wołodyjowski. — Zagończyk to nielada! Jemu się Tatar w stepie nie przytai!

Pan Nowowiejski spłonął z ukontentowania, że go chwalba z tak sławnych ust wobec panien spotykała.

Był to przytem nie tylko jastrząb stepowy, ale i piękny chłopak, czarniawy, wichrami spalony. Na twarzy nosił bliznę od ucha aż do nosa, który od przycięcia z jednej strony był cieńszy, niż z drugiej. Oczy miał bystre, przywykłe w dal patrzyć, nad niemi mocno czarne brwi, zrośnięte nad nosem i tworzące jakoby łuk tatarski. Na wygolonej głowie wichrzył mu się czarny, niesforny czub. Basi podobał się i z mowy i z postawy, ale mimo tego nie przestawała go udawać.

— Proszę! — rzekł Zagłoba. — Miło widzieć starym, jak ja, że godne nas młodych pokolenie rośnie.

— Jeszcze niegodne! — odparł Nowowiejski.

— Chwalę i modestyę! Rychło patrzeć, jak waćpanu zaczną i komendy pomniejsze powierzać.

— Jakże! — zawołał pan Michał — już bywał komendantem i na własną rękę gromił!

Pan Nowowiejski począł tak wąsy kręcić, że o mało sobie wargi nie urwał.

A Basia, nie spuszczając z niego oczu, podniosła również obie ręce do twarzy i naśladowała go we wszystkiem.

Lecz sprytny żołnierz spostrzegł wkrótce, że spojrzenia całej kompanii kierują się w bok, tam, gdzie nieco za nim siedzi owa panna, którą na drabinie widział i zaraz domyślił się, że musi ona tam coś przeciw niemu knować.

Niby więc nie zważając, rozmawiał dalej i wąsów po staremu szukał, wreszcie upatrzywszy chwilę, obrócił się tak szybko, że Basia nie miała czasu ni oczu od niego odwrócić, ni rąk od twarzy odjąć.

Zaczerwieniła się też okrutnie i sama, nie wiedząc, co czynić, powstała z krzesła. Wszyscy się trochę zmieszali i nastała chwila milczenia.

Nagle Basia uderzyła się rękoma po sukience.

— Trzecia konfuzya! — zakrzyknęła swym srebrnym głosikiem.

— Moja mościa panno! — rzekł żywo pan Nowowiejski. — Zaraz spostrzegłem, iż się za mną coś nieszczerego dzieje. Przyznaję, że mi za wąsami tęskno, ale jeśli ich nie doczekam, to dlatego, że dla ojczyzny polegnę, a w takim razie mam nadzieję, że prędzej na płacz, niż na śmiech u waćpanny zarobię.

Basia stała ze spuszczonemi oczyma, szczeremi słowami kawalera tem bardziej zawstydzona.

— Musisz jej waćpan wybaczyć — rzekł Zagłoba. — Płocha jest, bo młoda, ale to złote serce!

A ona, jakby na potwierdzenie słów pana Zagłoby, szepnęła zaraz po cichu:

— Przepraszam waćpana... bardzo...

Pan Nowowiejski zaś chwycił ją w tej samej chwili za ręce i począł je całować.

— Dla Boga! już też waćpanna do serca nie bierz! Toć ja przecie nie żaden barbarus. Mnie to należy przepraszać waćpannę za to, żem śmiał jej zabawę popsować. My sami żołnierze kochamy się w pustocie! Mea culpa! Jeszcze raz te rączęta pocałuję, a jeśli póty mam całować, póki mi waćpanna nie przebaczysz, to — na rany Boskie! — nie odpuszczaj, choćby do wieczora!

— O, to grzeczny kawaler! Widzisz Basiu! — rzekła pani Makowiecka.

— Widzę! — odpowiedziała Basia.

— Już i dobrze! — zawołał pan Nowowiejski.

To powiedziawszy, wyprostował się i z wielką fantazyą do wąsów z przyzwyczajenia sięgnął, lecz się wnet spostrzegł i wybuchnął szczerym śmiechem; Basia za nim, inni za Basią. Wesołość ogarnęła wszystkich. Zagłoba kazał jedną i drugą butlę z Ketlingowej piwnicy przynieść i dobrze im się działo.

Pan Nowowiejski, stukając ostrogą o ostrogę, czuprynę palcami nastroszał i coraz ogniściej na Basię spoglądał. Spodobała mu się bardzo. Stał się też wymowny niepomiernie, a że to przy hetmanie będąc, żył na wielkim świecie, więc miał co opowiadać.

Prawił tedy o sejmie convocationis, o jego zakończeniu i o tem, jak się piec pod ciekawymi arbitrami w izbie senatorskiej, ku wielkiej uciesze wszystkich, zawalił. Odjechał nakoniec aż po obiedzie, mając oczy i duszę Basi pełną.

ROZDZIAŁ VIII.

Tego samego dnia oznajmił się mały rycerz u hetmana, który kazawszy go zaraz puścić, rzekł mu:

— Muszę Ruszczyca do Krymu wysłać, aby patrzył: na co się tam zanosi i aby u chana o dotrzymanie paktów kołatał. Chcesz li na nowo wstąpić do służby i komendę po nim objąć? Ty, Wilczkowski, Silnicki i Piwo, będziecie mieć oko na Dorosza i na Tatarów, którym nigdy zupełnie ufać nie można.

Pan Wołodyjowski posmutniał. Przecie oto kwiat wieku przesłużył. Przez całe dziesiątki lat spokoju nie znalazł; żył w ogniu, w dymach, w trudzie, w bezsenności, głodzie, bez dachu nad głową, bez garści słomy do snu. Bóg wie, jakiej krwi nie toczyła jego szabla. Ni się ustalił, ni się ożenił.

Stokroć mniej zasłużeni pożywali już panem bene merentium, dochodzili do honorów, urzędów, starostw. On bogatszym począł służyć, niż był teraz. A jednak oto zachciano na nowo nim zamiatać, jak starą miotłą. Przecie i duszę miał rozdartą na dwoje; zaczem znalazły się słodkie i przyjazne ręce, które poczęły mu rany obwiązywać, już mu kazano zrywać się i lecieć na pustynne, dalekie brzegi Rzeczypospolitej, bez względu, że on znużon tak bardzo na duszy. Toż gdyby nie owe zrywania się i służby, byłby się nacieszył choć parę lat swoją Anusią.

Gdy o tem wszystkiem teraz pomyślał, gorycz wezbrała w nim niepomierna; ale że mu się nie zdało rzeczą godną kawalera służby swe wymawiać i przypominać, więc odpowiedział krótko:

— Pojadę.

Atoli sam hetman rzekł:

— Nie jesteś w służbie, możesz odmówić. Sam najlepiej wiesz, czy ci to nie za rychło.

Wołodyjowski na to:

— Już mi i umrzeć nie za rychło!

Pan Sobieski przeszedł się kilkakrotnie po komnacie, następnie zatrzymał się nad małym rycerzem i położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Jeśli ci łzy dotąd nie obeschły, to ci je wiatr w stepie osuszy. Harowałeś ty, żołnierzyku, przez całe życie, haruj jeszcze! A jeśli przyjdzie ci kiedy do głowy, żeć zapomniano, nie nagrodzono, spocząć nie dano, żeś wysłużył nie smarowane grzanki, ale suchy chleb, nie starostwa, ale rany, nie odpoczynek, ale mękę, to jeno zęby zaciśnij i powiedz: „Tobie ojczyzno!“ Innej pociechy ci nie dam, bo nie mam, jeno, chociażem nie ksiądz, przecie ci mogę dać zapewnienie, że tak służąc, dalej zajdziesz na wytartej kulbace, niźli inni w poszóstnych karetach i że będą takie bramy, które się przed tobą otworzą, a przed nimi zamkną.

— Tobie, ojczyzno! — rzekł w duszy pan Wołodyjowski, dziwiąc się zarazem, jak hetman mógł tak bystrze tajne jego myśli przeniknąć.

A pan Sobieski siadł naprzeciw i mówił dalej:

— Nie chcę z tobą gadać, jak z podkomendnym, ale jak z przyjacielem, ba! jako ojciec z synem! Jeszcze za tych czasów, kiedyśmy to w ogniu bywali, u Podhajec i przedtem, na Ukrainie; kiedyśmy ledwie zdużać mogli przemocy nieprzyjacielskiej, a tu, w sercu ojczyzny, ubezpieczeni za naszemi plecami, źli ludzie warcholili się, prywat własnych dochodząc — przychodziło mnie nieraz do głowy, że ta Rzeczpospolita zginąć musi. Zbytnio tu swawola nad ładem panuje, zbytnio dobro publiczne prywatnym sprawom ustępować zwykło... Tego nigdzie niema w takim stopniu... Ot, gryzły mnie te konsyderacye i w dzień, w polu i w nocy, w namiocie, bom sobie myślał: No! my, żołnierze, gorzejem!... dobrze!... to nasza powinność i nasz los! Ale żebyśmy to choć wiedzieli, że z tą naszą krwią, która wypływa nam z ran, wypływa i zbawienie. Nie! i tej pociechy nie było. Oj, ciężkiem dni przebywał pod Podhajcami, chociażem wam wesołe pokazował oblicze, abyście zaś nie myśleli, żem o wiktoryi w polu zdesperował. Ludzi niemasz! — myślałem sobie — ludzi niemasz, prawdziwie tę ojczyznę miłujących! I tak mi było, jakoby mi kto nóż w piersi wbijał. Aż razu pewnego... było to ostatniego dnia w podhajeckim obozie... gdym was w dwa tysiące posłał do ataku na dwadzieścia sześć tysięcy ordy, a wyście na oczywistą śmierć, na pewne jatki, lecieli z takim okrzykiem i ochotą, jakoby na wesele, przyszło mi nagle na myśl: „A owi moi żołnierze?“ I Bóg w jednej chwili zdjął kamień z serca i w oczach stało mi się jasno. Ci — rzekłem — z czystej miłości dla matki tam giną; ci nie pójdą do związków, ani do zdrajców; z nich utworzę święte bractwo, z nich utworzę szkołę, w której młode pokolenia uczyć się będą. Ich przykład, ich kompania podziała; przez nich ten naród nieszczęsny się odrodzi, prywaty próżen, swawoli niepomny i stanie, jako lew, okrutną moc w członkach czujący i świat zadziwi! Takie to bractwo z moich żołnierzów uczynię!

Tu pan Sobieski sam zapłonął, podniósł do góry głowę, podobną do głowy rzymskiego cezara i wyciągnąwszy ręce, zawołał:

— Panie! Nie pisz na naszych murach: „Mane, Tekel, Fares!“ i pozwól mi moją ojczyznę odrodzić!

Nastała chwila milczenia.

Mały rycerz siedział z głową spuszczoną i czuł, że go drżenie chwyta w całem ciele.

Hetman chodził czas jakiś szybkimi krokami po izbie, następnie zatrzymał się przed małym rycerzem.

— Przykładów trzeba — rzekł — przykładów codzień, któreby w oczy biły. Wołodyjowski! jam ciebie w pierwszym rzędzie do bractwa zaliczył. Zali chcesz do niego należeć?...

Mały rycerz wstał i objął hetmańskie kolana.

— Ot! — rzekł wzruszonym głosem — ot! usłyszawszy, że mam znów jechać, pomyślałem, że mi się krzywda dzieje i że mi się wczas dla mojej boleści należy, a teraz widzę, żem zgrzeszył... i... i kajam się takowej myśli i mówić nie mogę, bo mi wstyd...

Hetman przycisnął go w milczeniu do serca.

— Garść nas jest — rzekł — ale inni pójdą za przykładem.

— Kiedy mam jechać? — pytał mały rycerz. — Mógłbym i do Krymu samego, bom już tam bywał.

— Nie — rzekł hetman. — Do Krymu poślę Ruszczyca. Ma on tam pobratymców, a nawet i imienników, podobno że braci stryjecznych, którzy, dziećmi przez ordę zagarnięci, zbisurmanili się i do godności między pogany doszli. Ci mu będą we wszystkiem pomocą; zaś ciebie w polu potrzebuję, ile że niemasz, ktoby ci w procederze z Tatary dorównał.

— Kiedy mam jechać? — powtórzył mały rycerz.

— Za dwie niedziele najdłużej. Potrzebuję się jeszcze z panem podkanclerzym koronnym rozmówić i z panem podskarbim, listy Ruszczycowi przygotować i instrukcye mu dać. Wszelako bądź gotów, bo się będę spieszył.

— Od jutra będę gotów!

— Bóg ci zapłać za intencye, ale tak prędko nie potrzeba. Nie pojedziesz też na długo, bo w czasie elekcyi, jeżeli tylko spokój będzie, tu mi będziesz potrzebny w Warszawie. Słyszałeś o kandydaturach? Co też się między szlachtą mówi?

— Z klasztorum niedawno na świat wychynął, a tam nie o światowych rzeczach myślą. Wiem tylko, co mi pan Zagłoba powiadał.

— Prawda. Mogę mieć od niego informacye. Siła on między szlachtą znany. A ty za kim myślisz dać kreskę?

— Sam jeszcze nie wiem, jeno tak myślę, że wojennego potrzeba nam pana.

— Oto jest! tak! tak! Mam i ja takiego na myśli, któryby samem imieniem sąsiadów przeraził. Wojennego nam pana potrzeba, jako był Stefan Batory. No, bądź zdrów, żołnierzyku!... Wojennego pana nam potrzeba!... Wszystkim to powtarzaj!... Bądź zdrów!... Bóg ci zapłać za gotowość...

Pan Michał pożegnał się i wyszedł.

Przez drogę rozmyślał. Był jednak żołnierzysko rad, że ma jeszcze przed sobą tydzień lub dwa, bo miłą mu była ta przyjaźń i ta pociecha, którą mu Krzysia Drohojowska niosła. Cieszył się też myślą, że na elekcyę powróci i wogóle już bez zmartwienia do domu wracał. Miały i stepy dla niego jakiś urok, za którym, nie wiedząc, tęsknił. Tak przecie przywykł do tych przestrzeni bez końca, w których konny żołnierz ptakiem się więcej, niż człowiekiem czuje.

— A no, pojadę — mówił sobie — do tych pól niezmiernych, do stannic i mogił, starego życia na nowo skosztować, z żołnierzami pochody odprawiać, granicy po żórawiemu strzedz, z wiosną w trawach buszować, a no, pojadę, pojadę!

Tymczasem rozpuścił konia i jechał skokiem, bo już zatęsknił za pędem i za świstem wiatru w uszach. Dzień był pogodny, suchy, mroźny. Śnieg zmarzły pokrywał już ziemię

i skrzypiał pod nogami bachmata. Zbite jego grudki wylatywały z impetem z pod kopyt. Pan Wołodyjowski leciał tak, że pachołek, na gorszym koniu siedzący, daleko pozostał za nim.

Miało się ku zachodowi; zorze świeciły na niebie, rzucając na śnieżne przestrzenie fioletowy odblask. Na rumiane niebo weszły pierwsze gwiazdy migotliwe i księżyc się podnosił w kształcie srebrnego sierpa. Droga była pusta, ledwie gdzieniegdzie wymijał rycerz jakąś furę i leciał ciągle; dopiero, ujrzawszy w dali dwór Ketlingowy, powstrzymał konia i pozwolił się dopędzić pachołkowi.

Nagle ujrzał przed sobą, idącą naprzeciw, jakąś wysmukłą postać.

Była to Krzysia Drohojowska.

Pan Michał, poznawszy ją, zeskoczył natychmiast z konia i oddał go pachołkowi, sam zaś podbiegł ku niej, nieco zdziwiony, ale bardziej jeszcze uradowany jej widokiem.

— Żołnierze mówią — rzekł — że o zorzy można różne nadprzyrodzone persony spotkać, które czasem złą, a czasem dobrą wróżbę znaczą; ale już dla mnie lepszej nad spotkanie waćpanny wróżby być nie może.

— Pan Nowowiejski przyjechał — odpowiedziała Krzysia — z Basią i panią stolnikową się zabawia, ja zaś wyszłam umyślnie naprzeciw waćpana, bom była niespokojna o to, co pan hetman miał waćpanu powiedzieć.

Szczerość tych słów niezmiernie ujęła małego rycerza za serce.

— Zali naprawdę waćpanna tak się o mnie troszczysz? — pytał, podnosząc na nią oczy.

— Tak! — odrzekła nizkim głosem Krzysia.

Wołodyjowski oczu z niej nie spuszczał, bo nigdy dotąd nie wydawała mu się tak piękną. Na głowie miała kapturek atłasowy, a biały puszek łabędzi otaczał jej drobną, bladawą twarz, na którą padał blask miesiąca i rozświecał łagodnie te szlachetne brwi, oczy spuszczone, długie rzęsy i ów ciemny, ledwo dostrzegalny puszek nad ustami. Spokój jakiś był w tej twarzy i dobroć wielka.

Poczuł pan Michał w tej chwili, że to jest przyjacielskie, kochane oblicze.

Więc rzekł:

— Żeby nie pachołek, który za nami jedzie, tobym na tym śniegu do nóg waćpannie z wdzięczności upadł.

A ona:

— Waćpan takich rzeczy nie mów, bom ich niegodna, a w nagrodę powiedz, że ostajesz przy nas i że cię będę mogła dłużej pocieszać!

— Nie zostaję! — odrzekł pan Wołodyjowski.

Krzysia zatrzymała się nagle:

— Nie może być?

— Zwyczajna żołnierska służba! Na Ruś jadę ku Dzikim Polom...

— Zwyczajna służba?... — powtórzyła Krzysia.

I umilkłszy, poczęła iść śpiesznie ku domowi. Pan Michał dreptał przy niej, nieco zmieszany. Jakoś mu było trochę i ciężko na duszy i głupio. Chciał coś mówić, chciał na nowo podjąć rozmowę — nie szło. A jednak zdawało mu się, że ma do powiedzenia Krzysi tysiące rzeczy i że właśnie teraz pora potemu, póki są sami i nikt im nie przeszkadza.

— Byle zacząć! — pomyślał sobie — to dalej pójdzie..

Więc nagle spytał:

— A pan Nowowiejski dawno przyjechał?

— Niedawno — odrzekła Drohojowska.

I znów rozmowa się urwała.

— Nie tędy droga! — pomyślał Wołodyjowski. — Jak tak będę zaczynał, to nigdy nic nie powiem. Ale widzę, że mi resztę dowcipu żałość wyjadła.

I przez jakiś czas dreptał w milczeniu, wąsikami tylko coraz mocniej ruszając.

Nakoniec, już przed samym domem, przystanął i ozwał się:

— Bo widzi waćpanna, jeślim przez tyle lat szczęście odkładał, byle ojczyznie służyć, jakimże czołem pociechy teraz nie odłożę?

Zdawało się Wołodyjowskiemu, że tak prosty argument

powinien od razu Krzysię przekonać, jakoż po chwili odrzekła ze smutkiem i łagodnością:

— Im się pana Michała bliżej poznaje, tem się go więcej czci i szanuje...

To powiedziawszy, weszła do domu. Już w sieni doleciały ich Basine okrzyki: „Ałła! Ałła!“. A gdy weszli do gościnnej izby, zobaczyli na środku pana Nowowiejskiego, z zawiązanemi oczyma, w postawie pochylonej i z wyciągniętemi rękoma, usiłującego złowić Basię, która kryła się po kątach, okrzykiem „Ałła!“ oznajmując swą obecność. Pani stolnikowa zajęta była rozmową pod oknem z panem Zagłobą.

Ale wejście Krzysi i rycerza przerwało zabawę. Nowowiejski chustkę ściągnął i biegł witać. Wraz przypadli stolnikowa, Zagłoba i zdyszana Basia.

— Co tam? co tam? Coć pan hetman powiedział? — pytali jedno przez drugie.

— Pani siostro! — odrzekł Wołodyjowski — jeśli chcesz listy do męża posyłać, to masz okazyę, bo na Ruś jadę!...

— Już cię posyłają! Dla Boga żywego, nie zaciągaj się jeszcze i nie jedź — zawołała żałośnie pani Makowiecka. — Że też ci to chwili czasu nie dadzą!

— Istotnie, funkcyę ci przeznaczono? — pytał zasępiony Zagłoba. — Słusznie pani stolnikowa mówi, że młócą tobą, jak cepami.

— Ruszczyc jedzie do Krymu, a ja po nim chorągiew obejmuję, bo jako pan Nowowiejski już wspomniał, szlaki pewnie się na wiosnę zaczernią.

— Zali my tylko mamy tę Rzeczpospolitą przed złodziejami obszukiwać, jak pies podworce! — zawołał Zagłoba. — Inni nie wiedzą, którym końcem z muszkietu się strzela, a dla nas nigdy spoczynku!

— No, cicho! Niema o czem gadać! — odrzekł Wołodyjowski. — Służba, to służba! Dałem hetmanowi parol, że się zaciągnę, a czy prędzej, czy później, to wszystko jedno...

Tu pan Wołodyjowski przyłożył palec do czoła i powtórzył ów argument, który mu już raz wobec Krzysi posłużył:

— Bo widzicie waćpaństwo, jeślim ja przez tyle lat szczęście odkładał, byle Rzeczypospolitej służyć, jakiemże czołem nie wyrzekłbym się tej pociechy, którą w kompanii waćpaństwa znajduję?

Na to nikt nic nie odpowiedział; jedna tylko Basia przyszła namurmuszona, z buzią wysuniętą naprzód, jak rozdąsane dziecko i rzekła:

— Szkoda pana Michała!

A Wołodyjowski roześmiał się wesoło.

— Bodaj waćpannie los szczęścił! Toć jeszcze wczoraj mówiłaś, że mnie nie cierpisz, jako Tatarzyna dzikiego!

— Ale! jako Tatarzyna! Wcale tego nie mówiłam. Waćpan tam sobie będzie na Tatarzynach używał, a nam tu będzie tęskno!

— Pocieszże się hajduczku (wybacz waćpanna, że cię tak nazywam, ale ci to okrutnie pasuje). Pan hetman zapowiedział mi, że to nie na długo tej komendy. Za tydzień lub za dwa ruszam, a na elekcyę koniecznie mam być w Warszawie. Sam hetman tego pragnie i tak będzie, choćby nawet Ruszczyc z Krymu na maj nie nadążył.

— O, to wybornie!

— Pociągnę i ja z panem pułkownikiem, pewnie pociągnę — rzekł Nowowiejski, bystro patrząc na Basię.

A ona na to:

— Będzie takich, jak waćpan, niemało! Słodka to dla żołnierza rzecz pod takim komendantem służyć. Jedź waćpan, jedź! Będzie panu Michałowi weselej.

Chłopak westchnął tylko i po czuprynie się szeroką dłonią pogładził, wreszcie rzekł, rozstawiając ręce, jak w ślepej babce czynił:

— Ale pierwej pannę Barbarę złapię! dalibóg, złapię!

— Ałła! Ałła! — zawołała, cofając się Basia.

Tymczasem Drohojowska zbliżyła się do Wołodyjowskiego z rozjaśnioną twarzą, cichej radości pełna.

— A niedobry, niedobry dla mnie pan Michał; dla Basi lepszy, niż dla mnie?

— Ja niedobry? ja dla Basi lepszy? — pytał ze zdziwieniem rycerz.

— Basi, to pan powiedział, że na elekcyę wraca, a przecie żebym to była wiedziała, nie byłabym do serca wzięła odjazdu.

— Moje złocist... — zakrzyknął pan Michał.

Ale zaraz się pomiarkował i rzekł:

— Mój przyjacielu kochany! Małom co ci powiedział, bom głowę stracił!

ROZDZIAŁ IX.

Począł się tedy zbierać zwolna pan Michał do odjazdu, nie przestając jednak Basi, którą coraz więcej lubił, lekcyi dawać, ani też przechadzać się sam na sam z Krzysią Drohojowską i pociechy u niej szukać. Zdawało się też, że ją znajduje, bo i humor mu się poprawiał z każdym dniem, a wieczorami brał nawet czasem udział w zabawach Basi z panem Nowowiejskim.

Młody ów kawaler stał się wdzięcznym w Ketlingowym dworze gościem. Przyjeżdżał od rana, albo zaraz z południa i przesiadywał do wieczora, a że lubili go wszyscy, więc i radzi widzieli, tak, że bardzo prędko poczęto go uważać, jako należącego do rodziny. On niewiasty do Warszawy woził, sprawunki dla nich u bławatników czynił, a wieczorami w ślepą babkę z pasyą grywał, powtarzając, że musi koniecznie przed wyjazdem niedoścignioną Basię złowić.

Ale ona wywijała się zawsze, chociaż pan Zagłoba mówił jej:

— Złapie cię wkońcu nie ten, to który inny!

Lecz stawało się rzeczą coraz bardziej jasną, że właśnie ten ją chciał złapać. Nawet i „hajduczkowi“ musiało to

przychodzić do głowy, bo się chwilami zamyślał, aż mu czupryna całkiem na oczy spadała.

Pan Zagłoba miał jednak swoje powody, dla których nie było mu to na rękę. Pewnego wieczora, gdy się już wszyscy rozeszli, zapukał do stancyi małego rycerza.

— Tak mi żal, że się musimy rozstać — rzekł — iż tu przychodzę, aby się jeszcze napatrzyć. Bóg wie, kiedy się zobaczymy!

— Na elekcyę z wszelką pewnością powrócę — odpowiedział, ściskając go, pan Michał — i powiem waści czemu: hetman chce mieć tu w tym czasie jak najwięcej ludzi, w których się szlachta kocha, aby ci ją dla elektora kaptowali. A że, dziękować Bogu, imię moje ma dość miru u współbraci, więc mnie tu pewnie ściągnie. Liczy on i na waćpana.

— Ba! wielkim niewodem mnie łowi, ale tak mi się coś widzi, że chociażem dość gruby, jednakże się przez jakie oko tej sieci prześliznę. Nie będę ja za Francuzem głosował.

— Czemu tak?

— Bo to byłoby absolutum dominium.

— Kondeusz pacta musiałby poprzysiądz, jak każden inny, a wódz to ma być wielki, akcyami wojennemi wsławiony.

— Za łaską Bożą nie potrzebujemy wodzów we Francyi szukać. I sam pan Sobieski pewnie od Kondeusza nie gorszy. Uważ, Michale, że Francuzi tak samo w pończochach chodzą, jak Szwedzi, więc pewnie i tak samo przysiąg nie dotrzymują. Carolus Gustavus gotów ci był co godzina przysięgać. U nich to, jak orzech zgryźć. Co tam pakta, jeśli kto poczciwości nie ma!

— Ale Rzeczpospolita obrony potrzebuje! Ot, żeby taki książę Jeremi Wiśniowiecki żył! Unanimitate-byśmy królem go obrali!

— Żywie syn jego, ta sama krew!

— Ale nie ta fantazya! Żal się Boże na niego patrzeć, bo on do pachołka, niż do księcia z tak zacnej krwie, po-

dobniejszy. Żeby to jeszcze inne czasy były! Ale dziś pierwsza rzecz wzgląd na dobro ojczyzny. To samo ci i Skrzetuski powie. Cokolwiek pan hetman uczyni, to i ja uczynię, bo w jego szczerość dla ojczyzny, jak w ewangielię, wierzę.

— I! czas o tem myśleć. Gorzej to, że teraz jedziesz.

— A waćpan co uczynisz?

— Wrócę do Skrzetuskich. Basałyki mnie tam czasem oprymują, ale jednak, gdy ich długo nie widzę, to mi za nimi tęskno.

— Jeśli po elekcyi będzie wojna, to i Skrzetuski ruszy. Ba! kto wie, czy i waćpan w pole jeszcze nie wyciągniesz. Może razem na Rusi będziem wojować. Tyleśmy w tamtych stronach zaznali złego i dobrego!

— Prawda! jak mi Bóg miły! tam nam najlepsze lata spłynęły. Chciałoby się czasem zobaczyć wszystkie owe miejsca, które świadkami naszej chwały były.

— To jedź waść teraz ze mną. Będzie nam wesoło, a za pięć miesięcy wrócim tu znowu do Ketlinga. Będzie i on wówczas i Skrzetuscy...

— Nie, Michale, teraz mi niepora, ale zato przyrzekam ci, że jeśli się z jaką panną, majętność na Rusi mającą, ożenisz, tedy cię tam odprowadzę i na instalacyi waszej będę...

Wołodyjowski zmieszał się nieco, ale zaraz odparł:

— Gdzie mnie tam żeniaczka w głowie. Najlepszy masz waść dowód w tem, że do wojska ruszam.

— Toż to mnie i trapi, bo ja myślałem: nie jedna, to druga. Michale, miej Boga w sercu, zastanów się, gdzie i kiedy znajdziesz lepszą sposobność, jako właśnie masz w tej chwili. Pomnij, że przyjdą później lata, w których powiesz sobie: każden ma żonę, dzieci, a ja sam, niby maćkowa grusza, w polu sterczę. I żal cię chwyci i tęskność okrutna. Bo żebyś był onę niebogę poślubił, żeby ci dzieci zostawiła, no! dałbym spokój; już miałbyś dla afektów upust jakowyś i gotową pociechy nadzieję, ale tak, jak jest, może przyjść godzina, że próżno blizkiego ducha będziesz

koło siebie szukał i że sam siebie spytasz: zali ja w cudzoziemskim kraju mieszkam?

Wołodyjowski milczał, rozważał, więc pan Zagłoba znów mówić począł, bystro patrząc w twarz małego rycerza:

— W imaginacyi i w sercu, owego różowego hajduczka w pierwszym rzędzie ci wyznaczyłem, bo primo: to złoto, nie dziewka, a secundo: tak jadowitych żołnierzy, jakich wybyście na świat wydali, jeszcze chyba na ziemi nie bywało...

— To wicher; zresztą już tam Nowowiejski chce z niej ognia wykrzesać.

— Otóż to, otóż to! Dziśby ona pewnie jeszcze ciebie wolała, gdyż się w sławie twojej kocha; ale gdy pojedziesz, a on zostanie, wiem zaś, że szelma zostanie, bo to nie żadna wojna, to kto wie, co będzie.

— Baśka wicher! Niech ją Nowowiejski bierze. Szczerze mu życzę, bo to setny chłop.

— Michale! — rzekł, składając ręce Zagłoba — pomyśl, coby to było za potomstwo!

Na to mały rycerz odpowiedział bardzo naiwnie:

— Znałem dwóch Balów, którzy z Drohojowskiej byli urodzeni, a też byli żołnierze wyborni.

— Ha! tum cię czekał! W tę stronę skręcasz? — krzyknął Zagłoba.

Wołodyjowski zmieszał się nadzwyczajnie. Przez chwilę wąsikami tylko ruszał, chcąc owym ruchem konfuzyę pokryć; nareszcie rzekł:

— Co waćpan mówisz! W żadną ja stronę nie skręcam, jeno gdyś fantazyę Basi, istotnie kawalerską, wspomniał, zaraz mi po prostu przyszła na myśl Krzysia, w której bardziej białogłowska natura obrała sobie rezydencyę. Gdy się o jednej mówi, to druga przychodzi do głowy, bo są razem.

— Dobrze, dobrze! Boże ci i z Krzysią błogosław, chociaż, jak mi Bóg miły, gdybym był chłopem, tobym się w Basi na zabój kochał. Mając taką żonę, nie potrzebujesz, w razie wojny, w domu jej ostawiać, ale możesz ją w pole

wziąć i przy boku mieć. Taka ci się i pod namiotem przygodzi; a przyjdzie na nią termin, choćby w czasie bitwy, to ci jeszcze będzie, bodaj z jednej ręki, z rusznicy grzmieć. A zacneż to, a poczciwe! Ej, mój hajduczku kochany, nie poznali się tu na tobie i niewdzięcznością nakarmili, ale żebym miał tak o kopę lat mniej, wiedziałbym, kto ma być z domu Zagłobina!

— Ja Basi nie ujmuję!

— Nie o to chodzi, żebyś jej cnót nie ujmował, jeno, żebyś jej męża dodał. Ale ty Krzysię wolisz!

— Krzysia jest mi przyjacielem.

— Przyjacielem, nie przyjaciółką? To chyba dlatego, że ma wąsy! Przyjacielem jestem ci ja, przyjacielem Skrzetuski i Ketling. Tobie nie przyjaciela potrzeba, ale przyjaciółki. Powiedz to sobie jasno i klimkiem w oczy nie rzucaj. Strzeż się, Michale, przyjaciela płci białogłowskiej, chociażby miał wąsiki, bo albo ty jego zdradzisz, albo on ciebie zdradzi. Dyabeł nie śpi i rad między takimi przyjaciółmi siada, a egzemplum: Adam i Ewa, którzy, jak się zaczęli przyjaźnić, tak aż Adamowi kością w gardle owa amicycya stanęła.

— Waćpan Krzysi nie ubliżaj, bo tego żadną miarą nie zniosę!

— A niech tam Bóg jej cnotę sekunduje! Niemasz nad mojego hajduczka, ale i to dobra dziewka! Nie ubliżam ja jej wcale, jeno to ci powiem, że gdy przy niej siedzisz, tak ci policzki płomienieją, jakoby kto wyszczypał, i wąsikami ruszasz, i czub ci się jeży, i sapiesz, i drepczesz, i wydeptujesz, jak grzywacz, a to są wszystko signa żądz. Gadaj innemu o amicycyi, bo ja za stary wróbel!

— Tak stary, że widzisz waćpan i to, czego niema.

— Bodajbym się mylił! Bodaj o mojego hajduczka chodziło! Michał, dobranoc ci! Bierz hajduczka! hajduczek jeszcze gładszy! Bierz hajduczka, bierz hajduczka!...

To rzekłszy, pan Zagłoba wstał i wyszedł z izby.

Pan Michał rzucał się całą noc i nie mógł spać, bo mu niespokojne myśli przez całą noc po głowie chodziły. Przed

oczyma widział twarz Drohojowskiej, jej oczy z długiemi rzęsami i usta puszkiem okryte. Chwilami brała go drzemota, ale wizye nie ustępowały. Budząc się, myślał o słowach Zagłoby i przypominał sobie, jak rzadko dowcip tego męża w czemkolwiek zawodził. Czasem mignęło przed nim w pół śnie, w pół jawie, różowe oblicze Basi i widok ten uspakajał go; ale znowu wnet Basię zastępowała Krzysia. Obróci się biedny rycerz do ściany, widzi jej oczy; obróci się ku ciemności w izbie, widzi jej oczy, a w nich jakąś omdlałość, jakąś zachętę. Chwilami te oczy przymykały się jakby chcąc mówić: „Dziej się wola twoja!“ Pan Michał aż siadał na łożu i żegnał się.

Nad ranem sen uleciał od niego zupełnie. Natomiast stało mu się ciężko, przykro. Ogarnął go wstyd i gorzkie począł sobie czynić wyrzuty, że nie tamtę kochaną, umarłą, przed sobą widział, nie tamtej miał pełne oczy, serce, duszę, ale tej, żyjącej. Zdało mu się, iż zgrzeszył przeciw pamięci Anusi, więc wstrząsnął się raz, drugi i skoczywszy z łoża, chociaż jeszcze było ciemno, począł odmawiać pacierze poranne.

A gdy je skończył, przyłożył sobie palec do czoła i rzekł:

— Trzeba coprędzej jechać, a onę amicycyę zaraz pohamować, bo pan Zagłoba może mieć słuszność...

Poczem już weselszy i spokojniejszy, zeszedł na śniadanie. Po śniadaniu fechtował się z Basią i zauważył, zapewne po raz pierwszy, że aż oczy rwała, tak była ładna ze swemi rozdętemi chrapkami i zdyszaną piersią.

Krzysi zdawał się unikać, która, spostrzegłszy to, wodziła za nim rozszerzonemi ze zdziwienia oczyma. Lecz on unikał nawet jej wzroku. Serce mu się krwawiło, ale wytrzymał.

Po obiedzie chodził z Basią do lamusa, gdzie Ketling miał drugi skład oręża. Pokazywał jej różne bronie, tłómaczył ich użytek. Potem strzelali do celu z astrachańskich łuków.

Dziewczyna była uszczęśliwiona z zabawy i roztrzepotała się, jak nigdy, aż pani stolnikowa musiała ją hamować.

Tak upłynął dzień drugi. Na trzeci pojechali obaj z Zagłobą do Warszawy, do Daniłowiczowskiego pałacu, aby się czegoś o terminie wyjazdu dowiedzieć, wieczorem zaś oświadczył pan Michał białogłowom, że za tydzień z pewnością rusza.

Mówiąc to, starał się mówić niedbale i wesoło. Na Krzysię ani spojrzał.

Zaniepokojona panna próbowała go pytać o różne rzeczy; odpowiadał grzecznie, przyjaźnie, ale więcej z Basią przestawał.

Zagłoba, sądząc, że to skutek jego rad poprzednich, zacierał z radością ręce. Że jednak przed okiem jego nic ukryć się nie mogło, więc dostrzegł smutek Krzysi.

— Zalterowała się! zalterowała się widocznie — myślał sobie. — No! nic to! Zwyczajnie białogłowska natura. Ależ Michał z miejsca nawrócił, prędzej, niżem się spodziewał. Setny to chłop, wszelako wicher w afektach był i wicher będzie!

Ale pan Zagłoba miał naprawdę dobre serce, więc naraz mu się żal Krzysi zrobiło.

— Directe nic jej nie powiem — rzekł sobie — ale jakowąś pociechę muszę jej obmyślić.

Zaczem, korzystając z przywileju, jaki mu dawał wiek i biała głowa, podszedł ku niej po wieczerzy i począł ją gładzić po jedwabistych, czarnych włosach. A ona siedziała cicho, podnosząc ku niemu swoje łagodne oczy, nieco zdziwiona taką czułością, ale wdzięczna.

Wieczorem, przy drzwiach izby, w której sypiał Wołodyjowski, Zagłoba trącił go w bok.

— A co? — rzekł — niemasz nad hajduczka!

— Miła koza! — odparł Wołodyjowski. — Sama jedna za czterech żołnierzy naczyni warchołu po komnatach. Dobosz z niej prawdziwy.

— Dobosz? Daj-że jej Boże, by co rychlej z twoim bębnem chodziła!

— Dobranoc waćpanu!

— Dobranoc! Dziwne stworzenia te białogłowy! Żeś to się do Baśki trochę przysunął, uważałeś Krzysiną alteracyę?...

— Nie.. uważałem! — odparł mały rycerz.

— Jakoby ją kto z nóg ściął!

— Dobranoc waćpanu! — powtórzył Wołodyjowski i wszedł prędko do swojej izby.

Pan Zagłoba, licząc na wichrowatość małego rycerza, przeliczył się jednak nieco i wogóle postąpił niezręcznie, mówiąc mu o Krzysinej alteracyi, bo pan Michał tak się tem wzruszył od razu, że go aż coś za gardło chwyciło.

— A to jej się wypłacam za jej przychylność, za to, że mnie, jako siostra, w smutku pocieszała. — mówił sobie. — Ba! cóżem to jej złego uczynił? — pomyślał po chwili zastanowienia. — Com uczynił? Postponowałem ją przez trzy dni, co było nawet i niepolitycznie! Postponowałem słodką dziewkę, kochane stworzenie! Za to, że mi chciała vulnera goić, niewdzięcznością ją nakarmiłem... Żebym to umiał — mówił dalej — miarę zachować i hamując nieprzezpieczną amicycyę, potrafił jej nie postponować; ale widać dowcip mam na taką politykę za tępy...

I zły był pan Michał na siebie, a zarazem wielka litość ozwała mu się w piersiach.

Mimowoli począł myśleć o Krzysi, jak o kochanem, a pokrzywdzonem stworzeniu. Zawziętość przeciw sobie samemu rosła w nim z każdą chwilą.

— Barbarus jestem, barbarus! — powtarzał.

I Krzysia całkiem pogrążyła Basię w jego myśli.

— Niech kto chce bierze tę kozę, ten młyn, tę kołatkę! — mówił do siebie. — Nowowiejski, czy dyabeł, wszystko mi jedno!

Gniew wzbierał w nim na Bogu ducha winną Basię, ale ani razu nie przyszło mu po głowy, że ją tym gniewem więcej może pokrzywdzić, niż Krzysię udaną obojętnością.

Krzysia instynktem niewieścim odgadła natychmiast, że w panu Michale dokonywa się jakaś przemiana. Jednocze-

śnie było jej przykro i smutno, że mały rycerz zdawał się jej unikać, a zarazem rozumiała, że coś się między nimi musi przeważyć i że nie będą się już po staremu przyjaźnili, tylko albo daleko więcej, niż dotąd, albo wcale.

Więc ogarniał ją niepokój, który powiększał się na myśl o prędkim wyjeździe pana Michała. W sercu Krzysi nie było jeszcze miłości. Jeszcze jej sobie dziewczyna nie zeznała. Natomiast i w jej sercu i we krwi była wielka gotowość do kochania.

Być może także, że czuła już lekki zawrót głowy. Wołodyjowskiego otaczała przecie sława pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej. Wszystkie usta rycerskie powtarzały ze czcią jego imię. Siostra wynosiła pod niebo jego zacność; okrywał go urok, nieszczęście i w dodatku panienka, żyjąc z nim pod jednym dachem, przyzwyczaiła się do jego urody.

Krzysia miała to w swojej naturze, że lubiła być kochaną; więc gdy w tych ostatnich dniach pan Michał począł obchodzić się z nią obojętnie, miłość własna ucierpiała w niej wielce; ale mając z natury dobre serce, postanowiła panienka nie pokazywać mu ni gniewnej twarzy, ni zniecierpliwienia i przejednać go sobie dobrocią.

Przyszło jej zaś to tem łatwiej, że na drugi dzień pan Michał miał minę skruszoną i nie tylko nie unikał Krzysinego wzroku, ale w oczy jej patrzył, jakby chciał mówić: „Wczoraj cię postponowałem, a dziś przepraszam".

I tyle jej mówił oczyma, że pod wpływem tych spojrzeń krew napływała pannie do twarzy, a niepokój jej zwiększał się jeszcze, jakby w przeczuciu, że bardzo prędko coś ważnego się zdarzy. Jakoż i zdarzyło się. Po południu pani stolnikowa pojechała z Basią do Basinej krewnej, pani podkomorzyny lwowskiej, która bawiła w Warszawie, Krzysia zaś umyślnie udała, że jej ból głowy dolega, bo ją ciekawość chwyciła: co też sobie powiedzą z panem Michałem, gdy zostaną sam na sam?

Pan Zagłoba nie pojechał wprawdzie także do pani podkomorzyny, ale natomiast miewał zwyczaj sypiać po obie-

dzie, czasem i przez parę godzin, bo mówił, że go to od ociężałości broni i dowcip daje mu wieczorem pogodny; więc istotnie, pobaraszkowawszy jeszcze z godzinę, począł się zbierać do swojej stancyi. Krzysi serce zabiło zaraz niespokojniej.

Ale jakież czekało ją rozczarowanie! Oto pan Michał zerwał się i wyszedł z nim razem.

— Nadejdzie niebawem — pomyślała Krzysia.

I wziąwszy bębenek, poczęła na nim wyszywać złocisty wierzch do czapki, którą chciała panu Michałowi na drogę podarować.

Oczy jej podnosiły się jednak co chwila i biegły aż do gdańskiego zegara, który, stojąc w kącie Ketlingowej bawialni, tykał poważnie.

Ale upłynęła jedna godzina i druga, pana Michała nie było widać.

Panna położyła bębenek na kolanach i skrzyżowawszy na nim dłonie, rzekła półgłosem:

— Boi się, ale nim się odważy, mogą przyjechać i nic sobie nie powiemy. Albo pan Zagłoba się obudzi...

Zdawało jej się w tej chwili, że mają naprawdę o jakiejś ważnej mówić sprawie, która może pójść w odwłokę z winy Wołodyjowskiego.

Nakoniec jednak kroki jego dały się słyszeć w przyległej izbie.

— Krąży — rzekła panna i poczęła znów pilnie wyszywać.

Wołodyjowski rzeczywiście krążył; chodził po komnacie i wejść nie śmiał; a tymczasem słońce stawało się czerwone i zbliżało się ku zachodowi.

— Panie Michale! — zawołała nagle Krzysia.

Wszedł i zastał ją szyjącą.

— Waćpanna mnie wołała?

— Chciałam wiedzieć, czy to nie kto obcy chodzi... Sama tu jestem od dwóch godzin...

Wołodyjowski przysunął krzesło i przysiadł się na brzeżku,

Upłynęła długa chwila; milczał, nogami nieco szurgał, zasuwając je coraz głębiej pod stołek i wąsikami ruszał, Krzysia przestała szyć i podniosła na niego wzrok; spojrzenia ich spotkały się, a potem nagle spuścili oboje oczy...

Gdy Wołodyjowski podniósł je znowu, na twarz Krzysi padały ostatnie blaski słońca, a była w nich śliczna. Włosy jej błyszczały na zagięciach, jak złote.

— Za parę dni waćpan wyjedzie? — rzekła tak cicho, iż pan Michał ledwie mógł dosłyszeć.

— Nie może inaczej być!

I znów nastała chwila milczenia, po której Krzysia zaczęła mówić:

— Myślałam w ostatnich dniach, że waćpan zagniewał się na mnie...

— Jako żywo! — zawołał Wołodyjowski — byłbym niegodzien spojrzenia waćpanny, gdybym był to uczynił, ale nie to było.

— A co było? — pytała Krzysia, podnosząc nań znów oczy.

— Wolę szczerze mówić, bo tak myślę, że zawsze szczerość od symulowania więcej warta... Ale... ale tego nie potrafię wypowiedzieć, ile mnie waćpanna wlewałaś pociechy do serca i jaką ja wdzięczność dla niej żywiłem!

— Bodajby tak zawsze było! — odpowiedziała Krzysia, splatając na bębenku ręce.

A na to pan Michał ze smutkiem wielkim:

— Bodajby! bodajby było... Ale mnie pan Zagłoba powiedział... (tak mówię przed waćpanną, jako przed księdzem) pan Zagłoba powiedział, że amicycya z białogłowami nieprzezpieczna rzecz, bo snadnie, jako żar pod popiołem, gorętszy afekt pod nią skrywać się może. Ja zaś pomyślałem, że pan Zagłoba może mieć racyę i — przebacz waćpanna prostakowi żołnierzowi — innyby to misterniej wywiódł, a mnie... jeno się serce krwawi, żem waćpannę przez te ostatnie dni postponował... i żyć mi nie miło...

To rzekłszy, pan Michał począł ruszać wąsikami tak szybko, jak żaden żuk nie rusza.

Krzysia spuściła głowę i po chwili dwie łezki poczęły jej płynąć po policzkach.

— Jeśli tak waćpanu będzie spokojniej, jeśli mój siostrzyński afekt nic potem, to ja go ukryję...

I drugie dwie łezki, potem trzecie ukazały się na jej jagodach.

Ale na ten widok rozdarło się w panu Michale serce do reszty; skoczył do Krzysi i porwał jej ręce. Bębenek potoczył się z jej kolan aż na środek pokoju, rycerz jednak na nic nie zważał, tylko do ust przyciskał te ciepłe, miękkie, aksamitne dłonie, powtarzając:

— Nie płacz waćpanna! Dla Boga! nie płacz!

Nie przestał zaś całować tych dłoni nawet i wówczas, gdy Krzysia, jak zwykle czynią ludzie we frasunku, założyła je na głowę; owszem, całował je tem goręcej, aż ciepło, bijące od jej włosów i czoła, upoiło go, jak wino i pomieszało mu zmysły.

Wówczas sam nie wiedział: jak i kiedy, usta jego obsunęły się na jej czoło i całowały je jeszcze goręcej; potem zasię obsunęły się na jej spłakane oczy i świat zakręcił się z nim zupełnie; potem uczuł ów puszek delikatniuchny nad jej ustami; potem usta ich połączyły się i przycisnęły do siebie długo i z całej mocy. Cicho uczyniło się w komnacie, tylko zegar tykał poważnie.

Nagle w sieni rozległo się tupotanie Basi i jej dziecinny głos, powtarzający:

— Mróz! mróz! mróz!

Wołodyjowski odskoczył od Krzysi, jak spłoszony ryś od ofiary, a w tej chwili wleciała z hałasem Baśka, powtarzając ciągle:

— Mróz! mróz! mróz!

Nagle potknęła się o bębenek, leżący na środku pokoju. Wówczas stanęła i spogiądając ze zdziwieniem to na bębenek, to na Krzysię, to na pana małego, rzekła:

— Cóż to? Godziliście w siebie wzajem, jako pociskiem?...

— A gdzie ciotula? — spytała Drohojowska, starając

się wydobyć ze swej falującej piersi spokojny i naturalny głos.

— Ciotula z sanek powoli wyłazi — odrzekła również zmienionym głosem Basia.

I ruchliwe jej nozdrza poruszyły się kilkakrotnie. Spojrzała jeszcze po razu na Krzysię i na pana Wołodyjowskiego, który przez ten czas podniósł bębenek, poczem nagle wyszła z pokoju.

Ale w tej chwili wtoczyła się pani stolnikowa, zeszedł i pan Zagłoba z góry i poczęła się rozmowa o pani podkomorzynie lwowskiej.

— Nie wiedziałam, że to chrzestna matka pana Nowowiejskiego — rzekła pani stolnikowa — któren też musiał jej jakoweś konfidencye poczynić, bo okrutnie nim Basię prześladowała.

— A Basia co na to? — spytał Zagłoba.

— I, co tam Basia! Na psa łyko! Powiedziała pani podkomorzynie: „On nie ma wąsów, a ja rozumu — i nie wiadomo, kto się pierwej swego doczeka“.

— Wiedziałem, że ona języka nie zgubi, ale kto ją tam wie, co naprawdę myśli. Chytrość białogłowska!

— U Basi, co w sercu, to w gębie. Zresztą mówiłam już waćpanu, że ona jeszcze woli Bożej nie czuje; Krzysia więcej!

— Ciotula! — ozwała się nagle Krzysia.

Dalszą rozmowę przerwał sługa, który oznajmił, że wieczerza podana. Poszli więc wszyscy do jadalnej izby, tylko Basi nie było.

— Gdzie panienka? — spytała pani stolnikowa pachołka.

— Panienka w stajni. Mówiłem panience, że wieczerza idzie, a panienka powiedziała: „dobrze“ i poszła do stajni.

— Zaliby się jej co niemiłego przygodziło? Taka była wesoła! — rzekła, zwracając się do Zagłoby, pani Makowiecka.

Wtem mały rycerz, który miał sumienie niespokojne, rzekł:

— Skoczę po nią!

I skoczył. Znalazł ją rzeczywiście zaraz za stajennemi drzwiami, siedzącą na wiązce siana. Była tak zamyślona, że wcale go nie dostrzegła, gdy wchodził.

— Panno Barbaro! — rzekł mały rycerz, schylając się nad nią.

Basia drgnęła, jakby ze snu zbudzona i podniosła nań oczy, w których Wołodyjowski dostrzegł, z największem zdziwieniem, dwie łzy wielkie, jak perły.

— Dla Boga! Co waćpannie jest? Płaczesz?

— Ani mi się śni! — zawołała, zrywając się Basia. — Ani mi się śni! To z mrozu!

I roześmiała się wesoło, ale śmiech to był nieco przymuszony.

Następnie, chcąc odwrócić od siebie uwagę, wskazała na klatkę, w której stał dzianet, podarowany panu Wołodyjowskiemu przez hetmana i rzekła żywo:

— Waćpan mówiłeś, że do tego konia wchodzić nie można? Otóż zobaczymy!

I nim pan Michał zdążył ją zatrzymać, skoczyła do klatki. Dziki rumak począł zaraz przysiadać na zadzie, tupać i tulić uszy.

— Dla Boga! on waćpannę gotów zabić! — krzyknął Wołodyjowski, wskakując za nią.

Ale Basia poczęła już klepać całą dłonią po karku dzianeta, powtarzając:

— Niech zabije! niech zabije! niech zabije!...

A koń zwrócił ku niej dymiące nozdrza i rżał z cicha, jakby rad z pieszczoty.

ROZDZIAŁ X.

Niczem były wszystkie noce Wołodyjowskiego, w porównaniu z tą, jaką spędził po owem zajściu z Krzysią. Bo oto zdradził pamięć swojej zmarłej, której wspomnienie kochał przecie; zawiódł ufność tej żyjącej, nadużył przyjaźni, zaciągnął jakoweś zobowiązania, postąpił, jak człowiek

bez sumienia. Inny żołnierz byłby sobie nic nie robił z jednego takiego pocałunku i co najwięcej, na wspomnienie o nim wąsa pokręcił; ale pan Wołodyjowski, zwłaszcza od śmierci Anusinej, był skrupulatem, jak każdy człowiek, mający duszę zbolałą i serce rozdarte. Co mu zatem teraz pozostało do roboty? Jak miał postąpić?

Brakło już tylko kilku dni do jego odjazdu, któren odjazd mógł wszystko przeciąć i zakończyć. Ale czy godziło się odjeżdżać i słowa Krzysi nie rzec i zostawić ją tak, jak się pierwszą lepszą dziewkę pokojową zostawia, której się całusa ukradnie? Wzdrygało się na tę myśl waleczne serce małego rycerza. Nawet w takiej rozterce, w jakiej był w tej chwili, myśl o Krzysi napełniała go słodyczą, a wspomnienie owego pocałunku przejmowało dreszczem rozkosznym.

Wściekłość go brała z tego powodu na samego siebie, a jednak obronić się uczuciu słodyczy i rozkoszy nie mógł. Zresztą całą winę brał na siebie.

— Jam do tego Krzysię przywiódł — powtarzał sobie z goryczą i boleścią — jam ją przywiódł, zaczem nie godzi mi się i odjeżdżać bez słowa.

Więc co? Oświadczyć się i odjechać Krzysinym narzeczonym?

Tu ubrana biało i sama bielusieńka, jakby woskowa, postać Anusi Borzobohatej stawała przed oczyma rycerza, taka, jaką ją w trumnie złożył.

— Tyle mi się należy — mówiła owa postać — byś mnie żałował i za mną tęsknił. Mnichem z początku chciałeś zostać, całe życie mnie płakać, a teraz inną bierzesz, nim moja duszyczka zdołała do bram niebieskich dolecieć. Ach! poczekaj! niech pierwej do niebios trafię, niech na tę ziemię patrzeć przestanę...

I zdawało się rycerzowi, że jest jakimś krzywoprzysięzcą względem tej duszki jasnej, której pamięć winien był czcić i przechowywać, jak świętość. Brał go żal i wstyd niezmierny i pogarda dla samego siebie. Śmierci pragnął.

— Anulu! — powtarzał na klęczkach — jać cię do śmierci płakać nie przestanę, ale co mam teraz czynić?

Bieluchna postać nie odpowiadała na to nic, rozpraszając się, jak mgła lekka, a natomiast zjawiały się w wyobraźni rycerza oczy Krzysi i jej usta puszkiem pokryte, a wraz z niemi pokusy, z których otrząsał się biedny żołnierz, jako ze strzał tatarskich.

Tak wahało się serce rycerza na obie strony, w niepewności, zmartwieniu, męce. Chwilami przychodziło mu do głowy, żeby pójść, wszystko wyznać panu Zagłobie i poradzić się tego męża, którego rozum umiał każdej trudności sprostać. Przecie on wszystko przewidział, przecie on z góry przepowiedział: co to jest z białogłowami w „amicycyę“ wchodzić...

Ale właśnie ten wzgląd wstrzymywał małego rycerza. Przypomniał sobie, jak ostro zakrzyknął na pana Zagłobę: „Waćpan Krzysi nie ubliżaj!“ I ot, kto ubliżył Krzysi? Kto teraz namyślał się, czy nie lepiej ją, jako pokojową, zostawić, a samemu odjechać?

— Żeby nie tamta nieboga, to jabym się i minuty nie namyślał — rzekł do siebie mały rycerz — zaczembym i zgoła się nie martwił, owszem, radowaćby mi się w duszy, żem takiego specyału zakosztował!

Po chwili zaś mruknął:

— Zakosztowałbym ja go chętnie i sto razy!

Widząc jednak, że na nowo pokusy go opadają, otrząsnął się z nich mocno i tak począł rozumować:

— Stało się! Skorom raz postąpił, jak ten, któren nie amicycyi pragnie, ale od Kupidyna kontentacyi wygląda, to już muszę tą drogą iść i powiedzieć jutro Krzysi, że ją chcę pojąć.

Tu zastanowił się chwilę, poczem tak dalej rozmyślał:

— ...Przez którą deklaracyę i owa dzisiejsza konfidencya zgoła jakowejś poczciwości nabierze i jutro nowych będę mógł zaraz sobie pozwol...

Lecz w tem miejscu uderzył się dłonią po ustach.

— Tfu! — rzekł — chyba cały czambuł dyabłów za kołnierzem mi siedzi!

Ale już myśli o oświadczynach nie zaniechał, rozumując sobie po prostu, że jeśli przez to kochanej zmarłej uchybi, to mszami może ją przebłagać i pobożnością, czem zarazem jej okaże, że wciąż pamięta i świadczyć jej nie przestaje.

Zresztą, jeśli i będą się ludzie dziwić a naśmiewać, że parę niedziel temu mnichem z żałości chciał zostać, a teraz już się drugiej z afektem oświadczył, to wstyd będzie tylko po jego stronie, gdy w przeciwnym razie musiałaby się niewinna Krzysia i wstydem i winą z nim dzielić.

— Tedy będę jutro deklarował, nie może inaczej być! — rzekł wkońcu.

Poczem uspokoił się znacznie, a odmówiwszy pacierze i pomodliwszy się żarliwie za Anusię, zasnął.

A nazajutrz, obudziwszy się, powtórzył:

— Dziś będę deklarował!...

Jednakże nie było to tak łatwem, bo nie chciał pan Michał wszystkim o tem oznajmiać, jeno z Krzysią naprzód pomówić, a potem postąpić, jak wypadnie. Tymczasem od rana przyjechał pan Nowowiejski i wszędy go było pełno.

Krzysia chodziła, jak struta, przez cały dzień; była blada, zmęczona i co chwila spuszczała oczy; czasem rumieniła się tak, że kolory biły jej aż na szyję; czasem usta drgały jakby do płaczu; to znów była jakaś senna i omdlała.

Trudno było rycerzowi się do niej zbliżyć, a zwłaszcza pozostać dłużej sam na sam. Mógł ją wprawdzie wyprowadzić po prostu za dom na przechadzkę, bo pogoda była cudna i dawniej byłby to bez żadnego skrupułu uczynił; ale teraz nie śmiał, bo mu się zdało, że wszyscy zaraz domyślą się, o co mu chodzi — wszyscy deklaracyę odgadną.

Na szczęście wyręczył go Nowowiejski. Ten, odwiódłszy na bok panią stolnikową, rozmawiał z nią o czemś dość długo; potem wrócili oboje do izby, w której siedział mały

rycerz z dwiema pannami, oraz z panem Zagłobą i pani stolnikowa rzekła:

— Ot, przejechalibyście się młodzi saniami we dwie pary, bo od śniegu aż skry idą.

Na to Wołodyjowski pochylił się prędko do ucha Krzysi i rzekł:

— Zaklinam waćpannę, byś siadła ze mną... Siła mam do mówienia

— Dobrze — odpowiedziała Drohojowska.

Poczem obaj z Nowowiejskim skoczyli do stajni, a Basia z nimi trzecia i w kilka pacierzy dwoje sanek zajechało przed dom. Wołodyjowski z Krzysią siedli w jedne, Nowowiejski z hajduczkiem w drugie i ruszyli bez woźniców.

Zaś pani Makowiecka zwróciła się do Zagłoby i rzekła:

— Pan Nowowiejski o Basię deklarował.

— Jakże to? — spytał niespokojnie Zagłoba.

— Pani podkomorzyna lwowska, jego chrzestna matka, ma tu jutro przyjechać ze mną się rozmówić, zaś pan Nowowiejski prosił mnie, by mógł, choć z daleka, Basię wyrozumieć, bo sam pojmuje, że jeśli Basia nie jest mu przyjacielem, to próżne będą fatygi i zachody.

— I dlatego waćpani dobrodziejka wyprawiłaś ich do sani?...

— Dlatego. Mąż mój wielki skrupulat. Nieraz on mi mówił: „Majętnościami ja się opiekuję, ale męża niech sobie każda sama wybiera; byle był uczciwy, to ja się nie sprzeciwię, choćby i w fortunie była różnica“. Zresztą, obie z Krzysią mają lata i mogą sobą rządzić.

— A co waćpani zamierzasz, pani podkomorzynie lwowskiej odpowiedzieć?

— Mój mąż przyjeżdża w maju; na niego to zdam; ale tak myślę, że jak Basia zechce, tak będzie.

— Nowowiejski młodzik!

— Ale sam Michał powiadał, że żołnierz znamienity wojennemi akcyami już wsławiony. Fortunę grzeczną ma, a koligacye wszystkie pani podkomorzyna mi wyłuszczyła.

Widzi waćpan, to było tak: jego pradziad, urodzony z kniaziówny Sieniutówny, primo voto był żonaty...

— Co mnie do jego koligacyi! — przerwał Zagłoba, nie tając złego humoru — ni on mi brat, ni swat, a ja powiadam waćpani, że hajduczka dla Michała przeznaczyłem, bo jeśli między dziewkami, które na dwóch nogach chodzą po świecie, jest od niej lepsza i poczciwsza, to niech ja od tej chwili zacznę chodzić na czterech, jako ursus!

— Michał jeszcze o niczem nie myśli, a choćby i myślał, to jemu więcej Krzysia w oko wpadła... Ha! Bóg to zdecyduje, którego wyroki są niezbadane!

— Ale żeby ten gołowąs z harbuzem wyjechał, upiłbym się z radości! — dodał Zagłoba.

Tymczasem w obu saniach ważyły się losy rycerzy. Pan Wołodyjowski długo nie mógł się zdobyć na słowo, nareszcie tak ozwał się do Krzysi:

— Waćpanna nie myśl, żebym ja był człek lekki, albo jakowyś mydłek, bo mi i lata nie po temu.

Krzysia nic nie odrzekła.

— Waćpanna mi przebacz to, com wczoraj uczynił, bo to było z tak ekstraordynaryjnej dla waćpanny życzliwości, żem jej zgoła pohamować nie umiał... Moja mościa panno, moja Krzysiu kochana, zważ, ktom jest, żem prosty żołnierz, któremu wiek życia na wojnach zeszedł... Inny byłby naprzód oracyą się popisał, a potem do konfidencyi przystąpił, ja zaś od konfidencyi zacząłem... Pomnij też na to, że jeśli koń, chociaż i wyjeżdżony, człowieka czasem, na kieł wziąwszy, uniesie — jakże afekt nie ma unosić, którego pęd jest większy? Tak to i mnie afekt uniósł, dlatego właśnie, żeś mi miła... Moja Krzysiu kochana! kasztelanów i senatorów tyś godna; ale jeśli nie pogardzisz żołnierzem, który choć i w prostym stanie służył ojczyźnie nie bez jakowejś sławy, tedy ja ci do nóg padam, nogi twoje całuję i pytam: chcesz-że mnie? możesz-li bez abominacyi o mnie pomyśleć?

— Panie Michale!... — odpowiedziała Krzysia.

I ręka jej, wysunąwszy się z zarękawka, ukryła się w dłoni rycerza.

— Zgadzasz się? — pytał Wołodyjowski.

— Tak! — odrzekła Krzysia — i wiem, że zacniejszego w całej Polsce nie mogłabym znaleźć!

— Bóg waćpannie zapłać! Bóg ci zapłać, Krzychna! — mówił rycerz, pokrywając pocałunkami tę rękę. — Już też nie mogła mnie większa spotkać szczęśliwość! Powiedz mi jeno, że się nie gniewasz za wczorajszą konfidencyę, abym i na sumieniu miał ulgę?

Krzysia zmrużyła oczy.

— Nie gniewam się! — rzekła.

— Że to w tych saniach niema jak po nogach całować! — zakrzyknął Wołodyjowski.

Czas jakiś sunęli w milczeniu, tylko płozy świszczały po śniegu i z pod końskich kopyt padał grad grudek śniegowych.

Poczem Wołodyjowski znów ozwał się:

— Aż mi to dziwno, że mnie nawidzisz!

— Więcej to dziwno, odrzekła Krzysia — żeś waćpan mnie tak prędko pokochał...

Na to twarz Wołodyjowskiego spoważniała bardzo i tak mówić począł:

— Krzysiu, może i tobie się to źle wydaje, że nimem się z boleści otrząsnął po jednej, jużem drugą pokochał. Wyznaję ci też, jako na spowiedzi, że swego czasu bywałem płochy. Ale teraz to inna rzecz. Nie zapomniałem ja tamtej niebogi i nie zapomnę jej nigdy; miłuję ją dotąd i gdybyś wiedziała, ile jest po niej płaczu we mnie, samabyś nade mną zapłakała...

Tu zbrakło głosu małemu rycerzowi, bo się wzruszył bardzo i może dlatego nie spostrzegł, że te słowa jego nie zdawały się czynić na Krzysi zbyt mocnego wrażenia.

Więc znów zapadła cisza chwilowa, ale tym razem przerwała ją Krzysia:

— Będę się starała waćpana pocieszać, ile sił starczy.

Na to mały rycerz:

— Właśniem dlatego cię tak prędko pokochał, żeś ty od pierwszego dnia poczęła mi rany opatrować. Czem ci byłem, niczem! A dlatego zaraz się do tego zabrałaś, mając w sercu miłosierdzie nad nieszczęśnikiem. Ach! siła ja ci, siła zawdzięczam! Kto tego nie wie, będzie mi może przyganiał, żem to w nowembrze chciał mnichem zostawać, a w decembrze do stanu małżeńskiego się zabieram. Pierwszy pan Zagłoba gotów podrwiwać, bo on rad dworuje, gdy mu się okazya zdarzy, ale niech drwi zdrów! Nie dbam ja o to, zwłaszcza, że nie na ciebie przygana spadnie, jeno na mnie...

Tu Krzysia poczęła patrzeć w niebo, namyślać się, wreszcie odrzekła:

— Zali koniecznie mamy oznajmiać ludziom o naszem przymierzu?

— Jakże to?

— Waćpan przecie za parę dni wyjeżdżasz?

— Choćbym i nierad, muszę.

— Ja też żałobne szatki po ojcu noszę. Poco się na podziw ludzki wystawiać? Niechże układ stoi pomiędzy nami, a ludzie niech o nim nie wiedzą, póki pan Michał z Rusi nie wróci. Dobrze?

— To i siostrze nie mam nic gadać?

— Sama ja jej powiem, ale po pana Michałowym odjeździe.

— A panu Zagłobie?

— Pan Zagłoba na mnie niebodze-by swój dowcip ostrzył. Ej, lepiej nic nie mówić! Basia-by mi także dogadywała, a ona się i tak czegoś w ostatnich czasach dziwaczy i humor ma tak zmienny, jak nigdy. Ej, lepiej nie mówić!

Tu Krzysia znów podniosła swe ciemno-niebieskie oczy do góry:

— Bóg nad nami świadek, a ludzie niech w niewiadomości zostają.

— Widzę, że rozum waćpanny gładkości wyrównywa. Zgoda! Tedy Bóg nam świadek — amen! Oprzyj-że się

o mnie ramionkiem, bo skoro układ stoi, to się już modestyi nie sprzeciwi. Nie bój się! Wczorajszego uczynku, choćbym chciał się dopuścić, nie mogę, bo muszę na konie uważać.

Krzysia uczyniła zadość żądaniu rycerza, a ten znów rzekł:

— Ilekroć będziemy sam na sam, mów mi po imieniu.

— Jakoś mi nie składno — odrzekła z uśmiechem. — Nigdy się nie odważę!

— A ja się odważyłem!

— Bo pan Michał rycerz, pan Michał odważny, pan Michał żołnierz...

— Krzychna! moja ty kochana!

— Mich...

Lecz nie odważyła się Krzysia dokończyć i zakryła twarz rękawkiem.

Po niejakim czasie nawrócił pan Michał, do domu, nie wiele już mówili przez drogę, tylko w samym kołowrocie spytał jeszcze mały rycerz:

— A po wczorajszem... wiesz!... bardzo ci było smutno?

— Było i wstyd i smutno, ale... ale dziwnie! — dodała ciszej.

I zaraz uczynili twarze obojętne, aby nikt nie poznał, co między nimi zaszło.

Ale nie potrzebna to była ostrożność, bo nikt na nich nie zważał.

Wprawdzie Zagłoba z panią stolnikową wybiegli aż do sieni na spotkanie obu par, jednak oczy ich były zwrócone tylko na Basię i Nowowiejskiego.

Basia zaś była czerwona, nie wiadomo: z mrozu, czy ze wzruszenia, a Nowowiejski, jak struty. Zaraz też w sieni począł się żegnać z panią stolnikową. Próżno go zatrzymywała, próżno i sam Wołodyjowski, który był w humorze wybornym, namawiał go do pozostania na wieczerzę, wymówił się służbą i odjechał. Wówczas pani stolnikowa, nie mówiąc nic, pocałowała Basię w czoło — ona zaś poleciała zaraz do swojej izby i nie wróciła, aż na wieczerzę.

Na drugi dzień dopiero pan Zagłoba, przydybawszy ją samą, spytał:

— A co, hajduczku, w Nowowiejskiego jakoby piorun trzasł?

— Aha! — odrzekła, potakując głową i mrugając oczyma.

— Powiedz-że, coś mu powiedziała?

— Prędkie było pytanie, bo to rezolut, ale prędka odpowiedź, bo i ja rezolutka: nie!

— Wybornieś postąpiła! Niech cię uściskam! Cóż on? dał się krótko zbyć?

— Pytał, czyli z czasem nie będzie mógł czegoś uzyskać! Żal mi go było, ale nie, nie; nie może z tego nic być!...

Tu Basia rozdęła chrapki, poczęła trząść czupryną trochę smutno i jakoby w zamyśleniu.

— Powiedz-że mi swoje racye? — rzekł Zagłoba.

— Tego samego i on chciał, ale napróżno; jemu nie powiedziałem i nikomu nie powiem.

— A może — rzekł Zagłoba, patrząc jej bystro w oczy — a może ty w sercu jakowyś ukryty afekt nosisz, hę?

— Figę, nie afekt! — zawołała Basia.

I porwawszy się z miejsca, poczęła powtarzać prędko, jakby chcąc pokryć pomieszanie:

— Nie chcę pana Nowowiejskiego! nie chcę pana Nowowiejskiego! nie chcę nikogo! Czemu mi waćpan dokuczasz? czemu mi wszyscy dokuczają?...

I rozpłakała się nagle.

Pan Zagłoba pocieszał ją, jak umiał, ale przez cały dzień była smutna i zła.

— Panie Michale — rzekł przy obiedzie Zagłoba — ty odjeżdżasz, a tymczasem Ketling powróci, a gładysz to nad gładysze! Nie wiem, jak tam panniątka dadzą sobie rady, ale tak myślę, że po przyjeździe zastaniesz je obie rozamorowane.

— Dobra nasza! — odrzekł Wołodyjowski. — Pannę Basię mu zaraz zaswatamy!

Basia utkwiła w nim wzrok rysi i odrzekła;

— A czemu to waćpan o Krzysię mniej troskliwy?

Zmieszał się na te słowa mały rycerz niezmiernie i odrzekł:

— Waćpanna jeszcze nie znasz Ketlingowej mocy, ale jej doznasz!

— A czemu Krzysia nie ma doznać? Toć przecie nie ja śpiewam:

Mdła białogłowa
Jakże się schowa,
I gdzie się biedna schroni?

Tu znów Krzysia zmieszała się z kolei, a mała gadzina mówiła dalej:

— W ostatku pana Nowowiejskiego poproszę, żeby mi tarczy swojej pożyczył, ale, jak waćpan wyjedzie, nie wiem, czem się Krzysia będzie bronić, jeśli na nią termin przyjdzie?...

Ale Wołodyjowski już ochłonął, więc odrzekł nieco surowo:

— Może też i znajdzie czem się bronić, lepiej od waćpanny!

— A to jakim sposobem?

— Bo mniej płocha, a statku i rozwagi ma więcej...

Pan Zagłoba i pani stolnikowa myśleli, że czupurny hajduczek zaraz stanie do walki, ale ku wielkiemu ich zdziwieniu, „hajduczek“ spuścił głowę ku talerzowi i po chwili dopiero rzekł cichym głosem:

— Jeśli się waćpan gniewa, to przepraszam i waćpana i Krzysię..

ROZDZIAŁ XI.

Pan Michał, mając pozwolenie jechania którędyby chciał, jechał na Częstochowę i na Anusin grób. Wypłakawszy przy nim resztę łez, ruszył dalej, a pod wpływem świeżych wspomnień przychodziło mu do głowy, że jednak te

tajemnicze zrękowiny z Krzysią były zawczesne. Czuł, że żal i żałoba mają w sobie coś świętego i nietykalnego, co winno być zostawione w spokoju, dopóki samo nie wzniesie się, jako mgła, ku niebu i nie rozejdzie po niezmiernych przestworzach.

Inni wprawdzie, owdowiawszy, żenili się w miesiąc lub dwa później — ale tacy nie poczynali od Kamedułów, ani też klęska nie spotykała ich w progu szczęścia, po całych latach oczekiwania. Wreszcie, jeśli prostacy nie szanowali świętości żalu, zali godziło się iść ich przykładem?

Jechał więc pan Wołodyjowski na Ruś, a wyrzuty towarzyszyły mu w drodze. Był jednak tyle sprawiedliwym, że całą winę brał na siebie, a na Krzysię jej nie składał. Owszem, do licznych niepokojów, które go ogarnęły, dołączył się i ten, czy i Krzysia także nie poczytuje mu w głębi duszy za złe tego pośpiechu?

— Sama pewnieby tak nie postąpiła — mówił sobie pan Michał — a mając duszę wielką, niechybnie i w innych tej wielkości desiderat.

Otóż strach go brał, czy się jej nie wydał małym.

Jednakże był to próżny strach. Krzysi nic było do żałoby pana Michała i gdy jej o niej za dużo mówił, nie tylko to nie budziło w pannie współczucia, ale drażniło jej miłość własną. Zali to ona, żyjąca, nie była warta tej zmarłej? Albo czy w ogólności była tak mało warta, że zmarła Anusia mogła być jej rywalką? Pan Zagłoba, gdyby był do tajemnicy należał, pewnie uspokoiłby pana Michała, że niewiasty nie mają jedna dla drugiej zbyt wiele miłosierdzia.

Niemniej jednak po wyjeździe Wołodyjowskiego panna Krzysia była zdumiona tem, co zaszło i że już klamka zapadła.

Jadąc do Warszawy, w której nigdy przedtem nie była, wyobrażała sobie, że będzie wcale inaczej. Oto na konwokacyę i elekcyę zjadą dwory biskupie i dygnitarskie, świetne rycerstwo podąży ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Ileż tam będzie zabaw, gwaru, popisów, a wśród tego wiru,

wśród tłumów rycerstwa, zjawi się jakowyś „on“ nieznany, jakowyś rycerz taki, jakich tylko w snach dziewczyny widują; tu dopiero afektem zapłonie, pod oknami z cytrą będzie stawał, kalwakady wyprawiał, długo musi kochać i wzdychać, długo wstęgę kochanej na zbroi nosić, nim po licznych cierpieniach i przezwyciężonych przeszkodach do nóg upadnie i miłość wzajemną uzyska.

Owóż nic się z tego nie stało. Mgły barwiste i mieniące się, jak tęcza, zrzedły i rycerz ukazał się wprawdzie, rycerz nawet wcale niepospolity, za pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej głoszony, kawaler wielki, ale do „onego“ niezbyt, a nawet wcale niepodobny. Nie było też kalwakat i na lutni grania, ni turniejów, ni popisów, ni wstęg na zbroi, ni gwaru rycerstwa, ni zabaw, ni tego wszystkiego, co jako sen majowy, jako cudowna bajka na wieczornicy ciekawi, jako zapach kwiatów upaja, jak ptasia ponęta nęci; od czego płonie twarz, bije serce, drży ciało... Był to dworek za miastem, w dworku pan Michał, poczem zdarzyła się konfidencya — i już! — reszta przepadła, znikła, jak znika miesiąc na niebie, gdy chmury go zakryją... Gdyby to jeszcze ten pan Wołodyjowski był przyszedł na końcu bajki, przecie byłby pożądany. Nieraz Krzysia, rozmyślając o jego sławie, o jego zacności, o jego męstwie, które go chlubą Rzeczypospolitej, a postrachem jej nieprzyjaciół uczyniło, czuła, że jednak miłuje go wielce, zdało jej się tylko, że ją coś ominęło, że ją spotka pewna krzywda — trochę przez niego — a raczej przez pośpiech...

Tak więc ów pośpiech zapadł obojgu ziarnkiem piasku na serce, a że byli coraz dalej od siebie, więc ziarnko owo zaczęło im nieco dolegać. Nieraz w uczuciach ludzkich coś się tak nieznacznie, jakoby maluchny cierń kłuje i z czasem albo się goi, albo też jątrzy coraz bardziej i choćby największa miłość, bólem i goryczą zaprawia. Ale między nimi było jeszcze do bólu i goryczy daleko. Szczególniej dla pana Michała słodkiem i uspakajającem była Krzysia wspomnieniem i pamięć jej tak szła za nim, jako cień idzie za człowiekiem.

Myślał też, że im bardziej się oddali, tem ona stanie mu się droższą, tembardziej za nią wzdychał i do niej tęsknił będzie. Jej ciężej czas upływał, bo Ketlingowego dworu od czasu wyjazdu małego rycerza, nikt nie odwiedzał i dzień za dniem przechodził w jednostajności i nudzie.

Pani stolnikowa wyczekiwała męża, licząc dnie do elekcyi i o nim tylko mówiła; Basia osowiała bardzo. Sprzeciwiał się jej pan Zagłoba, że odpaliwszy Nowowiejskiego, teraz po nim tęskni. Jakoż wolałaby była, żeby choć on przyjeżdżał, ale on sobie rzekł: „Nic tu po mnie“ — i wkrótce za Wołodyjowskim ruszył.

Pan Zagłoba także się z powrotem do Skrzetuskich wybierał, mówiąc, że mu za basałykami tęskno; wszelako ciężkim będąc, z dnia na dzień wyjazd odkładał, Basi zaś tłumaczył, że ona powodem mitręgi, bo się w niej kocha i o jej rękę starać się zamierza.

Tymczasem dotrzymywał towarzystwa Krzysi, gdy pani Makowiecka wyjeżdżała z Basią do pani podkomorzyny lwowskiej. Krzysia nigdy im nie towarzyszyła w tych odwiedzinach, bo pani podkomorzyna, mimo całej swej zacności, znosić Krzysi nie mogła.

Atoli często gęsto i pan Zagłoba wyruszył do Warszawy, gdzie w grzecznej kompanii czas trawiąc, wracał nieraz pijany dopiero drugiego dnia i wówczas Krzysia zostawała zupełnie sama, trawiąc samotne chwile na rozmyślaniach trochę o panu Wołodyjowskim, trochę i o tem, coby się mogło zdarzyć, gdyby owa klamka nie była zapadła raz na zawsze, a częstokroć: jakby wyglądał ów nieznany rywal pana Michała, królewicz z bajki?...

Raz więc siedziała przed oknem i patrzyła w zamyśleniu na drzwi komnaty, na które padał okrutny blask zachodzącego słońca, gdy nagle dzwonek od sani dał się słyszeć z drugiej strony domu. Krzysi przebiegło przez głowę, że pani Makowiecka musiała z Basią powrócić, ale nie wywiodło ją to z zamyślenia i oczu nawet nie odwróciła ode drzwi; tymczasem drzwi otworzyły się i na tle ciemnej

głębi ukazał się oczom dziewczyny jakiś nieznany mężczyzna.

W pierwszej chwili wydało się Krzysi, że widzi obraz, albo że zasnęła i śni: tak cudne stanęło przed nią zjawisko... Nieznajomy był to młody człowiek, przybrany w czarny strój cudzoziemski, z białym koronkowym kołnierzem, spadającym aż na ramiona. Krzysia, w dzieciństwie jeszcze, widziała raz pana Arciszewskiego, generała artyleryi koronnej, przybranego podobnie, któren też z powodu takiego stroju, jak również dla swej nadzwyczajnej piękności, długo jej został w pamięci. Owóż tak był ubrany ów młodzian, tylko, że pięknością gasił bez miary i pana Arciszewskiego i wszystkich mężów, chodzących po ziemi. Włosy jego, ucięte równo nad czołem, wiły się w jasnych pierścieniach po obu stronach twarzy, po prostu cudne. Brwi miał ciemne, wyraźnie rysujące się na białem, jak marmur, czole; oczy słodkie i smutne; płowy wąs i płową spiczastą brodę. Była to głowa niezrównana, w której szlachetność łączyła się z męstwem; głowa zarazem anielska i rycerska.

Krzysi dech zaparło w piersiach, bo patrząc, oczom własnym nie wierzyła, ani też mogła zmiarkować, czy ma przed sobą ułudę, czy rzeczywistego człowieka. On stał przez chwilę nieruchomo, zdumiony, lub udający przez grzeczność zdumienie nad Krzysiną pięknością; wreszcie ruszył ode drzwi i spuściwszy kapelusz ku ziemi, począł piórami zamiatać podłogę.

Krzysia podniosła się, ale nogi pod nią drżały i to płonąc, to blednąc, zamknęła oczy.

Wtem zabrzmiał jego głos nizki, a miękki, jak aksamit:

— Jestem Ketling of Elgin. Panam Wołodyjowskiego przyjaciel i towarzysz broni. Służba powiedziała mi już, że mam niewypowiedziane szczęście i honor ugaszczać pod swym dachem siostrę i krewne mego Pallada, ale przebacz dostojna panno mojej konfuzyi, bo służba nie powiedziała mi tego, co oczy widzą, a i oczy same twego blasku znieść nie mogą...

Takim komplementem powitał rycerski Ketling Krzysię, ale ona nie wypłaciła mu podobnym, bo się na żadne słowo zdobyć nie mogła. Domyśliła się tylko, że skończywszy, zapewne jej powtórny ukłon oddaje, bo w ciszy usłyszała znów szelest piór o podłogę. Czuła także, że trzeba koniecznie coś odpowiedzieć i komplementem za komplement się wywdzięczyć, że inaczej za prostaczkę poczytaną być może, a tu tymczasem tchu jej brak, pulsa w skroniach i w ręku biją, pierś podnosi się i opada, jakby się zmęczyła bardzo. Otwiera powieki — on stoi przed nią, z pochyloną nieco głową, z admiracyą i uszanowaniem w swej cudnej twarzy. Drżącemi rękoma chwyciła Krzysia za suknię, aby choć dygnąć przed kawalerem, na szczęście w tejże chwili wołania: „Ketling! Ketling!“ rozległy się za drzwiami i do komnaty wpadł z otwartemi ramiony, zasapany, pan Zagłoba.

Wzięli się tedy w objęcia, a przez ten czas panna starała się ochłonąć i zarazem spojrzeć dwa lub trzy razy na młodego rycerza. On zaś obejmował pana Zagłobę, serdecznie, ale z tą nadzwyczajną szlachetnością w każdym ruchu, którą bądź po przodkach odziedziczył, bądź nabył takowej na wykwintnych królewskich i magnackich dworach.

— Jak się masz? — wołał pan Zagłoba. — Radem ci w twoim domu, jakoby w moim własnym. Niech ci się przypatrzę! Ha! pomizerniałeś! Czy nie jakowe amory? Dahbóg, pomizerniałeś! Wiesz, Michał do chorągwi wyjechał. O! toś wybornie uczynił, przyjechawszy! Michał o klasztorze już nie myśli. Bawi tu jego siostra z dwiema pannami. Dziewki, jak rzepy! Jedna Jeziorkowska, druga Drohojowska. Dla Boga! panna Krzysia tu jest! Przepraszam waćpannę, ale niech temu oczy wyleżą, kto wam gładkości zaprzeczy, a na waćpaninej już się ten kawaler poznać musiał.

Ketling skłonił po raz trzeci głową i rzekł z uśmiechem:

— Zostawiłem dom cekhauzem, a zastałem go Olimpem, bom boginię ujrzał na wstępie.

— Ketling! jak się masz! — zawołał po raz wtóry Zagłoba, któremu mało było jednego powitania i znów chwycił go w objęcia.

— Nie to! — mówił — hajduczkaś jeszcze nie widział! Jedna gładka, ale i druga miód, miód! Jak się masz, Ketling! Daj ci Boże zdrowie! Będę ci mówił: ty! Dobrze? Staremu poręcznie... Radeś z gości, co?... Pani Makowiecka tu zajechała, bo o gospodę, czasu konwokacyi, było trudno, ale teraz już łatwiej i pewnie się wyniesie, bo z pannami w kawalerskim domu mieszkać nie wypada, żeby ludzie krzywo nie patrzyli i żeby jakowego gadania nie było...

— Na Boga! Nigdy na to nie pozwolę! Jam Wołodyjowskiemu nie przyjaciel, ale brat, zatem panią Makowiecką, jako siostrę, przyjąć pod dachem mogę. Do waćpanny pierwszej o instancyę się udaję, a jeśli trzeba, to na kolanach będę o nią błagał!

To rzekłszy, klęknął przed Krzysią i chwyciwszy jej rękę, do ust przycisnął, a patrzył w jej oczy błagalnie, wesoło i smutno zarazem; ona zaś poczęła płonić się, zwłaszcza, że Zagłoba zaraz wykrzyknął.

— Ledwie przyjechał, już przed nią na kolanach. Dla Boga! powiem pani Makowieckiej, żem was tak zastał!... Ostro, Ketling!... Krzysiu! poznaj waćpanna dworski obyczaj!...

— Jam dworskich obyczajów nieświadoma! — szepnęła w największem zmieszaniu panna.

— Mogęż liczyć na instancyę? — pytał Ketling.

— Wstań waćpan!...

— Mogęż liczyć na instancyę? Jam brat pana Michałowy! Jemu się krzywda stanie, gdy ten dom spustoszeje!...

— Na nic tu moja chęć! — odrzekła przytomniej Krzysia — chociaż za waćpanową wdzięczną być muszę.

— Dziękuję! — odparł Ketling, przyciskając do ust jej rękę.

— Ha! mróz na drzewo, a Kupido golec: wszelako tak myślę, że byle się tu dostał, to w tym domu nie zmarznie! —

zakrzyknął Zagłoba. — A widzę już: od samych wzdychań odliga będzie! Nic, tylko od wzdychań!...

— Daj waćpan spokój! — rzekła Krzysia.

— Dziękuję Bogu, żeś waćpan jowialnego humoru nie utracił — rzekł Ketling — bo wesołość, znak zdrowia.

— I czystego sumienia i czystego sumienia! — odparł Zagłoba. — Mędrzec pański powiada: „Ten się drapie, kogo swędzi“, a mnie nic nie swędzi, przetom wesół! O! do stu bisurmanów! co to ja widzę? Wszakżem to ciebie po polsku widział, w rysim kołpaczku i przy szabli, a teraześ się znowu na jakowegoś Angielczyka przemienił i na cienkich nogach, niby żóraw, chodzisz?

— Bom w Kurlandyi długi czas siedział, gdzie polskiego stroju nie zażywają, a teraz dwa dni spędziłem u angielskiego rezydenta w Warszawie.

— To z Kurlandyi wracasz?

— Tak jest. Przybrany rodzic mój zmarł i tamże mi majętność drugą zostawił.

— Wieczny mu spokój! Katolik-że on był?

— Tak jest.

— To przynajmniej masz pociechę. A nie porzuciszże ty nas dla owej kurlandzkiej substancyi?

— Tu mi żyć i umierać! — odrzekł, spojrzawszy na Krzysię, Ketling.

A ona spuściła zaraz swe długie rzęsy na oczy.

Pani Makowiecka nadjechała o zupełnym już mroku, a Ketling wyszedł aż przed bramę na jej spotkanie i prowadził ją do domu z takiem uszanowaniem, jakby księżnę udzielną. Chciała była zaraz na drugi dzień szukać sobie innej gospody w samem mieście, ale na nic się nie przydał jej opór.

Młody rycerz póty błagał, póty się na swoje braterstwo z Wołodyjowskim powoływał, póty klękał, aż zgodziła się i nadal u niego zamieszkać. Ułożono tylko, że i pan Zagłoba czas jakiś jeszcze zostanie, aby swą powagą i wiekiem niewiasty od złych języków zasłonić. On zgodził się chętnie, bo do „hajduczka“ niezmiernie się przywiązał,

a przytem zaczął sobie pewne plany w głowie układać, które koniecznie jego obecności wymagały. Dziewczyny obie były rade, a Basia od razu otwarcie po stronie Ketlinga wystąpiła.

— Dziś i tak się nie wyniesiem — rzekła do wahającej się pani stolnikowej — a później, czy jedna doba, czy dwadzieścia, to już wszystko jedno!

Ketling podobał się jej, zarówno jak Krzysi, bo on się wszystkim niewiastom podobał; Basia przytem nigdy dotąd nie widziała zagranicznego kawalera, prócz oficerów cudzoziemskiej piechoty, ludzi mniejszej szarży i dość prostych; więc obchodziła go wokoło, potrząsając czupryną, rozdymając chrapki i przypatrując mu się z dziecinną ciekawością, tak natarczywą, że aż usłyszała cichą naganę od pani Makowieckiej. Ale mimo nagany, nie przestała go badać oczyma, jakby chcąc jego wartość żołnierską ocenić, a wreszcie poczęła wypytywać o niego pana Zagłobę:

— Wielkiż to żołnierz? — spytała po cichu starego szlachcica.

— Że i znamienitszy być nie może. Widzisz, eksperyencyę ma niezmierną, bo od czternastego roku życia przeciw Angielczykom rokoszanom służył, przy prawdziwej wierze stając. Szlachcic też to jest wysokiego rodu, co i po jego obyczajności snadnie poznać możesz.

— Waćpan go widział w ogniu?

— Tysiąc razy! Będzie ci stał, ani się zmarszczy; konia czasem po karku poklepie i o afektach gotów gadać.

— Zali moda wtedy o afektach rozmawiać? Co?

— Moda wszystko czynić, przez co się kontempt dla kul okazuje.

— No, a wręcz, w pojedynkę, równie on wielki?

— Ba, ba! szerszeń jest, niema co gadać!

— A panu Michałowi-by wytrzymał?

— A! Michałowi-by nie wytrzymał!

— Ha! — zawołała z radosną dumą Basia — wiedziałam, że nie wytrzyma! Zaraz pomyślałam, że nie wytrzyma!

I poczęła w ręce klaskać.

— Także to przy Michale się oponujesz? — spytał Zagłoba.

Basia potrząsnęła czupryną i umilkła; po chwili dopiero ciche westchnienie podniosło jej piersi.

— Et! co tam! Radam, bo nasz!

— Ale to sobie zauważ i zakonotuj, hajduczku — rzekł Zagłoba — iż jeśli na polu bitwy trudno o lepszego, niż Ketling, tedy dla niewiast jeszcze on bardziej periculosus, które się w nim dla jego urody zapamiętale kochają! Praktyk też to i w amorach znakomity!

— Powiedz to waćpan Krzysi, bo mnie amory nie w głowie — rzekła Basia i zwróciwszy się do Drohojowskiej, poczęła wołać — Krzysiu! Krzysiu! Chodź jeno na słowo!

— Jestem — rzekła panna Drohojowska.

— Pan Zagłoba powiada, że żadna panna nie spojrzy na Ketlinga, żeby się zaraz w nim nie rozkochała. Ja już go obejrzałam na wszystkie strony i jakoś mi nic, a ty, zali już co czujesz?

— Baśka! Baśka! — rzekła tonem perswazyi Krzysia.

— Spodobał ci się, co?

— Daj spokój! statkuj! Moja Basiu, nie powiadaj byle czego, bo właśnie pan Ketling się przybliża.

Jakoż Krzysia nie zdołała jeszcze usiąść, gdy Ketling zbliżył się i spytał:

— Wolno się do kompanii przyłączyć?

— Wdzięcznie prosim! — odpowiedziała Jeziorkowska.

— Więc śmielej już spytam, o czem była rozmowa?

— O amorach! — wykrzyknęła bez namysłu Basia

Ketling usiadł przy Krzysi. Przez chwilę milczeli, bo Krzysia, zwykle przytomna i władnąca sobą, dziwnie jakoś stawała się nieśmiałą wobec tego kawalera, więc on pierwszy spytał:

— Zali istotnie o tak wdzięcznym objekcie była narada?...

— Tak! — odrzekła półgłosem panna Drohojowska.

— Radbym nad wszystko usłyszeć waćpanny mniemanie?

— Wybacz waćpan, bo i śmiałości brak mi i dowcipu, tak też myślę, że jabym to raczej od waćpana coś nowego usłyszeć mogła.

— Krzysia ma racyę! — wtrącił Zagłoba. — Słuchamy!...

— Pytaj pani! — odpowiedział Ketling.

I podniósłszy oczy nieco w górę, zamyślił się, następnie zaś, choć niepytany, począł mówić, jakoby do siebie:

— Kochanie, to niedola ciężka, bo przez nie człek wolny niewolnikiem się staje. Równie, jak ptak, z łuku ustrzelon, spada pod nogi myśliwca, tak i człek, miłością porażon, nie ma już mocy odlecieć od nóg kochanych...

— Kochanie, to kalectwo, bo człek, jak ślepy, świata za swojem kochaniem nie widzi...

— Kochanie, to smutek, bo kiedyż więcej łez płynie, kiedyż więcej wzdychań boki wydają? Kto pokocha, temu już nie w głowie ni stroje, ni łowy; siedzieć on gotów, kolana własne dłońmi objąwszy, tak tęskniąc rzewliwie, jak ów, który kogoś blizkiego postradał...

— Kochanie, to choroba, gdyż w niem, jak w chorobie, twarz bieleje, oczy wpadają, ręce się trzęsą i palce chudną, a człowiek o śmierci rozmyśla, albo w obłąkaniu, ze zjeżoną głową chodzi, z miesiącem gada, rad miłe imię na piasku pisze, a gdy mu je wiatr zwieje, tedy powiada: „nieszczęście!“... i ślochać gotów...

Tu Ketling umilkł na chwilę, rzekłby kto, że się w rozpamiętywaniu pogrążył. Krzysia słuchała słów jego, jakoby pieśni, duszą całą. Rozchyliły się jej ocienione usta, a oczy nie schodziły ze śnieżnej twarzy rycerza. Baśce czupryna spadła całkiem na oczy, więc nie było można poznać, co myśli, ale siedziała także cicho.

Wtem ziewnął pan Zagłoba głośno, odsapnął, wyciągnął nogi i rzekł:

— Każ-że z takiego kochania psom buty uszyć!

— A jednak — zaczął znów rycerz — jeśli miłować ciężko, to nie miłować cięższej jeszcze, bo kogóż bez kochania nasyci rozkosz, sława, bogactwa, wonności lub klejnoty?

Kto kochanej nie powie: „Wolę cię, niźli królestwo, niźli sceptr, niźli zdrowie, niźli długi wiek?“... A ponieważ każdy chętnieby oddał życie za kochanie, tedy kochanie więcej jest warte od życia...

Ketling skończył.

Panny siedziały przytulone jedna do drugiej, podziwiając i czułość jego mowy i owe wywody miłosne, obce polskim kawalerom; aż pan Zagłoba, któren się był zdrzemnął pod koniec, zbudził się i począł, mrugając oczyma, spoglądać to na jedno, to na drugie, to na trzecie, wreszcie, zebrawszy przytomność, spytał wielkim głosem:

— Co powiadacie?

— Powiadamy waćpanu: dobranoc! — rzekła Basia.

— Aha! już wiem: mówiliśmy o amorach. Jakiż był koniec?

— Podszewka była lepsza od płaszcza.

— Niema co mówić! Zmorzyło mnie. Ale bo to: kochanie, płakanie, wzdychanie! A ja jeszcze jeden rym wynalazłem, a mianowicie: „drzemanie“... i ponoć najlepszy, bo godzina późna. Dobranoc całej kompanii i dajcie już z amorami spokój... Boże, Boże! póty kot miauczy, póki sperki nie zje, a potem się oblizuje... I ja byłem w swoim czasie kubek w kubek do Ketlinga podobny, a kochałem się tak zapamiętale, że mógł mnie baran przez godzinę z tyłu trykać, nimem się spostrzegł. Wszelako pod starość wolę się wywczasować dobrze, zwłaszcza, gdy polityczny gospodarz nie tylko odprowadzi, ale przepije do poduszki.

— Służę waszmości! — rzekł Ketling.

— Chodźmy, chodźmy. Patrz, jak to już miesiąc wysoko. Pogoda na jutro, wyiskrzyło się, a widno, jak w dzień. Ketling o afektach gotów wam całą noc prawić, ale pamiętajcie, kozy, że on zdrożony.

— Nie zdrożonym, bom w mieście dwa dni wypoczywał. Boję się tylko, że waćpanny nie nawykłe do czuwania.

— Prędkoby noc zeszła na słuchaniu waćpana — rzekła Krzysia.

— Niemasz tam nocy, gdzie słońce świeci! — odpowiedział Ketling.

Poczem rozeszli się, bo istotnie było już późno. Panny sypiały razem i gawędziły zwykle przed snem długo, ale tego wieczora nie mogła Basia Krzysi rozgadać, o ile bowiem pierwsza miała ochotę do rozmowy, o tyle druga była milcząca i odpowiadała półsłówkami. Kilkakroć też, gdy Basia, mówiąc o Ketlingu, poczęła wymyślać koncepta, trochę się z niego naśmiewać, trochę go naśladować, Krzysia obejmowała ją z niezmierną tkliwością za szyję, prosząc, by zaniechała tej pustoty.

— On tu gospodarz, Basiu — mówiła — my pod jego dachem mieszkamy... i to widziałam, że cię polubił od razu.

— Skąd wiesz? — pytała Basia.

— Bo ktoby cię nie polubił? Ciebie wszyscy kochają... i ja... bardzo!

Tak mówiąc, zbliżyła swą cudną twarz do twarzy Basi i tuliła się do niej i całowała jej oczy.

Poszły nakoniec do łóżek, ale Krzysia długi czas zasnąć nie mogła. Ogarniał ją niepokój. Chwilami serce biło jej tak mocno, że obie ręce przykładała do swojej atłasowej piersi, aby jego bicie potłumić. Chwilami również, zwłaszcza, gdy próbowała przymknąć oczy, zdawało się jej, że jakaś piękna, jak sen, głowa pochyla się nad nią, a cichy głos szepce jej do ucha:

— Wolę cię, niźli królestwo, niźli sceptr, niźli zdrowie, niźli długi wiek i życie!

ROZDZIAŁ XII.

W kilka dni później pan Zagłoba pisał do Skrzetuskiego list z następującem zakończeniem:

„A jeśli przed elekcyą do domu nie ściągnę, to się nie dziwujcie. Nie stanie się to z małej do was życzliwości, ale że dyabeł nie śpi, ja zasię nie chcę, aby mi zamiast

ptaka, coś nierzetelnego w garści zostało. Źle wypadnie, jeśli Michałowi, gdy wróci, nie będę mógł od razu powiedzieć: „tamta zaswatana, a hajduczek vacat!“ Wszystko w mocy Bożej, ale tak myślę, że wówczas nie będzie trzeba Michała popychać, ni długich praeparationes czynić i że już na gotową deklaracyę przyjedziecie. Tymczasem na Ulissesa wspomniawszy, fortelów zażyć wypadnie i nieraz nakoloryzować, co mi i nie łatwo, bom przez całe życie prawdę nad wszelkie specyały przekładał i rad się nią pasłem. Wszelako dla Michała i dla hajduczka i to na sobie przeniosę, bo oboje czyste złoto. Poczem obejmuję was oboje wraz z basałykami i do serca przyciskam, Bogu najwyższemu was polecając“.

Skończywszy pisanie, zasypał pan Zagłoba list piaskiem, następnie uderzył weń dłonią, odczytał raz jeszcze, zdala od oczu trzymając, poczem złożył, zdjął sygnet z palca, poślinił i do pieczętowania się zabierał, przy której czynności zastał go Ketling.

— Dzień dobry waszmości!

— Dzień dobry, dzień dobry! — odrzekł pan Zagłoba. — Pogoda, dzięki Bogu, przednia, a właśnie posłańca wysłać do Skrzetuskich zamierzam.

— Pokłoń się waszmość ode mnie.

— Jużem to uczynił. Zaraz sobie powiedziałem: trzeba się i od Ketlinga pokłonić. Oboje się tam ucieszą, wieści dobre otrzymawszy. Oczywiście, żem się im od ciebie pokłonił, ile że o tobie i o pannach całą epistołę napisałem.

— Jakże to? — spytał Ketling.

Zagłoba położył dłonie na kolanach i począł palcami przebierać, sam zaś pochylił głowę i patrząc z pod brwi na Ketlinga, rzekł:

— Mój Ketling! jużci na to nie potrzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, że gdzie jest krzemień a krzesiwo, tam się prędzej później iskry posypią. Tyś gładysz nad gładysze, a dziewkom chyba i sam nie przyganisz?

Ketling zmieszał się mocno.

— Bielmo na oczach nosićbym musiał, albo zgoła być barbarzyńcą dzikim — odrzekł — gdybym piękności ich nie dojrzał i nie uwielbił!

— A widzisz! — rzekł na to Zagłoba, patrząc z uśmiechem na zapłonione Ketlingowe oblicze. — Tylko, jeśliś nie barbarus, tedy nie godzi ci się w obiedwie mierzyć, bo tak tylko Turcy czynią.

— Jak waćpan możesz suponować?

— Ja też nie suponuję, jeno tak sobie powiadam... Ha! zdrajco! takżeś to im o amorach kwilił, że Krzysia trzeci dzień blada na gębie chodzi, jakoby po lekarstwie. Ha! nie dziwota! Sam młodym będąc, z lutnią na mrozie pod oknem pewnej czarnuszki stawałem (do Drohojowskiej była podobna) i pamiętam, jakom śpiewał:

„Tam waćpanna śpisz po trudzie,
A ja tu brząkam na dudzie,
Hoc! Hoc!“

Chcesz, to ci tej pieśni pożyczę, albo zgoła inną skomponuję, gdyż geniuszu mi nie brak. Uważałeś-li, że Drohojowska cośkolwiek dawną Billewiczównę przypomina, tylko że tamta ma włosy, jak konopie i nie ma onego puchu nad gębą; ale są, którzy w tem większą urodę widzą i za rarytas to poczytują. Bardzo ona wdzięcznie na ciebie patrzy. Napisałem to właśnie do Skrzetuskich. Czy nieprawda, że ona do Billewiczówny podobna?

— W pierwszym momencie owego podobieństwa nie dostrzegłem, ale być może. Wzrostem ją i postawą przypomina.

— A teraz posłuchaj, coć powiem: arcana familijne po prostu wyjawię, ale żeś i ty przyjaciel, więc powinieneś wiedzieć: pilnuj się oto, abyś Wołodyjowskiego niewdzięcznością nie nakarmił, bo my oboje z panią Makowiecką jedną z tych dziewek dla niego przeznaczamy.

Tu pan Zagłoba począł patrzeć bystrze i natarczywie w oczy Ketlinga, a ów przybladł i spytał:

— Którą?

— Dro-ho-jow-ską — odrzekł powolnie Zagłoba.

I wysunąwszy naprzód dolną wargę, począł mrugać z pod namarszczonej brwi zdrowem okiem.

Ketling milczał i milczał tak długo, że aż wkońcu Zagłoba spytał:

— Cóż ty na to? hę?

A ów odrzekł zmienionym głosem, ale z mocą:

— Możesz waćpan być pewien, że nie pofolguję sercu na Michałową szkodę.

— Pewien jesteś?

— Siłam w życiu przecierpiał — odparł rycerz — kawalerski parol: nie pofolguję!

Dopieroż pan Zagłoba otworzył mu ramiona.

— Ketling! pofolguj sobie, pofolguj, nieboże, ile chcesz, bom cię chciał jeno doświadczyć. Nie Drohojowską, ale hajduczka Michałowi przeznaczamy.

Ketlinga twarz rozjaśniła się szczerą i głęboką radością, więc uchwyciwszy Zagłobę w objęcia, trzymał go długo, następnie spytał:

— Zali to już pewne, że oni się kochają?

— A ktoby mojego hajduczka nie kochał, kto? — odpowiedział Zagłoba.

— To i zrękowiny już były?

— Zrękowin nie było, bo Michał ledwie się z żalu otrząsnął; wszelako będą... zdaj to na moją głowę! Dziewczyna — chociaż to się wykręca, jak łasica — wielce mu życzliwa, bo u niej szabla grunt...

— Uważałem to, jak mi Bóg miły! — przerwał rozpromieniony Ketling.

— Ha! uważałeś? Michał po tamtej jeszcze płacze, atoli, jeśli mu która do duszy przypadnie, to pewnie hajduczek, bo ona do tamtej podobniejsza, jeno mniej oczyma strzyże, jako młodsza. Dobrze się wszystko składa, co? Ja w tem, że te dwa wesela na elekcyę będą!

Ketling, nie mówiąc nic, objął znów pana Zagłobę i począł przykładać swą piękną twarz do jego czerwonych policzków, aż stary szlachcic odsapnął i spytał:

— Także ci to już Drohojowska za skórę się zaszyła?

— Nie wiem, nie wiem — odrzekł Ketling — wiem jedno to, że ledwie jej niebiański widok ucieszył moje oczy, wnet rzekłem sobie, że ją jedną strapione serce moje mogłoby jeszcze pokochać i tej samej nocy, wzdychaniami sen płosząc, lubej zarazem oddałem się tęsknocie. Odtąd ona zawładnęła mojem jestestwem, jako monarchini włada krajem poddanym i wiernym. Jest-li to miłość, czy też co innego, nie wiem!

— Ale wiesz, że to nie czapka, ani trzy łokcie sukna na pludry, ani nie popręg, ani nie podogonie, ani kiełbasa z jajecznicą, ani manierka z gorzałką. Jeśliś tego pewien, to o resztę spytaj Krzysi, a chcesz, to ja spytam?

— Nie czyń tego waćpan — odrzekł, uśmiechając się, Ketling. — Jeśli mam utonąć, niech choć przez parę dni zdaje mi się jeszcze, że płynę.

— Widzę, że Szkoci do bitwy dobre pachołki, ale w amorach nic po nich. Na niewiastę, jako na nieprzyjaciela, impet potrzebny. Veni, vidi, vici! — to była moja maksyma...

— Z czasem, gdyby się moje najgorętsze pragnienia spełnić miały — rzekł Ketling — może waćpana o przyjacielskie auxilium poproszę. Chociażem indygenat otrzymał, krew szlachetna płynie w moich żyłach, jednak nazwisko moje tu nieznane i nie wiem, czyby pani stolnikowa...

— Pani stolnikowa? — przerwał Zagłoba. — Już też się o to nie bój. Pani stolnikowa istna tabakierka grająca. Jak nakręcę, tak i zagra. Zaraz do niej idę. Trzeba ją nawet uprzedzić, aby na twój proceder z panną krzywo nie patrzyła, ile że wasz szkocki proceder inny, a nasz inny. Jużci nie będę zaraz deklarował w twojem imieniu, jeno tak sobie wspomnę, że ci dziewka w oko wpadła i że dobrzeby było, żeby z tej mąki chleba rozczynić. Jak mi Bóg miły, że zaraz idę, a ty się nie strachaj, bo przecie wolno mi powiedzieć, co mi się spodoba.

I mimo, iż Ketling wstrzymywał jeszcze, pan Zagłoba wstał i poszedł.

Po drodze spotkał rozpędzoną, jak zwykle, Basię, której rzekł:

— Wiesz, Krzysia ze szczętem pogrążyła Ketlinga.

— Nie jego pierwszego! — odrzekła Basia.

— A tyś o to nie krzywa?

— Ketling kukła! grzeczny kawaler, ale kukła! Stłukłam sobie oto kolano o dyszel i cała rzecz!

Tu Basia, schyliwszy się, poczęła sobie rozcierać kolano, patrząc jednocześnie na pana Zagłobę, a on rzekł:

— Dla Boga! bądźże ostrożna! Gdzie teraz lecisz?

— Do Krzysi.

— A co ona porabia?

— Ona? Od niejakiego czasu ciągle mnie całuje i tak się o mnie ociera, jak kot.

— Nie mówże jej, że Ketlinga pogrążyła.

— Aha! niby to wytrzymam!

Pan Zagłoba wiedział dobrze, że Basia nie wytrzyma i tylko dlatego jej zakazywał.

Więc poszedł dalej, bardzo rad ze swej chytrości, a Basia wpadła, jak bomba, do panny Drohojowskiej.

— Stłukłam sobie kolano, a Ketling w tobie na umór rozkochany! — zawołała zaraz w progu. — Nie uważałam, że z wozowni dyszel wygląda... i łup! Świeczki mi w oczach stanęły, ale nic to! Pan Zagłoba prosił, żeby ci tego nie mówić. Nie powiedziałam ci, że tak będzie? Zaraz powiedziałam, a tyś go chciała we mnie wmówić! Nie bój się, znają cię! Trochę jeszcze boli! Ja pana Nowowiejskiego w ciebie nie wmawiałam, ale Ketlinga, oho! Chodzi teraz po całym domu i za głowę się trzyma i do samego siebie gada. Ładnie, Krzysiu, ładnie! Szkot, Szkot, kot, kot!

Tu Basia poczęła przysuwać palec do oczu towarzyszki.

— Basiu! — zawołała Drohojowska.

— Szkot, Szkot, kot, kot!

— Jaka ja nieszczęśliwa, jaka ja nieszczęśliwa! — wykrzyknęła nagle Krzysia i zalała się łzami.

Po chwili Baśka poczęła ją pocieszać, ale to nic nie

pomogło i dziewczyna rozślochała się, jak nigdy przedtem w życiu.

Rzeczywiście w całym tym domu nie wiedział nikt, jak dalece była nieszczęśliwa. Od kilku dni była w gorączce, twarz jej zbladła, oczy zapadły, pierś poruszała się krótkim przerywanym oddechem, stało się z nią coś dziwnego; zapadła jakby w gwałtowną niemoc, a nie przyszło to zwolna, stopniowo, ale od razu; porwało ją to, jak wicher, jak burza; rozżarzyło jej krew, jak płomień; olśniło jej wyobraźnię, jak błyskawica. Ani chwili nie mogła stawić oporu tej sile, tak nielitościwie nagłej. Spokojność opuściła ją. Wola jej była, jako ptak ze złamanemi skrzydłami...

Sama nie wiedziała, czy kocha Ketlinga, czy go nienawidzi i strach niezmierny ogarniał ją przed tem pytaniem; ale to czuła, że serce jej biło tak szybko tylko przez niego; że głowa myśli tak bezładnie tylko o nim; że pełno go w niej, nad nią i ani sposób od tego się obronić! Łatwiejby go nie kochać, niż o nim nie myśleć, bo upoiły się jego widokiem oczy, zasłuchały się w jego głos uszy, nasiąknęła nim dusza cała... Sen nie uwalniał jej od tego natrętnika, bo ledwie zamknęła oczy, natychmiast twarz jego pochylała się nad nią, szepcąc: „Wolę cię, niż królestwo, niż sceptr, niż sławę, niż bogactwa“... I głowa ta była blizko, tak blizko, że nawet w ciemności krwawe rumieńce oblewały czoło dziewczyny. Była to Rusinka o krwi gorącej, więc jakieś ognie nieznane wstawały w jej piersi, ognie, o których nie wiedziała dotąd, że istnieć mogą, a pod żarem których ogarniał ją zarazem i strach i wstyd i wielka niemoc i jakaś omdlałość, zarazem bolesna i luba. Noc nie przynosiła jej spoczynku. Opanowywało ją coraz większe zmęczenie, jakoby po pracy ciężkiej.

— Krzysiu! Krzysiu! co się z tobą dzieje! — wołała sama na siebie.

Lecz była jakoby w odurzeniu i w zapamiętaniu nieustającem.

Nic się jeszcze nie stało, nic nie zaszło, z Ketlingem nie zamienili dotychczas dwóch słów na osobności, a choć

myśl o nim ogarnęła ją całkowicie, przecie jakiś instynkt szeptał jej ustawicznie: „Strzeż się! Unikaj go!“... I unikała...

O tem, że była zmówiona z Wołodyjowskim, nie myślała dotąd i to było jej szczęście; nie myślała zaś dlatego właśnie, że dotąd nic się nie stało i że nie myślała o nikim; ni o sobie, ni o innych, tylko o Ketlingu!

Ukrywała też to w duszy najgłębiej, a myśl, że nikt się tego nie domyśla, co się w niej dzieje, że nikt się nią i Ketlingiem razem nie zajmuje, przynosiła jej ulgę nie małą.

Nagle słowa Basi przekonały ją, że jest inaczej, że już się ludzie na nich patrzą, że już łączą w myśli, że odgadują. Więc frasunek, wstyd i ból razem wzięte, przezwyciężyły jej wolę i rozpłakała się, jak małe dziecko.

Słowa Basi były jednakże dopiero początkiem tych rozlicznych przytyków, tych znaczących spojrzeń, mrugań oczyma, potrząsań głową, tych wreszcie słów obosiecznych, które musiała przenieść. Rozpoczęło się to zaraz przy obiedzie.

Pani stolnikowa jęła przenosić wzrok z niej na Ketlinga i z Ketlinga na nią, czego nie czyniła dawniej. Pan Zagłoba chrząkał znacząco. Chwilami rozmowa przerywała się, nie wiadomo dlaczego i nastawało milczenie, a raz w czasie takiej przerwy roztrzepana Basia zawołała na cały stół:

— Wiem coś, ale nie powiem!

Krzysia spłonęła natychmiast, a potem zaraz zbladła, jakby jakieś groźne niebezpieczeństwo przeleciało koło niej; Ketling schylił także głowę. Oboje czuli doskonale, że się to do nich stosuje i chociaż unikali ze sobą rozmowy, choć ona strzegła się, żeby na niego nie spojrzeć, przecie jasnem było dla obojga, że między nimi coś się staje, że wytwarza się jakowaś nieokreślona wspólność konfuzyi, która ich łączy, a zarazem i oddala, bo przez nią tracą całkiem swobodę i nie mogą być już sobie zwykłymi przyjaciółmi. Szczęściem dla nich, nikt nie zwrócił uwagi na słowa Basi, bo pan Zagłoba wybierał się do miasta i miał wrócić

z liczną rycerską kompanią, tem więc wszyscy byli zajęci. Jakoż wieczorem dworek Ketlingowy zajaśniał światłem; przybyło kilkunastu wojskowych i muzyka, którą uprzejmy gospodarz dla rozrywki pań sprowadził. Tańców nie można wprawdzie było wyprawić, bo wielki post i żałoba Ketlinga stały na przeszkodzie; ale słuchano kapeli i zabawiano się rozmową.

Panie przybrały się odświętnie; pani stolnikowa wystąpiła we wschodnich jedwabiach, „hajduczek“ wystroił się pstro i rwał oczy żołnierskie swoją różową buzią i jasną czupryną, która spadała co chwila na oczy; budził śmiech rezolutnością mowy i dziwił manierami, w których kozacza śmiałość mieszała się z wdziękiem niewymuszonym.

Krzysia, której żałoba po ojcu była już przy końcu, miała na sobie suknię białą, przetykaną srebrem. Rycerze porównywali ją: jedni do Junony, drudzy do Dyany, ale nikt nie przysuwał się do niej zbyt blizko, nikt nie kręcił wąsa, nie szurgał nogami i nie zarzucał wyłotów; żaden nie spoglądał na nią iskrzącemi oczyma i o afektach nie zaczynał rozmowy. Natomiast zaraz zauważyła, że ci, którzy spoglądają z podziwieniem i uwielbieniem na nią, spoglądają potem na Ketlinga; że niektórzy, zbliżywszy się do niego, ściskają mu rękę, jakby czegoś winszując i życząc; że on podnosi ramiona i rozkłada dłonie, jakby się czegoś wypierał.

Krzysia, która z natury była czujną i przenikliwą, była prawie pewną, że to o niej do niego mówią, że ją niemal za jego narzeczoną uważają. A ponieważ nie mogła przewidzieć, że pan Zagłoba szepnął już każdemu z ichmościów coś do ucha, więc zachodziła w głowę, skąd się owe ludzkie przypuszczenia biorą.

— Czy ja mam co na czole napisanego? — myślała z niepokojem, zawstydzona i stroskana.

A wtem i słowa zaczęły ją dolatywać przez powietrze, niby nie do niej mówione, ale głośne: „Szczęśliwy Ketling!“... „W czepku się rodził!“... „Nie dziw, bo i on gładysz!“... i tym podobne.

Inni, grzeczni kawalerowie, chcąc ją zabawić i coś miłego jej rzec, rozmawiali z nią o Ketlingu, chwaląc go niezmiernie, wynosząc jego męstwo, uczynność i dworskie obyczaje i ród starożytny. A Krzysia rada nierada musiała słuchać i oczy jej mimowoli szukały tego, o którym była mowa, a czasem spotykały się z jego oczyma. Wówczas czar ogarniał ją z nową siłą i sama o tem nie wiedząc, upajała się jego widokiem. Bo jakże różnił się Ketling od tych wszystkich szorstkich postaci żołnierskich! „Królewicz między swymi dworzany“ — myślała Krzysia, patrząc na tę szlachetną, arystokratyczną głowę i na te ambitne oczy, pełne jakowejś przyrodzonej melancholii i na to czoło, ocienione płowym, bujnym włosem. Serce poczynało w niej mdleć i zamierać, jakby to dla niej była najdroższa w świecie głowa. On to widział i nie chcąc powiększać jej zmieszania, nie zbliżał się, chyba, że kto inny siedział obok. Gdyby też była królową, nie mógłby otaczać jej większą czcią i większemi atencyami, niż to czynił. Mówiąc do niej, schylał głowę i zasuwał za siebie jedną nogę, jakby na znak, że przyklęknąć w każdej chwili gotów; mówił zaś z powagą, nigdy żartobliwie, chociaż naprzykład z Baśką rad żartował. W obchodzeniu się jego z nią, obok czci największej, był raczej pewien odcień pełnego słodyczy smutku. Dzięki tej powadze, nikt inny nie pozwolił sobie również ni na słowo zbyt wyraźne, ni na żart zbyt śmiały, jak gdyby wszystkim udzieliło się przekonanie, że to jest panna, godnością i urodzeniem od wszystkich wyższa, z którą nigdy nie dość polityki.

Krzysia była mu za to serdecznie wdzięczna. Wogóle wieczór ten upłynął dla niej kłopotliwie, ale słodko. Gdy się zbliżyła północ, kapela ustała grać, panie pożegnały towarzystwo, a między rycerstwem poczęły krążyć gęsto kielichy i rozpoczęła się szumniejsza zabawa, w której godność hetmańską objął pan Zagłoba.

Baśka poszła na górę wesoła, jak ptak, bo wybawiła się okrutnie, więc zanim klęknęła do pacierza, poczęła

szaleć, terkotać, naśladować różnych gości, wreszcie rzekła do Krzysi, klaszcząc w ręce:

— Doskonale, że ten twój Ketling przyjechał! Przynajmniej na żołnierzach nie zabraknie! Oho! niech się jeno post skończy, zatańcuję się na umor. To będziem używały! A na twoich zrękowinach z Ketlingem, a na twojem weselu! No, jeśli domu nie przewrócę, to niech mnie Tatarzy w jassyr wezmą! Coby to było, żeby tak nas wzięli? Toby dopiero było! ha! Dobry Ketling! Dla ciebie to on muzykantów sprowadza, ale przy tobie i ja używam. Będzie on dla ciebie coraz nowe dziwy wyprawiał, póki nie zrobi tak!...

To rzekłszy, Baśka rzuciła się nagle na kolana przed Krzysią i objąwszy ją wpół rękoma, poczęła mówić, udając nizki głos Ketlinga:

— Waćpanno! Tak waćpannę miłuję, że dychać nie mogę... Miłuję waćpannę i piechotą i na koniu i na czczo i po jedzeniu i na wieki i po szkocku... Chcesz-li być moją?...

— Baśka! będę się gniewać! — wołała Krzysia.

Ale zamiast się gniewać, chwyciła ją w ramiona i niby usiłując ją podnieść, poczęła całować jej oczy.

ROZDZIAŁ XIII.

Pan Zagłoba wiedział doskonale, że mały rycerz miał się więcej ku Krzysi, niż ku Baśce, ale właśnie dlatego postanowił Krzysię usunąć. Znając nawskróś Wołodyjowskiego, był przekonany, że ten, byle nie miał wyboru, zwróci się niechybnie ku Basi, w której sam stary szlachcic tak się zaślepił, iż w głowie nie chciało mu się pomieścić, jak ktokolwiek mógł inną nad nią przekładać. Rozumował też sobie, że nie może oddać Wołodyjowskiemu większej przysługi nad zaswatanie mu swojego „hajduczka“ i rozpływał się na myśl o tem stadle.

Na Wołodyjowskiego był zły; na Krzysię także; wolałby wprawdzie, żeby pan Michał ożenił się z Krzysią, niż

z nikim, ale postanowił uczynić wszystko, aby się ożenił z hajduczkiem.

I właśnie dlatego, że wiadomy mu był pociąg małego rycerza do Drohojowskiej, postanowił czemprędzej Ketlingową z niej uczynić.

Jednakże odpowiedź, jaką w kilkanaście dni później odebrał od Skrzetuskiego, zachwiała go nieco w postanowieniu.

Skrzetuski radził mu w nic się nie wdawać, obawiał się bowiem, że w przeciwnym razie snadnie wielkie niesnaski między przyjaciółmi wyniknąć mogą. Tego i pan Zagłoba sobie nie życzył, więc oto ozwały się w nim pewne wyrzuty, które uspokajał następującem rozumowaniem:

— Gdyby to sobie Michał z Krzysią obiecali i gdybym wówczas Ketlinga między nich, jako klin, wbijał, to nie mówię! Salomon powiada: „Nie wścibiaj nosa do cudzego trzosa“ — i ma racyę. Ale życzyć każdemu wolno. Zresztą, właściwie biorąc, cóż to ja takiego uczyniłem? Niech mi kto powie, co?

To rzekłszy, pan Zagłoba wziął się w boki i wysunąwszy wargę, począł spoglądać wyzywająco na ściany swojej izby, jakoby od nich spodziewał się zarzutów, ale że ściany nie odrzekły nic, więc sam mówił dalej:

— Powiedziałem Ketlingowi, że hajduczka przeznaczam dla Michała. Albo to mi nie wolno? Może nieprawda? Jeśli Michałowi kogo innego życzę, to niech mnie pedogra ukąsi!...

Ściany przyznały w zupełnem milczeniu słuszność panu Zagłobie.

On zaś ciągnął:

— Powiedziałem hajduczkowi, że Ketling przez Drohojowską ustrzelon, może nieprawda? Zali się nie przyznał, zali nie wzdychał, siedząc przy piecu, aż popiół wylatywał na izbę? A com widział, tom i innym powiedział. Skrzetuski jest realista, ale też i moim dowcipem za psami nikt nie ciska. Sam wiem, co można powiedzieć, a o czem lepiej zamilczeć... Hm! pisze, żeby się w nic nie wdawać!

Może i to być. Tak dalece nie będę się w nic wdawał, że jak kiedy zostaniem samotrzeć z Krzysią i Ketlingem w izbie, to sobie pójdę, a ich samych ostawię. Niech sobie radzą beze mnie. Ba, myślę, że i poradzą. Nie trzeba im żadnej pomocy, bo już i tak prze ich, jedno ku drugiemu, że im oczy bieleją. A w dodatku idzie wiosna, w której to porze nie tylko słońce, ale i żądze zaczynają mocniej przypiekać. Dobrze! zaniecham, jeno obaczym, co z tego wyniknie.„

Jakoż wynik miał wkrótce nastąpić. Na czas wielkiego tygodnia całe towarzystwo z Ketlingowego dworu przeniosło się do Warszawy i stanęło w gospodzie przy ulicy Długiej, aby być w pobliżu kościołów i nabożeństwa zażyć do woli, a zarazem nasycić oczy świątecznym gwarem miejskim.

Ketling i tu czynił honory gospodarskie, bo choć cudzoziemiec z pochodzenia, najlepiej znał stolicę i wszędy miał pełno znajomych, przez których wszystko mógł ułatwić. Przesadzał się w uprzejmościach i prawie myśli towarzyszek zgadywał, a zwłaszcza Krzysine. Wszystkie też pokochały go szczerze; pani Makowiecka zaś, uprzedzona już poprzednio przez pana Zagłobę, spoglądała na niego i na Krzysię coraz przychylniejszem okiem i jeśli nic dotąd nie mówiła z dziewczyną, to tylko dlatego, że i on dotąd milczał. Ale zdawało się zacnej „ciotuli“ rzeczą i naturalną i przystojną, że kawaler wysługuje się panience, zwłaszcza, że to był kawaler prawdziwie świetny, którego na każdym kroku spotykały oznaki szacunku i przyjaźni, nie tylko od niższych, ale od wyższych, tak wszystkich umiał sobie zjednać swoją istotnie cudną urodą, obyczajem, powagą, hojnością, słodyczą w czasie pokoju, męstwem w czasie wojny.

— Będzie, co Bóg da i mój mąż postanowi — myślała sobie pani stolnikowa — ale nie będę im przeszkadzała.

Dzięki temu postanowieniu, Ketling częściej teraz przestawał z Krzysią i dłużej z nią przebywał, niż we własnym domu. Zresztą całe towarzystwo chodziło ciągle razem.

Zagłoba podawał zwykle ramię samej stolnikowej, Ketling Krzysi, a Basia, jako najmłodsza, biegła luzem, to zapędzając się nadto naprzód, to zatrzymując się przed bazarami dla pogapienia się na towary i różne zamorskie dziwa, których nigdy dotąd nie widziała. Krzysia oswoiła się zwolna z Ketlingiem i gdy teraz wspierała się na jego ramieniu, gdy słuchała jego rozmowy, lub patrzyła w jego szlachetną twarz, serce nie tłukło się już z dawnym niepokojem w jej piersi, nie odchodziła od niej przytomność, nie ogarniała ją konfuzya, ale niezmierna i upajająca słodycz. Byli ciągle ze sobą; klękali obok siebie w kościołach, głosy ich mieszały się w modlitwie i śpiewach pobożnych.

Ketling znał dobrze stan swego serca; Krzysia, bądź w braku odwagi, bądź dlatego, że sama siebie chciała oszukać, nie powiedziała sobie: „kocham go“ — ale pokochali się bardzo mocno. Że zaś obok tego zawiązała się między nimi wielka przyjaźń, że poza miłością jeszcze się lubili niezmiernie, a o samej miłości nic dotąd sobie nie rzekli, przeto czas im schodził, jak sen i pogoda była nad niemi.

Wkrótce miały ją dla Krzysi przesłonić chmury wyrzutów, ale obecnie była pora spoczynku. Właśnie przez zbliżenie się do Ketlinga, przez oswojenie się z nim, przez ową przyjaźń, jaka razem z miłością między niemi zakwitła, skończyły się Krzysine niepokoje, wrażenia nie były tak gwałtowne, uciszyły się rozterki krwi i wyobraźni. Oto byli siebie blizko, było im przy sobie dobrze i Krzysia, oddawszy się całą duszą tej wdzięcznej obecności, nie chciała myśleć o tem, że ona skończy się kiedykolwiek i że do rozproszenia ułudy potrzeba tylko jednego słowa Ketlinga: „Kocham!“

Słowo to zostało wkrótce wymówione. Raz, gdy stolnikowa z Basią były u chorej krewnej, namówił Ketling Krzysię i pana Zagłobę do zwiedzenia zamku królewskiego, którego Krzysia nie znała dotąd, a o którego osobliwościach dziwy opowiadano w całym kraju. Udali się więc we troje. Hojność Ketlingowa otworzyła im wszystkie wej-

ścia i Krzysię witały tak uniżone ukłony odźwiernych, jak gdyby była królową i do własnej wstępowała rezydencyi. Ketling, znający doskonale zamek, oprowadzał ją po wspaniałych salach i komnatach. Oglądali teatrum, łaźnie królewskie; zatrzymywali się przed obrazami, przedstawiającymi bitwy i zwycięstwa Zygmunta i Władysława, odniesione nad wschodnią dziczą; przeszli na tarasy, z których wzrok ogarniał niezmierną przestrzeń kraju. Krzysia nie mogła wyjść z podziwu, on zaś tłómaczył jej każdą rzecz i przedstawiał, a od czasu do czasu umilknął i spoglądając w jej ciemno-niebieskie oczy, zdawał się mówić wzrokiem: „Co znaczą te wszystkie cuda wobec ciebie, cudzie! Co znaczą te skarby wobec ciebie, skarbie!“

Panna zaś rozumiała tę cichą mowę. Zaczem wwiódł ją do jednej z komnat królewskich i stanąwszy przed ukrytemi drzwiami w ścianie, rzekł:

— Tędy aż do katedry dojść można. Jest to długi korytarz, który się kończy ganeczkiem niedaleko wielkiego ołtarza. Z onego ganeczku królestwo mszy zwykle słuchają.

— Znam dobrze tę drogę — odpowiedział Zagłoba — bo żem to był z Janem Kazimierzem konfident i Marya Ludwika pasyami mnie kochała, więc często mnie oboje na mszę ze sobą zapraszali, a to, żeby się moją kompanią cieszyć i pobożnością budować.

— Chcesz waćpanna wstąpić? — pytał Ketling, dając znak odźwiernemu, by drzwi otworzył.

— Wejdźmy — rzekła Krzysia.

— Idźcie sami — ozwał się pan Zagłoba — młodziście i macie dobre nogi, a jam się już dosyć nadreptał. Idźcie, idźcie, ja tu z odźwiernym zostanę. Chociażbyście też i po parę pacierzy zmówili, nie będę gniewny na mitręgę, bo sobie przez ten czas wypocznę.

Więc weszli.

On wziął jej rękę i prowadził długim korytarzem. Ręki tej nie przyciskał do serca; szedł spokojny i skupiony. Boczne okienka rozświecały raz wraz ich postacie, poczem znowu pogrążali się w mroku. Jej nieco serce biło, bo oto

pozostali pierwszy raz sam na sam, ale jego spokój i słodycz uspakajały ją także. Weszli nakoniec na ganeczek, umieszczony w prawej stronie kościelnej, już za stalami, nieopodal wielkiego ołtarza.

Więc naprzód klękli i poczęli się modlić. Kościół był cichy i pusty. Dwie świece paliły się przed wielkim ołtarzem, jednak cała ta głębsza część nawy pogrążona była w uroczystym półcieniu. Tylko od szyb tęczowych wchodziły blaski rozmaite i padały na dwie przecudne twarze, pogrążone w modlitwie, spokojne, podobne do twarzy cherubinów.

Ketling podniósł się pierwszy i począł szeptać, bo w kościele nie śmiał podnosić głosu:

— Patrz pani na one aksamitne oparcia: są na nich ślady, gdzie wspierały się głowy obojga królestwa. Królowa siadała z tej strony, bliżej ołtarza. Odpocznij pani na jej miejscu...

— Zali prawda, że ona całe życie była nieszczęśliwa? — szepnęła, siadając, Krzysia.

— Historyę jej słyszałem jeszcze dzieckiem, bo opowiadano ją po wszystkich rycerskich zamkach. Być może, że była nieszczęśliwa, gdyż nie mogła zaślubić tego, którego pokochało jej serce.

Krzysia oparła głowę o to samo miejsce, na którem było wgłębienie, wytłoczone przez głowę Maryi Ludwiki i przymknęła oczy; jakieś bolesne uczucie ścisnęło jej pierś; jakiś chłód wionął nagle z pustej nawy i zmroził ten spokój, który przed chwilą jeszcze przepełniał całą jej istotę. Ketling patrzył na nią w milczeniu; zrobiła się cisza prawdziwie kościelna.

Poczem obsunął się zwolna do nóg Krzysinych i tak mówić począł głosem wzruszonym, lecz spokojnym:

— Nie grzech to, że w świętem miejscu przed tobą klękam, bo gdzież, jeśli nie do kościoła czysta miłość po błogosławieństwo przychodzi. Miłuję cię więcej, niż zdrowie, miłuję nad wszelkie dobro ziemskie, miłuję cię duszą, miłuję

cię sercem i tu, wobec tego ołtarza, miłość ci moją wyznawam!..

Twarz Krzysi pobielała, jak płótno. Wsparta głową na aksamicie poręczy, nie czyniła nieszczęsna panna żadnego ruchu, on zaś mówił dalej:

— Więc nogi twoje obejmuję i o wyrok cię błagam: mam-li odejść z radością niebiańską, czy też z żalem nieznośnym, którego zgoła przeżyć nie zdołam?...

Tu chwilę czekał odpowiedzi, lecz gdy jej nie było, skłonił głowę tak, że prawie dotykała stóp Krzysinych i wzruszenie widocznie opanowywało go coraz większe, bo głos mu drgał, jak gdyby piersiom jego brakło oddechu.

— W ręce twoje oddaję szczęście i życie moje. Zmiłowania wyglądam, bo mi ciężko okrutnie...

— Módlmy się o Boskie miłosierdzie! — zawołała nagle Krzysia, obsuwając się na kolana.

Ketling nie zrozumiał, ale nie śmiał się tej intencyi sprzeciwić, więc pełen oczekiwania, niepokoju, klęknął przy niej i znów się poczęli modlić.

W pustym kościele słychać było chwilami podnoszące się głosy, którym echo nadawało dźwięki dziwne i żałobne.

— Boże, bądź miłościw! — ozwała się Krzysia.

— Boże, bądź miłościw! — powtórzył Ketling.

— Zmiłuj się nad nami!

— Zmiłuj się nad nami!

Dalej modliła się już cicho, ale widział Ketling, że płacz wstrząsa całą jej postacią. Długo nie mogła się uspokoić, potem, uspokoiwszy się, długo jeszcze klęczała bez ruchu, wreszcie podniosła się i rzekła:

— Pójdźmy...

Wyszli znów na ów długi korytarzyk. Ketling spodziewał się, że w drodze otrzyma jakowąś odpowiedź i patrzył jej w oczy, ale napróżno.

Szła śpiesznie, jakby pragnąc coprędzej znaleźć się w komnacie, w której czekał na nich pan Zagłoba.

Więc, gdy już drzwi były o kilkanaście kroków, rycerz uchwycił za kraj sukni.

— Panno Krystyno! — rzekł — na wszystko co-ś święte...

Wówczas Krzysia odwróciła się i chwyciwszy tak szybko jego dłoń, że nie miał czasu postawić najmniejszego oporu, przycisnęła ją w mgnieniu oka do ust.

— Miłuję cię z całej duszy, ale nigdy nie będę twoją! — rzekła.

I nim zdumiony Ketling zdołał wymówić słowo, dodała jeszcze:

— Zapomnij o wszystkiem, co było!...

Po chwili znaleźli się oboje w komnacie.

Odźwierny spał w jednem krześle, a pan Zagłoba w drugiem. Jednak wejście młodych zbudziło ich. Zagłoba otworzył oko i począł niem mrugać nawpół przytomnie. Zwolna jednak wróciła mu pamięć czasu i osób.

— Ha! to wy! — rzekł, obciągając pas ku dołowi. — Śniło mi się, że nowy elekt stanął, ale to był Piast. Byliście na ganeczku?

— Tak jest.

— A dusza Maryi Ludwiki nie ukazała się wam przypadkiem?

— Owszem! — odrzekła głucho Krzysia.

ROZDZIAŁ XIV.

Po wyjściu z zamku, Ketling, potrzebując zebrać myśli i otrząsnąć się ze zdumienia, w które wprawiło go postępowanie Krzysi, pożegnał ją i Zagłobę zaraz przed bramą, oni zaś oboje udali się z powrotem do gospody. Basia z panią stolnikową już były od chorej wróciły także i pani stolnikowa przywitała pana Zagłobę następującemi słowy:

— Miałam pismo od męża, który przy Michale w stannicy dotąd bawi. Zdrowi są obaj i niedługo się tu obiecują.

Jest list od Michała do waćpana, a do mnie tylko podskryptum w mężowskim. Pisze też mąż, że dyferencye, która była ż Żubrami o jedną Basiną majętność, szczęśliwie ukończył. Teraz już tam sejmiki z blizka... Powiada, że tam imię pana Sobieskiego okrutnie znaczy, więc i sejmik po jego myśli wypadnie. Kto żyw, na elekcyę się wybiera, ale nasze strony będą z panem marszałkiem koronnym. Ciepło już tam i dżdże chodzą... W Werchutce u nas spaliły się zabudowania... Czeladnik ogień zapuścił, a że wiatr był,...

— Gdzie list Michałowy do mnie? — spytał pan Zagłoba, przerywając potok nowin, wypowiedzianych jednym tchem przez zacną panią stolnikową.

— Ot, jest! — odrzekła, podając mu pismo pani stolnikowa. — Że wiatr był, a ludzie na jarmarku...

— Jakże się te listy tu dostały? — spytał znów Zagłoba.

— Przyszły do pana Ketlingowego dworca, a stamtąd czeladnik odniósł. Że zaś, powiadam, wiatr był...

— Chcesz waćpani dobrodzika posłuchać?

— Owszem, bardzo proszę.

Pan Zagłoba złamał pieczęcie i począł czytać, naprzód półgłosem, dla siebie samego, potem głośno dla wszystkich:

„Pierwsze to pismo do was wysyłam, ale bodaj drugiego nie będzie, bo tu i poczty niepewne i sam personaliter nie długo się między wami stawię. Dobrze tu w polu, ale przecie do was serce okrutnie mnie ciągnie i rozmyślaniom a wspominkom końca niemasz, kwoli którym solitudo milsza mi od kompanii. Robota obiecana minęła, bo ordy cicho siedzą, jeno mniejsze kupy w łąkach buszują, które też dwukrotnie podeszliśmy tak fortunnie, że ni świadek klęski nie ostał.

— O, to ich przygrzali! — zawołała z radością Basia. — Niemasz nad stan żołnierski!

„Ci z doroszeńkowej hassy (czytał dalej Zagłoba) radziby z nami pohałasować, ale im bez ordy nijak. Jeńcy zeznają, że znikąd się żaden większy czambuł nie ruszy, zaś i ja

tak myślę, bo miałoby-li co z tego być, toby już było, gdyż trawy od tygodnia zielenieją i jest czem konie popaść. W jarach, tu i owdzie, jeszcze się coś śniegu przytaiło, ale wysoki step zielony i wiatr ciepły wieje, od którego konie poczynają lenieć, a to najpewniejsze wiosny signum. Po permissyę już posłałem, która lada dzień nadejdzie i zaraz ruszę... Pan Nowowiejski zastąpi mnie w stróżowaniu, przy którem tak mało roboty, żeśmy z Makowieckim liszki po całych dniach szczwali, dla samej uciechy, boć futro ku wiośnie nic potem. Jest też siła dropiów, a czeladnik mój ustrzelił pelikana z guldynki. Ściskam waćpana z całego serca, pani siostrze ręce całuję, a także pannie Krzysi, której przychylności fortissime się polecam, o to głównie Boga prosząc, abym ją niezmienioną zastał i tej samej pociechy mógł używać. Pokłoń się waćpan ode mnie pannie Basi. Nowowiejski złość za mokotowską rekuzę kilkakrotnie na karkach hultajskich wywierał, ale jeszcze się zapamiętywa; znać nie ze wszystkiem mu ulżyło. Bogu i jego przenajświętszej łasce was polecam".

„P. scriptum: Kupiłem od przejezdnych Ormianów błam gronostajów, bardzo zacny; ten gościńcem pannie Krzysi przywiozę, a i dla naszego hajduczka znajdą się bakalijki tureckie".

— Niech sobie je pan Michał sam zje, bom ja nie dziecko! — ozwała się Basia, której policzki zapłonęły, jakoby od nagłej przykrości.

— To nierada go zobaczysz? Gniewasz się na niego? — spytał Zagłoba.

Lecz ona mruknęła coś tylko z cicha i naprawdę pogrążyła się w gniewie, rozmyślając trochę o tem, jak pan Michał lekko ją traktuje, a trochę o dropiach i o owym pelikanie, który szczególnie podniecił jej ciekawość.

Krzysia podczas czytania siedziała z zamkniętemi oczyma, odwrócona od światła, było zaś to prawdziwe szczęście, że obecni nie mogli widzieć jej twarzy, gdyż zaraz poznaliby, że się dzieje coś nadzwyczajnego. To, co zaszło w kościele, a następnie list pana Wołodyjowskiego, to były

dla niej jakoby dwa uderzenia obucha. Sen cudny pierzchnął i od tej chwili dziewczyna stanęła twarzą w twarz rzeczywistości ciężkiej, jak nieszczęście. Na poczekaniu nie mogła zebrać myśli i tylko niewyraźne, mgliste uczucia wichrzyły w jej sercu. Wołodyjowski, razem ze swoim listem, razem z zapowiedzią przyjazdu i z błamem gronostajów, wydał jej się tak płaskim, że prawie wstrętnym. Natomiast nigdy Ketling nie był jej droższym. Drogą jej była sama myśl o nim, drogie jego słowa, kochana jego twarz, drogim jego smutek. I oto trzeba będzie odejść od kochania, od uwielbienia, od tego, do którego rwie się serce, wyciągają ramiona; zostawić umiłowanego człowieka w desperacyi, w wiecznym smutku, w zmartwieniu, a oddać duszę i ciało innemu, któren dlatego samego, że jest innym, staje się niemal nienawistnym.

— Nie zmogę się, nie zmogę się! — wołała w duszy Krzysia.

I czuła to, co czuje branka, której wiążą ręce, a jednak sama się ona związała, bo przecie mogła powiedzieć swego czasu Wołodyjowskiemu, że mu będzie siostrą, niczem więcej.

Tu przyszedł jej na pamięć ów pocałunek przyjęty i oddany, więc ogarnął ją wstyd i pogarda dla samej siebie. Zali kochała już wówczas Wołodyjowskiego? — Nie! W sercu jej nie było miłości, tylko, prócz współczucia, ciekawość i bałamuctwo, pozorami siostrzeńskiego afektu pokryte.

Teraz dopiero poznała, że między pocałowaniem z wielkiej miłości, a pocałowaniem z popędu krwi, jest taka różnica, jak między aniołem a dyabłem. Obok pogardy, zebrał gniew w Krzysi, atoli poczęła się w niej duma burzyć i przeciw Wołodyjowskiemu. On także był winien, czemuż cała pokuta i zgryzota i zawód ma spadać na nią? Czemuby i on nie miał zakosztować tego gorzkiego chleba? Zali ona nie ma prawa powiedzieć mu, gdy powróci:

— Zmyliłam się... litość nad waćpanem wzięłam za afekt; zmyliłeś się i ty; teraz poniechaj mnie, jak ja ciebie poniechałam!...

Nagle strach porwał ją za włosy przed zemstą groźnego męża, strach nie o siebie, ale o głowę ukochaną, na którą ta zemsta spadłaby niechybnie. W wyobraźni ujrzała Ketlinga, stawającego do walki z tym złowrogim szermierzem nad szermierze i następnie padającego, jak pada kwiat, podcięty kosą; ujrzała jego krew, jego wybladłą twarz, jego zamknięte na wieki oczy i cierpienia jej przeszły miarę wszelką.

Wstała czemprędzej i wyszła do swojej izby, by zejść ludziom z oczu, by nie słuchać rozmowy o Wołodyjowskim i o jego blizkim powrocie. W sercu jej wzbierała coraz większa przeciw małemu rycerzowi zawziętość.

Ale zgryzota i żal poszły w trop za nią; nie opuściły jej w czasie pacierzy; siadły na jej łóżku, gdy położyła się w nie, zmożona słabością i poczęły przemawiać do niej:

— Gdzie on? — pytał żal. — Patrz, nie wrócił dotąd do gospody; chodzi po nocy i ręce łamie. Chciałabyś mu nieba przychylić, oddałabyś za niego krew serdeczną, a napoiłaś go trucizną, nóż wepchnęłaś mu w serce...

— Gdyby nie twoja płochość, gdyby nie chęć wabienia każdego, którego spotkasz — mówiła zgryzota — inaczejby wszystko być mogło, a teraz jeno desperacya ci zostaje. Twoja wina! twoja wielka wina! Niema już rady, niema już dla cię ratunku, jeno wstyd, a ból, a płakanie...

— Jak to on w kościele klęczał przed tobą — mówił znów żal. — Dziw, że ci serce nie pękło, kiedy ci w oczy patrzył i zmiłowania prosił. Słuszna było nad obcym się litować, a cóż dopiero nad nim, nad kochanym, nad najmilszym! Boże mu błogosław, Boże go pociesz!

— Gdyby nie twoja płochość, mógł w radości odejść ten najmilszy — powtarzała zgryzota — i tyś mu mogła w ramiona pójść, jako wybrana, jako żona...

— I wiecznie z nim być! — dodawał żal.

A zgryzota:

— Twoja wina!

A żal:

— Krzysiu, płacz!

Więc znów zgryzota:

— Tem winy nie zmażesz!

Więc znów żal:

— Uczyń, co chcesz, a pociesz go.

— Wołodyjowski go zabije! — odpowiedziała natychmiast zgryzota.

Zimny pot oblał Krzysię i siadła na łóżku. Mocne światło księżyca wpadało do izby, która w tych białych blaskach wydawała się jakoś dziwnie i straszno.

— Co to jest? — myślała Krzysia — oto tam Basia śpi, widzę ją, bo miesiąc jej w twarz świeci, a ani wiem, kiedy przyszła, kiedy się rozebrała i położyła. Nie spałam przecież ani chwili, ale widać, że moja biedna głowa już na nic...

Tak rozmyślając, położyła się znowu, lecz wnet żal i zgryzota zasiadły także na krawędzi jej łóżka, zupełnie jakby jakieś dwie boginki, które wedle woli zanurzały się w blasku księżycowym, lub też wypływały z tej srebrnej topieli napowrót.

— Nie będę dziś wcale spała! — rzekła sobie Krzysia. I poczęła rozmyślać o Ketlingu, a przytem cierpieć coraz bardziej.

Nagle, wśród ciszy nocnej, ozwał się żałosny głos Basi:

— Krzysiu!

— Nie śpisz?

— Bo mi się przyśniło, że jakowyś Turczyn pana Michała strzałą przeszył. Jezu Chryste! sen mara! Ale aż mnie febra trzęsie. Zmówmy litanię, by Bóg nieszczęście odwrócił!

Krzysi przeleciała przez głowę błyskawicą myśl: „Bogdaj go kto ustrzelił!“. Ale natychmiast przeraziła się własną złością, więc też, choć trzeba się jej było zdobyć na nadludzką siłę, aby w tej właśnie chwili modlić się o szczęśliwy powrót Wołodyjowskiego, jednak odrzekła:

— Dobrze, Basiu!

Zaczem podniosły się obie z łóżek i klęknąwszy nagiemi kolankami na zalanej księżycowem światłem podłodze, po-

częły odmawiać litanię. Głosy ich odpowiadały sobie wzajemnie, to podnosząc się, to zniżając; rzekłbyś: izba zmieniła się w celę klasztorną, w której dwie białe mniszeczki odprawiają nocne modlitwy.

ROZDZIAŁ XV.

Nazajutrz dzień była już Krzysia spokojniejsza, albowiem wśród poplątanych ścieżek i manowców wybrała sobie drogę ciężką niezmiernie, ale nie błędną. Wstępując na nią, wiedziała przynajmniej, dokąd dojdzie. Przedewszystkiem jednak postanowiła widzieć się z Ketlingiem i rozmówić się z nim po raz ostatni, aby go od wszelakiej przygody zasłonić. Przyszło jej to nie łatwo, bo Ketling nie pokazał się przez kilka następnych dni i na noc nie wracał.

Krzysia poczęła wstawać do dnia i chodzić do poblizkiego kościoła Dominikanów, w tej nadziei, że któregokolwiek ranka spotka go i rozmówi się z nim bez świadków.

Jakoż w kilka dni później spotkała go w samej bramie. On, spostrzegłszy ją, zdjął kapelusz i schyliwszy w milczeniu głowę, stał bez ruchu; twarz miał zmęczoną bezsennością i cierpieniem, oczy zapadłe, na skroniach złotawe piętna; delikatna cera jego stała się woskową i wyglądał po prostu, jak cudny kwiat, który więdnie.

Krzysi na ten widok rozdarło się na dwoje serce, więc choć każdy krok stanowczy kosztował ją bardzo wiele, bo z natury była nieśmiałą, jednak pierwsza wyciągnęła doń rękę i rzekła:

— Niech waćpana Bóg pocieszy i ześle mu zapomnienie.

Ketling wziął jej rękę, przyłożył ją sobie do rozpalonego czoła, potem do ust, do których przyciskał ją długo i z całej mocy, wreszcie ozwał się głosem pełnym śmiertelnego smutku i rezygnacyi.

— Niemasz dla mnie pociechy, ni zapomnienia!...

Była chwila, że Krzysia potrzebowała całej mocy nad

sobą, by nie zarzucić mu z żalu rąk na szyję i nie zakrzyknąć: „Kocham cię nad wszystko! bierz mnie!“ Czuła, że jeśli porwie ją płacz, to ona tak uczyni; więc długi czas stała przed nim w milczeniu, pasując się ze łzami. Jednak się wreszcie zmogła i poczęła mówić spokojnie, chociaż bardzo prędko, bo tchu jej brakło:

— Możeć to przyniesie jakowąś ulgę, gdy powiem, że nie będę niczyją... Idę za kratę... Waćpan mnie nigdy nie sądź źle, bom i tak już nieszczęśliwa! Waćpan mi przyrzeknij, daj mi parol, że się z afektu dla mnie nie spuścisz nikomu... że się nie przyznasz... że tego, co było, nie odkryjesz ni przyjacielowi, ni krewnemu. To moja ostatnia prośba. Przyjdzie ten czas, że waćpan będziesz wiedział, dlaczego to czynię... Ale i wtedy miej wyrozumienie. Dziś nie powiem więcej, bo od żalu zgoła nie mogę. Waćpan mi to przyrzeknij, to mnie pocieszysz, a inaczej, chyba zamrę!

— Przyrzekam i parol daję! — odpowiedział Ketling.

— Bóg waćpanu zapłać, a ja z całego serca dziękuję! Ale i przy ludziach spokojną twarz pokazuj, by się kto czego nie domyślił. Czas mi odejść. Waćpan jesteś taki dobry, że słów brak. Odtąd się już osobno nie będziem widzieli, jeno przy ludziach. Powiedz-że mi jeszcze, że do mnie urazy nie chowasz... Bo męka co innego, a uraza co innego... Bogu mnie ustępujesz, nie komu innemu... pamiętaj!

Ketling chciał coś przemówić, ale że cierpiał nad miarę, więc tylko jakieś niewyraźne dźwięki, podobne do jęczenia, wyszły z jego ust; następnie dotknął palcami Krzysinych skroni i trzymał je tak czas jakiś, na znak, że jej przebacza i że ją błogosławi.

Poczem się rozstali; ona poszła do kościoła, a on znów w ulicę, by nie spotkać się z kim ze znajomych w gospodzie.

Krzysia wróciła dopiero w południe, a wróciwszy, znalazła znamienitego gościa: był to ksiądz podkanclerzy Olszowski. Przyjechał on niespodzianie w odwiedziny do pana

Zagłoby, pragnąc, jak sam powiadał, poznać tak wielkiego kawalera: „którego przewagi wojenne są wzorem, a rozum przewodnikiem dla całego rycerstwa w tej wspaniałej Rzeczypospolitej“.

Pan Zagłoba był po prawdzie wielce zdumiony, lecz niemniej kontent, że go taki wielki honor wobec niewiast spotyka; puszył się więc niezmiernie, czerwienił, pocił, a jednocześnie starał się okazać pani stolnikowej, iż przywykł do podobnych odwiedzin ze strony największych dostojników w kraju i że nic sobie z nich nie robi.

Krzysia, przedstawiona prałatowi i ucałowawszy pokornie jego ręce, usiadła przy Basi, rada, że nikt na jej twarzy śladu niedawnych wzruszeń nie wyczyta.

Tymczasem ksiądz podkanclerzy obsypywał pochwałami pana Zagłobę tak obficie i tak łatwo, iż zdawało się, że coraz nowe ich zapasy wydobywał ze swych fioletowych, poobszywanych koronkami rękawów.

— Waszmość nie myśl — mówił — iż mnie tu sama ciekawość poznania pierwszego między rycerstwem męża przygnała, bo jakkolwiek podziw słusznym jest dla bohaterów hołdem, jednakże, gdzie obok męstwa, eksperyencye i bystry rozum sedes sobie obrały, tam ludzie i dla własnej korzyści odprawować zwykli pielgrzymki.

— Eksperyencya — rzekł skromnie pan Zagłoba — szczególniej w wojennem rzemiośle z samym wiekiem przyjść musiała i może dlatego jeszcze nieboszczyk pan Koniecpolski, ojciec chorążego, czasem o radę mnie pytał, potem zaś i pan Mikołaj Potocki i książę Jeremi Wiśniowiecki i pan Sapieha i pan Czarniecki, ale co do przezwiska: Ulisses, temu się zawsze przez modestyę oponowałem.

— A jednak tak ono z waścią związane, że czasem i prawdziwego nazwiska ktoś nie powie, jeno rzeknie: „nasz Ulisses“ i wszyscy wraz odgadną, kogo orator chciał wyrazić. Więc też w dzisiejszych trudnych, a przewrotnych czasach, gdy nie jeden waha się w umyśle i nie wie, gdzie ma się obrócić, przy kim stanąć, rzekłem sobie: „Pójdę! zdania wysłucham, wątpliwości się pozbędę, światłą radą

się oświecę". Zgadujesz waszmość, że o blizkiej elekcyi chcę mówić, wobec której każda censura candidatorum ku czemuś dobremu przywieźć może, a cóż dopiero taka, która z ust waszmościowych wypłynie. Słyszałem już między rycerstwem, z największym aplauzem powtarzane, że waść nierad owych cudzoziemców widzisz, którzy się na nasz tron wspaniały cisną. W żyłach Wazów (miałeś waszmość powiedzieć) płynęła krew jagiellońska, przeto za obcych nie mogli być uważani, ale ci cudzoziemcy (miałeś waszmość powiedzieć) ani naszych staropolskich obyczajów nie znają, ani naszych wolności uszanować nie potrafią i łatwo absolutum dominium wyniknąć stąd może. Przyznaję waszmości, że głębokie te słowa, ale wybacz jeżeli spytam: zali istotnie je wypowiedziałeś, czyli też opinio publica wszystkie głębsze sentencye tobie, w pierwszym rzędzie, ze zwyczaju już przypisuje?

— Świadkiem te białogłowy — odpowiedział Zagłoba — a choć niestosowna to dla nich materya, niechaj mówią, skoro opatrzność w niezbadanych swych wyrokach dar mowy na równi z nami im przyznała!

Ksiądz podkanclerzy mimowoli spojrzał na panią Makowiecką, a następnie na dwie przytulone do siebie panienki.

Nastała chwila ciszy.

Nagle rozległ się srebrzysty głos Basi:

— Ja nie słyszałam!

Zaczem Basia zmieszała się okrutnie i zaczerwieniła się po same uszy, zwłaszcza, że pan Zagłoba zaraz rzekł:

— Wybacz wasza dostojność! Młode to, więc płoche! Ale quod attinet kandydatów, nieraz mówiłem, że na tych cudzoziemców będzie płakała wolność polska.

— Boję się i ja tego — odparł ksiądz Olszowski — lecz choćbyśmy chcieli jakowegoś Piasta, krew z krwi, kość z kości naszych, obrać, powiedz waszmość, w którą stronę serca nasze zwrócić się mają? Sama waszmościna myśl o Piaście jest wielka i jako płomień szerzy się po kraju,

bo słyszę, że wszędy na sejmikach, gdzie jeno korupcyi nie pobrano, jeden głos słychać: Piast! Piast!...

— Słusznie! słusznie! — przerwał Zagłoba.

— Wszelako — ciągnął dalej podkanclerzy — łatwiej jest obwoływać Piasta, niż tak pożądanego znaleźć, więc nie dziwuj się waszmość, że się spytam: kogo miałeś na myśli?

— Kogo miałem na myśli? — powtórzył, nieco zakłopotany, Zagłoba.

I wysunąwszy wargę, zmarszczył brwi. Ciężko mu było zdobyć się na prędką odpowiedź, bo dotychczas nie tylko nikogo nie miał na myśli, ale wogóle nie miał wcale i tych myśli, które zręczny ksiądz podkanclerzy już mu był wmówił. Zresztą sam wiedział o tem i rozumiał, że podkanclerzy ciągnie go w jakowąś stronę, ale umyślnie ciągnąć się pozwolił, bo mu to pochlebiało wielce.

— Twierdziłem tylko in principio, że nam potrzeba Piasta — odrzekł wreszcie — ale co prawda, tom nikogo dotąd nie wymienił.

— Słyszałem o ambitnych zamiarach księcia Bogusława Radziwiłła! — mruknął, jakby sam do siebie, ksiądz Olszowski.

— Póki tchu w nozdrzach moich, póki ostatnia kropla krwi w piersi — zawołał z siłą głębokiego przekonania Zagłoba — nic z tego! Żyćbym w tak pohańbionym narodzie nie chciał, któryby zdrajcę i Judasza swego królem w nagrodę kreował!

— Głos to nie tylko rozumu, ale i obywatelskiej cnoty! — mruknął znów podkanclerzy.

— Ha! — pomyślał Zagłoba — chcesz ty mnie pociągnąć, pociągnę ja ciebie.

Na to znów Olszowski:

— Kędyż tedy zapłyniesz skołatana nawo ojczyzny mojej! Jakież cię burze, jakież cię skały czekają? Zaprawdę, źle będzie, gdy cudzoziemiec sternikiem twoim zostanie, ale widać tak musi być, gdy niemasz między twymi synami godniejszego!

Tu rozłożył białe ręce, zdobne błyszczącymi pierścieniami i schyliwszy głowę, rzekł z rezygnacyą:

— Zatem Kondeusz, Lotaryńczyk, lub książę Neyburski?... Niemasz innej rady!

— Nie może być! Piast! — odpowiedział Zagłoba.

— Kto? — spytał ksiądz.

I nastało milczenie.

Zaczem znów zabrał głos podkanclerzy:

— Czy jest aby jeden, na którego zgodziliby się wszyscy? Gdzie jest taki, któryby od razu tak przypadł rycerstwu do serca, by nikt nie śmiał przeciw wyborowi jego szemrać?... Był jeden taki, największy, najzasłużeńszy, twój, zacny rycerzu, przyjaciel, który w sławie, jak w słońcu, chodził... Był taki..

— Książę Jeremi Wiśniowiecki! — przerwał Zagłoba.

— Tak jest! Ale on w grobie..

— Żyje syn jego! — odpowiedział Zagłoba.

Podkanclerzy zamrużył oczy i siedział czas jakiś w milczeniu; nagle podniósł głowę, spojrzał na pana Zagłobę i począł mówić zwolna:

— Dziękuję Bogu, że mnie natchnął myślą poznania waszmości. Tak jest! żywie syn wielkiego Jeremiego, młode i pełne nadziei książę, względem którego ma Rzeczpospolita nieuiszczony dług do spłacenia. Ale z olbrzymiej fortuny nic mu nie zostało, jeno sława, jako jedyna spuścizna. Więc w dzisiejszych zepsutych czasach, gdy każdy oczy tam tylko kieruje, gdzie je złoto przyciąga, kto wymówi jego imię, kto będzie miał odwagę jego kandydaturę postawić? Waćpan? — tak! Zali jednak znajdzie się takich wielu? Nie dziwno, że ten, komu wiek życia w bohaterskich zapasach na wszystkich polach przeminął, nie ulęknie się i na elekcyjnem polu hołd głośno słuszności oddać... Ale czy inni pójdą za nim?...

Tu podkanclerzy zamyślił się, poczem wzniósł oczy i dalej mówił:

— Bóg nad wszystkich mocniejszy. Kto wie, jakie są

jego wyroki? kto wie? Skoro pomyślę, jak całe rycerstwo wierzy i ufa waćpanu, zaprawdę, spostrzegam ze zdumieniem, że jakowaś nadzieja wstępuje mi w serce. Powiedz mi waćpan szczerze, zali niepodobieństwa istniały dla cię kiedykolwiek?

— Nigdy! — odrzekł z przekonaniem Zagłoba.

— Zbyt ostro jednak tej kandydatury stawiać od razu nie należy. Niech się to imię o uszy ludzkie odbija, ale niech nie wydaje się przeciwnikom zbyt groźne; niech lepiej śmieją się i szydzą, by zbyt silnych nie stawiali impedimentów... Może też Bóg da, że nagle wypłynie, gdy tamte partye wzajem zniweczą swoje zabiegi... Toruj mu waszmość zwolna drogę i nie ustawaj w pracy, bo to kandydat twój, godny twego rozumu i doświadczenia... Boże cię błogosław w tych zamiarach...

— Mamże supponować — spytał Zagłoba — że wasza dostojność także o księciu Michale zamyślał?

Ksiądz podkanclerzy wydobył z za rękawa małą książeczkę, na której czerniał grubemi literami wybity tytuł: „Censura candidatorum“ i rzekł:

— Czytaj waszmość, niech to pismo za mnie odpowie!

To rzekłszy, ksiądz podkanclerzy począł się zbierać, lecz pan Zagłoba zatrzymał go i rzekł:

— Pozwolisz wasza dostojność, że ja jeszcze coś odpowiem. Więc naprzód dziękuję Bogu, że mniejsza pieczęć w takich znajduje się rękach, które umieją na wosk ludzi ugniatać.

— Jak to? — spytał zdziwiony podkanclerzy.

— Po drugie, z góry powiadam waszej dostojności, że kandydatura księcia Michała bardzo do serca mi przypada, bom jego ojca znał i miłował i biłem się pod nim wraz z mymi przyjaciółmi, którzy także dusznie się uradują na myśl, że synowi będą mogli okazać tę miłość, jaką dla wielkiego ojca mieli. Przeto chwytam się tej kandydatury oburącz i dziś jeszcze pomówię z panem podkomorzym Krzyckim, familiantem wielkim i moim znajomkiem, który ma niepośledni mir u szlachty, bo trudno go nie kochać.

Obaj tedy będziem czynić, co w mocy naszej i Bóg da, że coś wskóramy.

— Niech was aniołowie prowadzą — odrzekł ksiądz — jeśli tak, to o nic więcej nie chodzi.

— Za pozwoleniem waszej dostojności. Mnie chodzi jeszcze o jedną rzecz: mianowicie, żeby wasza dostojność nie pomyślała sobie tak: „Swoje własne desiderata w gębę mu włożyłem, wmówiłem w niego, że to on z własnego rozumu invenit księcia Michałową kandydaturę, krótko mówiąc, ugniotłem kpa w ręku, jakby był z wosku“... Wasza dostojność! Będę promował księcia Michała dlatego, że mi do serca przypadł — ot, co!... że waszej dostojności także, jako widzę, przypada — ot, co!... Będę promował dla księżnej wdowy, dla moich przyjaciół, dla ufności, jaką mam w rozumie (tu pan Zagłoba skłonił się), z którego ta Minerwa wyskoczyła, ale nie dlatego, żem sobie dał wmówić, jako małe dziecko, że to moja inwencya; nie dlatego wreszcie, żem kiep, ale dlatego, że jak mi ktoś mądry co mądrego mówi, to stary Zagłoba powiada: Zgoda!

Tu skłonił się szlachcic raz jeszcze i umilkł. Ksiądz podkanclerzy zmieszał się był z początku znacznie, ale widząc i dobry humor szlachcica i to, że sprawa tak pożądany obrót bierze, roześmiał się z całej duszy, zaczem, chwyciwszy się za głowę, jął powtarzać:

— Ulisses, jak mi Bóg miły, czysty Ulisses! Panie bracie, kto chce co dobrego sprawić, różnie ludzi obchodzić musi, ale z wami, widzę, trzeba prosto w sedno. Okrutnieście mi do serca przypadli!

— Jako mnie książę Michał!

— Niechże wam Bóg da zdrowie! Ha! pobitym, alem rad! Siła musieliście szpaków zjeść za młodu... A ten sygnecik, gdyby się na pamiątkę naszego colloquium przygodził...

Na to Zagłoba:

— A ten sygnecik niech na miejscu ostanie...

— Już to dla mnie uczyńcie...

— Żadnym sposobem nie może być! Chyba innym razem... kiedy później... po elekcyi...

Zrozumiał ksiądz podkanclerzy i nie nalegał dłużej, wyszedł jednak z promieniejącą twarzą.

Pan Zagłoba odprowadził go aż za bramę i wracając, mruczał:

— Ha! dałem mu naukę! Trafił frant na franta... Ale honor jest! Będą się tu dygnitarze na wyprzodki przed tę bramę zjeżdżali... Ciekawym, co tam białogłowy sobie myślą?

Białogłowy pełne były istotnie podziwu i pan Zagłoba urósł, zwłaszcza w oczach pani Makowieckiej, do pułapu, to też, zaledwie się pokazał, zaraz zakrzyknęła z wielkim zapałem:

— Waćpan Salomona rozumem przeszedł!

A on rad był bardzo:

— Kogo, mówisz waćpani, przeszedłem? Poczekaj waćpani: obaczysz tu i hetmanów i biskupów i senatorów; nieledwie trzeba się będzie od nich opędzać; chyba się za kotarkę chować przyjdzie...

Dalszą rozmowę przerwało wejście Ketlinga.

— Ketling, chcesz promocyi? — zawołał pan Zagłoba, upojony jeszcze własnem znaczeniem.

— Nie! — odparł ze smutkiem rycerz — bo mi znów na długo wyjechać przyjdzie.

Zagłoba spojrzał na niego uważniej.

— Coś ty taki z nóg ścięty?

— Właśnie dlatego, że wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Odebrałem listy ze Szkocyi, od dawnych przyjaciół ojca i moich. Sprawy moje wymagają, abym się tam udał koniecznie, może na długo... Żal mi się z waćpaństwem rozstać, ale — muszę!

Zagłoba, wyszedłszy na środek izby, spojrzał na panią Makowiecką, kolejno na panny i spytał:

— Słyszałyście? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen!

ROZDZIAŁ XVI.

Jakkolwiek pan Zagłoba przyjął ze zdumieniem wieść o wyjeździe Ketlinga, jednakże nie przyszły mu do głowy żadne podejrzenia, łatwo bowiem było przypuścić, że Karol II-gi przypomniał sobie usługi, jakie rodzina Ketlingów w czasach burzy tronowi oddała i że zapragnął okazać wdzięczność ostatniemu tej rodziny potomkowi. Dziwniejszem nawet mogłoby się zdawać, gdyby miało być inaczej. Ketling w dodatku pokazał panu Zagłobie jakieś „zamorskie listy“ i przekonał go ostatecznie.

Swoją drogą wyjazd ów zagroził wszystkim planom starego szlachcica, to też z niepokojem myślał: co będzie dalej. Wołodyjowski, miarkując z jego listu, mógł wrócić lada godzina.

— A wiatry mu tam w stepie resztki żalu wywiały (myślał pan Zagłoba). Wróci rezolutem większym, niż wyjechał, że zaś do Krzysi mocniej go jakieś licho ciągnęło, zaraz deklarować gotów... A potem... Potem Krzysia odpowie zgodą, bo jakżeby takiemu kawalerowi i przytem bratu pani Makowieckiej odpowiedzieć mogła i biedny, najmilszy hajduczek ostanie na lodzie.

Pan Zagłoba zaś, z zawziętością, właściwą starym ludziom, uparł się koniecznie połączyć Basię z małym rycerzem.

Nie pomogły ostatecznie ani perswazye Skrzetuskiego, ani te, które sam sobie od czasu do czasu czynił. Chwilami obiecywał sobie wprawdzie nie mieszać się już więcej do niczego, następnie zaś wracał mimowoli do myśli skojarzenia tej pary z tym większym uporem. Rozważał po całych dniach, jak ręki do tego przyłożyć; tworzył plany, układał fortele. I przejmował się tem tak dalece, że gdy mu się wydało, iż wynalazł sposób, wówczas wykrzykiwał głośno, jakby po dokonanej sprawie:

— Niechże was Bóg błogosławi!

Ale obecnie ujrzał przed sobą niemal ruinę swoich życzeń. Nie pozostawało nic innego, jak tylko zaniechać wszel-

kich usiłowań i przyszłość zdać na wolę Bożą, bo ów cień nadziei, że Ketling uczyni przed wyjazdem jakiś krok stanowczy względem Krzysi, nie mógł się długo w głowie pana Zagłoby ostać. Więc z żalu już tylko i ciekawości postanowił wybadać młodego rycerza, tak o sam termin wyjazdu, jak również o to, co przed opuszczeniem Rzeczypospolitej uczynić zamierza.

Zawezwawszy go więc na rozmowę, rzekł mu ze zmartwioną wielce twarzą:

— Trudno! każdy sam najlepiej rozumie, co mu uczynić przystoi, nie będę ja cię przeto namawiał, abyś został, ale chciałbym się przynajmniej czegoś o powrocie twoim dowiedzieć...

— Zali ja mogę odgadnąć, co mnie tam czeka, gdzie jadę — odrzekł Ketling — jakie sprawy i jakie przygody?... Wrócę kiedyś, jeśli będę mógł; zostanę tam na zawsze, jeśli będę musiał.

— Obaczysz, że cię i serce będzie do nas ciągnęło.

— Bogdaj grób mój był nie gdzieindziej, ale na tej ziemi, która wszystko mi dała, co dać mogła.

— A widzisz! W innych stronach cudzoziemiec do śmierci pasierbem zostaje, a nasza matka to ci zaraz wyciągnie ramiona i jak swego przytuli.

— Prawda, wielka prawda! Ej, żebym tylko mógł... Bo wszystko może mi się w starej ojczyznie przygodzić, jeno szczęście się nie przygodzi.

— Ha! mówiłem ci: ustal się, ożeń, nie chciałeś słuchać. A żonatym będąc, choćbyś wyjechał, tobyś wrócić musiał, chybabyś i żonę przez rozbujałe flukta chciał przewozić, a tego nie suponuję. Raiłem ci, cóż, nie chciałeś słuchać!

Tu pan Zagłoba począł uważnie wpatrywać się w twarz Ketlinga, chcąc wyraźnie jakowychś od niego objaśnień, ale Ketling milczał, głowę tylko spuścił i oczy wbił w podłogę.

— Cóż ty na to? hę? — rzekł po chwili Zagłoba.

— Nie było do tego nijakiego podobieństwa — odparł zwolna młody rycerz.

Zagłoba począł chodzić po izbie, potem stanął przed Ketlingem, założył ręce w tył i rzekł:

— A ja ci powiadam, że było! Jeśli nie było, to niech od dziś dnia nigdy tego oto brzucha tym oto pasem nie obwiążę. Krzysia jest ci przyjacielem!

— Da Bóg, że i zostanie, chociaż nas morza przedzielą!

— Więc co?

— Nic więcej! nic więcej!

— Pytałeś się jej?

— Daj waćpan spokój! Już mi i tak smutno, że odjeżdżam!

— Ketling! chcesz, żebym ja jeszcze, póki czas, spytał?

Ketling pomyślał, że jeśli Krzysia tak bardzo życzyła sobie, aby ich uczucia pozostały w ukryciu, to może będzie rada, gdy się trafi sposobność zaprzeczenia ich otwarcie, więc odrzekł:

— Ja waści upewniam, że to się na nic zdało i sam jestem pewien tak dalece, żem uczynił wszystko, żeby sobie ten afekt z głowy wybić, ale jeśli waćpan cudu się spodziewasz, to pytaj!

— Ha! jeśliś ty ją sobie z głowy wybił — rzekł z pewną goryczą pan Zagłoba — w takim razie istotnie niema co robić. Tylko, pozwól sobie powiedzieć, żem cię za stateczniejszego uważał kawalera.

Ketling wstał i wyciągnąwszy gorączkowo obie ręce ku górze, odrzekł z niezwykłą sobie gwałtownością:

— Co mi pomoże której z tych tam gwiazd pożądać? Ni ja do niej wzlecieć mogę, ni ona do mnie nie zejdzie! Gorze takim, którzy do srebrnej luny wzdychają!

Lecz pan Zagłoba rozgniewał się także i sapać począł. Przez chwilę nie mógł nawet mówić i dopiero, opanowawszy złość, tak odparł przerywanym głosem:

— Mój kochany, nie czyń-że mnie kpem i masz mi racye dawać, to dawaj, jak człowiekowi, co się żywi chlebem i mięsem, nie zaś szalejem... Bo, żebym ja teraz sfiksował i powiedział tobie, że moja ta czapka jest luna, której ręką nie dosięgnę, tobym z gołym łysem po mieście

chodził i mróz-by mnie w uszy kąsał, jak pies. Ja takiemi racyami nie wojuję... Jeno to wiem, że ta dziewka stąd o trzy izby siedzi, że je, pije; że jak chodzi, to nogami przebierać musi; że na mróz nos jej czerwienieje, a w upał jej gorąco; że jak ją komar utnie, to ją swędzi i że do luny w tem chyba podobna, iż brody nie ma. Ale w taki sposób, w jaki ty mówisz, można także powiedzieć, że rzepa, to astrolog. Co się zaś Krzysi tyczy, jeśliś nie próbował, jeśliś nie pytał, to twoja sprawa, ale jeśliś dziewkę rozkochał, a teraz odjeżdżasz, powiedziawszy sobie „luna“, to uczciwość swoją, równie jak rozum, lada trawą nakarmić możesz. Ot! w czem rzecz!

Na to Ketling:

— Niesłodko mi, ale gorzko w gębie od tej strawy, którą się karmię. Jadę, bo muszę; nie spytam, bo nie mam o co. A waść mnie krzywo sądzisz .. Bóg widzi, jak krzywo!

— Ketling! ja przecie wiem, żeś ty porządny człowiek, tylko tych waszych manier wyrozumieć nie mogę. Za moich czasów szło się do dziewki i mówiło się jej w oczy tym rytmem: „Chcesz, to będziem żyli w kupie, a nie, to ja cię nie kupię!“ I każdy wiedział, czego się trzymać... Kto zaś był ciemięga i sam nie śmiał gadać, to mówniejszego od siebie posyłał. Ofiarowałem ci się i jeszcze ofiaruję. Pójdę, przemówię, respons ci odniosę, a ty wedle tego pojedziesz, albo zostaniesz...

— Pojadę! nie może inaczej być i nie będzie!

— To wrócisz.

— Nie! Uczyńże mi waćpan łaskę i nie mówmy o tem więcej. Chcesz waćpan rozpytać dla własnej ciekawości, dobrze, ale nie w mojem imieniu...

— Dla Boga! chyba, żeś już pytał?

— Nie mówmy o tem! Uczyń mi waćpan tę łaskę!

— Dobrze, mówmy o aurze... Niechże was piorun zatrzaśnie razem z waszemi manierami! Tak, ty musisz jechać, a ja kląć!

— Żegnam waćpana.

— Czekaj! czekaj! Zaraz mnie cholera minie! Mój

Ketling! czekaj, bo miałem z tobą pomówić. Kiedy jedziesz?...

— Jak tylko sprawy załatwię. Chciałbym się z Kurlandyi ćwierci dzierżawnej doczekać, a dworek ten, w którym mieszkaliśmy, sprzedałbym chętnie, gdyby się kto ochotny do kupna trafił.

— Niech Makowiecki kupuje, albo Michał! Na Boga! przecie bez pożegnania się z Michałem nie wyjedziesz?

— Radbym go z duszy pożegnał!

— Lada moment będzie! lada moment! Może on cię do Krzysi namówi...

Tu urwał pan Zagłoba, bo go nagle ogarnął jakiś niepokój.

— Przysługiwałem się Michałowi w dobrej chęci — pomyślał — ale dyablo wbrew jego chęci; miałaby zaś discordia z tego pomiędzy nim a Ketlingem wyniknąć, to niech sobie Ketling lepiej jedzie...

Tu pan Zagłoba począł pocierać ręką łysinę, wreszcie rzekł:

— Mówi się to i owo ze szczerej życzliwości ku tobie. Takem cię pokochał, że radbym cię wszelkimi sposobami zatrzymał, więc ci Krzysię, jako słoninkę, nastawiłem... Ale to jeno z życzliwości... Cóż mnie staremu do tego!... Naprawdę, to jeno życzliwość... nic więcej. Ja-ć przecie swatami się nie trudnię, bo gdybym chciał swatać, to byłbym siebie wyswatał... Daj Ketling pyska... a nie gniewaj się...

Ketling wziął w objęcia pana Zagłobę, który rozczulił się istotnie i zaraz gąsiorek kazał podać, mówiąc:

— Już też z okazyi tego odjazdu codzień taki jeden wypijem.

I wypili, poczem Ketling pożegnał się i odszedł. Wino tymczasem podniosło fantazyę w panu Zagłobie; począł bardzo tęgo rozmyślać o Basi, o Krzysi, o Wołodyjowskim i o Ketlingu; począł łączyć ich w pary, błogosławić, wreszcie zatęsknił do dziewczyn i rzekł sobie:

— A no, pójdę zobaczyć te kozy...

Panny siedziały w izbie, po drugiej stronie sieni i szyły.

Pan Zagłoba, powitawszy je, jął chodzić po izbie, wlokąc za sobą nieco nogi, bo już mu, zwłaszcza po winie, nie służyły, jak dawniej. Chodząc, spoglądał na dziewczyny, które siedziały bliziutko jedna drugiej, tak, że jasna główka Basi prawie wspierała się o ciemną Krzysiną. Basia wodziła za nim oczyma, a Krzysia wyszywała tak pilnie, że ledwie można było uchwycić okiem migotanie jej igły.

— Hum! — ozwał się Zagłoba.

— Hum! — powtórzyła Basia.

— Nie przedrzeźniaj mnie, bom gniewny!

— Pewnie szyję utnie! — zawołała, udając przestrach, Basia.

— Kołat! kołat! kołatko! Język ci uciąć! ot, co!

To rzekłszy, pan Zagłoba zbliżył się tuż do panienek i wziąwszy się nagle w boki, spytał bez żadnego wstępu:

— Chcesz Ketlinga za męża?

— I takich pięciu! — ozwała się zaraz Basia.

— Cicho bądź, mucho, nie do ciebie mówię! Krzysiu, do ciebie mowa. Chcesz Ketlinga za męża?

Krzysia przybladła nieco, chociaż z początku sądziła, że pan Zagłoba Basię, nie ją zapytuje; zaczem podniosła na starego szlachcica swoje śliczne, ciemno-niebieskie oczy.

— Nie! — odrzekła spokojnie.

— A no, proszę! Nie! Przynajmniej krótko! Proszę! proszę! I czemuż to waćpanna jego z łaski swojej nie chcesz?

— Bo ja nikogo nie chcę.

— Krzychna! powiedz to komu innemu! — wtrąciła Basia.

— Cóż to stan małżeński w taką abominacyę podało? — pytał dalej pan Zagłoba.

— To nie abominacya, jeno mam do zakonu wolę — odrzekła Krzysia.

Była w jej głosie taka powaga i taki smutek, że i Basia i pan Zagłoba na chwilę nawet nie przypuścili, że to żarty. Zdumienie tylko ogarnęło oboje tak wielkie, że poczęli spoglądać to na siebie, to na Krzysię, jak błędni.

— Hę? — rzekł pierwszy Zagłoba.

— Mam wolę do zakonu! — powtórzyła ze słodyczą Krzysia.

Basia spojrzała na nią raz i drugi, nagle zarzuciwszy jej ręce na szyję, przytuliła swoje różane usta do jej policzka i poczęła mówić prędko:

— Krzysiu, bo beknę! Powiedz zaraz, że jeno na wiatr tak mówisz, bo beknę, jak Bóg na niebie, beknę!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXIV

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LXXIV

NA MARNE

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 октября 1904 г.

NA MARNE

I.

— Otóż i Kijów!

Tak mówił do siebie młody człowiek, nazwiskiem Józef Szwarc, wjeżdżając do starożytnego miasta, gdy rozbudzony formalnościami rogatkowemi, ujrzał się niespodzianie wśród ulic i zabudowań miejskich.

Serce zadrgało mu radośnie: był młody, darł się do życia, więc też wciągał w szerokie płuca, ile mógł, świeżego powietrza i z wesołym uśmiechem powtórzył:

— Otóż i Kijów!

Buda żydowska toczyła się zwolna, podskakując na wystających kamieniach. Szwarcow sprzykrzyło się siedzieć w niej pod przykryciem z płótna, kazał tedy żydowi skierować do najbliższego zajazdu, a sam szedł obok piechotą.

Potoki ludzi, jak zwykle w mieście, płynęły w rozmaite strony, sklepy błyszczały wystawą, powozy mijały się jedne z drugimi, kupcy, generałowie, żołnierze, żebracy, mnisi, snuli się przed oczyma Szwarca. Dzień był handlowy,

miasto więc przybrało typowy widok tego rodzaju zbiorowisk. Tu nic nie było na darmo: żaden ruch, żadne słowo nie zdawało się być zmarnowane. Kupiec za handlem, urzędnik za urzędem, złodziej za oszustwem — wszystko goniło przed siebie z jakimś wyraźnym celem, wszystko pchało przed siebie życie, myśląc o jutrze, dążąc do czegoś... a po nad tym gwarem i ruchem unosiła się atmosfera gorąca i słońce zarówno odbijało się w błyszczących szybach gmachów, jak w pierwszem lepszem okienku.

— A to zawierucha! — myślał Szwarc, który nie był nigdy w Kijowie, ani w żadnem większem mieście. — To życie!

I zadumał się nad szaloną różnicą między ciasnem życiem w małem miasteczku, a szeroką scenę działania w wielkiem, gdy w tem z zadumy wyrwał go znany dobrze głos:

— Dalibóg Józef!

Szwarc obejrzał się, popatrzał kilka chwil na człowieka, który go nazwał po imieniu, wreszcie roztworzył szeroko ręce i zawołał:

— Dalibóg Gustaw!

Gustaw był to mały i chudy mężczyzna, lat około dwudziestu trzech; długie włosy, kasztanowatego koloru, spadały mu prawie do ramion krótkie rude wąsy, obcięte równo z ustami, czyniły go na pozór starszym, niż był w istocie.

— Cóż porabiasz Józiu? Dlaczegoś przyjechał? Do uniwersytetu? Nieprawdaż?

— Tak.

— Dobrze robisz. Nędzne bo to życie bez nauki — mówił, sapiąc Gustaw. — Na jakiż fakultet myślisz chodzić, hę?

— Nie wiem jeszcze, zobaczę — wybiorę.

— Namyśl się dobrze. Ja tu już rok jestem, to się mogłem rozpatrzyć. Wielu żałuje zawczesnego wyboru, ale cóż robić potem? Wracać się za późno, iść naprzód nie ma sił. Łatwiej zrobić głupstwo, niż je naprawić. Jutro zaprowadzę cię do uniwersytetu; tymczasem, jeśli nie masz mieszkania, każ znieść rzeczy do mnie, mieszkam niedaleko. Możesz odemnie zacząć; jak ci się naprzykrzę, poszukasz sobie innego kolegi.

Szwarc przyjął propozycyę Gustawa i za chwil kilka byli już w małej studenckiej izdebce.

— Hę, dawnośmy się nie widzieli; rok jak skończyliśmy szkoły — mówił Gustaw, ustawiając kuferek i zawiniątko Szwarca. — Rok, kawał czasu. Cóżeś robił przez ten cały rok?

— Siedziałem u ojca, który mi nie pozwalał iść do uniwersytetu.

— A cóż mu to szkodziło?

— Człowiek był dobry, ale prosty — kowal.

— A cóż teraz pozwolił?

— Umarł.

— Dobrze zrobił — mówił kaszląc Gustaw. — Przeklęta astma! dręczy mnie od pół roku. Dziwisz się, że sapię?... Będziesz i ty sapał, gdy

posiedzisz nad książkami tak, jak ja. Z dnia na dzień, ani chwili spoczynku. A i z biedą gryź się, jak pies z psem... Pieniądze masz?

— Mam, sprzedałem domostwo po ojcu: mam dwa tysiące rubli.

— Setnie!... To ci wystarczy. Mnie bieda! przeklęta astma! Oj, tak! Trzeba się uczyć! Zaledwie wieczorem trochę odetchnienia: dzień na prelekcyach, noc na robocie... Ani się przespać! To u nas! Jak wejdziesz w nasze życie, zobaczysz, co to uniwersytet! Dziś cię zaprowadzę do klubu, albo po prostu — knajpy, trzeba się zapoznać z kolegami: dziś zaraz pójdziesz tam ze mną.

Gustaw bez przerwy kręcił się po pokoju, sapiąc i pokaszlując. Patrząc na jego zgarbione plecy, zapadłą twarz i długie włosy, możnaby go wziąć za człowieka zmęczonego wesołem życiem, nie pracą; ale stosy książek i zapisanych papierów, ubóstwo w urządzeniu izby, aż nadto świadczyły, że gospodarz należał do owego rodzaju nocnych ptaków, co więdną zgarbieni nad książką i umierają z myślą o kreskowaniu lub niekreskowaniu jakiejś litery.

Szwarc jednak oddychał pełną piersią atmosferą izdebki; był to dla niego świat nowy i odrębny zarazem. Kto wie — dumał, — jakie myśli tryskają z tych głów, mieszkających na czwartych piętrach? kto wie, jaką przyszłość gotują nauce takie poddasza?

— Poznasz dziś jeszcze wielu z naszych — mówił Gustaw, wyciągając z pod łóżka samowar o jednej nodze i podstawiając pod niego dla równowagi stłuczony garnek. Niech cię nie zraża ten wieczór — ciągnął, sypiąc węgle do samowara — zrobię herbaty... niech cię nie rażą te szalone po części głowy. Jak się rozejrzysz w mieście, poznasz, że i tu głupców nie brak, ale są i tęgie głowy. Zresztą, zobaczysz. Życie to nasze trochę sztuczne, trochę szalone, ale idzie naprzód niemałym krokiem. Oryginałów nie brak, chociaż i bezbarwności pełno czczej, śmiesznej i najgłupszej ze wszystkich głupot. W jednych głowach się pali, a w drugich ciemno — ot, jak teraz na dworze.

Przez chwilę cisza panowała w izbie, słychać tylko było sapanie i dmuchanie w samowar Gustawa. Rzeczywiście, wieczór powoli zapadał, na ścianę i podłogę izby padał mrok coraz większy; ogniste kółko, odbite z samowara na podłodze, zwiększało się lub gasło w miarę, jak Gustaw dmuchał, wreszcie woda zaczęła szumieć, sykać i pryskać; Gustaw zapalił świecę.

— Masz tu herbatę. Pójdę na lekcyę — mówił dalej — ty poczekaj tu na mnie, najlepiej prześpij się na mojem łóżku. Jak wydasz pieniądze, musisz i ty postarać się o lekcye. Nudna to rzecz, ale cóż robić? Jest przytem przykra strona życia studenckiego, ale co tam ci naprzód mówić!! Nasz świat i reszta świata, to

rzecz zupełnie odrębna. Ani nas tu lubią, ani przyjmują i kłócimy się ze wszystkimi, nawet ze sobą... Trudne życie! Jak zachorujesz, jeśli nie kolega, nikt ręki nie poda — to los nas ubogich. Ba, zresztą gniewa ludzi, że my komedyi nie gramy, że nazywamy rzeczy po prostu.

— Czarno rzeczy widzisz — zauważył Szwarc.

— Czarno, czy nie czarno — odrzekł z goryczą Gustaw — zobaczysz. A ja ci powiadam, że nie na różach będziesz sypiał... Młodość ma swoje prawa, swoje wymagania. Z tych praw i z tych wymagań w oczy ci się rozśmieją, powiedzą żeś niedowarzony, nazwą egzaltacyą. A tobie dyabli do tego, jak się to nazywa, kiedy cię to pali lub boli... Zresztą, zobaczysz... Nalej sobie herbaty i połóż się spać — za godzinę wrócę, a teraz daj mi tam czapkę i bywaj zdrów.

Przez chwilę słychać było jeszcze sapanie i kroki Gustawa na schodach. Szwarc został sam.

Słowa Gustawa dziwne na nim zrobiły wrażenie. Szwarc pamiętał go innym: dziś w głosie jego brzmiała jakaś zrzędność i zniechęcenie, jakiś ponury nastrój umysłu przebijał się przez te słowa nawpół porwane, nawpół smutne. Dawniej był zdrów na umyśle i ciele, dziś oddychał z trudnością, w mowie i ruchach jego była dziwna gorączkowość, jak u człowieka, który się wyczerpał.

— Czy go tak już zmęczyło życie? — myślał Szwarc. — Więc to tu trzeba walczyć, trzeba iść przeciw prądowi trochę, a ten biedak widać sił nie miał. Tu trzeba zwyciężyć! Widać, świat nie nazbyt lekką dłonią spoczywa na nas. Do licha, to tu nie łatwa sprawa... Gustaw coś bardzo mizantrop, musiał nieźle osmalić piórka. Ależ on tu nie próżnuje, więc jeszcze idzie naprzód. Może to tylko skorupa ta mizantropia, pod którą wygodniej i bezpieczniej?... Ale jeśli rzeczywiście trzeba iść na przebój lub zginąć? ha!... to pójdę! — zawołał z mocą młody człowiek, lubo w tym wykrzykniku więcej było stanowczości niż zapału.

W godzinę po owym monologu sapanie znowu dało się słyszeć na schodach i w tej chwili wszedł, a raczej wsunął się Gustaw.

— No, dalej za mną! — zawołał. — Stoisz w przedsionku wiru studenckiego życia; dziś zobaczysz jego stronę weselszą. A nie trać czasu!

Mówiąc to, kręcił czapkę w ręku i rzucał oczyma na wszystkie strony, potem przysunął się do stolika i, wydobywszy z niego grzebień, począł czesać swe długie, płowego, a raczej wypłowiałego koloru włosy.

Wreszcie wyszli na ulicę.

W Kijowie naówczas były knajpy, gdzie zbierali się studenci. Okoliczności istniały takie, że nie można było żyć z całem miejscowem towarzystwem. Już to tam owe różne koteryc

miejskie niechętnie u siebie widziały młodzież, którą dopiero przyszłość miała wyrobić na ludzi. Z jednej strony brak statku, gwałtowność słowa, buta i inne przyrodzone zwykle młodości cechy, nie bardzo chciały się giąć do form towarzyskich; z drugiej, prowincya dostarczała swojskiego żywiołu tylko w czasie zimy lub kontraktów; — jakoś więc uniwersytet zawiązał się w ciało zamknięte w sobie, żyjące życiem książkowem w dzień, klubowem w nocy. Z wielu nawet powodów było to więcej dobrze niż źle, bo jakkolwiek młodzież wychodziła nieotarta w świecie, za to żartka i do czynów pochopna; ludzi znudzonych i przeżytych między niemi, tak, jakby nie bywało.

Nasi znajomi przeszli szybko środek ulicy, kierując się ku oświetlonym oknom klubowego domu. Po pod światło księżycowe można było odróżnić szeroką i silną postać Szwarca, obok zgarbionych pleców i wielkiej głowy Gustawa. Ten ostatni biegł nieco naprzód, rozmawiając z Józefem lub z sobą na przemiany; następnie zatrzymał się pod oknem, a ująwszy się za gzymsy i podciągnąwszy w górę, jął pilnie rozpatrywać wnętrze kawiarni; wreszcie spuścił się na dół i, otarłszy kolana z wapna zawołał:

— Niema.

— Kogo?

— Albo już była, albo wcale nie przyjdzie.

— Kto taki?

— Która godzina?

— Po dziesiątej. Kogo upatrywałeś przez okno?

— Wdowy.

— Wdowy? któż to jest?

— Boję się, czy nie chora.

— Znajoma twoja?

— Oczywiście. Gdybym jej nie znał, tobym się nią nie zajmował.

— No, to jasne — odpowiedział Szwarc; — chodźmy.

Przycisnął klamkę drzwi: weszli.

Gorąca a dymna atmosfera owiała ich. W perspektywie wnętrza sali widniały różnego wieku twarze, po części obce dla Szwarca. Między kłębami dymu, zaciemniającego światło kinkietów i wybuchami śmiechu, błąkały się tony fortepianu, jakby zmęczone a niedbałe; wtórowała im gitara, na której od czasu do czasu brzdąkał wysoki, chudy młodzieniec, z przyciętymi przy samej skórze włosami i szramą na twarzy. Długimi palcami bałamucił po strunach, a wielkie niebieskie oczy utopił w pułap, utonąwszy w zamyśleniu. Ten który siedział przy fortepianie, ledwo wyszedł z dzieciństwa; cerę miał mleczną, włosy ciemne, zgarnięte ku tyłowi głowy, słodycz w czerwonych ustach, a smutek w oczach; był delikatny i wątłej budowy ciała, a urodziwy. Widać grał tu oddawna, bo już czerwone plamy na obu policzkach, zwia-

stowały w nim wielkie zmęczenie. Tyłem do światła stało kilku Pińczuków, a wszystko chłopy jak dęby, a tak przytem chciwe na wszelaką gędźbę, że byle zagrano w klubie, obstępowali w koło grającego i ze zwieszonemi głowami słuchali muzyki, wzdychając, lub radując się z nią razem. Inna młodzież siedziała na ławkach lub krzesłach; kilka młodych dziewcząt z rodzaju koników polnych, prześpiewujących lato, kręciło się tu i ówdzie. Było gwarno; gdzieniegdzie brzękły kufle. W alkierzu obok sali grano zapamiętale w karty, a przez nawpół przytwarte drzwi widać było twarz jednego z grających: zapalał w tej chwili cygaro od stojącej na rogu stołu świecy, a przytłumiony lub wznoszący się chwilowo płomień oblewał od czasu do czasu ostre jego rysy. Bufetowa z doskonałą obojętnością przypatrywała się pod światło końcowi pióra, którym zapisywała dzienne wydatki; obok na stolku drzemała z cudowną równowagą jej pomocnica, a kot siedzący na rogu stołu, otwierał czasami oczy i zamykał je z wyrazem godności i filozoficznego spokoju.

Szwarc obrzucił wzrokiem zgromadzenie.

— Ho! jak się masz Szwarc? — odezwało się kilka głosów.

— Dobrze. Jak się wy macie?

— Do nas na stałe?

— Na stałe.

— Przedstawiam go, jako członka szano-

wnego zgromadzenia klubowego. Ty zaś wiedz raz na zawsze obowiązki: przychodzić tu codziennie; przywileje: nie wysypiać się nigdy po ludzku — chrypał Gustaw.

— Jako członka? tem lepiej! Zaraz tu usłyszysz mowę... Hej tam, Augustynowicz zaczynaj!

Z drugiego pokoju, w którym grali w karty, wyszedł młody człowiek o przygarbionych plecach i prawie łysej głowie. Wyglądał szpetnie, rzucił czapkę na stół i, siadłszy na krześle, tak mówić zaczął:

«Panowie! Jeżeli nie będziecie cicho, zacznę mówić uczenie, a wiem, moi drodzy, że nie ma nic dla was równie obmierzłego, jak wszelka uczoność. Wreszcie, na Jowisza! przyzwyczajajcie się do życia parlamentarnego. Co to jest? Słyszę hałas? Cicho mi, cicho! Zaczynam mówić uczenie!»

Jakoż, pod wpływem groźby, chwilę zapanowała cisza; mówca spogląda tryumfalnie i mówi:

«Panowie! Jeśli zebraliśmy się tutaj, to nie na to, aby w samym tylko spoczynku szukać wspomnienia chwil przykrych (bardzo dobrze!) Powie mi ktoś, że zbieramy się tu codzień (bardzo dobrze!) Wszak ja tu codzień przychodzę i wcale tego zaprzeczać nie myślę — nie zaprzeczycie także, że dziś jestem! (oklaski; mówca promienieje i mówi dalej): Cicho! Jeślibym miał sądzić, że wszelkie moje usiłowania w celu nadania celowości naszym zebraniom, odbite od

lekkomyślności ogólnej, bo mogę ją nazwać ogólną (można! można!), niekierowane prądem zgody powszechnej, rozdrabniając w samym nawet zbiorze (uważcie panowie: w zbiorze) jednolite usiłowania pojedyńczych, jeżeli dążności, oznamionowane prawidłowym celem zjednoczenia luźnych myśli w jakąś organiczną całość, nie zejdą nigdy z pola marzeń na realniejsze pole działania, tedy ja pierwszy, panowie, a ręczę, że i wielu innych ze mną zgodzi się na zaprzeczenie sensu dotychczasowemu sposobowi naszego bytu (oklaski) i przedsięweźmie inne środki (tak! tak!), obowiązujące, jeżeli już nie wszystkich, to wybranych» (oklaski).

— Co to znaczy? — spytał Szwarc

Gustaw ruszył ramionami.

— Mowa.

— W jakim celu?

— Ale cóż to kogo obchodzi!

— Co to za jeden?

— Nazywa się Augustynowicz. To dobra głowa, ale w tej chwili jest pijany, słowa mu się plączą: wie jednak, czego chce i dalibóg ma rację!

— Czegóż chce?

— Żebyśmy się tu daremnie nie schodzili, żeby zebrania nasze miały jakiś cel, ale śmieją się i z celu i z mowy. Zresztą, z konieczności pociągnęłoby to za sobą rozbrat ze swobodą

i spoczynkiem, które dotychczas w tych zebraniach panowały.

— A jakiż cel chce im nadać Augustynowicz?

— Literacki, naukowy.

— Dobrzeby było.

— Powiedziałem, że ma racyę i gdyby kto inny proponował, rzeczby może przeszła.

— No, a on?

— Na wszystkiem, czego się dotknie, zostawia ślady własnej śmieszności i poniżenia. Strzeż się Szwarc! tyś wprawdzie w niczem, ile cię znam, do niego niepodobny, ale tu każdemu nie w ten, to w inny sposób noga może się pośliznąć...

Gustaw powiódł zamglonemi oczyma po Augustynowiczu, ruszył ramionami i mówił dalej:

— Dziwnie się los składał na tego człowieka. Mówiłem ci: to zbiór wszelkich zdolności a małego charakteru, wyniosłych chęci a nędznych czynów — wieczny rozbrat! Niema w nim żadnej równowagi między żądaniem a siłą, dla tego marnuje się.

Tymczasem zbliżyło się kilku znajomych Szwarca; przy kuflu pogawędka stała się ogólną. Szwarc wypytywał o uniwersytet.

— Żyjecie wszyscy razem?

— Niepodobna — odrzekł jeden z Litwinów.— Masz tu ludzi z najróżniejszemi pojęciami, stąd i różne koterye.

— To źle.

— Nieprawda! Przypuszczam jedność jakichś wyższych celów; jedność w pożyciu koleżeńskiem jest niemożliwa, dla tego na nic się nieprzyda starać się o nią.

— A niemieckie uniwersytety?

— I tam masz ferajny, żyjące tylko w sobie. Życie uczuć i myśli, przynajmniej u nas, winno być zgodne z praktycznem, dla tego różność pierwszego, rodzi różność w drugiem.

— Nigdy się więc nie łączycie?

— To znowu co innego. Łączymy się w interesie uniwersyteckim, lub obchodzącym wszystkich. Zresztą, myślę, że sprzeczności, jakie tu napotkasz, dowodzą naszej żywotności; to znak, że żyjemy, czujemy i myślimy. W tem nasza jedność, to, co nas rozdziela, łączy nas.

— Pod jaką tedy chorągwią wy stoicie?

— Pracy i biedy. My nie mamy swojego nazwiska. Chłopomani zwą nas piekarczykami.

— Co?

— A tak. Życie cię nauczy, co to jest. Każdy z nas stara się zamieszkać tam, gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrabiać sobie kredyt. To nasz sposób; zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego, ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo, jak zechcesz.

— To wesoło!

— A wesoło. Prócz naszej koteryi, nie mającej węzłów zbyt ścisłych, masz tu chłopomanów; założył ich i sformował Antoniewicz, pro-

wadzili czasowo Rylski i Stępkowski, ale dziś to są już głupcy, którzy nie wiedzą, czego chcą; mówią po małorusku i piją prostą wódkę — oto wszystko.

— A więcej jakież są koterye?

— Jasno określonych nie ma więcej, ale są rozmaite odcienie. Jednych łączy wspólność idei naukowych, drugich wspólność towarzyskiego stanowiska. Masz tu demokratów, arystokratów, liberalnych, ultramontanów, wreszcie hultajów, kobieciarzy, próżniaków, jeżeli chcesz, i nakoniec zagorzałych pracowników.

— Kto tu uchodzi za najtęższą głowę?

— Między studentami?

— Tak.

— Stosownie do fachu. Mówią niektórzy, że Augustynowicz umie wiele — ja dodam, że niedobrze. Scisłą, jednolitą pracą i nauką odznacza się Gustaw.

— Aa!

— Tylko, że rozmaicie o nim mówią. Niektórzy go nie cierpią. Mieszkając z nim razem, ocenisz go najlepiej... Albo, naprzykład, stosunek jego do wdowy? Ot, egzaltowana sztuka! inny nie takby sobie postępował. Prawda, że z nią dziś nie łatwo.

— Słyszałem mówiącego o niej Gustawa; powiedz-że mi raz przecie, co to za jedna?

— Jestto młoda osoba, znajoma nas wszystkich. Smutne przechodziła koleje. Kochała da-

wniej Potkańskiego, jurystę, a kochała go podobno szalenie. Ja tam już nie pamiętam tych czasów, Potkańskiego pamiętam jednak. Był to chłopiec zdolny, ogromnie bogaty i pracowity; był w swoim czasie bożyszczem kolegów. Jakim sposobem poznał wdowę, nie wiem, różnie mówiono; to tylko pewna, że kochali się do upadłego. Ona nie miała wówczas więcej nad ośmnaście lat. Nakoniec, Potkański postanowił się z nią ożenić! Co wyrabiała jego rodzina, by temu przeszkodzić, trudno opisać, ale Potkański, energiczna sztuka, postawił na swojem i wziął z nią ślub, mimo wszelkich przeszkód. Żyli z sobą rok jeszcze. Raptem on zapadł na tyfus i umarł, pozostawiwszy ją tak, jak na bruku, bo majątek zabrała rodzina. Dziecię już żyjące, umarło także wkrótce, ona została sama i gdyby nie Gustaw, to — ot, zmarniałaby ze szczętem.

— Cóż Gustaw?

— Cudów dokazywał. Z nędznymi środkami pozywał Potkańskich — Bóg wie, czy byłby sprawę wygrał, bo to rodzina magnacka, tyle jednak zrobił, że chcąc uniknąć skandalu, obowiązali się wypłacać wdowie jakąś szczupłą pensyę do śmierci.

— Dzielnie się spisał.

— Ba, ba! Niech go, co za energia! A pamiętaj, że był wtedy pierwszy rok na uniwersytecie, bez znajomych, w obcem mieście, bez

środków; ale to tak, mój kochany: bogaty może sobie radzić — biedny musi.

— Ale co miał dla niej za obowiązki?

— Był przyjacielem Potkańskiego, ale to jeszcze mało, kochał ją podobno, nim została jego żoną, trzymał się jednak zdaleka, teraz już się z tem nie kryje.

— A ona?

— E! e! ona od czasu nieszczęść, jakie przeszła, wpadła w zupełne odrętwienie — po prostu zwaryowała. Ani wie, co się z nią dzieje, obojętna na wszystko, zresztą, zobaczysz ją dziś pewno, bo codziennie tu przychodzi.

— I w jakim celu?

— Mówię, waryatka. Wieść chodzi, że pierwszy raz poznała Potkańskiego w knajpie, owóż teraz nie wierzy podobno, że umarł i chodzi po całym świecie, zwyczajnie, jak waryatka! Istotnie, gdyby zmartwychwstał, a nie poszedł prosto do niej, pewnoby go tu, nie gdzieindziej, znalazła. Ha! może przypominamy jej Potkańskiego: u nich wielu młodzieży bywało.

— Że to jej Gustaw pozwala tu przychodzić?

— Potkański-by nigdy na to nie pozwolił... ale Gustaw, ten jej niczego nie wzbroni.

— Jakże ona go traktuje?

— Jak stół, jak stołek, talerz lub kłębek nici. Zdaje się go nie widzieć, ale i nie unika, zawsze obojętna, apatyczna. Musi go to gryźć,

ale to jego rzecz. A! ot, masz ją! ta, co wchodzi na prawo.

Gdy wdowa weszła, uciszyło się cokolwiek, wejście tej tajemniczej postaci zawsze robiło wrażenie. Wzrostu więcej niż średniego, szczupła, twarz miała pociągłą, jasno-blond włosy i ciemne oczy; ramiona jej i piersi, jakkolwiek szczupłe, miały okrągłą pełność form dziewiczych, czoło zaledwie dostrzegalne; w tył posunięte, wznosiło się smutno, poważnie, jakby marmurowe. Oczy głęboko pod czołem osadzone, jakby w cieniu, obrysowane były z góry jednym delikatnym łukiem brwi. Dziwne były jej oczy: koloru stali, świeciły jak stal polerowana, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcej; pod owym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli. Możnaby rzec o tych oczach: patrzą, ale nie widzą. Nie wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisania; dodajmy, że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewny ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący, a jednak mechaniczny.

Reszta twarzy wdowy odpowiadała oczom, usta były zagięte nieco ku dołowi, posągowe, a płeć jednostajna, matowa, blada, nosiła cokolwiek śniadawy odcień. Nie była ani śliczna, ani ładna, była tylko dokładnie piękna. To było w niej dziwnego, że z twarzy zdawała się być zamarłą, a w całej jej postaci było coś takiego,

co ciągnęło ku sobie niewypowiedzianie męską stronę ludzkiej natury. Stanowiło to jednak wdzięk. Była do najwyższego stopnia posągiem, ale i do najwyższego stopnia kobietą. Ciągnęła i odpychała. Gustaw to czuł najlepiej. Trudno to było pogodzić z ową chłodną martwotą, dlatego wrażenie, jakie budziła, zdawało się jakby nie od niej, jakoby obce dla niej.

Był to niby kwiat uśpiony: boleść ją tak uśpiła. Rzeczywiście ciosy, jakie wytrzymała, były uderzeniem niby obucha w głowę. Pamiętajmy, że na drodze tej kobiety krótkie chwile szczęścia kończyły dwie trumny. Jako dziewica, umiała kochać, ten, którego kochała nie żył, jako żona i matka, porodziła dziecię, dziecię umarło. To, co jej dawało prawo, co było powodem i skutkiem jej życia, zniknęło. Odtąd przestała żyć, istniała tylko. Wyobraźmy sobie roślinę, którą podcięto z góry i z dołu — to była ona. Odarta z przeszłości i przyszłości, z początku nosiła w sobie mętne pojęcie bezczelnej krzywdy, którą jej wyrządzono. W pierwszej chwili bólu rzuciła — trudno wiedzieć komu — to bezdenne, jak otchłań, pytanie: dlaczego się to stało? Odpowiedź nie przyszła ani z błękitów, ani z ziemi, ani z pól, ani z lasów; krzywda została krzywdą, słońce świeciło i ptaki śpiewały jak dawniej. Potem to nieszczęsne serce ścisnęło się w sobie własnym bólem i zmartwiało. Odpowiedź nie przyszła, ale przyszedł obłęd, straciła wtedy

wiarę w śmierć męża, sądziła, że wziąwszy na ręce rozpłakane dziecię, poszedł gdzieś, ale że wróci lada chwila. Tymczasem, zgoła niezdolna już do żadnej innej myśli, szukała go owym przykrym mechanicznym ruchem oczu. Chodziła do klubu, myśląc, że tam go znajdzie, gdzie go poznała. Na nieszczęście, nie umarła. Natychmiast znalazła się dzielna ręka, co ją usiłowała wyrwać z obłędu, i pierś, która chciała ją rozgrzać. Marne to było usiłowanie, ale przecież uratowało jej życie. Miłość Gustawa oplotłszy ją, niby pajęczą nicią, ratunkiem i opieką, nie puszczała jej od ziemi. Jego głos wołał na nią: «zostań!» więc, choć nie było w niej nań echa, została jednak, ale bez świadomości o sobie, bierna, jakby rzecz, a nie istota ludzka.

Taką była wdowa.

Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętnym majestacie. W klubie było dymno i parno; w powietrzu drgały jeszcze ostatnie dźwięki piosenki, trochę rozpustnej i rubasznej zarazem, a na owem nieczystem tle zakwitła wdowa, jak wodny kwiat na mętnej fali. Uciszyło się. Szanowano ją tam — w jej obecności nawet Augustynowicz stawał się znośnym; niektórzy pamiętali Potkańskiego, inni schylali głowy przed jej nieszczęściem, byli i tacy, co czcili w niej piękność! Zebranie przybrało tedy przyzwoitszy pozór.

Gustaw podsunął przybyłej krzesło i, zdjąwszy z niej szal ciepły, odszedł w kąt do Szwarca, który zajęty i zdziwiony, zwracał na nią błyszczące oczy.

Gustaw począł rozmowę ze Szwarcem.

— To ona! — rzekł półgłosem.

— Rozumiem.

— Nie pokazuj jej się bardzo. Biedactwo! każda nowa twarz sprawia jej zawód, wciąż szuka męża.

— Dawno ją znasz?

— Drugi rok. Na ślubie Potkańskiego byłem świadkiem i drużbą (Gustaw uśmiechnął się gorzko). Po jego śmierci widuję ją codzień.

— Mówił mi Wasilkiewicz, że dałeś jej pomoc i opiekę.

— Dałem, nie dałem; musiał się tem ktoś zająć, to ja się zająłem, ale taka też to i opieka. Rób, co chcesz, pracuj, latai, zabiegaj — bieda i bieda! Ot, czasem rozpacz ogarnia.

— A rodzina?

— Jaka?

— Jego?

— Krzywdzą ją! — wołał gwałtownie Gustaw.

— Ale to bogaci ludzie podobno?

— Krzywdzą ją! Panki! nabożnisie! Jeszcześmy nie skończyli; długo popamiętają krzywdę tego gołębia. Słuchaj, Szwarc! żeby maleń-

kie dziecko tego rodu prosiło mnie o kawałek chleba z głodu, tobym go wolał psu rzucić!

— Romanse!

— Szwarc, nie krzywdź mnie! Ja biedny człowiek słów nie marnuję; ale Potkański już w szpitalu, przed samą śmiercią oprzytomniał trochę i powiada: «Gustawie, zostawiam ci żonę, przyjmij ją». Powiadam: «Biorę ją w opiekę». On pyta: «Nie dasz jej z głodu mrzeć?» Mówię: «Tak!» On znowu: «Nie daj, pomścij, jakby ją kto chciał krzywdzić». Ja na to: «Jak mi Bóg i życie miłe, pomszczę!» Potem zgasł jak gromnica — ot, masz wszystko!

— Nie wszystko, nie wszystko, bracie!

— Mówił ci i resztę Wasilkiewicz. To dobrze! Powtórzę ci toż samo: Nie mam nikogo na świecie: ani ojca, ani matki, sam biedaję z dnia na dzień, a z życiem wiąże mnie (pokazał oczyma wdowę) ta jedna.

A tu mało świadomy jeszcze Szwarc miał sposobność ocenić to, co jest namiętność, gdy wzbierze w młodej piersi i ognia do krwi doleje. Ów suchy i skurczony Gustaw zdawał się w tej chwili nabierać sił i życia, zdawał się wyższym i mężniejszym, wstrząsnął włosami jak lew grzywą, na twarz wystąpił rumieniec.

— No, panowie! — zabrał głos Wasilkiewicz — godzina późna, a nie wszystkich czeka sen po wyjściu stąd. Jeszcze jedna nasza piosneczka, a potem, kto woli, dobra noc!

Siedzący przy fortepianie, o dziewiczej twarzy, młodzieniec wziął kilka znanych akordów; wkrótce zabrzmiała, z początku na kilka, potem na cały chorał młodych głosów rozłamana, miła młodzieży piosenka: «Gaudeamus«.

Szwarc zbliżył się więcej, niż inni, do fortepianu. Stał bokiem odwrócony do wdowy, pod światło, ale kinkiet, wiszący przy ścianie obrzucał profil jego, jakby jedną ognistą linią. Za chwilę promienie oczu wdowy padły na ową linię, niespokojnie wiążąc ją z własnemi myślami; nagle podniosła się blada jak marmur, z gorączkowem światłem w oczach i, wyciągnąwszy rece przed siebie, krzyknęła:

— Kazimierzu mój, znalazłam cię!

W głosie jej czuć było nadzieję, trwogę, radość i przebudzenie. Ucichło. Wszystkich oczy zwróciły się na Szwarca, i tych, którzy znali Potkańskiego, dreszcz przebiegł. W świetle i cieniu ta wysoka, silna postać była jakby odbiciem postaci Potkańskiego.

— Nie spostrzegłem się — mruczał Gustaw, wracając o świcie do domu — hm! no, już jej przeszło, ale gorączka była!... Podobny jest w istocie... Niech to dyabli porwą!... A dusi mnie dziś w piersiach przeklęcie.

II.

Szwarc długo się namyślał nad wyborem wydziału.

— Dałem sobie uczciwe słowo honoru, że się nie zmarnuję w życiu, dlatego myślę — mówił Wasilkiewiczowi.

A to już trzeba przyznać, że uniwersytet wabił go nie na żarty. Z różnych stron świata, jakby stada żórawi, ciągnęła tam młodzież. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili czerpać w spragnione głowy. Zabiegali tam ludzie wedle nauki, jak pszczoły wedle miodu; kupili się, rozpraszali i tłumnie chodzili; czerpali z nauki, czerpali z siebie, czerpali z życia; oddawali ją i odbierali napowrót; zamykali ją lub rozrzucali, szli naprzód, stawali, padali, zwyciężali i łamali się z nią; kąpiąc się w tem morzu, tonęli niektórzy, inni wypływali. Ruch, gwar — życie panowało niezmierne. Uniwersytet był to niby wspólny matecznik, gdzie miały się zapładniać mózgi; coś nakształt wrzątku, kipiącego rozumem i młodością. Otwierał się co rok, wydając dojrzałe owoce, a przyjmując natomiast nowe szczepy. Ludzie rodzili się tam raz drugi. Pięknie było patrzeć, jak owa młodzież nakształt fal wodnych wylewała się stamtąd na świat corocznie, niosąc ciemnym światło, niby żywność glebie ludzkiej. Na takie to morze dostała się łódka życia Szwarca,

gdzie miał zawinąć? Różne fakultety, niby porty, nęciły go. Gdzie się kierować? Długo namyślał się, wreszcie wpłynął.

Wybrał fakultet medyczny.

— Niech się co chce dzieje, muszę być i bogatym — powiedział, rozstrzygnąwszy kwestyę wydziału.

A było tego wahania tyle dlatego, że Szwarc jako otwartą głowę, niezmiernie obchodziły tajemnice nauki. Ciągnęła go i literatura i prawo, nauki przyrodnicze uważał za tryumf myśli ludzkiej. Co do tych nauk, opinię tę wyniósł jeszcze ze szkół. Był tam młody nauczyciel chemii, wielki entuzyasta, ten wychodzącym ze szkół uczniom swoim powiedział pewnego razu, położywszy rękę na sercu:

— Wierzcie mi moi drodzy, że po za naukami przyrodniczemi istnieje tylko gadanina.

Wprawdzie i prefekt, kończąc rekolekcye, zapewniał, że tylko nauka kościelna prowadzi człowieka do szczęśliwości wiekuistej, ale Szwarc, którego prefekt już wówczas nazywał «wszetecznym kacerzem», zrobił tak brzydki grymas, że z jednej strony wzbudził śmiech we wszystkich obecnych, z drugiej ściągnął słuszne po części gromy na swą głowę.

Wybrał tedy fakultet medyczny.

Zresztą podziałał nań w tym względzie Wasilkiewicz. Ten Wasilkiewicz, sam student, miał słusznie czy nie słusznie ogromny wpływ na

młodzież. Zdarzyło się, że na pogawędce studenckiej jakiś gramatyk filolog z większą hipokryzyą niżeli szczerością dowodził, że człowiek, który się odda nauce, powinien jej jednej poświęcić samego siebie, zapomnieć o świecie i szczęściu, a wcielić się w nią, być tylko jej wyrazem, zasadą, słowem. Więcej w tem dowodzeniu było fałszywego zapału i nadętości, niż prawdy.

— Mówiono — prawił mowca — że rybak islandzki zapatrzył się w blask zorzy północnej i nie bronił się prądom. Fale go niosły na głębię, a on z oczyma utkwionemi w zorzę stał cały czerwony w jej promieniach, aż wreszcie porwał go duch otchłani i zamknął pod szklaną falą, ale w oczach rybaka zostały odbite światła zorzy.

— Oto nauka i życie — mówił dalej — kto raz przed nią uchyli czoła, tego niech fale życia niosą, na jakie chcą głębie, światło nam pozostanie.

Są zasady w świecie, których się nie uznaje, ale by przeciw nim wystąpić, trzeba niemałego zapasu odwagi. Owóż między młodzieżą jeden i drugi milczał, tylko Wasilkiewicz sapał gniewnie i podnosił się na krześle, wreszcie zerwał się i zaczął mówić:

— Tfu na próżne słowa! Niech Niemiec z taką nauką się żeni, nie my. U mnie nauka dla ludzi, nie ludzie dla niej. Niech Niemiec

zmienia się w pergamin. Głupi był twój rybak; żeby był wiosłem robił, zorzę-by widział i ryb dzieciom przywiózł. A to co znowu? Toż ludziska i cierpią i głodem a zimnem przymierają, a ty będziesz się odrywał od świata i ciężarem mu będziesz, nie pomocą?

— Oj Tetwin, Tetwin! (tak się nazywał poprzedni mówca) patrz na znaczenie, nie na dźwięk słów swoich. Głupstwo łączyć umiecie z rozumem! Dziś ci się zdaje, że się wyrzekniesz szczęścia dla kilku wypłowiałych kartek. Nieprawda! Jak przyjdzie chwila, a zaboli cię pierś serdecznie, to zatęsknisz poczciwie do szczęścia i do kochania. Ot, u mnie, naprzykład, na Żmujdzi, w chacie para staruszków: ojciec i mać, jakby gołąbki biali, a jedno drugiemu prawi o mnie mizernym takie rzeczy, jakby o królewiczu złotym. Cóżbym ja był wart, gdybym, zamknąwszy się w książce, nie pomyślał o nich, a opuścił na stare lata? Pekby na mnie! Ot, przyszedłem tutaj i u nauki o nich i o siebie się upomnę. I nie ja jeden. Każdy, kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swojej roli. To raz! Nauka nauką, a uczony niech się nie odrywa od życia, niech mi nie będzie niedołęgą... Uczony, uczony!... a kamizelki sam sobie zapiąć nie umie, dzieci nie chowa, o żonę nie dba. Czemu nie godzić praktyki życia z nauką? czemu jej nie wlać w życie i samej życiem nie ożywić?

Tak mówił Wasilkiewicz.

Powiedział i sapał.

Nie w tem rzecz, czy fałsz, czy prawdę powiedział: my dlatego przytoczyliśmy tę rozmowę, że Szwarc, z natury skłonny ku praktyce, wziął ją do serca, rozważał, myślał dumał i obrał fakultet medyczny.

Niech co chce będzie, człowiek przynosi na świat pewne skłonności.

Szwarc z przyrodzenia był usposobienia realnego, jakoś więcej przystawał do rzeczy, niż do idei; nie lubił także wszelkiej dyalektyki. Daleko wolał widzieć przedmiot takim jak jest, aniżeli piękniejszym niż jest. Dwojaki jest ruch myśli w głowach ludzkich: jedne dążą wiecznie od środka, drugie przenoszą wszystko do środka, pierwsze wchodzą w rzeczy badane i ożywiają je łącząc się z głównem źródłem zaledwie delikatną nitką świadomości — są to tak zwane zdolności twórcze; drugie chwytają niejako rzeczy, przenoszą do własnego źródła, łącząc je, pojmując dopiero tam, układając i porządkując — są to zdolności naukowe. Tamte wrodzone twórcom, te badaczom. Różnica między niemi taka, jak między rozrzutnikiem i sknerą, jak między oddychaniem a wdychaniem.

Trudno powiedzieć, które lepsze: jedne mają dar stwarzania, drugie odtwarzania, a nadewszystko przetwarzania. I w drugich jest niby coś czynnego — prawda, że i żołądek ma tę własność.

Doskonała równowaga między ruchem od środka i do środka jest genialnością. Naturalnie konieczną jest wtedy i szerokość ruchów.

Szwarc miał owe drugie zdolności — skupiające.

A nietylko je miał, ale i wiedział o tem; przeświadczenie to chroniło go w życiu od wielu niewłaściwości, nadawało pewną równowagę jego chęciom i siłom: nie przedsiębrał nic, coby dlań było niemożebnem.

Rachował się ze sobą.

A miał nakoniec wiele zapału, który w nim możnaby nazwać zaciętością w nauce. Umysł, który lubił na wszystko patrzeć trzeźwo, chciał widzieć wszystko trzeźwo, żeby zaś widzieć dobrze, trzeba wiedzieć dobrze. Nie umiał zgadywać, potrzebował znać.

To sprawiło, że nie uczył się nigdy przez połowę.

Jak pająk muchę, tak on przedmiot badany skwapliwie omotowywał siecią myśli, wciągał go w siebie, możnaby rzec, wsysał i przetrawiał.

Myśli jego miały przytem wysoką ruchliwość. Pożądał — naturalny wynik młodości.

Był samodzielny aż do zarozumiałości. Częstokroć odrzucał zdanie przyjęte ogólnie, właśnie dlatego, że miało za sobą powagę. Przyznać jednak należy, że wtedy starał się wynaleźć wszystko, co było contra — nie znalazłszy, ustę-

pował. Miał przytem niemałą energię myśli i czynu.

Wszystko to stanowiło jego siły, jego broń, poczęści zdobytą już, poczęści wrodzoną. Zapomnieliśmy dodać, że posiadał jeszcze dwa tysiące rubli.

Zrachowawszy owe zasoby, wziął się do medycyny. Ale im z większym zapałem wziął się do niej, tem więcej rozczarował się z początku. On lubił wiedzieć, a tam trzeba było pamiętać.. To lada kto potrafi, przynajmniej jest to kwestya pamięci i woli, nie zaś rozumu. Należało mieć pamięć oczu, pamięć ręki, trzeba było jedno i drugie i dziesiąte włożyć sobie surowo do głowy, umieścić od czasu do czasu jak zboże w śpichlerzach. Była to praca niemal rzemieślnicza, organizm umysłowy nic korzystał z tych zapasów, bo się nie przetrawiał, ani przerabiał. Brakło tam pożywności. Filozofia fizycznego ustroju organizmów może dorównać subtelnością i ogromem rezultatów wszystkim innym, ale Szwarc zaczął dopiero poznawać sam organizm; wskazówek, czy istnieje jakaś filozofia tych nauk, nie dano mu dotychczas żadnych.

Wziąwszy się raz, trzeba było brnąć dalej. Brnął.

A techniczna strona zajęć naukowych była przykra, niewdzięczna, pełna utajonych trudności, niespodziewanych tajemnic, nieraz ciemna,

często ledwo dojrzana, najczęściej wstrętna, zawsze pracowita.

Rzekłbyś, że tu natura wypowiadała wojnę umysłowi ludzkiemu.

Szwarc łamał się z trudnościami i szedł dalej.

Owa technika miała jeszcze jedną stronę smutną w oczach Szwarca: źle wpływała moralnie.

Odkrywała koniec życia, nie wskazując, czy istnieje ciąg dalszy. Zdejmowano tam bez najmniejszego wahania zasłonę ze śmierci. Cała ohyda tej podziemnej robotnicy ukazywała się tam z nagą bezczelnością. To, co było umarłego, było zarazem cyniczną obietnicą dla żywych. Śmierć przy jasnym dniu zdawała się mówić: do widzenia w ciemnościach! Była niby zapowiedzią, noszącą w sobie desperackie wskazówki bezsilności człowieka wobec tej siły nieubłaganej, złośliwej, bezczelnej i obmierzłej zarazem. Ta właśnie siła budziła w młodych umysłach gwałtowną reakcyę.

Reakcya ta objawiała się tak:

— Nie traćmy czasu, używajmy życia, bo, prędzej czy później, wszystko dyabli wezmą!

Przy tych zajęciach delikatność uczucia zacierała się stopniowo; obojętność wyradzała się w brutalność, ambicya w zawiść, miłość przechodziła w namiętność, namiętność w popęd. Miłość była jak słońce widziane przez zakopcone szkło: czujesz ciepło, ale nie widzisz światła.

Szwarc bronił się tym wrażeniom, otrząsał się z nich, odrzucał je i szedł dalej.

Nakoniec należało być wiernym naukowej zasadzie. Kto ma zaufanie do jednej drogi, nie ma go do drugiej; ta, którą obrał, wydaje mu się najlepszą. W tej, którą Szwarc obrał, wszystko od czasów Hipokrata opierało się na doświadczeniu. Wzrok, słuch, smak, powonienie i dotykanie — oto jedyne kryterya, na których opiera się ta już dziś wielka budowa.

Tak wierzy zwłaszcza młodzież, jako skrajniejsza we wszystkiem od starszych. Co przeszło w naukę inną, niedoświadczalną drogą — było wątpliwem. Każdy, według własnych pojęć, sądzi pojęcia innych. Przypuszczenie czegoś stojącego po za empiryą, a jednak prawdziwego, przez takie szkła wydaje się lekkomyślnością. Istnieją tylko rzeczy już zbadane. Ogniwa przyczyn i skutków są koniecznością lub myślą, ale dopiero w człowieku; historya — kroniką mniej więcej skandaliczną; prawo — opartem na doświadczeniu *modus vivendi* społeczeństw; spekulacya — chorobą umysłową.

Szwarc nie bronił się tym myślom, bo mu nie przeszkadzały iść dalej.

Zresztą pracował.

III.

Upłynął miesiąc. Wieczór był jesienny, pogodny; słońce zwolna gasło na wieżach kijowskich i na dalekich mogiłach stepowych. Na strychu w mieszkaniu Szwarca i Gustawa widno było jeszcze. Obaj, schyleni nad pracą, siedzieli w milczeniu, chwytając skwapliwie ostatnie blaski wieczoru. Gustaw niedawno powrócił z miasta; był blady i zmęczony, sapał więcej niż zwykle, na twarzy znać było jakąś niespokojność, gorycz, a nawet ból niby tajony, a jednak widoczny w gorączce oczu. Milczeli obaj, widać jednak było, iż Gustaw chciał przerwać to milczenie, bo nieraz zwracał się do Szwarca, ale jakby z trudnością przychodziło mu wymówić pierwsze słowo, znów zatapiał się w książce. Wreszcie widoczna niecierpliwość wybiła mu na twarz, porwał czapkę ze stołu, wstał i spytał:

— Która godzina?

— Szósta.

— Dlaczego nie wybierasz się do Potkańskiej? Przecież tam do niej codzień chodzisz.

Szwarc wstał i zwrócił się ku Gustawowi.

— Gustawie, sam i na własne jej żądanie zaprowadziłeś mnie do niej. Mniejsza o to, nie chcę mówić o tem, co dla nas obu byłoby przykre; zresztą, rozumiemy się doskonale. Otóż nie pójdę do Potkańskiej ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Masz na to moje słowo i moją rękę.

Stali więc w milczeniu, Szwarc z wyciągniętą naprzód ręką, Gustaw, wahający się i zmięszany drażliwem położeniem, wreszcie ścisnął za rękę Szwarca.

Widocznie słowa obu przychodziły z trudnością; jeden nie umiał zdobyć się na serdeczniejsze wyrazy, drugi na serdeczniejsze podziękowanie.

Za chwilę rozstali się.

Dziwne to nieraz bywają uczucia, a sprzeczne z tem, co nam przedstawiają jako nagrodę szlachetnego czynu. Szwarc przyrzekł Gustawowi nie widywać wdowy. Czy ją kochał, czy nie, zawsze to była z jego strony ofiara, bo w jego mozolnem, a jednostajnem życiu, ona była jedynym jaśniejszym punktem, około którego lubił krążyć myślą. Niechby marzenie o niej było tylko zapełnieniem owych chwil oderwanych od ciężkiej pracy, a poświęconych na spoczynek i swobodę umysłu; zrzekać się takich chwil, było odbierać powab odpoczynkowi, było to wyrywać próżnicę w życiu, tam, gdzie uczucie mogło kiełkować i zakwitnąć.

Szwarc po krótkim namyśle zrobił to bez wahania.

Zrobił ofiarę.

A jednak, kiedy Gustaw wyszedł ze stancyi, na twarz Szwarca wybił wyraz niechęci, niesmaku, gniewu nawet. Byłże to żal przeszłości lub spełnionego przed chwilą czynu?

Nie.

Kiedy Szwarc wyciągnął rękę do Gustawa, ten ostatni wahał się z jej przyjęciem. Nie przyjąć ofiary, dawanej przez duszę energiczną, jest to okryć sam czyn ofiarny odcieniem śmieszności i to w przekonaniu samego ofiarodawcy; jest to być niewdzięcznym; jest to rzucić ziarno głuchej nienawiści w bujną niwę miłości własnej.

Ale przyjąć ofiarę współzawodnika, to dla duszy bogatej w dumę jest podłożyć swoje »ja« moralne pod czyjeś nogi, to przyjąć gwałtem wtykane groszaki jałmużny w rękę, co się po nic nie wyciągała. Ma to coś z lekkiego kopnięcia. Duma woli być wierzycielem niż dłużnikiem.

Dlatego Gustaw wyszedłszy na ulicę, skrzywił usta gorzką ironią, a przez zaciśnięte wargi mruczał do siebie z cicha:

— Coraz to lepiej! Łaska, łaska! Kłaniaj się teraz codzień panu Szwarcowi i dziękuj za łaskę. Wesołe życie!

I zadumał się głęboko, a przykro. Przestał nawet myśleć o sobie, marzył tylko boleśnie. Czuł w duszy jakiś odgłos smutny, a gwałtem dopominający się choćby jednej chwili szczęścia. Głos ten dźwięczał w nim, jak urwana struna. Rozdzieliła się myśl i dusza. Jedna połowa zmęczona wołała na gwałt spoczynku, druga ponura a sprężysta rwała się jeszcze do życia. Jedną połową myśli widział światło i cel,

drugą połowę zwracał chmurnie w nicość i ciemność. A było jeszcze na dobitkę coś takiego w tym zgryźliwym człowieku, co drwiło z własnego bólu; niby jakiś demon złośliwy wskazywał mu jedną ręką postać jego własną, bladą, brzydką, skurczoną, drugą niby w obłokach, niby w świetle poranku Potkańską w całej jej przepysznej piękności i marmurowym spokoju.

Gdy tak rozrywany gwarem wewnętrznej walki szedł, sam prawie nie wiedząc dokąd, nagle usłyszał za sobą dobrze znany głos, śpiewający basem wesołą piosnkę:

Hop! hop! hop! hop!
I podkówka tego kuta i t. d.

Obejrzał się — był to Wasilkiewicz z Augustynowiczem.

— Dokąd idziesz, Gustawie? — spytał pierwszy.

— Ja?... ha! dokąd? — spojrzał na zegarek — Do wdowy jeszcze za wcześnie! Tymczasem idę do klubu.

— No, to idź prosto do wdowy.

— Co? dlaczego?

— Biada ci! — zawołał Augustynowicz, wzniosłszy ręce do nieba i nie zważając na przechodniów, zaczął głośno deklamować:

Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

— Niemasz po co chodzić do klubu — dorzucił Wasilkiewicz.

— Cóż się stało?

— Smutek tam lęgnie się ze zgrozą — prawił Augustynowicz.

— No gadajże, co się stalo?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Okropne!

— Wasilkiewicz, powiedz za niego po ludzku!

— Władza uniwersytecka zamknęła nasz klub. Ktoś doniósł, że się tam studenci zbierają.

— O której się to stalo?

— Dwie godziny temu.

— Trzeba się iść dowiedzieć na miejscu.

— Nie radzę ci. Wsadzą do kozy.

— »Białe ci dłonie skrępują powrozem...«

— Augustynowicz, cicho bądź! Dlaczegoż tego nie zrobili wieczorem? Byliby nas połapali, jak ryby w matni.

— No, chodziło więcej o zamknięcie, niż o połapanie nas; gdyby jednak ktoś teraz przyszedł, złapaliby go niezawodnie.

— Dokąd wy idziecie?

— »Jak na hasło trwogi, klany szlą krzyż ognisty...«

— Prosiłem cię, żebyś był cicho!...

— »Tak mężny Rodryg...«

— Tak, tak — przerwał Wasilkiewicz —

idziemy ostrzedz innych, i dlatego bądź zdrów, albo chodź z nami...

— Nie mogę.

— Dokąd idziesz?

— Do Potkańskiej.

— Bądź zdrów!

— Do widzenia!

Gustaw, zostawszy sam, zatarł ręce; na chwilę uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego chmurną twarz. Cieszył się z zamknięcia klubu, zniknęła bowiem obawa, że wdowa, dowiedziawszy się o postanowieniu Szwarca, może znów zechce chodzić do klubu, by go tam widywać. Obawa była uzasadniona: Gustaw pamiętał, że mimo próśb i perswazyi, zaledwo tylko obietnicą przyprowadzenia Szwarca do jej mieszkania, mógł ją powstrzymać od tego niestosownego kroku.

Teraz nie miał się już czego obawiać.

Za chwilę pociągnął dzwonek w mieszkaniu wdowy.

— Jak się pani miewa? — spytał służącej.

— Zdrowa, tylko chodzi po pokoju i gada do siebie — odrzekła służąca.

Gustaw wszedł do pokoju.

Mieszkanie wdowy obejmowało dwa pokoiki z oknami wychodzącemi na ogród: pierwszy był niby salonikiem, drugi sypialnią, do której teraz wszedł Gustaw. W sypialni wierzchnia część okna, łukowato wygięta i oddzielona wązką li-

stwą drewnianą, miała kolorowe szyby, ułożone w rozetę niebieską i czerwoną naprzemian. W jednym kącie stał stolik mahoniowy, okryty mięko strzyżoną aksamitną serwetą, na którym były dwa fotografowane portrety. Jeden w drewnianych inkrustowanych ramkach przedstawiał młodego człowieka, o wysokiem czole, blond włosach i pięknych arystokratycznych rysach twarzy — to był Potkański; na drugim była wdowa z maleńką, biało ubraną dziewczynką na kolanach. Przed portretami leżał wianek z nieśmiertelników, obwinięty krepą i gałązka suchego mirtu.

W drugim końcu pokoju, między dwoma łóżkami, przedzielonemi wązkim odstępem, mieściła się kolebka, dziś — pusta, niegdyś — pełna szczebiotu i gwaru dziecinnego. Zielona jej powłoczka, umalowana od szyb kolorowem światłem, zdawała się poruszać lekko. Można było mniemać, że lada chwila odsunie ją bieluchna rączka i radosna główka dziecięcia wejrzy na matkę. Cichy smutek panował w atmosferze tego pokoiku. Liście wglądającej przez okno akacyi rysowały się ciemno na podłodze, a poruszane wiatrem ustępowały migotliwie światłu i wracały napowrót. Przy drzwiach była mała statuetka z kropielnicą, pod spodem przedstawiająca anioła chrztu z wyciągniętemi, jakby do błogosławieństwa rękoma. W chwili, o której mówimy, głowa anioła w blaskach kolorowych

jaśniała, jakby łagodną gloryą słodyczy niewinności i spokoju. Zresztą cichość była w pokoikach wielka. Ile dziś smutku, tyle tam dawniej było wesela. Cóż to za radość i szczebiotanie bywało, gdy Potkański przyszedłszy wieczorem, zmęczony pracą, obejmował kibić żony, odgarniał jej złote włosy i całował to ukochane a pogodne naówczas czoło! Ile było cichej a głębokiej radości, kiedy stali tak milczący, z piersią na piersiach, z oczyma w oczach, podobni do posągu miłości. Potem, bywało, biegli do kolebki, gdzie dziecina gwarzyła na różne sposoby ze sobą i, podnosząc nóżki, śmiała się do szczęśliwych rodziców. Teraz tam było pusto. Dziwnie była rozrzewniającą ta kolebka. Zdawało się, że tam jest dziecię. Nieraz wdowa, wkrótce po swojem nieszczęściu, budząc się w nocy, kładła ostrożnie rękę w tę kolebkę, w przekonaniu, że Bóg musiał zlitować się nad nią i, wyjąwszy dziecię z grobu, włożył je tam napowrót.

Słowem, dużo widziały te ściany: radość kołysaną szczęściem pogodnej miłości, potem rozpacz, łzy wielkie jak perły, wreszcie smutek cichy, martwy, uporny, obłędny.

Taka była i takie budziła myśli sypialnia wdowy. Salonik, jak wszystkie na świecie, miał niby trochę elegancyi, dużo pustki. I tam zdawały się błądzić echa chwil przeszłych: był widny, czysty, ale pospolity. Przytykało do niego mieszkanie służącej, mała, ciemna alkowa,

z wyjściem na schody z przepierzeniem drewnianem. Było to dawne mieszkanie Potkańskiego. Po jego śmierci trudno było zrozumieć, skąd wystarczały fundusze na taką siedzibę, to jednak należało do Gustawa, on sam wiedział, co robił. Pretensyi ze strony właściciela nie było żadnych — jak zaś to tam się robiło, potem powiemy.

Ile razy Gustaw wchodził do owego pokoiku, drżał.

W miejscu, gdzie jej było pełno wszędzie, gdzie wszystko, co nie było nią, było dla niej, uczuwał zawsze rodzaj ciężaru na piersiach; niby jakaś ręka wgniatała mu serce głębiej. Ciśnienie to jednak było rozkoszne. Było to zbieranie się w sobie piersi, jakby dla uchwycenia tem więcej powietrza. Być ugniecionym dłonią poczucia szczęścia, to prawie być szczęśliwym; tylko że poza tem leży cały bezbrzeżny obszar pragnienia. Rozlewa się wtedy ono na całego człowieka, wchodzi w krew, objawia się w drżeniu słów, w blasku źrenic. Pragnienie owo samo nie wie czego żąda. Między »za mało« i »za dużo« niemasz tam granicy. Jest to wstydliwe żądanie wszystkiego. Bywa wtedy człowiek śmielszy na zewnątrz, niż na wewnątrz; przerażają go własne słowa; zdaje mu się, że ktoś inny mówi, streszcza się w spojrzeniu, chce się roześmiać spazmatycznie, albo wybuchnąć. Kocha,

czci, ubóstwia kobietę jak anioła, a anioła pragnie jako kobiety.

Tego doświadczał Gustaw, gdy wchodził do pokoiku wdowy. Wszystkie rodzaje pragnień jakie duch i krew razem wytworzyć mogą, nalatywały wtedy nań zewsząd, niby stada ptactwa.

Ona stała przed nim.

Wyglądała blado, na policzkach jej przebijał się lekki ślad rumieńca, lub może odblask wieczoru. Delikatny jej profil rysował się milcząco, jak sylwetka na tle okna. Trzymała w ręku grzebień i, stojąc przed małem zwierciadłem srebrnem, czesała włosy. Przepyszne, rozpuszczone sploty wiły się, niby fale, koło jej bladego czoła. Złoto owo spływało po jej piersiach i plecach, zdawało się kapać jak rozpuszczony bursztyn.

Spostrzegłszy Gustawa, powitała go dłonią i ledwo dostrzeżonym uśmiechem.

Wdowa już wyszła z dawnej swej skamieniałości. Nagle a gwałtowne wstrząśnienie, jakie widok Szwarca na niej wywołał, ocuciło ją. Poczęła myśleć. Jednej tylko rzeczy nie mogła z początku rozwiązać: postać Szwarca tak w jej umyśle plątała się z postacią Potkańskiego, że sama nie wiedziała, czy mąż jej dawny nazywał się Szwarc czy Potkański. Były to resztki obłędu. Ale wkrótce wrócił promień światła w ów pokryty ciemnią umysł. Prosiła Gustawa,

by mogła widywać Szwarca; Gustaw lubo z niechęcią, zgodził się na to. Z tęsknotą wyczekiwała wieczoru, kiedy mogła oglądać to dawne wspomnienie szczęścia. Nie Szwarca, ale wspomnienia w nim szukała. Był jednak dla niej koniecznym.

Zwolna też i bardzo nieznacznie przeszłość zmieniała się na teraźniejszość, marzenie na rzeczywistość. Szwarc, spostrzegłszy to, przyrzekł Gustawowi nie bywać; przygotować i oznajmić tę wieść Helenie należało do Gustawa.

Łatwo było przewidzieć, jakie wrażenie musiało to na niej wywrzeć. Klasnęła w dłonie i odrzuciła w tył głowę. Potok włosów z szelestem okrył jej plecy.

— Gdzie ja go zobaczę? — pytała natarczywie Gustawa.

Ten milczał.

— Ja muszę go widzieć, tu czy gdziekolwiek. On tak podobny do Kazimierza... Boże mój! Ja cała żyję... tem wspomnieniem. Panie Gustawie...

Gustaw milczał.

Oburzał go niemal ten ślepy egoizm wdowy. Dramat poczynał się w nim rozgrywać na nowo. Ona go prosiła, by zrobił wszystko dla podkopania własnego szczęścia! Nie, na to trzeba być głupcem! Ale znowu — to ona prosiła. Przycisnął wargi do krwi i milczał. Przecież i jemu należy się coś od życia. Wszystko, co w nim składało człowieka, opierało się jej prośbom z rozpaczliwą energią — ona tymczasem naglila:

— Panie Gustawie, pan potrafisz to zrobić, żebym ja go widziała. Ja go chcę widzieć! Dlaczego mi wyrządasz taką krzywdę?

Gustawowi pot zimny okrył czoło, przeciągnął ręce po twarzy i ponurym głosem odpowiedział:

— Ja pani nie krzywdzę... ale... — tu głos mu zadrżał, Gustaw zrobił wysiłenie, żeby jej nie paść do nóg i nie krzyknąć: «ale kocham ciebie! nie dręcz mnie!» — ale... on tu nie zechce przyjść — kończył zaledwie dosłyszalnie.

Dużoby dał, gdyby mógł uniknąć tej chwili.

Helena zakryła twarz rękoma i padła na fotel.

Milczenie panowało znów przez chwilę i słychać było szmer liści za oknem... a tu dusza człowiecza wiła się w walce z sobą. Sprowadzać Szwarca po to, by mu odebrał Helenę, było to dla Gustawa już wyuzdanie nieszczęścia.

Ale walka krótko trwała: ukląkł przy Potkańskiej i, cisnąc jej rękę do ust, mówił przerywanym głosem:

— Zrobię, co będę mógł... Przyjdzie tu!... Co komu do mnie?... Przyjdzie, ale, nie mogę powiedzieć kiedy... ja go sam przyprowadzę...

Wkrótce potem, wychodząc z mieszkania wdowy, mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Tak... przyjdzie! ale nie ja go przyprowadzę... przyjdzie... za miesiąc... za dwa... Za miesiąc może już będę spokojny.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze rozmyślania. Długi czas błąkał się jeszcze po ulicach, kiedy wrócił do domu, na wieży kościelnej wybiła druga.

Szwarc już spał. Oddychał równo, spokojnie... Światło lampy padało mu na wyniosłe czoło i odkryte piersi... Gustaw wpatrzył się w owe piersi gorączkowo.

Oczy błyszczały mu nienawiścią.

Przesiedział tak z godzinę, nagle drgnął...

— Oprzytomniał.

Budziło się w nim uczucie zupełnie sprzeczne z tem, czego doświadczał dotychczas. Uczuł, że był głodny. Przeszedł więc ku półkom, na których leżały książki i, wydobywszy z nich kawał razowego chleba, począł go jeść skwapliwie.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach.

IV.

Nadchodziła jesień. Zimno było po mieszkaniach biedniejszych studentów. Jaki taki, owinąwszy się kołdrą i włożywszy czapkę na głowę, rozgrzewał się książką. Mieszkania studentów, którzy mieli za co palić w piecu, roiły się mnóstwem kolegów. Do klubu nie schodzono się więcej. Były z początku usiłowania, żeby obrać

i sformować jakiś inny, ale spełzło to na niczem, bo z jednej strony Gustaw, z drugiej — Szwarc, który miał już znaczny wpływ na studentów, opierali się temu zgodnie. Szczególniej Szwarc, który uważał, że kluby dużo zabierają czasu, a mało pożytku przynoszą, chciał zaprowadzić reformę w tym względzie i udało mu się nakoniec. Mimo wszelkich głosów przeciwnych bronił tej myśli w uniwersytecie, a szczególniej w mieszkaniu Wasilkiewicza, gdzie schodzono się ochotniej niż gdzieindziej. Wasilkiewicz mieszkał u Karwowskiego, a raczej ten ostatni u Wasilkiewicza, bo jakkolwiek Karwowski majętny bardzo (był to ów blady młodzieniec, który grywał kolegom w klubie), opłacał daleko znaczniejszą część mieszkania, duszą, jednak i osią owego kawalerskiego gospodarstwa był nasz żmujdzin.

Godna była podziwu, a nawet zazdrości, przyjaźń między tymi dwoma młodymi ludźmi. Jeden delikatny, pieszczony, piękny, z głową pełną najszlachetniejszych marzeń, łagodny i lubiony od wszystkich, płynął lekko przez życie wśród wygód i dostatków; — drugi, prawdziwy litwin, brzydki, dziobaty, z krótko strzyżoną czupryną i iskrzącemi oczyma, żywy, pracowity, energiczny, a głęboko wykształcony, był dla pierwszego jakby opiekunem lub starszym bratem. Wasilkiewicz posiadał serce gorące i, jak to mówią, niby na dłoni. Gdy raz Karwowski za-

chorował niebezpiecznie, pilnował go dniem i nocą z prawdziwie bezprzykładnem zaparciem się siebie, a gdy wreszcie wyzdrowiał — litwin płakał i wymyślał mu z radości.

— Ach ty, błaźnie! — mówił — jemu to zachciało się chorować! Sprobuj-no tylko jeszcze raz to zrobić!

Studenci nazywali ich dobranem stadłem; dziad, żebrzący niedaleko ich domu, stary ślepiec ukraiński, któremu często dawali jałmużnę, mawiał o nich «dobry panyczi».

Łączyło ich wiele stosunków, a w szczególności jeden, o którym zaraz powiemy. Latem, bywało, przepędzali ferye na wsi u Karwowskich. Tam była siostra Karwowskiego, panienka niełądna, słabowita, ale dziwnej dobroci serca, cicha, spokojna, prawdziwy anioł, z opaloną twarzyczką i wątłą postacią. Owóż tę panienkę kochał Wasilkiewicz, kochał po swojemu, bardzo głęboko, z wiarą w nią i w siebie, a co większa ze wzajemnością. Rodzice jej niebardzo tam o tem wiedzieli, a jeśli i wiedzieli, nie chcieli przeszkadzać młodym. Panienka była niełądna, on uczciwy i pewny człowiek, równoważyło to trochę nierówność położenia towarzyskiego. Zresztą nie chcieli syna pozbawiać towarzystwa, które ze wszechmiar mogło mu tylko wyjść na korzyść.

Jeszcze jedną dobrą stronę miał ten litwinisko: kochał nad wszystko rodziców swoich, staruszków, jak ich nazywał. Staruszkowie sie-

dzieli na głębokiej Żmujdzi, już bliżej Inflant, byli biedni, syn im pomagał. Ojciec jego był pobereźnikiem w lasach. Chata tam stała nizka, a naokoło szumiał las i bełkotały fale, za lasem i za falą był znowu las i fale — zapadły kąt pojezierski! Dyabeł tam mieszkał, wedle podań miejscowych, ale jakoś nie przeszkadzał staruszkom. Tam to ujrzał światło dzienne Wasilkiewicz.

Chłopakiem będąc, chodził na ryby, tłukł się za kaczkami na pojeziorzu, wybierał gniazda na moczarach. Była to natura zdrowa i dzielna. Wykołysała go przyroda, uczyły go i ptaki i drzewa i fale. Począwszy od paproci leśnej aż do buku, co sam nie wiedział, gdzie mu się w niebie wierzch podział, wszystko to było dlań księgą, której pierwsze słowa sam się nauczył czytać. Ptasie rzeczypospolite wyspowiadały mu swoje prawa; raz widział, jak bobry biły ogonami tamę na strumieniu; wiedział jak za głosem żołny można trafić do barci ukrytych; umiał borsukom wybierać młode; nawet i wilczaki przynosił niekiedy żywcem do domu. Gdy podrósł, ojciec nauczył go czytać, wywlókł ze skrzynki trochę zapleśniałych miedziaków i oddał do szkół synala. Odtąd zaczęły się cięższe czasy. Trzeba się było uczyć — uczył się tedy. Dużo było-by opowiadać, ile i co tam on przechodził, nim dobrał się do uniwersytetu i zaczął być takim, jakim go poznaliśmy.

Rodzice stokrotnie płacili mu za miłość. Była to istotnie para ubielonych wiekiem gołąbków, kochających się między sobą, zgodnych i szczęśliwych.

Szczęście i spokój mieszkały tam w tej chacie. Zdarzają się, lubo zrzadka, takie świetliste miejsca na ziemi, niby oazy na pustyni. Staruszkowie cieszyli się sobą, zabiegali wedle siebie, jakby w pierwszych dniach po ślubie, nazywali się sokolikiem i jagódką; a jaka tam radość była, gdy syn zjechał na święta, tego już żaden język wypowiedzieć, ani żadne pióro opisać nie zdoła. Z Wasilkiewiczem przyjeżdżał i Karwowski. Staruszkowie lubili go i rozpieszczali także, ale nie było dla nich, jako ich Jasiek, którego często po prostu «nasz» nazywali.

Nieraz, gdy młodzi ludzie, zmęczeni całodziennem bieganiem po puszczy, wrócili wieczorem późnym do domu, staruszkowie, idąc spać, gwarzyli o nich zcicha. Oto, co raz Karwowski usłyszał przez przepierzenie alkierza:

— Ono to gładki chłopiec ten Karwowski! — mówił staruszek.

— Ale nasz równo jeszcze gładszy — odparła staruszka.

— O, gładszy, gładszy!

Tymczasem ten «nasz» był sobie szpetny, co się zowie, ale przez pryzmat rodzicielskiej miłości wydawał się im urodniejszym od całego świata. Tak to nie rzeczywistość sama, ale serce, z ja-

kiem ku niej przystępujemy, daje rzeczom kształty i kolory.

Ale wróćmy do Kijowa i do naszych znajomych. Nic dziwnego, że przy takich gospodarzach, jak Wasilkiewicz i Karwowski, mieszkanie ich, w którem, prócz tego, był piec doskonały, stało się ogniskiem dla wielu z młodzieży. Kupiła się tam nawet poniekąd inteligencya uniwersytecka, utworzył się rodzaj wieczorów literackich. Wszyscy, co tylko czuli jakąś żyłkę pisarską, publikowali tam swoje utwory. Dłuższe wieczory jesienne zmieniły się na prawdziwe posiedzenia literackie. Ile tam myśli gorących wypowiedziały młode usta, trudnoby policzyć. Gospodarze, Szwarc przez krótki czas, Gustaw, a szczególniej Augustynowicz, wodzili rej na tych zebraniach. Szwarc spróbował był swoich sił twórczych, ale mu nie szło jakoś, nie miał talentu, po prostu nie umiał obrazować, tworzyć, ani nawijać własnych pomysłów na ową złotą nić fantazyi, co to niby w promieniach tęczowych wykąpie rzecz każdą, nim ogrzaną i rozświeconą rzuci w świat nakształt błyskawicy letniej nocy.

Ale miał za to inny rodzaj talentu. Sądził zdrowo, a co większa dowcipnie. Kiedy przeczytawszy własny utwór, począł go rozbierać wobec wszystkich, wesołe śmiechy trwały do późna w mieszkaniu. Tak bywało i z innemi; jeżeli szydził, leciały wióry z owych pierwotnych

płodów, składanych na ołtarzu sztuki. Umiał tak głos i wyraz twarzy nastroić, do toku słów własnych, że, jeżeli chciał, najsmutniejsza rzecz budziła śmiech największy. Jednało mu to wielkie poważanie. Szczególnie ci, co czując sympatyę do księżyca uderzali w sentymentalne struny serc swoich, obawiali się go jak szatana.

Wasilkiewicz jędrnie opisywał swoje bory litewskie i jeziora. Karwowski dopuszczał się od czasu do czasu pieśni lirycznych, w których rosa, łzy, konwalie i westchnienia gadały z sobą, jak ludzie. Zresztą, nie o rozsądek tam chodziło, ale o miłość wiejskiego pastuszka do brzeziny polnej, która po jego śmierci «wzięła i zwiędła», według słów tych smutnych pieśni.

Były tam tedy rzeczy lepsze i gorsze; śmieszności zdarzały się często, ale czasem trafiło się i coś lepszego, czego warto było posłuchać, zwłaszcza, że powoli, wprawą i krytyką, zaczęły się tu i owdzie mniejsze lub większe zdolności okazywać.

Ale wśród wszystkich celował zawsze Augustynowicz. Nieraz bywało przyjdzie, Boże odpuść! pijany; zeszyty ma potłuszczone i brudne, pisane dorywczo, byle zbyć; ale jak zacznie czytać, zapomnisz o wszystkiem, duszą przylgnąwszy do słów jego. Niejeden dołożył i ręki i głowy, wyciągnął z siebie, co tylko było najlepszego, napisał rzecz mniej więcej dobrą, ale pospolitą. Ten «oczajdusza» złapał już na miej-

scu pióro, w izbie gwar i głośne rozmowy, a tu kartki mu lecą i lecą pod stół z pod ręki. Potem, bywało, zbierze je i zasiędzie niedbale, a wszyscy słuchają i niejeden zazdrości w duszy. Postaci jego takie jakieś żywe, takie wypukłe, pod falą słów płynie myśl stukolorowa, jak wąż klejnotami świecąca. Gdy zacznie mówić o miłości, czujesz bicie ukochanego serca na swojem własnem, gdy wzbierze potęgą zapału, huczą słów grzmoty i myśl oślepiona błyskawicami drży przelękła, a kiedy w cichym spadku słów rzewne jakieś maluje uczucie, w powietrzu zda się woń mirtu i róży, paproć rozkwita w noc miesięczną, a gdzieś z za lasu, z za boru płynie po rosie echo piosenki dziewczyny.

Ha, miał talent! Odpadały od niego luźno piękne słowa i piękne myśli, nie mając zda się związku z nim samym. Były to kwiaty na bagnie. Jednocześnie objawy humoru, w których upadek moralny szedł w parze z bezwstydem, świadczyły o tem najlepiej.

— Ej, Augustynowicz, Augustynowicz! — mawiali mu wtedy koledzy — przy twoich zdolnościach, żeby tak dyabeł w tobie nie siedział, cobyś ty mógł zrobić, urwisie!

— Właśnie dlatego chcę go zatopić! Nie macie tam czego się napić? — odpowiadał.

Gustaw kilka tylko razy był na tych zebraniach; nie lubił Karwowskiego, po prostu dlatego, że go lubili wszyscy. Im trudniej mu szło

w życiu, im większe chmury zalegały horyzont jego miłości, tem stawał się drażliwszy, tem więcej gorzkniał. Namiętne a nieszczęsne przywiązania mają to do siebie, że wytwarzają równoległe namiętne nienawiści. Taka nienawiść nieześrodkowana jeszcze na kogoś lub na coś, zalegała piersi Gustawa i tliła się w nim jak zarzewie. Nienawidził wszystkich, którzy posiadali to, czego brak sam odczuwał. Czuł się niby pokrzywdzonym, a za wszelką krzywdę takie natury zwykły płacić choćby w teoryi tylko.

Odsunął się więc od towarzystwa młodzieży, choć jedynie tam były serca, które mogły dla niego uderzać. Wiedział o tem i, pomimo nienawiści dla wszystkich, kochał ich, jednak zamknął się sam w sobie.

Współczucie upokarzało go, wszędzie podejrzewał litość, a bał się jej.

Zresztą wiedziano tam o tem, że Szwarc obiecał mu nie chodzić do Heleny. Wiadomość ta nie wyszła z ust Szwarca, ale od niego; sam ją wygadał w chwili rozdrażnienia. Naturalnie Szwarca postawiło to wysoko w opinii kolegów, Gustaw gryzł się tem. Między nim a Szwarcem zalegała już ciemna chmura niechęci.

Wdowa z coraz większem naleganiem, coraz namiętniej upominała się u niego o Szwarca. W oczach Gustawa odbywał się w niej złowrogi dla niego proces. Potkański coraz więcej wcielał się w tę nową postać, rozpływał się i niknął

w niej. Powoli, a właśnie długim rodziałem wyegzaltowane serce Heleny coraz więcej upominało się o Szwarca, już dla niego samego. Nowa epoka zmartwychwstałego szczęścia dla niej, nowa epoka zamarłej dla Gustawa nadziei, zstępowała zwolna, popychana gburowatą ręką konieczności, zrodzona z łez, przypadku i bólu.

— Może, może niedługo będę spokojny! — myślał. — Niech się co chce dzieje, ja go raz drugi nie przyprowadzę.

Łatwo się każdy domyśli, co się ukrywa pod podobnego rodzaju refleksyą. Gustaw sądził, że potrafi zagłuszyć się pracą, był zmęczony coraz więcej; szczęśliwsze chwile miewał tylko we śnie.

Raz śniło mu się, że klęczał u kolan Heleny i całował jej ręce; czuł wyraźnie jej drogie dłonie na własnem sercu. Potem w sennem zwichrzeniu namiętności trafił ustami na jej usta... i prawie cierpiał z nadmiaru szczęścia...

Potem następowało przebudzenie.

Widywał ją codzień... był jej tak blizko... a zawsze tak z daleka.

Zmizerniał jeszcze i schudł; w oczach świeciły mu gorączkowe przebłyski niezłamanej woli. Ta gorączka wyczerpywała, ale trzymała go na nogach.

— Ciekawy jestem, co to będzie? — mruczał przez zapiekłe wargi.

Była jednak jedna strona, prawie wzniosłą

w tem ponurem naprężeniu cierpienia. Gustaw nie marzył, brał życie jakie było, nie zaś jakie być mogło. Mimo opłakanego stanu zdrowia, umiał pracować i pracował więcej, niż kiedykolwiek. Żeby, przyszedłszy od wdowy, zasiąść do pracy, trzeba było nielada siły — takie zwycięstwa odnosił nad sobą codziennie. Zebrał około siebie kilka zdolniejszych głów, i jakby w przeciwstawieniu do zebrań Wasilkiewicza, utworzył kółko, pracujące wyłącznie naukowo. On i dwaj inni pisali gramatykę języków łotyckich... on, mimo ciągłych kłótni ze współpracownikami, stał na czele tej pracy, a co ukradł cierpieniu, to jej poświęcał. Helenę widywał codziennie.

V.

Nic nie mogło być drażliwszego nad stosunek Szwarca do Gustawa.

Ci dwaj ludzie mieszkali razem.

Nareszcie pewnego dnia Gustaw, wróciwszy od wdowy, zastał rzeczy Szwarca popakowane, on sam zajęty był układaniem książek i bielizny.

Milczeli obaj, dopóki wszystko nie było gotowe; nakoniec Szwarc odezwał się:

— Gustawie, bądź zdrów! Wyprowadzam się.

Gustaw podał mu rękę, nie rzekłszy ani słowa. Rozstali się zimno.

Po drodze spotkał Szwarca Wasilkiewicz.

— Ho, cóż-to? — pytał — przenosisz się?

Szwarc odrzekł:

— Znasz mój stosunek do Gustawa, osądź sam, czy mogę z nim dalej mieszkać?

— Ale to widzisz, nie wypadałoby opuszczać go w takim stanie, jak jest dzisiaj.

— Rozumiem, ale zaręczam ci, że ja tylko mogę go drażnić. Wiesz wszystko, co dla niego zrobiłem; nie powinienby mieć powodów niechęci... a jednak!...

Wasilkiewicz ścisnął mu rękę.

Mieszkanie Szwarca wynajęte było w dużym kilkopiętrowym domu. Składało go dwa pokoiki obszerne i widne. Prócz funduszów, przywiezionych z domu, Szwarc zaraz po przyjeździe znalazł sposoby, które dozwalały mu oszczędzać, ile możności, kapitału. Zaczął tedy przemyśliwać o przedniejszem urządzeniu się na przyszłość i wreszcie urządził się istotnie daleko wykwintniej. Na pierwsze wejrzenie można było w nowem mieszkaniu poznać zamożność i dostatek. Łóżko było codziennie porządnie zasłane, podłoga wymieciona, a w małym piecu kaflowym codzień szarą godziną palił się wesoły ogień; ciepło bywało, aż

się dusza radowała! Zresztą, cały dom był porządniejszy, ba, nawet elegancki. Na pierwszem piętrze mieszkał jakiś generał z żoną i dwiema córkami, brzydkiemi jak noce zimowe, na drugiem — Szwarc i francuz, inżynier, od którego wynajęte były pokoiki, a na trzeciem, jakiś podupadły hrabia, człowiek ongi, podobno, niezmiernie bogaty, dziś zbankrutowany, mieścił się w trzech czy czterech pokoikach z córką dorosłą i dwiema dziewkami ukraińskiemi. Takie było sąsiedztwo Szwarca. Dało mu się ono wkrótce we znaki, bo u inżyniera dzień cały jęczał fortepian, na którym dzieci uczyły się wygrywać wszystkie kontredanse, jakie kiedykolwiek gdzie tańczono; u generała były znów ciągłe zabawy, tańce i wieczory. Tupano tam, jak we młynie, po całych nocach służba uwijała się po schodach, hałasu i turkotu nie brakło. Jeden tylko hrabia zachowywał się cicho. Nic dziwnego, jako żydzi nad gruzami Jerozolimy, tak oni siedzieli tam na gruzach własnej wielkości rozpamiętywając ją smutno. Szwarc nie znał ich dotychczas prawie, czasem tylko szarą godziną po trzeszczeniu schodów i ciężkich krokach domyślał się, że stary hrabia prowadzi córkę na spacer; ale, nie lubiąc koron ani głów utytułowanych, nie był co prawda ciekawy wyjrzeć na nich.

Raz jednak zobaczył coś, co go więcej zainteresowało. Pewnego dnia, idąc do siebie, spostrzegł

między pierwszem a drugiem piętrem pochylony przez poręcz jakiś biuścik z główką wcale kształtną, o błękitnych oczach i ciemnych włosach. Oczy owe, przysłonięte ręką, pilnie upatrywały czegoś w półmroku sieni. Spostrzegłszy Szwarca, cofnęła się naprzód główka, za nią torsik, a kiedy Szwarc przyśpieszył kroku, chcąc bliżej spojrzeć na panienkę, zobaczył tylko dwie małe w czarnych trzewiczkach i białych pończoszkach nóżki. Nóżki owe uciekały co tchu na górę.

— Aha, więc to hrabianka! — pomyślał Szwarc.

Hrabianka zaintrygowała go jednak. Sam nie wiedział, dlaczego, szarą godziną siedząc przed ogniem, widział wyraźnie przed sobą ową parę nakrytych ręką oczu, białe czoło ujęte w pukle ciemnych włosów i nóżki w czarnych trzewikach.

W parę dni potem, kiedy późną godziną, zdmuchnąwszy świecę, kładł się w łóżko, usłyszał nagle jakiś głos, śpiewający smutną włoską piosenkę. W sieni i mieszkaniu Szwarca pełno było tych tonów młodych, dźwięcznych i sympatycznych; pieszczone a namiętne zaklęcia i wyrzuty rozlewały się z dziwnym urokiem w ciszy nocnej; słowa dochodziły wyraźnie, głos ten śpiewał:

E tu spietato, da un'altra amato
Dici è delirio, e non è amore

Piange mi vadi, ne a me tu credi
Or tu sei! tu sei barbaro che non hai cur etc.

— A, hrabianka śpiewa! — mruknął Szwarc.

Nazajutrz rano zupełnie znów nie wiedział, dlaczego przy ubieraniu się, trąc zawzięcie mydłem ręce, jakby dla dodania sobie energii, śpiewał wielce patetycznie:

Or tu sei! tu sei barbaro!

Ale wkrótce przestał o tem myśleć, zamiast hrabianki przyszła mu na myśl wdowa. «Ta kobieta albo już mnie kocha, albo kochałaby bardzo wkrótce» — pomyślał sobie. Żal mu się zrobiło owych chwil, w których patrzał jej w oczy... «Co za szczególna kobieta!» — dumał. «Jakże ją też musiał kochać ten Potkański... ha! a Gustaw». Szwarc zmarszczył się. «Gustaw, czy ja tam będę, czy nie, zagryzie się, zatruje — zgubi go ta miłość... hm! każdy odpowiada za siebie. Ale ciekawym, co też ona mówi, że mnie niema?»

Odtąd często przychodziła mu na myśl ta chwila, w której ona tak bardzo blada, z wyciągniętemi rękoma, wołała na niego: «Znalazłam cię, mój Kazimierzu!»

Gdyby tylko chciał, mógłby ją odszukać, kochać i być przez nią kochanym.

Ten plan prawdopodobnej miłości spać mu nie dawał. Jak każdy młody człowiek, czuł potrzebę kochania; serce uderzało mu gwałtownie, jakby chciało pęknąć rozsadzone własną siłą.

A dotychczas, prócz wdowy, nie znał żadnej kobiety. Przemykały mu przed oczyma czarne trzewiczki i białe pończoszki hrabianki, ale lekkie to marzenie obsuwało się w nicość. Tymczasem wspominał, jak pewnego razu w czasie rozmowy trzymał dłoń wdowy, pamiętał, jak miał ochotę pocałować tę rękę, ale pamiętał także, jak złowrogo świeciły naówczas oczy Gustawa. Ogarniała go zazdrość. Czasem ledwo dostrzeżona chmurka żalu zawczesnego przyrzeczenia przemykała mu się w duszy i skrywała gdzieś w najciemniejszych jej pieczarach. Wtedy powtarzał sobie wielce tragicznym tonem: «Przyrzekłem, nie pójdę!»

Jeszcze jedno gniewało go — ludziom szanownym a podżyłym wyda się to paradoksem — gniewał go spokój życia. Nauka przychodziła mu łatwo, trudności na drodze nie spotykał, nie zużywał sił wszystkich, i to budziło w nim niesmak. Młode a czynne natury, tak jak młodzi żołnierze, czują potrzebę wykąpać się w ogniu walki. Ta chęć walczenia, która w wieku późniejszym wydaje nam się nieprawdopodobną, w pewnych latach stanowi wcale poważnie jedną z konieczności ducha. Pamiętamy monolog Szwarca w mieszkaniu Gustawa, pierwszego zaraz dnia przyjazdu do Kijowa. Chciałby rzucić rękawicę, czy to w imię nauki, czy w imię uczucia, komu? — całemu światu. Młode orlęta probują latać, mając nad sobą obłok, pod sobą

otchłań. Najpospolitszy nawet człowiek, nim się spostrzeże, że jest żółwiem, ma chwile, w których zdaje mu się, że jest orlęciem.

W takiej fazie był Szwarc, a tu poprostu nie było z kim, ani o co iść na udry.

W uniwersytecie miał mniej więcej współwyznawców; pole mogło się otworzyć na szerokim świecie, ale tego szerokiego świata Szwarc nie znał jeszcze. Nagle jednak zaszło zdarzenie, które wyrwało go z odrętwiałości.

Augustynowicz przeskrobał coś w ten sposób, że to czyniło ujmę honorowi studentów.

Postanowiono go wypędzić.

Nie było to już pierwszy raz, ale zawsze jakoś sami studenci zacierali to między sobą, nie chcąc kompromitować się wobec opinii — teraz przebrała się miarka. Nie będziemy czytelnika zapoznawali z rodzajem winy, co nam po brudach! dość, że sąd, złożony ze studentów, stanowczo był za wydaleniem winnego ze swego grona. Od takiego wyroku nie można było apelować, bo władza uniwersytecka potwierdzała go zawsze — tak więc rozmazywało się tylko przewinienie.

Wzburzenie między studentami było wielkie; nikt nie ujmował się za Augustynowiczem, prócz Szwarca, który, trzęsąc połową uniwersytetu, użył wszystkich sił, by go uratować.

— Chcecie go wypędzić? — mówił na wielce burzliwem zgromadzeniu. — Chcecie go wypę-

dzić? ale czy myślicie, że, wyszedłszy z uniwersytetu, nie będzie nam robił wstydu? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? Jaki znajdzie sposób do życia? z czego się utrzyma? A co do niego samego, czy wiecie dlaczego upadł? — Nie! Spytajcie go, kiedy jadł obiad? Jesteśmy między swojemi. Podnieście mu którąkolwiek nogę — prawą czy lewą — wszystko jedno: jeśli pod butami znajdziecie choć jedną całą podeszwę, to go wypędzicie. Co do mnie, twierdzę i niech piorun tego trzaśnie, co twierdzi inaczej, co ratować nie gubić powinniśmy się. Dajcie mu ratunek, dajcie na chleb, weźmy na własną odpowiedzialność!

— Kto go bierze na własną odpowiedzialność? — spytał któryś z antagonistów Szwarca.

— Ja! — krzyknął grzmiącym głosem Szwarc i cisnął czapkę na ziemię.

W izbie powstał gwar i zamieszanie. Szwarca poparł całym wpływem Wasilkiewicz, inni się upierali za wydaleniem — zrobił się »huczek niemały«. Szwarc wskoczył na ławkę i, zwracając się do Augustynowicza krzyknął:

— Przebaczają ci! Zabieraj się i chodź ze mną!

Wyszedłszy zatarł ręce z wewnętrznej radości i zawołał:

— Szkoda było takiej głowy! Prócz tego zjedzą dyabła, jeżeli coś teraz zrobią beze mnie!

— Szwarc! dlaczego mnie ratowałeś? — pytał Augustynowicz.

Szwarc zwrócił ku niemu twarz surową.

— Dziś jeszcze sprowadzisz się do mnie.

Inny tymczasem dramat rozgrywał się w mieszkaniu Potkańskiej. Była to szczególniejsza kobieta; nie mogła, nie umiała żyć, nie uczepiwszy życia o jakieś uczucie. Pierwszy raz trafiła szczęśliwie, więc była wzorem matki i żony. W obecnej chwili zdawało jej się, że znalazła ratunek w Szwarcu, a tu miesiące płynęły jak go nie widziała. Coraz usilniej pragnęła go, coraz usilniej opierał się temu Gustaw.

Musiało nastąpić ostateczne starcie tych wprost przeciwnych usiłowań.

— Jeśli mi go nie wrócisz — mówiła pewnego wieczoru, łzami zalana wdowa — to ja sama pójdę go szukać. Jam gotowa klęknąć przed tobą i na kolanach prosić ciebie o niego. Gustawie, mówisz, że Kazimierz prosił ciebie, byś miał opiekę nademną... więc zaklinam ciebie na imię jego... O Boże, Boże!... Ty nie rozumiesz, że można cierpieć... Tyś chyba nigdy nie kochał!

— Ja, pani?... nigdy?... — mówił bardzo cicho Gustaw, a w oczach błyszczała mu boleść prawdziwa. Może ty, pani, prawdę mówisz... Więc tyś nic nie dostrzegła? niceś nie widziała? Ja sam niewiem, czym kogo kochał... prócz... Boże, co ja wyrzeknę!... prócz ciebie jednej!

Rzucił się do nóg Heleny.

Nastała wielka cichość. Rzekłbyś dwoje ludzi skamieniało. Ona przegięta w tył, z rękoma na twarzy on u nóg jej.

Trwali tak: oboje doszli do zapamiętania, ale największy ból ma chwilę, w której się przesila.

Wkrótce on powstał. Był już zimny, był spokojny bardzo. Zbudził ją i począł mówić cichym przerywanym brakiem oddechu głosem:

— Przebacz mi, Heleno! Nie powinienem był tego robić! ale bo widzisz, cierpiałem od tak dawna. Pierwszy raz... rok trzeci idzie, widziałem cię w kościele... ksiądz właśnie kielich podnosił, a ty się schyliłaś... Bywałem jeszcze wówczas w kościele!... potem widywałem cię częściej, i daruj!... ja sam nie wiem, jak się to stało! Potem zostałaś jego żoną — milczałem... I teraz nie chciałem ciebie obrazić, ani ci dokuczyć, ale powiedziałaś, żem chyba nigdy nie kochał... Widzisz, że to nieprawda... Tak trudno wyrzec się ostatniej nadziei... Przebacz mi... Szwarc jeszcze dziś przyjdzie do ciebie... to szlachetny człowiek — kochaj go i bądź szczęśliwa... i bądź zdrowa.

Pochylił się ku niej i podniósłszy brzeżek jej sukni, z błyszczącemi oczyma, utkwionemi w niebo, ucałował go jakby świętość.

Za chwilę wdowa pozostała sama.

— Co on mówił? — szeptała cicho — co

mówił Gustaw?... Mówił, pamiętam, że on przyjdzie znów do mnie. Czy ja nie marzę?... Ale nie... On przyjdzie.

VI.

Tymczasem Augustynowicz zakwaterował się na dobre u Szwarca. Co za różnica jego dawniejszego życia z teraźniejszem! Dawniej nie miał ciepłego kąta — Szwarc dał mu ciepły kąt; nie miał łóżka — Szwarc kupił mu łóżko; brakło mu pościeli — Szwarc kupił pościel; nie miał odzienia — Szwarc zaopatrzył go w odzienie; nie jadał — Szwarc dzielił z nim obiady. Znalazł się w zupełnie innych warunkach. Ogrzany, nakarmiony, w porządnym surducie, uczesany, umyty, ogolony, stał się zupełnie innym człowiekiem. Był to, jak mówiliśmy, niesłychanie słaby charakter; zawsze stwarzały go warunki życia, zawsze był tylko wypadkową tych czynników. To też pod surową ręką Szwarca zmienił się do niepoznania, zaczął smakować w życiu pożądnem a dostatniem. Jak dawniej nie wstydził się niczego, tak teraz zaczął się wstydzić wszystkiego, co nie pasowało z eleganckim ubiorem i rękawiczkami. Najtrudniej mu było odzwyczaić się od picia, ale nie miał zręczności zapadać w dawny nałóg, bo Szwarc pilnował go, jak oka w głowie, nie spuszczał

go z oczu, natomiast kupował mu wódkę, ale nie dawał mu pieniędzy. Z jaką niecierpliwością oczekiwał Augustynowicz chwili, w której Szwarc otwierał szafę dla nalania mu kieliszka, trudno sobie wystawić. Ileż namarzył się w tej chwili, jak sobie wystawiał smak napoju, wprowadzenie go do ust, dotknięcie językiem, popchnięcie do gardła i wreszcie uroczyste wejście do żołądka! Zresztą Szwarc, by odebrać tym poczęstunkom upokarzający charakter, zwykle sam pił do niego.

Z biegiem czasu zaczął go lepiej traktować, zaczął go wcielać w rozliczne swoje i uniwersyteckie sprawy i wreszcie swój sposób myślenia. Niema potrzeby mówić, że Augustynowicz przyswajał sobie to wszystko, jako swoją własność, że słowa Szwarca powtarzał, gdzie mógł, dodając zwykle z początku, »Ja sądzę, że« itd. Ktoby go poznał? On, dla którego nie było nic nadto bezwstydnego, teraz na zebraniach młodzieży, kiedy rozmowa brała trochę za wesoły kierunek, mawiał: »Panowie, tylko przyzwoitość przedewszystkiem!« Śmieli się studenci, śmiał się sam Szwarc pocichu, ale dotychczas kontent był z własnego dzieła.

Nie potrzebujemy dodawać, że, chodząc z Augustynowiczem na jeden fakultet, uczył się z nim razem wieczorami. Wtedy miał sposobność ocenić w całej pełni jego zdolności; dla tego umysłu nie było rzeczy trudniejszych i łatwiejszych;

jakaś szalona intuicya zastępowała tam rozmysł, pamięć nie tyle trwała, ile obszerna, zastępowała pracę.

Częstym gościem Szwarca i Augustynowicza bywał Wasilkiewicz. Początkowo przychodził z Karwowskim, potem i sam bywał codziennie o swojej godzinie. Rozmowy jego ze Szwarcem, krążące koło najważniejszych pytań nauki i życia, stawały się coraz poufalsze. Ci dwaj ludzie przeczuli się i jeden odgadywał w drugim potężny umysł i wolę. Stosunek, oparty na wzajemnym szacunku, zdawał się stałą zapowiadać przyszłość. Jeden i drugi pochwycili w ręce kierunek młodzieży uniwersyteckiej; inicyatywa ogólnych czynów wychodziła tylko od nich, a że byli zgodni, zgodnie się też działo w uniwersytecie, koleżeństwo i nauka najwięcej na tem wygrywały.

— Powiedz mi też — pytał pewnego razu Szwarc — co mówią o mojem postępowaniu z Augustynowiczem?

— Jedni cię uwielbiają, — odrzekł Wasilkiewicz — drudzy śmieją się. Byłem u jednego z twoich antagonistów w interesie naszej biblioteki; zastałem tam niemałe grono i mówiono właśnie o Augustynowiczu i o tobie... Ale, ale! czy wiesz, kto cię najwięcej bronił?

— No kto?

— Zgadnij?

— Lolo Karwowski.

— Nie.

— Dalibóg, nie domyślam się.

— Gustaw.

— Gustaw?

— Aa! nagadał tam tym, co się wyśmiewali z ciebie tyle przyjemnych rzeczy, że zaręczam ci, iż nie prędko zapomną. Wiesz, jak on to umie! Myślałem, że ich licho porwie.

— Tegobym się nie spodziewał!

— Ale bo go już dawno nie widziałeś... Ech! on też zagrzązł w tę nieszczęsną miłość po uszy. A to tęgi chłopiec... i żal mi go. Powiedz, ty się na tem znasz lepiej, bardzo on chory?

— O, nie dobrze z nim!

— Cóż to? Astma?

Szwarc kiwnął ręką.

— Astma... nadmierna praca... zgryzoty...

— Szkoda!

Nagle czyjeś kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi się otworzyły — wszedł Gustaw.

Był zmieniony do niepoznania. Skóra na jego twarzy wybielała dziwnie, stała się przeźroczystą. Z tej twarzy wiało jakieś zimno, jakby od trupa; żółtawy odcień świtał mu z czoła, które zdawało się być woskowem. Wargi miał białego koloru; zarósł, ciemne włosy, broda i wąsy rysowały się przy owej bladości prawie czarno. Wyglądał, jak człowiek, który przebył długą chorobę, a na twarzy osiadła mu pewność siebie i rozpaczliwa jakaś rezygnacya.

Szwarc trochę zdziwiony, trochę zmięszany, nie wiedział od czego zacząć. Gustaw wyprowadził go z kłopotu.

— Szwarc! — mówił Gustaw — przychodzę do ciebie z prośbą. Niegdyś przyrzekłeś mi nie widywać Potkańskiej, cofnij to przyrzeczenie.

Szwarc wykrzywił twarz rodzajem przymusu. Nie w smak mu była rozmowa w tej materyi; więc odpowiedział tylko:

— Nie zwykłem nie dotrzymywać słowa.

— Tak — odrzekł spokojnie Gustaw, — ale tu jest zupełnie co innego. Gdybym umarł np., przyrzeczenie nie obowiązywałoby ciebie, a ja, widzisz, jestem chory, bardzo mocno chory. Ona tymczasem potrzebuje opieki. Ja już nie mogę... nie mogę czuwać nad nią. Trzeba mi się położyć... odpocząć.. jestem bo i zmęczony trochę. Zresztą, powiem ci całą prawdę: Ona ciebie kocha, a ty ją pewno także; ja stałem wam na zawadzie, ale teraz się usuwam. Z musu to robię i nie sprzedaję tego za poświęcenie... Kochałem ją bardzo i miałem trochę nadziei, że i ona będzie mnie kiedyś kochała... ale zbłądziłem (tu głos jego spadł o oktawę niżej). Nikt mnie nigdy nie kochał... Było mi bardzo smutno w życiu... Ale cóż robić? W ostatnich czasach dużo przeszedłem, ale to się już skończyło! Dziś chodzi mi oto, żeby ona nie została sama. Gdybym się był umiał zdobyć na poświęcenie, byłbyś

już dziś jej opiekunem... Szwarc! możesz to dla mnie zrobić... Ty masz energię i jesteś bogaty... i ona cię kocha, więc ty nie zakończysz tak, jak ja. O, mnie źle było na świecie... Ale mniejsza o to. Nie chciałbym jej wyrządzić krzywdy... Kocham ją jeszcze. Nie chciałbym, by przeze mnie pozostała sama na świecie. Czasem, widzisz nie powinno się ludziom niczego odmawiać... Idź, idź do niej! Mieszkaliśmy jednak razem... klepali jedną biedę, więc powinieneś to dla mnie zrobić; bo ja, powtarzam, jestem chory i nie wiem, czy ją lub ciebie więcej zobaczę.

Wasilkiewiczowi łza zakręciła się w oku, powstał, i zwróciwszy się do Szwarca, rzekł:

— Szwarc, powinieneś uczynić wszystko, o co cię Gustaw prosi.

Szwarc odrzekł stanowczo:

— Będę u niej, dam jej opiekę. Daję na to słowo uczciwości wam obu.

— Dziękuję! — rzekł Gustaw. — Idź tam teraz.

Za chwilę pozostał sam na sam z Wasilkiewiczem.

Litwin przez czas jakiś stał milczący, pasował się z własnem sercem; wreszcie odezwał się głosem serdecznego współczucia.

— Gustawie, biedny Gustawie, jak ty tam musisz cierpieć w tej chwili!

Gustaw nic nie odrzekł, wciągnął z sykiem

powietrze w usta, zacisnął zęby, twarz zadrgała mu konwulsyjnie i nagłe łkanie rozerwało mu piersi... siły opuściły go zupełnie.

* * *

W trzy dni potem Szwarc z Wasilkiewiczem siedzieli w mieszkaniu Gustawa. Wieczór był jasny; snopy księżycowego światła wpadały przez szyby do izby. Przy łożu chorego paliła się świeca. Chory był jeszcze przytomny. Piękna była niemal jego głowa, wyżółkła z nędzy o wysokiem czole, leżąca na wyniosłych poduszkach. Jedna wychudzona ręka spoczywała na kołdrze, drugą przyciskał sobie piersi.

Światło świecy rzucało różowy blask na tego męczennika własnych uczuć. Przeciwległy kąt izby mroczył się cieniem. Gustaw był przytomny, zdawał Szwarcowi rachunki z opieki nad Potkańską. Od czasu do czasu odzywał się jeszcze, choć z trudnością, to do Szwarca, to do Wasilkiewicza, który stojąc w głowach łóżka, ocierał chustką gruby pot, występujący mu na czoło.

— Chciałem cię ostrzedz — mówił Gustaw.— Przysyłają jej dwa tysiące złotych rocznie, a tam trzeba pięć do sześciu... Resztę ja zarabiałem... Odsuńcie świecę i zwilżcie mi usta... pracowałem... odejmowałem sobie od ust, nie dosypiałem... Po dwa dni czasem nic w ustach nie miewałem... Podnieście mnie trochę i oprzejcie wyżej... Nie mogę mówić... Jest tam jeszcze

dla niej trzydzieści rubli w tej skrzynce... Ciemno mi... Niech odpocznę...

Cicho było w izbie; tylko mysz w drugim kącie szeleściła kawałkiem papieru... Śmierć zstępowała.

— Chciałbym skończyć naszą pracę — mówił dalej Gustaw. — Powiedzcie im, niech się nie kłócą... Zimno mnie ogarnia... Ciekawym czy też jest jakie niebo lub piekło!... Nie modliłem się nigdy... ale, ale...

Wasilkiewicz pochylił się ku niemu i spytał cicho:

— Gustawie, ty wierzysz w nieśmiertelność?

Chory już nie mógł mówić, kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Wtedy zdawało się, że w izbie rozległy się ciche tony czarownej muzyki. Po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios rój aniołów; pełno ich było: jedne białe, drugie miały skrzydła złote lub kolorowe. Chodziły cicho, pochylały się nad łożem, trącały skrzydełkami, kręciły się jako pszczółki brzęczące... Słychać było szelest ich piór.

Razem z tą cichą kapelą uleciał duch Gustawa.

Pogrzeb odbywał się z wielką uroczystością. Cały skład uniwersytetu asystował przy trumnie. Wtedy dopiero zaczęto mówić o gruntownej nauce, pracy i poświęceniach zmarłego. Rzeczywiście, pokazało się z rachunków, które rozej-

rzał Szwarc, że nieboszczyk zarabiał około czterech tysięcy złotych rocznie. To wszystko szło na wdowę, sam żył jak pies. To dobrowolne a ciche bohaterstwo długą mu zjednało pamiątkę w sercach młodzieży. Poodkrywano przytem rozmaite prace zmarłego, odznaczające się gruntowną nauką, a nawet i talentem; znalazł się także jego pamiętnik. Było to wypowiedzenie w prostych, a nawet szorstkich słowach, wszystkich ciemnych stron życia w nędzy, rodzaj apologii namiętnych porywów młodości, tych cierpień urojonych, a jednak rzeczywistych, walk, bólów, burz wewnętrznych i rozhoworów. Życie wewnętrzne egzaltowanych natur odsłoniło się tam w całej ponurej uroczystości. Strach było spojrzeć w ten zamęt, którego nie znać w codziennem życiu, na tym «tak dyabelsko wyzłoconym świecie», jak mówi poetka. Pamiętnik czytano u Wasilkiewicza; była nawet myśl drukowania go, ale to jakoś nie przyszło do skutku. Augustynowicz za to napisał wspomnienie pośmiertne o Gustawie. Bardzo wymownie przedstawił jego życie. Pokazał go od lat dziecinnych, kiedy to bywał jeszcze szczęśliwy. Urok opisu tych wiosennych chwil życia był tak wielki, iż zdawało się, że majowe słońce przyświecało piszącemu. Potem obraz spochmurniał: widać było, jak nieboszczyk porzucił rodzinną chatę, jak pies, stary sługa, biegł za nim, wyjąc... Potem było jeszcze ciemniej: życie za-

częło nim potrącać, rzucać, kołysać i targać. Znów błysnął płomień... Niby na obłoku w obrączce tęczowej pojawiła mu się wdowa... wyciągnął ręce do tego światła. «Resztę wiecie — pisał Augustynowicz. — Niech teraz śpi, śniąc o niej. Skowronek polny będzie mu śpiewał nad mogiłą jej imię... Niech śpi spokojnie... Ogień zagasły, czara rozbita — oto Gustaw!»

Ale zwykle tak się dzieje, że dużo gadają po śmierci o człowieku, którego za życia ledwie że nie popychano. Damy więc pokój Gustawowi, a będziemy śledzili dalsze losy naszych znajomych, a w szczególności bohatera niniejszej księgi, Szwarca.

U Szwarca nic się nie zmieniło, tylko on sam, od czasu pierwszej bytności u wdowy, chodził jakiś zamyślony i milczący. Augustynowicz coraz więcej przyzwyczajał się do nowego położenia. U generała tupano, jak dawniej; u inżyniera bębniono w fortepian, jak dawniej; hrabianka wyśpiewywała wieczorami, jak dawniej. Mieszkanie Gustawa zajął szewc z dwojgiem skrofulicznych dzieci, z żoną i z biedą trzecią; tam, gdzie krążyły myśli tej szlachetnej głowy i padały gorące słowa, teraz skrzypiały dratwy i pociągle. Potkańska nie dowiedziała się nawet zrazu o śmierci Gustawa; Szwarc to utaił, obawiając się zbyt silnego na nią wrażenia. Później ze zdziwieniem przekonał się, że wieść tę przyjęła wprawdzie ze smutkiem, ale bez rozpaczy.

Dużo mamy do opowiadania o tych nowych stosunkach; w następnym tedy rozdziale wprost już do nich przejdziemy.

VII.

Szwarc wedle przyrzeczenia danego Gustawowi, był u Heleny i za drugą już u niej bytnością wyszedł rozkochany. Wracał późną nocą; na niebie skrzyły się gwiazdy: była pogoda; od Dniepru dolatywał chłodny, ale rzeźwy powiew wody. Lekkie opary mgły wiły się długiem pasmem na wschodzie. Muzyka była w powietrzu i muzyka w piersi Szwarca. Kochał! Zdawało mu się, iż noc jasna obchodzi jego zaślubiny ze szczęściem. Pełne szczęście jest razem wspomnieniem i nadzieją. Szwarc czuł jeszcze w dłoniach drobne ręce Heleny — tę chwilę wspominał, myślał o jutrzejszych pieszczotach — tej chwili spodziewał się. Dziwna rzecz! Ona go pożegnała słowem: »Pamiętaj!« a któżby mógł zapomnieć o szczęściu, zwłaszcza kiedy się do niego przyszłość uśmiecha.

Kochał! Uciśnięty siłą i urokiem nocy, drżeniem gwiazd i majestatem ciemnych przestrzeni, rzucił wzrok pełny ognia w najdalsze krańce niebieskich samotni i drżącemi usty wyszeptał:

— Jeśliś jest, to jesteś wielki i dobry!

Mimo warunku postawionego przed tym wy-

krzyknikiem, jak na Szwarca było to bardzo wiele. Przyznawał wielkość i dobroć. Mówił »jeśliś jest«, słowa te o kimś byłyby warunkiem, do kogoś — znaczyły potwierdzenie istnienia.

Szwarc mówił: »Jesteś«.

Mimo całego jego realizmu, nie dziwmy się tak bardzo tym słowom. Usta, które je wymawiały, świeżo piły z czary uniesienia.

Gdy Szwarc wrócił do domu, Augustynowicz spał w najlepsze; chrapanie jego słychać było już na schodach. Wyciągał piosenkę snu, to krótko, to długo, to ciszej, to głośniej, to sapiąc, to dmuchając, to gwiżdżąc.

Szwarc zbudził go.

Postanowił koniecznie go uściskać.

Augustynowicz wytrzeszczył nań zdziwione oczy i w pierwszej chwili zawołał:

— Idź-że do...

Szwarc roześmiał się wesoło.

— Dobranoc! — rzekł mu Augustynowcz — powiem ci jutro, skąd wracasz, dziś spać mi się chce, dobranoc.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem Szwarc nalewał herbatę, Augustynowicz leżał jeszcze na łóżku i, patrząc w sufit, palił fajkę. Obaj myśleli o dniu wczorajszym.

Wreszcie Augustynowicz odezwał się pierwszy:

— Wiesz, Szwarc, co mi przyszło do głowy?

— Nie wiem.

— To ci powiem: że nie warto życia wiązać z pierwszą lepszą kobietą, jak Jowiszowi dobrze życzę, nie warto! Są jednak rzeczy lepsze na świecie.

— Skądże ci te myśli?

— Prosto z fajki. Człowiek tak się zwiąże, tak się zrośnie z jedną myślą, a potem przyjdzie lada przeszkoda i ot, z tych pałaców tyle się zostanie, co z tego dymu, który puszczam w tej chwili.

Ogromny kłąb dymu podniósł się w górę z ust Augustynowicza i, uderzywszy o pulap, rozproszył się na wszystkie strony.

Rozmowa urwała się na chwilę.

— Szwarc, czyś ty się już kochał przed poznaniem Gustawa i Potkańskiej?

— Czym się k-o-o-chał? — ciągnął Szwarc, przypatrując się pod światło szklance. — Co?... a, czym się kochał?... Tak, zawracałem sobie czasem głowę, nie wytrącało mnie to jednak ze zwykłych warunków życia, nie odwodziło od porządku dziennego. Powiem otwarcie, nie kochałem się.

Augustynowicz podniósł cybuch z fajką w górę i uroczyście zadeklamował:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Szwarc się uśmiechnął:

— Alboż co?

— Nic, to moje wspomnienia. E, ze mną bywało inaczej, szalałem parę razy jak waryat.

Raz nawet, mimo biedy, próbowałem być porządnym człowiekiem, trudno było, ale próbowałem.

— A skończyło się?

— Prozaicznie. Dawałem lekcye u jednego właściciela domu. Było tam dwoje dzieci: małoletni syn i dorosła córka; syna uczyłem, a córkę kochałem. Otóż pewnego wieczoru łzy mi stanęły w oczach i powiedziałem jej to, ona zmieszała się trochę, a potem się roześmiała. Nie uwierzysz Szwarc, co to był za brzydki śmiech! bo widziała, ile to mnie kosztuje, a sama mnie ciągnęła poprzednio. Nakoniec poszła do mamy na skargę.

— A mama?

— Mama powiedziała mi: po pierwsze, żem szubrawiec, na co jej się ukłoniłem: po drugie, żebym sobie poszedł; a po trzecie, cisnęła mi na ziemię pięć rubli, które podniosłem, bo mi się należały i upiłem się za nie tego dnia wieczorem i na drugi dzień rano.

— A potem?

— Potem drugiego dnia wieczór i na trzeci rano.

— I tak już ciągle?

— Nie. Czwartego dnia wypłakałem się ogromnie, a jeszcze potem, gdym się już trochę uleczył — to jest z miłości, nie z pijaństwa —

próbowałem się zakochać w pierwszej lepszej, ale już nie mogłem, daję ci na to słowo uczciwości, mój panie!

— I nie masz już nadziei na przyszłość?

Augustynowicz zamyślił się trochę i odpowiedział:

— Nie. Nie szanuję już kobiet. Ile dawniej wierzyłem w nie, ilem je czcił i kochał, jako największą nagrodę pracy i mozołów, tyle dziś... lubię je... rozumiesz? To wyłącza miłość.

— Ale i szczęście,

— Ani słowa: przeto dziś gwiżdżę, kiedy mi się chce płakać i dlatego zazdroszczę ci.

Szwarc spojrzał bystro na Augustynowicza.

— Czego?

— Twego stosunku z Heleną. Nie marszcz się i nie dziw, że ja te rzeczy znam tak dobrze... Ho, ho! mamy my trochę doświadczenia! Zresztą, powiem ci, ja sam chciałem się zakochać w Potkańskiej... Ja wolę takie kobiety niż inne... Choć z drugiej strony... E, kiedy nie wiem, czy się nie będziesz gniewał?

— Mów.

— Bałem się zakochać w Potkańskiej. Ani słowa: nieszczęśliwa kobieta, ale na brodę proroka, cóż mnie to obchodzi? Wiem tylko, że testamentem przechodzi z rąk do rąk, że kto tylko zbliży się do niej, zaraz otrzymuje wiekuistą szczęśliwość... brr! na honor, nie chciał-

bym być testatorem takiego stypendyum, choćby dla przyjaciela.

Szwarc postawił na stole szklankę niedopitej herbaty i, zwróciwszy się do Augustynowicza, rzekł zimno:

— Tak, ale ponieważ ja jestem egzekutorem testamentu, bądź łaskaw mówić o zapisie z większym szacunkiem.

— Dobrze, powiem ci zupełnie seryo już nie o tem, kim lub czem jest Potkańska, ale co ty powinieneś zrobić. Mówię bez interesu, nawet na szkodę własną. Rzecz jest taka — Augustynowicz usiadł na łóżku. — Znam ciebie, znam ją, ona ci sama rzuca się w ramiona. Inicyatywa ze strony kobiety... ho! to się na nic nie zdało! Miłość to trzeba zdobyć. Za miesiąc znudzisz się, zmęczysz i ciśniesz ją do dyabła... Szwarc! ja ci dobrze życzę, żeń ty się z Heleną, póki czas...

Szwarc zmarszczył brwi więcej niż poprzednio i odrzekł krótko:

— Zrobię, jak uznam za stosowne.

A rzeczywiście to małe słówko »ożenić się« nie przyszło mu jeszcze do głowy. Całując ręce Potkańskiej, nie pomyślał o konsekwencyi pocałunków. Gniewał się na siebie i na to szczególniej, że ktoś przypominał mu obowiązki sumienia. Dzień, dwa, później niezawodnie samby sobie przypomniał. Upominanie z cudzej strony odbierało tej myśli urok samodzielnego, płynącego z miłości, czynu, robiło ją przymusem.

Wieczorem tegoż dnia Augustynowicz spotkał Wasilkiewicza.

— Wiesz, że Szwarc bywa już u Potkańskiej?

— Cóż tedy?

— Kobieta rozkochana w nim szalenie. Domyśl się, co z tego wyniknie, i osądź, co Szwarc powinien zrobić?

Wasilkiewicz odparł ze zwykłą rezolutnością:

— Kochać ją także.

— Tak, a dalej?

— Dalej niech sobie sami radzą.

Augustynowicz machnął ręką niecierpliwie.

— Jeszcze jedno pytanie: jakbyś ty skończył z Potkańską?

— Gdybym ją kochał?

— Tak.

— Ożeniłbyn się bez namysłu.

Augustynowicz zatrzymał go i z ręką na sercu, począł mówić tonem głębokiego przekonania:

— Widzisz, ja Szwarcowi wiele jestem winien, a zresztą sam to wiesz najlepiej, chciałbym tedy szczerze odpłacić mu się — tak, odradzić radą. On jest w dziwacznem położeniu... a jednak, rozumiesz, są pewne prawa uczciwości, których nie można łamać. Nie chciałbym, aby ktoś kiedyś Szwarcowi mógł powiedzieć: »Postąpiłeś nieuczciwie«. Mówię otwarcie: nie chciałbym, a ty możesz tu dużo zrobić, ty masz wpływ na niego.

Lecz Wasilkiewicz zamiast dać się przekonać, rozgniewał się.

— A ty co się w nieswoje rzeczy wtrącasz? Zostawić mu wolę, toż niedawno, jak u niej bywa. Ej, Augustynowicz, albo ty to z serca robisz? Jeśli ciebie Helena co obchodzi, to niech mnie... ale to twoje wścibstwo, ty lubisz pozować i prawić piękne słówka. Nie graj komedyi! Poświęcasz się niby, tracąc mieszkanie przez ożenienie Szwarca, ale to tylko lekkomyślność. Ty sam już nie wiesz, kiedy się oszukujesz! O Szwarca się nie bój, żebyś ty był taki, nie trzebaby więcej. Co tobie do tego! Ty za grosz nie masz taktu.

— Schowaj te nauki dla siebie. Więc nie wdajesz się między nich?

— Gdyby ten nieokreślony stosunek trwać miał długo, ja pierwszy będę się starał namówić, a nareszcie zmusić Szwarca do ożenienia się z nią; ale dziś wtrącać się między nich — to głupstwo.

Augustynowicz wrócił wielce skonfundowany; poczucie prawdy jednak powiedziało mu, że litwin ma racyę i że z jego strony było to istotnie wścibstwo i chęć pozowania, nic więcej.

VIII.

Ale upłynęło parę miesięcy, skończyła się zima, przeszła wiosna, nastało lato, a owe stosunki nie zmieniły się. Kochał Szwarc Helenę, ona jego i płynęło im życie we wzajemnej na przyszłość niepamięci. Był jednak cień między niemi, cień rzucony przez wypadek. Pewnego dnia letniego Potkańska zawiązała pod brodę wstążki niebieskiego kapelusika i, okrywszy ramiona płaszczykiem, uczepiła się ręki Szwarca — poszli oboje na spacer.

Słońce świeciło, było trochę kurzu w powietrzu, a upał dawał się czuć na wszystkich twarzach, choć było koło szóstej po południu. Mnóstwo osób wychodziło na miasto, wielu znajomych Szwarca witało go przyjaznem skinieniem głowy, niektórzy, a nawet i obcy oglądali się za naszą parą. Rzeczywiście, piękna to była para. Szwarc wyrósł, zmężniał; brodę i boki twarzy okrywał już wspaniały rudawy zarost, a twarz sama nosiła wyraz poważny z pewnym odcieniem dumy. Potkańska wyglądała zupełnie na młodą narzeczonę; wiatr rozwiewał niebieskie wstążki jej kapelusika, bawił się z białą suknią i, unosząc okrycie, ukazywał wysmukłą jej figurkę. Z wdziękiem oparta o ramię Szwarca, cieszyła się i nim i słońcem, i powietrzem, jakoby drugi raz na świat zrodzona. Szwarc wię-

cej na nią patrzał, niż na otaczających. Nie podejmujemy się powtarzać ich rozmowy, owego szczebiotu zakochanych, bez znaczenia dla innych, pełnego wdzięku dla nich. Były jednak i poważniejsze rozmowy. Potkańska, naprzykład, prosiła Szwarca, żeby ją zaprowadził na grób męża.

— Latem, widzisz, — mówiła — i na cmentarzu mnóstwo cienia, a nie byłam tak dawno; nie mogę go jednak zapomnieć. Ty mi go zastępujesz, Józefie, ale pozwól mi się i za niego pomodlić czasem.

Szwarcowi było wszystko jedno dlaczego i za kogo się Helena modliła; odrzekł więc z uśmiechem pełnym pobłażania:

— Dobrze, Heleno, pamiętaj o swoich zmarłych, tylko kochaj żywych — dodał, pochylając głowę ku jej twarzy.

Lekkie przyciśnięcie do piersi ramienia Szwarca było odpowiedzią ze strony Heleny.

Spojrzała mu w oczy, potem zarumieniła się, jak dziewczynka.

Szwarc ze swej strony nakrył dłonią, maleńką, wspierającą się na jego ramieniu rękę i... był zupełnie szczęśliwy.

Poszli na cmentarz. Po drodze spotkali Augustynowicza; szedł, paląc cygaro obok dwóch dam, z których jedna była matką, druga córką. Augustynowicz prowadził córkę pod rękę; matka podążała z boku trochę; przeszkadzała jej oty-

łość, trochę pośpiech, a nakoniec i gorąco. Augustynowicz widocznie był wymowny, bo panna zatrzymywała się chwilami od śmiechu. Przechodząc koło Szwarca, przymrużył jedno oko, co miało znaczyć, że w tej chwili kontent jest ze świata i porządku ziemskiego.

Szwarc pytał Heleny o Augustynowicza.

— Znam go, choć nie wiem, jak się nazywa; gdy zmarł Kazimierz, widywałam go blizko siebie, potem jakoś mi znikł z oczu.

— Jest to najzdolniejszy urwis, jakiego znam — dorzucił Szwarc. — Ale, mówił mi, że kochał się w mojej pani.

— A ty dlaczego mi to mówisz?

— Bez celu; dziwna rzecz jednak, jak wszyscy lgną do ciebie.

— Bo też mój drogi Józefie, to jedno przyniosłam z sobą na świat. Nie uwierzysz, jak smutno płynęły mi lata dzieciństwa. Nie znasz mojej historyi? Chowałam się w domu zamożnym... gdzie pan domu opiekował się mną, jak własnem dzieckiem.. Po jego śmierci dokuczano mi tam wszelkiemi niegrzecznościami, aż nakoniec uciekłam stamtąd i wyjechałam do Kijowa, gdzie jeden bardzo stary i bardzo dobry człowiek wziął mnie w opiekę, mówił mi zawsze Helusiu i pieścił jak córkę rodzoną. Ale potem i on umarł, nie zostawiwszy mi sposobu do życia... Potem poznałam Kazimierza. Zdziwisz się, skąd ja mogłam bywać w klubach studenckich?

Wierz mi, o mało nie umarłam ze wstydu, kiedym tam pierwszy raz weszła; ale czy uwierzysz? Byłam wtedy głodna, parę dni nic już w ustach nie miałam — byłam zziębnięta. Sama nie wiedziałam co robię i do czego to prowadzi. Wtedy zbliżył się do mnie Kazimierz. Och, nie podobał mi się wówczas: śmiał się i był wesoły, a mnie ciemniało w oczach. Spytał nakoniec, czy nie chcę pójść z nim. Odrzekłam: «tak». Po drodze owinął mnie w ciepłe futro, bo drżałam z zimna i nakoniec przyprowadził mnie do swego mieszkania. Tu dopiero gdy ciepło powróciło mi przytomność, spostrzegłam gdzie jestem i rozpłakałam się z osławienia i ze wstydu zarazem, bo widzisz, byłam sama jedna w mieszkaniu mężczyzny. Byłam w jego mocy. Zdawał się być zdziwiony memi łzami, potem zamilkł i usiadł koło mnie, a kiedym znów na niego spojrzała, miał łzy w oczach i natychmiast stał się zupełnie inny. Pocałował mnie w rękę i prosił, żebym się uspokoiła. Musiałam mu opowiedzieć wszystko, wszystko. Przyrzekł, że będzie pamiętał o mnie, jak o siostrze... Jaki był dobry, prawda? Od chwili jego poznania, nie zaznałam już niedostatku. Gdy odchodził, pocałował mnie znowu w rękę, ja chciałam toż samo uczynić: serce mi się ścisnęło, przycisnęłam rękoma piersi i szczerze zapłakałam. Ach, jakżem go wtedy kochała, jakżem go kochała!

Helena podniosła oczy w górę; w tych oczach

błyszczały wielkie łzy wdzięczności. Była piękna, jak natchniona. Szwarc jednak miał wyraz surowy, brwi zsunęły mu się na czoło. Myśl, że czczemu wypadkowi, marnemu podobieństwu winien był miłość tej kobiety, posępnym cieniem okryła mu twarz. Potkański inną drogą doszedł do niej. Porównanie to bolało Szwarca; przypomniał sobie słowa Augustynowicza i milczący prowadził dalej Helenę.

Przyszli na cmentarz. Wśród drzew bieliały tam krzyże, kamienie i mogiłki. Miasto zmarłych w cieniu zielonych liści spało w cichej powadze. Kilka osób błądziło wśród krzyżów, między gałązkami odezwał się niekiedy ptak nawpół smutno, choć wdzięcznie. Gdzieniegdzie przesunęła się postać cmentarnego stróża.

Helena wkrótce znalazła grób Potkańskiego. Była to duża, obwiedziona żelazną kratą mogiła, u której stóp wznosił się mały, porosły murawą, pagóreczek. Leżał tam Potkański z dzieckiem Heleny. Kilka doniczek z kwiatami zdobiło groby, bo bokach rosła rezeda; wogóle mogiłki czysto, a nawet ozdobnie utrzymane, świadczyły o czyjejś starownej ręce.

Szwarc zawołał stróża, aby otworzył kratę; Helena uklękła tam z modlitwą w ustach i łzami w oczach.

— Kto utrzymuje te groby? — spytał Szwarc stróża cmentarnego.

— Przychodziła ta pani, przychodził i pan

jakiś z długimi włosami, ale teraz to go i nie widać — mówił stróż. — On zawsze płacił za kwiaty, on też kazał tu dać kratę.

— Ten pan także już tu mieszka; rok temu, jak go pochowali — odpowiedział Szwarc.

Stróż kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: «I ty tu zamieszkasz».

— Albo to co, proszę pana? W tamtem mieście kłopoty i umartwienia, a tu jak kto przyjedzie, to i leży spokojnie. Ja sobie nieraz myślę: coby ta Panu Bogu przyszło mizerować jeszcze duszę na tamtym świecie. Mało to człek tu ucierpi!

Po chwili Helena skończyła modlić się, Szwarc znów podał jej rękę. Szwarc był milczący, widocznie ciążyło mu coś na sercu; chcący czy niechcący powiódł Helenę inną, niż poprzednio, drogą. Nagle, blizko już bramy, wskazał ręką jedną z mogił i rzekł zimnym jakimś głosem:

— Patrz, Heleno, oto ten człowiek kochał cię za życia więcej, niż Potkański, a jednak ani wspomniałaś o nim.

Dzień pochylał się już cokolwiek; Helena rzuciła okiem na przedmiot, który ukazywał jej Szwarc. Na mogile stał czarny, drewniany krzyż, a na nim białą farbą były napisane słowa:

«Gustaw... zmarły dn... r...»

Promienie wieczorne malowały niby na krwawo litery napisu.

— Chodźmy stąd... ciemno się robi — szepnęła Helena, tuląc głowę do ramienia Szwarca.

Gdy wchodzili do miasta, mrok już zaczynał się na dobre, ale zabierało się na noc pogodną. Księżyc wielki, czerwonego koloru, wytoczył się z za Dniepru. W gęstych alejach Żandarmskiego ogrodu, tu i owdzie słychać było czyjeś kroki; z jednego okna, otwartego w przyległym pawilonie, słychać było tony fortepianiu; jakiś młodziutki głosik śpiewał pieśń Szuberta; tony drgały w ciepłem powietrzu — daleko, daleko na stepie odezwała się trąbka pocztarska.

— Śliczna noc — mówiła zcicha Helena. — Dlaczegoś smutny jakiś, Józefie?

— Siądźmy trochę — rzekł Szwarc — zmęczony jestem.

Siedli i, oparłszy się o ramiona, zadumali się trochę oboje. Nagle z zadumy wyrwał ich jakiś młody, dźwięczny głos; głos ten mówił:

— Słusznie, Karolu! Największem szczęściem jest czysta miłość kobiety, jeśli jest echem głosu prawdziwie męskiej duszy.

Dwaj młodzi ludzie, trzymając się pod rękę, przechodzili zwolna koło ławki, na której siedzieli Szwarc z Heleną.

— Dobry wieczór! — odezwali się obaj, uchyliwszy kapeluszy.

Byli to Wasilkiewicz i Karol Karwowski.

Szwarc, rozstając się z Potkańską, długo trzymał jej rękę przy ustach i cały wzburzony poszedł późno do domu.

IX.

Na drugi dzień jednak Szwarc, wyspawszy się doskonale, był już zupełnie spokojny, śmiał się nawet z dnia poprzedzającego i z własnych obaw i niepokojów.

— Dużo się gada pięknych frazesów — myślał sobie — lecz rzeczywistość? Głupiec tylko odpycha od siebie szczęście. Gustaw najlepszym tego dowodem, co znaczy jednostronne, choćby najsilniejsze, choćby najbardziej męskie uczucie. To się życiem płaci, a ja mało jestem przydatny do tragedyi. Zresztą, kocham Helenę, a ona mnie. Co komu do tego? Augustynowicz, wstawaj no urwisie! mów, co za szatan stujęzyczny zawracał wczoraj przez ciebie głowę jakiejś orzechowej parasolce, co?

— Widziałeś jej oblicze? — pytał Augustynowicz, zmuszając się do westchnienia.

— Widziałem i, na Jowisza, podobne do świeżo wyrwanej rzodkiewki, matka wyglądała, jak dzieżka kwaśnego mleka. Cóż, zakochałeś się, mój stary?

— Daj pokój, to bardzo bogate kobiety!

— Obie? Ileż ma córka?

— Ktoby tam zliczył taką sumę, a jeszcze będzie bogatsza.

— Bogatsza? o męża i dzieci?

— Nie, ale matka przyjechała w sprawie

procesowej, a czy wiesz, kogo procesuje? Naszego sąsiada hrabiego, winien jej kilka tysięcy złotych.

— Skądże to wiesz wszystko? Dawno ją znasz?

— Od wczoraj dopiero. Poznałem ją przypadkiem: pytały mnie o drogę, dokąd?... nie uważałem, na honor, ale powiedziałem, że czas jest bardzo piękny, i spytałem, czy nie zechcą iść ze mną na spacer. Staruszka gadatliwa wielce; natychmiast dowiedziałem się, kto są i po co przyjechały. Pytała się, czy nie znam hrabiego? odrzekłem, że bywam tam codziennie i że wpłynę na starego, by jej wrócił, co winien. Powiedziałem także, że jestem doktorem medycyny, teologii i wielu innych nauk i sztuk; że mam ogromną praktykę w Kijowie. Wtedy matka zaczęła mi do ucha opowiadać dolegliwości swoje i córki Powiedziałem, że będę u nich i zbadam rzecz na gruncie.

— Naturalnie. Cóż córka na to?

— Wywiesiła na obliczu czerwoną flagę... ale matka zgromiła ją za to, wezwała Wszystkich Świętych i zapewniła mi ich ogólne poparcie w chwili straszliwego sądu. Widzisz, com wygrał!

— Naiwny jesteś...

— Będę dziś u nich.

— U Świętych Pańskich?

— Nie, u moich nowych znajomych. Poradzę im, żeby obie zamąż poszły.

— Młodsza za ciebie?

— Cóż chcesz, mój drogi! człowiek się starzeje; zresztą, myślę, że i ciebie powitamy niedługo kosmatą dłonią?

— Prosiłem cię, żebyś się nie wdawał pomiędzy mnie i Helenę.

— Dobrze. Powiem tylko, że jest prześliczna!

— Ba! — odparł Szwarc ze źle ukrywanem zadowoleniem.

W tej chwili wszedł Wasilkiewicz.

— Na chwilę wpadam — rzekł — Karol czeka mnie na dole; jedziemy razem na wieś. Szwarc, mam do ciebie interes. Krótko! nie chciałem się mieszać w twoje stosunki miłosne, mimo próśb Augustynowicza, ale to się już ciągnie za długo. Powiedz, co myślisz zrobić z Potkańską?

Szwarc cisnął gwałtownie w kąt pokoju cybuch, który trzymał w ręku, poczem siadł i spojrzał Wasilkiewiczowi w oczy.

— Pytanie za pytanie — rzekł. — Powiedz, co ci do tego?

Wasilkiewicz zmarszczył się, nasrożył, ale odrzekł spokojnie:

— Pytam, jak kolega kolegi. Helena nie należy do rzędu tych kobiet, które się kocha dziś, a nie kocha jutro. Zresztą, przez pamięć na Potkańskiego, każdy z jego kolegów ma prawo żądać odpowiedzi na podobne pytanie.

Szwarc wstał, w oczach błyskały światełka gniewu.

— A jeśli ja nie dam odpowiedzi, to co? — zawołał. — Kto ma prawa do Heleny? kto śmie mieszać się między mnie a nią?

Teraz z kolei wybuchnął Wasilkiewicz.

— To ty myślałeś, ptaszku, że my ci pozwolimy czumanić biedną kobietę i nie spytamy, dokąd to prowadzi? Niech cię szatan porwie! Musisz przed nami odpowiadać za honor wdowy Potkańskiego, i nie ja jeden będę się o to upominał!

Stali czas jakiś naprzeciw siebie z groźbą na czole, jakby chcąc wypróbować się wzajemnie.

Wreszcie Szwarc, lubo drżący z gniewu, pierwszy zapanował nad sobą i zaczął mówić:

— Słuchaj-no, Wasilkiewicz! Gdyby mi kto inny to zrobił, wyrzuciłbym go za drzwi. Nie należę do tych, co pozwalają sobą rządzić, i nie rozumiem, dlaczego mieszacie się w nieswoje rzeczy. W każdym razie obraża mnie to. Odpowiadam więc tobie i wszystkim, co się o honor Heleny chcą upominać: że z tego honoru tylko przed sobą będę zdawał sprawę, że nie pozwolę nikomu mieszać się w moje występki, i że ty, i twoi, robicie wielkie, niczem niewytłumaczone, brutalne i szkodliwe dla Potkańskiej głupstwo, ujmując się za nią. Skończyłem i wychodzę, zostawiając ci czas do rozwagi nad tem, co zrobiłeś.

Wasilkiewicz został z Augustynowiczem.

— Cóż? zmył ci głowę? — pytał ten ostatni.

— A zmył.

— Hę? powiadasz tedy, że ci zmył głowę.

— Zmył.

— Głupstwoś zrobił, z nim trzeba było łagodnością, to twarda sztuka!

Szwarc udał się wprost do Heleny. Był do najwyższego stopnia rozdrażniony; nie umiał sobie wytłumaczyć postępku Wasilkiewicza, czuł jednak, że owa trzecia osoba, wdająca się między niego i Helenę, oddala ich tylko zamiast przybliżać.

Gdy wszedł do Heleny, drzwi od jej pokoju zastał zamknięte; służąca nie umiała mu powiedzieć, co pani robi. Uchylił drzwi, Helena spała, oparta o poręcz wielkiego fotela. Szwarc stanął we drzwiach i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Nie przebudziła się, krągła jej pierś podnosiła się i opadała lekkim, miarowym ruchem. Niemasz nic bardziej miękkiego, jak łagodny ruch piersi kobiecej. Oparłszy na niej głowę, można ukołysać się i usnąć, jak w kolebce lub w łodzi, trącanej falą. Każdy pamięta, jak tak usypiał na piersi matczynej. Tajemnicze królestwo snu zdradza się w kobiecie tym ruchem tylko, który możnaby nazwać błogosławionym, tak wiele warunków ludzkiego szczęścia faluje z nim razem w krainach spokoju. Ruch skrzydeł anielskich musi być do niego podobny. Usypia wszystko, zacząwszy od pła-

czu dziecięcia, do dumnych myśli mędrca. Głowa mędrca, śpiąca na piersiach kobiety, to największy tryumf miłości. Szwarcowi musiały podobne myśli chodzić po głowie, bo, patrząc na śpiącą Helenę, łagodniał ciągle, niby noc przechodząca w poranek; pochylił się ku niej i ustami dotknął lekko jej ręki. Helena drgnęła i, otworzywszy szeroko oczy, uśmiechnęła się jak dziecko, które ze snu budzi aksamitny pocałunek matki. Szwarc po raz pierwszy przychodził z pieszczotą tak miękką i delikatną, zwykle bywał jeśli nie surowy, to poważny; ale dziś przykre wrażenia kłótni z Wasilkiewiczem przychodził zatrzeć i zapomnieć u jej nóg. Cudowna potęga kobiety, pod której wpływem mętny osad duszy opada na dno niepamięci, ogarniała go zwolna. Zanadto jednak był wzburzony, by mu przez słowa nie miała się przecisnąć część goryczy, którą czuł przed chwilą.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy Potkańskiej, potem począł mówić:

— Heleno, zdaje mi się, że Cię bardzo głęboko kocham, ale głupota ludzka drażni moją miłość własną, wyzywa mnie. Chciałbym w tobie samej znaleźć w niej siłę. Ufaj mi Heleno, kochaj mnie!

— Nie rozumiem ciebie, mój Józefie?

Szwarc, ująwszy rękę Heleny, mówił łagodnie:

— A jednak powinnaś mnie rozumieć. Po-

chlebiam sobie, że nie ustąpię Potkańskiemu w miłości dla ciebie, ni w pracy o twoje szczęście. Ale jest między nami różnica. On, syn magnata, mógł odrazu podać ci rękę, otoczyć cię dostatkiem; jam syn rzemieślnika, ja długo jeszcze muszę pracować na twoje i własne szczęście. Nie opuszczę ciebie teraz, ale nie chcę, żebyś jako żona moja zetknęła się z zimną rzeczywistością ubóstwa, od którego cię tamten odzwyczaił. Do tego jednak potrzeba mi miłości twej i zaufania. Mów, Heleno...

Helena nic nie odrzekła, ale zbliżyła się do Józefa i, położywszy mu głowę na piersiach, podniosła nań oczy pełne dziecinnej ufności.

— Oto moja odpowiedź, Helenko moja dobra — rzekł Szwarc i długim pocałunkiem połączył jej usta ze swojemi.

— Może to egoizm z mojej strony, ale przebacz mi go — mówił dalej. — Nie zdobyłem ciebie zasługą, ani cierpieniem, nie uczyniłem dla ciebie nic zgoła. Widmo bogactw, jakiemi cię otaczał Potkański z jednej strony, poświęcenie Gustawa z drugiej strony stawałyby zawsze między nami. Pozwól mi zasłużyć na ciebie, Heleno, mam dość siły i energii, nie zawiodę ciebie.

Szwarcowi może zdawało się, że szczerze mówi, o ile jednak w słowach jego brała udział obrażona miłość własna, łatwo się każdy domyśli, rzuciwszy okiem na warunki, w jakich żyła

dotychczas Helena. Gdyby Szwarc prosił o jej rękę natychmiast, warunki te zmieniłyby się bardzo niewiele, a z pewnością nie na gorsze, bo w takim razie, dzieląc z nią mieszkanie pozbyłby się Augustynowicza i wszystkich wydatków, jakie ten za sobą pociągał. Z drugiej strony, należy mu przyznać, że słowa danego Gustawowi dotrzymywał z całą sumiennością. U Heleny nic się nie zmieniło; Szwarc tedy brałby ją w takich warunkach, w jakich zostawała od lat dwóch.

Była niezawodnie połowa prawdy w tem, co mówił Helenie o swej ambicyi; więcej jeszcze ważyła chęć rzucenia rękawiczki przeciwnikom, ale najważniejszym podobno powodem, dla którego nie żenił się z Heleną, był ich stosunek wzajemny; nadto zbliżenia między ludźmi, niepołączonymi węzłami, dającymi więcej prawa do pieszczot i pocałunków. Czara była do połowy wypita. Uprawnienie odbierało raczej urok zakazanego owocu, doznanej już słodyczy, niż obiecywało nowe.

Pokazuje się, że Augustynowicz miał trochę racyi.

Szwarc może sam przed sobą nie przyznawał, że dlatego nie pragnął zmiany owych stosunków, ponieważ było mu z nimi wygodnie.

Nie kochał więc Heleny?

Kochał, bo inaczej nie przychodziłby do niej codziennie, nie całowałby jej ust, czoła i rąk;

ale pamiętajmy, że to właśnie wypełnia w połowie pragnienie, któremu w innych warunkach czynimy zadość przez ołtarz.

Pojęcie «narzeczona», jest niby przezroczystą zasłoną na obnażonej kobiecie. Przychodzimy do ołtarza, żeby ją zerwać; zerwawszy, tracimy część uroku.

Poczciwa natura ludzka wynagradza ową stratę pojęciem «przywiązania»; gdy i tego zabraknie, występuje inna, jeszcze mniej powabna rzecz «przyzwyczajenie».

Ale życie się toczy.

Szwarc uchylił już zasłony, do zupełnego zerwania jej prowadziły dwie drogi: jedna nazywała się ołtarz, druga... druga była zapomnieniem się chwilowem, zwycięstwem namiętności nad honorem; mniej uczciwa, nieuczciwa po prostu, ale szybka i powabna.

Pierwsza była trudna; w drugiej każda chwila była pokusą, każdy pocałunek pobudką.

Do pierwszej zniechęcała niewczesna opieka nad Heleną, drugą radziła miłość własna.

Ale pierwsza była uczciwą, druga — nie.

Szwarc stał na rozdrożu.

Możnaby wprawdzie powiedzieć, że uczciwy człowiek nie powinien był się wahać; ale możnaby także spytać, jakby postąpił uczciwy człowiek w takim razie, gdyby siły pokusy były absolutnie większe od zasobów jego uczciwości?

Helena kochała Szwarca, odpowiadała ner-

wowo na jego pocałunki. Ze świadomością nie mogła decydować, nieświadomie przyrzucała ciężaru tej wadze, która w duszy Szwarca przeciwważyła uczciwość i honor.

Ileż to czarowne słówko «miłość», przynosi czasem z sobą wielkich i małych walk, udręczeń i niepokojów! Cała ta hałastra z gwarem i wrzawą, zbrojna w kolce i dzwonki, swawolna, gwałtowna, nadlatuje ze wszystkich stron, bawi się sercem, jak piłką, podrzuca aż pod gwiazdy, lub depce po ziemi. Otwierają się wówczas wszystkie pieczary twej duszy. Aniś się domyślił, co w nich mieszka. Wszystkie siedem grzechów głównych ze wszystkiemi cnotami, o których prawią katechizmy, idą o ciebie w zawody. Widzisz się być innym, niżeliś dotąd mniemał; przestajesz ufać sobie, podejrzywasz się na każdym kroku, tracisz rząd nad sobą. Namiętności, niby płomienie, powstają wówczas z głębi twej istoty i, jak ogniki na bagnie, chodzą, czołgają się, kolują, podskakują i nikną.

Noc ducha, rozdzierana ich światłem, ukazuje ci w ich kolorach twe własne wnętrze. Pełnisz rolę aktora i widza. Jesteś niby łódź bez wiosła na falach z płomieni... Potem grom jeden kończy wszystko, ognie niby fajerwerk gasną; śnisz wtedy, jak Dante, o piekle i niebie.

Smutno, gdy po przebudzeniu nie masz nikogo, ktoby ci wrócił przecierpiane chwile.

Wróci się, wróci spokój! Ale szczęście nie wróci. Ręka ucięta nie boli, ale jej niema.

Augustynowicz może miał trochę racyi, gdy mówił, że życia nie warto wydawać na jedno uczucie. Może nie należy rozbijać się o ciasne ściany własnego egoizmu i własnych zachcianek. Nad nami i obok nas szeroki świat, huczą tam fale wzdymane przez ludzkość całą, czyż nie lepiej odciąć kotwicę, odepchnąć okręt od brzegu, uciszyć rozpłakane serce i płynąć w przyszłość bez szczęścia, ale z pracą, bez wiary, ale z myślą?

To pewna, że do czasu takiej ogniowej próby nie można wyrokować o szlachetności kruszcu, z którego ulana dusza człowieka. Żadnych tedy gwarancyi za przyszłe postępki Szwarca dać nie możemy. Doznawał różnych pokus, to wiemy; ręczymy także, że walczył z niemi, jak mógł; jak jednak się skończyło, czy on, czy one okazały się silniejszemi, potem o tem powiemy.

X.

Wracając do domu, Szwarc spotkał w bramie starego hrabiego z córką, schodzących ze schodów. Panna rzuciła nań ciekawem okiem, a, uszedłszy parę kroków, obejrzała się raz jeszcze z uśmiechem. Szwarc zauważył, że była

bardzo ładna, i z prawdziwem zadowoleniem usłyszał, jak mówiła ojcu: «To młody doktór, papo, który mieszka pod nami». Nie wiele mu już brakło wprawdzie do ukończenia uniwersytetu, — chętnie jednak usłyszał, że już go poczytują za doktora.

Mieszkanie Szwarca było otwarte, stróż domowy robił w niem porządek. Od niego dowiedział się Szwarc szczegółów o hrabi i hrabiance. Stróż nie lubił ich obojga; utyskiwał na ich skąpstwo, choć domyślał się, że musieli być bardzo ubodzy, bo i za mieszkanie nie płacili bardzo regularnie.

— Pannica harda — mówił — przez cały dzień nic nie robi, tylko gra i śpiewa; przykrzy jej się bez męża, ale cóż robić?

Stróż nie radził Szwarcowi poznawać się z niemi, «ile że hardzi ludziska, a w kieszeni, panie kochany, pustki».

— Stara hrabina dawno nie żyje? — pytał Szwarc.

— A będzie ze trzy lata, jak umarła. Bo to, widzisz pan, dawniej podobno byli bogaci, ale on stracił majątek na żbożu, co to niby miał odstawiać je wspólce do Odessy; nazarywał ludzi co niemiara. Ona była najlepsza z nich wszystkich. Zacna pani, ale też gryzła się i umarła. Już pięć lat, jak tu mieszkają.

— Znajomych, familii dużo mają?

— Nie muszą mieć, bo niewidziałem nikogo.

Następnie Szwarc w oczekiwaniu na Augustynowicza położył się do łóżka, a kazawszy sobie podać szklankę herbaty, usnął niebawem. Gdy się obudził, czuł się cokolwiek chory. Augustynowicza jeszcze nie było, choć już dobrze mroczyło się wówczas. Przyszedł w doskonałym humorze.

Dama, z którą się był poznał, nazywała się Wizbergowa, a miała córkę Karolinę. Augustynowicz auskultował obiedwie: córce przepisał taniec, matce — konną jazdę. Zresztą, obiecał być jeszcze u nich i przyprowadzić Szwarca.

— Stara dama mówiła mi, że już pozwy hrabiemu doręczone, co mnie zresztą nie obchodziło — mówił Augustynowicz. — Była nawet u hrabiego, ale zastała tylko hrabiankę, która jej się podobała. Panienka przestraszyła się bardzo, dowiedziawszy się o celu przybycia starej damy. Pytałem się starej damy, dlaczego upomina się o marne parę tysięcy, kiedy wydaje się być żoną Krezusa? Odpowiedziała, że jej nieboszczyk nazywał się Kleofas nie Krezus. «Żeby to moje — mówiła — pewno bym nie dokuczała im, ale to wszystko mego dziecka». Wtedy ja ścisnąłem z prawdziwem uczuciem rękę tego dziecka pod stołem: byłem po prostu rozczulony, słowo honoru, byłem rozczulony. Odchodząc, pocałowałem w rękę starą damę. Panna ma na imię Malinka, śliczne imię Ma-

linka, choć nie w tem rzecz, żeby się pięknie albo brzydko nazywać. Coś ty taki blady, Szwarc?

— Nie jestem zdrów zupełnie i spać mi się nie chce. Spałem, czekając na ciebie. Daj mi szklankę herbaty.

Augustynowicz nalał herbatę i, zapaliwszy fajkę, położył się do łóżka. Szwarc przysunął fotel do biurka i, wziąwszy pióro, zaczął pisać.

Wkrótce jednak przestał. Myśli tłoczyły mu się do głowy; oparł się o fotel i puścił im bieg wolny. Kto inny byłby marzył, Schwarz zbierał i sumował własną przeszłość, myślał nad warunkami, w jakich się teraz znajduje, obrachowywał się na przyszłość. Co do tej przyszłości, trudniej było utrzymać mu się w chłodnej roli rozumującego. Słowa: «To młody doktór, papo», mimowolnie przychodziły mu na pamięć. Być doktorem i trochę kaplanem nauki, z jednej strony panować rozumem, z drugiej znaczeniem, majątkiem, sławą, (Szwarc nie był jeszcze nieczułym na sławę), przyciągać spojrzenia, wywoływać uśmiechy, wreszcie jednać serca... Tu przypomniała mu się Helena. W krainie uczucia nie wolno mu już było wybierać. Czuł się związanym, a przecież chciałby widzieć zwracające się na niego oczy i uśmiechy ustek dziewiczych i słówka tak mile szeptane: «To młody doktór!» Pierwszy raz nie mógł opędzić się myśli, że Helena może mu być przeszkodą w jego pochodzie naprzód. Z tą myślą postanowił rozpra-

wić się. Wykształcenie jej nie stało na zawadzie — była wykształcona; miała lat dwadzieścia jeden, Szwarc dwadzieścia cztery, różnica lubo za mała, nie stanowiąca przeszkody. Jakież mógł mieć powody obawy, aby Helena nie ciążyła mu kiedyś. Sumienie powiedziało mu, że pierwszą przyczyną była jego próżność. Znał mało kobiet, a chciałby ich znać wiele i panować nad niemi? Ale istniały jeszcze inne względy, których nie przypuszczał Szwarc. Za mało kochał. W duszy jego leżały ogromne kapitały uczucia, on ledwo część ich podniósł na imię Potkańskiej. Nosił w sobie głuche poczucie tych sił, poczucie to odbierało mu spokój. Chciał uchwycić grunt rzeczy, a nie łatwo było, nawet takiej świadomej siebie głowie, jak Szwarc dojść do ostatnich rezultatów.

Zresztą, sam nie wiedział, czy przyszłe możliwe tryumfy warte były Heleny. Mieć za całą przyszłość przy sobie kobietę tak wdzięczną i tak kochającą, toż to samo, co w lot uchwycić przelatującą skrzydlatą marę szczęścia, a gdyby przytem wiedział, ile w tych przyszłych tryumfach będzie rzetelnej wagi, ile się tam zawiedzie, ile obliczy naprzód, byłby się nie wahał w wyborze. Ale nie zetknął się jeszcze z obłudą.

Te medytacye zmęczyły Szwarca, lampa w pokoju pociemniała, począł drzemać; nagle stuknięcie jakieś na górze przebudziło go znowu.

»I tam nie śpią« — pomyślał sobie, pomyślał o hrabiance i o jej wesołym uśmiechu. Jak też taka dziewczyna musi spać lekko i spokojnie! Jest jednak w tem coś prawdy, że dziewczyny podobne są do ptaków; człowiek pracuje i mozoli się i rozmyśla, a one... a to wcale ładny ptaszek ten na górze. Chciałbym ją widzieć śpiącą... Ale to już późno, godzina wpół do drugiej i mnie... Co to... i raptem zerwał się na równe nogi.

Gwałtowne targnięcie dzwonka ocuciło go zupełnie, otworzył drzwi i, podniósłszy lampę, spostrzegł przed sobą hrabiankę. Była blada jak trup, jedną ręką trzymała świecę, drugą ogarniała jej płomień. Na sobie miała czepeczek i giezłeczko nocne, przez które świtała jej szyja i piersi.

— Panie! — zawołała — ojciec mi umiera!

Szwarc, nie rzekłszy słowa, porwał narzędzia lekarskie, i zaleciwszy rozbudzonemu Augustynowiczowi, by ruszał co sił na górę, sam pobiegł za nią. W pierwszym pokoju stało łóżeczko hrabianki z kołdrą odrzuconą, snadź przed chwilą opuszczone; w drugim leżał hrabia. Oddychał, a raczej rzężał głośno; był już nieprzytomny, na ustach miał krwawą pianę, a twarz siną. Za chwilę przybiegł Augustynowicz nieuczesany i zaledwie ubrany. Obaj zajęli się chorym, nie zważając na hrabiankę, która z jękiem uklękła w nogach łóżka, prawie nie-

przytomna. Nagle Szwarc z Augustynowiczem spojrzeli sobie w oczy, wzajem spostrzegłszy, że niema najmniejszej nadziei.

— O, Boże, Boże! możeby jeszcze kogo zawołać! — wybuchnęła ze łzami hrabianka.

— Ruszaj po Skotnickiego! — krzyknął Szwarc.

Augustynowicz pobiegł, chociaż był pewien, że wróciwszy z doktorem nie zastaną już hrabiego między żyjącymi. Tymczasem Szwarc z całą energią i przytomnością umysłu zajął się chorym, puścił mu krew, wreszcie spojrzawszy na zegarek, oświadczył, że atak przeminął.

— Dzięki Bogu! Więc jest jeszcze nadzieja! — zawołała hrabianka.

— Atak przeminął... — powtórzył Szwarc.

Tymczasem weszli Augustynowicz z doktorem.

Doktór Skotnicki oświadczył, że chory na ten raz uratowany, ale dodał bez ceremonii, że jeśli atak powtórzy się raz drugi, śmierć niechybnie nastąpi. Kazał pilnować chorego i nie odstępować go na chwilę. Nasi przyjaciele siedzieli tedy noc całą.

Nazajutrz zrana chory oprzytomniał i zażądał księdza. Augustynowicz musiał iść po niego i rzeczywiście sprowadził jakiegoś chudego proboszcza, czy kapelana, który nad chorym odczytał zwykłe modlitwy i litanie, poczem wyspowiadał go, komunikował i namaścił olejem świętym

Przez kilkanaście godzin hrabia ciągle był przytomny, rozmawiał ze Szwarcem, błogosławił córkę, mówił o testamencie, słowem czynił to wszystko, co jest przyjęte przez umierających, jako chrześcijański i uczciwy sposób przeniesienia się z tego świata na tamten. Przy tych ceremoniach zeszedł dzień cały. Gdy się zmierzchło, Szwarc począł namawiać hrabiankę, by odpoczęła, bo biedna dziewczyna, mimo silnej budowy ciała, zaledwie mogła stać na nogach ze zmartwienia i niewywczasu.

Opierała się długo i przystała dopiero wtedy, kiedy jej prawie kazał to zrobić. Odchodząc, podała mu rękę, dziękując za starania około ojca. Szwarc wtedy spojrzał na nią uważniej. Mogła mieć lat dwadzieścia, a może i mniej, gdyż silnie rozwinięta postać kazała ją uważać za starszą, niż była w istocie. Średniego wzrostu, usta miała duże, ale miłe; błękitne, rozumne oczy i ciemne włosy. Wogóle twarz była nadzwyczaj sympatyczna. Czoło miała prześlicznie ocienione włosami, wyraz twarzy i ruchy zdradzały w niej wytworny, arystokratyczny typ piękności. Ręce przytem miała nader małe.

Hrabia zasnął w godzinę po jej odejściu. Szwarc z Augustynowiczem siedzieli przy jednej zasłoniętej lampce, obaj zmęczeni i zamyśleni.

Augustynowicz odezwał się pierwszy półgłosem:

— Powiedz mi, co się zrobi z hrabianką, kiedy ten?... — tu wskazał głową chorego i zamknąwszy oczy, pociągnął palcem po gardle.

— Myślę nad tem — odparł Szwarc. — Może znajdzie się ktoś z familii.

— A jeśli się nie znajdzie?

— Ostatecznie trzeba będzie o tem z nią pomówić. To widocznie ubodzy ludzie; stróż mi mówił, że mieszkanie dotąd nie opłacone. Ale nie bez tego, żeby gdzie nie mieli krewnych, albo przynajmniej znajomych.

— No, zresztą potem o tem — mówił Augustynowicz, który nie lubił długo zatrzymywać się na jednym przedmiocie.

— Czekaj przerwał Szwarc — na wszelki wypadek przychodzi mi jedna myśl do głowy. Do tej pory nikt tu jednak nie był, a niepodobna, żeby to biedactwo — pokazał oczyma drzwi, gdzie spała hrabianka — niepodobna, żeby to biedactwo pozostało samo po jego śmierci. Powiedz — spytał nagle — czy twoja znajoma Wizbergowa pobożna kobieta?

— O, jak patyna!

— Poczciwa, prostoduszna?

— Niesłychanie; ale cóż to ma za związek z hrabianką?

— Chcę jej oddać ją w opiekę.

— Ależ proces?

— Właśnie dlatego.

Tu chory poruszył się nagle. Szwarc spojrzał na niego bystro, poczem mówił, szepcząc:

— Jedno komorne staje mi na zawadzie, ale zrobi się to, zrobi się i owo. Może zostanie coś po jego śmierci.

— Oj, to komorne, to komorne — szeptał Augustynowicz. — Żebyśmy nie zasnęli, muszę ci opowiedzieć historyjkę. Nigdy nie płaciłem komornego, gniewało mnie to nawet, gdy się o nie upominano, a nie mogłem przyzwyczaić żadnego gospodarza, by go nie brał. Wreszcie udało mi się z jednym. Mieszkałem w domu jakiegoś urzędnika: Stary był człeczyna, a głupi, jak Midasowe uszy. Otóż raz siadłem sobie w ogródku, który do niego należał, a że to było latem i nocą, w braku lepszego zajęcia liczyłem gwiazdy na niebie. Rozmarzyło mnie to trochę, widzisz, noc gwiaździsta zawsze rozmarza. Wtem ten osioł przychodzi i mówi mi niedorzeczności: po prostu, żebym mu zapłacił. Wtedy powstałem z miejsca i zakreśliwszy uroczyście ręką łuk między wschodem i zachodem, spytałem tajemniczo:

— Widzisz tę niezmierność i te miliony świateł bożych?

— Widzę — odpowiedział przelękniony trochę tonem mego zapytania — ale...

— Milczenie! — rzekłem poważnym głosem i, zdjąwszy kapelusz, podniosłem oczy w górę, poczem, spojrzawszy na osłupiałego gospodarza, zagrzmiałem:

— Prochu marny! porównaj swoje pięć rubli...

Nagle przytłumiony jęk przerwał Augustynowiczowi. Hrabia posiniał, skurczył się, palce rąk jego zwinęły się w kłębek; widocznie przychodził drugi atak.

Szwarc w tejże chwili rzucił się ku choremu, prawie przemocą wyprostował mu rękę.

— Ts! puszczaj krew! — zawołał przytłumionym głosem.

Zrobiło się cicho; dziwnym trafem lampka w tej chwili pociemniała jeszcze bardziej. Od czasu do czasu słychać było tylko szybkie półgłośne słowa Szwarca.

— Puls?

— Wody!

— Dusi się — szepnął Augustynowicz. Obaj zatamowali w sobie oddech, odezwał się głuchy trzask lancetu, stal pogrążyła się w ciało, ale krew już nie poszła.

— No to i koniec! wszystko na nic! — zawołał Szwarc, odetchnąwszy głęboko.

Na czole wystąpiły mu krople potu.

— Żył, żył... aż umarł — rzekł z najobojętniejszą w świecie miną Augustynowicz. — Zrobiliśmy swoje, teraz spać.

XI.

Hrabia istotnie umarł i pogrzebion wedle obrządku chrześcijańskiego. Po jego śmierci Szwarc złożył wizytę starej damie. Chodziło o zapewnienie opieki dla hrabianki, gdyż z familii nikt się rzeczywiście nie zgłosił, hrabia zostawił bardzo mierne środki utrzymania, a choćby i zostawił, panna była za młoda, by mogła na własną rękę dom prowadzić.

Ze względu na wysoką pobożność i niezmierną drażliwość sumienia owej damy, nietrudno było Szwarcowi przeprowadzić rzeczony interes. Wmawiał w nią, że zabiła hrabiego ostatnim procesem, że zatem obowiązkiem jej jest dać opiekę dziecku swej ofiary. Dama przelękła się mocno katuszy piekielnych, któremi jej groził, a z drugiej strony sądziła, że towarzystwo hrabianki, wysoko światowej i ukształconej, jak zaręczał Szwarc, nie będzie bez korzyści dla jej Malinki. Pani Wizbergowa była niewiasta zacna w całem znaczeniu, rozumu to tam wprawdzie nie miała wiele, a jeszcze mniej obycia się w świecie. Najlepszym tego dowodem było, że Augustynowicza uważała za szczyt elegancyi, poloru i dobrego tonu, a Szwarca od pierwszej jego wizyty bała się po trosze. Kontenta była jednak w duszy, że taka dystyngowana, jak mówiła, młodzież była łaskawa na jej nizkie

progi. Malinka, która z wielu względów przypominała matkę, seryo była zajęta Augustynowiczem. Wymogła na matce, żeby zostały na stałe mieszkanie w Kijowie; zresztą, stara dama trochę i w tym celu przyjechała do miasta. Córkę trzeba było światu pokazać, bo Malinka miała dziewiętnaście lat, a przez owe dziewiętnaście lat raz była w Kijowie, raz w Żytomierzu, resztę przesiedziała w domu. Fortuna pozwalała także na pobyt w mieście. Nieboszczyk pan Wizberg był za dni swoich urzędnikiem na komorze i mimo tego, że w mowie pogrzebowej nad jego trumną były powiedziane słowa: «Śpij, Kleofasie Wizbergu! przez długie wieki narody (cała Europa) będą podziwiały twą nieskażoność i surową cnotę», — mimo tych słów, mówimy, Kleofas Wizberg pozostawił nieutulonej w żalu małżonce około dziewięciukroć sto tysięcy złotych, a byłby pozostawił więcej, gdyby sroga Parka nie przecięła dni jego. Sytszy lat niż dochodów, zstąpił w królestwo cieniów.

Ale w dobre ręce dostały się owe dochody, bo obie damy miały niezmiernie zacne serca.

Pomagały wdowom i sierotom, płaciły regularnie sługom i służebnicom, dziesięciny wiernie kościołom swym oddawały, słowem, spełniały wszelkie uczynki chrześcijańskie tak co do ciała, jako i co do duszy. Hrabiankę przyjęły z otwartemi rękoma i z taką serdecznością, jakby jej rodzone. Szczególniej Malinka, poczciwa choć

niedowarzona dziewczyna, formalnie zakochała się z pierwszego wejrzenia w szlachetnej sierocie. Jak to ona obiecywała sobie być dla niej dobrą i usłużną, jak chciała ją pocieszać, jak marzyła o czystej na przyszłość z nią przyjaźni, trudno wypowiedzieć; dość, że Szwarc znalazł dla hrabianki taką opiekę, że i w domu własnych rodziców nie mogłoby być jej lepiej. Prawda, że i hrabianka łatwo mogła obudzić sympatyę. Cichy a głęboki smutek, przygniatający ją w tej chwili, nie odrywał jej tak dalece od rzeczywistości, aby nie umiała być wdzięczną tym, co jej dobrze robili. Szwarcowi podziękowała ze łzami w oczach wyciągnąwszy do niego rękę, którą ten z rzadkiem u niego wzruszeniem do ust przycinął.

— Jak Boga kocham! — mówił Augustynowicz — małom nie beknął, gdy na mnie spojrzała. Niech mnie dyabli porwą, jeśli nie jest sto razy ładniejszą, niż ja.

Owo i nowa postać, już obwołana głosami sympatyi, wplątała się w losy bohaterów tej książki. Że taka hrabianka nie mogła pozostać bez wpływu na nich, łatwo zrozumieć. Czy zaś przyszłość przypnie jej anielskie skrzydła do ramion, czy w onem ponętnem ciele wykaże duszę pełną oschłości i obłudy, dalszy ciąg nas o tem nauczy.

Hej, hej! Gdyby to życie było jak książka, gdyby można dawać i ludziom dusze, tak, jak

się tworzy je w myśli, niby ci sami, a inni byliby ludziska. Ale to wszystko jedno. «Bo jadłem świata tego zatrute kołacze» — mówi pacholę. Dusza jest jako źródło: zatrutą wodę niesie daleko, a któż zaręczy, czy mu trucizna nie leży w duszy na dnie, i czy zatrutych nie tworzyłby postaci. Dusza, to karta biała! Bóg na niej pisze z jednej, a szatan z drugiej strony; ale Bóg i szatan są tu tylko symbole. W rzeczywistości jest inna ręka: iście, że świat tą ręką. Pisze świat, piszą źli i dobrzy ludzie, piszą chwile szczęścia, piszą najtrwalej cierpienia. Ale bywają dusze, jak muszle. Muszla, ziarnko piasku, dusza ból w perlę zamienia, smutek i samotność prowadzą do tego.

Ale niezawsze i jak dla jakiej duszy. Smutek i samotność to czasem tylko pokrywa dla nudy, czczości i głupoty. Te siostry rodzone lubią mieszkać pod pałacami, stawianemi ze smutku i samotności, szukając tam tego, czego nie zgubiły nigdy. Nie idzie zatem, żeby samotność nie miała powabów, smutek ich nie ma, przynajmniej nie dla smutnego. Samotność dla duszy, to coś niby jak chwila snu dla ciała. Więcej jeszcze; ta mglista monada niby topnieje w samotności, rozpływa się, rozpuszcza, przestaje prawie istnieć; słowa i myśli kończą się w tej milczącej krainie, unicestwia się na chwilę, rozchodzi się na wszystkie strony od własnego środka.

Wszystko to nazywa się spoczynkiem.

Samotność jest najgorszą nazwą, jaką umysł ludzki wymyślić zdołał. Samotność nigdy nie jest samotną, towarzyszy jej zawsze cichość.

Szkoda, że mglistą szatę tej pani nosi najczęściej nader powabny paź, któremu na imię lenistwo.

Czasem jednak — mówią poeci — samotność bywa chwilą twórczą. Dusza ugina się wówczas i drży nachylając się do przyjęcia jakiejś wizyi, nadlatującej z zewnątrz.

Dlatego samotność lubią tylko głupcy lub mędrcy, ospalcy lub poeci.

Hrabianka wielce lubiła samotność.

Była tedy?... Zobaczymy...

Czas z tych mglistych krain zejść do rzeczywistości życia.

Wchodzi w nie i hrabianka.

Jako?

Jako młoda dziewczyna... Czy może być coś powabniejszego pod słońcem?

Taka śliczna mieszanina krwi, ciała, woni kwiatów, promieni słonecznych i... I czego?

I naszych złudzeń.

Leć, złoty motylu!

XII.

Smutno istotnie przepłynęła przeszłość hrabianki. Za życia ojca całe dni przesiadywała w samotnym pokoju, prawie ubogim, słuchając świergotania wróbli za oknem lub kłótni dziewek w kuchni.

Stary hrabia przychodził wieczorami zmęczony i przybity ustawicznem przelewaniem z pustego w próżne, jak sam nazywał swoje sprawy. Nic mu się nie szczęściło. Swego czasu bywał obrotnym i zabiegliwym, chciał dawać przykład z siebie arystokracyi, jak to herbowni winni brać się do pracy i przemysłu, a w rezultacie stracił majątek. Zostało mu za to doświadczenie, które chętnie byłby sprzedał za jakie kilka tysięcy, i jeszcze jedna rzecz, której byłby nie sprzedał, to jest wspomnienia i duma rodowa.

Cementem dla owego doświadczenia i owej dumy był w nim kwas do życia, ludzi i całego świata. Było to naturalne. Swoi go nie przyjęli, a ci, którzy go przyjęli, przyjęli tak, że mimowolnie przychodziła na myśl bajka o lwie konającym i oślich kopytach. Żebyż miał jeszcze syna! Młode orlę wyleciałoby z gniazda z nowemi siłami, szukając słońca i blasku... ale córka? Hrabia się nie łudził: córka musiała zostać starą panną lub wyjść po jego śmierci za pierwszego, któryby się jej trafił. Dlatego hrabia nie kochał

tyle córki, ile był powinien. Córka za to, czy pomimo tego, kochała go serdecznie: kochała, bo miał białe włosy, bo był nieszczęśliwy, bo wreszcie nie miała kogo kochać. Nakoniec, on był dla niej ostatnim tomem opowieści, którą snuła dalej w marzeniach. Nieraz wieczorami zrzędny głos starca opowiadał jej dawne dzieje ich rodziny, pełne świetności i blasku, dobre dla hrabiów i hrabianek dzieje, a ona, słuchając go tkwiła całą duszą w tej przeszłości.

Nieraz zdawało jej się, że od złotego tła legendy odrywa się jakaś postać skrzydlata, pół-rycerz husarz z krzywą szablą w dłoni, orli syn stepów i walki. Machnął ręką i oczyściły się stepy z tatarstwa, rzekłbyś, Krym dojrzysz i morze błękitne za Krymem. Hej, zwykłe marzenia dziewczyny! Jak step szeroki, tyle pieśni o jego czynach, a potem on taki sławny choć tak kochany, schylał czoło przed jakąś postacią niewieścią. Zwykłe marzenia magnackiej dziewczyny! Ta niewieścia postać, to ona; on, to jakiś Herburt lub Korecki.

Jak była wychowana, tak marzyła, a były te marzenia niepożyteczne, ba, może i szkodliwe, ale piękne; to też gdy stary kończył opowiadanie i wspomniawszy teraźniejszość, dodawał z goryczą: «Moja wina, moja wina», ona mu ręce na szyi związawszy, mówiła zwykle: «Nie twoja tateczku! wrócą te czasy!»

Ale czasy nie wróciły. Stary umarł, a jako

opiekun nie zjawił się żaden wycięty ze zczernialego tła obrazu rycerz. Postać, co się zjawiła, nie miała nic wspólnego z rycerskością. Ta głowa z twarzą surową i szerokiem czołem, zimna twarz nowoczesnego myśliciela, żadną miarą, nawet w marzeniach dziewczyny, nie pasowała do miedzianego hełmu i piór strusich. Inne potęgi musiały tętnić na czole prowadzącego uskrzydlone pułki na tatarów.

Ale z drugiej strony, Szwarc był czemś zupełnie nowem dla hrabianki, czemś, co ją wprowadzało w podziw. Niewiele w nim było słów, ale był czyn. W krótkim czasie potrafił być dla niej wszystkiem; dostrzegła w nim stanowczość, energię i szybkość działania. Może nie umiała sobie wytłumaczyć, że to także jest męstwo, tylko inne niż dawniej; czyż jednak mogła tego nie dostrzedz? Staremu hrabiemu nie udawało się nic; Szwarc, objąwszy jego interesa, robił w jednym dniu więcej, niż hrabia w dziesięciu. Zrozumiał, że hrabianka potrzebuje mieć jakie takie zasoby, by w drobiazgach nie odwoływać się do dobroci i kieszeni pani Wizbergowej. Na tę myśl ona drżała, on ją przewidział. Radykalnie ratował resztki dochodów hrabiego, a kroki jego w tym względzie były podobne do cięć lancetu, zawsze pewne, zawsze skuteczne. Naturalnie, Szwarc radził sobie przy pomocy znajomego prawnika, który, mimo młodych lat, byłby w dyabła wmówił bogobojność, ale dlaczego nie

poradził tak sobie stary hrabia? To naprowadziło hrabiankę na pewną myśl: arystokracyę wyobrażała sobie w postaci swego ojca, demokracyę — w osobie Szwarca.

— Och, jacyż to ludzie być muszą! — myślała prawie z obawą — straszni ludzie, którzy umieją łamać przeszkody, inni ludzie.

Resztę dopowiedziały jej książki. Hrabianka daleko zachodziła w takich myślach. Raz, gdy spytała o szczegóły jego przeszłości, usłyszała, jak odrzekł z całą swobodą:

— Mój ojciec był kowal!

Prawie nie rozumiała, jak taką rzecz można było tak naturalnie powiedzieć, zdawało jej się, że jeśli tak było, nie powinien był jej tego mówić, dlaczego się z tem nie krył? Te słowa były istotnie młotem, który ciężko uderzył w duszę hrabianki.

Obrzuciła Szwarca zdziwionym wzrokiem, jakby szukając na nim skórzanego fartucha, lub śladów iskier na dłoniach. Zresztą należy wyznać, że mimo całej wdzięczności dla niego i pani Wizbergowej, sądziła z początku, sądziła wprawdzie cicho, że korona hrabiowska, unosząca się nad jej czołem, zjednała jej tych ludzi; sądziła, że przygarniając pańskie dziecko, robili to trochę dla własnego zaszczytu. Otóż poznała, że przynajmniej co do Szwarca pomyliła się zupełnie. Wymawiał on słowo «hrabia», tak jak «żyd», «cygan» lub «szlachcic», nie zwracając

nawet uwagi na odrębność znaczenia sensu tych dźwięków. Czyżby tego nie rozumiał? Nie, tego nie mogła przypuszczać, choć rzeczywiście kwestya arystokracyi i demokracyi leżała dotychczas odłogiem w jego duszy. Posądzała go tedy o umyślną ignorancyę — ale tego nie dosyć — hrabianka spostrzegła, że w postępowaniu Szwarca z nią przebijała się pewna wyższość, a raczej pobłażliwość. Był dla niej delikatny i dobry, ale w ten sposób, jakby chciał okazać, że jego postępowanie było ustępstwem potęgi dla słabości, pobłażliwością sprężystego męża dla dziecka. Choć z drugiej strony, jakże bezpieczną czuła się pod taką opieką! Zdawało jej się, że dla Szwarca nie było nic niepodobnego. Mogła spać cicho i spokojnie, on czuwał. Zrazu jednak próbowała inaczej postawić się względem niego; pragnęła była olśnić go swem ukształceniem, tymczasem wypadło to, że Szwarc łagodnie sprostował jej pojęcia, pokazał, co w nich prawdziwego, co mylnego; krótko: ku wielkiemu jej zmartwieniu nauczył i oświecił; próbowała zaimponować talentem i pewnego razu, siadłszy do fortepianu, niby chcący, niby nie chcący, rozsypała przed nim kaskady melodyi, ale cóż? utrapiony Augustynowicz siadł po niej i zagrał daleko lepiej... Ten znów wszystko umiał, wszystko wiedział! Z bardzo zadumaną minką powróciła hrabianka owego wieczoru do swojego pokoiku. Że jednak te stosunki pojęła

i zrozumiała, dowodziło to w niej niepośledniej główki, a nie było dziwnem, że o nich myślała w tak krótkim czasie po śmierci ojca, bo nawet i rozpacz «dobrze ułożonej» kobiety ma w sobie pewną mniej więcej świadomą, a zawsze niewinną kokieteryę.

Zawiązywała się tedy cicha walka między młodem dzieckiem ludu a arystokratyczną dziewczyną. Wytworzyły ją owe zaledwo dające się ująć stosunki, o których wspomnieliśmy wyżej. Walka ta tem była niebezpieczniejsza dla niego, że się jej nie domyślał: hrabianka nie zdołała go olśnić, ale budziła w nim najżywszą sympatyę, stała mu się niby ukochanem dzieckiem, którego losy trzymał, jak sądził, w dłoni.

Zajęty nią żywo, zaniedbywał Helenę; wizyty jego u tej ostatniej stały się rzadsze. Więcej gonił za myślą zrobienia przyjemności hrabiance, niż uciekał przed myślą wyrządzenia Helenie przykrości.

Co do hrabianki, łatwo zrozumieć, że i w jej uczuciach dla niego nie było, ani mogło być nic nienawistnego. Trochę rozbudzona miłość własna prędzej mogła wieść do miłości niż do nienawiści. Prawdę powiedziawszy, hrabianka Lula chciała po prostu, żeby ten energiczny demokrata schylił w przyszłości korną i rozkochaną głowę do jej arystokratycznych kolan.

Nie od razu jednak postawiła cel jasno; postawiła go dopiero wówczas, gdy spostrzegła,

że Szwarc jest przytem pięknym mężczyzną. Przypominamy nawiasowo, że hrabianka Leokadya miała dwadzieścia lat i że od dawna w duszy jej budziły się rozliczne tęsknoty i niepokoje, z których nie umiała sobie zdać sprawy. W języku poetów nazywałoby się to echem pragnienia, «by kochać i być kochaną, a może nawet, by umrzeć młodą»; czemkolwiek to jednak było, wystarczało, by Luli dostarczyć wątku do ustawicznej myśli o Szwarcu. Zaufanie, jakie doń miała, a wdzięczność za doznaną opiekę, z dnia na dzień zwiększały jej sympatyę ku niemu.

Wprawdzie matka mówiła za dni swoich Luli, że dobrze wychowana panna nie powinna się kochać, ale natura matka szeptała jej zgoła co innego. Zaiste, podobne mamy częstokroć bywają z sobą w niezgodzie. Wypada z tego, że w duszach większości niewiast rzadko wzrośnie i spotężnieje szerokie a bujne uczucie, natomiast krzewi się tam tysiące nerwowych miłostek, mniej skrzydlatych, ale... i mniej obowiązujących.

Lula konstatowała tedy fakt, że Szwarc jest rozumnym, szlachetnym i pięknym mężczyzną, nie śmiemy zaręczać, na który z ostatnich przymiotów kładła większy nacisk. Owóż tego wieczoru, idąc spać, zadawała sobie ważne w następstwa pytanie: «A gdyby on mnie kochał?» Zamiast odpowiedzi, pobiegła bosemi nóżkami

nawpół rozebrana do zwierciadła. Autorom tylko wolno widzieć podobne obrazki. Czepeczek nocny obejmował jej główkę, a z pod czepeczka sypały się pierścionki ciemnych włosów na białe ramiona, ginąc pod rąbkiem bielizny. Z błyszczącemi oczyma i falującą piersią patrzała w zwierciadło. «A gdyby on mnie kochał? — powtórzyła — gdyby klęknął tu blady i pałający...« Tu? i w takiej chwili? krwawy rumieniec oblał jej twarz i szyję, zdmuchnęła świecę.

Odtąd szczególne zmiany zaczęły się w niej pojawiać; czasem opanowywał ją dziwny niepokój, wpadała w zamyślenie, czasem chodziła senna jakaś i ociężała niby osłabiona; indziej, kryła znów główkę na piersiach Malinki, całując ją bez przyczyny. Szwarca widywała codziennie.

A tak płynęły dni... miesiące... a powoli i w duszy Szwarca zaczął się odbywać niejaki przewrót. Zwolna owo dziecię ukochane dojrzało w jego duszy i zmieniło się w piękną, w pełnym rozkwicie kobietę. Wzrok jego, gdy na nią patrzał, nie miewał już owej dawnej pełnej przeźroczystości i spokoju; dawniej mógłby był uśpić ją na własnych piersiach i senną zanieść, jak dziecię, do łóżeczka; dziś sprawiłoby mu to przerażająco inną sensacyę. Coraz potężniała sielanka w duszy obojga, aż wreszcie, po upływie tylu a tylu dni, czy tylu a tylu miesięcy takie dwie rozmowy toczono w mieszkaniach pani Wizbergowej i Szwarca.

. . . . . .

— A gdybyś kochała, Malinko?

— To wtedy, moja Lulu, byłabym bardzo szczęśliwa i bardzobym kochała, i widzisz Lulu, Pan Bóg by sprawił, że on mnie kochałby także.

— A gdyby nie kochał?

Malinka potarła czoło rękoma.

— Nie wiem, nie wiem, ale mi się zdaje, że kochać a kochać to różnica. Jabym kochała tak... Boże! ja nie umiem tego powiedzieć... ot, takbym kochała...

Malinka zarzuciła ręce na szyję przyjaciółki i przycisnąwszy ją do piersi, osypała ją pieszczotą i pocałunkami.

— Lulu moja, wtedy musiałby mnie kochać.

I jak dwa gołębie, kryły głowy na piersiach jedna drugiej.

Było milczenie.

— Malinko! — rzekła ze łzami w głosie Lula.

— Lulu, moja serdeczna!

— Malinko, ja kocham.

— Wiem, Lulu.

. . . . . .

— Stary! — mówił Augustynowicz do Szwarca.

— Cóż tam nowego?

— Niech mnie!... jeśli to nowe. Widziałem, stary, całowałeś woalik hrabianki... Niech mnie powieszą, jeśliś nie całował... No, lubisz całować; czekaj, mam tu parasol, będziesz całował, a jeśli

parasola nie chcesz, to może zeszłoroczne moje okrycie. Podszewka poobrywała się w rękawach, zresztą dobra. Niech mnie! Podajno fajkę... Wiem stary, co się to znaczy; ta głupia Wizbergowa nic nie wie, ale ja wiem.

Szwarc zakrył twarz rękoma.

Augustynowicz patrzał na niego w milczeniu; szurgał nogami pod stołkiem, pochrząkiwał, mruczał coś przez zęby, wreszcie odezwał się wzruszonym głosem.

— Stary!...

Szwarc nic nie odpowiadał.

Augustynowicz ze współczuciem trząsnął go za ramię.

— No, stary, nie gryź się, nie martw... odezwijże się przecie, idzie ci o Helenę.

Szwarc drgnął.

— Idzie ci o Helenę. Uczciwy jesteś, stary... Co tu z nią zrobić... Wiem! Jeśli chcesz, stary? ożenię się z nią; na Jowisza, ożenię...

Szwarc wstał.

Pięknie mu świeciło na szerokiem czole postanowienie, a lubo z zasuniętych brwi czytałeś ból i walkę, widać było, że zwycięstwo tam padnie, gdzie Szwarc zechce.

Ścisnął rękę Augustynowicza.

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Do Heleny.

Augustynowicz wytrzeszczył na niego oczy.

— Do He-le-ny?...

— Tak! — odrzekł Szwarc — dość oszustwa i wahań! Do Heleny z prośbą o jej rękę.

Augustynowicz popatrzał za odchodzącym i, ruszywszy głową, mruknął sobie przez zęby:

— Widzisz, głupi Adasiu, jak to ludzie robią.

Poczem nabił fajkę, przewrócił się na łóżko i pykał ze zdwojoną energią.

XIII.

Heleny nie było w domu. Szwarc kilka godzin czekał na nią, chodząc niespokojnie po jej pokoju. Postanowił za jaką bądź cenę wyjść z fałszywego stanowiska, w jakie wtrąciła go równoczesna opieka nad wdową i hrabianką, ale sam przed sobą wyznawał, że postanowienie owo bolało go. A był to ból twardy, prawie fizyczny. Szwarc przyszedł prosić o rękę Heleny, a zdawało mu się w tej chwili, że jej nie cierpi. Ku tamtej rwał się sercem i myślą, rzekłbyś, czuł prośbę we własnej piersi, że prosił u własnej woli o chwilę jeszcze dla tamtej. Kochał Lulę, jak tylko natury energiczne, a napozór zimne, kochać umieją.

Przygotowywał się do przyjęcia Heleny, a przewidywał, że niemało go to kosztować będzie. Niemasz nic wstrętniejszego, jak niekochanej kobiecie mówić, że się ją kocha. Jest to jedna z najmniej możebnych hipokryzyi dla prawdziwie męskiej natury. Szwarc kochał ongi Helenę, ale ją przestał kochać, jeszcze zanim się opatrzył, jak i ile przywiązywał się do Luli. Gdy się opatrzył, miewał chwilę słabości; tę nową miłość czuł; a bał się o niej myśleć i przyznać. Gdy serce zagłośno gadało, mówił doń: milcz! i zatykał uszy, bojąc się własnych możliwych postępków i własnych na przyszłość postanowień. Nie było to z nim zgodne i długo trwać nie mogło. Wypadkiem Augustynowicz z właściwym sobie cynizmem rzucił mu w oczy tą miłością. Dalsza ucieczka była już niepodobną, Szwarc stanął do walki i wyszedł z niej... do Heleny.

Ale nie wyszedł bez śladów walki. Miał gorączkę we krwi i nie mógł myśleć spokojnie Rozmaite obrazy małych a drogich wspomnień przychodziły mu na pamięć, przytem, w tej chwili więcej niż kiedykolwiek wierzył we wzajemność Luli. «Czy mam prawo łamać i jej szczęście?» Ta głupia i niedołężna myśl huczała w nim, jak ostatnie strzały zwyciężonych wojsk, rozbił ją jednak refleksyą, że między nim i Heleną stoi obowiązek, między nim i hrabianką — nic.

Inne tkwiły trudności w następstwach postanowienia Szwarca. Postanowienie było uczciwem, a jednak żeby go zmienić w czyn, należało skłamać i potem kłamać przez całe życie, udając miłość.

— Złe następstwem dobrego! Eh, czy nie przyjdzie zwaryować — myślał Szwarc. — A to życie się plącze, jak nić. Każdy kręci się za szczęściem, jak pies za własnym ogonem, i każdy z równem powodzeniem go goni.

— Ho! Szwarc, nie lubiący deklamacyi, wpadał jednak w dyalektykę nieszczęścia. Taka filozofia ma jednak urok: człowiek lubi swą niedolę, jak dolę.

Tymczasem zapadał wieczór, a Heleny nie było widać. Szwarc przypuszczał, że musiała pójść na cmentarz, i sam nie wiedział, dlaczego myśl owa rozgniewała go tym razem. Tymczasem zapalił świecę i jął chodzić po pokoju. Przypadkowo wzrok jego padł na portret Potkańskiego; Szwarc nie znał go, a nie lubił, chociaż na usprawiedliwienie antypatyi, zaledwie mógł przytoczyć słowo «panicz».

Teraz gdy znów spojrzał w owo szerokie, pogodne oblicze, prawie nienawiść błysnęła mu w oczach.

— Ostatecznie i dla niej jestem tylko konterfektem tamtego — myślał.

Nie była to prawda. Szwarc różnił się charakterem od Potkańskiego i Helena kochała już

dziś Szwarca dla Szwarca; niemniej ta myśl ubodła go, dużo byłby dał, gdyby Helena nie była żoną ongi tamtego i gdyby nie miała z nim dziecięcia.

— I ja będę miał dziecię — rzekł Szwarc — syna, którego wychowam na dzielnego i twardego męża... Ha, gdyby to przyszłe dziecię było mojem i... Luli!

Wstrząsnął się febrycznie i zacisnął usta; kilka kropel potu błysnęło mu na czole.

W tej ostatniej myśli był cały ocean pragnień.

Posiedział tak jeszcze z pół godziny, nim przyszła Helena. Była czarno ubrana; przy tym kolorze wytwornie odbijała jej matowa barwa twarzy i blond włosy. Ujrzawszy Szwarca, uśmiechnęła się bojaźliwie, ale wielka radość była w tym uśmiechu, bo Szwarc w ostatnich czasach rzadkim u niej bywał gościem.

Szczęściem dla siebie, miała tyle taktu, czy niewieściego przeczucia, że nie robiła mu wymówek, nie śmiała także głośno ucieszyć się jego przybyciem, nie wiedząc, co jej przynosi. Ale dłonią, którą mu podała, objęła silnie i szeroko, choć miękko jego rękę. Ta dłoń drgała serdeczną wymową ruchów, tłumaczącą obawy i uczucia wówczas, gdy usta milczą.

Ze smutnym uśmiechem i tak wyciągniętą ręką czarowała niewypowiedzianym urokiem kobiety rozkochanej. Gdyby miała gwiazdę we

włosach, mogłaby ujść po prostu za anioła, może nawet miała koło głowy aureolę, jaką daje miłość, ale dla Szwarca nie była aniołem, ani nie miała aureoli.

Dotknął jednak ustami jej ręki.

— Siądź, Heleno, koło mnie i słuchaj — mówił. — Dawno nie byłem u ciebie, a chciałbym, żeby wróciła między nami dawna swoboda i dawne zaufanie.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, ręką poprawiła włosy i siadła, milcząc. Wielka niespokojność malowała się na jej twarzy.

— Słucham cię, Józefie.

— Cztery lata już, jak umarł Gustaw, który powierzył mi ciebie. Spełniałem dane mu przyrzeczenia, jak mogłem i umiałem, ale stosunek nasz nie był taki, jak być powinien. To się musi zmienić, Heleno...

Potrzebował odetchnąć, miał wydać wyrok na siebie.

W ciszy, jaka trwała przez chwilę, słychać było uderzenia serca Heleny. Twarz jej bladła, oczy mrużyły się szybko, jak zwykle u kobiet przerażonych.

— Musi się zmienić? — szeptała zaledwie dosłyszalnie.

— Bądź moją żoną.

— Józefie!

Złożyła ręce, jak do modlitwy, i chwilę po-

patrzała na niego błędnemi od tłoczących się myśli i uczuć oczyma.

— Bądź żoną moją. Czas, o którym ci dawniej mówiłem, nadszedł.

Zarzuciła mu ręce na szyję, głową wsparła się na jego piersi.

— Ty nie szydzisz ze mnie, Józefie! Nie, nie! Więc ja będę jeszcze szczęśliwą? O, ja ciebie tak kocham!

Pierś Heleny falowała... Opromieniona mimowiednie zbliżała twarz i usta do ust Szwarca, jak kielich kwiatu.

— O, byłam bardzo smutna, samotna — mówiła dalej — ale wierzyłam w ciebie! Ufa serce, gdy kocha. Tyś mój! Ja tylko przez ciebie żyję, bo i cóż to jest życie? kiedy się człowiek śmieje i weseli, smuci i płacze, myśli i kocha — to w tem jest życie. A ja weselę się i płaczę tylko przez ciebie, o tobie myślę, ciebie kocham. Gdyby nas chciano rozłączyć, roztargałabym włosy i owinęła koło nóg twoich. Byłam jak płomień, na który mogłeś dmuchnąć. Jam twoja, pozwól mi płakać! Kochasz ty mnie?

— Kocham.

— Przeplakałam tyle lat, ale nie temi łzami, któremi dzisiaj płaczę. Tak mi w duszy jasno! Pozwól mi zamknąć oczy i zobaczyć tę światłość. Ileż to szczęścia w jednem słowie! Józefie mój, Józefie! ja nawet nie umiem o tem myśleć!

Ciężko było Szwarcowi słuchać podobnych słów

Heleny; czuł cały bezmiar kłamstwa i rozbratu, w jakim miało mu odtąd popłynąć życie z tą kobietą tak piękną, tak wiele kochającą... a tak mało kochaną.

Wstał i pożegnał ją.

Helena, zostawszy sama, przyłożyła płonące czoło do szyby okienka i długo pozostała tak milcząca. Wreszcie otworzyła okno i, wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzyła się w szeroką wyiskrzoną noc letnią. Po jej twarzy płynęły ciche łzy; złoty warkocz spadał poplątany na piersi, księżyc biegał po jej czole i srebrzył białość ubioru.

XIV.

W kilka dni później Augustynowicz, siedząc w mieszkaniu Szwarca, pracował wiele na intencyę zbliżających się egzaminów. Miłując we wszystkiem efekt, okna pozasłaniał roletami, a na środku izby ustawił stół, przed którym stał w tej chwili z pozawijanymi za łokcie rękawami. Widocznie robił jakieś doświadczenia; na stole było mnóstwo szklanych rupieci, stały słoiki pełne proszków i cieczy, paliła się spirytusowa lampka, ogarniając błękitnym płomieniem głupowatą głowę retorty, drżącą pod wpływem gorąca, zawartego w niej płynu.

Robota paliła się, jak to mówią, w rękach Augustynowicza; nikt nie umiał tak szybko pracować, jak on.

Z wesołym uśmiechem na twarzy pracował istotnie z zapałem, często przerywając sobie piosenką, dyalogiem z pierwszem lepszem naczyniem, lub pobożną uwagą nad znikomością świata tego.

Czasem ciskał na chwilę robotę i, wzniósłszy oczy i ręce do góry, deklamował wielce tragicznym tonem:

Ach, Eurydyko! przy twej piękności
Przeszedłem szczeble mej pomyślności,
I wyrok Delfów był niewątpliwy,
Żem ja na ziemi jeden szczęśliwy.

Czasem znów w setnych trelach i spadach śpiewał:

O piano! piano! — Zitto! pia-ha-ha-no!

Lub podobne utwory własnego na prędce pomysłu:

A gdybyś fajkę, młodzieńcze nałożył
I palcem przybił, a potem zapalił?

— Na Mahometa! — mówił do siebie — gdyby to Szwarc przyszedł, prędzejby ta robota poszła, ale on teraz ślubuje Helenie... Ehe! i jabym tak ślubował, jak mi niewinność miła!

Droga Heleno, dozwól... I cóż dalej?... Ba, im dalej, tem lepiej.

Nagle pociągnął ktoś za dzwonek.

Augustynowicz zwrócił się ku drzwiom i, wyciągnąwszy rękę, zaintonował:

Przechodniu znużon drogą,
Wejdź w me gościnne progi!

Drzwi się otworzyły, młody, wytwornie ubrany człowiek wszedł do pokoju.

Augustynowicz nie znał go.

Najważniejszym rysem charakterystycznym nowoprzybyłego był aksamitny spencerek i jasne spodnie, był przytem umyty, ogolony i uczesany. Twarz miał nie to żeby głupowatą, ale i nie mądrą, nie piękną, ale i nie brzydką, nie dobrotliwą, ale i nie złośliwą, był przytem wzrostu ani wysokiego, ani nizkiego, nosa, ust, brody i czoła miernego, znaków szczególnych żadnych.

— Czy tu mieszka pan Szwarc?

— Pewnie że tu.

— Można go teraz widzieć?

— Teraz można; w nocy jak bardzo ciemno, to co innego.

Nowoprzybyły zaczynał tracić cierpliwość, ale twarz Augustynowicza wyrażała raczej wesołość, niż złośliwość.

— Właściciel tego domu — rzekł — przysłał mnie do pana Szwarca, jako do świadomego

mieszkania i losu hrabianki Leokadyi N. Czy nie raczysz pan dać mi jakich co do niej objaśnień?

— Oho, bardzo przystojna!

— Nie o to chodzi...

— Właśnie, że o to, kochany panie! A gdybym też odpowiedział brzydka jak noc! czy byłbyś pan ciekawy ją poznać? Nie!... nie, na proroka!

— Jestem Pełski, kuzyn jej...

— A ja wcale nie jestem jej kuzynem!

Przybyły zmarszczył czoło.

— Pan mnie nie rozumiesz lub żartujesz!...

— Wcale nie, chociaż pani Wizbergowa zawsze to samo utrzymuje. Ale pan nie znasz pani Wizbergowej? przednia kobieta. Tem się odznacza, że ma córkę, choć to nic wielkiego mieć córkę; przytem bogata, jak Jowisz!

— Panie!

— Otóż słyszę kroki na schodach, idzie Szwarc — nie? założę się z panem, że to Szwarc. O co?

Istotnie, drzwi się otworzyły, wszedł Szwarc.

Surowa i inteligentna twarz jego, rzekłbyś, dojrzała w ostatnich czasach; we wzroku była spokojna energia człowieka zdecydowanego w wyborze postępowania na przyszłość.

— Oto pan Pełski, a to, do dyabła, Szwarc, doktór medycyny — prezentował Augustynowicz.

Szwarc spojrzał na przybyłego badawczo.

Tymczasem Pelski wyjaśnił mu cel swego przybycia, a choć na wiadomość o pokrewieństwie panicza z Lulą czoło Szwarca zmarszczyło się lekko, jednakże bez wahania wskazał jej adres.

— Żegnam pana — rzekł wkońcu — hrabianka będzie mocno uradowana, znalazłszy w nim kuzyna, szkoda jednak, że przed paru miesiącami nie mogła nikogo z krewnych odszukać.

Pelski bąknął coś niezrozumiale. Widocznie, postać i sposób obejścia się Szwarca imponowały mu niemało.

— Dlaczegoś mu wskazał adres Luli? — pytał Augustynowicz Szwarca.

— Dlatego, że byłbym popełnił śmieszność, nie chcąc go dać.

— A ja go nie dałem!

— Cóżeś mu powiedział?

— Tysiąc rzeczy, z wyjątkiem adresu, nie wiedziałem, czy będziesz kontent z tego.

— Byłby go i tak znalazł.

— Ehe, będzie wesoło u pani Wizbergowej. Będziesz tam dzisiaj?

— Nie!

— A jutro?

— Nie!

— A kiedy?

— Nigdy.

— Nie sztuka, stary, uciekać przed niebezpieczeństwem.

— Jam nie rycerz błędny, nie Don-Kichot, wolę unikać niebezpieczeństw i zwyciężyć, niż wywoływać je i upaść. Nakazuje mi tak nie średniowieczna fanfaronada, ale rozum.

Nastała chwila milczenia.

— Byłeś wczoraj u Heleny? — pytał Augustynowicz.

— Byłem.

— Kiedy wasz ślub?

— Natychmiast jak uzyskam stopień.

— Może to i lepiej dla ciebie, że sprawa tak się skończy.

— Dlaczego to mówisz?

— Kiedy bo nie wiem, czy się nie rozgniewasz, ale ta Lula, ot, ja jej nie wierzę, do kroćset!

Szwarca oczy błysnęły dziwnem światłem; położył rękę na ramieniu Augustynowicza.

— Nie mów ty o niej nic złego! — rzekł z naciskiem.

Szwarc istotnie chciał, by hrabianka, oderwana odeń mocą wypadków, pozostała mu w duszy niepokalana. Lubował się jej wspomnieniem.

— Co jej mam powiedzieć — spytał po niejakiem milczeniu Augustynowicz — gdy się zapyta o ciebie?

— Powiedz jej prawdę; mów, że się żenię z inną.

— Eh, stary, powiem jej co innego.

Szwarc spojrzał mu w oczy.

— Dlaczego?

— Ot tak!

— Mów jasno!

— Ona cię niby kocha!

Twarz Szwarca zapłonęła; wiedział o wzajemności Luli, ale wiadomość ta z obcych ust wstrząsnęła nim. Piersi napełniła mu słodycz i jakby rozpacz obok słodyczy.

— Kto ci to powiedział? — spytał.

— Malinka... ona mi wszystko mówi...

— Więc powiedz Luli: że się żenię z inną, z miłości i obowiązku.

— Amen! — zakończył Augustynowicz.

* * *

Wieczorem Augustynowicz poszedł do pani Wizbergowej; otworzyła mu drzwi Malinka.

— To pan? — rzekła z rumieńcem.

Augustynowicz porwał jej ręce i ucałował po wiele razy.

— Ach, panie Adamie, nie można, nie można! — nalegała sploniona dziewczyna.

— Można, można! — odpowiedział tonem głębokiego przekonania.

— Ale, ale — rzekł, zdejmując paletot i zapinając rękawiczki; ubrany był nadzwyczaj wytwornie. — Był tu jaki młody człowiek dziś po południu?

— Był, przyjdzie wieczorem.

— Tem lepiej.

Weszli z Malinką do salonu. Salon wyglądał jakoś uroczyście, jakby na przyjęcie znakomitego gościa. Na stole paliła się dwuramienna lampa, fortepian był odkryty.

— Dlaczego pan Józef z panem nie przyszedł?

— Toż samo pytanie spotka mnie od hrabianki Luli... myślę, że jeszcze spotka; w każdym razie, pozwól pani odłożyć odpowiedź aż do jej zapytania.

Hrabianka nie dała długo na siebie czekać. Weszła ubrana czarno, miała tylko kilka pereł we włosach.

— A pan Józef? — spytała odrazu.

— Nie przyjdzie.

— I dlaczego?

— Zajęty. Buduje własną przyszłość.

Hrabiance przykro zrobiło się na myśl, że Józef nie przyjdzie.

— A pan nie pomagasz mu w tej pracy? — spytała.

— Niech mnie patron mój strzeże od takiej pracy.

— Musi być bardzo trudna.

— Jak każda nowa budowa.

— Ciekawam?

— Obowiązek.

— Myślę, że pan Szwarc wszystko na tym gruncie buduje.

— Tym razem trudniej mu przyjdzie, niż kiedyindziej... Ale otóż i ktoś nadchodzi, to kuzynek pani... Jakiż to rozkoszny chłopiec!

Pan Pelski wszedł do salonu, wkrótce za nim nadeszła i pani Wizbergowa.

Po zwykłych powitaniach rozmowa zaczęła krążyć w oceanie ogólników.

Augustynowicz mało mieszał się do niej. Siadł na fotelu i przymknął oczy z wyrazem obojętnym na wszystko. Miewał zwyczaj przymykać oczy, robiąc postrzeżenia, wtedy nic nie uszło jego uwagi.

Hrabia Pelski — zapomnieliśmy powiedzieć, iż miał ten tytuł — siedział przy Luli, kręcąc w palcach sznurek od okularów i rozmawiając z nią żywo.

— Aż do przybycia do Kijowa — mówił — nie wiedziałem nic o nieszczęściu, jakie spotkało całą naszą rodzinę, a w szczególności panią, przez śmierć szanownego jej ojca.

— Czy pan znał ojca mego? — pytała z westchnieniem Lula.

— Nie, kuzynko. Wiedziałem tylko o nieszczęśliwych sporach i procesach, różniących od lat kilkunastu nasze rodziny. Sporom tym jako małoletni, a potem nieobecny, zawsze byłem obcy i, jeżeli mam wyznać, przyjazd mój teraźniejszy miał być tylko próbą zbliżenia.

— W jakim stopniu pan był krewnym ojca mego?

— Wychowany za granicą, mało wogóle znam stosunki familijne, w istocie np. szczęśliwemu wypadkowi winienem odkrycie, nie już pokrewieństwa o którem wiedziałem, ale innych niemniej ścisłych węzłów, łączących od dawna nasze rodziny.

— Wolno się spytać o ten wypadek.

— Z chęcią, kuzynko. Objąwszy po śmierci ojca kierunek spraw majątkowych i familijnych, rozpatrywałem się trochę w papierach i rozmaitych dokumentach, tyczących mojej rodziny; otóż z tych dokumentów odkryłem, że rodzina pani nietylko jest spokrewniona z Pelskiemi, ale i jednego z nimi herbu.

— Do pewnego więc stopnia, trafowi zawdzięczamy naszą znajomość.

— Błogosławię ten traf, kuzynko.

Lula spuściła oczy; mała jej rączka kręciła koniec szarfy; po chwili podniosła głowę.

— I dla mnie on równie miły — odrzekła.

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień uśmiechu.

— Dużo miałem trudności z odszukaniem mieszkania pani. Ten pan — Pelski wskazał jednem okiem Augustynowicza — ma dziwny sposób objaśniania pytających; szczęściem, nadszedł towarzysz jego, Szwarc, który wreszcie dał mi odpowiedź.

— Rzeczywiście mieszkałam w tym samym domu, co i oni.

— Jakimże sposobem poznałaś ich, kuzynko?

— Kiedy ojciec zachorował, pan Szwarc pilnował go w ostatnich chwilach, potem to on wynalazł panią Wizberg i... jam mu wiele winna.

Przymknięte powieki Augustynowicza uchyliły się nieco, wyraz szyderstwa znikł z jego twarzy.

— To doktór? — spytał hrabia.

— Będzie wkrótce doktorem.

Pelski zamyślił się cokolwiek.

— Znałem za granicą w Heidelbergu profesora i literata Szwarca; z jakich ten Szwarców?

Hrabianka zarumieniła się mocno.

— O, tego to nie wiem doprawdy!

Oczy Augustynowicza otworzyły się na całą szerokość; z nieopisanym wyrazem złośliwości szwrócił się ku hrabiance.

— Sądziłem — rzekł głośno — że pani doskonale wiesz, skąd Szwarc jest i z jakich to Szwarców?

Pomieszanie Luli doszło do najwyższego stopnia.

— Nie... pamiętam — wyjąkała.

— Nie? Więc jej przypomnę: Szwarc rodził się w Zwinogródce, gdzie ojciec jego był za dni swoich kowalem.

Pełski spojrzał na kuzynkę i, nachyliwszy się ku niej, rzekł ze współczuciem:

— Boleję kuzynko nad fatalizmem, który zmusił ją żyć z ludźmi odmiennej sfery.

Lula westchnęła. O, niedobre, niedobre to było westchnienie; Lula wiedziała, że u tych ludzi odmiennej sfery znalazła pomoc, opiekę i serce, że przeto powinni być dla niej czemś więcej, niż nowo poznany kuzynek, ale wstydziła się powiedzieć mu to i zamilkła trochę zła a trochę rozżalona.

Tymczasem pani Wizbergowa poprosiła gości na herbatę. Lula pobiegła na chwilę do swego pokoju i, siadłszy na łóżeczku, zakryła twarz rękoma. Była w tej chwili myślą w pokoju Szwarca. »On tam pracuje — myślała — a tu mówią o nim, jak o kimś obcym dla mnie; dlaczego ten powiedział, że on jest synem kowala?« Zdawało jej się, że krzywdzą Szwarca, ale i sama czuła doń jakby urazę za to, że był synem kowala.

Przy herbacie siadła obok swego kuzyna trochę zamyślona, trochę smutna, zwracając niespokojne spojrzenia w stronę Augustynowicza, który od chwili swej złośliwej interwencyi przejmował ją pewną obawą.

— Jakoś nie swoja jesteś, Lulu? — pytała pani Wizbergowa, przykładając rękę do jej rozpalonego czoła.

Malinka, która stała z imbrykiem w dłoni,

nalewając pod światło herbatę, zatrzymała złotawy strumień i, zwróciwszy głowę, rzekła z uśmiechem:

— Lula zamyślona tylko. Budzę cię Lulu, w kolorze czarnym, czy kochasz?

Hrabianka zrozumiała myśl Malinki, nie zmieszała się jednak.

— Czarny kolor, to kolor smutku, w każdym razie to mój kolor.

— I piękny, jak twoje słowo, kuzynko! — dodał Pełski.

Po herbacie siadła do fortepianu, a z za pulpitu widać było jej piękne czoło, oznaczone regularnemi brwiami. Grała jakiś smętny mazurek Szopena, a z twarzy jej nie schodziła tęsknota i niepokój.

Augustynowicz znał muzykę i z tonów odgadł stan duszy hrabianki, mimo to pomyślał:

— Tęskni, więc gra, a gra, bo kuzynek słucha.

Wracając do domu, rozmyślał jednak dłużej o Luli i o Szwarcu, niżby po jego lekkomyślnej naturze należało się spodziewać.

— E, do szatana! co to będzie? co to będzie? — pomrukiwał z cicha.

Wśród tych rozmyślań wszedł do mieszkania. Szwarc jeszcze nie spał, siedział podparty na łokciach nad jakąś książką.

— Byłeś u pani Wizbergowej?

— Byłem.

Niecierpliwość w połączeniu z ciekawością drgała na twarzy Szwarca, widocznie chciał rozpytywać się o wieczór, ale rozmyśliwszy się podparł znów głowę rękoma i jął czytać.

Nagle jednak rzucił książkę i przeszedł się parę razy po izbie.

— Byłeś tedy u pani Wizbergowej.

— Byłem.

— Ha!...

— No, co?

— Nic.

Siadł znów do książki.

XV.

Upłynęło parę tygodni. Stosunki znanych nam osób nie ulegały zmianie; Szwarc nie bywał u pani Wizbergowej, za to Pelski stał się tam codziennym gościem, mimo Augustynowicza, który mu dokuczał i którego hrabia nie cierpiał.

— Jakże ci się wydaje kuzynek hrabianki? — pytał go kiedyś Szwarc.

— Przyjacielu, to jest zero.

— Cóż mu zarzucasz?

— Nic, co znaczy właśnie głupotę. Rozmawia z pannami o czem może, nosi modne surduty, glansowane rękawiczki, wiąże symetrycznie kokardę swego krawata, wychwala cnotę,

gani występek, mówi, że lepiej być mądrym, niż nie, a jednak... o, Szwarc, to zero!

— Ryczałtowo ludzi sądzisz.

— Co znowu, ryczałtowo! Jak ci wiadomo, pierś wedle miary krawca, nie Fidyasza; a w dalszym ciągu śmiech mnie bierze, ale serce mi nie pęka, miałoby też o co pękać!

— Mów-no jaśniej.

— Cóż ci powiem? Ot, człek mierny, człek środka, tylko nie złotego, uczciwy, bo nie popełnił nic nieuczciwego i odwrotnie. A dajże mi z nim pokój! Mówmy lepiej o filozofii, albo śpiewajmy stare kontredanse, co wolisz?

— Mówmy o nim, proszę cię o to — rzekł z naciskiem Szwarc.

— No, to nałóż mi fajkę.

Szwarc nałożył mu fajkę, sam zapalił cygaro i jął przechadzać się po pokoju.

— Nie zdaję ci sprawy z tych tam wieczorów, bo nie chcę ciebie drażnić — mówił Augustynowicz — ale kiedy sam tego pragniesz, to słuchaj. Rzecz jest taka: Dowiedział się Pełski, że po starym hrabi została córka, a ciekawość go przywiodła do zobaczenia jej. Widzisz, ludzie są próżni, lubią efekta, a w roli bogatego kuzyna względem biednej kuzynki nie zbywa na nich, to też Pełskiemu podobała się ta rola. Ha, komużby się ta rola nie podobała? Jesteś bogaty, a podajesz jej — to jest kuzynce — rękę, osłaniasz przemożną opieką, dziwisz ją de-

likatnością uczucia, postępków, stajesz się królewiczem, ideałem; ech, stary! jakże to łechce próżność, jakie to romansowe, niech mnie szatan!...

Rży mój kary, ziemię grzebie!...

To cała powieść: Koń, postać szlachetna, z jej strony łzy i uśmiechy, potem los ich rozłącza, potem się spotykają... godzą... i... Numa idzie za Pompiliusza!

Ostatnie słowa Augustynowicz wymówił z pewną złością.

— Mówisz o Luli i Pelskim? — pytał ponuro Szwarc.

— Tak jest; Pelski zobaczył ją przez ciekawość, a ona, jak wiesz, śliczna dziewczyna, to też rola podobała mu się. Pelski człek powszedni, arystokrata... jednem słowem, zero... ale... jeśli nie będzie zważał na posag...

— Ba, jeśli? — przerwał Szwarc, podchwytując ostatnie słowo.

— A ty czego się łudzisz? Tobie to winno być wszystko jedno, tyś nie dziecię, ani niewiasta; wiedziałeś, coś robił, idąc do Heleny w oświadczyny!

Szwarc zamilkł; Augustynowicz ciągnął dalej:

— Mówię! Pelski człowiek młody i bogaty, ona mu się bardzo podoba, to może i nie zważać na posag, ona mu się podoba, to grunt!

— Przypuśćmy, że nie będzie zważał na posag, dalej?

— W takim razie Lula zostanie Pelską.

— Zgodzi się, mówisz, na to?

Oczy Szwarca płonęły.

— Słuchaj, stary, ja mówię: nie wiem, do czego ta rozmowa. Dziśby się może nie zgodziła... ale za pół roku lub rok to się zgodzi. Gdybyś tam bywał, mógłbyś z nim walczyć, inaczej, powtarzam, ona się zgodzi.

— Na czem opierasz ten sąd?

— Na czem? Pewnego wieczoru, kiedym tam widział Pelskiego, słyszę, a on się pyta: co to za Szwarc? z jakich to Szwarców? A ona: »Nie wiem, doprawdy«. Widzisz! a kiedym powiedział, żeś syn kowala, ona stanęła w płomieniach i o mało się nie rozpłakała ze złości na mnie. Ot, masz!

Szwarc także czuł w tej chwili, jakby ochotę do płaczu ze złości.

— Widzisz — prawił Augustynowicz — Pelski bez świadomości i woli postępuje bardzo trafnie; on jej ciągle przypomina dawne tytuły, świetną przeszłość, świetne stosunki, po prostu nie może nawet inaczej... A ona i bez tego arystokratka! Pamiętasz, jak to gniewało ongi mnie i ciebie? A ileś się to napracował, żeby te zasady w niej zachwiać! Na krokodyla, niemasz nic dumniejszego, niż nędza dumna! Pelski dobrze robi, bo łechce jej próżność, bo rozbudza miłość własną — to oddala ją od nas, a my

mój stary, tacy hrabiowie, jak... bez porównań, do szatana! bo i nie znajdę tu porównań.

Jakoż nie znalazł porównań, i w braku ich zaczął puszczać rzęsiste kółka z dymu, usilnie starając się uchwycić którekolwiek na palec. Szwarc tymczasem zawzięcie patrzał w jeden punkt na podłodze, wreszcie odezwał się:

— Powiedziałeś jej, że się żenię z Heleną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mówię, że pracujesz i dlatego nie przychodzisz. Niech sprawa między tobą i Pelskim rozegra się w niej samej, w jej sumieniu i sercu. Twoje małżeństwo to wypadek zewnętrzny, a stanowczo decydujący na jego stronę.

Szwarc zbliżył się, jego palce wpiły się w ramię Augustynowicza.

— Słuchaj — rzekł gwałtownie — a jeśli w tej walce ja wygram?

— Idź do dyabła i nie ściskaj mnie tak silnie! Rzucam tobie toż samo pytanie: Jeśli w tej walce wygrasz?

Spojrzeli sobie oko w oko, jakieś nieprzyjazne uczucie ścisnęło im serca.

Wreszcie Szwarc puścił ramię Augustynowicza i ukrywszy twarz w dłoniach, rzucił się na łóżko. Augustynowicz spojrzał nań groźnie, potem mniej groźnie i jeszcze mniej groźnie; nakoniec przysunął się doń, zaglądając mu pod palce.

Pociągnął go za polę, a głos jego był już miękki i wzruszony.

— Stary!

Szwarc się nie odzywał.

— Mój stary, nie gniewaj się. Jeśli wygrasz, schowasz ją w sercu jak świętą, a ja jej powiem: Idź, jasny aniele drogą obowiązku, jak Szwarc poszedł.

XVI.

Helena zaledwie sama wierzyła swemu szczęściu. Gotowała się do ślubu. Chmurna jej przeszłość znikła, noc życia była skończona, świtał ranek.

Z kobiety, gwiazdy błędnej, która nie wiedzieć gdzie i jak nizko upadnie, z kobiety tułaczki, z kobiety bez jutra, wejść w nowy okres życia, pozyskać miłość kochanego człowieka, zostać w przyszłości żoną, rozpocząć życie ciche, życie jutra, okolone szacunkiem, zapełnione miłością i obowiązkiem — oto miała być jej przyszłość.

Helena rozumiała, a raczej przeczuwała ową anormalność między swą przyszłością a przeszłością. «Z takiego życia, jak moje, to chyba nie to wyniknąć powinno; jam niewarta szczęścia, szeptała zcicha do Szwarca, gdy jej na palec

wkładał zaręczynowy pierścionek. — Jam niewarta takiego szczęścia».

Miała racyę ta opętana przez miłość półwaryatka.

Z logiki jej życia nie mogła taka przyszłość wykwitnąć, ale życie jej przestało już iść własnym biegiem.

Bywają gwiazdy, które w samotniach krążą po nieokreślonych drogach, aż porwane przez potężniejszą planetę, idą już dalej koło niej lub z nią.

Coś podobnego przytrafiło się Helenie.

Potężniejsza wola przyciągnęła słabszą. Helena spotkała na drodze swej Szwarca i odtąd szła już jego koleją.

Zrozumienie tego czyniło ją spokojniejszą. «O, jeśli on zechce, będę szczęśliwa!» — myślała nieraz.

Wierzyła bez granic nietylko w charakter, ale i w potęgę Szwarca.

Znikł więc ostatni cień w jej duszy — znikła niespokojność, owa nieokreślona obawa przyszłości, której aż do chwili oświadczyn Szwarca nie mogła się opędzić, a która dręczyła ją jak wyrzut sumienia.

Marzyła. Z pieśnią na ustach czyniła przygotowania do ślubu, ciesząc się jak dziecko każdym szczegółem ubioru. Chciała mieć mimo swego wdowieństwa białą suknię, co i Szwarcowi podobało się. Odzyskując humor, odzyskiwała i zdrowie; stawała się czynną, zabiegłą,

drobiazgowo nawet troskliwą o przyszłe gospodarstwo.

Wypiękniała jeszcze i wyszlachetniała jakoś pod wpływem szczęścia. Z kobiety odludka, z ptaka o poobrywanych skrzydłach, jęła się zmieniać w kobietę, czującą własną wartość, choćby w tem, że ją ktoś kocha.

Termin ślubu przybliżał się.

* * *

Tymczasem zbliżała się chwila, w której Szwarc miał zostać doktorem. Pracował więc, a pracował tak usilnie, że zachwiał cokolwiek własne zdrowie. Bezsenne noce i wysilenia umysłu naznaczyły mu twarz bladością; wychudł, oczy miał podsiniałe; żył w ciągłej owej gorączce pracy, w rzeczywistości opadał z sił, ale trzymał się jak mógł na nogach, chcąc za jaką bądź cenę zdobyć koniecznie stanowisko i niezależną przyszłość.

Prócz ambicyi i blizkiego terminu ślubu, jeszcze jedna rzecz skłaniała go do tych wysileń. Zapasy jakie przywiózł z domu, wyczerpywały się zwolna i obecnie blizkie były końca. Teraz już na Augustynowiczu spoczywał ciężar wydatków i domowego gospodarstwa. Augustynowicz wyrzekł się pijatyki, a zarabiał znacznie więcej, niż Szwarc. Lekcye muzyki przynosiły mu stosunkowo bardzo wiele, a nie potrzebował się ich wyrzekać dla nawału innej pracy, wro-

dzone bowiem zdolności zastępowały mu aż nadto czas i ochotę.

Do pani Wizbergowej chodził, jak dawniej, codziennie; codziennie Malinka wybiegała mu otwierać i codzień niby wydzierała mu swe rączki, które miał zwyczaj obfitymi okrywać całusami. Poczciwa dziewczyna przywiązała się do niego. Czy on ją kochał? Prędzej nie, niż tak, bo przeszłość wygasiła w nim sympatyczne moce. W rzeczywistości nie miał za grosz ognia. Gdyby jego zdolności zagrzewała namiętność, zaprowadziłyby go daleko, ale światło ich było jak księżycowe, świeciło nie grzejąc.

Nie przeszkadzało mu to być, jak to mówią, wybornym chłopcem, doskonałym kolegą i wesołym towarzyszem. Jeżeli czuł jakie przywiązanie, to chyba do Szwarca. Miewał jednak swe sympatye i antypatye: lubił Malinkę, a nie lubił Luli.

I za co jej nie lubił? Różne były powody. Traktowała go zawsze z chłodną wyższością, a przytem była hrabianką. Zwykle zresztą miewał powodzenie u kobiet, zawdzięczał je niewyczerpanej wesołości, a nawet cynizmowi, który pozwalał mu być wszędzie, jak u siebie, miał przytem szczególniejszą zdolność stosowania się do towarzystwa, w którem przebywał. Nigdy nieogładzany, posiadał — gdy chciał — wysoką ogładę towarzyską. Sam zwykł był mawiać, że owa łatwość dystynkcyi jest w nim dziedziczną,

że to idzie z «zacnej krwi». Rodziców wprawdzie nie znał nigdy, ani wiedział, kto oni, niemniej sądził się być potomkiem znakomitego rodu. Przypuszczał nawet, wedle znanego żartu, że Letycya, babka Napoleona III-go i jego babka — to były dwie babki. W ten sposób udowadniał swe pokrewieństwo z Bonapartemi.

Mimo tych wszelkich przymiotów, Lula ignorowała go cokolwiek. Więcej niż owa lekkomyślna, elastyczna natura budził w niej interesu żelazny, jednolity charakter Szwarca. Zresztą kochała Szwarca, Augustynowicz więc z natury rzeczy pozostał na boku. Drażniło go to jednak. Tak się rzeczy miały aż do chwili zjawienia się Pelskiego. Odtąd, zwłaszcza gdy Szwarc przestał bywać, zmieniła się Lula nadzwyczajnie. Augustynowicz dokuczał jej, sądził bowiem rzeczy przez pryzmat własnej dla niej niechęci. Myślał, że jeśli kiedy, to teraz będzie mu okazywała lekceważenie, a nawet pogardę, tymczasem stało się inaczej. Lula wyszła z roli obojętności i zaczęła się go obawiać. «Dzięki bogom — myślał wówczas Augustynowicz — człowiek ma język dosyć obrotny. Boi się, żebym Pelskiego nie wystrychnął na dudka». Jakoż coś podobnego zdarzyło się kilkakrotnie, co, należy wyznać, nader przykro dotknęło Lulę. Nieraz z początku rozpytywała o Szwarca, ale zawsze jednakową odbierając odpowiedź: «pracuje» — przestała nakoniec. Niemniej zdawało się, że chce przeje-

dnać Augustynowicza, w postępowaniu jej z nim była teraz jakaś miękkość, połączona z cichym smutkiem. Nieraz śledziła go niespokojnie oczyma, gdy wchodził, jakby czekając od niego jakiejś wiadomości dla siebie. Niepokój ten był naturalnym. Czy kochała Szwarca, czy nie, nie mogło jej nie dziwić, że ten, na którego tyle liczyła, który tyle sympatyi okazywał jej zawsze teraz jakby zapomniał o niej. Nie mogła także poprzestać na odpowiedzi Augustynowicza. Mimo największej pracy, niepodobna było, by Szwarc nie znalazł w ciągu dwóch przeszło miesięcy ani minuty czasu, by ją choć zobaczyć, by spytać o jej zdrowie, tembardziej, że wiedziała, iż ją kochał. W myśli jej dziwnie plątało się przybycie Pełskiego i niebywanie Szwarca; mogła słusznie przypuszczać, że jest w tem pewny związek. Jeden Augustynowicz mógł te rzeczy objaśnić, ale Augustynowicz nic chciał.

Niespokojna tedy, rozdrażniona i stroskana, ciągniona przez Pełskiego w krainy świetnych marzeń o wspaniałej przyszłości, o bogactwie, komforcie, sługach i cugach; z drugiej biegła myślą do ubogiego pokoiku Szwarca, pytając pełna trwogi: czemu go niema?

A jego nie było. Pełski coraz wyraźniej występował jako konkurent. Lula, posądzająca Szwarca o obojętność, rozdrażniona i upokorzona przezeń, gotowa była bodaj przez zemstę oddać rękę Pełskiemu. Zresztą, tradycya ciągnęła ją

w jego stronę; kto miał zwyciężyć — łatwo było przewidzieć.

Pelski, o ile mógł, starał się rozpraszać chmurki na czole Luli, i częstokroć udawało mu się to nawet. Lula miewała od czasu do czasu dziwne napady wesołości. Śmiała się wówczas i sypała tysiącami mniej więcej dowcipnych słówek, a lubo w tej wesołości była pewna gorączka, było zaiste i niemało kokieteryi. Oczy jej płonęły w takich razach, od skroni szła atmosfera gorąca, usta igrały wabnym uśmiechem. Słowa kaleczyły i głaskały, ciągnęły i odpychały naprzemian. Pelski zwykle, a po kilku niefortunnych próbach z Augustynowiczem, Pelski jedynie padał ofiarą takich wybryków. Tracił wówczas głowę, a z roli kuzyna-opiekuna przechodził na kuzyna-niewolnika.

A im był pokorniejszy, tem ona była zuchwalszą; im był smutniejszy, tem bywała weselszą.

— Panno Malinko! — szeptał w takich razach Augustynowicz — nie bądź pani nigdy do niej podobną, to kokietka!

— Nie! — odpowiadała smutno Malinka. — Przypomnę panu te słowa.

I trudno zaiste rzec, coby powiedział Augustynowicz, gdyby po takim wieczorze widział, jak ta przed chwilą kokietka, zostawszy sama w swoim pokoju, łkała tak, że długie, długie godziny utulić jej nie mogły.

Biedna dziewczyna, nie mogła nawet przed nikim wyspowiadać się ze swoich zmartwień i ciężkiej walki, jaką toczyła sama z sobą.

Płakała w chwilach słabości. Ile w tych łzach było zranionej miłości własnej, ile szczerego żalu po Szwarcu, trudno było powiedzieć. Dawniej, objąwszy rękoma szyję dobrej Malinki, byłaby wyznała wszystko, co jej przygniatało duszę, ale dziś i Malinka była dla niej obcą, a przynajmniej nie tyle blizką, co ongi. Właśnie owe niefortunne próby kokieteryi z Augustynowiczem głęboko obrażały rozkochaną w nim dziewczynę, a przytem i stosunek Luli do Pełskiego wydawał się jej dziwacznym.

Tymczasem czas płynął, Lula zaczynała wątpić, czy Szwarc kochał ją kiedykolwiek, Pełski nieznacznie karmił ją myślą przyszłego komfortu; czas płynął — a czas, to wedle słów poety: «róż kwitnących przemierzły ogrodnik »

XVII.

Malinka nieraz próbowała dowiedzieć się od Augustynowicza o istotnych powodach nieobecności Szwarca.

— Po co jej wiązać ręce? — mówiła o Luli.

Augustynowicz zaręczał, że jej rąk nie chce wiązać, w rezultacie jednak milczał lub kłamał.

Z drugiej strony Szwarc był przekonany, że Lula już wie o wszystkiem.

— Powiedziałem jej wszystko! — mówił Augustynowicz.

— A ona? nie ukrywaj mi!.

— Szwarc?

— Co?

— Co ci do tego?

Szwarc zacisnął zęby, ale nie pytał więcej. Wstydził się. Sam przed sobą wyznawał, że owe pytania były folgą dawaną słabości i dawnemu uczuciu.

Z przerażeniem prawie spostrzegał, że czas nie przynosił mu ulgi. Och, miewał takie chwile, że chciałby rzucić i Helenę, i obowiązki, i sumienie, a pójść i sprzedać nawet honor, nawet resztki szacunku dla siebie, za jedną chwilę, w którejby mógł głowę oprzeć na ramieniu hrabianki.

Nie umiał się oprzeć rozpamiętywaniu o niej.

Dotychczas zwyciężał, a jednak pamiętał, że bywał dawniej innym, niż dzisiaj.

Dawniej charakter jego miał ową spokojną, pokrywającą wszystko głębokość, dziś kipiał. Od namiętnych wybuchów przechodził nieraz do melancholii i biernego sentymentalizmu, a pamiętał, jak ongi wydrwiwał go w innych, jak szydził bez miłosierdzia, jak nawet pogardzał sentymentalizmem.

Wpadał weń jednak. Tracił szacunek dla siebie, ale bywał chwilami sentymentalny.

Augustynowicz wiedział o tem najlepiej.

Pewnego razu — a było to w miesiąc jakoś po zerwaniu z Lulą — Augustynowicz, zbudziwszy się późną nocą, ujrzał Szwarca, ubranego jeszcze i siedzącego niby nad książką. Zegar w ciszy nocnej gorliwie opowiadał o uciekających minutach; lampa paliła się jasnem, wesołem światłem, a przy blasku jej wyraźnie rysowały się rudawe bokobrody i blada twarz Szwarca na czarnym pokrowcu fotela. Siedział z pochyloną w tył głową i z przymkniętemi oczyma, ale nie spał; wzniesione brwi i kolory, bijące mu na twarz, świadczyły o tem najlepiej. Twarz jego nosiła wyraz niewysłowionej błogości; jakieś marzenie, jak złoty motyl, siedziało mu na mózgu, roztapiając w mglistą miękkość ostre linie jego rysów.

Augustynowicz spojrzał na niego uważnie, poczem zcicha podniósł się na łóżku z obliczem pełnem oburzenia i gniewu.

— Co ten robi? — szepnął. — A, ty się już sam oszukujesz! Niech mnie powieszą, jeżeli mu nie cisnę na głowę poduszki. A to mazgaj! Tak jest, cisnę poduszkę, lampę stłukę... hi!

Jakoż, ukończywszy za chwilę przygotowania wojenne, zabierał się do zadania tem straszliwego ciosu, gdy nagle cofnął się pod kołdrę.

Szwarc otworzył oczy.

— Ciekawym, co to będzie? — mruknął Augustynowicz, udając, że śpi jak zabity.

Tymczasem zdziwienie jego rosło nie na żarty. Szwarc spojrzał nań podejrzliwie, poczem jak złoczyńca obejrzał się wokoło, wreszcie odsunąwszy szufladę stolika, począł w niej szukać jakiegoś przedmiotu.

— Hej, czy tylko nie zechce w łeb sobie strzelić lub się otruć? — pomyślał cokolwiek przestraszony Augustynowicz.

Ale Szwarc nie myślał ani się zabijać, ani truć. Przedmiot, który wydobył, była to po prostu rękawiczka. Jedna mała, wyżółkła i pokurczona rękawiczka, mizerna pamiątka, historyczny podarunek, przy którym się mówi: «Adio, adio! caro mio! Pamiętaj!» A jednak Szwarc, jak ongi Emrod, poszedłby po nią «między tygrysa i między dwa lamparty» — tylko kwestya, czyby potem odszedł i więcej nie wrócił. Na punktach głupoty, schodzą się częściej wieki niż w rozsądku.

Szwarc podniósł tę rękawiczkę do ust.

— Wsty-y dź się, stary! — ryknął Augustynowicz.

Istotnie było coś w tem upokarzającego i Szwarc bardzo się potem wstydził swego postępku. Nazajutrz wyszedł do dnia, by uniknąć Augustynowicza, który zresztą na seryo był oburzony i rozgniewany. Zdawało mu się, że się zawiódł na Szwarcu: «I ten mazgaj, jak i dru-

dzy!» — mówił. Myśl ta zrodziła w nim niesmak, jaki zwykle czujemy, zaczynając tracić szacunek do człowieka, którego szanowaliśmy dotąd.

Ważniejszem atoli było, że po owym wypadku Augustynowicz nabrał przekonania, że Szwarc wróci do Luli. «Ta sobie umrze lub oszaleje — mówił o Potkańskiej — a oni się pobiorą... E, niech sobie umrze — Augustynowicz zawsze starał się wmówić w siebie, że nie lubi kobiet — mniej będzie o jedną. Wróci Szwarc, wróci!»

Rozmyślał tedy, czy powiedzieć Luli, że Szwarc się żeni, czy nie? wkońcu postanowił milczeć.

— A mnie Helena nic nie obchodzi... Szwarc wróci do Luli, a jeśli jej powiem wszystko, to będzie za późno — to będzie za póź-no! o, ho, ho! Ale i Helena na tem zarobi, bo znów będzie za późno. Tak, tak: jednego nie naprawię, a drugie zepsuję. Będę milczał... będę milczał...

Augustynowicz sto razy wolał Helenę, niż Lulę i z duszy chciałby, żeby Szwarc ożenił się z Heleną, ale chodziło mu więcej o Szwarca, niż o obie razem, dlatego Lulę chciał mieć wolną «na wszelki wypadek». Zresztą sądził, że i tak Lula wybierze Pelskiego. Wtedy powiem staremu:

— Widzisz, nic nie mówiłem o Helenie, nic nie wiedziała, że jej nie kochasz, a swoją drogą poszła za Pelskiego.

Nakoniec troskliwie chował wieść o małżeń-

stwie Szwarca na wypadek, gdyby Lula, śmiejąca się i szczęśliwa, przed jego przypuszczalnym powrotem, oddała rękę Pełskiemu:

— Szwarc życzy pani szczęścia — rzeknę. — Crescite et multiplicamini! — rzeknę. — On dawno już narzeczony, kocha i jest kochany, do dyabła!

XVIII.

Płynęły jednak dni, a Szwarc nie wracał do Luli. Malinka za to powiedziała Augustynowiczowi:

— Pełski lada dzień oświadczy się o Lulę.

— A jeśli nie on o nią, to ona mu się oświadczy lada dzień... — wymówił z przyciskiem Augustynowicz.

— O, to niesprawiedliwie, niesprawiedliwie!

— Zobaczymy.

— Nie, panie Adamie, Lula ma dużo dumy kobiecej, i gdyby nawet poszła za Pełskiego, to tylko przez ową dumę, przez gniew na obojętność Szwarca. Zresztą, co prawda, jej nikt prócz niego nie kocha... z wszystkich panów on jeden jej pozostał, na kogóż może liczyć.

— Ha, a widocznie lubi liczyć?

Malinka rozgniewała się.

— Liczyła w swoim czasie na Szwarca... zawiodła się. Jakże można ją potępiać, kiedy jego niema? czy pan rozumie? niema!

Augustynowicz milczał.

— Boleśnie się zawiodła — mówiła dalej Malinka — i niech mi pan wierzy, ja jedna wiem, ile ją to kosztuje. Mimo, że już nie przyjaźnimy się tyle, co dawniej — sama mnie odsunęła — mimo tego, jednak nieraz widzę jak cierpi. Wczoraj weszłam do jej pokoju i zastałam ją we łzach. «Lulu — pytam, mimo że odsunęła się odemnie — co tobie jest?» «Nic, cierpię ból głowy» — powiada. «Lulu moja — mówię — ty na serce cierpisz, nie na głowę!» Chciałam się jej rzucić na szyję, ale odsunęła mnie ręką, a potem wstała taka dumna, żem się jej przelękła. Łzy jej oschły. «Płakałam ze wstydu — rzekła z mocą. — Chciej mnie zrozumieć: ze wstydu!» Chciałam ją zrozumieć, alem nie mogła; tylko wiem, że wieczorem tego dnia znów ją widziałam we łzach. A widzi pan?

— Czegóż to wszystko dowodzi?

— Że jej niełatwo zrzec się myśli o Szwarcu. Co tam zaszło, co tam zaszło, że jego niema?

— A gdyby był?

— Nie poszłaby za Pełskiego!

— Żartuję sobie z tego «nie poszłaby».

— Bo pan ze wszystkiego żartujesz... Ale Szwarc? Czy to szlachetnie z jego strony tak ją opuścić?

— Kto go tam wie, co on myśli robić?

Malinka odpowiedziała z mocą:

— On sam powinien wiedzieć i cokolwiek zamierza, nie ukrywać tego przed nią.

— On nie ma czasu, pracuje.

Tegoż dnia Malinka przekonała się jednak, że Szwarc nie siedzi tak pilnie w domu, jak o tem rozpowiadał Augustynowicz. Wyszedłszy z matką na ulicę, spotkała go idącego z jakimś młodym człowiekiem. Nie spostrzegł ich, Malinka prawie przeraziła się jego widokiem. Wydawał się jej tak blady, tak przygnębiony, jakby po ciężkiej chorobie. «Więc on był chory!» — myślała, wróciwszy do domu. Teraz zrozumiała, dlaczego Augustynowicz nie chciał wytłumaczyć jego nieobecności: «Szwarc mu nie kazał, by nie przerażać Luli».

Szwarc nagle wyrósł w mniemaniu Malinki do wysokości ideału.

Wieczorem, jak zwykle, zjawił się Augustynowicz. W salonie tym razem była pani Wizbergowa i hrabianka.

— Panie Adamie! — zawołała Malinka — wiem już, dlaczego pan Józef nie był u nas tak dawno.

Oczy Luli błysnęły; w tej chwili zapanowała nad sobą, ręce jej jednak drżały nieznacznie.

Ależ on biedak musiał być bardzo chory? taki blady, jak z grobu! Dlaczego pan nie po-

wiedziałeś nam o tem? — mówiła szybko pani Wizbergowa.

— O, pan Adam bał się, żebyśmy nie wygadały się przed Lulą. Ładnie to? — pytała Malinka.

— Co tobie, Lulu, tyś chora?

— Nic, nic! wrócę za chwilkę.

Twarz jej była bledziuchna, w głosie brakło tchu. Wyszła, prawie uciekła do swego pokoiku.

Pani Wizbergowa chciała biedz za nią, Malinka łagodnie lecz stanowczo zatrzymała ją.

— Nie trzeba tam chodzić, mameczko.

Potem zwróciła się do Augustynowicza, a głos jej dźwięczał poważnie i smutno.

— Panie Adamie?

Augustynowicz zaciął wargi.

— Panie Adamie! cóż? Lula to kokietka, bez serca... nieprawdaż?

— Możem się omylił — bąkał Augustynowicz — ale... ale...

Nie śmiał wykrztusić z siebie w tej chwili, że Szwarc się żeni z Heleną, że Szwarc nie przyjdzie więcej.

Wróciwszy do domu, bał się także powiedzieć Szwarcowi o tem, co zaszło.

Lula zamknęła się w swoim pokoju. Głowa jej płonęła, a myśli niby wianek z iskier i lodu obsiadły jej skronie; w ciszy słychać było wyraźnie jej przyspieszony oddech i bicie serca. Szwarc, Pełski, Malinka, Augustynowicz, kręcili

się przed nią w niepojętym zamęcie, a z tych rozkruchów myśli, jak z grobu, podnosiła się wyżej i wyżej, blada i z przymkniętemi oczyma, prawie martwa głowa Szwarca. «On chory, chory!» — powtarzała półgłosem. «I umrze, i nie przyjdzie już tutaj!» Biedna Lula jeszcze inaczej niż Malinka tłumaczyła sobie powody nieobecności Szwarca. Sądziła, że poświęcił się dla niej, że, nie chcąc stawać między nią a Pelskim, zrzekł się jej, i dlatego tak cierpi i choruje. A jednak kto mu powiedział, że z Pelskim będę szczęśliwszą?» — szeptała zcicha. «Nie ufał mi... Boże mój! Boże! a czy mógł ufać?» Pamięć stawiła przed nią, jak wyrzut, owe chwile błyszczących spojrzeń, wabnych i aksamitnych słówek dla Pelskiego; wspomniała i ów rumieniec wstydu, jakim splonęła, gdy Pelski dowiedział się, że Szwarc jest synem kowala. I teraz twarz płonącą ukryła w dłonie, ale był to już inny wstyd. Zdawało jej się w tej chwili, że choćby sam Szwarc był kowalem, jeszczeby z rozkoszą całowała jego okopcone czoło, jeszczeby pełna szczęścia złożyła główkę na jego dzielnej, choćby kowalskim fartuchem pokrytej, piersi.

— Jak mi w oczach ciemno!... Jam nie wiedziała, że go tak kocham — mówiła cała drżąca i rozpłoniona.

Pierś jej wznosiła się szybko. Znów jakaś rzewniejsza myśl ubrała jej czoło w blaski

anielskie, rzuciła się na kolana przed obrazem Bogarodzicy.

— Matko Boża! — zawołała głośno. — Jeżeli kto ma cierpieć, lub umrzeć, niech ja cierpię, a jego chroń i kochaj Mateczko moja Najświętsza!

Wstała spokojna i tak jasna światłem miłości, że, rzekłbyś, w ciemnym pokoiku świeciła jak srebrna lampka przed obrazem Bogarodzicy.

Przez parę następnych dni Augustynowicz nie pokazywał się wcale; przyszedł za to Pelski i, wedle przewidywań Malinki oświadczył się o rękę Luli. Ujrzawszy twarz kuzynki spokojną i pełną uśmiechu, z dobrą nadzieją wynurzył jej swe życzenia i nadzieje, tem też bolesniej się zdziwił, gdy Lula dała mu stanowczo odmowną odpowiedź.

— Kocham innego! — oto była treść tej odpowiedzi.

Pelski chciał się dowiedzieć, kto był «ten inny»; Lula powiedziała mu bez wahania, poczem — jak zwykle się czyni w takich razach — ofiarowała mu swą przyjaźń.

Ale Pelski nie przyjął ofiarowanej mu na pożegnanie ręki.

— Za wieleś mi zabrała, za mało dajesz, kuzynko — szepnął zgnębionym głosem. — Za szczęście całego życia... przyjaźń!

Jednak Lula nie czuła wyrzutów po jego wyjściu; myślała wówczas o czem innem. Bywa

to złą stroną miłości, że nigdy nie myśli o czem innem, tylko o sobie. Wyłącza szczegóły a za to włącza ogół. Czujesz, że gdyby świat był człowiekiem, przycisnąłbyś go do piersi i ucałował w głowę, jak ojciec.

Coś podobnego czuła Lula, gdy szła do pokoju Malinki po wizycie Pelskiego. Potrzebowała wyznać komuś wszystko, co jej leżało na sercu.

Malinka siedziała przy oknie, a na pociemniałych mrokiem szybach widać było jej łagodną zamyśloną twarzyczkę. Nagle ręce Luli oplotły się koło jej szyi.

— To ty, Lulu? — spytała cicho.

— Ja, Malinko! — szepnęła Lula.

Siadła na małym stoleczku, u nóg Malinki głowę położyła na jej kolanach.

— Moja dobra Malinko, ty się już nie gniewasz na mnie, ani pogardzasz mną?

Malinka pieściła ją, jak dziecię.

— Bo widzisz, byłam bardzo grzeszna, ale dziś odszukałam się we własnem sercu. Jak mi tu dobrze przy tobie! Pamiętasz, jak to dawniej długo, długo tak rozmawiałyśmy nieraz! Niech i dziś tak będzie!... dobrze?

Malinka uśmiechnęła się nawpół smutno, na wpół figlarnie i odparła:

— Dziś tak będzie, ale później się zmieni. Przyjdzie tu pewien jegomość i zabierze Lulę, a ja zostanę sama.

— A czy przyjdzie? — spytała cichutko Lula.

— Przyjdzie. Biedak on chorował... pewno z tęsknoty. Nie rozumiałam, co znaczyło, że pan Adam nie chciał powiedzieć, dlaczego go niema — teraz rozumiem: Szwarc mu zabronił — nie chciał ciebie przestraszać.

— Ja myślę, że nie chciał przeszkadzać Pełskiemu... Taki niedobry!

A cóż Pełski?

Właśnie miałam ci powiedzieć: oświadczył mi się dzisiaj.

— I cóż?

— Odmówiłam, Malinko.

Chwilę trwało milczenie.

— Nie chciał nawet przyjąć ręki, którą mu podałam na pożegnanie, ale czyż mogłam inaczej uczynić, Malinko? Wiem, że postępowałam z nim bardzo niedobrze, o, bardzo niedobrze! ale czy mogłam zrobić inaczej! Ja go nie kocham.

— Lepiej późno, niż nigdy. Słuchałaś głosu serca. Ty tylko ze Szwarcem możesz być szczęśliwa.

— O tak, tak!

— Za jaki miesiąc — prawiła Malinka — ubierzemy Lulę w białą sukienkę, opłaczemy Lulę panienkę, a będziemy się cieszyli z Lulą mężatką. O, wy będziecie szczęśliwi! Musi on być dobry, kiedy go tak wszyscy szanują.

— Wszyscy go tak szanują? — powtórzyła

Lula, której jednocześnie chciało się śmiać i płakać.

— A tak. Moja mama to się nawet go boi... i ja troszeczkę; ale go poważam za jego charakter.

Lula podłożyła obie ręce pod głowę i ciągle wsparta na kolanach Malinki, patrzała jasnemi od łez oczyma w jej twarz.

A tymczasem ściemniło się do reszty, księżyc zeszedł, psy się uśpiły, — słychać było tylko szepty dwóch rozmarzonych pogadanką panienek.

Nagle przerwał ją dzwonek w przedpokoju.

— Może to on! — zawołała Lula.

Ale to nie był «on», bo w przedpokoju dał się słyszeć głos Augustynowicza.

— Panie są w domu?

— Idź, Lulu, do tamtego pokoju i schowaj się — mówiła szybko Malinka, — ja mu opowiem, jak dałaś odkosza Pelskiemu, i poproszę, żeby to powtórzył Szwarcowi. Zobaczymy, czy nie przyjdzie! Możesz słuchać.

Drzwi się otworzyły, wszedł Augustynowicz.

XIX.

Mówiliśmy, że Augustynowicz bał się wyznać Szwarcowi, co zaszło u pani Wizbergowej. Lula

zawiodła jego oczekiwania: mimo arystokracyi, mimo Pelskiego, kochała jednak młodego doktora, skoro wieść o jego chorobie mogła nią do tego stopnia wstrząsnąć.

Augustynowicz stracił humor i zwykłą sobie swobodę myśli. Mimowoli czuł teraz dla Luli szacunek, a szacunek dla kobiety, e! to było czemś dlań tak obcem, taką dysharmonią w jego moralnym organizmie, że sam z sobą nie mógł trafić do ładu. Miał minę człowieka złapanego na kłamstwie, a kłamstwem tu były jego pojęcia o kobietach. Sposępniał wielce. Raz nawet — rzecz dziwna, a obca dlań lub zapomniana — wyrwały mu się z ust słowa pełne bolesnej goryczy: «Ot, gdyby taka jedna w życiu — mówił — a człowiek nie byłby tem, czem jest». Szwarca unikał, bał się go, wahał się, to chciał mu wyznać wszystko, to znów odkładał do jutra. Sam wreszcie Szwarc zwrócił uwagę na dziwaczność jego postępowania.

— Co tobie jest, Adamie? — spytał.

— A o Lulę to on się już nie może spytać! — zawołał z komiczną rozpaczą Augustynowicz.

Szwarc zerwał się na równe nogi.

— O Lulę? Co to znaczy? Mów!

— Nic nie znaczy, coby miało znaczyć? Czy to wszystko ma zaraz coś znaczyć?

— Augustynowicz, ty coś ukrywasz?

— A on to tylko o Luli myśli! — wołał z coraz większą rozpaczą zapytany.

Szwarc z niesłychanem wysileniem zapanował nad sobą, ale był to ów groźny spokój przed burzą. Zapadłe policzki zbladły mu jeszcze więcej, oczy pałały.

— O, powiem wszystko — wołał, uprzedzając wybuch, Augustynowicz — powiem, powiem! E, kto mi zabroni ci powiedzieć, żeś wygrał sprawę! Niech mnie szatan, jeżeliś nie wygrał! Ona cię kocha.

Szwarc przeciągnął drżącą ręką po spotniałej twarzy.

— Pełski? — spytał krótko.

— Jeszcze się nie oświadczył.

— Ona wie o mnie wszystko?

— Szwarc!

— Mów!

— Ona nic nie wie, ja jej nic nie mówiłem!

Głos Szwarca był głuchy i ochrypły, gdy spytał:

— Dlaczegoś mi taką krzywdę wyrządził?

— Szwarc! ja myślałem, że ty się wrócisz do niej.

Szwarc załamał ręce, aż palce trzeszczały w stawach; ostatnie słowa Augustynowicza padły nań jak zarzewie. Wrócić się do niej, to opuścić Helenę; a czyż to samo sumienie nie broniło sprawy Heleny? Wrócić się do Luli, to kupić szczęście całego życia; ale wrócić się do niej, to zbeszcześcić Helenę, to zabić ją, stać się nikczemnym, to kupić wzgardę u siebie dla

siebie. Niestety, w duszy Szwarca odbywał się ten dyabelski taniec człowieka samego z sobą. Tańcował Szwarc ze Szwarcem przy kapeli namiętności. Różne myśli, zamiary, sposoby wichrzyły mu w piersiach, bój toczył się na całej linii.

Augustynowicz patrzał na towarzysza z twarzą rozpaczliwie głupowatą i miałby, jak to mówią, ochotę porwać się za kołnierz i wyprowadzić za drzwi.

Nagle Szwarc wstał.

Jakieś postanowienie rysowało się na twarzy Sprawa była rozegrana.

— Augustynowicz!

— Ehe?

— Pójdziesz natychmiast do Wizbergowej i powiesz Luli, że się żenię, że za miesiąc mój ślub i że nigdy do niej nie wrócę. Nigdy, rozumiesz?

Augustynowicz zabrał się i poszedł.

Przyjęła go, jak wiemy, Malinka. Lula miała słuchać ich rozmowy za drzwiami.

Malinka, rozmarzona poprzednią pogadanką z Lulą, wesoła i uśmiechnięta, szczerze ścisnęła rękę Augustynowicza.

Augustynowicz jednak nie odpowiedział jej szczerze.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — mówiła — mam panu dużo, dużo powiedzieć.

— A i ja mam dużo powiedzieć — odparł Augustynowicz. Przychodzę jako poseł.

— Od Szwarca?

— Od Szwarca.

— Zdrowszy?

— Chory. Pełski tu był?

— Był. Właśnie o nim chciałam mówić.

— Słucham, panno Malinko.

— Oświadczył się o Lulę.

— I cóż?

— Odmówiła. Panie Adamie, ona tylko Szwarca kocha, ona do niego tylko chce należeć. Moja droga, poczciwa Lula!

Chwilę trwało milczenie.

Augustynowicza głos drżał, gdy zwolna wymawiał następne słowa:

— Ona do niego nie będzie należała.

— Panie Adamie!

— Szwarc już po słowie, żeni się.

Wiadomość ta, niby piorun, uderzyła w obie panienki. Przez chwilę było głuche milczenie.

Nagle otworzyły się drzwi od przyległego pokoju. Lula weszła do salonu.

Na twarzy jej grał rumieniec obrażonej godności niewieściej, w oczach świeciła duma.

Zdawało jej się, że podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach.

— Malinko! — zawołała — nie pytaj więcej, zaklinam cię, dość, dość! Ten pan już spełnił poselstwo, dlaczegoż się poniżać odpowiedzią?

I wziąwszy Malinkę za rękę, prawie przemocą wyprowadziła ją z pokoju.

Augustynowicz popatrzał chwilę za niemi, wreszcie kiwnął parę razy głową i rzekł:

— Na Proroka! rozumiem ją. Ona ma racyę, ale i Szwarc także. Hej, trzeba łatać, póki się wszystko nie pozrywa.

Za chwilę biegł do Pełskiego. Opowiedział mu rzecz całą.

— Jakiś fatalizm — kończył Augustynowicz — ciążył na nich. Szwarc nie mógł inaczej postąpić. Prawda, hrabio?

— Postąpił, jak mu się podobało, ale co pana skłoniło do zawiadamiania mnie o tem?

— Bagatelka! Jeszcze jedno pytanie: czy Lula odrzucając pańską rękę, nie postąpiła szlachetnie?

— Odpowiedź sobie zostawiam.

— Zostaw ją, kochany panie! Mnie wszystko jedno, mnie Lula nie obchodzi; wiem tylko, że gdy Szwarc się usunie, przyszłość jej nie będzie do zazdrości; a pan jesteś jej kuzynem... Szkoda...

Pełski zamyślił się.

— Szkoda? ha, co za szkoda?

— Że pańskie oświadczyny nie przypadły nieco później.

Pełski szerokimi krokami chodził po pokoju.

— Teraz, nigdy! — szepnął do siebie.

Augustynowicz usłyszał ów monolog.

— Za późno, za późno! kochany panie... Ale,

ale, jeszcze maleńka prośba: Nie mów nikomu, żem tu był; szczególniej nie mów u pani Wizbergowej lub Szwarcowi, jeżeli ich będziesz widział kiedy.

— Co mu na tem zależy?

— Wszystko, alebyś tego nie zrozumiał, drogi hrabio. Do widzenia.

Pelski, zostawszy sam, długo rozmyślał, coby istotnie Augustynowiczowi mogło na tem zależeć? Nie wymyślił nic, ale doszedł do przekonania, że jemu samemu mogło coś na tem zależeć.

— Mógłbym wrócić do niej, udając, że nie wiem o niczem — mówił. — Biedna Lula!

XX.

Dwie panienki siedziały milczące w pokoiku Luli. Bolesne to było milczenie. Jeśli bywają ciężkie chwile w życiu, wszystkie rzuciły swój ciężar na obecną dolę Luli. Podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach. Ona w tę miłość włożyła najlepsze cząstki swej istoty moralnej, ona zwycięstwo jej obchodziła, jak uroczystość weselną; przez siłę tego uczucia podniosła się z chwilowego upadku, zwyciężyła przesądy rodowe, odrzuciła rękę kochającego człowieka, z nią razem przyszłość spokojną, życie w do-

statku, własną niezależność, a za to wszystko zapłacono jej wieścią, że ten, którego kochała, żeni się!

O, więcej jeszcze straciła! Cała anielskość, w którą ubrały ją dni poprzednie, załamywała się dziś w gruzy zwątpienia. Dusza jej mogła wyschnąć do dna! Czyż razem z miłością nie traciła i wiary i nadziei — nie w teologicznym sensie — ale w całej ich żywotnej wartości w życiu? Ziemia usuwała się jej z pod nóg. Niby łódź bez wiosła, miała płynąć w przyszłość bez brzegu. Sierota, dziś przygarnięta przez zacne serca, jutro mogła ocucić się po prostu głodna, bez kawałka chleba; dziś jeszcze taka biała, że na jej piersiach mogłyby kwitnąć lilie, mogła w przyszłości poplamić ową białość żółcią własnej goryczy; dziś pół-dziecię prawie, wiosna, majowy ranek — miała za tyle a tyle lat oglądać bezowocną jesień życia.

Upokorzona, połamana «niby od burzy krzew», zepchnięta z posad moralnych, zabita na szczęściu, z suchem płonącem okiem, konwulsyjnie cisnęła do siebie płaczącą Malinkę. Lula nie płakała; chociażby miała jeszcze łzy do płaczu, osuszyłby je gniew.

Malinka zresztą płakała za dwie.

* * *

Nazajutrz hrabianka odebrała dwa listy: jeden od Pelskiego, drugi od Szwarca.

«Pani! — pisał Pelski. — Boleść, jakiej doznałem wskutek twej odpowiedzi, nie dozwoliła mi rachować się z własnemi słowami. Odrzuciłem przyjaźń, którąś mi ofiarowała; żałuję tego postępku. Jakkolwiek nie umiem sobie zdać sprawy z twego postępowania ze mną, widzę jednak, że wkońcu poszłaś za głosem serca. Oby ten głos nie omylił ciebie, pani! Oby twój wybrany kochał cię tyle, co ja, byłbym spokojny o twe szczęście. Nie zarzucam mu nic, nie śmiem sądzić człowieka, którego kochasz. Co do mnie, zmuszony twardą koniecznością rozstać się z nadzieją posiadania ciebie, błagam jak o największą łaskę, nie pamiętaj na słowa moje, wyrzeczone w chwili bólu, dozwól mi wrócić i upomnieć się o ową niebacznie odrzuconą przyjaźń, która w przyszłości ma mi szczęście całego życia zastąpić».

List od Szwarca przyniósł wieczorem Augustynowicz. Lula nie chciała go otworzyć.

— Nie czyń mu pani tej krzywdy — mówił błagalnie Augustynowicz — bo i tak w tej chwili mój stary może już...

Łzy dusiły go, dalsze słowa więzły mu w gardle.

— Może to już ostatnie jego słowa. Wczoraj odwiozłem go do szpitala — wyszeptał.

Lula pobladła jak płótno; zdawało się, że za chwilę zemdleje. Napróżno siliła się utrzymać spokój i chłód twarzy — cała jej postać drżała jak liść.

Bądź co bądź, kochała Szwarca.

Wzięła list z ręki Augustynowicza. List brzmiał jak następuje:

«Pani! Umiałem przenieść stratę twej ręki, ale nie twego szacunku. Czytaj i sądź! Umierający przyjaciel zostawił na mojej opiece kobietę, którą kochał całą siłą rozdartego serca, a której miłość mimowoli mu wydarłem. Po jego śmierci poznałem ją bliżej, i zdało mi się, że ją kocham. Nieszczęściem, powiedziałem jej to. Potem.. Ty wiesz ukochana, co nastąpiło potem. Sam przed sobą ukrywałem nieszczęsne przywiązanie do ciebie. Ilem przecierpiał! O, daruj mi! I jam człowiek, i ja musiałem kochać, a jednak nie z moich ust dowiedziałaś się o tej miłości. Gdym wreszcie stanął przed własnem sumieniem, gdy przyszła chwila upamiętania — sądź sama, jak miałem postąpić? gdzie pójść? co wybrać? Przysięga umierającemu, słowo dane nieszczęsnej nad wyraz kobiecie, wszystko prócz serca nakazywało mi wyrzec się ciebie. Nie z mojej winy dowiedziałaś się o tem dopiero wczoraj. Wieść ta miała dolecieć ciebie razem ze zjawieniem się Pełskiego. Nieszczęście i lekkomyślność ludzka inaczej chciały. Oto stan rzeczy! Sądź — jeśli umiesz, przebacz. Adam mówi, żem chory... Tak jest, myśli mi się plączą, czuję żar krwi, a z bólu i zamętu jedno widzę jasno... że kocham, kocham cię, aniele!»

Po przeczytaniu listu resztki gniewu i dumy

znikły z czoła Luli: na jej pięknej twarzy osiadł łagodny, choć głęboki smutek.

— Panie Adamie — rzekła do Augustynowicza — powiedz mu pan, że postąpił, jak był powinien.

Augustynowicz rzucił się przed nią na kolana.

— I mnie przebacz, pani! Byłem niesprawiedliwy; krzywdziłem cię, ale ja nie znałem... jam nie wiedział, że są tacy aniołowie na świecie!..

XXI.

Prosto od Wizbergowej Augustynowicz udał się do szpitala, gdzie został przez całą noc. Szwarc miał się źle i bardzo źle. Tyfus rzucił się na ten silny organizm, grożąc zniszczeniem go zupełnem. Około północy chory zaczął majaczyć; rozmawiał z sobą i sprzeczał się zacięcie o nieśmiertelność duszy z czarnym kotem, którego widział siedzącego na krawędzi łóżka. Zdawało się, że obawiał się śmierci, bo kilkakrotnie na jego twarzy malowało się nieopisane przerażenie. Lękał się i drgał bardzo wyraźnie za każdem poruszeniem Augustynowicza, chwilami śpiewał drżącym głosem i jakby przez sen różne wesołe i smutne piosenki, lub rozmawiał

ze znajomymi. Był nawet pewien przerażający humor w naturalności tonu tych rozmów. Augustynowicza, rozstrojonego i tak wypadkami dni poprzednich, drażniło to niewypowiedzianie. Z utęsknieniem wyczekiwał ranka, często spoglądając na szyby, które, jak na złość, ciągle były zarówno czarne. Na dworze była głęboka ciemność, a drobny deszczyk, zacinając w szyby, napełniał pokoik szpitalny monotonnym i przykrym dźwiękiem.

Dawno tak smutne i niespokojne myśli nie błąkały się w głowie Augustynowicza, jak w tej chwili. Wsparłszy łokieć na kolanach i ukrywszy twarz w dłonie, rozmyślał nad dziwną a gorzką plątaniną zdarzeń dni ostatnich. Czasem podnosił głowę i rzucał czujny wzrok na chorego; chwilami zdawało mu się, iż na wyschłe ostre rysy Szwarca pada mrok śmierci. Augustynowicz rozmyślał, jak ten człowiek, niedawno jeszcze tak czynnie i szeroko żyjący, za parę dni będzie może czemś martwem tylko, co zakopią w ziemię i... *finita la comedia!* Och, myśl codzienna i zwyczajna, a codzień równie gorzka dla tych, którzy muszą tak myśleć: «Koniec!... proch!...» A jednak żył pełnem życiem, wtedy sądził, wybierał, działał może i szerzej od innych. Jak pług odrzuca rolę, tak on na gruncie życia z pokładów zła i dobra dobywał dobro i...? Mimowoli człek pyta o sens moralny tej bajki. Gdzie, kiedy, na jakich gwiazdach, na jakich

planetach znajdzie się zagrobowa odpowiedź dla żyjących? Nieśmiertelność!... W oceanie czynów ludzkich może i żyją jakieś moralne atomy czynów zmarłego, ale owo: Ja — potężne, energiczne, świadome siebie — gdzie ono? A i owe czynów atomy, to niby trup majtka, spuszczony z okrętu w otchłań morską. Gdzie szukać i kto je odszuka? Czy Bóg wyłowi je kiedyś z tych fal bezbrzeżnych i odtworzy z nich nową świadomą siebie istotę? «...*è ben trovato!*»

Gorycz tych myśli osiadła teraz na sennem czole Augustynowicza, a tymczasem szyby z czarnych zaczęły się robić szare... Dniało. W pokoiku blask świecy różowiał stopniowo i omdlewał, przedmioty zaczęły się wychylać z cienia, na korytarzach słychać już było kroki służby szpitalnej. W godzinę potem wszedł doktór.

— Cóż chory? — spytał.

— Źle — odrzekł krótko Augustynowicz.

Doktór wysunął z powagą dolną wargę, namarszczył się i wziął za puls chorego.

— Co pan myślisz? — spytał Augustynowicz.

— A cóż? nic nie myślę — źle, bardzo źle!

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień ironii.

— Za to ja coś myślę profesorze, a myślę, że medycyna to bardzo głupie dziecko, co sądzi, że jak się weźmie rękami za pięty, to się podnesie do góry, nieprawda?

Doktór kiwnął parę razy głową, zapisał jakieś chłodzące lekarstwo i poszedł. Augustynowicz, spojrzawszy na receptę, znów z kolei pokiwał głową, wzruszył ramionami i siadł przy łóżku.

Tymczasem pod wieczór choremu pogorszyło się jeszcze, koło północy był prawie umierający. Augustynowicz płakał, jak dziecko i rozbijał się o ściany celki. Znów przesiedział całą noc.

Nad ranem zdawało mu się, że spostrzega lekkie polepszenie, a było to polepszenie zwodnicze. Na chorym powystępowały blade i czerwone plamy, widocznie wypalił się w gorączce i gasł.

Wieczorem przyszła pani Wizbergowa. Augustynowicz nie puścił jej do celki. Z twarzy jego poznała, iż musiała zajść coś strasznego.

— Żyje? — zawołała.

— Umiera! — odrzekł krótko.

W kilka godzin potem kapelan szpitalny kładł na Szwarca ostatnie oleje. Augustynowicz nie miał siły być przytomnym obrzędowi; wybiegł na miasto.

Potrzebował zebrać myśli, potrzebował odetchnąć; czuł, że i jemu myśli zaczynają się mącić, prawdopodobny zgon Szwarca rozrywał mu ich równowagę. Spodziewał się wszystkiego, ale nie żeby Szwarc umarł.

Sam nie wiedział, dokąd biegnie. Kilka razy zatrzymywał się, jakby z obawy, że wróci za późno.

Nagle jakaś myśl błysnęła mu w głowie. Spostrzegł, że stoi przed domem Heleny.

— Wejdę. Niech go pożegna.

W półgodziny potem Helena klęczała przy łóżku Szwarca. Rozwinięte jej włosy leżały w szerokich splotach na pościeli; rękoma obejmowała stopy chorego, twarzą spoczęła na nich.

W sałce szpitalnej cisza panowała jak w grobie, słychać było tylko szybki, urywany oddech chorego.

Tak upłynęła długa, przeklęta noc, której każda minuta zdawała się być dla Szwarca ostatnią. Wreszcie trzynastego dnia od początku choroby nastąpiło przesilenie.

Choremu było stanowczo lepiej.

Koło jego łóżka siedzieli nieodstępnie Augustynowicz i Helena; ta ostatnia zdawała się zapominać o świecie przy tem łożu. Razem z życiem Szwarca wracało i jej życie. Cieszyła się do szaleństwa każdym, choćby najmniejszym objawem polepszenia.

Wreszcie Szwarc oprzytomniał.

Augustynowicza wtedy nie było; pierwszą osobą, którą ujrzał, była Helena.

Chory popatrzał na nią chwilkę; na jego czole znać było pewną pracę myśli.

Wreszcie przypomniał ją sobie.

Uśmiechnął się.

Widoczne było wysilenie w tym uśmiechu,

mimo to Helena ze łzami radości rzuciła się na kolana.

Augustynowicz jednak, wróciwszy, spostrzegł, iż obecność jej niepokoi chorego, a nawet męczy. Szwarc ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku, wodząc oczyma za każdym jej ruchem.

Właściwa tylko starym lub chorym ludziom, bezmyślna gestykulacya poruszała mu wargi.

Augustynowicz pilnie śledził bieg źrenic Szwarca. Przeczuwał coś niedobrego.

Tymczasem, jak zwykle, pod wieczór zwiększyła się gorączka, ale mimo to chory usnął. Augustynowicz namawiał Helenę, by poszła do siebie odpocząć.

— Ani na chwilę go nie odstąpię — odrzekła z niezwykłą sobie stanowczością.

Augustynowicz siadł w milczeniu na krześle i zadumał się głęboko; wkrótce głowa zaczęła mu ciężyć, powieki stawały się ołowiane, nieubłagana senność chwytała go coraz bardziej, opuścił głowę na piersi, kiwnął się w prawo, w lewo i usnął.

Za chwilę ocknął się.

— Śpi? — spytał, spojrzawszy na chorego.

— Śpi, ale niespokojnie — szepnęła cicho Helena.

Augustynowicz znów pochylił głowę.

Nagle rozbudził go krzyk Heleny.

Chory siedział na łóżku w paroksyzmie gwałtownej maligny; twarz mu płonęła, oczy błysz-

czały jak u wilka, wyschłą rękę wyciągał ku Helenie.

— Co to jest? — krzyknął Augustynowicz.

Helena konwulsyjnie schwyciła go za ręce; czuł, jak drżała na całem ciele.

— Nie dręcz mnie! — szeptał chrapliwym, urywanym głosem chory. — Zabiłaś Gustawa i mnie chcesz zabić teraz... Precz, ja ciebie nie kocham! precz!...

Znów upadł na łóżko.

— Lulu, Lulu moja! ratuj mnie! — szepnął.

Augustynowicz prawie przemocą wyprowadził Helenę z celki. Na korytarzu słychać było przez chwilę szybką ich rozmowę i powtarzane imię hrabianki. Wreszcie Augustynowicz wrócił sam.

Był blady, grube krople potu spływały po jego czole.

— Wszystko skończone! — szepnął.

* * *

Helena biegła, gnana rozpaczą. Słowa Szwarca i krótka rozmowa z Augustynowiczem rozdarły krwawą błyskawicą wiele ciemnych dla niej okoliczności. Biegła bez celu, byle naprzód. Myśli paliły ją jak ogień, a raczej nie były to już myśli, lecz gnane wichrem w szalony skręt kolisko iskier. Miasto w godzinę wieczorną świeciło tysiącem świateł, patrzało na nią jasnemi

szybami spokojnych ognisk domowych — ona biegła naprzód. Na ulicy płynął, jak zwykle tłum ludzi, kilku przechodzących obejrzało się za nią; jakiś młody człowiek przemówił coś do niej z uśmiechem, ale spojrzawszy jej w oczy, cofnął się przestraszony: ona biegła naprzód. Wreszcie ulice zmieniły się w uliczki, stawały się pustsze, ciemniejsze, w szybach nie było już widać świateł — tam spracowana ludność spała po znoju dziennym, zrzadka gdzie błysnęła latarka lub odezwały się echem kroki. Noc była wilgotna, ale spokojna; jakiś gniotący ciężar wisiał w powietrzu. Od Dniepru tylko dolatywał surowy powiew; wodna mgła osiadała kroplami na odzieniu i włosach Heleny. Ona biegła przed siebie. Nerwowe kurcze wykrzywiały jej twarz. Mimo chłodu, zdawało jej się, że z nieba pada ogień na jej głowę, piersi i ręce. Ogniki te zdawały się tańczyć i kręcić koło niej, a w każdym widziała na przemian twarze Szwarca i Gustawa. Zgubiła wierzchnie okrycie, wiatr zerwał jej kapelusz, wilgoć rozwiązała włosy. Kilkakrotnie upadała. Wkrótce wśród nocy i pustki znalazła się sama. Gonił ją tylko daleki gwar miasta i szczekanie psów w dzielnicy, przez którą biegła. Uciekała wciąż naprzód. Nie czuła ani zmęczenia, ani bólu, myśli jej zbiegły wszystkie do jednego środka, którym było jej nieszczęście. Komu miłość zabierze część życia, płaci jego częścią zawody; dla He-

leny miłość była wszystkiem. Znowu istnienie jej przestawało mieć sens. Czara była rozbita. Nie było dla niej przebaczenia, choć «wiele kochała», mógł być tylko spokój — nie w życiu, ale po za życiem.

Tymczasem biegła naprzód, ale siły opuszczały ją. Usta jej były spieczone, oczy mętne, odzież obryzgana błotem, pokryta wilgocią. Upadała coraz częściej, czasem podnosiła do góry głowę, chwytając łakomie ustami powietrze. Grunt, po którym biegła, stawał się coraz wilgotniejszy. Zdala słychać było łkanie i ową dziwną rozmowę wody, pół kapryśną, pół smętną. Helena zatrzymała się chwilę nad brzegiem.

Nagle zamknęła oczy i, wyciągnąwszy przed siebie ręce, rzuciła się naprzód.

Równocześnie z pluskiem wody rozległ się jej krzyk, krótki, przytłumiony falą, ostatni.

Potem nastała cisza. Na niebie była noc głęboka.

XXII

«Dziwnie się wszystko plecie, na tym tu biednym świecie» — powiedział stary poeta. To pewna, że nieraz życie tak się poplącze, że chyba je, jak ongi węzeł gordyjski, rozciąć potrzeba.

Tak było i ze Szwarcem. Przed kilku laty przybył pełen zaufania we własnych siłach; zdawało mu się, że nietylko swoje, ale i cudze losy popchnie na obraną zgóry drogę, tymczasem przekonał się, że w krótkim czasie stracił ster nawet i własnej łodzi. Zostawiono mu było rzucać się i ratować wedle woli, ale płynąć musiał tam, dokąd wiatr wiał. A przytem i szczęścia mało miał w życiu. Jak wszystkim, tak i jemu, życie, lub raczej nadmiar owego wrzątku lat młodych, wylać się musiał w jednym tylko, a zaiste, nader ciasnym, kierunku miłości do kobiety. Ciasno było w tych brzegach, więc potok płynął zbyt gwałtownie; to też w całej przeszłości Szwarca zaledwie kilka było chwil spokojnych. O mało nie zapłacił życiem za przeszłość, a dalibóg, nie było za co płacić. I po ostatnim wypadku z Heleną niebezpieczeństwo mogło się wznowić. Augustynowicz obawiał się recydywy; szczęściem, obawy jego nie sprawdziły się, Szwarc miał się coraz lepiej. Trudno było przewidzieć, jak długo przyjdzie mu jeszcze poleżeć w łóżku, osłabienie po ciężkiej chorobie było ogromne, ale powrót do zdrowia zapewniony. Augustynowicz, jak mógł i umiał, skracał mu długie godziny szpitalne, ale napróżno wysilał się na dawny swój humor. Ostatnie wypadki uczyniły go poważnym i małomównym. Stracił wiele z dawniejszych nawyknień. Od czasu choroby Szwarca nie był naprzykład ani razu u Wizbergowej, która dość

często przychodziła dowiadywać się o zdrowie Szwarca. Ale jeżeli w ten sposób podziałały na Augustynowicza wypadki dni ostatnich, o ileż więcej zmienił się Szwarc. Z długiej choroby powstawał zupełnie innym człowiekiem. Nie był to już ów żywy, sprężysty i nieugięty temperament. W ruchach jego była dziś powolność, we wzroku ociężałość i jakby lenistwo. Augustynowicz przypisywał to, i słusznie, koniecznemu po takiem przejściu osłabieniu, ale wkrótce spostrzegł w chorym inne, dawniej nieznane mu objawy. Jakaś dziwna obojętność, prawie apatya, przebijała się w jego słowach. Zaczynał rozglądać się w świecie na nowo, ale patrzał zupełnie inaczej. Zdawał się nie być zdolnym do żadnych żywych uczuć. Przykro było patrzeć nań; zmiany dotknęły nietylko moralnej jego strony, zmienił się i fizycznie: wyłysiał, twarz mu schudła i wybielała, oczy patrzały sennie, straciły dawny połysk. Leżąc po całych dniach bez ruchu, wpatrywał się godzinami w jeden punkt na suficie lub spał. Obecność czyjakolwiek nie zdawała się go obchodzić.

Niepokoiło to wszystko Augustynowicza, zwłaszcza gdy zauważył, że mimo szybkiego powrotu sił fizycznych, objawy te jeżeli ustępowały, to bardzo zwolna. Augustynowicz wzdychał, wspominał dawnego Szwarca, i pracował nad rozbudzeniem teraźniejszego, ale robota była trudna.

Pewnego razu Augustynowicz, siedząc przy łóżku chorego, czytał mu głośno. Szwarc leżąc nawznak, wedle zwyczaju patrzał w sufit, widocznie myślał o czem innem, albo nie myślał o niczem; jednakże po niejakim czasie znużenie wybiło się na jego twarzy. Augustynowicz przerwał czytanie.

— Chcesz spać, stary?

— Nie, ale nudzi mnie ta książka.

Augustynowicz czytał «Damę kameliową«.

— A jednak jest tu życie i prawda, mój stary.

— Tak, tylko za grosz niema rozsądku.

— No, ale książka podnosi kwestyę kobiet takich...

— A co kogo takie kobiety obchodzą?

— Niegdyś cię obchodziły.

Szwarc nie odrzekł nic; na twarzy jego znać było lekkie zamyślenie. Po niejakim czasie odezwał się:

— Co się dzieje z Heleną? Ona tu była?

Augustynowicz zmieszał się.

— Była, stary... była.

— No, a teraz?

— To jest... tak... niby chora... mocno chora

Twarz Szwarca pozostała obojętną.

— Cóż jej jest? — spytał leniwie.

— Jej?... ona... Ot, powiem ci prawdę, tylko się nie przestrasz.

— No?

— Helena nie żyje?... utopiła się.

Po twarzy Szwarca przemknęło nieokreślone jakieś wrażenie; zrobił usiłowanie jakby się chciał podnieść na łóżku, po chwili jednak opuścił głowę na poduszki.

— Wypadkiem? naumyślnie?... — spytał.

— Odpocznij, stary, odpocznij; nie wolno ci jeszcze dużo rozmawiać. Później opowiem ci wszystko.

Szwarc obrócił się do ściany i pogrążył w milczeniu. W tej chwili wszedł posługacz szpitalny.

— Pani Wizbergowa pragnie z panem mówić — rzekł do Augustynowicza.

Augustynowicz wyszedł; na korytarzu oczekiwała pani Wizbergowa.

— Co się stało? — spytał z przestrachem — czy znów kto zachorował?

— Nie, nie!

— Cóż więc?

— A to Lula odjechała — mówiła żałosnym głosem pani Wizbergowa.

— Dawno?

— Wczoraj wieczorem. Byłabym tu zaraz przyszła, bo to już z tydzień nie dowiadywałam się o Szwarca, ale Malinka tak była zmartwiona i zapłakana, że nie mogłam jej opuszczać. Odjechała Lula, odjechała!

— Skądże jej?

— Dużo byłoby opowiadać. Może we dwa tygodnie, od czasu jak Szwarc zachorował, przy-

szedł znów do nas Pelski, a wkrótce po raz drugi oświadczył się Luli. Miała z tego powodu niemało zmartwienia, bo widocznie człowieczysko przywiązał się do niej serdecznie. Tak. Mimo to odmówiła, dając za przyczynę, że nie wyjdzie zamąż bez przywiązania. Ja dosyć lubiłam tego Pelskiego. Ale to nie do rzeczy! Odmówiła zwyczajnie, poczciwa, szlachetna dziewczyna. Co też ona się nacierpiała w czasie choroby Szwarca! Ale to znów nie do rzeczy. Z Pelskim rozstali się jednak bez gniewu, i on to, niezawodnie on, wynalazł jej to miejsce w Odessie. Wystaw pan sobie zdziwienie, gdy przed kilku dniami przyszła do mnie i oświadczyła, że tylko choroba Szwarca wstrzymywała jej wyjazd, ale teraz, gdy Szwarc zdrowszy, ona nie chce być mi dłużej ciężarem, chce pracować na kawałek chleba i wyjeżdża. A, mój Boże, czy ona mi była ciężarem? Malinka ukształciła się i nabrała poloru przy niej; zresztą, kochałam ją, kochałam jak własną córkę.

Poczciwa stara dama była srodze strapiona. Augustynowicz zamyślił się, wreszcie po długiej chwili milczenia rzekł:

— Nie, dobra pani! Ja Lulę rozumiem. Kiedy przyjęła u was mieszkanie, była to jeszcze zepsuta i kapryśna dziewczyna, która sądziła, że przyjmujecie ją dla jej hrabiowskiej korony i własnego zaszczytu, dziś ona zupełnie co innego...

— Alboż ja jej co zarzucam! — przerwała pani Wizbergowa.

— Nie o to chodzi. Pojmuję, jak paniom przykro musiało być rozłączyć się z nią, i szkoda, że mi pani nie dała wcześniej znać o jej zamiarze. Osoba, z którą Szwarc miał się żenić, nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak jest. Ale z drugiej strony, prócz smutku dla pań, nic więcej złego ten wyjazd nie przyniesie. Szwarc nie złożył egzaminów doktorskich, przedewszystkiem musi o nich pomyśleć, bo to jego kawałek chleba. Kiedy wyzdrowieje i zapewni sobie utrzymanie, trafi za nią i do Odessy, ale na to potrzeba czasu. Szwarc bardzo się zmienił; nic nie szkodzi, że Lula zrobiła wszystko, co może ją jeszcze bardziej wynieść w jego opinii.

Pani Wizbergowa odeszła ze ściśniętem sercem. Augustynowicz stał chwilę w miejscu, wreszcie otrząsnął się z zamyślenia i szepnął:

— Odrzuciła drugi raz rękę Pelskiego... chce pracować na siebie!... Och, Szwarc, Szwarc! choćby przez większe od twoich cierpienia dojść...

Nie dokończył zaczętej myśli, machnął ręką i wszedł do celki.

— Czego chciała Wizbergowa? — spytał apatycznym głosem Szwarc.

— Lula wyjechała do Odessy — odrzekł szorstko Augustynowicz.

Szwarc zamknął oczy i pozostał przez długą chwilę nieruchomy. Wreszcie odezwał się:

— Szkoda! To dobra była dziewczyna ta Lula.

Augustynowicz ścisnął zęby i nic odpowiedział nic.

* * *

Przyszła wreszcie chwila, w której Szwarc wyszedł ze szpitala, a w miesiąc później ukończył egzamina doktorskie. Było to w jasny jesienny dzień, dwaj przyjaciele wracali z dyplomami w kieszeniach do domu. Twarz Szwarca nosiła na sobie jeszcze ślady choroby, ale zresztą był zdrów zupełnie, Augustynowicz prowadził go pod rękę; przez drogę rozmawiali o przeszłości.

— Siądźmy tu oto na tej ławce — mówił Augustynowicz, gdy weszli do ogrodu. — Sliczny dzień. Lubię wygrzać się na słońcu w dzień taki.

Siedli. Augustynowicz wyciągnął się wygodnie, odetchnął i rzekł wesoło:

— Cóż, stary! Od trzech miesięcy powinnibyśmy mieć w kieszeni te marne świstki, które mamy dopiero dzisiaj.

— Tak. Otóż i jesień — odparł Szwarc, odrzucając laską kilka zżółkłych liści leżących wedle ławki.

— Ba, liść pada z drzewa, a ptactwo ciągnie

na południe — mówił Augustynowicz. — Potem, zniżywszy głos i ukazując szybujące po nad drzewami stado pliszek, podał:

— A czy za tymi gońcami słońca i ty nie pociągniesz na południe?

— Ja? dokąd?

— Nad Czarne morze, ku Odesie.

Szwarc pochylił się i pozostał przez długi czas milczący; gdy podniósł głowę, na twarzy malowała mu się prawie rozpacz.

— Już jej nie kocham, Adamie! — wyszeptał.

* * *

Wieczorem tego dnia Augustynowicz rzekł do Szwarca:

— Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą *na marne.*

47 (
16

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXV

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LXXV

HUMORESKI
Z TEKI WORSZYŁŁY

Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygodnika illustrowanego"

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Января 1905 г.

I.

NIKT NIE JEST PROROKIEM MIĘDZY SWYMI

— A! — rzekł, usłyszawszy ten tytuł, mój przyjaciel — »*Nul n'est prophète en son pays*«. — Dlaczego nie dać francuskiego tytułu?

— Radbym z duszy, ale to jakoś nie wypada.

— Dlaczego nie ma wypadać? — odpowiedział. — Ty, *chèr* Worszyłło, zaczynasz dopiero karyerę literacką; twoje nazwisko jeszcze nic nie mówi. — *Pardon!* mój drogi, ale ono nic nie mówi. Ręczę ci, że połowa z tych, co czytać będzie twoją powiastkę, czytać będzie właśnie dlatego, że dasz jej tytuł francuski.

A ja myślę: poniekąd ma racyę. Tytuł dla powieści, to toż samo, co nazwisko dla człowieka. Tenże sam mój przyjaciel ma wiele dowcipu i doświadczenia — to on mnie nauczył, że nazwisko ma tyle znaczenia dla człowieka. Ja bo przez jakiś czas wahałem się w sądzie i o tej kwestyi i o wielu innych.

— Trzeba mieć punkt wyjścia — rzekł mi. — Czy ty, Worszyłło, masz punkt wyjścia?

— Co powiadasz?

— Nie pytaj nigdy w ten sposób: »Co powiadasz?« Ma to w sobie coś ze złego tonu.

Zauważyłeś, że ludzie złego tonu powtarzają często wyraz: »powiada, powiada, pada«.

— Zauważyłem.

— Przepraszam, że ja ci mówię takie rzeczy, ale wprowadziłem cię do p. X., do naszego sławnego W., do hr. M., słowem, w najlepsze nasze towarzystwa, do których chciawszy wejść, trzeba się *naginać* koniecznie.

— Ale o co mnie pytałeś?

— Czy masz punkt wyjścia, zasady? Wczoraj widziałem, jak, rozmawiając z księciem C., skrzywiłeś się jak nieszczęście i wytrząsałeś palcem ucho. To lekceważenie! — to dowodzi, że albo wcale nie masz zasad, albo co gorzej, masz je przewrotne.

Zaczerwieniłem się strasznie i wolałem wyznać, że wcale nie mam zasad.

Ale, o czytelniku! nie zrażaj się. Przyjaciel mój dał mi zasady, których dziś trzymam się ściśle i których, jeżeli nie okażę w ciągu tego opowiadania, wina to będzie raczej nieudolności pióra, niż dobrych chęci.

Poczem mogę przystąpić do samego opowiadania. Pisze się wiele powieści, w których bohaterami są jacyś ludzie lub nawet sfery, o których mówiąc, każdy dobrze wychowany człowiek zawsze dodaje wyraz: »za pozwoleniem«.

Ja sam słyszałem, jak senatorowa K., przedstawiając pani L. znanego artystę W., rzekła:

— Pani pozwoli przedstawić sobie pana... *Pardon! quel est votre nom?...* a! pana W... *mais il a assez de talent, pour nous amuser* — dodała ciszej.

Talent może zastąpić nazwisko i otworzyć podwoje zwykle dla »*canaille*« zamknięte. Trzeba się tylko umieć naginać. Nieszczęściem czy szczęściem, mój bohater nie był ani poetą, ani malarzem, ani muzykiem, ani rzeźbiarzem, ani wogóle długowłosym kochankiem muz; nie miał majątku, brakło mu stanowiska, nie był dygnitarzem, nie miał nadzwyczajnego dowcipu, był zaledwie przystojny, nie miał nic z tego, o czem wyżej.

— Cóż miał?

— Dwadzieścia siedm lat.

— O, o! to niewiele.

W tem rzecz, że miał niewiele lat: był młody; ale miał jeszcze coś prócz tego: między miasteczkiem M. a Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, miał Mżynek.

Qu'est-ce que c'est que ça?

To także niewiele było. Domek z ogródkiem obrosłym leszczyną i z rzeczką płynącą cienistym brzegiem, a prócz tego trzy, ba, nawet nie całe, włóki gruntu.

Ale to jeszcze nie koniec: miał i coś trzeciego, co, gdyby o to dbał, nadawałoby mu pewną pozycyę w świecie.

Nazywał się Wilk Garbowiecki.

Kto zna choć trochę dawne dzieje, ten może słyszał o Garbowieckich, jako za Tarnogrodzkiej bili się mężnie z Sasami. Jam wprawdzie nie wiedział, czy ciż sami nosili miano Wilków, ale przyjaciel, o którym wyżej, oświecił mnie. On w heraldyce wielce *peritus*, utrzymywał, że bohater mój miał z piętnastu senatorów w rodzie a przydomek Wilk dostała ta rodzina z dawnych czasów za jakiś czyn bohaterski. Wszystko to być może, lubo sam Wilk Garbowiecki, którego znałem, nic o tem nie wiedział, a nawet nie uważał sobie za żaden zaszczyt, że się nazywał Wilk Garbowiecki. Wyznaję to ze wstydem — mój bohater nie cenił w sobie urodzenia. Czasem jednak grała w nim dobra krew; nieszczęściem, on utrzymywał, że to nie była dobra krew, tylko obrażona godność osobista. Raz np. bogaty fabrykant pończoch, u którego — wyznaję to znów ze wstydem — Wilk dawał lekcye, oprowadzał go po swoich apartamentach.

— Widzisz pan tę konsolę? — spytał.

— Widzę.

— Pan myślisz, że to co?

— Myślę, że to konsola.

— Pan myślisz, że to marmur? pan pewno myślisz, że to marmur? — to nie marmur, to alabaster. Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmarszczył się na ostatnie pytanie — fabrykant prowadził go dalej.

— Widzisz pan tę kasetkę?

— Widzę tę kasetkę.

— Pan myślisz, że ten cyzyl na niej — to co?

— Bronz.

— Pan myślisz, że to bronz? Tu fabrykant cmoknął, chlipnął, mlasnął i dodał w cichej ekstazie:

— Zł-o to! Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmierzył go oczyma od stóp do głów. Fabrykant nie zauważył tego i na dobitkę rzekł dobrodusznie:

— Kto takie rzeczy ma, ten wygrał.

A po chwili znów:

— Widzisz pan ten portret? (Tu wskazał na własny portret, wiszący między dwoma zwierciadłami w salonie).

— Widzę — to zapewne złoty cielec?

— Co jest cielec, to cielec, a to jest mój portret. A gdzie tu rogi? Co pan mówi?

— Że ten, kto cielca malował, trafił pana... a rogi są w pańskiej kasie.

— Ho! ho! Wilk wyszczerzył staroszlacheckie zęby — mówiono w Warszawie.

Ale Wilk utrzymywał, że wyraz »staroszlacheckie« był głupstwem i mimo moich przedstawień, że odejmuje faktowi koloryt, nie chciał cofnąć zdania.

— A niech mi nie dmie bogactwem! — *Homo sum* — powtarzał z pewną dumą.

Te błędne pojęcia zaszczepiło w nim życie.

Musiał pracować i łamać się z ubóstwem. Ba! gdyby tak miał porządną fortunę, pewnoby mu się rozjaśniło w głowie.

Tegoż zdania był i mój przyjaciel. Zresztą Wilk był dziwak. Pytam go pewnego razu, dlaczego tak pracuje, mając już grosz jakiś i co myśli robić nadal?

— Rolę orać — odrzekł krótko.

Zdziwiłem się.

— Słuchaj, Worszyłło! — mówił dalej. — Pomijam, że osobiste upodobanie ciągnie mnie do roli, ale mam i inne cele. Rozszerzanie zdrowych i uczciwych zasad, mimo że stu głupców z nich się śmieje, jest obowiązkiem uczciwego człowieka. W mieście — ognisko myśli; wy tu macie literatów, gazety, książki, co chcesz! — na wsi trzeba przykładów — tam książek nie czytają. Otóż jadę na wieś dlatego, żeby być takim przykładem, i dlatego jeszcze, że mi się tak podoba.

Ach, czytelniku! Czułem wraz z tobą, że głupstwa mówił, ale nie śmiałem mu się sprzeciwiać, a mój przyjaciel, który jest wzorem dobrego tonu, nie śmiał także, choć nieraz obaj drwiliśmy z podobnych zasad. I teraz wyśmiewaliśmy je, ale dopiero wtedy, gdy Wilk wyszedł. On mówił tak śmiało i tak jakoś patrzył prosto w oczy, gdy mówił! Zresztą, jakkolwiek dobrze wychowany człowiek powinien być trochę *blasé*, są jednak zasady nieznośne, niepra-

ktyczne, zgubne dla naszego spokoju, z których nie można głośno się wyśmiewać, choćby dlatego, żeby zbyt nie drażnić »*canaille*«.

A tak i Wilk osiadł na wsi. On zawsze miał to, co nazywają silną wolą. Skończywszy uniwersytet, w dość krótkim czasie nazbierał trochę grosza do fundusiku, jaki był posiadał i kupił Mżynek. W Warszawie mieli go za waryata, ale jemu było dobrze. Umiał sobie radzić na roli, ile że zajmował się poprzednio teoryą gospodarstwa i naukami przyrodniczemi. Był wesół i szczęśliwy. Widziałem wszystkie jego listy do przyjaciela, z których pierwszy zaraz, jako dość charakterystyczny, przytaczam:

»Kochałem zawsze naturę, pisał Wilk. Dusza moja zachowała całą wrażliwość na jej działanie. Gdybym był poetą, opiewałbym piękności mego Mżynka, ale i nie będąc poetą, odczuwam je w całej pełni. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy! Opiszę ci moje: Erga kai hemerai [1]). Pracuję, jak chłop; rankiem wychodzę sam z pługiem w pole. Latem co za pyszne poranki; w powietrzu pełno blasku, szczera pogoda! Swieżo i rzeźwo w całej atmosferze; z łąk podnoszą się opary, a rzechotanie żab milknie powoli; teraz na ptactwo kolej uderzyć hejnał dzienny. Budzi się ziemia, budzi i wioska; tu i owdzie skrzypnie żóraw u studni, tam woły

[1]) Prace i dni.

zaryczą. Dusza się śmieje, Franku! A no, pastuch wygrywa już na ligawie, a no, dziewczyna, ranna jaskółeczka, splatając warkocz, zawodzi: »dana, oj dana!« Na kościołku ozwie się sygnaturka na jutrznię, to i ja mruczę pacierz, pokrzykując od czasu do czasu na woły. Potem już ruch, jak okiem zajrzysz; kręcą się ludzie i zabiegają wedle roli. Krótko mówiąc: szczęśliwy jestem. W południe kładę się w cieniu pod lipami i albo czytam coś, albo słucham kapeli pszczół nad głową. Wieczorami czytam znów lub rozmyślam com dziś robił, a co jutro robić należy. Samotność nie nudzi mnie. Prócz starej gospodyni i kilku parobków, nie znam nikogo w okolicy. Przez jakiś czas postanowiłem być milczącym przykładem; postanowiłem pierwej postawić Mżynek na wzorowej stopie: zaprowadzić ład, użyźnić glebę, wyciągnąć największe z niej korzyści — oto mój cel tymczasowy. Zauważyłem, że zdrowe a uczciwe idee, dlatego trudno przyjmują się między ludźmi, dlatego uważane są za sentencye, że ci, którzy je głoszą, najmniej sprawdzają je w odpowiedniem postępowaniu na zewnątrz. Iluż to promotorów, głoszących piękne zasady, powinnoby parsknąć śmiechem, spojrzawszy sobie w oczy. Historya rzymskich augurów powtarza się, z tą tylko różnicą, że nasi — to przytem i głównie — niedołęgi. Tak jest, Franku! niedołęstwa więcej jest, niż złej wiary. Ale w praktyce skutki stąd je-

dnakowe. Zdaje mi się, że zrozumienie tego uczyni mnie silniejszym. Nie myślę zresztą i w przyszłości prawić słodko-kwaśnych kazań; wolę czyn niż dyalektykę. Tymczasem uczę moich parobków czytać. Nie uwierzysz, jak opierali się temu z początku. Gdy namowy nie pomagały, porwałem jednego i drugiego za kark i, obiecawszy kije, zmusiłem; teraz już się przekonali i są mi wdzięczni. Dotąd ze wszystkiego jestem kontent. Idzie, Franku! idzie! Muszą już dość gadać o mnie w okolicy; ciekawy jestem, jak będzie z ludźmi. Wczoraj widziałem amazonkę, przejeżdżającą wedle mojej chałupy. Ach! jednej rzeczy mi brak w chacie: kobiety! Poprostu tęsknię za kochaniem, ku niemu rwie się cała męska strona mojej natury. Potrzebuję kochać, potrzebuję mieć żonę i dzieci.

Sciskam cię

Wilk Garbowiecki.

Te listy dostały mi się od owego Franka, do którego były pisane, dlatego znam tak dobrze szczegóły, tyczące Wilka. Mawiano o nim nietylko w okolicy, ale i w Warszawie. Paniom naszym postępowanie jego wydało się oryginalnem; mój przyjaciel przebaczał mu nawet, że siedział na kawałku roli i że pracował, ale... chodzić za pługiem... *c'est affreux, c'est une honte!*

Tymczasem płynęły miesiące, a w Mżynku z dniem każdym poprawiało się coś, ulepszało

Rola, dobrze zorana na najbliższe zaraz żniwa, wydała wcale obfite plony. Wilk miał nawet znaczne dochody; plantacye buraków przyniosły mu nad podziw wiele. Założył przytem jedwabnictwo, trzymał dość znaczną liczbę inwentarza. Podziwiano jego energię, a wkrótce cała okolica nie mówiła o nikim, tylko o nim — Wilk tego chciał.

Wyruszył wreszcie między ludzi. Najpierwej poznał urzędników powiatu, z którymi, volens nolens, musiał bywać w stosunkach. Robił ciągle głupstwa! Co mu to szkodziło, że urzędnicy po małych miasteczkach po za biurowemi godzinami nie robią nic a nic, a w czasie godzin biurowych wykałają zęby, lub trzymają ręce w kieszeniach. W tem nie masz przecie nic nienormalnego. Oto kilka scen z tych stosunków, wedle własnych jego listów spisanych.

Raz u kasyera powiatowego, który miał dwie ładne córki, Wilk rzekł do jednego z urzędników:

— Panie Ludwiku, wejdźmy z sobą w spółkę handlową.

Pan Ludwik był to podpisarz sądowy, a zarazem największy w mieście elegant; chodził w kastorowym, wysokim kapeluszu, nosił binokle na nosie, a na palcu ogromny pierścionek z herbem; pierścionek kupił wypadkiem od Golderywy, ale herb akceptował za swój rodowy, skutkiem czego był arystokratą. Kochał się, na-

turalna rzecz, któż w małem miasteczku się nie kocha, i nakoniec wyraz twarzy miał zawsze groźny a uroczysty, co nadawało mu wiele godności i powagi.

— Mamy wejść w jaką spółkę? — mówisz pan dobrodziej.

— W handlową. Zakładam czytelnię.

— Co? co? — spytano ze wszystkich stron.

— Daję sto rubli na książki i w domu pana Ludwika je składam. Każdy, kto zapłaci 30 kopiejek miesięcznie, ma prawo czytać ile mu się podoba, czy to obywatel, czy urzędnik. Z tych pieniędzy 20 idzie dla mnie, na zwrot kapitału, $2^1/_2$ dla pana Ludwika za mieszkanie, a $7^1/_2$ na coraz nowe książki. Zgoda?

— To się nie uda! to się nie uda! — zawołał burmistrz, wielki pesymista, przytem powaga w mieście.

— To moja rzecz.

— Mówię to panu z doświadczenia.

— Z jakiego doświadczenia?

— Pan jesteś młody człowiek...

— Tem lepiej dla mnie...

— A chcesz być mądrym za wszystkich. Trzeba się było starszych poradzić.

— Toż zawiadamiam panów.

— E! żyliśmy dotąd spokojnie, choć i czytelni nie bywało.

— A! to pan nie przeszkadzaj, kiedy pomagać nie chcesz.

Urzędnik oderwał na chwilę oczy od kart (bo grał) i, zmierzywszy Wilka od stóp do głów, rzekł:

— Nie rozumiem, skąd się bierze w młodzieży dzisiejszej... Ej! pik zwyczajne!

— Wist! — odrzekł proboszcz. — Byle jakich zaraźliwości w tych książkach nie było!

— Wychodź pan. Ja tam wolę preferansa.

— A ja będę czytać — wołała panna kasyerówna. — Panie Wilk, jakie to książki będą. Ja lubię wzruszające — O!

— Cóż, panie Ludwiku? zgadzasz się? — spytał Wilk.

Pan Ludwik szurgnął nogami pod stołkiem, zarumienił się, poprawił krawat, chrząknął i odrzekł:

— Ambaras... ja nie mam czasu.

— Ja panom powiem! — zawołał Antoś Dziembowski, geometra. — To są warszawskie wymysły' a my pokażmy, że także mamy swoją ambicyę.

— Ma się rozumieć.

Wilk nie odznaczał się wogóle cierpliwością, ruszył ramionami i poszedł do kobiet.

Tam udało mu się lepiej. Co więcej, namówił pannę Kamillę, kasyerównę, Beatryczę pana Ludwika, która to panna Kamilla rozkazała poprostu panu Ludwikowi, żeby przyjął obowiązki bibliotekarza.

Garbowiecki waryował, jak widzicie czytelnicy, ale czytelnia stanęła koniec końcem.

«Wiem, pisał, że stracę swoje sto rubli, mimo to rzecz przywiodę do skutku». Przywiódł i stracił. Nikt nie chciał czytać; kobiety spodziewały się lekkich książek — nie znalazły; zniechęcenie było ogólne. Szlachta wiadomość o czytelni przyjęła jak najgorzej. Słyszałem bardzo rozsądne dowodzenie jednego z tamtejszych obywateli: «Dajcie im (mówił o małomiasteczkowych urzędnikach) naukę, dajcie im wykształcenie, a ręczę, że zechcą stanąć na równi z nami, zechcą bywać u nas, zechcą być przyjmowani, będą się uważać za równych nam. Przez Bóg żywy! zastanówcie się, do czego to prowadzi! Nie przewracajcie im w głowach! Gdzież społeczeństwo bez klas niższych i wyższych? Pamiętajcie, że zbytnia nauka niweluje różnice między klasami. Ja ostrzegam was — idziecie do zamętu! Ja mówiłem! ja umywam ręce! ja robiłem co mogłem», i t. d.

Nie przytaczałbym tego dowodzenia, gdyby nie to, że człowiek, który tak mówił, jest znakomitością w swoim powiecie.

Miał racyę. Ileż to niepotrzebnych rzeczy te niewinne głowy dowiedziećby się mogły z książek. Prawdziwie wolę nawet kosterę, gracza, pijaka niż człowieka z przewróconą głową. Niepotrzebnie także nauczał ich Wilk, że przyjmowanie śniadań od obywateli, jest rzeczą naganną. Naprzód miło jest i obywatelowi pokazać się czasem popularnym, a powtóre do tego nie

zmusza się nikogo, to jest przyjęte. Wilk narobił prawdziwego zgorszenia. «Panowie nie udawajcie głuchych, gdy kto do was przychodzi z interesem — rzekł im — nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa».

Ostatnie słowa proboszcz i podsędek wzięli za przymówkę do siebie, bo obaj zażywali tabakę. Pytałem pewnego razu jednego z urzędników, coby o nim, to jest o Wilku myśleli:

— Bo ja wiem, panie (powiada). Ni to był chłop, ni ksiądz, ni szlachcic, ni urzędnik — ot! ja nawet myślałem, czy to nie przebrany...

— Kto?

— Ba, właśnie tego nie mogłem się domyśleć.

Z chłopami bywał Wilk stosunkowo lepiej. Pozyskał przywiązanie swych parobków, których później miał sześciu. «Ja, pisał, nie romansuję ze swoimi ludźmi; każdy z nich musi pełnić swoją powinność czy chce, czy nie chce. Nie uwierzysz, jak mnie gniewa sentymentalnockliwa literatura, przeznaczona dla ludu. Sprowadziłem kilka takich książek z Warszawy W jednej, naprzykład, znalazłem wielce tkliwe opowiadanie, jak beatus Kukufin miał mowę do ludu, i...

»każąc bardzo rzewnie
Wzniósł się nad ziemię na dwa łokcie pewnie«.

czem i «poczciwych kmiotków» tak rozrzewnił, że wszyscy, którzy byli złodziejami przestali kraść, a pijacy wypędzili arendarza. Moral koń-

czy się tem, że daleko lepiej być dobrym, niż złym, bo dobrego dziedzic kocha, a złego nie kocha. Książki te rzuciłem w piec. Rady dawane panom tyleż warte: «Uściśnijcie czasem powiada jeden z autorów, spracowane dłonie, sędziwych kmiotków; dzielcie ich zabawy; nieniechaj panienka ze dworu sunie się czasem w tan posuwisty z raźnym parobczakiem, niech panicz poda delikatną rękę wiejskiej dziewoi, niechaj poprosi jej o piosenkę... i t. d.» Ja tam nie suwam się z niemi w tan posuwisty, nie umizgam się do dziewoi, ani nie upijam z niemi w karczmie. Wolę od czasu do czasu powiedzieć: «Bartek! czasby pomyśleć o pszenicy! Ignac! przyprowadź swego wołu — puszczę mu krew. Franciszkowa, uprzątajcie len, bo się wysypie i t. d. Książki powinni pisać, znający potrzeby tych, dla których piszą, a nie — to lepiej wróble strzelać. Dotychczas jestem kontent z moich ludzi, a z innemi żyję dobrze» i t. d.

Nie zawsze jednak bywało dobrze. Młynek, własność Wilka, sąsiadował z Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, ludzi niezmiernie dystyngowanych, *de la plus haute société*, z któremi zapoznał mnie mój przyjaciel. Otóż ludzie chłodniccy robili nocami, jak to zwykle między sąsiedztwem, szkody Wilkowi w zbożu i pastewnikach. Wilk w takich razach był nieubłaganie surowy. Nie dość, że zebrawszy swoich ludzi, przepędził chłodnickich, przyczem i po skórze

niejednemu podobno dobrze się dostało, ale pozajmował im bydło i nakoniec wytoczył sprawę przed wójta: «Nie chodziło mi (pisał) o szkody, ale chciałem oduczyć od szkód». Wypadły stąd rozmaite zatargi. Charakterystyczną odpowiedź dał jeden z obwinionych, kiedy na pytanie, dlaczego wypasał zboże pana Garbowieckiego, odrzekł:

— Taki to on i pan, kiedy sam za pługiem chodzi; takiego i nie grzech poszkodować.

Mój przyjaciel uważał tę odpowiedź za znakomitą: «*C'est magnifique! magnifique!*» — powtarzał. Dowodzi to jednak (mówił), że i w ludzie prostym jest pewne... pewne... *comment cela s'apelle-t-il?*... pewne poczucie tej myśli, którą francuzi wyrażają: «*noblesse oblige*».

Z powodu tej sprawy wszedł Wilk w bliższe stosunki z państwem Chłodno i bywał tam następnie dość często.

— Prawdziwie — mówił do mnie pan Chłodno — kiedy wszedł pierwszy raz, patrzyliśmy na niego, prawdziwie jak na wilka... *nous l'avons regardé tout-à-fait comme un vrai loup.*

W ich domu jednak rozegrała się najważniejsza część jego historyi, dlatego stosunki te będę opisywał szczegółowo. Dom państwa Chłodnów składał się z samego, z samej i dwóch córek: panny Lucy i Boguni, małej jeszcze, może trzynastoletniej dziewczynki. Oczywiście, w domu tak zamożnym była jeszcze nauczycielka fran-

cuzka (polek tam nie trzymano). Nauczycielka zwała się mademoiselle Gilbert, co zresztą dla nas jest wszystko jedno.

Kiedy Wilk wszedł do salonu państwa Chłodno, madame Chłodno trzy razy kierowała nań binokle; chciała wiedzieć, coby to był za człowiek. Szczęściem wiedziano o jego urodzeniu. Wilk przytem miał rysy szlachetne, obejście łatwe, dlatego dość podobał się odrazu. Panna Lucy spojrzała nań ciekawie, mała Bogunia, dziecko nieśmiałe i smętne, wytrzeszczyła nań chmurne oczy. Pan Chłodno przedstawił go w ten sposób:

— *Ma chèr,* to jest pan Wilk Garbowiecki, którego podobno byłaś ciekawa.

Poczem zakręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Dama, która już wprzód była go obejrzała, nie spojrzawszy nań teraz, odrzekła:

— Słyszałam, że *on* sąsiaduje z nami?

— Tak jest, gospodaruję w Mżynku?

— Dlaczegóż dotąd nie mieliśmy szczęścia widzieć *go?*

— Miałem pilniejsze zajęcie w domu.

Ta odpowiedź, zarówna niegrzeczna jak zuchwała, wywarła jednak niespodziewany skutek. Dama podniosła oczy od robótki i zmierzyła Wilka od stóp do głów. Odpowiedź podobała jej się. Istotnie, żeby tak odpowiedzieć, trzeba było albo być impertynentem, albo mieć jakie prawo obrażania się o zbyt chłodne przyjęcie. Dama przy-

pomniała sobie, że jej interlokutor zwie się Wilk Garbowiecki, skutkiem czego rzekła bez porównania słodziej:

— Tak, zresztą my niedawno przyjechałyśmy z Warszawy.

— Teraz latem panie bawiły w mieście?

— *Oh oui!* dla edukacyi córek moich.

Tu panna Lucy postąpiła krok naprzód, mała Bogunia postąpiła krok w tył.

— Pan zna Warszawę? — spytała znów pani Chłodno.

— Od trzech lat dopiero bawię na wsi.

— My bo tam mamy kuzynów... Hrabiego W... Pan go nie zna?

— Znam.

— Jak to go pan zna?

— Bywałem u niego na Wtorkach.

— U hrabiego W.? Jest to jeden z najbogatszych naszych magnatów.

— Podobno.

— I bywał pan u niego na Wtorkach?

— Razem z innemi.

— *A c'est très bien, c'est très bien,* że pan bywał u niego na Wtorkach. Jakże jego migreny?

— Nie wiem.

— On bo pisuje do nas często. Skarżył się na migreny, ale w ostatnim liście donosił, że mu już lepiej.

— Bardzo się cieszę.

W tej chwili wszedł pan Chłodno.

— *Imaginez!* — zawołała pani. — M. Wilk Garbowiecki *connait notre cousin, le comte* W..., a co więcej, bywał u niego na Wtorkach.

Pan Chłodno uśmiechnął się pobłażliwie.

— Poczciwy, poczciwy ten nasz kuzyn hr. W.! Czyś pan nie uważał, jaki on podobny do lorda...

— Nie uważałem.

— Doskonały, doskonały! Powiadam mu kiedyś w resursie: Hrabio! wyglądasz jak Palmerston. »*You are block head,* mój drogi. Ty jesteś kiep powiada mi. Jak on to przednio wymawia: ...*You are block-head!*«

Wilk uśmiechnął się.

— Pan rozumiesz po angielsku? — spytała skwapliwie pani Chłodno.

— Znam ten język.

— I mówisz pan nim?

— Tak.

— Ah! to taki niezbędny język teraz — wtrąciła panna Lucy.

— Dlaczego teraz? — spytał Wilk.

— Niezmiernie, niezmiernie modny. We wszystkich wyższych domach panienki uczą się po angielsku.

— W jakim celu?

— Taka moda.

— Czyżby nie lepiej poznać niemiecki?

— Gdyby była moda...

— *Fi donc!* panie Wilk. Kto dobrze wycho-

wany mówi po niemiecku? Sami Niemcy lepiej wychowani nie używają tego języka.

— A literatura niemiecka?

— *Les romans Allemands sons insupportables!*

— Może. Ale nauka, ale poezya?

— Rzeczy poważne to nie dla nas kobiet, a poezya?

— Tylko w głowach przewraca — przerwał pan Chłodno. — Ja to powiadam: tylko w głowach przewraca. Ja sam w młodości miałem przewróconą głowę. Marszałek Onowrócki powiada raz do mnie...

W tej chwili weszła mamsel Gilbert. Była to młoda panna z twarzą poważną i sympatyczną. Wejście jej byłoby bez znaczenia, gdyby nie to, że od tej chwili rozmowa zawrzała po francusku, przyczem Wilk zyskał w oczach pań niezmiernie wiele.

— To zdumiewające! — mówiła po jego odejściu pani Chłodne. — Ten człowiek mówi wybornym akcentem!

— Ja mamie powiem, że nawet *grassejuje.* Jak mamę kocham, *grassejuje!*

— Luca ma racyę. *Parole d'honneur grassejuje ...ehr... ehr...* Tak, tak!

Wilk wogóle podobał się państwu Chłodno, a lubo polecono Lucy, żeby postępowała z nim «z całą ostrożnością», jednakże przyjmowano go i nadal dość uprzejmie. Pani miała w tem swój cel; chodziło jej o angielski, który Wilk

posiadał istotnie bardzo dobrze, a którym radaby była widzieć mówiące równie dobrze, swoje córki. Proponowano mu następnie, by uczył panny po angielsku, na co po niejakiem wahaniu zgodził się: «Daję u Chłodnów lekcye, pisał do swego przyjaciela; przyjąłem je dlatego, by mieć wpływ na młodsze pokolenie. Ci ludzie gniewają mnie i śmieszą zarazem. Głupota ich, jak miłósierdzie Boże — jest bez granic. A jednak ciągnie mnie coś do nich! Ty zburczysz mnie, dzielny chłopaku, gdy wyznam ci, że owo coś, jest panna Lucy. Wiem, wiem, przewiduję twoje przestrogi, masz racyę. Ale wpływ męskiego serca na kobietę może być także potężny. Ona zepsuta jest wychowaniem; zresztą, nie kocham jej jeszcze a jeśli mnie przyciąga, to dlatego, że ma trochę zalotności i dlatego, że ja sam czuję niepokonaną potrzebę kochać nareszcie kogokolwiek. Przyznaję, że kiedy parę dni temu, schyliwszy się nad książką, dotknęła lokami mojej skroni, przeszedł mnie płomień od stóp do głów. Pamiętaj, że mam dwadzieścia siedm lat. Miłość rozbita na cały ogół nie wystarcza człowiekowi. W najgorszym razie, nie stanę się przecie niedołęgą» itd.

Wilk, jak widzimy, wpływał na morze pełne pokus; miał się spotkać z tą siłą, wobec której najdzielniejszy męzki opór nie zdał się na nic. Niebezpieczniejsza jeszcze ta siła dla takich, którzy uczucia nie wydają po groszu.

Przyznać bo i należy, że Wilk trafił na silną

pokusę. Lucy nie uchodziła za piękną, ale było w niej coś idealnego: miała ciemne, wyraziste oczy, przepyszne loki i ten jakiś urok, który najsłuszniej możnaby nazwać ponętą niewieścią. Ostatniej zimy robiła w Warszawie furorę.

Niebezpieczny to był tedy stosunek. Pewnego razu Wilk, przyszedłszy do Chłodnów, zastał gości. Byli to dwaj bracia Hoszyńscy, którym powszechnie zarzucają, że nadto dmą z urodzenia i majątku — choć ojciec ich, jak mówią złe języki, był handlarzem wołów. Ale to dawne czasy. Oto jak Wilk opisywał tę wizytę.

«Poznałem dziś dwóch Hoszyńskich — Władysława i Jana. Władysława musisz znać — chodziliśmy razem do szkół. Z tem wszystkiem nie poznał mnie. Zdaje mi się, że przysiada się do Lucy. Obaj zimni, eleganccy, modni, przyczem dość ograniczeni».

Wilk uprzedzał się — a bodaj, czy nie dlatego, że Władzio istotnie czas jakiś był zajęty panną Lucy — obaj, zresztą byli ludzie przyzwoici.

Tegoż wieczora Wilk miał zrobić jeszcze jedną znajomość. Wkrótce za Hoszyńskiemi przyjechał pan Strączek, nieodstępny ich towarzysz: «*attaché*», jak mawiał mój przyjaciel. Hoszyńscy drwili z niego ustawicznie, bo kłamał jak najęty i bawił ich, za co często zasiadał u ich stołu. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, nizki, okrągły, czerwony, z błonką na jednem

oku. Lubił dobrze zjeść, stracił majątek, grywał w karty, dopuszczał się nawet podobno malwersacyi przy grze, zwłaszcza wtedy, gdy był pijany, co zdarzało się dość często. Zarzucano mu bezczelność, ale przyjmowano go wszędzie, bo był dobrze urodzony i, jak wspomniałem, bawił.

— Ho! o Wilku mowa, a Wilk tuż — zawołał. — Cała okolica mówi o panu. W młodości znałem Garbowieckich, dalibóg znałem — zamożni ludzie. Kto pana rodzi? Znałem Garbowieckich — ona była Jazłowiecka.

— To moja matka.

— Patrzajcie!! nigdybym się tego nie domyślił. Jazłowieccy byli spokrewnieni z Radziwiłłami.

Władzio Hoszyński, którego specyalnością było kto kogo rodzi, ozwał się oburzony.

— Ale mylisz się, drogi Strączek.

— Ale pozwól...

— Ale mylisz się — powtarzam.

— Może. Czy prawda, panie Wilk, że uczysz swoich chłopów po łacinie? — po łacinie? — po łacinie?... ha! ha!...

Wilkowi zbierało się na ostrą odpowiedź, szczęściem pani Chłodno pośpieszyła z interwencyą.

— Pan Garbowiecki uczy po angielsku — i to nie chłopów, ale moje córki. To wcale co innego — niech pan Strączek o tem nie zapomina.

— *Pardon!* nie moja wina. Pułkownikowa

z Przestanku mówiła mi, że po łacinie. Ale! czy wiecie państwo, co miała za wypadek?

— Strączek! radzę być ostrożnym — wtrącił drugi Hoszyński.

— Nic złego, nic złego! to po ludziach chodzi; zresztą, milczę. Pan masz humor melancholiczny, panie Wilk, dlaczego pan nic nie mówisz?

— Wobec pańskiej elokwencyi, niemasz dla mnie miejsca.

Spojrzeli sobie w oczy — Strączek zrejterował.

Rozmowa urwała się na chwilę. Zagaiła ją na nowo pani Chłodno.

— Panowie niedawno z miasta? cóż tam nowego w naszej Warszawie?

Hoszyńscy poczęli opowiadać jeden przez drugiego nowinki warszawskie. Pani Chłodno rozpytywała o mody, czego i panna Lucy słuchała z ciekawością. Obie panie dowiedziały się, że suknie w kliny zarzucono już w Warszawie, że pani N. u pp. L. oburzyła na siebie opinię publiczną, bo jadła »*beaucoup de pain*« przy kolacyi, czego, jak wiadomo, przyzwoite osoby nigdy nie robią. Dalej mówiono, jak ten »*charmant mauvais sujet le prince Michel*« przyszedł pijany na wieczór, coby komu innemu nie uszło, a jemu uszło; nareszcie, jak sam opowiadał to Hoszyński, wziąwszy mnie (mówił Władzio)...

— Nie Władziu! nie ciebie, ale mnie pod rękę

Na szczęście, Wilk ze swych warszawskich czasów nadto był przyzwyczajony do podobnych rozmów, inaczej przy swoim charakterze byłby popełnił jaką niedorzeczność.

Ale był przyzwyczajony, bo *chêz nous*, w salonach o niczem innem się nie mówi. Hoszyńskim trzeba przyznać, że tego rodzaju rozmowę umieli podtrzymywać z wdziękiem i lekkością.

Obaj udawali, że Wilka nie widzą; nazywa się to ignorancyą. Jest to straszliwa broń, właściwa ludziom wyższego stanu — patrzeć na osoby, jak na rzeczy. Wierzcie mi czytelnicy, kto posiada tę sztukę, posuniętą do najwyższego stopnia, staje się niezwyciężonym. Największy głupiec *parmi nous* potrafi przywieść do rozpaczliwego gniewu najmędrszego z pomiędzy ludzi innego obozu. Hoszyńscy potrafili skorzystać z tej przewagi, jaką nadawała im nad Wilkiem pozycya. Kiedy Wilk ozwał się z czemkolwiek, obaj popatrzywszy nań tak, jak się patrzy na guzik od surduta sąsiada i nie odpowiadając, zwracali się gdzieindziej. Między nimi a Wilkiem odrazu powstała niechęć, a lubo począł i on traktować ich jak nieletnich, przewaga jednak o tyle pozostała na ich stronie, że Wilk, lubo mógł im przeciwstawić swe urodzenie — nie uczynił tego, jego zasady nie pozwalały na to. Zresztą, okazywał mniej od nich cierpliwości. Hoszyńscy mieli nadzwyczaj wiele zimnej krwi. W Warszawie zwano ich z tego powodu dyplo-

matami. Wysocy, bladzi, ubrani zawsze najstaranniej, istotnie, wyglądali na sekretarzy poselstw zagranicznych, jeśli nie na ambasadorów. Władysław był lepiej ułożony od Jana: »Władzio ma swój szyk«, mówiono o nim w rodzinie. Szczególniej między Władziem a Wilkiem powstała niechęć, której przyczyna była zresztą prosta — odgadli się.

— Ten głupiec, widocznie, stara się o Lucy — pomyślał Wilk.

— Dziwię się, że temu koloniście pozwalają rozmawiać z Lucy — pomyślał Władzio.

— A ona się, widocznie, do niego wdzięczy — zauważył Wilk.

— A ona się do niego uśmiecha — szepnął sobie Władzio.

A obaj mieli racyę, bo ona uśmiechała się i do jednego i do drugiego, jak przystało na dobrze wychowaną pannę. Że Władzio stara się o nią, o tem wiedziała dobrze, że Wilk czuje coś do niej, tego domyślała się również dobrze, nie umiała tylko zdać sobie sprawy, coby to było ono *coś*.

Po herbacie, gdy panowie zostali sami na cygara, Wilk, wierny swym celom, wystąpił niepotrzebnie z jakimiś projektami gospodarsko-administracyjnymi. Szło o budowę jakiejś drogi do stacyi kolei. Wilk ofiarował na pierwszy początek fundusz, jaki był już zebrał, mówił

także wiele o swej czytelni i o książkach, jakie zawierała.

— Utrzymuję stanowczo (mówił), że czytelnie po prowincyach, przy odrobinie dobrych chęci, mogłyby wyrugować ciemnotę, gry w karty, plotki, — a przytem, zwłaszcza gospodarskie, wiele nauczyć. Oto dlaczego sprowadziłem i gospodarskie. Są to rzeczy, które każdy rozumie — proszę więc panów o współudział w zaczętej pracy.

Strączek udawał, że płacze.

— Apostole, apostole! — wołał, bez ciebie nasza okolica byłaby pustynią. Jakże tam jedwabniki, — siedzą na jajach?

Wilk nie odpowiadał.

— Jakże pan, panie Chłodno? — spytał — pan najstarszy z pomiędzy nas?

Pan Chłodno pokazał na twarzy nieco ambarasu; radby powiedzieć Wilkowi, żeby poszedł sobie do dyabła, ale bał się żony, której chodziło o angielszczyznę.

— Kiedym był młody, również robiłem podobne projekta. Pamiętam. Hrabia W... *m'a dit une fois...*

— E! nie chodzi tu o hrabiego W. — przerwał niecierpliwie Wilk.

— Ale chodzi o to, *il me semble* — rzekł, patrząc w sufit Władzio — aby inicyatywa podobnych projektów wychodziła od kogoś poważnego, od kogoś, komuby można zaufać. *Mais*

un homme qui a un nom et de la fortune nie robiłby podobnych projektów. Na budowę drogi np. potrzebaby kapitałów — pytanie, w czyje ręce złożyć te kapitały. Zresztą *ce sont de rêves.* Każdy z nas, większych właścicieli, ma dość kłopotów.

— Och! ile, ile! — westchnął Strączek.

— Wiesz co Strączek, chyba i ty wkońcu zajmiesz się ulepszeniami... ale w czem?

Jan Hoszyński uśmiechnął się.

— Strączek! wyrabiaj kotlety ze starych żerdzi. Cóż, monsieur Wilk, *n'est ce pas possible?*

— Zarówno jak i przemiana osłów na ludzi — odparł poważnie zapytany.

Hoszyński, mimo zimnej krwi, zapłonął; szczęściem, Strączek poderwał.

— Apostole, czyżbyś i taką fabrykę miał zakładać?

— Nie mam dość kapitałów. Musiałby to być zakład olbrzymi. Żegnam pana, panie Chłodno!

— Jakim sposobem wszedł do waszego domu taki intruz? — spytał po odejściu Wilka Władzio pana Chłodno. — Ja kazałbym go lokajowi za drzwi wyrzucić.

— I ja, *mais que voulez-vous?* żona moja przyjmuje go dla angielszczyzny. Zresztą, to niebezpieczny człowiek, gotów w gazetach opisać.

— Ja mu kiedy urządzę sztuczkę — zapewniał Strączek.

— Wartoby. Bez najmniejszego wychowania — dodał Jaś Hoszyński.

— Ale gdzietam! — odrzekł pan Chłodno. — Człowiek gładki, tylko go nie zaczepiać. Wystawcie sobie, w Warszawie bywał w najpierwszych domach.

— Co? co? — zawołano chórem.

— *Je vous assure.* Kiedym był ostatnim razem w Warszawie, pytam hrabiego W., czy istotnie bywał u niego na Wtorkach. »Bywał (powiada) — to dobra głowa. Co chcecie (powiada): »dobra głowa«.

— Czy to prawda jednak, żeby matka jego była Jazłowiecka — spytał Władzio.

— W każdej rodzinie może się znaleźć jaka taka plama — westchnął Jaś.

— Zresztą — mówił dalej — Garbowieccy stracili majątek... a bez majątku sama krew nie uratuje.

— Czego dowodem Strączek — zauważył dowcipnie Władzio.

— No, no!

— Przyznaj, mój drogi, *que vous êtes un coquin.*

— Dla twojej przyjaźni tylko.

Wilk jednak miał zapłatę za gorycze tego wieczora. Gdy wszedł do salonu pożegnać się z paniami, w salonie nie zastał panny Lucy; zastał ją za to w przedpokoju — kto wie, czy nie umyślnie czekała tam na niego. Na odchodnem wyciągnęła doń rękę.

— Znudził się pan z Hoszyńskimi?

— Tak.

Ręka panny Lucy zadrgała lekko w dłoni Wilka, oczy jej stały się jakieś ciepłe.

— Pan zupełnie inny człowiek — szepnęła jeszcze ciszej.

Proste słowa, a jednak Wilk radby był za nie upaść przed nią na kolana.

Wkrótce potem pisany list Wilka brzmiał, jak następuje:

»Trudno dłużej kłamać przed własnem sercem. Kocham to dziecię całą siłą niezmarnowanego uczucia. Gdyby chciała podzielić moją chatę, nie uważałbym na nic — to tylko od niej zależy. Z jakąż radością wyrwałbym ją ze zgniłej atmosfery Chłodnickiego dworu! Dziecię to czyste jeszcze: serce uczciwe, dusza archanielska, umysł jasny. Ona sama czuje próżnię, jaka ją otacza, ona sama radaby się wyrwać do życia, pracy i obowiązku. Ach! drżę na myśl, że może nadejdzie godzina, kiedy będę ją miał tu, w chacie, przy mojem sercu tę moją ptaszynę ukochaną. Zawrzała mi dusza zdwojoną energią, gorycz znikła, jasno mi i światło w piersiach; nigdym tak nie pracował. Wiosna! wiosna na dworze! wieje wiatr ciepły — od świtu do wieczornej zorzy jestem w polu i nie czuję zmęczenia. O Franku! samem poczuciem miłości jestem szczęśliwy«.

I były to istotnie jaśniejsze godziny jego ży-

wota, bo zresztą szczęścia mało miał w życiu. Co prawda, sam sobie winien. Tracił np. na czytelni, a skupował coraz nowe książki. Sam nawet napisał niewielki traktat o pszczelnictwie, znawcy chwalą ten traktat. W Mżynku stanęła pasieka przeszło ze stu ulów złożona; a za przykładem Mżynka poczęły się fundować w ule i inne okoliczne wioski. Jaki taki, to z chłopów, to ze szlachty zjeżdżał czasami obejrzeć wzorowe gospodarstwo w Mżynku — Wilk wykładał im swoje teorye, objaśniał, namawiał. Jedni wierzyli, drudzy nie, ale żywy przykład wiele może. Poczęto oswajać się z nim w okolicy, poczęto przyjmować go w licznych domach szlacheckich. Wilk lepiej nawet był z jednowioskową szlachtą niż z półpankami, jak nazywał Chłodnów i całą ich koteryę.

»Gdyby nie obskurantyzm, który kwitnie w tej klasie ludzi (pisał), możnaby tu więcej zrobić. Na nieszczęście są nieukami; wolę ich jednak, niż półpanków, mniej zcudzoziemczeni, zdrowsi i t. d.«

Następne jednak jego listy mówią już o nich coraz gorzej.

»Uciekają (pisał), jak przed widmem, przed każdą, czy to własną, czy obcą myślą, która mogłaby zamącić im błogi kwietyzm ducha. Oburzano się na mnie, że sprowadziłem kilka książek »niereligijnych«. Miły Boże! są to książki naukowe, które z niereligijnością nie mają nic

wspólnego. Gdybyż oni sami przynajmniej, ci, którzy tak mówią, którzy tak posądzają mnie o »wolnomularstwo«, stale mieli swoje zasady. Przysięgam ci, że wyznają je tylko przez lenistwo, lub dlatego, że się boją żon. Dowodem, zachowanie się ich na nabożeństwach, na które zresztą regularnie uczęszczają. Jest tu w kościele kaplica przy wielkim ołtarzu — panie siedzą przed ołtarzem, — panowie, by się nie mieszać z chłopami, w kaplicy. Co się tam w czasie mszy dzieje, nie uwierzysz. Pogadanka głośna kwitnie, czasem wybuchnie kto śmiechem, aż się po kościele rozlega, opowiadają się *sui generis* anegdotki. Co chwila usłyszysz wykrzykniki: »Niech mnie kule biją!« »Poganin jestem, nie katolik!« Przeszłej niedzieli któryś z nich ciągle powtarzał: »Furda, mości dobrodzieju!« Innym razem ktoś z zapalonych myśliwych polował sobie w najlepsze w kaplicy, zaklinając się, że jeśli nieprawdę mówi, niech go tyle a tyle, przyczem udawał strzały i szczekanie psów. Cóż Franku? to budujące! A jednak ciż sami nazywają mnie »massonem«, ciż sami powtarzają przy każdej okoliczności, że człowiek bez religii gorszy psa«.

Widzimy, że nawet miłość do Lucy, nie nauczyła Wilka patrzeć weselej na ludzi. A tymczasem miłość ta wzrastała szybko i ogarniała go całego. Wyłamawszy się raz z pod form, przyjętych powszechnie przez ludzi dobrego tonu,

szedł we wszystkiem za głosem swej bujnej natury. Stosunki łączące dwoje młodych ludzi, stawały się coraz niebezpieczniejsze. Pani Chłodno, licząc na rozsądek i dobre wychowanie Lucy, nie bywała przy lekcyach, a tymczasem zbliżenie się dwojga młodych pobudziło zażyłość, zażyłość przeszła w przyjaźń, a nakoniec przyjaźń — ze strony Wilka, w głębokie przywiązanie.

Zresztą Wilk, w innych razach, przyznać należy, dość silny — w stosunkach z Lucy był o wiele słabszym. W częstych sam na sam (bo słabowita Bogunia nie zawsze mogła być obecną) Wilk miękł jak wosk. Przytem Lucy drażniła jego miłość własną.

— *Dites moi* — rzekła pewnego razu w przystępie egzaltacyi — *dites moi*, skąd pan bierzesz tyle siły do walki przeciw wszystkim i wszystkiemu?

Wilk spojrzał na nią: głos jej drżał, dziewczęca pierś wznosiła się i opadała szybko, w oczach świeciła niby jakaś nieokreślona chęć, jakieś niewyraźne żądanie i gorączkowy niepokój.

— Skąd sił tyle? — powtórzyła jeszcze.

— Z poczucia obowiązku, pani.

— Ach! ja uwielbiam w panu tę siłę... ja jej zazdroszczę! Pan jednak musi pogardzać ludźmi?

— Nigdy nie pogardzałem niemi.

— Nie! nie! Pan musisz pogardzać niemi... pan ich nienawidzisz... *mais* (tu postać p. Lucy

nachyliła się, a ręka jej spoczęła na ręku Wilka)... *mais vous n'êtes pas mon ennemi? vous ne me méprisez pas?*

Wilkowi pociemniało w oczach; schylił głowę i sam nie wiedział, kiedy wpił się ustami w tę małą rączkę, spoczywającą na jego dłoni.

W drugim pokoju dały się słyszeć kroki pani Chłodno.

— *I love, Thou lovest, He loves* — zaczęła szybko odmieniać Lucy.

— Lucy! przyjechali panowie Hoszyńscy — rzekła mama.

— *We love, You love, They love...*

— *Mon Dieu! comme elle fait d'énormes progrès* — ucieszyła się pani Chłodno.

Tymczasem i Wilk otrząsnął się z wrażenia. Trzeba było iść do salonu.

W salonie siedzieli Hoszyńscy. Strączek, ujrzawszy Wilka, zawołał:

— Hej!... apostole i proroku! gotowe tam pioruny? odbierają ci chleb — gotuj pioruny!

Wilk milczał pogardliwie; nadto był dziś szczęśliwy, żeby odpowiadać na bezczelne dowcipy Strączka.

— Ach! — zawołał ten ostatni ze źle ukrywanym pod maską dowcipu gniewem. — Z wysokości, na której stoisz, apostole, nie raczysz odpowiadać tak nędznym robakom, jak ja! Dobrze więc: dowiedz się, że możesz odesłać do Warszawy swoje książki.

— Panie Strączek, gdybyśmy byli w męzkiem towarzystwie, inaczejbym panu odpowiedział.

— Ho! ho!

— Istotnie, panie Strączek, wesołość powinna mieć pewną miarę — zauważyła pani Chłodno.

— Strączek! — zawołali obaj Hoszyńscy.

Strączek połknął gładko napomnienie i zaczął się tłumaczyć.

— *Pardonnez mois madame!* ja tylko mówię, że pan Wilk może odesłać do Warszawy swoje książki, chyba że chce zakładać księgarnię w N.

— Dlaczego?

— Niech paniom Władzio powie.

Władzio uśmiechnął się zimno i tak zaczął:

— Każdy z nas obywateli pojmuje potrzebę czytania, chodzi tylko o to, żeby nikt nie narzucał się nam gwałtem na przewodnika. Obywatelstwo może obejść się bez opieki nieznanych mu osobistości. Otóż ja, powodowany tą myślą, zrobiłem projekt, na który większość obywateli się zgodziła i... (tu Władzio obrócił się do pani Chłodno)... *Monsieur votre mari aussi.*

Panna Lucy skrzywiła z lekka usteczka; Hoszyński bystro uchwycił wzrokiem jej grymasik, uśmiechnął się i mówił dalej:

— Co miesiąc za kilkanaście rubli kupujemy książek w Warszawie, które rozsyłają się kolejno po domach, należących do składki, a następnie dzielą się i pozostają jako własność.

Tu Władzio spojrzał jowiszowemi oczyma na

Wilka. Istotnie, postąpił sobie niezmiernie zręcznie, bo Wilkowi, jeśli nie chciał okazać, że powoduje nim tylko miłość własna, nie pozostawało, jak przyklasnąć nowemu projektowi.

Był to dla niego cios, bądź co bądź, bardzo bolesny, tak przynajmniej zdawało się Hoszyńskim. Strączek był uszczęśliwiony. Pani Chłodno ustroiła słodko-kwaśną fizyognomię. Panna Lucy rzekła na odchodnem Wilkowi:

— Musi to panu być przykro, bardzo przykro.

— Nie. Gdyby nie moja czytelnia, czyżby stanęła czytelnia Hoszyńskich?

— To prawda.

— Byle wybór książek był dobry i pożyteczny.

Ale Wilk sam się zwodził. Był to cios dla niego, jak mówiłem, bardzo bolesny. W każdej sprawie, bardziej ogólnej natury, biegnie i krzyżuje się mnóstwo nici spraw osobistych. Nikt nie potrafi tak dalece wyjść ze siebie, żeby czynów swych nie zabarwiał szczyptą miłości własnej. Gdyby kto inny, nie Hoszyński, stanął na czele przedsięwzięcia, mniejby to dotknęło Wilka, ale między nim a Hoszyńskim panowała skryta nienawiść. Wilk w czynie ostatniego widział tylko chęć dokuczenia mu. Zresztą, lubo wybór książek Hoszyńskiego pochwaliłby każdy dobrze wychowany człowiek, Wilk piorunował nań w listach do przyjaciela.

»Dotychczas nie sprowadzono ani jednej polskiej książki, pisał. Czytają romanse francuskie,

bez grosza sensu, sprawy kryminalne i najrozmaitsze baliwerny. Takie czytanie szkodę tylko przynieść może. Byłem naiwny, wzywając ich do pomocy. Moje książki czytam ja tylko i dwie lub trzy córki urzędników, które, w braku czego lepszego, kochają się we mnie i dlatego ziewają nad mojemi książkami i t. d.«

Jakoż kłopoty Wilka rosły z dnia na dzień. W chmurnem jego a pracowitem życiu, weselszą stronę stanowiły tylko lekcye u Chłodnów. Lucy robiła zadziwiające postępy, uczyła się z taką gorliwością, że często na twarz jej występowały gorączkowe rumieńce.

— Lucy! Lucy! — przestrzegała mama — nadto żywo bierzesz się do rzeczy.

Była w tych słowach głęboka prawda.

Prawdziwych stosunków między dwojgiem młodych ludzi domyślał się tylko sam Władzio Hoszyński. Nie chodziło i jemu, jak potem mówił, o Lucy, ale także o obrażoną miłość własną. Zaginał i on, wśród księgi wspomnień, dla Wilka tę kartę, »co o krew woła« — jak mówi poeta, a po naszemu, jeśli nie o krew, to przynajmniej o należytą satysfakcyę. Nie sądził jednak rzeczą dość bezpieczną uciekać się do jakichś niedyplomatycznych kroków z Wilkiem. Samo nazwisko rywala budziło w nim wstręt niewypowiedziany . Strączek, który miał pewne filologiczne zdolności, rzekł mu raz:

— Czy wiesz, Władziu, co znaczy nazwisko Wilk Gąrbowiecki.

— Wilk, to znaczy wilk, a Garbowiecki, to od garbować. Przodkowie jego pewno musieli skóry garbować.

— Głupiś Strączek! — odrzekł Władzio.

Czy wyrażenie: »garbować skóry« zrozumiał w innym sensie, niż chciał Strączek — trudno wiedzieć.

Nie używał tedy kroków niedyplomatycznych, ale używał dyplomatycznych: »Człowiek powinien być dyplomatą, co do mnie, mam to we krwi« — powtarzał.

I poradził sobie w ten sposób, że swe niepokoje wyłuszczył panu Chłodno, a pan Chłodno zainterpelował małżonkę.

— Dlaczego nie każesz pannie Gilbert siedzieć przy lekcyach? — spytał.

— Ach! jak ci panowie krótko rzeczy widzą... Pannie Gilbert?... Dziękuję... żeby jeszcze jakie romanse rozpoczęły się w moim domu! Ty, naturalna rzecz, nie zrozumiesz tego, bo ty wogóle mało rozumiesz.

— *Ma chère*, już zaczynasz...

— Ach! nauczycielki! Naturalna rzecz, że ty nie rozumiesz tego, jakie to romansowe. Romans pod moim dachem... O, o, o!

— A choćby się też i pobrali z Wilkiem?

— To by mi nie szkodziło, ale ludzie tego tonu, przed pobraniem, uważają za obowiązek

kochać się wzajemnie — stąd zły przykład dla Lucy... Ona taka jeszcze naiwna!..

— Hoszyński krzywi się trochę o te lekcye.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! dostarcz funduszów, to pojadę do Warszawy i tam Lucy będzie brała od metrów...

Pan Chłodno na wzmiankę o funduszach miał się ku drzwiom.

— Zresztą — mówiła dalej pani — na Hoszyńskiego będzie zawsze dość czasu. Dziś mam inne plany dla Lucy.

— O co idzie?

— To się pokaże. Dostarcz tylko funduszów, żeby Lucy było za co ubrać...

Pan Chłodno trzymał za klamkę.

— Tymczasem sama bywaj na tych lekcyach — rzekł.

— Alboż nie bywam, o ile migreny pozwalają mi na to? Ale ja nie zawsze mam dość sił, jam czasem ledwo żywa... Ty umiesz radzić... a jak chodzi o fundusze...

Pana Chłodno nie było już w pokoju.

Jednakże od tego czasu bywała częściej na lekcyach pani Chłodno, co widocznie gniewało mocno pannę Lucy. Przy matce okazywała się dla Wilka nadzwyczaj zimną, a nawet traktowała go z pewną dumą. Cieszyło się tem macierzyńskie serce, widząc nieodrodną krew swoją, ale Wilk gryzł się i posępniał coraz bardziej.

Kłopoty spadały nań ze wszystkich stron;

czytelnia nie szła, mogło ją teraz utrzymać samo miasto, ale i z miastem stosunki bywały nie najlepsze. Wilk zadrasnął ambicyę i tego świata. Na szczęście wstydzono się go tam i bano potrochu, jednakże niechęć rosła. Wróciwszy pewnego razu od Chłodnów, Wilk zastał u siebie pana Ludwika.

— A! pan Ludwik! — zawołał. — No cóż tam słychać?

— Panie dobrodzieju, niepodobna dłużej wytrzymać.

— Z czem?

— Z księgarnią. Niech się co chce dzieje, ja dłużej nie mogę panu pomagać.

— Dlaczego? Co to znaczy?

— A to pokoju nie dadzą!

— Kto?

— Od bibliotekarzy wymyślają — wołał żałośnie pan Ludwik — od uczonych wymyślają!

— Śmiej się z nich, panie Ludwiku.

— To oni się ze mnie śmieją.

— Na głupców możesz nie uważać.

— Stracę głowę, komu wierzyć. Oni mówią, że to ja głupi.

— A tobie, panie Ludwiku, jak się zdaje?

— I między szlachtą straciłem reputacyę!

— To nadewszystko!

— Ucieszyłem się, dowiedziawszy, że i panowie Hoszyńscy zakładają czytelnię, bo myślę: musi to być coś dobrego, kiedy i tacy ludzie się

do tego biorą. A tu pan Strączek złapał mnie przed kościołem i wobec całego świata nawymyślał: »Ty Ludwisiu (powiada) głupi byłeś i będziesz. Ty (powiada) w to się nie wdawaj. I Wilk (powiada) wyleci z tej okolicy i ty wylecisz, a nie, to ci nikt uczciwy ręki nie poda.«

— Słuchaj, panie Ludwiku — odparł Wilk. — Strączek to jest łotr, a Hoszyńscy sprowadzają francuskie książki, żeby ludzi truć. Jacy to ludzie? — powiadasz — to mi dopiero ludzie! grosza złamanego nie warci! A ja dam sobie rady i ze Strączkiem i z nimi, a jak będzie potrzeba, to choć i przez kij przesadzę.

— Panie dobrodzieju, Hoszyńscy obywatele... kamerdynera mają...

— Bogdaj takich nie bywało. Ty zaś, panie Ludwiku, rób sobie co chcesz — pamiętaj tylko, że ja coś mogę u panny Kamilli. Jeśli na ciebie spojrzy, jak się wyrzekniesz czytelni, to ja nie jestem Wilk. Rób sobie co chcesz, ale to moje ostatnie słowa.

Poczem długo jeszcze Wilk mówił o zasługach, jakie będzie miał pan Ludwik, podejmując się i nadal czytelni. Wreszcie pokazał mu artykuł jednego z pism warszawskich, które chwaliło pomysł i wspominało, że książki złożone są u pana L., przyjaciela oświaty i urzędnika w N.

To ostatecznie pokonało poczciwca. Z pewną nawet dumą zabrał gazetę do miasta, żeby na najbliższym wieczorze pokazać ją pannie Kamilli.

Jakoż u państwa kasyerstwa, gdzie zwykle grano i bawiono się wybornie, pan Ludwik, wstąpiwszy na urządzoną na ten cel z krzeseł trybunę, odczytywał artykuł gazety o czytelni. Na chwilę zapanował entuzyazm ogromny; gazetę wydzierano sobie i przepisywano na wiele rąk, a i Wilk i pan Ludwik tak ogromnie urośli w oczach towarzystwa, że postanowiono, by odtąd, mówiąc o nich, dodawać zawsze: *nasz*, t. j. mówić: *nasz* pan Ludwik z *naszym* Garbowieckim, albo: *nasz* Garbowiecki z *naszym* panem Ludwikiem. Na czytelnię Hoszyńskich oburzenie było powszechne z tego powodu, że nie dopuszczano do niej urzędników. Pan Ludwik, choć jak mówił, pochodził ze szlachty, wyrzekał się jej jednak za arystokracyę i za zadzieranie nosów: zdjął nawet z palca herbowy pierścionek i schował go do kieszeni. »Dobrze im tak, mówił w przewidywaniu jak ten fakt zasmuci szlachtę, sami tego chcieli, niech się nad porządnych ludzi nie wynoszą«.

Gwarno więc było i rzeczy składały się dla Wilka i jego czytelni jak najlepiej... nagle z ust sekwestratora, czytającego dalej gazetę, wyrwał się niespodziany krzyk oburzenia.

— Co tam nowego? coś tam znalazł? zawołano chórem.

Szlachetna twarz sekwestratora płonęła gniewem; przez chwilę mowa była mu nawet odjętą, wreszcie uderzył pięścią w stół.

— Zdrajca! oszczerca! Judasz Iskaryota! — krzyczał z pełnej piersi, aż szyby zatrzęsły się w oknach.

— Kto oszczerca? Kto Judasz Iskaryota?

— Wilk! Wilk! Wilk! Czytajcie! Czytajcie!

Rzucono się skwapliwie do gazety. Pan Ludwik począł czytać.

Artykuł brzmiał jak następuje:

»W numerze dzisiejszym gazety podaliśmy wiadomość o czytelni założonej w N., oto co nam piszą jeszcze w tym przedmiocie z tamtych okolic:

»Chęć do czytania rozpowszechnia się u nas niezmiernie powoli. Miejscowe towarzystwo przekłada do dziś dnia karty, butelki, plotki — słowem, cokolwiekbądź, byle nie książki. Mężczyźni całe dni przesiadują w miejscowych knajpach, damy zaś (poruszenie niespokojne między damami) wolą spędzać czas przed lustrami na ratowaniu podejrzanych wdzięków z pomocą również podejrzanych kosmetyków (fałsz! fałsz nikczemny!!), lub obmawiając się wzajemnie. Dla panien najmilszem zajęciem jest siedzieć całymi dniami w oknach (ach!) i przypatrywać się wypomadowanym kawalerom (fe! fe!), rzucającym czułe spojrzenia na pudrowane twarze (niemoralność!). Zaledwie kilka wyjątków woli poważniejszą rozrywkę, niż podobne zabijanie czasu, zarówno lekkomyślne jak naganne« (krzyki, zamieszanie, hałas).

Jeżeli masz, o czytelniku! pojęcie, co się obe-

cnie dzieje w izbach francuskich, zaledwie zdołasz wyodrazić sobie, co się działo na wieczorze u państwa Kasyerstwa. Uchwalono *unanimitate* zemstę; postanowiono spalić czytelnię lub wyrzucić ją na ulicę. Panowie: Ludwiś, Antoś etc. etc... słowem, wszyscy, czujący zarówno obrazę honoru jak i niegodziwość postępku Wilka, uchwalili przelać krew jego »z pomocą oręża lub broni palnej«.

Wilk jednak, nietylko nie uląkł się pogróżek, które też istotnie nie przyszły do skutku, ale napisał i drugi artykul o okolicznem obywatelstwie. Artykuł ten odczytywano na licznem zebraniu u hrabiego Sztumnickiego, który miał zwyczaj przyjmować szlachtę z nogami założonemi na stół. Tu mniej było krzyku, bo hrabia chory na mlecz pacierzowy nie znosił hałasu — i tu jednak postanowiono pozbyć się Wilka za jakąbądź cenę. Delegowanym od szlachty był Strączek, który obiecywał splatać Wilkowi (»dość już panowie cierpliwości!«) takiego figla, że »albo się wyprowadzi z tej okolicy, albo... panowie!.. no! no!«

Zawisły tedy chmury nad naszym bohaterem, a on tymczasem orał sobie spokojnie rolę w Mżynku, uczył parobków i panny Chłodno, kochając się za jedną drogą w Lucy. Miło jest, kiedy się człowiek kocha, podłożyć sobie ręce pod głowę i ległszy w wygodnym fotelu, pomarzyć o przedmiocie miłości — Wilk tego nie

umiał. Pracował. Pola na Mżynku pozieleniały z wiosną bujnie, jabłoń strzeliła kwiatem, drogi i dróżki zmieniły się w aleje, sadzone płonkami owocu i morwy, powznosiły się nowe budynki, rozkwitło wszystko ładem i dostatkiem. Radowało się dzielne serce Wilka, a ruchliwy umysł tego tworzył coraz nowe plany. Plany te były dwojakie: tyczące się ogółu — i osoby Wilka. W pierwszych mieściły się nowe przedsięwzięcia, ulepszenia, czytelnie. o drugich pisał Wilk do przyjaciela w ten sposób:

»Powinienem, a nie śmiem dotychczas, powiedzieć Lucy, że ją kocham, choć prawie pewien jestem jej wzajemności. Po otrzymaniu formalnego z jej strony wyznania, natychmiast wystąpię jawnie, bo boli i wstydzi mię już ta tajemnica, w jakiej trwają stosunki nasze. Bądź co bądź, dzieci tylko lub nikczemnicy działają, z ukrycia, ale w warunkach, w jakich żyję, nie mogło z początku być inaczej. Wystawiam, ile będę miał przejść z państwem Chłodno i z Hoszyńskimi, jeśli jednak Lucy się zgodzi, nie cofnie to na krok moich zamiarów. Powiadam: wszystko zależy od Lucy i dlatego... mam dobrą nadzieję. Przed sobą widzę dziś ołtarz, a dalej — chatę, dziś cichą, zaludnioną jej szczebiotem, a jeszcze dalej — pracę i znój, działanie na szerszem polu, dzielną czynność na zewnątrz, spokój na wewnątrz... postęp! Boże, daj mi sił!.

Lekcye angielskiego szły z całą punktualno-

ścią. O ile się przy tem dało, Wilk wykładał pannie Lucy swoje teorye o życiu i jego obowiązkach. Jednego dnia, kiedy mama Chłodno miała migrenę, a Wilk mówił żywiej, niż zwykle, Lucy spytała go dość z nienacka:

— Mama mówi, że ja jestem egzaltowana. *Dites-moi...* Ach! prawda — pan nie lubi, kiedy mówię po francusku, a zatem: *Dites-moi, est-ce que c'est vrai, que je suis tellement exaltée?*

— O ile egzaltacyą zwie się miłość do wszystkiego, co dobre — to prawda.

— Pan musi być... *mon Dieu!..* bardzo dobry?

Wilk zaczerwienił się z lekka, a serce zabiło mu tak żywo, że aż odzienie poruszało się na piersi.

— Dlaczego pani to mówi? spytał stłumionym głosem.

— Loki Lucy znalazły się tak blisko twarzy Wilka, że zapach jej warkoczy dochodził do jego powonienia. Powoli, bardzo powoli podniosła nań oczy i rzekła:

— Mówię to, bo... Jakto miłość po angielsku, panie Wilk?.. Jak pan to słowo dziwnie jakoś wymawia?..

Suknia muślinowa Lucy również dziwnym trafem obwinęła jego nogi.

— O, ja jestem egzaltowana!.. nieprawdaż?

— Co pani jest dzisiaj? — spytał drżącym głosem Wilk.

— Co mi jest?.. nie wiem... Tak mi jakoś

słabo! — mówiła, szepcząc... — Czy pan kiedy kochał kogo, panie Wilk?... tak mi słabo!... Boże! co się ze mną dzieje?!

Głowa jej spadła nagłym ruchem na piersi Wilka...

I on pewnoby nie powiedział, co się z nim teraz działo.

Kiedy się wreszcie opamiętał, kiedy chciał przemówić do Lucy w imię spełnionego przed chwilą faktu, nie było już jej w pokoju.

Był za to pan Chłodno, który puszczając dym z ogromnego bursztyna, położył spokojnie rękę na ramieniu Wilka i wedle zwyczaju »*il le regarda tout-à fait comme un vrai loup.*

— Jakże tam lekcye idą? *Comment cela vat-il?* — spytał.

— A! bardzo dobrze!

— Może już dosyć umieją?

— Po paru jeszcze lekcyach.

— To bardzo dobrze. Będę *mu* bardzo wdzięczny za te lekcye.

Wilk skrzywił się trochę.

— Zbytek dobroci — rzekł.

— Nie, nie! wcale nie zbytek... Ale *à propos*: mam do pana interesik. Czy to pan pisałeś ten artykulik w gazecie?

— Ja pisałem.

— Ot! to niedobrze!

— Tak pan znajduje?

— I hrabia Sztumnicki jest tegoż samego

zdania. Jak to niedobrze zrażać sobie takich ludzi.

— Opinia hrabiego Sztumnickiego jest dla mnie obojętną.

— Nawet opinia hrabiego Sztumnickiego? Zresztą, całe obywatelstwo jest niezmiernie oburzone. Pan niepotrzebnie się narażasz, panie Wilk, po co było pisać ten artykuł?

Wilk podniósł z dumą głowę.

— Odpowiadam za niego — rzekł.

— Kiedy wcale nie o to chodzi: ale pozwól pan sobie zrobić parę uwag. Ja sam cenię literaturę. W młodości pisywałem nawet wiersze i *parole d'honneur!* wcale niezłe. Ale chodzi o to, czem literatura być powinna? Owszem, gdyby podnosiła piękne strony obywatelstwa, gdybyśmy zakrywali wzajemnie nasze wady, uczyli innych, kogo mają uważać za czoło społeczeństwa... literatura taka przyniosłaby korzyść i czytającym i piszącemu. Między nami, wierz mi pan, jest wielu ludzi zarówno dobrze urodzonych, jak i postępowych. Literatura powinna być ostrożna — czy nie prawda? Pominę już, że niegodnie jest wykazywać błędy starszych... ale, gdybyś pan nawet prawdę mówił, każdy się spyta, skąd masz prawo prawdę mówić.

— Szanowny panie! stajemy na rozdrożu.

— Hrabia Sztumnicki był niezmiernie oburzony. »Sprowadziłem (powiada) konie angielskie, kupiłem w Wiedniu kocz, kupiłem tryka u Mal-

cana, jestem popularny, witam się z każdym, — trzymam ilustracyę francuską — o tem (mówił) pan Wilk nie raczył wcale wspomnieć«.

Wilk roześmiał się.

— Pan się śmieje, a całe obywatelstwo się oburza jego artykułem. My wszyscy idziemy za postępem. Hoszyński np. ma buldoga, do którego mówi po niemiecku, a sprowadził go z Wrocławia, bo, jak powiada, w Niemczech wszyscy mają psy takie. I pan temu nie zaprzeczysz?!

— A, a nie zaprzeczę.

— Pan skończyłeś uniwersytet i mógłbyś, gdybyś chciał — naturalnie, gdybyś chciał — stać się nam i potrzebnym i pożytecznym. Słusznie, że pan gani urzędników, ale o nas należałoby mówić inaczej. Gdyby tak np. zagładzić jakim artykułem przykre wrażenie i napisać nowy, podnoszący opinię obywatelstwa — co?

— A co?

— Napisz pan tak: „*Donoszą nam z N...skiego, że tamtejsze obywatelstwo przez szlachetność*“ i t. d. Albo: „*Pewną jest rzeczą, że wskutek wybornej uprawy roli i rozumu obywatelstwa zboże tam wydaje*“ itd. Panbyś to potrafił. Nie źle byłoby wspomnieć, że obywatelstwo tutejsze dlatego tak dobrze może gospodarować, że, siedząc od dziada pradziada na jednej roli, zna ją dobrze. Cóż pan na to?

— Nic, panie. Aż do tej chwili pamiętałem, że mówię z ojcem dzieciom.

Poczem Wilk wstał i wyszedł. W salonie za-

stał panią Chłodno, która pożegnała go jakoś ozięble, ale on nie zważał na to.

Po drodze wesoło machał kijem, ścinając przydrożne zioła. Księżyc świecił, cicho było w powietrzu, jako zwyczajnie pogodną nocą letnią. Nagle Wilkowi zdawało się, że słyszy jakby odgłos łamanych drzewek. Stanął i słuchał. Tak jest, ktoś łamał drzewka owocowe, któremi Wilk obsadził drogę. Wszystka krew uderzyła mu do głowy.

— Kto tu? — krzyknął grzmiącym głosem.

Jakaś biała postać zaczęła co sił uciekać ku gościńcowi. Wilk skoczył za nią jak błyskawica i w tejże chwili był tuż przy niej. Jakiś ogromny chłop, widząc, że nie ucieczę, obrócił się groźnie, trzymając siekierę w dłoni.

— A co ty, panku! myślisz, że ja się boję.

Stęknął i nie dokończył. Wilk jednym zamachem żelaznej ręki obalił go na ziemię i, klęknąwszy mu na piersiach, ryknął:

— Łotrze!

— Oj, panie! zlitujcie się! żona, dzieci! zlitujcie się... bójcie się Boga! Mnie zapłacili, żeby ja to zrobił!

Wilk puścił go i podniósł, jako dziecko za kołnierz.

— Kto cię zapłacił?

— Wielmożny panie! to pan Strączek, żeby go wciornaści! Ja mam żonę i dzieci. Powiada: »Idź ty, Bartek, wyłam Wilkowi drzewa, dosta-

niesz po złotemu od sztuki. Tak i poszedłem. On powiada: »Drzewka młode łatwo się złamią«, a to, wielmożny panie, twarde licho, co i bez siekiery nie podolisz.

— Skąd ty jesteś?

— Od Hoszyńskich.

— Bartek! zrobiłem ja ci krzywdę kiedy?

— Nie.

— A tyś mnie za co krzywdził?

— Za złoty od sztuki, wielmożny panie. Nie chciał dać więcej.

— To pójdziesz ty, Bartku, do sądu na srogie ukaranie i święty Boże nie pomoże, a Strączek swoją drogą mi zapłaci.

Tu zaczęły się modły, zaklęcia i przeprosiny, ale, niestety, Wilk nie należał do idealnej szkoły wielbicieli poczciwych kmiotków, a może i łagodności miał za mało — słowem, poszedł nieborak Bartek do sądu.

Wilk poleciał nazajutrz osobiście do Strączka i do Hoszyńskich i, kto wie, coby się stało, szczęściem, nikogo z nich nie zastał w domu. Ale co się odwlekło, to nie uciekło. Sprawa poszła do miejscowych sądów. Wilk wygrał ją, choć żadną miarą nie mógł uzyskać wyroku, jakiego pragnął najbardziej. Chodziło mu o to, żeby Strączek poszedł do kozy, ale Strączek skazany był tylko na karę pieniężną, którą Wilk obiecywał sobie oddać na pomnożenie czytelni.

Cały wyrok wydany był zaocznie. Strączek,

dowiedziawszy się o tem, kazał odpowiedzieć jednem słowem:

— Dobrze.

Przykro jednak było naszemu bohaterowi, tem bardziej, że od tego czasu posypały się nań klęski jedna za drugą. Wypadło znów kilka szkód w polach, wypasano mu lucernę, kradziono pszczoły, a i w mieście doznawał tysiąca najrozmaitszych przykrości. Czy się tem gryzł, czy nie, trudno powiedzieć, to tylko pewna, że im więcej doznawał przeszkód, tem większe i wytrwalsze rozwijał siły oporu.

»Ja sobie dam radę (pisał do przyjaciela). Przewidywałem, kupując Mżynek, ile trudności będę miał do zwalczenia. A no, jednak burzy się we mnie krew i wyczerpuje cierpliwość. Zbyt mi w drogę włażą i mogą zapłacić za to drożej, niż myślą. Nie tyle jednak boli mnie samo prześladowanie, ile nikczemność, która leży na dnie tego wszystkiego. Toczy się skryta walka w ciemnościach, ale ja wyrwę ją na światło dzienne. Nie upadam jednak na duchu. Myśl, że wśród ciemnoty i głupstwa, jakie mnie otacza, mam i ja skrzydlatego sprzymierzeńca, niby anioła skrzydlatego — myśl ta dodaje mi sił, ale i łagodzi mnie. Chcę mówić o Lucy. Nie mów ty mi w swych listach o niej z przekąsem, ani odzywaj się mi półsłówkami. Kocham ją i ufam jej. Stosunki nasze stały się takie, że uważam sobie za obowiązek wystąpić jak najprędzej z pro-

śbą o jej rękę. Niknie wszelka gorycz, gotowem wszystkim wszystkiego zapomnieć, jeśli ona mnie wysłucha. A mam wszelką pewność! Może dziś lub jutro rozstrzygną się losy moje«.

Jakoż nie potrzebował długo czekać. W kilka dni po owym liście, wyszedłszy na oglądanie nowej jakiejś szkody, spotkał państwa Chłodno na spacerze. Oboje rodzice szli piechotą z nauczycielką i Bogunią, panna Lucy zaś konno harcowała po polach i drogach, na jakie poł wiorsty przed rodzicami. Spostrzegłszy Wilka, podniosła szpicrutę do kapelusza na znak powitania. Ręka jej spadła po amazonce, szukając dłoni Wilka.

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykam; pójdziemy cokolwiek naprzód — pokaże mi pan swoje królestwo: *bonjour! bonjour!*

Królestwo Wilka istotnie ślicznie wyglądało w ulewie promieni słonecznych, a i on także nigdy nie czuł się więcej królem.

Ręka panny Lucy nie puszczała jego dłoni, owszem, w długim i pełnym tajemnych drgań uścisku ręka ta zdawała się mówić:

— Oto nie możemy sobie pozwolić więcej, bo patrzą na nas, ale nie rozłączajmy się.

— Teraz albo nigdy! — pomyślał Wilk.

Dziwna jakaś a nieznana bojaźń ścisnęła mu serce. Jakoż chwila była dlań ważna; — od paru słów zawisła jego przyszłość.

Usiłował przemówić... i nie mógł, brakło mu

słów, jak temu, co pierwszy raz prosi o pożyczenie pieniędzy... Nowicyusz!

— Co pan taki poważny dziś, nawet smutny? — spytała Lucy.

— Jam tylko szczęśliwy.

Nowy uścisk dłoni dodany był jako komentarz dla stron obojga.

— Czy znalazł pan kwiat paproci, czy czterolistną koniczynę?

— O! mój kwiat stokroć piękniejszy!

— Głos panu drży... Gdzież pana szczęście?

— Przy mnie.

— Nikt nas nie słyszy... mów pan.

— Moje szczęście od pani zależy.

— Odemnie?

— Tak!

— Uściśnij mi mocniej rękę... odemnie?

— Kocham.

Pochylili się ku sobie młodzi, jakby dwa kłosy; niby szmer pocałunku przeleciał przez powietrze.

Wilk nagle pobladł, wyprostował się na całą wysokość i odkrył głowę.

— Lucy! podaj mi rękę na zawsze, bądź żoną moją.

— Co?

W Wilka niby piorun nagle uderzył. Lucy stała od niego na cztery kroki; gniew i zadziwienie malowały się na jej twarzy.

— Panie Wilk!

— Pani!...

— Panie Wilk! nie zapominaj, do kogo mówisz!

— Przez Boga żywego? co to znaczy!?

Panna Lucy odchodziła od siebie z oburzenia.

— To znaczy, żeś pan postąpił ze mną niegodnie, nieuczciwie, nieszlachetnie, żeś pan nadużył mego zaufania, że to obraża mnie!

Fale krwi uderzyły na twarz Wilka; zamiast odpowiedzi, schwycił za cugle konia Lucy.

— Puść mnie pan, lub zawołam papy!

— Wołaj! Musisz mnie słuchać! Przy wszystkich i w imię wszystkich pocałunków pytam raz jeszcze, co znaczą twoje słowa?!

Wilk trząsł się febrycznie, a oczy jego rzucały błyskawice. Panna Lucy naprawdę przelękła się teraz pogróżki; wszak to ona pierwsza rzuciła się ongi na piersi Wilka.

— Czego pan chcesz odemnie?

— Wyjaśnienia, coś pani myślała, zezwalając na uściski i pocałunki? czyś się bawiła ze mną? czy rozumiałaś, do czego to prowadzi? czy rozumiesz dziś, że to obowiązuje? — Czy brak ci serca, czy rozumu?

— Boże!...

— Mów! bo przy wszystkich o to pytać będę!

— A czy ja co winna!... Jaż się tak nudziłam w Chłodnicy!...

. . . . . .

Wilk już nie pytał więcej: zrozumiał wszystko. Nudziła się biedaczka w Chłodnicy, zatem *pour*

passer le temps wymyśliła sobie zabawkę. Przytem miała lat dwadzieścia, więc nerwy jej nadały żabawie koloryt może zbyt ciepły. Gdyby miała lat z ośm, a Wilk z dziesięć, nazywałoby to się zabawą *w męża i żonę*. Ale w tym wieku, w którym byli, już się w męża i żonę nikt nie bawi. Bawią się za to w inną grę (bardzo zabawną) *kochanka i kochankę* — czasem mówią także — *w miłość*. Ale to jest tylko zabawa i nic więcej, Wilk brał ją nadto seryo. Cóż Lucy o niej myślała? Myślała, że Wilk jest pięknym mężczyzną, a czuła, że wzburzone nerwy dobrze koją się pocałunkami. Temu, ktoby chciał cokolwiek jej zarzucać, możnaby odpowiedzieć, że postępowała z dobrą wiarą; a że tam Wilk mógł przypłacić zbyt drogo, nie przyszło jej na myśl. Przecie rodzona matka nazywała ją naiwną. Ale pani Chłodno nie zupełnie myliła się, licząc na rozsądek i dobre wychowanie córki. Lucy cofnęła się przed mezaliansem...

A tu, czytelniku, maleńkie wyznanie na korzyść naszych salonów. Ile tam pocałunków przemknie się po obsypanych ryżową mączką obliczach — nie nasza rzecz! mezaliansów jednak nie widzimy. Inna rzecz powiedzieć komuś: »kochajmy się, póki będziemy mogli«. Za to potem, gdy czas przeminie, mówi się:

»Ja cię wiecznie będę... wspominać,
»Ale twoją być nie mogę«.

Opinia publiczna jest światłem, kogo oczy bolą, sprawia sobie umbrelkę — męża. Wielu młodzieńczych gierby nie bywało, gdyby nie nerwy — te nieszczęśliwe nerwy!

Wszystko to jednak dobre dla nas; Wilkowi chyba na to się przydało, że

». . . . . na pocieszenie
»Słodką mu zostawiono rzecz — bo doświadczenie«.

Puścił konia Lucy. Mógł jej wprawdzie powiedzieć, że postępował uczciwie, że bez takiego rozwiązania, jakie rzeczom nadał, stosunki ich byłyby poprostu niemoralne, że pragnął uszlachetnić je i t. d. Mógł i wiele jeszcze powiedzieć, ale na coby to się przydało? Puścił konia Lucy... i nie skinąwszy jej głową, wrócił powoli do siebie.

A wracał bardzo powoli. Wracając, czuł tylko, że stało się z nim coś niezwykłego.

W pełnym zamętu kołowrocie myśli, z wysileniem polował na iskierkę świadomości siebie, na wyraźne przynajmniej odbicie spełnionego faktu.

Dziwna rzecz! Nie czuł nawet żadnego bólu, nie rozpaczał, po prostu był ogłuszony.

Po długiej dopiero pracy uchwycił pewien rezultat wypadków. Rezultat ten był taki:

Po pierwsze — stracił Lucy; po drugie — sponiewierano go; a po trzecie:

Trzecia myśl trudna była do sformułowania. Ma ją mniej więcej człowiek wtedy, gdy mówi: »Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że jestem głupcem«. Refleksya niezbyt bolesna, ale okoliczności, wśród których stał Wilk, czyniły ją dlań może boleśniejszą, niż dwie poprzednie. W praktyce życia szła za nią utrata wiary w ludzi, miłości do ludzi i nadziei, żeby kiedyś było lepiej, niż jest.

Wilk przesiedział bezsenny całą noc.

Ważyły się jego losy w samotnych godzinach bólu i rozmysłu. Godziny takie stanowią przełom w życiu. Ranek miał okazać, czy Wilk wyjdzie z walki niedołęgą, czy zahartuje się jeszcze w ogniu.

Tymczasem gwiazdy pobladły. Z mgły i szarych barw półświtu kształty zaczęły występować coraz wyraźniej.

Dniało.

Światło w izbie, gdzie siedział Wilk, zagasło, skrzypnęły drzwi — Wilk wyszedł i pobudziwszy parobków, ruszył z nimi do roboty.

To był dobry znak.

Gdy wreszcie rozwidniło się zupełnie, jedno spojrzenie na twarz Wilka przekonywało, że był uratowany.

Twarz jego była dość blada (nie spał całą noc), ale spokojna, lubo poważna. Może było w niej nawet coś ostrego. Jednak nie osiwiał, ani ołysiał, ani się pochylił, ani nawet nie był

smutny. Po godzinie pracy niktby go nie odróżnił od wczorajszego i codziennego Wilka. O ósmej wrócił do domu i jadł dobrze.

Parobcy zauważyli jednak, że tego dnia nie był zbyt cierpliwy; ale on i zawsze niezbyt był cierpliwy. Wieczorem znów pojechał do Strączka w sprawie połamanych drzewek i znów odpowiedziano mu, że pana niema. Wilk domyślał się, że go nie przyjmują, ponieważ jednak nazajutrz była niedziela, sądził, że złapie Strączka i rozmówi się z nim po kościele.

Niestety! nie przewidywał, co z tej rozmowy wyniknie. Już w czasie sumy Wilk zauważył, że zebrani obywatele, zamiast zwykłych pogawędek i polowań, woleli patrzeć na niego i szeptać między sobą tajemniczo. Strączek przyjechał później i, o ile Wilk mógł miarkować, przyjechał pijany. Za jego przybyciem spojrzenia i szepty zwiększyły się.

Wkrótce domysły Wilka zaczęły się wyjaśniać. Wyszedłszy z kościoła, spostrzegł, że obie strony ścieżki, przez którą miał przechodzić, zajmowali panowie: Szumnicki, Chłodno, dwaj Hoszyńscy, Golibrodzki, Skomornicki, na środku zaś ścieżki stał Strączek z miną bezczelną i wyzywającą.

Wilkowi żywiej uderzyło serce: »O przez wszystkich Bogów! — pomyślał — nie radzę im teraz wchodzić mi w drogę«. »Teraz« to znaczyło: po onegdajszem zerwaniu z Lucy. Wilk,

jako ongi Hamlet, czuł, że w nim teraz jest coś niebezpiecznego.

— No, cóż mości kolonisto! — zawołał Strączek — wygrałeś sprawę? Co ci się odemnie należy?

Wilk pobladł.

— Panie Strączek! — odrzekł głosem, któremu napróżno usiłował nadać ton spokojny — panie Strączek, wyrażenia twoje mogą być niebezpieczniejsze dla ciebie, niż dla mnie.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się nienaturalnie Strączek. — Pytałem, co ci się należy? Doniosłeś, że to ja łamałem drzewka.

— Ha! ha! ha! — zabrzmiało w chórze.

Wilka oczy błysnęły, jak u prawdziwego wilka.

— Panie Strączek! chwila jeszcze a nie odpowiadam za siebie.

— *Ah! cela devient curieux!* — zawołał hrabia Szumnicki.

— Co ci się należy? — pytam — zresztą, milczeć!

— A ty mi z drogi! i wy wszyscy, jak tu jesteście!

— Co? co? Ty śmiesz tak mówić? A oto ci zapłata! oto za drzewka! oto jeszcze rubel na wódkę!

Strączek rzucił w oczy Wilka garść pieniędzy. Krew nie woda! Niby uderzenie piorunu ozwał się policzek... Strączek padł jak długi.

— Nikczemny! — krzyknął Wilk.

Zrobił się popłoch niemały: Szumnicki zgubił okulary — inni panowie połamali kapelusze; mówiły złe języki, że Hoszyńscy z takim pośpiechem wsiadali do karety, że w środku uderzyli o siebie głowami. Wieczorem przyjechał do Wilka Skomornicki, jako sekundant Strączka. Hoszyńscy odmówili mu podobno tej przysługi. Wilk zgodził się na pojedynek.

»Pojedynek ten — pisał do przyjaciela — spadł na mnie niespodzianie. Mimo wszystkiego, co przeciw pojedynkom mówią w wielu kwestyach nie znajduję innego rozwiązania. Z tem wszystkiem kłopot to dla mnie niemały. Mniejsza, że nigdy nie umiałem strzelać, a dziś mniej niż kiedykolwiek, ale ani wiem skąd wezmę świadka. Ciebie nawet nie proszę — wiem, że twoje zasady nie pozwalają na to. W okolicy mam tylko nieprzyjaciół a nie mogę przecie wezwać którego z moich parobków, bo rzecz nie chodzi o kije. Zmiłuj się, przyszlij mi kogo z Warszawy! Chciałbym rzecz skończyć jak najprędzej. Sądzę, że to źle się skończy dla jednego z nas ale chybaby sprawiedliwości nie było, żeby w walce między mną a Strączkiem — zwycięcięstwo miało paść na jego stronę. Na wszelki jednak wypadek chcę być w porządku, dlatego posyłam ci kopię testamentu. Bądź zdrów i zmiłuj się, dawaj świadka, bo nie wiem co zrobię«.

Ale wypadek wyprowadził Wilka z kłopotu.

Tegoż dnia otrzymał list od pana Ludwika, w którym ten ostatni zrzekał się stanowczo czytelni, obiecywał wyrzucić ją w błoto. On wie, że Wilk jest zdrajcą, że zamierzał wydrzeć mu Kamillę — ale nic z tego! W końcu dawał do zrozumienia, że gdyby Wilk chciał dochodzić orężem «tych tu słów», to on, t. j. pan Ludwik, gotów stanąć na żądanie.

Równało się to prawie wyzwaniu. Wilk uśmiechnął się i rzucił list do ognia, ale po krótkim namyśle siadł i odpisał w ten sposób:

«Dziecko jesteś, panie Ludwiku! Nikt nie myśli się z tobą strzelać; czytelni zaś może nie wyrzucisz na ulicę, jeśli zechcesz pofatygować się do mnie dziś, o co, licząc na twój honor i poczciwe serce, najmocniej cię upraszam».

W parę godzin potem pan Ludwik przybył istotnie do Mżynka — Wilk powitał go serdecznie.

— Czekałem na pana z niecierpliwością.

— O co chodzi?

— Ze wszystkich ludzi, których poznałem w tej okolicy, cenię cię, panie Ludwiku, najwięcej; tyś przynajmniej nie zepsuty aż do szpiku kości. Podaj mi rękę i słuchaj.

— O co chodzi, panie dobrodzieju?

Wilk opowiedział wypadek ze Strączkiem, poczem rzekł:

— Liczę na pana, że zechcesz być moim świadkiem. Nie mam tu nikogo w okolicy; wszyscy mnie nienawidzą i wszyscy prześladują.

— A! jakto być może?

— Jednak, cóż ja komu złego zrobiłem; pracowałem jak wół, chcąc polepszyć w okolicy gospodarstwo, a te pieniądze, za które stoi czytelnia, od ust sobie odjąłem. Czego ja chciałem, panie Ludwiku? gdziem szedł? do czegom dążył?

Pan Ludwik uznał za stosowne odpowiedzieć cokolwiek, ale poprzestał na tej uwadze.

— Patrz! — mówił dalej Wilk. W innych stronach kwitnie wszystko, rozumem, ładem, dostatkiem, wznosi się rolnictwo, wznosi się przemysł, budują fabryki, ludzie pracują, czytają, myślą; wszyscy dążą do tego, co rozumne i dobre — błogosławią naukę i pracę, a u nas co?

Wilk zaczął się stopniowo ożywiać i na twarz wystąpiły mu rumieńce; mówił z żarem.

— U nas męty, zło i niemoralność: lenistwo i pycha u góry, ciemnota u dołu. Toż patrz, kto u nas zamożny, kto szczęśliwy, kto choć spokojny? Jedni wydają życie po groszu na gnuśnych i marnych zachciankach, drudzy choć i pracują — to łzy i pot im zapłatą, bo pracują nieumiejętnie. Więc czegóżem ja chciał? czy chciałem własnych korzyści? czy znalazłem między wami szczęście? Jeślim wam mówił: porzućcie karty, butelki, bilard, próżniactwo! jeślim ostatni grosz łożył na czytelnię, jeślim wołał: pracujcie, pracujcie, w nauce przyszłość, w nauce wam własne dobro! to, panie Ludwiku, czy własny interes mną powodował? A no, spoj-

rzyj i tu (Wilk pchnął ręką okno i ukazał na pola mżynieckie), widzisz, jak zielenią się pola, jak szumi zboże. Patrz! wszędzie znać żelazną pracę. Pamiętasz, że Mżynek był ruderą, a dziś powiedz, gdzie rozkwit podobny? Z dumą powiadam: jam to uczynił, a Boga biorę na świadka, że nie dla siebie pracowałem od świtu do nocy, nie dla siebie przelewałem pot, chodząc za pługiem. Dla mnie marnego człeka dośćby mleka dzban i kawał chleba, ale chciałem innym okazać skutki przykładem. Och! panie Ludwiku! ja tylko chciałem zachęcać i nauczać. Gdyby chciano pomagać mi, zamiast przeszkadzać, już dziś inaczej wyglądałaby okolica: zawrzałaby praca, zakwitła zamożność, spokój i szczęście. Tegom chciał — a jednak co?... Mniejsza, że nie powiedziano mi: Bóg zapłać, mniejsza, żem szczęścia nie znalazł, człek i w zmartwieniu może pracować. Nic tego mi nie szkoda! Ale jutro, po jutrze, jeśli mi kula w łeb — to i zmarnieje wszystko, com zrobił. A no i tobie nie skargę wypowiadam, ale chcę, by choć jeden mnie zrozumiał, by choć jeden wyszlachetnił się i oświecił.

— A! panie dobrodzieju! — zawołał ze łzami zacny pan Ludwik — gdybym ja to był wiedział, gdybym ja to był rozumiał?

— Nie wyrzucisz na ulicę czytelni? będziesz pracował? będziesz uczył siebie i drugich?

— Przysięgam! przysięgam! Aaa! ostatni grosz na książki. Przysięgam, będę innym człowiekiem!

— Ano, to uściskaj mnie i bądź moim świadkiem.

Pan Ludwik rzucił się w ramiona Wilka, a gdy podniósł głowę, bogdaj, czy to nie inny był już człowiek. Oczy świeciły mu takim ogniem, jak nigdy przedtem; drżał, wielkie skry zapału przechodziły go od stóp do głów.

Obudziła się dusza i rwała do postępu a światła.

— Ach! czemuż pan nie przemówił tak do mnie pierwej — zawołał wzruszonym głosem. — Pan dobrodziej bywał czasem taki ostry! taki surowy!

Pan Ludwik ani przypuszczał, że wyrzekł słowa ogromnej wagi, tłumaczące w znacznej części ogólną niechęć, jaką budził Wilk. Tak! tak! — bywał Wilk surowy i ostry! On sam usłyszawszy ten łagodny wyrzut, spuścił głowę i milczał. Każdy ma swoje wady — to prawda, ale Wilk milczał, bo nie chciał się tłumaczyć temu panu Ludwikowi, że każdy ma swoje wady, a nie umiał tłumaczyć się inaczej.

W życiu brakło mu nieraz wyrozumiałości. Daje to do myślenia. Wilk nie umiał wychodzić z ludźmi — nie dość miał umiarkowania i miłości. Wilk przedstawiał szowinizm postępu.

Pan Ludwik zabawił parę godzin u Wilka, czekając na Skomornickiego, sekundanta Strączka. Gdy przyjechał, ułożono warunki: odległość dwadzieścia kroków; przeciwnicy mieli, zbliżając

się do siebie, strzelać, kto pierwszy chce — ale o ośm kroków już strzał był obowiązkowy. Prócz tego, by po pojedynku nie narażać ni przeciwnika, ni świadków, że każdy ze strzelających będzie miał przy sobie list, w którym sam siebie oskarża o samobójstwo.

Pozostawało kilka dni do ostatecznego terminu. Przez te kilka dni Wilk pracował, jak i dawniej, w polu, w wolnych godzinach wprawiał się w strzały, wieczorem zaś porządkował swe sprawy i pisywał. Oto jeszcze kilka słów z jego listu, pisanego do przyjaciela w przeddzień spotkania.

«Mimo, że nie umiem strzelać, nie wiem jakie przeczucie mówi mi, że wyjdę z tej walki zwycięzko. Jutro termin. Staram się być spokojnym; ale nie mogę opędzić się pewnym myślom, z któremi, zdawało mi się, żem już skończył raz na zawsze. Wyznaję, że chciałbym choć raz jeszcze ujrzeć Lucy — tak... popatrzeć się na nią z jakiego kąta jeszcze choć przez chwilę. Oddałbym Bóg wie ile, żebym mógł przynajmniej nie pogardzać nią. Wiem, że to słabość, ale wstyd wyznać, jak trudno mi walczyć z podobnemi myślami. Zresztą, jestem spokojny i mam dobrą nadzieję. Czy odebrałeś kopię testamentu? Jutro o piątej rano termin. Natychmiast po pojedynku przyjeżdżam do Warszawy. Bądź zdrów, drogi chłopcze! ściskam cię i pozdrawiam znajomych».

W. Garbowiccki.

Nazajutrz zaledwie świt, na skraju lasu między miasteczkiem a Mżynkiem, Wilk z panem Ludwikiem czekali na przeciwników. Twarz Wilka była poważna, ale oczy patrzyły jasno. Spokój, a nawet chłód jakiś wiał od jego postaci; znać było, że chwili obecnej nie brał lekko; w rysach jego malowała się niezłomna wola, a nawet pewna zaciętość.

Po kwadransie oczekiwania przybyli Strączek ze Skomornickim i doktorem.

Wszyscy skłonili się sobie wedle zwyczaju, poczem przeciwnicy spojrzeli sobie w oczy.

Był to niejako pojedynek przed pojedynkiem. Strączek spuścił wzrok ku ziemi.

Zapewne wziął to za zły znak. Nie tchórzył, ale widocznie nie miał spokoju Wilka. W ruchach jego była pewna gorączkowość, a na ustach uśmiech, ale też tylko na ustach. Bóg wie, co się tam działo w duszy, to tylko pewno, że nienawidził przeciwnika ze wszystkich sił.

Palił cygaro. Zdawało się, że był dobrze po kilku butelkach. Odmierzono metę — przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Tu, jak wiadomo ci czytelniku, następuje mówka. Treścią jej miłość bliźniego, kończy się wezwaniem przeciwników do wzajemnego uściskania się.

Przeciwnicy odmawiają.

Mówka brzmi po polsku. Zły zwyczaj, ale taki zwyczaj! Następne za to słowa, jeśli sekun-

danci są ludźmi dobrego tonu, mówi się po francusku:

— *Messieurs commencez!*

A że Skomornicki był człowiekiem dobrego tonu, dał więc oczyma znak panu Ludwikowi, poczem zwrócił się do przeciwników i rzekł:

— *Messieurs commencez!*

Wilk podniósł pistolet do wysokości ramienia i, zbliżając się do przeciwnika, mierzył spokojnie. Broń w jego ręku, jak gdyby ujęta w żelazne cęgi nie poruszała się najmniejszem drganiem. Tymczasem wionął wiatr cichy, zaszemrał liść, z brzezinowych gałązek krople rosy, niby brylantowy deszcz, spadły na ziemię.

Przeciwnicy przetrzymali się wzajemnie; byli już od siebie o jakie ośm kroków.

Świadkowie spojrzeli na siebie niespokojnie.

Nagle buchnął strzał... Sekundanci skoczyli żywo naprzód.

Wilk zachwiał się, zacharczał krwią i padł na twarz z szeroko rozłożonemi rękoma.

Kula Strączka strzaskała mu czaszkę.

Jeszcze nie koniec historyi. Starania hrabiego Szumnickiego, Chłodnów i Hoszyńskich urwały głowę sprawie, jaka wytoczyła się po śmierci Wilka. Powszechnie zgodzono się na to, że powodem śmierci było samobójstwo, a powodem samobójstwa... Dobrowolni świadkowie, którzy znali dobrze Wilka, złożyli piśmiennie następujące zeznanie:

1. Ponieważ nieboszczyk za życia odznaczał się niezwykłą tak w słowach, jak postępkach oryginalnością i dziwactwem swych zasad;

2. Ponieważ zakładał jakieś czytelnie i sprowadzał książki, których nikt nie chciał czytać;

3. Ponieważ ze szczególną natarczywością napadał na ludzi, zachęcając ich, mimo najsilniejszego oporu, do nauki;

4. Ponieważ uczył czytać swoich parobków;

5. Ponieważ do gospodarstwa w swojej kolonii wprowadzał dziwaczne nowości, jako to: jedwabnictwo, pasieki, wysadzanie dróg owocowemi drzewami, bez czego, jak wiadomo, wszyscy porządni ludzie obejść się mogą.

6. Ponieważ, mimo iż podobno był szlachcicem, sam za pługiem chodził i dopuszczał się częstokroć najprostszych prac w gospodarstwie;

7. Ponieważ takie postępowanie ze zdrowym rozsądkiem pogodzić się nie da...

Przeto oni — podpisani świadkowie — jednomyślnie zgadzają się: «*że nieboszczyk cierpiał pewnego rodzaju manię*, która dla wszystkich rozsądnych była widoczną, a która z czasem, przeszedłszy w zupełne obłąkanie, stała się przyczyną samobójstwa».

Wilka, jako samobójcę, pochowano po za murem cmentarnym. Na grobie jego porósł bujnie piołun.

KONIEC.

II.

DWIE DROGI

I.

Miś Rossowski leżał w głębokim fotelu naprzeciw Jana Złotopolskiego, który leżał w drugim fotelu. Miś palił cygaro i puszczał dym na Jasia, a Jaś palił cygaro i puszczał dym na Misia.

Milczeli. Wreszcie Miś spojrzał posępnie na guziki swych kamaszów i odezwał się:

— No i cóż będziesz dalej robił?

— Albo ja wiem.

Nastała znowu chwila milczenia. Jaś nalał Misiowi szklankę porteru, sam z rezygnacyą pociągnął ze swojej. Widać było pewne zakłopotanie na twarzach obydwóch: zgadłeś, przyszła na nich ciężka chwila.

— Wiele ci może zostać po zajęciu Złotopola? — spytał znowu Rossowski.

— Nic.

— Nic zupełnie?

— Te trochę gratów.

Widocznie niedola, o której mówili, miała na imię: ubóstwo. A jednak na pozór nic nie zdawało się go zapowiadać: ubrania na nich były

pierwszej mody; fotele, na których siedzieli, aksamitne, mieszkanie umeblowane ze smakiem i dostatkiem; przed nimi stała elegancka zastawa do śniadania. Nic nie brakło, chyba wesołości u rozmawiających.

— Więc cóż tedy myślisz robić?

— Mówiłem ci, że nic nie wiem.

— O! ciężkie czasy, w których nawet ludzie tacy, jak my, muszą sami o sobie myśleć.

— Ciężkie! — potwierdził Złotopolski.

— Z Bujnickiemi nie możemy skończyć?

— Choćby dziś. Matka jest za mną, a panna pewno nie ma nic przeciw.

— Zatem kończ.

— Mój drogi, upewniam cię, że mój przyszły papa ma jeszcze więcej długów ode mnie.

— Dlaczegóż się więc starasz o pannę?

— Bo ją kocham.

Jaś Złotopolski powiedział to takim tonem, że choć mu było nie do śmiechu, i sam się roześmiał i rozśmieszył Rossowskiego.

— Doskonały jest ten Jaś! Mów-no bez żartów.

— O czem?

— O Fanny Bujnickiej.

— Dobrze. Otóż żenię się z Fanny dla tych samych powodów, dla których nie żenię się z Berlińską.

— Berlińska ma tylko jedną zaletę.

— Jaką?

— Sto tysięcy rubli.

— Przepraszam cię, dla mnie ma ośmkroć.

— A to jakim sposobem?

— Chyba nie wiesz, co powiedział papa Berliński, że jeżeli córce trafi się nieszlachcic, to dostanie sto tysięcy rubli — a jeżeli szlachcic, zwłaszcza taki, jak ja lub ty, to ośmkroć. Ale Berliński ma jeszcze jedną zaletę, o której może nie wiesz.

— Nie wiem.

— A no, dziadka hassydę, który do dziś dnia wyprawia pobożne tańce z dziesięciorgiem przykazań na głowie.

— Oj, to sęk!

— Fanny ma przynajmniej nazwisko

— I brzemię długów papy?

— I to sęk!

— Słuchaj, Jasiu! ja ciebie nie rozumiem. Nigdybym się nie ożenił z panną bez nazwiska, ale też nigdy nie wziąłbym nazwiska bez pieniędzy. Berliński ma jedno, Fanny — drugie. Z obiema nie możesz się przecie żenić.

— Być... albo nie być?

— Patrzaj! z Szekspira coś zarywasz?

— Oj, Misiu Rossowski! Misiu Rossowski!

— Czego chcesz?

— Naiwny jesteś.

— Tak twierdzisz?

— Tak. Uważaj: Fanny, gdyby dziś miała pieniądze, nie poszłaby za mnie dlatego, że ja ich nie mam. Dla Berlińskiej mam przynajmniej

nazwisko, Fanny go nie potrzebuje — jej potrzeba pieniędzy.

— I tobie potrzeba pieniędzy.

Jaś Złotopolski zanucił:

»Potrzeba nam pieniędzy
»Wenus pieniędzy nie chce dać...

— Otóż dlatego, szanowny Misiu Rossowski, że Wenus nie chce dać pieniędzy, a my obadwa potrzebujemy, ona zgodzi się wyjść za mnie, a ja zgodziłem się już.

— Mów dalej, mój drogi... ty czasem bywasz taki dowcipny! zatem pobierzecie się i...?

— Ja będę żonaty, a ona zamężna.

— A dalej?

— Domyśl się, Misiu! Ja nie należę do ludzi, którzy robią coś bez powodu. Fanny wyjdzie dziś za mnie dlatego, że nic nie ma, a ja ożenię się z nią dlatego, że kiedyś coś będzie miała Rozumiesz teraz, mój panie? Będę miał żonę, jakiej ty przy twoich Rossowcach nigdy nie znajdziesz. Rozumiesz, mój panie?

— Myślisz o ciotce?

— Myślę i myślę, że siedzi na dożywociu po swoim mężu, a stryju Fani, zatem to nie może minąć.

— A jakby to minęło?

Złotopolski położył rękę na ramieniu Rossowskiego.

— Przyjacielu! śmierć nikogo nie mija. Kiedy

cioci zaśpiewają: »*Dies irae*«, to ty, drogi Misiu, zaśpiewasz mi wówczas coś weselszego, np...

— Pana Tadeusza, jeszcze przedtem nim cioci: »*Dies irae*«. Nawet przypomnij sobie nutę, bo ci to będzie potrzebne.

Złotopolski posmutniał.

— *Yes!* Jeżeli mi sprzedadzą Złotopole, to Fanny ani przed, ani po śmierci ciotki mnie nie zechce.

— *Yes!*

— Och! gospodarować teraz, to lepiej kamień sobie u szyi uwiązać! — przerwał Złotopolski.

— Och, gospodarować teraz, to lepiej się nie rodzić!

— Dawnoś był u siebie, w Złotopolu?

— Rok temu. A ty w Rossowcach?

— Rok temu, drogi Jasiu.

— My to najlepiej rozumiemy, co znaczy gospodarstwo!

— A tak, właśnie dlatego, że siedzimy w Warszawie.

— Możemy zatem ocenić, jak małe mamy dochody.

— Zresztą, z raportów naszych ekonomów...

— Wiesz, Misiu, my jesteśmy męczennicy!

— Znosimy to z rezygnacyą: »*noblesse oblige!*«

— Ktoś dzwoni.

— Niech sobie dzwoni. Jeżeli wierzyciel, nie

oddam mu ani grosza; owszem, zabawimy się. Franciszek, puszczać!

Po chwili Franciszek, lokaj, otworzył drzwi panu adwokatowi Maszko. Był to młody jeszcze człowiek, który pracą doszedł do kawałka chleba i wszystko sobie tylko zawdzięczał. Prócz adwokatury, zajmował się rozmaitymi interesami i miał się dobrze. Ale że pochodził z mieszczan z Przytyka, szukał tedy bardzo naturalnie związków z szlachetną młodzieżą, która go tolerowała, a czasem się nim bawiła. Ale pan Maszko miał zdrowy rozsądek i wolał, żeby tacy ludzie drwili z niego, niż żeby nie mieć znajomości między takimi ludźmi. Pan Maszko miał nawet rozum, bo oczywiście tacy ludzie oddawali mu w ręce interesa majątkowe, na czem zarabiał; pan Maszko miał nawet charakter, bo oddawał wszelkie możliwe usługi takim ludziom, szukał ich, szczycił się ich znajomością, ale pieniędzy im nie pożyczał.

— *Bonjour! bonjour mes amis* — witał pan Maszko, podając ręce obydwom.

Młodzi ludzie, nie wstając, podali mu dłonie.

— Ach, Maszko! że też ty nigdy nie nabierzesz manier — rzekł zimno Rossowski. — Ty chyba nie masz w sobie krwi naszej.

— Naprzód, wiedz o tem — odparł przybyły, — że Maszkowie są tak dobrą szlachtą, jak i wszyscy inni, a powtóre, powiedz mi, w czem moje maniery zasługują na zarzuty?

— Jak ty rękę podajesz?

— Jakże mam podawać? Wyciągam dłoń i ściskam rękę tego, z którym się witam.

— A to jest do najwyższego stopnia *mauvais genre.*

— Do najwyższego stopnia! — potwierdził Złotopolski.

— Przez Boga żywego! co mam robić?

— Jakto? tego nie wiesz? Nas przecie nie trzeba tego uczyć, my mamy to we krwi.

— Ależ i ja mam we krwi, zaręczam wam za to; tylko jak nie wiem, no, to nie wiem! Mam we krwi, ale... w zarodku... Każda rzecz potrzebuje się rozwinąć.

— Wiedz więc o tem, że ręki się nie wyciąga wedle zasad dobrego tonu.

— Tylko co się robi?

— Tylko się kurczy.

— Zmiłuj się, jak ja skurczę rękę i ten, z którym się witam, skurczy ją także, to się nie przywitamy.

— To się nie przywitacie, ale nic ubliżycie w niczem prawom, przyjętym przez ludzi dobrze wychowanych. Podając rękę, trzyma się dłoń wyprostowaną przy samych piersiach, albo przy samej pasze. Uważasz: ręka powinna być skurczona, dłoń wyprostowana i położona przy samej pasze. A kto chce, niech po nią sięga. Oto jest godne człowieka dobrze wychowanego.

— A co! zawsze coś we mnie mówiło, żeby

tak rękę podawać! Tak, tak! to jest najodpowiedniej. Jasiu, mój drogi! przychodzę do ciebie w pewnym interesie. Ale co ci jest? jakiś smutny jesteś?

— Mam długów więcej, niż włosów na głowie.

— O! istotnie, to bardzo nieprzyjemna rzecz.

— Jaka rada na to?

— Zapłacić.

— Skąd wziąć pieniędzy?

— Sprzedać Złotopole.

— Chcę to od dawna zrobić, ale skąd kupca?

Maszko uśmiechnął się.

— Właśnie z tem do ciebie przychodzę.

— Wybawicielu!

— Ludzie, jak my, powinni sobie pomagać! Znajdzie się kupiec.

— Kto?

— Niemcy.

— Jacy?

— Koloniści.

— Aa!

— Ale musisz jechać do Złotopola.

— Po co?

— Ułożyć cały interes. Ja pojadę z tobą.

— I zostanie mi się co, jak sprzedam w ten sposób Złotopole?

— Mój kochany, Złotopole razem z Kalinowszczyzną, to magnacki majątek; gdyby towarzystwo sprzedało, to nietylko ty niebyś nie

dostał, ale jeszcze wierzyciele by spadli. Inna rzecz kolonizacya.

— Ileż może pozostać?

— Ze trzykroć — rzekł niby niedbale Maszko. — Zresztą, uważasz, ponieważ to tak dobrze brzmi: Złotopolski na Złotopolu — znajduję więc sposób, żebyś Złotopole sprzedał, a jednak je miał.

— Niech kto co chce mówi, ten Maszko jest jednakże gentlemanem. Jakże to będzie?

— Szczerze ci dziękuję. Jestem gentlemanem i dlatego właśnie rozumiem położenie gentlemana, który ma więcej długów, niż włosów na głowie. Złotopole sprzedasz niemcom, a zostawisz sobie dwór, ogród i parę mórg lasu na park. To wszystko będzie się oczywiście zwało: Złotopole.

— Maszko!

— Kochany Jasiu! Tak jest i za granicą, prawdziwy szlachcic trudni się polowaniem, ale nie rolą. Złotopole będzie niby twojem *pied à terre*.

— Wiesz, Misiu! — zawołał Złotopolski — Maszko jest równy nam pod każdym względem, a jednak, o Misiu! Misiu! między nami i Maszką jest jedna wielka różnica.

— Jaka?

— Że Maszko ma głowę, a my jej nie mamy.

Rossowski odrzekł obojętnie:

— Kto wie, czy Pan Bóg nie dlatego dał Maszce głowę, żeby nas nie utrudzać zbytnim ciężarem.

— Już to tobie musi być lekko, drogi Misiu?

— I tobie, kochany Jasiu.

— Ależ, przyjaciele! — zawołał Maszko — nie macie sobie nic do wyrzucenia. Jasiu, pod jednym warunkiem zajmę się twymi interesami.

— A warunek ten?

— Dasz nam u siebie, w Złotopolu, obiadek przyjacielski; zaprosisz mnie, Misia, Antosia i kogo chcesz więcej z naszego grona.

— Doskonały projekt.

— Zatem pojutrze najdalej jedziemy do Złotopola. *Adieu Mich! Farevel John!*

Tu Maszko wziął za kapelusz i ulokowawszy rękę koło pachy, wyciągnął palce w kierunku Misia i Jasia, a zaś Miś i Jaś, ulokowawszy ręce pod swojemi pachami, wyciągnęli palce ku Maszce. Dłonie ich spotkały się ze sobą.

Gdy Maszko wyszedł, Miś udusił gwałtownie w popielniczce nawpół dopalone cygaro i odezwał się z gniewem:

— *Ambetuje* mnie ten Maszko!

— Przyznaj jednak, że on ma głowę.

— Właśnie, ta głowa, ten spryt do interesów, ten dar radzenia sobie na świecie, przepraszam cię, ale my tacy nie jesteśmy.

— Albo to między nami niema ludzi z głową?

— Nie mówię, ale nie do interesów. Wiem, że Władzio ma głowę — mój ojciec miał głowę...

— A i ty przecie masz talent krasomówczy?

— Że tam czasem jaki *speech* powiem.

— Powiesz na obiadku w Złotopolu. Ej! co tam! niech żyje Maszko i niemcy.

— Wiesz, Jasiu, co ci powiem?

— Nie jestem jasnowidzącym, Misiu, zatem nie mogę odgadnąć.

— Że niemcy chyba mniej jeszcze rozumu od nas mają.

— Dobrze powiedziane — *mais pour-quois ça?*

— A bo dają nam gotówkę, a biorą ziemię.

— Dobrze powiedziane.

— Ich chyba Pan Bóg na to stworzył, żeby ratowali szlachtę polską, — biorą ziemię, a dają talary; rozumiesz, Jasiu! — talary!

— I rozumiem i czuję, że będę je posiadał. Nie mów nic o tem u Bujnickich; chcę Fanny zrobić niespodziankę.

— Dobrze. *Adieu!*

— *Adieu!*

II.

Panna Fanny Bujnicka, perła okolicy, »*fleur de Cuyavie*«, siedziała w salonie z matką i jednym gościem, niejakim panem Maciejem Iwaszkiewiczem, inżynierem. Rozmowa biegała koło niezwykłej i niespodzianej wieści, że Złotopolski ma podobno wyjechać do siebie na wieś.

Iwaszkiewicz spoglądał na pannę Fanny, a czasem i ona spoglądała na niego, gdyby kto

chciał ściślej brać rzeczy, to może i częściej, niż dobry ton pozwala pannie spoglądać na człowieka, który niżej stoi od niej na drabinie socyalnej.

Bo pan Iwaszkiewicz niżej stał. On był synem profesora, a ona córką obywatela ziemskiego. Któżby chciał porównywać? Ale znali się oddawna. Państwo Bujniccy, chociaż, a raczej dlatego, że mieli majątek ziemski, mieszkali w Warszawie, ojciec Iwaszkiewicza, jako profesor, także w Warszawie i w jednym z Bujnickiemi domu, zatem panna i młodzieniec znali się od małego i ongi, nieraz bywało, bawili się w jednym ogródku.

Bo pani Bujnicka, chociaż młody Iwaszkiewicz nazywał się Maciuś, i choć był tylko synem profesora, pozwalała się Fani z nim bawić.

— Moja Faniu — mawiała zwykle — nawet i tacy ludzie, którzy nie mają majątków ziemskich, są, kochanie, naszymi bliźnimi. Pamiętaj o tem, Faniu!

Bratowa pani Bujnickiej, druga pani Bujnicka, łajała matkę Fani o taką popularność. »Jabym — mówiła — nie pozwoliła bawić się mojej córce z chłopcem, który ma takie trywialne imię, a zresztą bałabym się, żeby dziewczynka nie nasiąkła jakiemi zasadami w złym duchu«.

— Prawda, moja droga, ale młody Iwaszkiewicz ma bardzo dobry akcent — odpowiadała

matka Fanny. — Nie rozumiem, skąd tacy ludzie mogą mieć tak dobry akcent.

Wiadomo powszechnie, ile u nas dobry akcent może cudów sprawić. Miś Rossowski mawiał nawet, że nie pojmuje, jak uczciwy człowiek może mieć zły akcent.

Zawdzięczał więc Maciuś francuzczyźnie, że mógł się bawić z panną Franciszką Bujnicką. I bawili się też, bywało, jako dzieci, gwarząc, szczebiocząc, skacząc. Ona biegała naprzód, a on nadążał za jej złotymi lokami, które wiatr w biegu kołysał, i zbierał dla niej to kwiatki, to kamyczki świecące, i co Bóg dał, byle Fania rozweseliła błękitne oczki i powiedziała: »*merci!*«

Płyną lata, jak obłoki po niebieskim przestworzu i w miarę, jak dzieci rosły, coraz milszą zdawała im się wspólna zabawa. Sielanka zmieniłaby się na inny może poemat, gdyby nie interwencya prozy, która pod postacią gospodarza domu, nie dozwoliła Maciusiowi bawić się dłużej z Fanią.

Po prostu profesor, ojciec Maciusia, nie miał czem płacić za mieszkanie i musiał wyprowadzić się, a pan Bujnicki miał czem płacić i został.

Płyną lata, jak fale wiślane! Od tego czasu płynęły jedne za drugiemi, i ani Maciuś nie widywał Fani, ani Fania nie widywała Maciusia. I zapomnieli o sobie, jak kazał czas, czyli owe lata — fale.

Ale los jest miłosierny i zawsze sprawia tak,

że ci, co się widywali za rannych lat dzieciństwa, spotykają się i później.

Przez to oni mogą kochać się dalej, a i powieściopisarz może ciągnąć dalej powieść.

Nie wiedziała tedy Fania o Maciusiu nic a nic. Ona wyrosła na pannę Fanny Bujnicką, »perłę okolicy«, a on...

Na wieczorze u hrabstwa W. Fania ujrzała raz między rojem czarnych fraków, białych gorsów, wąsów, bród, breloków, binokli, młodego człowieka, o opalonej twarzy, z czarną brodą, który zaintrygował ją nieco.

Zaintrygował ją, bo zdawało jej się, że go zna.

— Kto jest ten pan, taki wysoki? — szepnęła przyjaciółce swej, Mani Rossowskiej.

Mania Rossowska przypatrzyła się bacznie młodzieńcowi, pokazywanemu przez Fanię, i odrzekła:

— To coś nowego.

— Wiesz, że ja go znam jakoś.

— Ja go nigdy nie widziałam.

Proszę wystawić sobie zdziwienie Fani, gdy po chwili nieznajomy przedstawił się jej matce, a potem wraz z synem gospodarza domu zbliżył się ku niej.

— *Mademoiselle!* — zawołał syn gospodarza — *j'ai l'honneur de vous presenter monsieur Iwaszkiewicz, ingénieur.*

Fania zarumieniła się przeciw wszelkim prawidłom dobrego tonu, który nakazuje obojętność,

i nie mogła się wstrzymać od dość głośnego objawu zdziwienia.

Poczem spojrzała ciekawie na towarzysza lat dziecinnych! Och! zmienił się bardzo! Dawniej był to sobie poczciwy i nieśmiały Maciuś, a teraz siedział koło niej mąż dojrzały, który więcej zdawał się badać ją, niż usiłował bawić. A mówił przytem poważnie; nie odwoływał się do wspomnień z ogródka. Maciuś nie podobał się Fani.

Ale Fania za to podobała się Maciusiowi. Miała też same złote loki, też same błękitne, wesołe oczy, a obnażone ramiona trzymała tak ślicznie w rąbkach koronek, tiulu i gazy, że jakby dwa gołąbki bliźniacze, zdawały się chcieć ulecieć z tych rąbków, by bujać swobodnie po powietrzu, jak dawniej w ogródku.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, to i Maciuś podobał się więcej Fani. Skończył szkołę centralną w Paryżu, był inżynierem, stał na czele jakiejś fabryki, rozmawiał swobodnie, a co nawet dziwnem zdawało się Fani, że słowa jego, choć równie w dobrym tonie, jak słowa innych panów — miały przecie pewien sens i znaczenie.

Odtąd widywali się stale.

A że w księdze wspomnień, którą każdy w mniej więcej głupi sposób zapisuje, najdłużej nie bledniejąwspomnienia lat dziecinnych, przeto Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich coraz to częściej i Fania wydawała mu się coraz milszą.

Bywał więc często i kto wie, coby się było stało, gdyby nie to, że o Fanię zaczął się starać Złotopolski.

Ktokolwiek on tam sobie był ten Iwaszkiewicz, zawsze był to Iwaszkiewicz, nie Złotopolski. Owo papiery jego spadły głęboko w oczach szczególniej pani Bujnickiej. On chodził piechotą, a Złotopolski jeździł powozem; on był fabrykant, czy tam coś, a Złotopolski obywatel wiejski; Złotopolski miał konia wierzchowego, a on nie; Złotopolski miał grooma w obcisłych inekspry-mablach z perłowymi guzikami po bokach, a on nie miał grooma w obcisłych inekspry-mablach z perłowymi guzikami po bokach.

— Jednakowoż, dziwna rzecz — mawiała pani Bujnicka — ten Iwaszkiewicz, podobno, ma znaczne dochody; mógłby mieć to wszystko, co ma Złotopolski, a jednak... ale nie! jemu właśnie brak tych instynktów, które w Złotopolskim są wrodzone.

I proszę też posądzać wielki świat o interesowność. Miło nam stanąć w jego obronie. Pani Bujnicka wiedziała, że Iwaszkiewicz ma nawet większe dochody, niż Złotopolski, a jednak bez wahania oddała pierwszeństwo ostatniemu, i nawet rzekła kiedyś do córki.

— Fanïu, na miłość Boga! nie pozwalaj Iwaszkiewiczowi poufalić się ze sobą.

Fania podniosła na matkę błękitne oczy.

— *Soyez tranquille chère mère!*

— Ja wiem, że przecie o nim nie myślisz, ale nawet i stosunki zażyłości z takim człowiekiem, to już rzecz trochę kompromitująca.

Papiery Iwaszkiewicza doszły do *minimum*.

Przyjmowano go odtąd tak zimno, że na dobrą sprawę powinien był po prostu pójść do stu... kropek i nie bywać więcej, ale on mimo to bywał, bo każdy człowiek ma jakąś achillesową piętę, a w Iwaszkiewiczu tą piętą był niewymowny pociąg do błękitnych oczów Fani.

Złotopolski nie uważał go nawet za współzawodnika.

— Ot, jakiś *parvenus*, który się wcisnął do *gramundu* — mawiał o nim.

»*Gramund*« znaczy w ucywilizowanym polskim języku: wielki świat.

Iwaszkiewicz za to uważał Złotopolskiego za współzawodnika i zapewne dlatego śmiał twierdzić, że brak mu piątej klepki.

Ale Złotopolski zwyciężał Iwaszkiewicza.

Zwyciężał przynajmniej dopóty, dopóki wieść się nie rozeszła po *gramundzie*, że na hipotece Złotopola jest przynajmniej tyle długów, co snopów na jego łanach. Niejedna matka z wielkiego świata pokręciła wtedy głową.

— Ten poczciwy i kochany Jaś! — mówiono — z nim podobno bardzo cienko, a to taki miły chłopak i w takim dobrym duchu.

Taż sama wieść rozniosła się jednocześnie,

że Iwaszkiewicz z zarządzającego przeszedł na współwłaściciela fabryki machin.

Gdy doszło to z kolei i do Bujnickich, matka weszła z poważną twarzą do pokoju córki.

— Na Złotopolu pełno długów — rzekła.

— Skąd mama wie?

— To już każdy wie.

Panienka milczała zasępiona.

— Cóż mama każe teraz robić?

— Złotopolski odprawił, podobno, grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowymi guzikami po bokach.

— Tego już tylko brakowało.

— To może jeszcze nie prawda. Ale, wiesz, com słyszała?

— Cóż można było gorszego słyszeć?

— To już co innego: że Iwaszkiewicz pochodzi ze szlachty... szkockiej.

— On nawet i nazwisko ma trochę szkockie.

— No! to znowu... nie! ale familia mogła się przezwać! Przyznaj, Faniu, że ty masz pewien »feblik« do tego Iwaszkiewicza.

— Jak tam mama uważa.

— Poczciwe dziecko!

Papiery Iwaszkiewicza skoczyły nagle w górę.

Bo też interesa Bujnickich zaczynały iść na dół. Pan Bujnicki, który mieszkał na wsi i który w ciągu mozolnego swego żywota był generalnym dostawcą pani Bujnickiej, ociężał jakoś na starość, czy co? i zaniedbywał się coraz bar-

dziej w dostawach. On mawiał, że nie może nastarczyć, że robi długi. Jakoż trudno mu było nie wierzyć, a raczej łatwo się było przekonać, że robił długi. Pocieszali się tylko tem państwo Bujniccy, że i co do długów nie pozostali za całem obywatelstwem.

Ale papiery Iwaszkiewicza szły przez to coraz bardziej w górę.

A kiedy jeszcze gruchnęło między ludźmi, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś, co było, jak sądzono, oznaką czegoś niedobrego, papiery inżyniera doszły do *maximum*.

I właśnie widzimy go w tej chwili, siedzącego u państwa Bujnickich i rozmawiającego z matką i panną. On spogląda często na »perłę okolicy«, która zdaje się być zamyśloną i poważną.

— Więc i pan słyszał, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś? — pyta pani Bujnicka.

— Tak — odpowiada inżynier.

— Ciekawam, co go powoduje?

— Konieczność zapewne.

— I prędko będzie z powrotem?

— Zdaje się, że nie prędko. Mówił mi Maszko, że zaprosił jego i kilku z młodzieży swojej sfery na obiad do Złotopola. Maszko nazwał obiad ten pożegnalnym.

Pani Bujnicka spogląda niespokojnie na córkę.

— Być może, że przyjdzie pożegnać się z paniami — mówi inżynier.

— Może być — odpowiada obojętnie Fania.

— A kto wie — odpowiada ze znaczącym uśmiechem pani Bujnicka; — może właśnie dlatego, że wyjeżdża, nie przyjdzie. *Vous savez...* są takie położenia, w których, choć kto wyjeżdża, nie przychodzi jednak...

Z oczu inżyniera strzelił nagle radosny promień, tembardziej, że zdawało mu się, iż na słowa matki Fania uśmiechnęła się z przymusem, a nawet policzki jej powlekł lekki rumieniec.

— Dała mu odkosza. Teraz rozumiem wszystko! — pomyślał.

— Darujcie, moi młodzi państwo, że na chwilę zostawię was samych, ale mam coś powiedzieć służbie. *Pardon, monsieur!* Faniu, dotrzymaj tu panu towarzystwa.

Na twarzy Iwaszkiewicza nie było znać, by się obrażał tem, że pani Bujnicka zostawia go samego z Fanią; a pani Bujnicka rzeczywiście wyszła na chwilę i, spotkawszy służącego, rzekła:

— Jeśli tu przyjdzie pan Złotopolski, powiedz, że przyjmujemy za godzinę.

Pani Bujnicka nie chciała istotnie, żeby Złotopolski przyszedł przy Iwaszkiewiczu.

Tymczasem Iwaszkiewicz siedział sam na sam z Fanią w salonie. Milczeli przez chwilę oboje, wreszcie Iwaszkiewicz poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Towarzystwo straci zapewne wiele na wyjeździe pana Złotopolskiego.

Z kwaśnej miny inżyniera możnaby sądzić, że zapewne chciał powiedzieć coś innego, ale to jakoś tak samo mu się wymówiło.

— Tak pan sądzi? — spytała Fanny.

— Ja? o nie, pani! ja myślałem, że może pani tak sądzi?

— Niech mi pan wierzy, że w tej chwili myślałam zupełnie o czem innem. Ja myślałam o naszym ogródku dziecinnym. Pamięta pan nasz ogródek?

— Jeżeli kto z nas dwojga go zapomniał, to nie ja.

Fania spuściła oczy.

— I nie ja... także...

— Pani! — rzekł Iwaszkiewicz — dziękuję z całego serca za te słowa. Ja nie trwonię ich nigdy napróżno i nie przypuszczam, żebyś i pani mówiła je bez poczucia prawdy.

— Czy ja panu co złego kiedy zrobiłam, że pan mnie sądzi tak surowo?

— Ja?

— Wiem — mówiła dalej ze smutkiem w głosie. — Pan przy swoim rozumie uważa mnie za próżną i popsutą dziewczynę światową, pan nie wierzy, że ja mogę coś szczerze mówić, a jednak...

W niebieskich oczach Fanny błysnęło coś nakształt łez.

— A jednak mam jeszcze kilka kwiatków

zasuszonych z naszego ogródka... ale ja jestem próżna i popsuta dziewczyna światowa? ja nie umiem pamiętać? Prawda?

— Nie, pani, to ja nie śmiałem się spodziewać, że pani pamięta.

— I dlatego nie spytał pan nigdy o to?

— Dlatego. Bałem się spytać, bo nadto ceniłem te wspomnienia. Tak jest, bałem się, byś pani nie rozwiała ich jednym obojętnym uśmiechem.

— Mój Boże! Tyle mówią o pańskiej energii, a pan taki nieśmiały. Czy to tylko ze mną?

— Tylko z panią.

— A przecież my się znamy od tych czasów, kiedy jeszcze pan mi mówił.. jak to tu teraz nawet powiedzieć?... kiedy pan mi mówił: »Faniu«.

— O, pani! jeśli to żarty, to złe żarty...

— Jakie przystoją zepsutej, światowej dziewczynie? Ha, jeżeli tak, to dajmy temu pokój. Może pan woli o czem innem mówić. Otóż i mama przychodzi! Dużo pan ma zajęcia w swojej fabryce?

Pani Bujnicka weszła tymczasem do pokoju i, rzuciwszy przenikliwym wzrokiem na Fanię, spytała łaskawie:

— O czem-że to państwo rozprawiacie? o fabryce?

— Tak, łaskawa pani! właśnie mówiliśmy o fabryce.

— Musi to jednak być panu przykro siedzieć od rana do wieczora między robotnikami?

— Nie, pani.

— A jednak są to ludzie bez wychowania; wystawiam sobie, jak straszne muszą mieć maniery.

Iwaszkiewicz uśmiechnął się.

— Przy młotach i ogniskach, buchających skrami, mają wcale odpowiednie.

— Trudno jednakże podobać sobie w takich zajęciach.

— Ja tam miłuję je z całej duszy. Przyczem (tu oczy Iwaszkiewicza ożywiły się) robię teraz wielką próbę, która jeżeli się uda...

— Przyniesie panu wielkie dochody?

— To może nie. Jest to rzecz inna. Pragnę usunąć wszystkich ludzi obcych z fabryki, a mieć robotników swoich, tuziemców. Przez to mam nadzieję wszczepiać powoli między nas zamiłowanie przemysłu. A u nas potrzeba podnosić przemysł.

— Jednak słyszałam bardzo dystyngowanych ludzi, mówiących, że przemysł nie zgadza się z naszym charakterem.

— Często i dystyngowani ludzie mówią absurda.

— Tak pan sądzi?

— Szczerze tak sądzę. Nie przeczę, że z natury kraju, rola zawsze będzie stanowiła główne zajęcie większości, ale i gospodarstwo rolne nie

powinno ograniczać się produkcyą surowych materyałów; ono albo musi stać się przemysłowem... albo wyjść z naszych rąk.

— Mówiono mi, że gospodarstwo przemysłowe potrzebuje znacznych kapitałów.

— Bez kwestyi.

— Skądże ich wziąć?

— Z rozumnej pracy, której więcej nam jeszcze brak, niż kapitałów.

III.

Na Złotopolu gwarno, zgiełkliwie i wesoło. Zjechał pan, a z panem i inni panowie. Przyjechali także z Prus panowie Szulce, Miller, Mitke, Jausch, Wiseman, pełnomocnicy kolonistów. Układy idą żywo i dość szybko posuwają się naprzód. Raz wraz przyszli dziedzice Złotopola chodzą od rządzcy, u którego stanęli, do dworu, gdzie stoi pan z innymi panami. I koloniści radują się, poglądając, jak wiatr chwieje zbożem na łanach mazowieckich, i młody dziedzic z zadowoleniem obserwuje ładowne kieszenie panów Szulce, Millera, Jauscha et comp. Po wsi tylko strach przyszłych sąsiadów, ale co komu do tego? Zbierają się gromadki gospodarzy i radzą. Wolno i im radzić, niech każdy myśli o sobie. Ożyło całe Złotopole i jeszcze piękniejsze wydaje się, niż zwykle. I to dobra nowina! im Zło-

topole piękniej się wyda, tem Niemcy więcej za Złotopole dadzą.

Prócz chłopów wszyscy kontenci. Pan Maszko rozpływa się z radości, bo oto książę Antoś, ma także majątek do rozkolonizowania, chodzi z nim pod rękę lub klepie go po ramieniu i mówi mu: »*cher ami*«, a pan Maszko nazywa go z kolei swoim poczciwym Antosiem. Jaś Złotopolski każe nakrywać do obiadku, a Miś przygotowywa *speech*, który powie przy pierwszem zdrowiu.

— Jasiu! Jasiu! — woła wreszcie książę Antoś — widziałeś swoją Fanny przed odjazdem?

— Nie, nie widziałem; chcę jej zrobić niespodziankę.

— Ucieszy się mała! — wtrąca Maszko.

— Spodziewam się — odpowiada Złotopolski. — Ma ona dosyć na to rozumu.

— O to najmniejsza! — przerywa książę Antoś — ale ładna kanalijka. Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie!

Pan Maszko parska śmiechem z całej duszy; on jest tegoż samego zdania, ale nie umiałby się tak dosadnie wyrazić.

— Nie! wiecie panowie — woła pan Maszko — że ten Antoś jest tak wyborny, że ha! ha! ha! uważaliście, jak on to powiedział: »Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie«!

— Ależ kochany Maszko! każdemu może się trafić powiedzieć coś dowcipnego — mówi skromnie książę Antoś.

— Nie, nie, nie każdemu!

Tymczasem Miś Rossowski zbliża się i, usłyszawszy o co chodzi, mówi:

— Co się tyczy Fanny, to ja wiem, że ona może się liczyć nawet do bardzo wykształconych. Ja wam za to zaręczam.

— A z czegoś to poznał? — pyta Złotopolski.

— Z czegom poznał? Na własne oczy widziałem, jak u Wici Zdzierżyckiej, która jak wiecie, chce uchodzić za uczoną, Fanny trzymała w ręku książkę z filozofią Hegla.

— No i cóż?

— I cóż? I zobaczywszy, że to Hegel, powiada: »*a!*« a prosta rzecz, że gdyby nie słyszała o Heglu, toby nie powiedziała: »*a!*«

— Trzeba było powiedzieć: »*b!*« — mówi książę Antoś — to i tybyś uchodził za uczonego.

Tu już pan Maszko bucha takim śmiechem, że pęka mu spinka przy kołnierzyku, a Miś Rossowski odpowiada:

— Nie puszczaj się, drogi Antosiu, na alfabet, bo wątpię, czy dociągniesz do końca.

— *Ma foi!* i ja wątpię. Jasiu, chodźmy na obiad. Misiu, gotuj *speech!*

Jakoż przechodzą wszyscy do sali jadalnej, z której ścian spoglądają na nich wąsate, groźne twarze dawnych Złotopolskich. Maszko spogląda na nich, jak lis na winogrona. Wszyscy siadają do obiadu.

— A cóż twoi niemcy? — pyta Miś.

— Spodziewam się, że nie z nami — odpowiada Jaś. — Sprowadziłem im bajryszu, który piją teraz u rządcy.

— Ależ mają, bo mają talarki.

— Któżby je miał? to tylko na nas takie ciężkie czasy, że niedługo nie będziemy mieli co do ust włożyć! Antosiu, porteru czy piwa angielskiego?... Doskonałe!... Misiu, jakie wino pijasz po zupie?

— No, a mój *speeeh!*

— Powiesz przy mumie. Tak, moi panowie! ciężkie teraz czasy i musimy się dyablo ograniczać.

— Kolonizacya to jedyny nasz ratunek.

— Niech żyje kolonizacya!

— Kolonizujmy, parcelujmy! niech żyje kolonizacya!

— Panowie! tylko nie unośmy się — mówi Miś. — Prawdziwi gentlemani nie unoszą się przed bifsztykiem. Tak jest przyjęte.

— *Yes! yes!*

Tymczasem podają bifsztyk, po którym, nawet ludziom najlepszego tonu wolno być wesołymi, a zarazem przynoszą muma, który ma własność rozweselania ludzi wszystkich tonów. Książę Antoś spogląda pod światło na szumiące perełki złotego napoju, potem wstaje i woła:

— Zdrowie gospodarza!

— Zdrowie gospodarza! — powtarza pan Maszko.

— Obyśmy dożyli lepszych czasów!

— Obyśmy dożyli lepszych czasów! — powtarza Maszko.

— Cicho! — woła Miś.

Wszyscy siadają. Miś pozostaje stojący i, trzymając kieliszek, mówi:

— Panowie, mówię poważnie, bo *speech* powinno się mówić poważnie.

»Zebraliśmy się tu, aby odpocząć po pracy i trudach, jakie dla dobra naszego ogółu ponosimy w stolicy. Wprawdzie i tam, mową i drukiem, z pomocą pism, zarzucają nam, że nie robimy nic a nic — ja protestuję (»I ja!« woła Maszko). Maszko, nie przerywaj! ja protestuję! — My to nawet w dzisiejszych ciężkich czasach utrzymujemy godność naszego ogółu. Pytam: dlaczego? A któż ożywia wyższe towarzystwa? Kto stanowi prawa dobrego tonu? kto utrzymuje polor towarzyski, kto dyktuje prawa szyku? — My! Gdyby nas nie było, nie byłoby tego, co nazywamy wyższem towarzystwem, a wszakże Anglia ma swoich lordów, Francya swoją 'noblesę, Niemcy swoich baronów. My utrzymujemy tę równowagę u nas. Jest to porządek natury. Kto nie wierzy, niech spojrzy na konie i barany. Są między końmi szkapy chłopskie i folbluty, są między baranami zwykłe i merynosy. Sama natura tak postanowiła, sama natura i nas postawiła na czele ogółu. My to bowiem jesteśmy końmi folblut, my jesteśmy baranami z rasy

merynos! (Brawo! brawo!). — Nie przerywajcie! A teraz, panowie! jeżeli słowa moje trafiają do waszego rozumu, kto sprawił, że możecie ich słuchać? — Złotopolski. Kto przez kolonizacyę daje nam przykład, jak powrócić owe dobre czasy, gdy ludzie, jak my, nie mieli długów? — Złotopolski. A przytem on jest tak dobrym folblutem, tak dobrym baranem merinos, jak każdy z nas. Panowie! Sądzę przeto, że ów gentleman zasługuje, aby mu wykrzyknąć: hip! hip! Zatem hip! hip! Jeszcze raz: hip! hip! (Maszko krzyczysz jak mazur, nie anglik!) hurra! hurra!

Jaś Złotopolski dziękuje towarzyszom, trącacając się z nimi kolejno. On wie, że każdy może pójść jego śladem i nie widzi w swoim postępku nic godnego uwielbienia. Przecież kolonistów nie zabraknie.

— Panowie! nie przeceniajmy się wzajemnie!

Wreszcie po kilku jeszcze zdrowiach obiadek się kończy.

— Teraz kawa, cygara i przechadzka — mówi gospodarz.

Jak miło jest na wsi, po dobrym obiedzie i po kawie, pójść jesienią na przechadzkę, gdy na dworze skrzy się pogoda, liść nie szemrze, a w ulewie promieni słonecznych pływają białe nitki pajęczyny. Tak cicho i spokojnie płyną one włókienka z przędziwa Matki Boskiej, jako żywot szlachcica polskiego bez skazy na sumieniu, bez długów na hipotece. Jesień polska, gdy

się uśmiechnie, to chociaż rzewnie jakoś, ono już tak poczciwie i serdecznie, że z duszą i sercem kupi cię takim uśmiechem. Wesoło wtedy i radośnie wiejskiemu człowiekowi. Przyszedł czas spocząć po pracy: chlebny czas, zbożny czas! W rżyskach krzyczą z wielką wrzawą koniki polne, a na ugorze pastuch, choć zbył już fujary, ale i bez fujary zawodzi całą duszą pieśń wiejską:

»Rozbujały się siwe łabędzie po wodzie!«

Młodzi panowie w Złotopolu byli w doskonałych humorach: właśnie zjedli wyborny obiad, byli po kawie; czas był pogodny, pełen słońca, pajęczyny, wrzawy koników i pieśni wiejskich.

Z cygarami w ustach panowie wyszli do ogrodu we dwie pary, Miś ze Złotopolskim, a książę Antoś z Maszką. Książę Antoś twarz miał trochę czerwoną, mocno śmiejące się oczy, trochę dymiącą czuprynę i trochę niepewne nogi.

— Ja-siu ko-chany! śliczne to twoje Złotopole, jak mi ho-nor miły — mówił zwracając się do gospodarza.

Rzeczywiście Złotopole ślicznie wyglądało i z bliska i z daleka. Pałac pański prawdziwie wygodny; za pałacem ogród gracowany w ulice szumiący odwiecznemi drzewami; za drzewami szeroka i ogromna szyba wody, młyn, tartak, grobla sadzona jarzębiną, po bokach, jak okiem

dojrzał, łany mazowieckie — i na końcu widnokręgu okrawek lasu, czarna, szumiąca choina.

— Sliczne to twoje Złotopole! — powtórzył książę Antoś. — W którą stronę pójdziemy?

— Chodźmy na okop szwedzki; stamtąd piękny widok.

— Gdzież to jest?

— A za ogrodem, niedaleko stawu.

Panowie, przeszedłszy z pół wiorsty, wyszli z ogrodu i wkrótce ujrzeli porosły wrzosem i chwastem wysoki nasyp ziemny, z którego istotnie otwierał się rozległy widok na okolicę.

— To tu? — spytał Miś. — A istotnie ładny stąd widok.

— To okop szwedzki.

— Skąd się tu wziął?

— Jeszcze od wojen szwedzkich. Tu podobno bronił się mój pra-pradziad Karolowi XII.

— Ehe! to tu była bitwa?

— Tak. Tu tylko ziemię poruszyć, zaraz natrafisz na kości.

— Ho! ho!

— A no, patrz! — zawołał nagle książę Antoś — ot, czaszka!

Istotnie, w dołku wypłukanym od deszczów, na podścielisku wrzosów, leżała pożółkła od czasu czaszka; słońce oblewało promieniami ten czerep zapewne jakiego sodalisa, który tu ongi gardło dał, chwaląc imię Maryi i mękę krwawego Chrystusa. Czerep spoglądał pustemi jamami

oczu i na Jasia Złotopolskiego i na Misia Rossowskiego i na księcia Antosia. Rozwalona widocznie mieczem lub toporem kość ciemieniowa okazywała czarne wnętrze pełne ziemi i zielska.

— *Après diné c'est un peu dégoûtant* — zauważył Maszko.

Jan Złotopolski uśmiechnął się.

— Ciekawym, co niemcy zrobią z kośćmi, które tu znajdą. Ale? (tu Złotopolski zwrócił się do Maszki), czy okop objęty pomiarami, czy mój?

— *Nein, nein!* to nasz ma bycz! — zawołał nagle jakiś basowy głos za plecami Jasia.

Był to głos pana Jauscha, który stał obok pana Wisemana i obcierał z potu ogromne i czerwone oblicze. Pan Jausch i pan Wiseman, trzymając w rękach porcelanowe fajki, poważnie poglądali na okop i na panów, stojących na okopie. Pan Jausch był otyły, pan Wiseman chudy, ale obaj mieli czerwone chustki na szyjach i długie kamizelki z świecącymi guzikami. Pan Jausch pogładził ręką podbródek i powtórzył:

— Mi przyszli tu szpaciren, ale to ma bicz nasz ten wal.

Poczem oba z panem Wiseman wdrapali się na nasyp.

— A cóż wy z tem będziecie robili? — spytał książę Antoś.

— Mi nie tacy glupi, aby pozwolili się marnować takiemu dobry plac — tu będzie ogórki kwitnąć.

— To cmentarzysko dawne, tu pełno kości.

— To nie szkodzi! to kości pójdzie precz, a tu będzie ogórki kwitnąć.

— Musicie lubić ogórki?

— Lubi! lubi! O!... — zawołał pan Jausch, spostrzegłszy czaszkę — prawda, że tu jest kości, aber to będzie z niemi tak!

Tu pan Jausch kopnął silnie czaszkę sodalisa, która, jęknąwszy echem, potoczyła się nadół między wrzosy.

— Ha! ha! ha! twarda polska głowa. Tu będzie ogórek kwitnąć.

Zaśmiał się serdecznie pan Jausch, a pan Wiseman zaśmiał się jeszcze serdeczniej.

Złotopolskiemu nagle krew uderzyła do głowy a oczy zaświeciły jak węgle. Chwila jeszcze, a i pan Jausch byłby stoczył się z okopu w ślad za czaszką sodalisa, ale gospodarz zmiarkował się... Przecież ci koloniści dlatego przyjechali, żeby ratować szlachcica wiejskiego — przecie ich Pan Bóg na to stworzył. Kiedy ratują żywych, niech sobie kopią umarłych. *Honny soit qui mal y pense!*

Panowie wrócili do domu, ale w domu czekała ich nowa niespodzianka. Starsi z gromady Złotopolskiej przyszli z interesem do pana, trzeba było ich przyjąć.

Jaś z resztą towarzystwa wyszedł na ganek; chłopi zbliżyli się ku niemu.

— A czego to chcecie? — spytał.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki. Czego chcecie?

Stary jeden gospodarz skłonił się i począł mówić w imieniu reszty:

— Myśwa przyszli, boświa słyszeli, że jaśnie pan sprzedaje Złotopole kolonistom.

— A sprzedaję, ale wam co do tego? wy macie swoje grunta, ja mam swoje.

— Nie można rzec! ale myśwa przyszli prosić, żeby jaśnie pan nie sprzedawał Złotopola. Tu nasi ojce pracowali, tu i jasnego pana ojciec żył i pomer, myśwa tu zawsze byli swoi, a z kolonistami nie dojdziemy do ładu. Z nimi nikt nie trafi do ładu; my się ich boiwa; my przy kolonistach zmarniejemy do szczętu. Niech jaśnie pan nie sprzedaje Złotopola. To mazurska ziemia, nie kolonistów. Jak pan z Brzeźnicy ich puścił, to i jemu teraz bieda i gospodarzom bieda. My wolimy, żeby pan grunta dworskie trzymał, niż koloniści.

— Tak mnie kochacie, czy co?

— Ee! prawdę rzec, my jaśnie pana nie znamy; ino się boiwa kolonistów. Ono my rozumiewa, że to teraz czasy takie, czy co, że każdy pan potrzebuje pieniędzy, ale my byśwa chcieli jako zaradzić, żeby jaśnie pan dostał pieniędzy i nie sprzedawał Złotopola, Ono tu nigdy żadnych kolonistów nie bywało. Ojciec jaśnie pana siedział z nami na roli i byliśwa swoi.

— Jakże to chcecie zaradzić? — spytał Maszko.

— A my byśwa kupili krzynę lasu za to, coświa się złożyli, ino żeby tych poganów tu nie bywało.

— Moi kochani! — przerwał Złotopolski — mnie wasza krzyna lasu nic nie znaczy, a jakem postanowił rozkolonizować Złotopole, tak i zrobię. Nie trzeba było oto szkód robić, a zboża wypasać, a okradać mnie na wszystkie strony, tobym nie sprzedawał Złotopola.

— Nie kradliśwa, jaśnie panie, nigdy i nie będziemy — odezwał się jeden z gromady.

— A nie mówił mi to rządca o szkodach?

— Szkoda szkodą, ale nie kradliśwa.

— Niby to nie wszystko jedno?

— Juści nie, jaśnie panie; myśwa pieniędzy nie kradli, a jak tam który niecnota wypasł koniczynę, albo wzion zboża z pola, no to wzion, nie ukradł,

Książę Antoś wziął się aż pod boki ze śmiechu.

— Człeku, bój się Boga! to przecie jedno.

— Nie, jaśnie panie, złodziej to taki, co pieniądze kradnie.

— Szczególna filozofia — zauważył Maszko.

— Jasiu! — zawołał książę Antoś — jutro rozmówicie się w Złotopolu, a teraz temu każ dać wódki i niech zostanie, a reszta niech sobie idzie do dyabła. Poczekaj-no, mój człowieku,

dostaniesz wódki, boś zuch! ale powiedz mi jeszcze, czy ksiądz wasz nic wam o tem nie mówił, że jak kto »wzion«. to to samo, jakby ukradł?

Chłop widocznie nie miał ochoty do gawędy, na twarzy znać mu było frasunek; ale jużto może wódka, jużto nadzieja przemówienia jeszcze raz w interesie gromady, skłoniła go do odpowiedzi:

— Jegomość nic mówili o tem nic.

— No, a o czem jegomość mówili?

— Ee! bo to trudno spamiętać.

— Jasiu, każ mu jeszcze dać wódki. A no, przecie musicie pamiętać, co jegomość mówili?

— Ono przeszłej niedzieli to jegomość narzekali na mularzy chyba, czy co?

— Jasiu, daj mu jeszcze kieliszek! Na kogo? na kogo?

— Na mularzy. U nas jest tylko jeden, karbowego Podysioka syn, ale on się przysięgał, że o niczem nie słyszał.

— A o czemże miał słyszeć?

— Ano, że mularze chcieli pono Ojca Świętego prochem wysadzić, niby ze dworca, gdzie mieszka, ale w nocy przyszło od Pana Jezusa do Ojca Swiętego pisanie, żeby się pilnował.

— Aa! jestem w domu! — zawołał Maszko. — Czy to nie o wolno-mularzach jegomość mówił.

— A ino, ino, ino!

— *Ma foi!* — zawołał książę Antoś — do-

skonalem się ubawił. No, idź już sobie, mój człowieku!

Ale gospodarz zwrócił się do Złotopolskiego.

— Jaśnie panie, a ze Złotempolem jak będzie.

— Nie nudźcie mnie już wszyscy razem i idźcie do djabła, raz powiedziałem.

— Ha! to trzeba iść. Niech panu Bóg nie pamięta. My glupi ludzie jesteśwa, ale my rozumiewa, że to jakoś nie dobrze dzieje się teraz między panami.

Panowie znów zostali sami.

— Czy rzeczywiście, takie szkody ci robią? — spytał Złotopolskiego Miś Rossowski.

— *Mais parol d'honneur!* i nietylko mnie, ale wszędzie.

— No, to dlaczego raz im tego księża nie wytłumaczą? — przerwał książę Antoś.

— Bo mają co lepszego do tłumaczenia — odpowiedział Miś. — Dziwię się mój Antosiu, że nie rozumiesz tego. W dzisiejszych czasach są kwestye ważniejsze i obchodzące bardziej ludzi w dobrym duchu. Wstydź się, Antosiu, tego nie rozumieć.

Książę Antoś się obraził.

— Wiedzą ludzie i bez tego, kto jestem.

— Dajcie-no pokój — rzekł Złotopolski. — Ot, zmęczyłem się już temi ciągłemi sprawami: Wiecie co, robimy pulkę dla zabicia czasu. Czas, to pieniądze.

— Doskonale zastosowane! — woła Maszko. — Nigdzie tyle, ile przy grze nie sprawdza się, że czas, to pieniądze.

Nazajutrz była niedziela, młodzi panowie pojechali więc do kościoła. Po całej okolicy rozbiegła się już była wieść o tem, że w Złotopolu bawi nietylko gospodarz, ale i kilku z młodzieży najwyższego towarzystwa. Dlatego w kościele zjazd miał być liczniejszy, niż zwykle, każdy ciekawy był widzieć szczególniej księcia Antosia. Cała okolica była po prostu dumna z jego obecności. Sąsiedzi Złotopola, mający córki na wydaniu, długo biedzili się i rozprawiali, czy wypada powitać go mową, czy nie. Stanęło, że wypada. Pan Sidorowicz, właściciel Drżącej, pogniewał się nawet z panem Feliksowiczem, właścicielem Mszczynowa, o to, jak się ta mówka powinna zaczynać. Pierwszy sądził, że najwłaściwiej będzie zacząć od: »Są chwile w życiu« — drugi uważał taki początek za »trywialny« i proponował: »Gdy na horyzoncie księżyc zajaśnieje«. Wiele z tego powodu było kłopotów, bo przytem żaden z tych panów nie chciał ustąpić drugiemu w tem, kto będzie miał mowę. Jeszcze więcej były wzruszone panie. Dla okolicy bytność takiego księcia Antosia wydawała się faktem niezwykłym, albowiem w całym powiecie, prócz Złotopolskiego, siedziała szlachta jednowioskowa, a nawet i Złotopolski hrabią nie był, co mu poczytywano za złe w niektórych kółkach. Ruch

tedy panował wszędzie. Pani Zwiernicka, właścicielka Okopcina, naprzód wystawiała sobie jaki to musi być miły ten *prince Antoine;* ona już dziś (czemu się sama dziwi), choć nigdy go nie widziała, czuje do niego szczególną sympatyę i ręczy, że przeczucie jej nie zawiedzie. Również i panny Słomińskie, spierające się zwykle o to, która ma najmniej ciała, wiodą na rachunek księcia Antosia spór jeszcze zaciętszy. Najmłodsza zastrzega sobie nawet z góry, żeby siostry nie brały jej za złe, jeżeli książę Antoś na nią najpierwej zwróci uwagę, bo ona temu nie winna, że ma coś takiego szczególnego w twarzy, co ściąga na nią uwagę wszystkich. Są jednak i takie domy, które doświadczają, że im wszystko jedno, kto będzie na sumie w niedzielę, i jeśli wystąpią trochę uroczyściej, niż zwykle, to wcale nie dla jakichś tam gości z Warszawy, ale dla honoru i dla pokazania, że: »fiu! fiu! z nami niełatwo!« Z tem wszystkiem służba dostaje rozkaz, żeby wystąpić z liberyą, końmi i powozami jak najporządniej.

— A niech mi się jeden z drugim nie dopilnuje — dodaje energicznie pan domu — to ja mu się nie dopilnuję!«

Z drugiej strony w Złotopolu Miś Rossowski, »jedyny człowiek z taktem« i »dusza prawdziwego szyku«, jak go zwą w Warszawie, zaklina przyjaciół, żeby pomimo ciepła, wziąć watowane angielskie paletoty, bo prawdziwy gentleman

powinien być zawsze za ciepło ubrany, a przytem powinien nawet i na wsi dawać wzór prawdziwego tonu.

— To jest naszym obowiązkiem — mówi Miś; — niech każdy spełnia swoje posłannictwo, a kiedy Opatrzność postawiła nas jako wzór, bądźmyż prawdziwym wzorem.

Maszko robi uwagę, że dla pospolitej szlachty, tacy ludzie, jak oni — to jest Maszko i jego przyjaciele — nie mają żadnych obowiązków, ale Miś zbija go uwagą, że tacy ludzie, jak oni, już dla siebie samych mają pewne obowiązki, których nie mogą przekraczać.

Panowie ze Złotopola przybywają zatem do kościoła w angielskich paletotach, co sprowadza rumieniec wstydu na twarze tych młodzieży wiejskiej, którzy mają letnie okrycia. Niektórzy z nich jednakże biorą za złe warszawskim elegantom te paletoty, uważając w tem chęć ubliżenia szlachcie, a nawet wynoszenia się po nad nią.

Mimo to, oczy wszystkich skierowane są ku gościom z Warszawy, a uwaga tak dalece zajęta nimi, że nikt nawet nie słyszy głosu kaznodziei, który to głos jest jednakże tak silnym, że słusznie możnaby się obawiać o dachówki kościoła. Tym razem, ku większemu zbudowaniu chłopskich słuchaczów, spada z ambony Darwin. Mówca widzi go wyraźnie w chwili skonania, jak odwołuje swe pisma, *wije się z boleści i ryczy*

wściekłe. Ow prawdopodobny ryk Darwina przejmuje słuchaczów taką zgrozą, że jedna z bab ockniona właśnie z drzemki, woła na cały głos: »O kostecki, one kostecki niesceśliwe«! — z czego znów trudno zrozumieć, czy nad swemi, czy nad darwinowskiemi kosteczkami lituje się ta niewiasta.

Tego rodzaju kazania, o ile częste po wsiach, o tyle bywają pożyteczne. Chłopów ostrzegają przed Voltaire'm, masonami, Renanem, Darwinem, a nie chłopom tłumaczą zarazem, dlaczego ciż chłopi twierdzą, że co innego jest: »*wzion*«, a co innego: »ukradł«. Takiemi lichemi sprawami, jak to słusznie zauważył Miś, nie warto się zajmować; daleko ważniejszem jest ostrzegać nieumiejących czytać przed »*złemi*« książkami, niż pilnować ich pojęć moralnych.

Ale wreszcie kończy się kazanie, a następnie i suma, poczem wszyscy wychodzą przed kościół. Tu mimo ostrzeżeń Misia, że parafiańszczyzną jest nie jechać natychmiast po mszy do domu, niepodobna tej parafiańszczyzny uniknąć, ponieważ Złotopolskiego zatrzymują i witają znajomi. Następuje obustronna prezentacya, przyczem panowie z Warszawy lokują dłonie prawie tuż pod pachami i wyciągają palce, po które, wedle wyrażenia Misia, kto chce, niech sobie sięga. Jakoż szlachta sięga, a pan Sidorowicz z panem Feliksowiczem zbliżają się jednocześnie do księcia Antosia.

— Są chwile w życiu... — zaczyna pan Sidorowicz.

— Gdy na horyzoncie księżyc jaśnieje... — przerywa pan Feliksowicz.

— Przepraszam pana! nie o tem mowa.

— Bardzo pana przepraszam!

Tu obaj mówcy rozdymają nozdrza i spoglądają na siebie z wściekłością, a książę Antoś na nich ze zdumieniem; szczęściem, zbliża się proboszcz i zaprasza towarzystwo do siebie, dokąd i damy już przeszły.

Rzeczywiście panowie zastają damy na plebanii. Po prezentacyi, pani Zwiernicka z Okopcina rumieni się lekko i, zwracając do księcia Antosia, mówi:

— Nigdy nie miałam szczęścia widzieć księcia, a jednak poznałam go odrazu.

— Jakimże sposobem, szanowna pani?

— Znałam w Warszawie kilku członków pańskiej familii. Pan masz rysy zupełnie książąt M...skich... szczególniej nos!...

Książę Antoś dotyka ręką tej szacownej części ciała, która zwróciła uwagę pani Zwiernickiej i odpowiada:

— O tak, pani! my wogóle mamy nosy...

— Mające coś szczególnego — przerywa najmłodsza panna Słomińska. Są pewne rysy, mające coś szczególnego — dodaje, spuszczając skromnie oczy.

— To zależy, jak czyje — odpowiada pani

Zwiernicka. — Jakże księciu podobała się nasza okolica.

— Prześliczna, *ma foi!* szczególnie płeć piękna; nie znajdzie sobie równej w całej Europie! A nawet, co mówię w Europie? w całej Warszawie.

Ogólne rozradowanie. Panna Słomińska spoglądała na księcia Antosia i uśmiechała się wstydliwie.

— *Charmant delicieux!* — szepcze w zachwyceniu pani Zwiernicka.

— Książę zapewne stale Warszawę zaszczyca swoją bytnością? — pyta pani Sidorowicz.

— Owszem, szczególniej latem, zaszczycam i wieś — odpowiada naiwnie zapytany.

— Zapewne dla gospodarstwa, a raczej zarządu włości?

— O, nie! To rzecz mego rządcy; ja przyjeżdżam tylko czasem dla polowania i krokieta. Czy w tej okolicy znają krokieta?

— Niestety! bardzo mało.

Miś Rossowski, który aż do tej chwili, jak przystoi na prawdziwego gentlemana, nie mieszając się do rozmowy, patrzył na sufit, zwraca się nagle ku panom i mówi:

— Dziwię się bardzo, jak mało u nas starają się o rozpowszechnienie tej gry, która jednak stanowi główną rozrywkę arystokracyi angielskiej.

— I nietylko angielskiej, ale arystokracyi całego świata — wtrąca Maszko. — Przypomnij

sobie, Misiu, że i my po całych dniach grywamy w krokieta u hrabiostwa W.

— Tem bardziej, że nasz kraj, zdaje się, sama Opatrzność stworzyła do krokieta. Kraj jest równy i trawniki udają się doskonale.

Pani Zwiernicka i panny Słomińskie oświadczają, że i im trudno zrozumieć, jak mogły istnieć dotąd bez gry, a pani Sidorowicz dowodzi, że nawet już dawno prosiła o to męża.

— Mężu! musisz kochanie sprowadzić krokieta.

— Kogo, duszko? — pyta pan Sidorowicz.

— Figlarz! udaje, że nie wie, o co chodzi — woła pani Sidorowicz, chcąc ukryć rumieniec, jaki na twarz jej wywołała ignorancya męża. — Jabym nawet sama się tem zajęła, ale naprzód, ja ciągle jestem niezdrowa, a powtóre, ja tyle mam na głowie.

Tu oczy wszystkich mimowoli zwracają się na głowę pani Sidorowiczowej, której kok zdołałby przekonać najzatwardzialszych, że dama ta istotnie niemało ma na głowie.

Tymczasem inna grupa wiejskiego towarzystwa, złożona z mężczyzn, zebranych koło Jasia Złotopolskiego, z niemniejszem zajęciem rozmawia o kolonizacyi, jako o jedynym środku, pozostałym dziś szlachcie.

— Szczęśliwyś, szczęśliwyś sąsiedzie! — mówi pan Feliksowicz. Myśmy wszyscy powinni iść twoim śladem.

— Moi panowie! — odpowiada Jaś — każdemu otwarta droga. Dzisiejsze nasze położenie jest takie, że pozostaje nam albo rozkolonizować majątki, albo z nich wyjść.

— Tylko, że jak rozkolonizujemy, to także z nich wyjdziemy — robi uwagę jeden ze słuchających.

— Nie jestem ja też za tem, żeby sobie nie zostawić jakiejś części. Owszem, ponieważ obywatele wiejscy są czołem ogółu, każdy z nas przeto, moi panowie, powinien sobie zostawić dwór i część ziemi, żeby nie stracić charakteru posiadacza wiejskiego.

— Ale oczywiście, to tego, ho! ho! mości dobrodzieju! — woła otyły pan Waszkowski — no bo i bez tego, mości dobrodzieju!... Co to ja chciałem powiedzieć?

— Namyśl się pan — odpowiada pan Feliksowicz. — Ale skądże szanownemu sąsiadowi taka myśl szczęśliwa przyszła? — pyta Złotopolskiego.

— Myśl to nie nowa i podobno praktykowana już oddawna między nami. Co do mnie wyznaję, że winienem ją przyjacielowi memu, panu Maszko.

Obecni obywatele ściskają kordyalnie rękę Maszki, który mówi z rozrzewnieniem:

— Panowie! ludzie, jak my, powinni sobie pomagać.

— Co to ja chciałem powiedzieć?! — woła grzmiącym głosem pan Waszkowski.

Ale ruch powstających osób nie pozwala panu Waszkowskiemu przypomnieć sobie, co chciał powiedzieć. Wszyscy żegnają z uniesieniem Misia, Jasia i Maszkę, a szczególniej księcia Antosia, którego bytność pozostanie na długie czasy w pamięci powiatu N. Pani Zwiernicka nie żegna go inaczej, jak: «do widzenia!» Ona wie napewno, że kto ma rysy książąt M...skich, ten będzie miał i wrodzoną im grzeczność, zatem nie inaczej, jak: «do widzenia!»

V.

Tymczasem w Warszawie rzeczy zaczęły brać obrót dla Złotopolskiego wielce niebezpieczny. Pan Maciej Iwaszkiewicz coraz lepiej był widziany i przez panią Bujnicką i przez Fanię. Próbowała wprawdzie pani Bujnicka dowiedzieć się z różnych źródeł o istotnym stanie spraw Złotopolskiego, ale próby nie udawały się najczęściej. Książę Antoś i Miś Rossowski, którzy niedawno wrócili ze Złotopola, mogli ją rzeczywiście objaśnić, ale ci związani słowem, jak wiemy, przez Jasia, milczeli, lub wyrażali się o nim tak tajemniczo, że to tylko powiększało niespokojność pani Bujnickiej.

— Ja jestem matka — mówiła ta dama — i nie mogę oddać dziecka w ręce człowieka bez majątku. Iwaszkiewicz, jakkolwiek nierówny Złotopolskiemu, wyszlachetni się przez związki z nami. Zresztą, w dzisiejszych smutnych czasach pieniądze wiele znaczą, a kto wie, czy nie wszystko.

Pani Bujnicka patrzyła jednak zbyt pesymistycznie na dzisiejsze czasy. Pieniądze wprawdzie dziś wiele znaczą, ale nie wszystko. Obok kapitału brzęczącego istnieje w praktyce towarzyskiego żywota i drugi kapitał, który, choć umarły, daje jednak kupony, mające wcale niezły kurs w praktyce. Kapitałem tym są trumny pradziadów. Iluż to ludzi żyje wyłącznie z tego kapitału, a ma się jednak dobrze. Jadają dobre obiady, piją dobre wina i palą dwuzłotowe cygara. Na świecie wszystko jest handłem i wymianą. Ci, którym brak kapitału trumien, kupują obiady, wino i cygara posiadającym go, a w zamian kupują też i zaszczyt ich towarzystwa i możność prowadzenia się z nimi pod rękę i prawo mówienia im: Jasiu, Misiu, Antosiu etc.

Potem drwią wprawdzie z siebie wzajemnie, ale handel na tem nie traci, a życie zyskuje.

Pani Bujnicka miała jeszcze jeden powód przyjmowania łaskawiej Iwaszkiewicza.

Powodem tym była Fania.

Fania zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Dawniej zawsze swobodna, a jednak pełna chłodu i panująca nad sobą, dziś stawała się

zamyśloną, nieuważną, mniej ostrożną w wyrażeniach i nakoniec okazywała Iwaszkiewiczowi więcej nawet przychylności, niż pozwalały na to prawa form towarzyskich.

Przyszło do tego, że pani Bujnicka musiała zwrócić uwagę córki na zbytnią wyrazistość ich stosunków.

— Faniu — rzekła — jakkolwiek nie mam nic przeciw Iwaszkiewiczowi, ale pomyśl, moja duszko, czy nie zbyt wyraźnie okazujesz mu... nie chcę wymówić tego słowa! Pamiętaj tylko, że zwłaszcza pannom naszego towarzystwa nie przystoi okazywać wyraźnie przy wszystkich... nie chcę wymówić tego słowa.

Pani Bujnicka była matką wielce troskliwą i wielce dbałą o wychowanie córki. Zdarzyło się raz, że kiedy Fania miała lat piętnaście, a wujaszek sprzeciwiał się jej, że musi iść za mąż, pani Bujnicka prosiła go, żeby nie używał przy jej córce wyrażeń niemoralnych.

Tymczasem Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich prawie codziennie. Widywali się przytem z Fanią i na rozmaitych zebraniach towarzyskich. Widywali się na herbatach z *kanapkami* u hrabstwa W., tam właśnie, gdzie codziennie grywano w krokieta: widywali się na herbatach z tartinkami u senatorowej M., gdzie znów Zubicki, znakomity literat przyszłości, czytywał swój artykuły: «*O stosunku szlachty łęczyckiej do rozwoju cywilizacyi w ogólności*». Nakoniec spotykali się

dość często, a może najczęściej, na wieczorach państwa C...skich, które cudowny dwunastoletni wirtuoz, hrabia Józio, uprzyjemniał grą na skrzypcach, a starszy jego brat, «nieporównany» hrabia Władzio, sztukami magicznemi i doświadczeniami z magnetyzmem zwierzęcym, wykonanemi na suce gospodyni domu.

Uspokajało to do wysokiego stopnia panią Bujnicką, że Iwaszkiewicza przyjmowano we wszystkich tych domach z całą grzecznością, a raz nawet sam książę Tadeusz chodził z nim pod rękę blizko kwadrans, potem zaś, zbliżywszy się do pani Bujnickiej, rzekł:

— Nie chciał mi się przyznać Iwaszkiewicz, że stara się o rękę Fani, ale tak ogólnie mówią, i jeżeli tak jest, to winszuję kuzynce.

Pani Bujnicka spojrzała ze strachem na mówiącego, w obawie czy nie drwi, ale książę Tadeusz był poważny, zresztą siwe jego włosy nie pozwalały przypuszczać, żeby drwił.

— Tak!... to jest... on bywa... to jeszcze niepewne — odpowiedziała pani Bujnicka.

— Dajcie mu bez wahania córkę, kuzynko. On pójdzie wysoko.

— Przed tobą, kuzynie — odpowiedziała ucieszona dama — nie będę ukrywała, że i on ma swoje *ale*, t. j. że on sam sobie podobno wszystko winien, ale cóż robić nam w dzisiejszych czasach, tembardziej, że Fania okazuje mu wiele sympatyi.

Tu troskliwa matka wskazała księciu Tadeuszowi na Fanię, do której właśnie zbliżał się Iwaszkiewicz.

— Patrz, kuzynie! — rzekła pani Bujnicka.

Rzeczywiście twarz Fani, gdy młody człowiek stanął przed nią, zajaśniała uśmiechem. Podniósłszy się nieco, zebrała jedną ręką fałdy sukni i, wskazawszy mu miejsce obok siebie, zaczęła ożywioną rozmowę.

Porzućmy i my księcia Tadeusza z panią Bujnicką, a posłuchajmy rozmowy młodej pary.

— Jakże pan znajduje wieczór dzisiejszy? — zaczęła Fania.

Inżynier spojrzał po oświetlonym salonie i spytał:

— Pani lubi wieczory i zabawy?

— Ja przyznam się panu, że wolę mój pokój, w którym mogę myśleć o tem, co mi najmilsze, ale mama chce, żebym się bawiła, więc muszę bywać, choć onegdaj naprzykład nudziłam się z całej duszy u senatorowej L. Dlaczego pan tam nie był?

— Nie miałem czasu, zresztą nie wiedziałem, że panie tam będą.

— Jak to nieładnie z pana strony, a ja myślałam, że pan przyjdzie i tak mi smutno było jakoś samej słuchać wywodów pana Zubickiego o stosunku szlachty łęczyckiej do cywilizacyi w ogólności.

Inżynier spojrzał na nią ze spokojnem, ale głębokiem przywiązaniem.

— I wczoraj pan u nas nie był — ciągnęła tonem wyrzutu Fania.

— Niech mi pani wierzy — odparł — że tyle tylko mam chwil prawdziwego szczęścia w życiu, ile spędzam ich u państwa, ale muszę pracować na chleb powszedni.

Fania uśmiechnęła się nieznacznie.

— A przytem — ciągnął dalej Iwaszkiewicz — w pracy cała moja wartość, nie chciałbym jej tracić w oczach pani.

— Od tylu lat nauczyłam się cenić pana, że opinii mojej w tym względzie nic nie zmieni. Ale pracując, nie trzeba zapominać o przyjaciołach.

— Zawsze o nich pamiętam.

— O, niech pan pamięta! a co do opinii ich niech pan będzie spokojny. Niestety! to ja powinnam się lękać. Wiem, że ja nie umiem dorównać panu, ani się podnieść do jego wysokości (tu w głosie Fani zadźwięczał smutek). Wiem, że pana, przywykłego do życia seryo, może i nudzi moje szczebiotanie, ale niech mi pan wierzy, że ja pragnęłabym z całej duszy zasłużyć na szacunek pana, pragnęłabym mu dorównać, ale właśnie dlatego potrzebuję wskazówek pana. Pan mnie już tyle nauczył, w tylu rzeczach otworzył mi oczy na świat, że i na-

dal proszę o pomoc pańską. Pan mi nie odmówi?... prawdą?

Tu Fania złożyła z wyrazem prośby białe rączki i pochyliła główkę tak, że złote jej loki posypały się po ramionach.

Iwaszkiewicz potarł dłonią czoło, i z przymkniętemi oczyma zdawał się śnić jakimś czarownym snem. Miękkie, pieszczone słowa Fani płynęły niepojętym czarem do jego uszu. Zdawało mu się, że cały chór słowików przyleciał z wilgotnych olszyn i zaczął pieśń skrzydlatą, że całe powietrze pełne było po prostu anielskiej muzyki. Cały salon wraz z szeregiem lamp, z rojem gości, z obnażonemi ramionami kobiet, z twarzami mężczyzn, zakręcił mu się w oczach.

Ale nie zdobył się na odpowiedź, bo w tej chwili ozwały się skrzypce cudownego dwunastoletniego wirtuoza i czar prysnął W salonie powstał szmer gotujących się do słuchania gości i nieśmiertelny Bethowen zaczął jęczeć całą gamą przeraźliwych tonów, ryczeć basem, piszczeć w niebogłosy wiolinem... zapewne z zachwytu nad wybornem wykonaniem swej sonaty ręką cudownego wirtuoza.

Na twarzach słuchaczów pojawił się podziw i zdumienie. Oto stary hrabia W. okręca szybko palce rąk złożonych na wydatnym żołądku, zamruża oczy i kiwa w takt głową, a twarz jego wyraża taką ekstazę, że lada chwila rozpłynie się we łzach; pani Bujnicka od czasu do

czasu zwraca się do pani C. z żywymi giestami przeczenia, na znak, że temu, co słyszy, niepodobna uwierzyć, a znany literat, chorąży światła, Zubicki, przewraca nuty cudownemu dziecku i rzuca spojrzenie na grupy panien, rozdymając przytem nozdrza.

Wreszcie egzekucya Bethowena kończy się, następują oklaski; czarne fraki zajmują dawne miejsca obok różnokolorowych sukien; po całym salonie brzmi na nowo ożywionym gwarem rozmowa, najczęściej o cudownem zjawisku, które oglądano przed chwilą.

— *Magnifique! magnifique!* — woła cienki głosik młodziutkiego filara salonowego. — *Savez-vous mademoiselle que c'est incomparable!* Dosyć powiedzieć, że ja nawet, któremu zarzucają zbytnią złośliwość w sądzeniu dzieł sztuki, a jednak wyznaję, *que je suis vaincu.*

Fania spogląda na drobniuchną postać i bezwąsą twarz młodzieńca, któremu zarzucają zbytnią złośliwość w sądzeniu dzieł sztuki i odpowiada:

— Nie wiedziałam, że pan już taki surowy.

— Chciałem nawet — odpowiada młodziutki filar — iżby po egzekucyi Bethowena egzekwował jeszcze i Chopina, ale powiedziano mi, że czeka nas co innego.

— Cóż nas jeszcze czeka?

— Doświadczenia hrabiego Władzia z ma-

gnetyzmem. Oto nawet wnoszą już stół. Muszę iść, bo się tam bezemnie nie obejdzie.

Z temi słowy młodziutki filar opuszcza Fanię i śpieszy tam, gdzie jego obecność jest konieczną.

— Przerwano nam naszą rozmowę — rzekła Fania — a chwila jej była dobra, ale teraz znów jesteśmy tak prawie, jak samotni.

Iwaszkiewicz spojrzał na nią wyrazistemi oczyma.

— Zatem dla mnie wraca dobra chwila — rzekł.

Fania zamyśliła się jakoś.

— Każda dobra chwila ma to do siebie — rzekła — że już nie powraca po raz drugi.

— I dlatego?...

— Dlatego trzeba umieć z niej korzystać.

— O, pani! nie jedna chwila w życiu bywa jak zasłona, pokrywająca przyszłość. Człowiek przychodzi aż do niej i sam nie wie, czy ją podnieść, czy czekać jeszcze. W niepewności jest ból, ale jest i nadzieja.

— Odwagi trzeba, panie Iwaszkiewicz.

— A czasem i zachęty.

— Kto doradza odwagę, ten zachęca.

— A jednak, jak to trudno! Panno Fanny! oto taka zasłona leży teraz na oczach moich. Nie wiem, czy po zerwaniu jej zobaczę światło czy ciemność. Ale, pani, w imię naszej dawnej przyjaźni, powstrzymaj mnie lub zachęć wyraźnie — powiedz: «zerwij» lub: «daj pokój«.

Była chwila długiego milczenia, podczas którego serce Iwaszkiewicza biło śmiertelną trwogą.

Fania zakryła twarz wachlarzem, ale razem z szelestem jego skrzydełek, doszedł Iwaszkiewicza jeden cichy, jak ruch piór łabędzich, wyraz:

— Zerwij!

— Ja panią kocham! Fanny, ja ciebie kocham!

Fania nie odrzekła nic, ale jeszcze troskliwiej zakryła twarz wachlarzem, a ręce jej drżały widocznie. I znowu niepewność wstrząsnęła sercem Iwaszkiewicza, a niepewność ta trwać miała tem dłużej, że w tej chwili «nieporównany» hrabia Władzio, magnetyzujący suczkę gospodyni, zawołał:

— *Voyez mes dames et mes demoiselles!* Oto suka śpi już od pięciu minut i jeżeli ścisnę ją teraz za ogon, ani piśnie, tak wielką jest potęga magnetyzmu.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy wrzask suki, dowodzący, jak wielką jest w istocie potęga magnetyzmu; poczem nastąpiły żywe oklaski podziwu i uwielbienia dla nieporównanego hrabiego Władzia, który tak szczęśliwie umiał połączyć głęboką wiedzę z wysokiem urodzeniem i majątkiem.

To wszystko sprawiło, że Fania nie mogła dać odpowiedzi Iwaszkiewiczowi. Równocześnie

zbliżyło się do niej kilku innych filarów salonów państwa C., a następnie przyszła i sama pani Bujnicka. Iwaszkiewicz z coraz wzrastającym niepokojem zauważył, że Fania przez resztę wieczoru była milcząca i niby smutna; unikała starannie jego wzroku, a oczy jej błądziły z nieokreślonym wyrazem po całym salonie. Zmiana w jej twarzy uderzyła wkrótce i matkę.

— Co tobie jest, Fanieczku, czyś nie chora? — spytała matka. — Może wrócimy już do domu?

— Dobrze — odrzekła krótko.

— Ale obiecałam odwieść panią Szemiot. My wysiądziemy, a ona pojedzie dalej. I ja już jestem zmęczona. *Et voilà* i pani Szemiot! Jedziemy.

Fania była niepojęcie milcząca. Nawet wówczas, gdy Iwaszkiewicz już w przedpokoju otulał ją ciepłym płaszczem jesiennym, prócz lakonicznego „*merci*“, nie usłyszał od niej ani słowa.

Dopiero gdy wsadziwszy panie do powozu, gotował się zamknąć drzwiczki, Fania przerwała milczenie.

— Mamo — rzekła — niech pan Iwaszkiewicz siada z nami; odwiezie dalej panią Szemiot.

Iwaszkiewicz wsiadł więc do karety. Mimo całego niepokoju, nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu rozkoszy, gdy na dość ciasnem siedzeniu znalazł się obok Fani, i gdy za każdem silniejszem wstrząśnieniem dotykał ramieniem

jej ramienia. Zresztą, jako tonący w każdej desce widzi ratunek, tak i on ostatnią interwencyę Fani poczytał za dobry znak. Przecie jej milczenie mogło być tylko skutkiem wzruszenia. Nie słucha się w dwudziestym drugim roku życia czarownego słowa *kocham* spokojnie. Trudno je wymówić, ale równie trudno go wysłuchać bez gwałtownego bicia serca. Każdy, kto je raz w życiu wymówił lub wysłuchał, pamięta dobrze, jakie wzburzenie, jaki niepojęty zamęt, jaką rozkosz, ale i jaki przestrach budzi ono, gdy płynie nietylko z ust, ale i z serca. Hej! świat się zatoczy, zakręci i pociemnieje i zabłyśnie razem. Słyszysz szum własnej krwi w żyłach, szelest własnego pulsu. Jedno maleńkie słówko! a jest w niem tyle wartości, ile warto szczęście. Nie więcej rzuca światła cicha błyskawica na tło nocne, jako to słowo na ciemne i głupie strony żywota. Ale ma i ono stronę odwrotną. Gdy brzmi bez echa, bywa śmiesznem, gdy bez prawdy — nikczemnem. A jednak często brzmi i w ten sposób. Biblia nie może zabronić szatanowi, żeby ją cytował, tak i ono nie może zabronić mężczyznom, żeby je kupowali, kobietom, żeby je sprzedawały; głupcom wogóle, żeby go nie rozumieli: konwenansowi, żeby je odrzucał. Dla konwenansu jest ono za silnem, a jeśli porównanie do błyskawicy się podoba, i za jaskrawem. Stąd ucywilizowany i ogładzony głupiec nie wymawia go, ale daje do zrozumienia

z pomocą omówień, które są plewą nawianą powiewem prawdy i prostoty. Iwaszkiewicz złamał konwenans, ale nie popełnił ani śmieszności, ani też był nikczemnym, bo mówił prawdę. Wstąpiła przytem w niego nadzieja, że i Fania nie poczyta mu za złe owego złamania praw towarzyskich. Dlaczego jednak milczała?

Kareta toczyła się szybko wśród głuchych i pustych ulic. Osoby, siedzące w karecie, pod wpływem rozlicznych wrażeń nie mówiły do siebie nic.

Pani Bujnicka spała, — jeżeli nie tak uprzejmie, jak miała zwyczaj sypiać na kanapach podczas długich wieczorów tańcujących, to równie smacznie. Pani Szemiot tonęła zapewne w rozmyślaniach, że jechać karetą daleko jest wygodniej, niż chodzić piechotą. Iwaszkiewicz nakoniec rozmyślał, że owa śliczna i ukochana jego Fania, której oddech mógł teraz łowić uchem, krótką już tylko chwilę będzie przy nim tak blizko.

Nagle ciszę przerwało westchnienie Fani.

Westchnienie to było tak ciche i niewyraźne, że nie dosłyszała go ani pani Szemiot, ani pani Bujnicka, a i Iwaszkiewicz odczuł je raczej.

Nagle zadrżał.

Zdało mu się, że Fania silniej oparła się na jego ramieniu.

Tymczasem zwolna kłoniła się ku niemu jej złota główka. Pełne woni, a miękkie jak pela,

loki musnęły mu skroń raz i drugi. Za chwilę twarz jego owionęło jej ciepłe tchnienie. Dziwny jakiś dreszcz rozkoszy wstrząsnął nim od stóp do głowy. Równocześnie wśród fałd burnusa zbliżała się ku niemu biała, jak kwiat, ręka. Dotknięcie loków powtórzyło się znowu, a wkrótce uczuł cały ich potok na ramieniu. W ciszy nocnej mógł już usłyszeć bicie pulsów w skroniach Fani. Nagle głowa jej z całem zaufaniem snu lub miłości spoczęła na jego ramieniu.

Wtedy odszukały się ich dłonie i tak już trwali w wielkiej ciszy, a w większem jeszcze szczęściu.

Ale, o czytelniku! powiem coś na ucho, Fania nie złamała konwenansu, bo... konwenans tam się kończy, gdzie się zaczyna szara godzina.

VI.

Jaś Złotopolski nudził się z całej duszy w Złotopolu i jeśli nie wyjeżdżał »*comme touts les diables*« do Warszawy, to tylko dlatego, że Maszko trzymał go, jak to mówią, za poły. Maszko był człowiek nieoszacowany. Kto z panów obywateli, mających do rozkolonizowania ojczysty majątek, wyobraża sobie, że to tak łatwo, ten może się srodze zawieść.

Jaś nigdyby sobie nie dał rady, gdyby nie

Maszko. Ale z pomocą tego ostatniego sprawa szybko posuwała się naprzód, a nawet z wyjątkiem niektórych prawnych formalności można ją było uważać za skończoną. Złotopole wkrótce po wyjeździe Misia i Antosia zmieniło się do niepoznania. Teraz wyglądało jakby obóz. Na ogromnem podwórzu między zabudowaniami folwarcznemi stanęły szałasy i namioty cywilizacyjnej awangardy, która z żonami i dziećmi ściągała do Złotopola. Tymczasem rąbano las, a przy końcu cienistej lipowej drogi, prowadzącej do dworu, widniały już żółte zręby belek mających się stawiać domów; obok kup cegły wznosiły się stosy gątów lub wiórów, wśród których kręcili się z piłami lub siekierami pracowici przybysze w krótkich kaftanach, a długich kamizelach. Budowle wznosiły się szybko; nikt nie przeszkadzał kulturträgerom. Czasem tylko jaki mazur, przechodząc koło rozpoczętych budowli, zwijał w kłęby potężne pięści i spoglądał z podełba, jak pies na łańcuchu, na przyszłych swych sąsiadów. Ale nie przychodziło do zajść.

Wieś była dosyć odległa, a parobcy dworscy mieli najsurowszy rozkaz nie dawania zaczepki. Zresztą i koloniści zbyt już licznie ściągnęli, żeby się mieli obawiać! Pełno ich było wszędzie i w czworakach i w zabudowaniach folwarcznych. Kto wieczorem przechodził koło czworaków, tem mógłby osądzić, że cudem jakim zo-

stał przeniesiony w krainę Sprei. Z okien biło jasne światło i dochodził gwar ożywionej rozmowy; czasem pudel zaszczekał, czasem zadźwięczała gitara, zabrzękły kufle. Zamiast pieśni onych prostych o Jasieńku i Kasieńce, brzmiała teraz bardziej ożywiona nuta: »*Wo ist das deutsche Vaterland?!*« zamiast smętnego; »danaż, oj dana!« słychać było weselsze: »*ein, zwei, drei!*« Nigdy tyle życia niebywało w Złotopolu, chyba może za tych czasów, gdy dwór i dziedzińce wrzały rojami szlachty, zgromadzonej na turka lub szweda. Ale dziś był to widok spokojniejszy i bardziej stosowny do naszej epoki. Zamiast strasznych pancernych, kręciły się po podwórzu jasnowłose *Mädchen*, po płotach zamiast kulbak i znaków bojowych zwieszały się niebieskie pończochy tychże *Mädchen*. Ehe! inne trochę czasy, a tamte minęły, jak i wiele innych rzeczy, które minęły także...

Z początku bawił Złotopolskiego ten ruch i to rozbudzone życie. Przytem czuł to, co czuje każdy człowiek po spełnieniu dobrego czynu. Wprowadzał żywioły cywilizacyjne, dawał dobry przykład obywatelstwu, wychodził z długów, sprzedawał Złotopole, a jednak je miał, wedle wyrażenia Maszki, bo zostawały mu: dom i ogród. Słowem, urósł sam we własnej opinii. Ależ miało to wszystko i swoje ciemne strony. Trzeba było siedzieć na wsi, jeździć do powiatu, wchodzić w stosunki z urzędnikami, ściskać się z nimi za

ręce, podawać im otwartą na rozcież porte-cigares, aby czerpali z niej dla utrwalenia stosunków, trzeba było zapraszać ich na śniadania, gadać z niemi, patrzeć, jak przymrużają jedno oko na znak, że sprawa idzie dobrze, dziękować za zapewnienia, że: »ile się *da*, tyle się zrobi« i tak dalej. Tego wszystkiego nie lubił nasz wykwitny bohater. Wkońcu zatęskni, za Warszawą i za towarzystwami i za swym zwykłym trybem życia i za Misiem Rossowskim i za księciem Antosiem i za swym groomem w obcisłych inekspryniablach i za tem wszystkiem, czem był zwykł wypełniać czas od godziny dziesiątej rano do drugiej po północy. Jeden tylko Maszko dotrzymywał mu towarzystwa, ale i ten wyjeżdżał dość często z kolonistami, a wkońcu wyjechał na dwa dni do Warszawy.

— Gdy wrócę, spodziewam się, że już wszystko będzie skończone — rzekł mu wyjeżdżając.

— Ach! przeklęte to Złotopole — odmruknął Jaś — czy koniecznie muszę zostać?

— Musisz, przyjadą tu geometrzy, trzeba będzie ich przyjąć. Kochany Jasiu! dwa dni tylko.

— Przez które jeśli nie zwaryuję, to będzie cud.

— Przywiozę ci wiadomość z Warszawy. Ciekawyś zapewne, co tam słychać w naszych kółkach.

— No jedź już.

— Adieu!

Te dwa dni były dla Jasia najgorsze. Dwa,

dni siedzieć prawdziwemu gentlemanowi na wsi, w zupełnej samotności, to istotnie rzecz nie mała. Jaś chętnie byłby pojechał w sąsiedztwo do pani Zwiernickiej, Feliksowiczów lub Słomińskich, ale znów nie wiedział, kiedy przyjedzie geometra. Na dobitkę zapomniał w Warszawie pilniczka do paznokci, bo gdyby był nie zapomniał, miałby przynajmniej zajęcie, ale bez pilniczka ani rusz. Jasiowi mimo woli przyszła na myśl uwaga, jak trudno jest być wzorem obywatelstwa i dawać dobry przkład, niechby przez parę tylko tygodni. Wprawdzie znalazł niejaką ulgę w tej uwadze, jednakże niespodziewał się, żeby mu wystarczyła na całe dwa dni.

Nie tak więc nawet kochanek wygląda przyjścia oblubienicy na umówione rendez-vous, jak on wyglądał powrotu Maszki.

Drugiego dnia zrana przyjechał geometra dla ostatecznego potwierdzenia wymiarów, ale z niego Jaś nie miał wielkiej pociechy z tej przyczyny, że geometra był trochę głuchy, a na wszystko, co do niego mówiono, wyszczerzał zęby, wytrzeszczał oczy i odpowiadał z wyrazem zdziwienia:

— Wszelako?!

Jaś był w rozpaczy.

Ale wszystko ma swój koniec, nawet dwie doby na wsi. Trzeciego dnia zaturkotał powóz przed gankiem — Maszko przyjechał.

Jaś wybiegł na ganek.

— Skończone? — spytał.

— Skończone.

Jaś odetchnął głęboko, potem podał Maszce obie ręce.

— *Je vous remerci de tout mon cœur!*

— Ludzie jak my powinni sobie pomagać.

— Pieniądze odebrałeś?

— Odebrałem więcej, niżeś się spodziewał: trzykroć pięćdziesiąt.

— Bardzoś zmęczony?

— Nie! albo co?

— Bo za godzinę wyjeżdżamy do Warszawy.

Maszko położył rękę na ramieniu Złotopolskiego.

— Nie bardzo masz po co tam wracać.

— No?

— To co wiem, nie może ci być przyjemnem.

— Zwłaszcza, gdy nie wiem, o co chodzi.

— Więc powiem ci, że spóźnisz się trochę. Fany wychodzi za Iwaszkiewicza. Już jest po deklaracyi.

Maszko mówił to z pewną troskliwością, ale jakież było jego zdziwienie, gdy, zamiast spodziewanego wybuchu, Złotopolski rzucił spokojnie kawałek niedopalonego cygara i rzekł:

— Ho! ho!

— Jasiu! — zawołał wówczas z entuzyazmem Maszko — my wszyscy, których *noblesse oblige*, staramy się być gentlemanami, ale ty jesteś niedoścignionym wzorem!

— Gdyby tu był Miś — rzekł obojętnie Złotopolski — przypomniałby ci przedewszystkiem, że prawdziwy gentleman nie unosi się.

— On sam uniósłby się nad tobą.

— Zresztą, mój kochany — ciągnął Złotopolski — jeśli przyjąłem tę wieść obojętnie, to tylko dlatego, że nic nie tracę i niczego się zrzekać nie myślę.

— Jakto, nawet Fani?

— I Fani.

— A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z nią, skoro został przyjęty?

— Ja! — rzekł z mocą Jaś.

Maszko zauważył, że przy owem: »*ja*« oczy Złotoposkiego zabłysły dziwną dumą, że mimo delikatności rysów, stał się wówczas podobny do wszystkich Złotopolskich, których portrety wisiały w sali jadalnej.

— Czy ty myślisz — spytał — że Iwaszkiewicz ci ustąpi?

Złotopolski uspokoił się szybko i odpowiedział już chłodno.

— To mi wszystko jedno, wiem tylko, że ja nie ustąpię. Mój drogi Maszko! wierzaj, że tu nie chodzi mi o Fanię, ale o mój honor. Gdyby ktokolwiek z pomiędzy nas oświadczył się Fani podczas mojej nieobecności, anibym palcem ruszył. Ale ponieważ nazywam się Złotopolski, nie mogę pozwolić pierwszemu lepszemu intruzowi, żeby mi w drogę wchodził. Dlatego nie cofnę się nawet

przed pojedynkiem, a nadto mnie znasz, żebyś miał wątpić o tem.

Istotnie, Złotopolski tchórzem nie był. Nie mieszał się do żadnych niebezpiecznych spraw na wielką skalę, ale w pojedynku umiał stać bez mrugnięcia okiem pod lufą przeciwnika. Oto niedawno wyzwał był i ranił jednego ze swoich znajomych za to, że śmiał twierdzić, jakoby on, Złotopolski, dał fałszywego muma na wydanym u siebie obiadku. Maszko nie wątpił zatem o prawdzie słów jego.

— Dobrze to jest — rzekł — ale jakże ty możesz pojedynkować się z Iwaszkiewiczem?

— Sądzę, że to do tego nie przyjdzie, ale ostatecznie wolę takiego Iwaszkiewicza pobić, niż być od niego pobitym — jeszcze w takiej rzeczy.

— Jasiu! ty jesteś niedoścignionym wzorem!

— Dobrze. Tymczasem idę i każę zaprzęgać.

Złotopolski wyszedł. Maszko, zostawszy sam, szybko przysunął się do lustra.

— A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z Fanią? — spytał sam siebie półgłosem.

— Ja! ja! — odpowiedział również sam sobie. Przytem, strojąc przed lustrem rozmaite grymasy i miny, starał się naśladować ton i wyraz twarzy Złotopolskiego.

— Ja! ja!

Tegoż dnia wieczorem obaj byli już w Warszawie. Złotopolski wybiegł natychmiast do Misia.

— Jak się masz?

— Dobrze.

Podali sobie ręce.

— No, winszuję ci — rzekł Miś sprawa skończona?

— Jedna skończona, druga się rozpoczyna. Wiesz, Misiu, co ja ci powiem?

— Co?

— Że, mimo iż cię zwą: »jedynym człowiekiem z taktem«, mało jest ludzi tak ograniczonych, jak ty.

Miś rozczesał spokojnie palcami faworyty.

— Wpływ prowincyi: żywość poruszeń, skłonność do grubiaństwa — pomruknął.

— Przestań no, przestań! Jak ci się zdaje, dlaczego Iwaszkiewicz został przyjęty?

Miś rozczesał drugi raz faworyty.

— Bo się oświadczył.

— Do dyabła! Gdybyś był powiedział u Bujnickich, dlaczegom wyjechał do Złotopola, gdybyś był powiedział, że *robię interes*, że nie jestem zrujnowany, że wyjazd mój na wieś nie jest fugą, mogłoby się dziesięciu Iwaszkiewiczów oświadczać.

— Ani słowa.

— Więc dlaczegóż nic nie mówiłeś.

— Naprzód dlatego, że mnie to nic a nic nie obchodzi.

— W tem też i dowód twojej inteligencyi. Nie obchodzi ciebie to, że taki Iwaszkiewicz odsadził od panny jednego z ludzi naszej sfery.

Miś zmieszał się cokolwiek, ale odrzekł:

— Powtóre, że ty sam, wyraźnie ty sam związałeś i mnie i Antosia słowem, że nie wspomnimy o tem; chciałeś przecie Fanny zrobić niespodziankę.

— A tymczasem ona zrobiła mi niespodziankę.

— Na honor! prawda!

— Otóż, kiedyś wiedział, jak rzeczy stoją, nie trzeba się było krępować słowem. Mogłeś się domyśleć, że będę ci tylko wdzięczny za takie niedotrzymanie słowa. Ale, żeby się czego domyśleć, potrzeba umieć myśleć, a to nie twoje rzemiosło.

— Rzemiosło zapewne nie moje. Chwała Bogu, nie potrzebuję bawić się żadnem rzemiosłem, lecz skorom dał słowo, że będę milczał, to — rozumiesz, drogi Jasiu, choćby od tego i twoje szanowne życie zależało i Fani i wszystkich Bujnickich i całej Warszawy — jeszczebym ani pisnął. Rozumiesz, Jasiu?

— Ciekawym, czy równie skrupulatny jesteś w oddawaniu długów na termin, na który przyrzekasz.

— To inna rzecz. Długów nie robię u ludzi naszej sfery. Jeżeli ty naprzykład pożyczysz mi pieniędzy, których mi właśnie potrzeba, to bądź pewny, że ci oddam na termin.

— Dziękuję! Za tobą przyjdzie Antoś, za Antosiem Władzio magnetyzer i tak dalej.

— Z Władziem nie żyjesz blisko, a Antoś nie potrzebuje pieniędzy.

— Co? Antoś nie potrzebuje pieniędzy?

— Nie potrzebuje, bo je ma.

— Antoś ma pieniądze?

— Antoś żeni się z Berlińską.

— Ha! *Canaille!*

— Przyszedł do Berlińskiego pożyczyć pieniędzy. Berliński zaklął mu się na Boga, uczciwość, sumienie i honor, że nie ma gotówki. A że Antosiowi potrzeba było gotówki, więc powiedział Berlińskiemu, że musi ją mieć, bo się chce żenić; Berliński spytał go z kim? Antoś odpowiedział: »Z pańską córką!« — przyczem dał mu słowo, że nie drwi, *stante pede* oświadczył się córce; na drugi dzień były zaręczyny, po których Berliński dał Antosiowi pieniądze, a Antoś dał Berlińskiemu weksel.

— Że się ożeni z jego córką?

— Podobno. Czy dotrzyma, to inna kwestya, dość, że dziś ma pieniądze, których ja nie mam i których chcę od ciebie pożyczyć. — Dasz?

— Dam, ale mówmy o mojej sprawie. Dawno byłeś u Bujnickich.

— Wczoraj. A ty prędko będziesz?

— Skorzystam, że jutro dzień recepcyi u nich. Czy myślisz, że pozwolę sobie zabrać Fanię takiemu Iwaszkiewiczowi?

— Ależ bo ona zakochana, zakochana, ta mała Fania.

— Drwię z tego.

— *E bien!* Jutro z rana przychodzę do ciebie po pieniądze, a wieczorem będziemy obaj u Bujnickich.

VII.

Wtorkowe recepcye pani Bujnickiej dość były liczne, chociaż nie uprzyjemniał ich ani »znakomity« Zubicki, ani »cudowny« magnetyzer hrabia Władzio. Jedyną ich ozdobą była Fania i elegancki świat, który tam bywał. Jak się rzeczy na takich zebraniach odbywają, łatwo się domyśleć. Punkt dziewiąta wieczór, pani Bujnicka, już strojna, siada na kanapie w oświetlonym, ale jeszcze pustym salonie, siada, a siada dlatego, żeby pierwszy frak, który wejdzie, zastał ją już siedzącą i myślał, że ona zawsze tak siedzi na kanapie, zachowując tę pozycyę, daleko uroczyst szą, niż każda inna. Tymczasem w również oświeconym przedpokoju, słychać gniewliwy szept przeznaczonego do zdejmowania paletotów lokaja Feliksa. Stary Feliks gniewa się na syna swego małego Feliksa, przeznaczonego do zdejmowania kaloszy, a gniewa się o to, że mały Feliks te kalosze regularnie co wtorek gdzieś zapodziewa lub gubi, skutkiem czego on — jego rodzony ojciec, nazywa go bezbożnikiem i przepowiada mu, że wyjdzie na wisielca. Wreszcie, daje się słyszeć uderzenie dzwonka, otwierają się sprę

żyście drzwi salonu i pokazuje się w nich mniej więcej głupia fizyognomia pierwszego gościa. Przybyły podnosi głowę, rozwesela oblicze, jakby go Bóg wie jakie szczęście spotkało i trzymając obiema białemi rękawiczkami kapelusz tuż przy piersiach, posuwa się, podrygując na każdej nodze w kierunku kanapy, na której siedzi pani Bujnicka. Następują powitania, wzajemne zapewnienia i ożywiona francuska rozmowa. Potem już uderzenia dzwonka powtarzają się co chwila i wkrótce salon napełnia się gwarem, paryskim akcentem, białymi krawatami, wyziewami perfum, gorącem, tiurniurami i trenami dam, folblutami rozmaitych ras i wszystkiem, co razem wzięte stanowi szyk, komfort etc.

Ponieważ na wieczorach tygodniowych bywają ci tylko, których gospodarz lub gospodyni domu się spodziewa, łatwo zatem wystawić sobie zdziwienie pani Bujnickiej, gdy nagle w otwartych drzwiach, obok chudego i długiego Misia, pojawił się Złotopolski. Pani Bujnicka zdawała się niedowierzać własnym oczom, a jednak nie było najmniejszej wątpliwości. Tak jest! był to Złotopolski we własnej osobie, razem ze swoimi jasnymi faworytami *à l'anglaise*, ze swoją zawsze równie piękną, niby wyrzeźbioną twarzą, której mleczna prawie dziewicza barwa, dziwnie odbijała od patrzących dumnie ciemnych oczu i męskich wąsów: on! on! elegancki jak zwykle, ufraczony, ukrawacony, urękawiczony, uczesany,

jak zwykle, bez zarzutu — zatrzymał się na chwilę we drzwiach, i, podniósłszy głowę, obrzucił oczyma cały salon, potem zbliżył się do gospodyni.

Pani Bujnicka uśmiechnęła się z przymusem; mniej wprawna w obroty światowe Fania zmieszała się nawet, tem bardziej, że Iwaszkiewicza przy niej nie było; na twarzach obcych pojawiło się oczekiwanie.

Ale Złotopolski nie miał wcale miny zrozpaczonego kochanka, przeciwnie, na twarzy jego, obok spokojnej pewności siebie, malowała się nawet wesołość. Z całą swobodą i lekkością powitał panią Bujnicką, uścisnął rękę Fani i, skłoniwszy głową obecnym, począł rozmawiać z gospodynią.

— Nie spodziewaliśmy się powrotu pana — zaczęła uprzejmie pani Bujnicka. — Pan na długo do Warszawy?

— *Vous savez madame,* że stałe moje siedlisko jest w Warszawie.

— Tem lepiej dla naszych towarzystw; powrót pana jest niezmiernie miłą dla nas niespodzianką.

— Ach! prawda, że to jakoś żyjemy w czasie, w którym panują niespodzianki, ale co do mnie, nie miałem i nie mam zamiaru opuszczać miasta). Wyjechałem tylko na pewien czas dla uregulowania interesów Złotopola, a po ich uregulowaniu natychmiast tu wróciłem.

— Czy przynajmniej pomyślnie panu poszło?

W naszych ciężkich czasach nie masz nic kłopotliwszego, jak gospodarstwo.

— Nikt tego lepiej nie wie, jak ja, który przez trzy tygodnie przeszło musiałem siedzieć na wsi. Ale przynajmniej muszę oddać sobie sprawiedliwość, że interesa uregulowałem tak, jakem się sam nawet nie spodziewał.

— Tak pomyślnie?

— Tak pomyślnie.

— Faniu, uważasz, co pan Złotopolski powiada? Jakże się szczerze cieszymy! Szkoda że pan wcześniej nie przyszedł, byłybyśmy z Fanią posłuchały szczegółów.

— Ja sam wyznaję, że przyszedłem cokolwiek późno — rzekł z naciskiem Złotopolski — ale mam nadzieję, że nie za późno.

Chwila milczenia.

— W każdym razie witamy pana jako miłego gościa — rzekła pani Bujnicka.

— Który przyrzeka, że swoje opóźnienie będzie się starał wszelkiemi siłami naprawić — odrzekł schylając głowę Jaś.

— Czasem to bywa niepodobne — wtrąciła chłodno Fania.

Złotopolski uśmiechnął się.

— Pamiętam — rzekł — że dziada mego, Kasztelana, nazywano w salonach za czasów Księstwa Warszawskiego: »*Monsieur le Malgré-tout*«. Przypominam pani, że jestem jego wnukiem.

— Czyż i panu dają tę nazwę?

— Spodziewam się, że zasłużę na nią.

— Więc dopiero w przyszłości?

— Tak pani! w mojej dewizie przedewszystkiem o przyszłość chodzi.

— Przyszłość nie zależy od pana.

— Smiem sądzić inaczej.

— Nie radzę panu szczerze. Skądże to zaufanie?

Złotopolski zniżył cokolwiek głos.

— Nie wiem, może wytrwałość pana Iwaszkiewicza nauczyła mnie wierzyć, że i najniepodobniejsze rzeczy stać się mogą.

Fania zarumieniła się mocno.

— Umie sobie radzić ten pan Iwaszkiewicz — ciągnął dalej Złotopolski, ale dziś takie czasy, że wszyscy muszą sobie sami radzić. Ja naprzykład, nietylko że zostałem przytem, co stanowi istotnie Złotopole, ale i mimowoli wyszedłem na kapitalistę.

— A to jakim sposobem? — spytała z żywym interesem pani Bujnicka.

— W ten prosty sposób... A! otóż i pan Iwaszkiewicz. *Bonjour monsieur Iwaszkiewicz!*

Rzeczywiście Iwaszkiewicz zbliżył się do pani Bujnickiej i, powitawszy ją, siadł przy Fani.

Na widok Złotopolskiego brwi jego zsunęły się na chwilę, ale wkrótce twarz wypogodziła się na nowo. Owszem, tyle w niej było niezwykłego ożywienia i szczęścia, że to zwróciło uwagę Fani.

— Musiało pana coś pomyślnego spotkać — spytała patrząc mu w oczy.

— Tak pani. Zdołałem urzeczywistnić dziś jeden z dawno upragnionych celów — i przychodzę właśnie podzielić się z panią radością.

— Słucham! słucham!

— Dziś oddaliłem ostatniego robotnika zagranicznego z mojej fabryki. Nie mamy już ani jednego cudzoziemca — wszyscy krajowcy.

. . . . . .

— Więc jakim sposobem pan zostałeś kapitalistą? — zapytała równocześnie pani Bujnicka Złotopolskiego.

— Sprzedałem część ziemi własnej zagranicznym kolonistom i, spłaciwszy wszystkie długi, zostałem przy wcale sporej gotówce.

. . . . . .

— Czy pan zyskuje na oddaleniu obcych spytała Fania Iwaszkiewicza.

— Ja? — nie? z początku tracę.

— Więc któż na tem zyskuje?

— Ogół.

. . . . . .

— Więc pan istotnie zyskał na kolonizacyi? — spytała pani Bujnicka.

— *Ja* zyskałem bardzo wiele.

— Czyżby kto stracił?

— Ogół — powtórzył, pochylając się ku Fani Iwaszkiewicz, zanim Złotopolski zdołał powtórzyć, że jego zdaniem stracili koloniści.

Nastąpiła chwila milczenia. Po białem spokojnem czole Fani przelatywały różne myśli, niby chmurki, mieszające jego spokój. Oto rozbierała pobudki postępków dwóch młodzieńców i usiłowała je ocenić. Istotnie, jeżeli ogół zyskiwał przez to, co uczynił Iwaszkiewicz, to tracił przez postępek Ztotopolskiego. Współzawodnicy stawali przed nią w dwóch odmiennych rolach. Ale nie odrazu zrozumiała, dlaczego jedna z tych ról jest dodatnią, druga ujemną. Dobro ogólne! Pojęcie to legło przed jej myślą, jakby jaka nieokreślona otchłań. Czuła jednak, że potrzeba ją sercem i rozumem napełnić od wierzchu do dna. A zadanie takie nie było łatwe do spełnienia, bo edukacya, jaką odebrała w latach dziecinnych, nie mogła tu być pomocą. Ktoby tam w wychowaniu panien zwracał na takie rzeczy uwagę? Przecież można być panną i dobrze wychowaną i »dobrze ułożoną«, nie wiedząc, co jest dobro ogółu. Ale Fania chciała teraz wiedzieć i kwoli tej chęci udała się do Iwaszkiewicza. I dobrze się udała. Iwaszkiewicz był to człowiek z sercem. Wicher postępu rzucał na ono serce, niby na rolę, różne ziarna, ale przyjmowały się tylko zdrowe. Gdy wicher wionął kosmopolityzmem, serce to stawało wówczas na kotwicy przeszłości, która to kotwica — symbol nadziei — była zarazem i wiarą w przyszłość. Fania dobrze wybrała. Była teraz podwójnie wdzięczna Iwaszkiewiczowi, bo tłumacząc jej, co jest dobro ogółu,

tłumaczył zarazem w czem jest jego własna wyższość nad współzawodnikiem. Tak jest! Czemże był przy nim ów piękny i modny panicz? Czyny ich były wprost odwrotne. Fania spojrzała na Złotopolskiego i uśmiech, nieledwie pogardy, okolił jej usteczka.

— Czy pan słyszał naszą rozmowę? — spytała go.

— Jaką rozmowę?

— Podczas, gdy pan rozmawiał z mamą o Złotopolu, ja mówiłam z panem Iwaszkiewiczem.

— Nie słyszałem nic.

— A to szkoda! Odmiennemi szliście panowie drogami.

— Tem lepiej dla nas, bo gdyby drogi nasze się zeszły..

— Wówczas?

— Wówczas musiałby jeden drugiemu ustąpić — zabrzmiał poważny głos inżyniera.

— Na honor! takby musiało być — odparł z dumą Złotopolski.

Dwaj młodzi ludzie spojrzeli sobie w oczy. We wzroku Iwaszkiewicza błysnął posępny płomień nieugiętej woli, ale i oczy Złotopolskiego błyszczały, jak stal polerowana, z prawdziwie stalowym chłodem i uporem.

VIII.

Godzina była późna; lampy w salonie pani Bujnickiej paliły się mdłem światłem w zgęszczonem od wyziewów ludzkich powietrzu. Goście rozeszli się już wszyscy; ucichł gwar; samotność jakaś — i pustka wyglądały teraz z każdego kąta sali. Na twarzach pani Bujnickiej i Fani przebijała bladość i znużenie, a przytem znać było na nich i pewien niepokój. Obie panie zdawały sobie sprawę z ubiegłego wieczora i obie czuły jednocześnie, że w atmosferze domowej zawisło coś nowego, co jak burza, zapowiadało się milczeniem. Obie też nie dzieliły się wrażeniami i zamiast słów, słychać było tylko szelest ich jedwabnych sukien. Czasem spojrzenia matki i córki zbiegały się i rozbiegały jeszcze prędzej. Nakoniec Fania pierwsza przerwała milczenie.

— Dobranoc, mateczko! — rzekła.

Pani Bujnicka uścisnęła córkę z niezwykłą tkliwością i gorąco ucałowała jej białe czoło, potem odeszła parę kroków, potem zatrzymała się znowu przy drzwiach, zdawało się, że chce coś mówić — zawahała się, odeszła.

Fania udała się do swego pokoju. Zapewne miała o czem myśleć. Oparłszy głowę na ręku, nie odpowiada ani słowem przywykłej gwarzyć panience służebnej, która, układając pod czepeczek nocny złotawe jej warkocze, starała się

zawiązać z nią pogawędkę. I niewesołe były myśli Fani.

Ostatnia rozmowa Iwaszkiewicza ze Złotopolskim przejęła Fanny śmiertelnym niepokojem; przypominała sobie dumne spojrzenia i niemal groźne słowa obydwóch. Przerażał, a zarazem i oburzał ją upór Złotopolskiego. Jak to? więc dla niego — w jego planach — jej wola, jej osobisty wybór nic nie znaczył? Widocznie, traktował ją jak rzecz, nie jak wolną niewiastę, bo kiedy chłodnemi słowy starała mu się okazać niechęć, odpowiedział jej jednym wyrazem: »*malgré tout*«. Dumny panicz, liczył na nazwisko, na majątek i sądził, że niemasz kobiety, którejby z wolą, lub bez woli, nie można kupić za taką cenę. Postępowanie jego było po prostu zuchwalstwem, ale widocznie dumny panicz nie obawiał się następstw; nie obawiał się ani Fanny, ani jej narzeczonego. Tkwiła w tem odwaga, ale tkwił i wysoki egoizm. Zuchwalec! śmiał jej powiedzieć »*malgré tout!*«, a wszakże ten pan Iwaszkiewicz, który bez drgnienia powieki umiał patrzeć w oczy osławionego z pojedynków człowieka, tak dziecięco prawie był nieśmiałym względem niej. Ale szlachetna ta nieśmiałość szła z niezmarnowanej duszy, a dowodziła świeżości uczuć i prawdziwego szacunku i prawdziwego uczucia. Między Iwaszkiewiczem i Złotopolskim Fanny nie mogła się wahać w wyborze. Zresztą, już była wybrała — i nie o to chodziło

w tej chwili. Niepokój jej i trwoga powstawały stąd, że nie wiedziała, do czego między takimi dwoma ludźmi dojdzie i na czem się skończy.

A tymczasem panienka służebna skończyła ją rozbierać i odeszła. Fania zdmuchnęła świecę. W pokoiku dziewiczym zapanował mrok, tylko promień księżyca wkradał się białem pasmem za kotarę łóżka, tylko srebrna lampa, zwieszona przed posążkiem Madonny, świeciła w cieniu, niby robaczek świętojański. Nastała cichość — siostra nocy, kochanka nocy, — jak mówią poeci.

Nagle w przyległym pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki, drzwi się otworzyły i pani Bujnicka w białym negliżu, ogarniając dłonią płomyk świecy, weszła do sypialni córki.

Fani serce zabiło niespokojnie, podniosła się na łóżku

— Mama nie śpi jeszcze? — spytała.

— Nie, moje dziecko.

Pani Bujnicka siadła przy łóżku córki.

— Moje kochane, moje drogie dzieko! — przemówiła drżącym głosem.

W oczach Fani zakręciły się łzy; pochyliła się ku wyciągniętym dłoniom matki i, ucałowawszy je serdecznie, ukryła w nich twarz.

— Nie martw się, Faniu! ty płakałaś? Jeszcze nie stało się nic złego.

— O! stało się i wiele złego, mamo, i to ja sama temu winnam. Postępowałam, jak zepsute

dziecko, a długo niebyło w postępowaniu mojem ani prawdy, ani szczerości.

— Nie uczyniłaś nic godnego nagany.

— Drżę na myśl, co teraz będzie.

— Wszystko się dobrze skończy. Nie obawiaj się.

— Mamo! mamo!

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza.

Fania oderwała nagle twarz od dłoni matki.

— O czem mama mówi?

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza. Przyjęłaś go, ale zaręczyn jeszcze nie było. Wszystko można zerwać. Któż mógł się spodziewać, że Złotopolski tak dobrze stanie?

— Matko! —przerwała Fanny, płonąc jak róża.

— Czego chcesz, dziecko?

— Stoimy na biegunach i nie rozumiemy się zupełnie. Lepiej odrazu postawić rzecz jasno: czy mam zostać żoną Iwaszkiewicza, czy nie?

Pani Bujnicka nie była przygotowaną na tak nagły zwrot ze strony Fani. Ona rachowała na swoją dyplomacyę, a tu trzeba było wprost powiedzieć: tak lub nie. A przytem pani Bujnicka nie cierpiała, gdy kto mówił wprost. Omówienia miały dla niej tyleż prawie wagi, ile treść sama; nawet, gdy myślała nad czem, gdy była tylko ze sobą, wszystkie jej myśli przybierały zawsze wyszukaną dyplomatyczną formę. Dlatego też pytanie Fani przejęło ją zdziwieniem, ale i oburzyło zarazem.

— Zmiłuj się, Fanieczku, jak można tak nazywać rzeczy po imieniu? Już jeśli dobrze ułożona pannenka chce spytać o taką rzecz, to daje do zrozumienia, ale tak... wstydź się, Faniu!

— Ja jednak wprost pytam, jaka jest mamy wola? Potem ja powiem, jak mi się zdaje.

— Nie poznaję ciebie.

— To być bardzo może. Ja sama nie poznaję siebie od niejakiego czasu, ale mi z tem lepiej. Iwaszkiewicz otworzył mi oczy na wiele rzeczy, dlatego okazuję mu to, co czuję prawdziwie.

— Moje dziecko, nie drażnij mnie...

— Ja nie chcę mamy drażnić, ale...

— Panienka dobrze ułożona...

— Powinna miłować prawdę, a potem być dobrą żoną i matką.

— I matką? *Mais c'est affreux!* Kto cię takich rzeczy nauczył?

— Iwaszkiewicz! To takie proste rzeczy, a jednak nie wiedziałam o nich. A mam lat dwadzieścia dwa.

Teraz pani Bujnicka rozgniewała się na dobre.

— A czy ten mądry Iwaszkiewicz nie nauczył ciebie, że panienka dobrze wychowana wprzód nim zostanie dobrą żoną i mat... (nie chcę tego wymówić...), powinna być dobrą córką?

Fania spuściła głowę. Teraz pani Bujnicka miała swoją racyę.

— Przecież tu nie o mnie chodzi — ciągnęła

pani Bujnicka. — Ja będę miała jutro migrenę, ale niech się dzieje wola boża! — gotowam cierpieć! Mnie chodzi o twoje szczęście! Ja będę miała migrenę i nie może być inaczej. Po tem, co tu słyszałam, nie pozostaje mi nic, jak tylko... przyłożyć wizykatoryę za uszami. Ale Faniu! Faniu! zastanów się. Iwaszkiewicz, to burżuazya! Będziesz należała do burżuazyi. Nie przeżyłabym, gdyby cię zaliczano do burżuazyi. Niemasz nic bardziej *mauvais genre*, jak burżuazya. Och, burżuazya! burżuazya!

— Moja matko, jakże ja mogę wiarę łamać?

— Nie było zaręczyn: deklaracya nie obowiązuje.

— Och! obowiązuje deklaracya i... Nie mogę! nie mogę, mateczko! Ja... mamo!... ja nietylko deklaracyą związana jestem z Iwaszkiewiczem.

Pani Bujnicka zerwała się gwałtownie.

— Co ty mówisz, dziewczyno? — zawołała z przestrachem.

Fania podniosła się na łóżku. Oczy jej zaszły łzami, a jednocześnie purpurowy rumieniec malował zwolna jej twarz. Tak zarumieniona, ze złożonemi rękami, ze łzami w oczach, okryta potokiem rozplecionych warkoczy, sypiących się po giezłeczku nocnem, z bijącem jak u przelęknionego ptaka sercem, podobną była do posągu skruchy lub pokory.

— Mamo! — ozwała się błagalnie.

— Mów, nieszczęśliwa!

— Mamo, to było w karecie...

— Co było w karecie?

— Wracaliśmy od państwa L..., z tego wieczoru, na którym hrabia Władysław... na którym suczka... narobiła wrzasku...

— Co dalej? co dalej?

— Mama z panią Szemiot siedziała w tyle, a ja z nim na przodzie i... wtedy ja... tak! wtedy... ja... sama nie wiem, jak się to stało..

— Zabijasz mnie, gnębisz, dręczysz, pastwisz się nade mną.

— I ja... oparłam głowę na jego ramieniu — kończyła jednym tchem Fania.

— I co więcej? — pytała gorączkowo matka.

— I nic więcej.

— Nic?

— Nic więcej, ale i to, co było, było bardzo niedobrze. Ja sama się oskarżam, ale...

— To było do najwyższego stopnia *mauvais genre.*

— Nie uważa na *genre*, kto kocha.

— Przestań! Słyszałaś, żeby panienka dobrze wychowana postępowała w ten sposób?

— Nie, mamo! nie słyszałam. Sama się obawiam, ale też i tłumaczę się przed własnem sumieniem przywiązaniem, jakie czuję dla Iwaszkiewicza. Gdybym po tem, co zaszło, jeszcze złamała słowo — to byłoby szkaradnie!

— Przecie tego nikt nie widział?

— Bóg widział. Ja za nic w świecie nie złamię słowa danego Iwaszkiewiczowi.

— Słuchaj-że, uparta dziewczyno: ja nie będę ciebie przymuszała, byś szła za Złotopolskiego, ale zapowiadam ci, że póki on nie ustąpi — za nic w świecie nie pozwolę na Iwaszkiewicza.

Fania podniosła w górę załzawione oczy.

— On jeśli ma jeszcze choć trochę honoru i uczciwości — to ustąpi.

IX.

U Złotopolskiego gwarno bywało od czasu, jak rozkolonizował Złotopole. Wszyscy znajomi okazywali mu tyle sympatyi, jak nigdy. Raz wraz zdarzało się, że przychodził do niego ktoś ze znajomych i mówił:

— Jasiu, pozwolisz, że ci złożę jeden dowód przyjaźni i zaufania?

— Jaki?

— Pożycz mi tyle a tyle.

— *Tiens!* to ma być dowód przyjaźni?

— Tak jest, bo dlaczegoż nie udaję się z tem do kogo innego. Rozumiesz, że pieniędzy nie pożycza się od ludzi, z którymi nie jest się w bliskich stosunkach... no, chyba na procent, a przecież między nami mowy być o tem nie może.

I Złotopolski dawał.

Miał on naturę szlachcica polskiego, ową naturę, która to wyraźnie występowała w księciu »Panie-kochanku«, gdy np. chodził między szlachtą i dawał jednemu czapkę: »weź!« — drugiemu pas: »trzymaj!« — trzeciemu szablę: »masz!« i tak aż do szarawarów.

Złotopolski nie umiał także odmawiać. Zresztą, jak tu się oprzeć dowodom przyjaźni?

Prócz tego wydawał śniadania, na których można się było najeść i napić *honeste* — ano, nie brakło mu gości.

W parę dni po wieczorze u pani Bujnickiej i po rozmowie jej z córką, Złotopolski siedział u siebie, w towarzystwie księcia Antosia i Maszki. Rozmawiali o narzeczonej księcia.

— Co ty z nią będziesz robił? Ha! ha! Z Berlińskich księżna M...ska, to dobrze brzmi! — rzekł Maszko.

— Co będę robił? Jeśli się ożenię, ona będzie siedziała na wsi, a ja w Paryżu.

— Albo papa, mama i dziadek Berlińscy ci pozwolą?

— Ja drwię z papy, z mamy i z dziadka — Berlińskich.

— Musi być teraz w dobrym humorze twój teść? — spytał Złotopolski.

— O! i w jakim! Robią teraz wyprawę, kupują powozy i malują na nich herby.

— Swoje czy twoje?

— Jużci moje, a tak wielkie jak talerz, jak

ten talerz — rzekł książę Antoś, ukazując na jeden z zastawy do śniadania.

— A twoja narzeczona?

— Kocha się we mnie.

— A ty?

— A ja piję za twoje zdrowie, Jasiu! — rzekł książę Antoś, nalewając sobie szklankę wina. — Jak mi honor miły, wszystkie kobiety są jednakowe.

— Ee!

— Jak mi honor miły! Taka dobra Berlińska jak i twoja Fania, a może nawet i lepsza, bo...

Ręka Złotopolskiego spoczęła na ramieniu księcia Antosia.

— W twoim własnym interesie nie radzę ci robić takich porównań. Ty sobie możesz brać żydówkę, czy czarta... wszystko mi jedno, ale wara mi mówić źle o Bujnickiej.

Książę Antoś spojrzał w oczy Jasia, ale nie znalazł w nich żartu. Złotopolski nie udawał owszem, usta jego drżały nerwowo, a ręka tak silnie ściskała ramię Antosia, że ten ugiął się mimowolnie.

— Ależ co tobie jest? Ależ bo ty wszystko seryo bierzesz. Ja nie miałem zamiaru...

W tej chwili dzwonek się odezwał — wszedł Miś Rossowski.

Miś Rossowski zimny i sztywny, jak zawsze, powitał obecnych i nie rzekłszy do nikogo słowa, rzucił się na fotel, a następnie, wyciągnąwszy

nogi, począł rozczesywać palcami faworyty i poprawiać na sobie ubranie które wyglądało jakoś dziwnie pogniecione i pomięte.

Wkrótce jednak spostrzegł, że stało się coś niezwykłego.

Jaś chodził wzburzony po pokoju, książę Antoś i Maszko mieli dość wystraszone miny, a przytem milczeli wszyscy.

— Co tu u was zaszło? — spytał Miś.

Książę Antoś odpowiedział, co zaszło.

— Niech Antoś poda rękę Złotopolskiemu i przeprosi go... Wybacz, Antosiu, ale co innego jest Fanny, a co innego twoja narzeczona.

Antoś i Jaś podali sobie ręce.

Tymczasem Miś, nałożywszy szkła na oczy, przypatrywał się uważnie Złotopolskiemu.

— A teraz, wiesz Jasiu, co ci powiem? — rzekł.

— A słucham.

— Że jeśli nie jesteś jeszcze zakochany w Bujnickiej, to przynajmniej wkrótce będziesz.

Złotopolski milczał.

— Zgadłem, czy nie zgadłem? — cedził, kołysząc się Miś.

— Powiem ci otwarcie. Ja sam nie rozumiem co się że mną dzieje. Od powrotu ze wsi nie pojmuję Bujnickiej zupełnie. Sądziłem, że będę miał przeciw sobie tylko Iwaszkiewicza, tymczasem mam i ją, najbardziej stanowczo. To mnie drażni: nie spodziewałem się oporu — to mi psuje humor.

— Już to ty nigdy nie będziesz prawdziwym anglikiem. Nadto jesteś sangwiniczny.

— Mniejsza o to. Wracam do rzeczy. Nie taję przed wami, że Bujnicka zaczyna mi się podobać. Może właśnie ten opór jej — drażni mnie i przyciąga zarazem. Przytem, jak sobie chcecie, — ale w kobiecie rozkochanej jest jakiś czar niepojęty. Oto dlatego tak nam się podobają narzeczone i młode mężatki. A Fanny jest rozkochana w Iwaszkiewiczu.

— Czy masz na to dowody?

— Jak najpewniejsze, bo z jej własnych ust.

— Z jej własnych ust?

— Tak. Sama mi to powiedziała, nie dawniej, jak wczoraj u L...skich. Podczas gdy ten głupiec Zubicki czytał t m jakieś baliwerny, zbliżyłem się ku niej i po kilku słowach dałem do zrozumienia, że nie myślę się zrzekać praw, których, prawdę rzec, nigdy nie miałem. Jakoż odpowiedziała mi, że ich nigdy nie miałem, a przytem otwarcie wyznała, że matka już chciała zrywać z Iwaszkiewiczem, że jest za mną, — ale że ona, Fania, nigdy nie odda mi ręki, bo Iwaszkiewicza kocha. Gdy to mówiła, miała łzy w oczach i w głosie. I ja byłem wzburzony. Nie sądziłem, żeby była tak uczciwą, a nigdy nie widziałem jej równie piękną. Nie zląkłbym się stu Iwaszkiewiczów, ale nie mogę znieść łez kobiecych. Powróciłem do domu zły i z klinem w głowie, bo zapomniałem wam powiedzieć, że

wczoraj powtórzyła mi już drugi raz słowa, które, niech zginę, jeśli rozumiem.

— Cóż to takiego?

— Że szliśmy z Iwaszkiewiczem (którego oby czart porwał!) dwiema odmiennemi drogami.

— No, więc?

— I że gdyby nawet nie kochała jego, to, mając wybór między nami, oddałaby mu rękę już za to, że szedł drogą wprost przeciwną mojej.

— Cóż to za zagadka?

— Równie ją rozumiem, jak każdy z was.

— A wiesz, Jasiu, co ja ci powiem? — przerwał książę Antoś.

— Mów.

— Że i ja tego nic a nic nie rozumiem.

— Nie odzywaj się, Antosiu, zanim się nie namyślisz — rzekł Rossowski.

— I napróżno łamię sobie głowę, co ona przez to rozumiała — ciągnął dalej Złotopolski.

Miś rozczesał faworyty.

— Mój kochany — rzekł — nie ty jeden napróżno łamiesz sobie głowę. Ja także myślę nad jedną kwestyą, z której żadną miarą nie mogę sobie zdać sprawy.

— Czy nie miłosna także kwestya? — spytał Maszko.

— Nie! Spojrzyjcie na moje ubranie.

— A toż co? pogniecione, pomięte, guzików brak?

— Otóż ma ono związek z moją kwestyą.

Myślę, co za przyjemność może znajdować szlachta polska w takiem ściskaniu się, od którego boki bolą i całowaniu, które sprowadza puchnięcie policzków.

— Godne Misia! godne Misia! — zawołał Maszko. — Czyś tego doświadczył.

— Spojrz na moje ubranie. Idę sobie tu do was, raptem spostrzegam na ulicy brata mojego stryjecznego, który jest wzorem gospodarzy i który raz na pięć lat bywa w Warszawie. *Imaginez-vous,* rozszerza nogi, rozkłada ręce, otwiera paszczę i czeka na mnie w ten sposób. Wpadam w tę otchłań; czuję, jak zaczynają mi trzeszczyć żebra, jak gniecie mi się kołnierzyk, jak rozwiązuje mi się krawat. Zjada mnie, otacza, pożera, wchłania; na policzkach literalnie czuję suche bańki, i to ma znaczyć: Jak się masz?

Książę Antoś i Maszko zanosili się od śmiechu.

— Gniewałeś się?

— Gniewałem się, alem tego po sobie nie pokazał — rzekł z powagą Rossowski.

— Co ona przez to mogła rozumieć? — mówił do siebie Złotopolski, który, zajęty swemi myślami, nie słyszał opowiadania Misia.

— Co ona przez to mogła rozumieć? Przecie u licha nie popełniłem nigdy nic nieuczciwego.

— No! już mniejsza, co ona tam rozumie — rzekł Maszko — ale co ty zamierzasz czynić?

— Ot właśnie, że i ja dobrze nie wiem. Ina

więcej mi się ona podoba, tem mniej mam ochoty zrzekać się jej, a z drugiej strony, iść wbrew sercu i woli takiej kobiety?...

— Matka ją zmusi — zauważył książę Antoś.

— Ja nie chcę, by ją ktokolwiek zmuszał!

— A jednak, powinieneś się z nią żenić — rzekł Maszko. — Ludzie, jak my, nie powinni ustępować takim Iwaszkiewiczom.

— Dać lekcyę i ustąpić — mruczał Jaś. — Tak, to jedyny punkt wyjścia!... jedyny punkt wyjścia!

— Co? jaki?

— Taki! — rzekł, wskazując na pistolety zawieszone nad łóżkiem.

Miś rozczesał faworyty.

— Służę ci za świadka — rzekł.

— Stchórzy Iwaszkiewicz! — krzyknął Maszko.

Złotopolski popatrzył na niego uważnie. Maszko się zmieszał.

— Daruj mi, Maszko, ale sądzę, że tybyś prędzej stchórzył — Iwaszkiewicz nie stchórzy.

— Służę ci za świadka — powtórzył Miś.

— Dobrze, ale pierwej muszę sam się z Iwaszkiewiczem rozmówić. Skończy się na tem że ustąpię. Z Fanią, a zwłaszcza z jej łzami nie potrafię wojować.

— To do czegóż pojedynek?

— Powiedzianoby, że ja, Jan Złotopolski, zląkłem się Iwaszkiewicza. Nie, pojedynek musi

mieć miejsce. Ustąpię, ale dam lekcyę. Nie myślę go zabijać, — ale, albo on mnie, albo ja jemu dam lekcyę.

— Z jakiej przyczyny chcesz iść do niego?

— Dla rozwiązania zagadki i znalezienia powodu do pojedynku.

— Mogłeś się Fanny o to spytać.

— Nie chciała mi powiedzieć, by jak sama mówiła, nie drażnić mnie. Ona trochę przewiduje pojedynek i boi się go dla... Iwaszkiewicza.

— Kiedy do niego pójdziesz?

— Dziś. Gdzie on mieszka?

— Nie wiem, ale zastaniesz go do wieczora w fabryce.

— Pójdę do fabryki.

X.

Jakoż o piątej wieczorem udał się Jaś do fabryki, ale nie zastał w niej Iwaszkiewicza. Natomiast młody jakiś inżynierek o rudych włosach, czarnych oczach i kobiecej prawdziwie twarzy, z wszelką grzecznością wskazał mu pokój dyrektora. Jaś postanowił oczekiwać na Iwaszkiewicza, który miał nadejść za godzinkę, a tymczasem z nudów rozpatrywał się po dyrektorskiej izbie, lub wyglądał oknem na dziedziniec fabryczny. I jedno i drugie zajmowało go nie pomału. Pokój, w którym siedział, na pierwszy

rzut oka zdradzał pracownię inżyniera. Ogromne brystole z pozaczynanemi rysunkami, wzory rozmaitych machin, którychby Jaś nawet nazwać nie umiał, mapy, termometry, narzędzia fizyczne, tabele i księgi rachunkowe napełniały wszystkie kąty tej izby. Przy wchodowej ścianie była szafa napełniona książkami, na której stał ogromny globus i miniaturowa lubo bardzo dokładna lokomotywa. Po innych wisiały portrety znakomitych inżynierów zagranicznych; na wielkich półkach, umieszczonych tuż obok biura, widać było próbki rozlicznych rud żelaznych. Z tem wszystkiem komnata była dość posępna; czarne drewniane krzesła, czarny stół i szafy stanowiły całe jej umeblowanie. Ale też znać było, że nie przesiadywał w niej wykwintniś, tylko surowy mąż pracy. Praca twarda i wytrwała, poparta całą potęgą myśli ludzkiej, widniała tu z każdego szczegółu. Izba malowała mieszkańca. Złotopolski rozglądał się po niej z mimowolnym szacunkiem, połączonym ze zdziwieniem. On, jako prawdziwy gentleman, nie robił całe życie nic a nic, on, trefny wykwintniś, którego zajęcia dzienne zależały od tego, jakie ubranie brał rano, może pierwszy raz w życiu spotykał się tu z pracą twarz w twarz. Mimowoli porównał się teraz z Iwaszkiewiczem — i mimowoli uczuł, jak wiele był niższym od niego. Serce ścisnęło mu się smutkiem: zrozumiał, że Fanny miała słuszność.

Głuche poczucie tego odbiło się i na jego

twarzy, ale posępną zadumę przerwał mu młody rudawy inżynier, który, zbliżywszy się, rzekł uprzejmie:

— Dyrektor przyjdzie o szóstej, mamy więc jeszcze pół godziny czasu; może tymczasem zechce pan obejrzeć fabrykę?

— Najchętniej. Dokąd pójdziemy?

— Pokażę panu machiny, warsztaty, kuźnię, ślusarnię, odlewnię i co pan sam zechce.

Wyszli z izb inżynierskich. Młody i żywy, jak iskra, towarzysz Jasia nie żałował objaśnień. Wszedłszy do ogromnego, hałaśliwego budynku, gdzie mieściła się machina parowa, posłuchał trochę i rzekł:

— Tak, panie! idzie u nas robota, idzie!

— Ależ tu można ogłuchnąć — zauważył Jaś.

— Fraszka! trochę przyzwyczajenia!

A rzeczywiście trzeba było i trochę przyzwyczajenia. Fabryka była w pełnym biegu. Ogromne koła zębate i niezębate poruszały się z piekielnym rozmachem i piekielną szybkością, olbrzymie tłoki podnosiły się i spadały ruchem, mającym coś potwornego, warczenie kół, łoskot, zgrzyt, przeraźliwy świst i bolesne wycie piłowanego żelaza, huk młotów, ściskały duszę jakiemś nieokreślonem a lękliwem poczuciem owej niepojętej siły, która nadawała ruch wszystkiemu. Każda cegiełka budynku trzęsła się, jak w febrze; słowa ginęły dla ucha; samo powietrze zdawało się drżeć przelękle.

— A, co panie? — krzyknął inżynier do ucha Złotopolskiemu.

— Potęga! potęga!

— A tak ciągle jest od czasu, jak mamy dyrektorem Iwaszkiewicza.

— Czy tak?

— To panie jego ręka porusza wszystko.

— Ano zdolny musi być człowiek?

— Ho! ho! A przytem praca! praca! Dawniej tu inaczej bywało. Fabryka poczynała już bankrutować. Chodź pan dalej.

To mówiąc, młody inżynier przeskoczył z belki na belkę. Złotopolski podążył za nim.

— Ostrożnie, bo pana pasy złapią! Tędy!

Tymczasem pociemniało na dworze, w budynku zabłysły kinkiety, a przy ich blasku, przy łamaniu się światła z cieniem, sala przybrała fantastyczne pozory jakiegoś przedsionka piekieł.

— Koła zębate o podwójnem działaniu wynalazku dyrektora! — zakrzyczał głosem cycerona inżynier.

Złotopolski spojrzał na ukazywany mu okrągławy potwór, kręcący się ze wściekłością w ciemnym kącie.

— Klapy bezpieczeństwa systemu amerykańskiego, zastosowane pierwszy raz w kraju przez dyrektora!

Jaś zagryzł wargi. Czemże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

— Dmuchawki, zabezpieczające robotników od opiłków, zastosowane przez dyrektora!

— Mało musicie mieć robotników, kiedy ich tak zabezpieczacie?

— Mamy dość, ale robotnik, to człowiek jak my i bliźni nam. W innych fabrykach, gdy robotnik umiera, dzieci pozostają bez chleba, u nas inaczej.

— Jakże jest u was?

— Dyrektor los wdów i sierot zabezpieczył ze składek ogólnych.

Jasiowi smutek ścisnął serce: czemże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

Ale zarazem budziło się w nim dziwne uczucie szacunku dla współzawodnika. Uczucie to sformułował Jaś w ten sposób:

— Chciałbym posiadać przyjaźń takiego człowieka.

— Przejdźmy do szlifierni, jeżeli pan chcesz? — pytał inżynier.

— Nie, panie! wyjdźmy już, bo ochrypnę i ogłuchnę zarazem.

— Piękny widok jest w kuźni.

— Nie, mam już dosyć.

Wyszli na dziedziniec fabryczny; na dworze już mrok padał, ale było jeszcze dość widno.

— Oto właśnie — rzekł inżynier — przechodzimy koło kuźni; rozdymają teraz ogniska; — za chwilę znów zadzwonią młoty.

— Wasz dyrektów musi być czł...

Zl opolski urwał nagle.

W powietrzu zabrzmiała pieśń, przy której wstrząsły się szyby budynku: zagłuchły wszystkie inne odgłosy, — pieśń prawdziwie żelazna; rzekłbyś, nieludzkie dźwięczały nią płuca — pieśń na nutę stu młotów, bijących w takt jej słowom.

— Co to jest? — spytał Złotopolski.

Oczy młodego inżyniera zabłysły; rumieniec niekłamanego zapału wystąpił mu na lica.

— To kowale nasi śpiewają przy młotach. Posłuchaj pan.

Przystanęli obaj: słowa pieśni dochodziły wyraźnie:

Gdy warczy miech, gdy płonie żar,
Wśród razów ech, wśród iskier chmar,
Próżnować grzech, czas — boży dar.

Hej, w obroty ciężkie młoty!
Chrzęst cęg, młotów jęk,
Czerwone skry i krwawy pot
Milsze niż słów pieszczonych dźwięk,
Niż krwawe łzy w komnacie złotej,
Bo w pracy — zdrój szczęścia i cnót.

Ku niebu skroń — ku ziemi dłoń!
Tam Boga chwał — tu hartuj stal!
Tam dojść się ucz — tu kuj i tłucz!
Aby twa praca wydała plon,
Byś miał gotowy, gdy przyjdzie skon,
Żelazny do nieba klucz.

Każde słowo potężnej pieśni brzmiało w powietrzu z taką siłą, że Złotopolski z młodym inżynierem nie stracili ani jednego dźwięku.

— A co, panie?

Złotopolski milczał.

— W innej fabryce nie usłyszysz pan takiej pieśni.

— Dlaczego?

— Czyś pan nie słyszał po jakiemu śpiewają. W innych fabrykach pracują cudzoziemcy.

Złotopolski zmarszczył brwi i szybko zbliżył się do inżyniera.

— Jak to pan rozumiesz?

— Dyrektor oddalił cudzoziemców, a postarał się o naszych ludzi — odparł inżynier.

Obie ręce Złotopolskiego spoczęły na ramionach towarzysza.

— Dlaczego on to uczynił? dlaczego to uczynił? — pytał gorączkowo.

— Dla dobra ogółu. Ale co panu jest?

— Nic! nic!

Złotopolski zamilkł nagle i sposępniał, jak noc. Zagadka, której nie chciała mu rozwiązać Fanny, leżała teraz jasno przed jego oczyma.

Ale jasność owa daleką była od radości: czemże on był przy Iwaszkiewiczu?

Nagle w bramie fabrycznej odezwał się dzwonek.

— Dyrektor! — zawołał rudy inżynier. — Teraz ustępuję panom.

Jakoż po chwili w ciemnym mroku bramy fabrycznej zarysowała się wysoka, spokojna postać Iwaszkiewicza.

Złotopolski szybko zbliżył się ku niemu.

— Panie! — rzekł smutnym, poważnym głosem — nie znałem pana, ale przed chwilą poznałem i... teraz rozumiem Fanny... i ustępuję!...

Zanim Iwaszkiewicz zdołał ochłonąć ze zdziwienia, Złotopolskiego już nie było.

Koniec, czytelniku! W parę dni potem Złotopolski odjechał za granicę i osiadł w Dreźnie. Iwaszkiewicz ożenił się z Fanią, ale mimo namów pani Bujnickiej nie chciał porzucić fabryki, którą i nadal, w podobnym jak przedtem duchu, zarządzał.

W Złotopolu za to na szwedzkich okopach kwitnęły ogórki, a jeno kości sodalisów póty nie znalazły spoczynku, póki chłopstwo nie ulitowało się nad niemi i »owych świętych szczątków żołnierskich« nie pochowało w poświęcanych grobach.

KONIEC.

4717

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXVI

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LXXVI

SELIM MIRZA
CZY CI NAJMILSZY?

Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygodnika illustrowanego“,

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Января 1905 г.

I

SELIM MIRZA

I.

Było to na wiosnę podczas wojny francusko-pruskiej. Belfort oblężony był przez Prusaków, oddział zaś wolnych strzelców, w którym służyliśmy od pół roku obaj z Selimem, towarzyszem moich lat dziecinnych, kręcił się za ich plecami, bijąc się prawie codzień, chwytając posłańców z depeszami, napadając konwoje z żywnością.

Oddział ten był zbieraniną wszelkiego rodzaju awanturników, po największej części cudzoziemców, ludzi skłonnych do rabunku, grabieży i wszelkiego rodzaju nadużyć, ale też nie ceniących życia, nie mających nic do stracenia, nawpół zdziczałych wśród ciągłego boju i prowadzących rzemiosło wojenne z instynktem i zamiłowaniem dzikich zwierząt. Sami nazywaliśmy się myśliwymi na ludzi, choć trudno było powiedzieć, kto tu był myśliwym, kto zwierzyną, bo i nas tropiono bez odpoczynku z całym nie-

mieckim uporem i wytrwałością. Nie dawaliśmy spokoju, ale też nie mieliśmy go sami ani we dnie, ani w nocy. Wśród dnia leżeliśmy po największej części w zaroślach, lasach i winnicach, w nocy, zwłaszcza jeżeli zdarzyła się noc ciemna i dżdżysta, wychodziliśmy na łup, podkradaliśmy się pod same obozowiska pruskie, porywaliśmy ludzi z placówek, tępiliśmy patrole, zasadzaliśmy się w rowach kolei żelaznych na pociągi, lub wyrywaliśmy szyny, psuli telegrafy i t. p.

Nikt nigdy, nawet i rząd Gambetty, nie wiedział, gdzie jesteśmy, co robimy i gdzie się udamy. Byliśmy oddziałem luźnym. Nie braliśmy wcale żołdu; jedliśmy najczęściej to, cośmy zdobyli na Prusakach, piliśmy wódkę ułanów pruskich, otoczeni na wszystkie strony — zamknięci, rzec można, naokoło murem dział i bagnetów, nie paliliśmy prawie nigdy ognisk, zmoczeni deszczem — suszyliśmy się na słońcu zziębnięci — ogrzewaliśmy się w karabinowym ogniu.

— Mieszkamy za kołnierzem u Prusaków — mawiali nasi żołnierze.

Istotnie, daleko za nami była Francya walcząca, uciekająca, były francuskie miasta, francuski rząd, armia, jednooki dyktator, manifesty, generałowie w złotych mundurach, gazety, szpitale wojskowe, zapasy żywności, ale to wszystko

było poza nami. Bliżej były oddziały pruskie, bawarskie, saskie, my w ich środku.

Nieraz żelazna dłoń jakiegoś pruskiego generała opuszczała się na nas ostrożnie i cicho, jak ręka człowieka, który chce schwycić uprzykrzony owad. Upatrzywszy chwilę, dłoń ta spadała wreszcie, jak piorun, i chwytała tylko powietrze — my byliśmy już gdzieindziej.

Czasem znów podstawialiśmy bagnet pod taką dłoń, wówczas cofała się z okrzykiem wściekłości.

Ustawiczna wojna, zdrady, zasadzki wyrobiły w tych ludziach prawdziwie wilczy instynkt. Nie potrzebowali prawie dowództwa: działali cicho, sprawnie, przezornie; wtedy, kiedy polowano na nich, ani chwili nie przestawali polować sami, umieli czyhać po całych nocach i po całych nocach tłumić oddech i po całych nocach wytężać wzrok w jedną stronę, z której miał nadejść łup.

Ryzykując ustawicznie wszystko, umieli zachować ostrożność kota. Nieraz, gdyśmy leżeli w zaroślach, oddziały pruskie przechodziły tak blizko, że zdarzało mi się słyszeć głosy oficerów, ale jeżeli oddział był zbyt silny, nie padł ani jeden strzał.

Pułk wojska, idący wśród promieni słonecznych rzuca cień.

— Byliśmy zawsze pewni, że kryjecie

się w naszym cieniu — rzekł do nas jeden jeniec.

Istotnie byliśmy cieniem pruskim.

Ludzie nasi zatracili w sobie zwolna wszelkie uczucia ludzkie; nie mogę powiedzieć, żeby się bili dla Francyi i za Francyę, bili się, żeby się bić. O Francyę nie dbali. Żołnierzy francuskich z innych oddziałów, lub z armii regularnej, nie cierpieli tak prawie, jak Prusaków, a pogardzali nimi więcej, niż Prusakami. Przy spotkaniach, które zresztą rzadko się zdarzały, przychodziło zawsze do kłótni i bójek.

— Prusacy uciekliby, gdyby zobaczyli wasze twarze — mawiali do innych nasi żołnierze — ale zawsze widzą tylko wasze... spodnie.

Słowem, był to oddział pod każdym względem wyjątkowy, ale nie był liczny, owszem, topniał coraz bardziej, zarówno przez ciągłe bitwy, jak i przez trudy prawie nadludzkie. Przytem los rannych lub chorych naszego oddziału był straszny. Zostawiano ich po prostu w lesie. Raz, gdy jeden człowiek z nerwowego wycieńczenia upadł i prosił, żeby go dobić, słyszałem, jak odpowiedziano mu:

— Nie bój się, baranku, wilki cię tu znajdą.

Kandydatów nowych brakło, bo taka służba nie nęciła, choć z drugiej strony dawała obfitą nadzieję łupu. Zegarków, pieniędzy i pierścionków, zdjętych z trupów, mieli nasi ludzie tyle,

że nie wiedzieli, co z nimi robić. Ale też i nie dbali o nie. W karty nie wolno było grać, kupować nie było co i gdzie, chować nie było warto, bo każdy wiedział, że prędzej czy później zginie.

Oddział więc codzień stawał się mniejszy; kandydatów brakło jeszcze i dlatego, że nie było w nim żadnej dosługi. Żołnierz miał w kieszeni śmierć, nie buławę marszałka. Rząd obrony narodowej w buletynach swoich wspominał o nas bardzo rzadko.

— Oni o nas nie wiedzą — mawiał nasz dowódca, który tego rządu nie cierpiał.

Jednooki dyktator chciał nas jednak widzieć i przesłał rozkaz do La Rochenoire'a, naszego dowódcy, ażebyśmy się stawili na wskazane miejsce, ale La Rochenoire nie usłuchał rozkazu i zamiast na wskazane miejsce, poszedł na zasadzkę.

— Jeżeli nas chce widzieć — rzekł — niech przyjedzie do nas balonem, on to umie.

Zresztą, na paradzie oddział nasz źleby wyglądał: ludzie byli wychudli, poczernieni dymem, w mundurach podartych na strzępy, o oczach zaszłych krwią; niektórzy mieli głowy poobwiązywane chustkami, poplamionemi zaschłą posoką, nie czesani, nie myci, podobniejsi byli do zwierząt, niż do ludzi.

Ja znalazłem się w tym oddziale wypadkowo:

namówił mnie do tego Selim. Kiedy wojna rozgorzała i kiedy obaj wybieraliśmy się z Paryża, ja chciałem wstąpić do armii regularnej, ale Selim rzekł:

— Pójdziemy do La Rochenoire'a.

— Co to za jeden?

— Formuje oddział strzelców.

— Czy go znasz?

— Tak.

Skąd go znał, nie chciał mi nigdy powiedzieć, domysły zaś moje w tej mierze nie mają nic pewnego. Wiem, że jeszcze przed wojną Selim, który miał sporo pieniędzy, więcej nawet niż ich mógł wydać, awanturował się w Paryżu; wiedziałem, że miał pojedynek z kimś, należącym do arystokracyi francuskiej, i że trzykrotnie wytrącił mu szpadę z rąk, szczegółów i nazwisk jednak nie wiedziałem nigdy dokładnie. Były to czasy, w których z Selimem nie żyliśmy blizko. Naprzód on był bogaty, powtóre, bądź co bądź, dzieliło nas wspomnienie Hani. Wprawdzie Selim postąpił z Hanią, jak człowiek honoru, nie mogłem jednak opędzić się myśli, że gdyby nie on, ukochana moja Hania nie przeszłaby strasznej choroby, nie przywdziałaby sukni zakonnej, że wreszcie, gdyby nie on, ja byłbym szczęśliwszy: nie miałbym w duszy takiej pustki, z jaką nosiłem się od lat ośmiu, i — może nawet — zamiast tułać się za gra-

nicami kraju, orałbym spokojnie zagon rodzinny.

Nakoniec, bolało mnie jeszcze i to, że podczas gdy ja, który mniej względem Hani zawiniłem, nosiłem się jednak ze smutkiem i jakby wyrzutem w duszy, Selim zapomniał o niej zupełnie. Przybywszy do Paryża, oddał się szumnemu, gorączkowemu życiu tego miasta z całą namiętnością swej wschodniej natury. Selim nigdy i w niczem nie znał hamulca. Jego majątek, rodowe nazwisko Mirzów Dawidowiczów, tej dumnej szlachty, jego wykształcenie wreszcie, bystrość umysłowa, żartki dowcip, a nakoniec piękność, odziedziczona po matce, otworzyły mu wszystkie podwoje rozkoszy w stolicy świata. Przyjmowano go wszędzie i rozrywano wszędzie. Ach, bo też piękny był ten chłopak, jak pomysł artystyczny, z temi swojemi anielskiemi oczyma, biorącemi wprost za serce, z głową o liniach godnych dłuta rzeźbiarza, z wyniosłą giętką postacią, ze skrzydlatą młodością i bogactwem życia tak nieprzebranem, że im więcej rozrzucał je na wszystkie strony, tem więcej zdawał się je posiadać.

A przytem, nie był to piękny mężczyzna w znaczeniu bulwarowem, jak zwykł pojmować piękność Paryż: w znaczeniu zwykłem, pospolitem. Wszystko, począwszy od umysłu, od owego nadmiaru życia, z którem sam nie wiedział, co

ma robić, a skończywszy na rysach twarzy, było w nim oryginalnem, niecodziennem.

Dla Paryża ten młody Tatar, o rysach anioła, sile atlety, odwadze lwa i herbowej tarczy rycerza, był to kwiat o nieznanej barwie i woni. Łatwo zrozumieć, jak wyglądali przy nim markizowie nadsekwańscy: ich — życie szalone wyczerpywało, jego — zdawało się wzmagać, oni byli duszami zgasłemi, jak wypalone lampy, on nawskróś był płomieniem, oni się przeżyli, on nie wiedział, co z życiem robić, oni byli rozczarowani, on sam był czarem, i wszystko naokół niego było dlań czarem.

Dla nich orgia była podnietą stępiałych nerwów, dla niego — ochłodą przed zbytnim żarem krwi. A przytem męty, leżące na dnie kielicha, nie czepiały się jego ust, zło odpadało od tej szlachetnej natury, jak suchy piasek od skały.

Charakter ten urabiał się w moich oczach, widziałem, jak się rozwijał prawie z dnia na dzień, dlatego znałem go nawskroś. Był to tenże sam Selim z lat dziecinnych, tylko podniesiony do potęgi.

Przeświadczenie o własnych siłach dało mu pewność, przeświadczenie zaś, poparte wrodzoną inteligencyą, o nizkości i fałszywych pozorach większej części dusz ludzkich nauczyło go lekceważyć mężczyzn. Zarody niepohamowanej energii i przedsiębiorczości, jakie tkwiły w nim od

lat dziecinnych, wybujały teraz do najwyższego stopnia, okrzepły i czyniły go pod pewnym względem niebezpiecznym.

Została mu dawna żywość i trochę nieopatrzności, która łatwo mogła przy namiętnej, wrodzonej mu naturze przechodzić w zapamiętanie i szaleństwo, ale od zapamiętania i szaleństwa broniła go świadomość siebie, którą daje ludziom wykształcenie i subtelne, filozoficzne poniekąd poczucie każdego czynu, słowa, położenia i idei.

Nie był nigdy sentymentalny, ale jeżeli coś podobnego do sentymentalizmu drzemało za lat dziecinnych, choćby w atomie tylko, w jego naturze, teraz rozwiało się to bez śladu. Oto dlaczego wspomnienie Hani nie zostawiło w nim ani cienia smutku lub zarzutu. Kochać się umiał wśród śmiechu, pocałunków, radości i wesela, wzdychać nie umiał.

Takie usposobienie jednak zgadzało się z charakterem i usposobieniem kobiet stolicy świata, dlatego te kobiety szalały za nim, chociaż wiedziały, że zdradzi je równie łatwo, jak bez wyrzutów, kiedym zaś o tem z nim mówił, odrzekł mi:

— To nie obowiązuje, bawię się. Gdybym znalazł prawdziwą miłość, dałbym sobie rękę uciąć, ale jeżeli ona istnieje, z nas dwóch ty jej będziesz dłużej szukał, ale ją znajdziesz prawdopodobniej.

— Więc zwodzisz, gdy mówisz: kocham?

Uśmiechnął się.

— Nie, wiem wprawdzie, że później zwiodę, ale gdy mówię, nie zwodzę.

Mężczyźni, z którymi się spotykał, dzielili się na dwa obozy: jedni przepadali za nim, drudzy go nienawidzili. Co do Selima, miał swój nader oryginalny pogląd na nich.

— Wolę tych, którzy mnie lubią, ale szanuję więcej tych, którzy mnie nienawidzą, ci są samodzielniejsi — mówił do mnie.

Potem zaś zwykle dodawał:

— Zresztą, nie dbam o wszystkich.

Jednakże był doskonałym towarzyszem. Serce miał dobre, poczciwe, serce na dłoni, więc pomagał, komu mógł i gdzie mógł, ale w przyjaźń nie wchodził łatwo; w chwili, kiedy z kimś dzielił się wszystkiem jak z bratem, kochał go też jak brata, wtedy uczucie jego bywało szczere, niemal naiwne, płynące z głębi duszy, ale potem też same stosunki brał lekko. Selim wszystko brał trochę lekko.

Jednakże, gdy z powodów, o których wspomniałem, odsunąłem się cokolwiek od niego i począłem żyć zamknięty więcej w sobie, Selim gryzł się tem niepomału. Z początku niejednokrotnie pytał mnie:

— Czego ty, waryacie, chcesz ode mnie?

Później przestał pytać, ale nie przestał boleć

wewnętrznie. Nieraz ze zgiełku, rozkoszy, blasków i wielkiego życia, biegł do mojej izdebki na Montmartre i, siadłszy pod oknem, wodził troskliwie za mną swemi anielskiemi oczyma, jakby pragnąc dopytać się do mego serca. Co do mnie, nie przestałem go kochać, owszem może właśnie dlatego, że usposobienia nasze były wprost przeciwne, miałem dla niego tyle przynajmniej słabości, ile przywiązania. Ale cień Hani, który dla niego przestał istnieć, dla mnie stawał między nami. Zresztą miałem i inne powody.

Oto nie mogłem z nim żyć na równi, a przytem on był wesoły, ja byłem smutny. O tak, ja miałem dosyć powodów do życia z daleka od Selima, alem ich nie mógł mu zwierzyć, bom się obawiał jego współczucia. Miałem to w naturze, żem goryczami nie dzielił się z nikim nigdy. Kiedy poczułem cierń w sercu, wtedy zamykałem je tak, jak się zamyka muszla, w którą wpadnie ziarnko piasku. Zresztą, tak samo nie zwierzałem się nikomu i w szczęściu. Kto to czyni, czyni na mocy wewnętrznej potrzeby, ja nie czułem tej potrzeby.

W takich więc warunkach żyliśmy od lat kilku w Paryżu. Jam wegetował, on kwitł. Tymczasem wybuchła wojna. Wiadomość o niej przyjęliśmy obojętnie. Cały Paryż uważał ją z początku jakby wojenną paradę. Sądzono, że

sam widok brodatych żuawów i czarnych afrów rozproszy Niemców na cztery strony świata. Sami owi żuawi i turkosi ciągnęli z Paryża na wschód, jak stada ptaków drapieżnych na łup. Dyszeli żądzą boju i krwi, drżeli z niecierpliwości, by jak najprędzej znaleźć się w dymie, huku i kurzawie wojennej. Paryż upoił się, ale o przyszłość był spokojny.

— Jeden więcej tryumf — sądzono — i oto koniec będzie wszystkiemu.

Ale kiedy dym z dział pod Wissenburgiem, Gravelotte i Sedanem opadł, przerażone oczy Francuzów ujrzały klęskę najstraszniejszą, jaka kiedykolwiek na nich spadła. Owe pstre, czerwone, czarne pułki pierzchnęły przed żelaznymi legionami Niemców, jak leśne ptactwo przed stadem jastrzębi, a na około stolicy świata zacieśniał się coraz bardziej ciemny, a groźny mur pruskich wojowników. U bram Paryża, po nocach, zaczęło się rozlegać rżenie koni Atylli. Od czasu do czasu, wśród milczącego miasta, zatętniły kroki gońca i rozległ się głos: »Pobili naszych! nowa klęska!« Paryż na chwilę przykląkł, jak buhaj uderzony obuchem między rogi, ale potem podniósł się i ryknął.

Cały zresztą naród zerwał się do obrony. Groźny jednooki dyktator pożeglował z miasta balonem. Szale wojenne poczęły się wahać nanowo. Na północy, na południu, na wschodzie

i zachodzie Francyi formowano oddziały, armie wyrastały z pod ziemi, jak grzyby. Kraj najeżył się bagnetami.

W takich to czasach, pewnego wieczoru wpadł do mnie Selim z rumieńcami na twarzy i z zaiskrzonemi oczyma.

Wpadłszy, rzucił mi się na szyję.

— Pójdziemy się bić! — zawołał.

Dawno chciałem to uczynić, więc słowa jego przyjąłem chłodno. Sądził, że to ów dawny chłód, który od kilku lat oddalał nas od siebie, więc rzekł prędko:

— Było coś między nami, ale na mojego proroka! niechaj to pójdzie w niepamięć. Henryku, znów strzemię do strzemienia!

Przypomniałem sobie, jak mój ojciec rzekł do mnie, kiedym miał mieć pojedynek z Selimem:

— A to już bij, synku, aż się wszyscy dyabli będą śmieli.

Więc odpowiedziałem podobnie Mirzie:

— Tak, będziemy bili, Selimie, aż będzie w piekle słychać.

Potem uściskaliśmy się, a potem zaczęli sprzeczać. Ja chciałem zostać w Paryżu i bić się pod jego murami, Selim pragnął wydostać się z murów i zaciągnąć się do wolnych strzelców.

— Tu hołota mieszczańska zmykać będzie

Potem zaczął mi opowiadać o La Rochenoirze i zaręczał, że pod jego komendą znajdziemy czego szukamy.

— On mnie nie cierpi — rzekł — ale to szczególniejszy człowiek. Nigdy nie spotkałem podobnego charakteru. Dałbym głowę za niego.

Czytelnicy wiedzą już, że napróżno wypytywałem się Selima o bliższe szczegóły pojedynku z La Rochenoirem. Domyślałem się, że on to był tym markizem, któremu Selim w pojedynku wytrącił trzykrotnie broń z ręki, ale zresztą Selim miał mnóstwo pojedynków, trudno więc było coś stanowczego wnosić.

— Powiadam ci, że takich ludzi niema może trzech na świecie — mówił do mnie z naleganiem.

Ustąpiłem wreszcie, bo zwykle ustępowałem Selimowi, ale uczyniłem to z przykrością. W Paryżu dość było wziąć karabin i wyjść za mury, żeby się bić, ile dusza raczy — za Paryż trzeba się już było wydostawać balonem. Ta powietrzna żegluga nie uśmiechała mi się. Zresztą chciałem zaciągnąć się do jazdy, oddział zaś La Rochenoire'a był pieszy, ale Selim uparł się — i ustąpiłem.

Puściliśmy się więc we dwa dni później balonem, wioząc ze sobą mnóstwo depesz dla dyktatora. Dzień był chmurny, dżdżysty. Statek nasz, który w mieście samem wzbił się od razu w górę o kilka tysięcy stóp, tuż za miastem

opadł na dwa strzały karabinowe nad ziemię i wlókł się ociężale ponad samym obozem pruskim. Widziałem cały obóz, jak na dłoni, białe morze namiotów, reduty, działa, wartowników w śpiczastych hełmach, stojących nieruchomo, jak posągi, naokół obozu. Większe i mniejsze grupy żołnierzy ukazywały nas palcami, generałowie patrzyli na nas przez lunety i cały obóz zawrzał ruchem, którego gwar dolatywał aż do nas. Strzelono do naszego statku z małego polowego działka, ale nie słyszeliśmy nawet świstu kuli. Mr. Vaucourt, kapitan balonowy, dzielny aeronauta, ale wielki tchórz, umierał ze strachu na dnie łodzi. Selim śmiał się, jak dziecko, klaskał w ręce, kłaniał się Niemcom i wołał na nich wszystkimi językami, a przytem potrząsał łódką, co powiększało jeszcze strach pana Vaucourt, ja zaś, trzymając karabin, śledziłem, czyby nie można dać strzału, ale zarówno zbytnia odległość, jak i kołysanie się łodzi stały temu na przeszkodzie.

Jednakże, kiedy dotarliśmy do ostatnich placówek obozu, balon zniżył się jeszcze bardziej. Teraz i Selim uchwycił za karabin, a oczy zaiskrzyły mu się, jak u wilka. Wytężył wzrok w jedną stronę i po chwili rzekł do mnie:

— Patrz!

Spojrzałem w stronę, którą mi ukazywał, i przez przeźroczystą mgłę, wśród której pły-

nęliśmy w tej chwili, dojrzałem, jak od czarnej ogromnej masy ludzi oderwało się kilkadziesiąt postaci na koniach i poczęło dążyć za nami.

Wkrótce gołem okiem mogliśmy dostrzedz kwadratowe czapki ułańskie, mundury, lance i barwę chorągiewek. Z dołu dochodziły nas ich okrzyki; wkrótce znaleźli się tuż pod nami. Tymczasem statek zniżył się jeszcze bardziej i płynął coraz wolniej.

— To ułani! — zawołał Selim.

— *Nous sommes perdus!* — zajęczał pan Vaucourt.

Ułani tymczasem sadzili, co koń wyskoczy, ale bez najmniejszego porządku. Na przedzie biegł oficer, rosły mężczyzna, o jasnej brodzie. Kasztanowaty koń jego, widać, dzielniejszy od innych, sadził, jak szalony, wprost pod balonem, wyrzucając ziemię kopytami. Oficer, nie bacząc na drogę, z podniesioną do góry głową, patrzał, jak w tęczę, w statek, krzycząc po niemiecku:

— Mamy was! mamy was!

— Trzymaj! — odpowiadał mu, śmiejąc się, Selim.

Tymczasem wpłynęliśmy na łąkę, porosłą kępkami szuwarów i widocznie trochę bagnistą, konie bowiem ułanów poczęły więznąć i padać, blizko połowa została już za nami i wkrótce też zatrzymała konie, oficer jednak i dwudziestu innych ludzi dotrzymywali nam w biegu doskonale.

— Co za dzielne konie! — rzekłem do Selima.

— Możnaby już strzelać — rzekł.

Istotnie, nie byliśmy wyżej, niż na dwieście kroków nad ziemią, ale strzelać było trudno z powodu kołysania się łódki, która chwilami przybierała prawie poziome położenie.

— Czy nie możesz pan sprawić, żeby ta dyabelska łódka nie tańczyła, jak baletniczka? — krzyczał podniesionym głosem Selim, jak gdyby pan Vaucourt był głuchy.

— *Nous sommes perdus!* — jęknął pan Vaucourt.

Wówczas Selim, trzymając się jedną ręką lin, powstał w łódce, drugą zaś zmierzył z karabinu do oficera, jak gdyby strzelał z pistoletu.

— Chybisz — rzekłem.

— Spróbuję.

Rozległ się głucho strzał, któremu natychmiast odpowiedział okrzyk wściekłości z dołu. Spojrzałem: oficer nie patrzył już w górę, ale upadł twarzą na grzywę konia, a wkrótce zwalił się na ziemię.

Jednocześnie jednak zniżyliśmy się tak, że lina próbna, jaka zwykle wisi pod balonem, dotykała prawie ziemi. Szczęściem ułani zatrzymali się nad zabitym oficerem, skutkiem czego zdołaliśmy się oddalić od nich na kilkaset kroków.

Pan Vaucourt, oprzytomniawszy, wyrzucał ze statku wszystko, co się jeszcze dało wyrzucić, ale widocznie gaz przesiąkał przez rozmokłą kitajkę, czy może w górnej części statku porobiły się otwory, dość, że lina próbna poczęła już niemal trzecią częścią swej długości uderzać o ziemię, sprawiając niezmierne kołysanie się łódki.

Ułani, spostrzegłszy to, znowu rzucili się w pogoń, ale konie ich pomęczone nie mogły tak długo biedz za nami, wkrótce więc zostało ich tylko pięciu, następnie, po kilkunastu minutach, znowu koń pod jednym padł i nie powstał więcej.

— Już tylko czterech — rzekł Selim.

— Daj ognia, a będzie trzech.

— Za daleko, zresztą łódka chyba się wściekła.

— Jednakże nie potrzebujemy już uciekać.

— A zatem dobrze! Panie Vaucourt, otwórz klapę, niechaj gaz wyjdzie, chcemy wysiąść.

— Panowie! — zawołał z rozpaczą Francuz — czyście rozum stracili? Jakto, czterech tych dyabłów sadzi za nami, a my dobrowolnie chcemy się im oddać? Nigdy!

— Panie Vaucourt, otwórz klapę i spuść kotwicę — powtórzył groźnie Selim.

— Nigdy.

Wówczas Mirza odwrócił się do mnie i rzekł spokojnie:

— Bądź tak dobry, przyłóż lufę karabinową do ucha pana Vaucourt; niechaj wybiera.

Odwróciłem się i trzymając się jedną ręką lin, drugą skierowałem karabin do ucha pana Vaucourt.

— Daję panu minutę czasu do namysłu.

Pan Vaucourt począł przeklinać naszą narodowość, chwilę, w której przyszedł na świat, siebie, Paryż, Prusaków, ale spuścił kotwicę i drżącemi rękoma otwierał klapę z takim pośpiechem, jakby od tego ocalenie Francyi zawisło. Poczęliśmy spadać na dół, jak kula.

— Trzymaj się! — krzyknął Selim.

Jednakże nie obrachowaliśmy jednej rzeczy. Oto z łódki balonu nie wysiada się tak, jak z powozu; kotwica zaczepiła się wprawdzie o kępę, ale łódka uderzyła tak silnie o ziemię, że wylecieliśmy wszyscy trzej w trzy różne strony, jak z procy. Co gorsza, karabin wypadł mi z ręki, sam zaś upadłem twarzą na kępę.

Zerwałem się natychmiast, ale nie zdążyłem jeszcze rzucić okiem za moim karabinem, gdy tuż koło ucha mego rozległo się chrapanie konia i warczenie chorągiewki ułańskiej.

— W prawo, w prawo! — krzyknął Selim.

Nie zdołałem jeszcze uskoczyć, gdy huknął strzał, i jeździec, który już dosięgał mnie lancą,

jakby piorunem rażony, łypnął oczyma i zwalił się ciężko z siodła.

Ach, Mirza, spadając, widocznie nie upuścił swego karabina!

Pochwyciłem i ja za mój i spojrzałem naokoło. Teraz Selim był w niebezpieczeństwie. Dwóch jeźdźców parło na niego całą szybkością koni, wyjąc i wrzeszcząc jak opętani. On zaś, z rozwianym włosem, bez kapelusza, z rozdętemi nozdrzami i rumieńcami na twarzy, czekał na nich spokojnie, ściskając w obu rękach karabin. Ach, jeden z jeźdźców brał Selima na cel z pistoletu — pociągnąłem za cyngiel.

Z trzech atakujących nas pozostał jeden, ale o rezultat walki byłem już spokojny. Mirza zbyt biegłym był fechmistrzem na wszelką białą broń, aby ów rezultat mógł być wątpliwy.

Pozostał jeszcze czwarty ułan, ale ten, ujrzawszy z odległości dwustu kroków rezultat walki, zdarł konia wędzidłem tak, że aż tylne nogi zwierzęcia zaryły się głęboko w trawę, potem począł uciekać tak szybko, jak tylko zmęczony biegiem koń mógł nadążyć.

Selim strzelił za nim jeszcze, ale bez rezultatu, odległość bowiem była zbyt wielka.

Ręka Prusaka, którego Selim zastrzelił tuż nademną, nie puściła cugli, dlatego koń jego stał z pochyloną głową nad martwem ciałem swego pana. Obaj z Selimem wyplątaliśmy z tru-

dnością cugle z tej ręki, której palce były już zesztywniałe, poczem Selim wskoczył na siodło i pogalopował za dwoma innymi końmi, z których jeden, zwierzę widocznie głupie, począł gryźć sobie trawę, tak jak gdyby nic nie zaszło, drugi zaś biegł po łące galopem i krótkiem rżeniem oznajmiał swoją żałość.

Gonitwa za końmi zajęła Selimowi trochę czasu, w kwadrans jednak schwytał obadwa, ja tymczasem poszedłem szukać pana Vaucourt, z którym nie wiedziałem, co się dzieje.

Znalazłem go za kępą szuwarów, leżącego twarzą do ziemi, i począłem go wstrząsać za ramię.

— Panie Vaucourt, wstawaj pan!

— *Pardonnez moi!* — jęczał pan Vaucourt, sądził bowiem, że to ułan pruski namawia go, by wstał. Biedakowi nie przyszło do głowy, że Prusak nie wołałby na niego po francusku.

— Panie Vaucourt! to my; niema już ułanów, to my pańscy towarzysze!

Pan Vaucourt podniósł głowę i, podparłszy się obu rękami, nie wstając zresztą, patrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, oczom własnym nie wierząc. Stojący obok z końmi Selim śmiał się, jak szalony.

— Tak, tak! niema już Prusaków — powtórzył.

Pan Vaucourt powiódł oczyma po nas, po

koniach ułańskich, po ciałach leżących na łące, potem zaś nagle wpadł w taki paroksyzm radości, że sądziliśmy, iż dostał pomieszania zmysłów.

— *Eh bien! vous êtes donc des diables!* — wołał, nie mogąc przyjść do siebie.

— To on to wszystko zrobił — rzekłem, ukazując na Selima.

— Jakto? ten młody człowiek z twarzą... panienki?

— Nie, nie! to my obaj — odpowiedział Selim.

Pan Vaucourt śmiał się, tańczył, wypytywał nas, to znów tańczył, słowem postradał zmysły. Potem pobiegł oglądać zabitych, ale, gdy się zatrzymał przed trupem najbliższego Prusaka, który z twarzą wykrzywioną przez konwulsye, z krwawą pianą na ustach i zaciśniętymi zębami spoglądał na niego martwem okiem, biedakowi zrobiło się słabo i pobladł tak, że myśleliśmy, iż zemdleje.

Selim namawiał go, by obszukał kieszenie poległych, ale bał się tego uczynić. My zaś wzięliśmy tylko kaski i, siadłszy na konie, puściliśmy się w dalszą drogę.

— Wolę jednak tak, niż tą piekielną machiną — rzekł Selim, gdy przejeżdżaliśmy koło balonu, który, leżąc na trawie i opadłszy zupełnie, przedstawiał widok nader smutny.

Tymczasem pociemniało, a wkrótce zrobiła się noc zupełna. Dostaliśmy się na jakąś dro

żynę, o której nie wiedzieliśmy, czy nie zawiedzie nas do jakiej wioski, pełnej Prusaków. Trzeba było zachować wszelką ostrożność, bo niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze zupełnie. Byliśmy w okolicach, zajętych przez nieprzyjaciela, i lada chwila mogliśmy się spotkać z jakim patrolem. Możliwem było także, że wysłano za nami nową pogoń. Tymczasem pan Vaucourt, puściwszy raz wodze językowi, nie mógł go już utrzymać, i wynurzał nam swoją »nieskończoną« i »nieopisaną« wdzięczność tak głośno, że wreszcie Mirza kazał mu być cicho.

— Dlaczego? — pytał.

— Prusacy mogą być niedaleko.

— *Avec vous, je m'en fiche!* — odpowiedział z całem zaufaniem.

Odwaga jego teraz była równie »nieopisaną«, jak wdzięczność.

Tymczasem leśna drożyna stawała się coraz węższą. Często, spłoszeni jakim szelestem, skręcaliśmy w bok, zatrzymując konie i dech w piersiach. Raz sarna z młodem przebiegła nam drogę i, spojrzawszy na nas, w krótkich podskokach pobiegła na pobliską polankę, na której poczęła skubać spokojnie trawę. Zdawało się, że w owych czasach zwierzęta widocznie wiedziały, iż ludzie zbyt są zajęci zabijaniem siebie, aby mieli czas zwracać na nie uwagę. Czasem gałęzie drzew uderzały o nasze twarze,

lub zaczepiały o suknie, czasem koń chrapnął niespokojnie, lub jaki pień, stojący na uboczu w ciemnościach nocy, przybierał fantastyczny kształt człowieka z otwartemi ramionami, lub rękoma podniesionemi do nieba, — wówczas zatrzymywaliśmy konie, pan Vaucourt zostawał z tyłu, my zaś z Selimem, odwiódłszy kurki, podjeżdżaliśmy zwolna do podejrzanego przedmiotu. Las szumiał, deszcz trochę ustał, ale natomiast zerwał się wicher, po ciemnem niebie przelatywały poszarpane chmury, to przesłaniając światło księżyca, to odkrywając przestrzenie, pokryte blademi gwiazdkami.

Nerwy naszego towarzysza poczęły znowu głośniej przemawiać. Co do mnie, czułem się zupełnie szczęśliwy. Ta cisza, samotność, dzika ustroń leśna, noc, otwarty powiew wiatru, niepewność i niebezpieczeństwo każdej chwili, miały dla mnie niepojęty urok, jakby zmartwychpowstania. Mnie tam duszno i ciasno było w murach, tu oddychałem szeroko, całym obszarem płuc, jak Farys w Arabistanie. Tam, w murach, wplatałem się codzień w bolesne koło własnych myśli i wspomnień, tu strzemię moje trącało o strzemię brata, Tatara, przedemną był szeroki kraj, drugi brat, karabin, w ręku, swoboda, zapomnienie życia, upojenie... śmierć...

Gdyby bezpieczeństwo towarzyszów nie stało temu na przeszkodzie, chciałbym był podnieść

twarz ku niebu i krzyczeć pełną piersią: hej, hej, ty puszczo szumiąca! — a potem słuchać pilnemi uszyma, co odpowiada mi bór, na którym wiatr grał, jak na organach. Pół leśna, pół dzika puszcza litewska rozbudziła się we mnie i zdawało mi się, że jestem gdzieś w Ponarskiej lub Białowieży, wśród mateczników i bagien, w których o północy wody mruczą wyraźnie, ostre krzyki świtezianek przeszywają powietrze, próchno świeci błękitnem światłem, a zwierz na uroczyskach ludzką przemawia mową.

Nie myślałem więc o niebezpieczeństwie i nie dbałem o nie w tej chwili, ale Mirza czuwał. Jego ściągnięte brwi oznaczały uwagę, oczyma badał każdy krzak, każdy pień drzewa. Droga stawała się coraz dziksząą, była to raczej jedna z takich leśnych ścieżek, jakie u nas nazywają »ciocinemi dróżkami«.

Wreszcie po półgodzinnej jeździe Selim rzekł:

— Trzeba dać odpocząć koniom.

Skręciliśmy na bok i, ujechawszy ze sto kroków w las, zsiedliśmy z koni i, rozkiełznawszy je, nie puszczając z ręki cugli, pokładliśmy się pod drzewami; milczeliśmy wszyscy trzej, bo byliśmy pomęczeni bardzo; ciszę przerywało tylko chrupanie trawy w zębach końskich.

Siedzieliśmy tak cicho z kwadrans, nagle obaj z Selimem zerwaliśmy się na równe nogi.

— Co to jest? — szepnęliśmy jednocześnie.

Z ciemności i głuszy leśnej doszedł nas jakiś dziwny głos; było to coś pośredniego między płaczem dziecka a beczeniem jagnięcia.

— To cap mekcze! — rzekł Mirza.

— Nie, to lelek — odpowiedziałem.

Jednocześnie konie przestały chrupać trawę, a poczęły strzydz uszyma i chrapać.

Co było dziwne, że głos ten dochodził czasem z prawej strony, czasem z lewej; czasem rozlegał się bliżej, to znów dalej, a zawsze słaby i żałosny.

Nie! Nie mógł to być ani cap, ani lelek. Było w tem wszystkiem coś niewytłumaczonego, i ten maleńki, żałosny głosik miał w sobie dlatego coś przerażającego, że wydawał się nadnaturalnym. Z wycia wilków lub huku karabinowego mniejbyśmy sobie robili z pewnością.

Selim, który, przy całej odwadze lwa, był trochę przesądny, wpatrzył się w ciemność nocną i szepnął:

— Nie lubię tego, nie lubię niebezpieczeństw, wobec których nie wiem, czego się trzymać.

— *Mon Dieu!* — jęknął pan Vaucourt, któremu włosy zjeżyły się na głowie.

— Ale oto widzę coś białego — szepnął Selim, ukazując w ciemny kąt lasu.

Spojrzałem, Mirza mylił się, nie było nic ani białego, ani czarnego.

— Wezmę karabin i pójdę — rzekłem. — Przecież mnie dyabeł nie porwie.

Poszedłem. Ale i ja byłem zdania, że najgorsze z niebezpieczeństw jest to, wobec którego nie wiedzieć, czego się trzymać. Doprawdy wobec tego głosu, który rozlegał się koło mnie i nademną, gotów byłem przypuścić, że to dusze poległych obsiadają drzewa, jak szpaki, i nawołują się lub skarżą.

I moje nerwy poczęły się teraz rozstrajać. Drgałem za każdą gałązką, złamaną pod moją stopą. Raz zdawało mi się, jakby jakiś głos szepnął mi w samo ucho: »hej, Polonais!« Ale były to złudzenia.

Obszedłem kawał lasu naokoło drzewa, pod którem założyliśmy nasz obóz. Głos rozlegał się ciągle naokoło, tak, że wreszcie przestał mnie straszyć, a zaczął nudzić.

— Niech cię licho porwie! — rzekłem sobie w duchu i wróciłem pod drzewo.

Pod drzewem zastałem tylko pana Vaucourt, który, w chwili gdym się zbliżał, był pewny, że to sam lucyper przychodzi po jego duszę.

— Gdzie jest Mirza? — spytałem.

— Poszedł na zwia... a... a... dy — odpowiedział, kłapiąc zębami, Francuz.

Upłynął kwadrans, potem półgodziny. Selim nie wracał.

Teraz i ja począłem się bać naprawdę. Mogło

przytrafić się największe z nieszczęść i niebezpieczeństw: oto Mirza, odszedłszy za daleko, prawdopodobnie zbłąkał się w tym piekielnym lesie i nie mógł trafić pod drzewo.

Upłynęło trzy kwadranse, Selim nie wracał.

Mogłem wprawdzie strzelić lub zawołać i wskazać mu przez to drogę, ale mogłem ją tem wskazać i patrolom pruskim. Nie było jednak innej rady. Z pod drzewa nie ruszyłbym się bez Selima, choćby cała armia pruska miała mnie pod niem otoczyć. Objawiłem swój zamiar panu Vaucourt.

Pan Vaucourt padł przede mną na kolana, żeby tego nie czynić.

— To zguba wszystkich! — mówił.

Próbowałem sykać, odpowiedziało milczenie; nawet ów głos baranka czy dyabła ucichł. Zawołałem więc raz i drugi:

— Mirza, hop, hop!

Milczenie.

Włosy na głowie powstały mi z trwogi o Selima. W tej chwili chłopak ten droższy mi był, niż wszystko na świecie. Niewiele myśląc, podniosłem w górę karabin i dałem ognia.

Błysnęło czerwone światło, potem rozległ się huk. Las cały umilkł, jakby przerażony, tylko pan Vaucourt zawołał:

— Boże, przyjmij duszę moją!

— Dyabeł jej nawet nie zechce — odpowiedziałem zniecierpliwiony.

Cisza jednak nie trwała dłużej nad pięć minut, poczem zdawało mi się, że uchem chwytam lekkie trzeszczenie gałązek, jak gdyby naciskanych stopą ludzką.

Mógł to być Selim, a mógł być i nie Selim, dlatego obaj z Vaucourtem zaczailiśmy się pod drzewem.

Po chwili czarna sylwetka ludzka zarysowała się pomiędzy krzakami. Na nieszczęście chmury jednocześnie przykryły księżyc; zrobiło się tak ciemno, że zaledwie mogłem ją rozróżnić.

Postać ta, z głową pochyloną naprzód, zbliżała się zwolna i ostrożnie, zatrzymując się co chwila. Zauważyłem, że w ręku trzyma strzelbę.

O pięć kroków czarna postać zatrzymała się. Wytężyłem wzrok, to nie był Selim.

Z powodu ciemności nie mogłem jednak odróżnić, czy to był Prusak, czy nie, lub czy wogóle żołnierz. Widziałem wprawdzie, że nowy gość nie miał śpiczastego hełmu na głowie, ale i Bawarowie i Sasi nie mieli także śpiczastych hełmów, zresztą i Prusacy nosili czapki.

Ktokolwiek był jednak ten ogromny chłop, który w tej chwili o pięć kroków stał ode mnie, był mi potrzebny, i to koniecznie żywy, postanowiłem więc go schwytać.

— Tsss! — odezwał się nowoprzybyły.

— Tsss! — opdowiedziałem z za drzewa.

Była to prawdziwa ślepa babka, gra na ten raz trochę niebezpieczna, ale niemniej interesująca.

Nowoprzybyły postąpił jeszcze dwa kroki. W mgnieniu oka rzuciłem się na niego jak tygrys, a sekundę później siedziałem mu na piersiach i, dusząc rękami za gardło, krzyknąłem:

— Milcz i nie ruszaj się, bo zginiesz.

Nowy gość jednak, widocznie obdarzony niepospolitą siłą, rzucał się jak szalony. I ja byłem silny i trzymałem go jak w kleszczach, a zaledwie mogłem go dotrzymać. Chrapał i wierzgał nogami, tak, że ledwo mnie nie zrzucił.

Nagle jednak opadł, jak gdyby nowa, żelazna siła przykuła go do ziemi. Spojrzałem: był to mój serdeczny chłopak, Selim, który już klęczał mu na nogach, a przechyliwszy się przez moje plecy, przyłożył mu błyszczący bagnet do twarzy.

— Jeden ruch więcej, a zginiesz! — zawołał.

Ale nieznajomy nie myślał się już ruszać. Selim zlazł teraz z niego, wziął karabin, przyłożył się i rzekł do mnie:

— Puść go.

Usłuchałem; nieznajomy leżał bez ruchu.

— A więc zabijecie mnie! — rzekł.

— Wstawaj.

Biedaczysko wstał i począł mówić, chwytając zmęczonemi piersiami powietrze.

— Kto wy jesteście? Czego ode mnie chcecie? Ja nic złego nikomu nie robię. Połamaliście mi ręce i nogi. Jeżeliście strażnicy leśni, weźcie moją strzelbę. Zapłacę karę... ale nie łamcie mi kości. Teraz jest wojna. Zwierzyna należy do tego, komu się jeść chce... Niemiec poluje na Francuza... wilk na owce... kot na myszy... ja na sarny i zające. Teraz takie czasy... wszyscy polują...

— Kto ty jesteś?

— Ja nazywam się Mathieu Benoit! albo stary Mathieu, jeżeli się wam tak podoba.

— A więc, stary Mathieu, uspokój się! Nie jesteśmy strażnicy, nie pójdziesz do więzienia, nie zabierzemy ci strzelby, nie zapłacisz kary, pokażesz nam tylko drogę.

— Tak, ale połamaliście mi stare kości — mruknął złodziej leśny.

Kilka sztuk złota zabrzęczało w ręku Selima.

— Kup sobie za to nowe, a teraz odpowiadaj na pytania.

— Słucham.

— Prusacy są tutaj?

— Są.

— Francuzi?

— Francuzi także są. Jedni zabijają drugich. Palą przytem wioski, a Pan Bóg patrzy na to i nie grzmi.

— Otóż, słuchaj. Zaprowadzisz nas do Fran-

cuzów taką drogą, na której nie spotkamy Prusaków.

— Wiem o takich wielu.

— Jeżeli spotkamy Prusaków, więcej niż trzech, strzelę ci w łeb; żeby zaś nie przyszła ci ochota zemknąć, pójdziesz na smyczy, obok mego konia.

— Teraz pies lepszy od człowieka — odmruknął Mathieu.

Siedliśmy na konie i pojechali. Stary Mathieu, który był tem, co po francusku nazywa się »*un braconnier*«, a po polsku »wnicznik«, albo jak mówią także w Białowieży — »kłusownik«, prowadził nas sobie tylko znanemi ścieżkami.

— Tą drogą — mówił, ukazując na drożynę, którąśmy przedtem jechali — zajechalibyście do Pont Vert, gdzie oberżę ma pani Frolie. Mówią, że baba ma pieniądze. Tam także stoją Prusacy, którzy niedawno rozstrzelali młodego Vauharta, ale ja znam las, jak swoją kieszeń i poprowadzę was dobrze. Pan Bóg dał teraz takie czasy, że śmierć mieszka na drodze, spokój w lesie, Niemiec w kościele, a cesarz za kratą.

— Ale ja zresztą głupi jestem, ja nic nie wiem — dodał po chwili.

— Komu sprzedajesz swoją zwierzynę? — spytał Selim.

— Czasem Francuzom, czasem Prusakom,

a jak mi odbiorą, to i darmo oddaję. Wojna bierze, kochany panie, i za towar płaci... na plecach.

Stary rozgadał się w najlepsze. Była w nim mieszanina głupoty i filozofii, z której możnaby wyprowadzić ten wniosek, że gdy wielcy się biją, mali cierpią i sądzą, że Pan Bóg zasnął.

Wypytywaliśmy jeszcze naszego przewodnika o ów szczególniejszy głos, który słyszeliśmy w lesie. Pokazało się, że to kłusownicy nawołują się w ten sposób; że zaś Mathieu był w lesie z trzema synami, przeto głos dochodził nas ze wszystkich stron.

— Ale być może — dodał stary — że i dyabeł odzywa się w ten sposób.

Potem jeszcze rzekł:

— Gdybyście trafili na syna mego Jakóba — nazywają go także »Krzywa ręka« — nie poszłoby wam tak łatwo, choć jesteście mocni, jak Turcy.

Była może godzina druga po północy, gdy wreszcie las począł rzednieć, i nakoniec znaleźliśmy się w wąwozie, którego boki pokryte były żywopłotem. Mathieu opowiadał nam, że las, z któregośmy wyszli, nie był wielki, ale drożyna nasza okrążała go niedaleko brzegów, prawie zupełnie naokoło, robiliśmy więc drogę napróżno.

Zaledwie pierwszy blask robił się na świe-

cie, gdy z daleka, doszło uszu naszych pianie kogutów, a wkrótce wśród mgły oświeconej bladymi promieniami świtu, ujrzeliśmy dachy domów i wieżę kościelną miasteczka, zajętego przez Francuzów. Głośne »*Qui vive?*« żołnierza stojącego na placówce, wstrzymało nasz pochód. Musieliśmy jeszcze czekać, póki nie nadszedł patrol, opatrujący warty, potem patrol ten zabrał nas ze sobą, i w taki sposób przybyliśmy na miejsce.

Zdziwiło nas trochę, że pomimo oznajmienia naszego, iż mamy depesze z Paryża od dyktatora, nie rozbudzono natychmiast pana generała, którego kwatera znajdowała się w merostwie. Dano nam jednak izbę, której podłoga była zasłana sianem, i postawiono nad nami straż. Rzuciliśmy się na siano i usnęli głęboko.

Nazajutrz dopiero, o godzinie dziesiątej, zawołano nas do generała, którego nazwiska nie pamiętam, zgubiłem bowiem część notat, odnoszących się do onego czasu. Pan generał z zielonemi oczyma i twarzą, podobną do głowy ryby, przytem otyły, pulchny, przedstawiał doskonały typ, nie wojownika, ale smakosza i safanduły.

Kilkunastu wyższych oficerów otaczało go w pełnem uszanowania milczeniu. Pan Vaucourt zabrał głos i począł nader wymownie opowiadać wypadki naszej podróży, wypadki zaledwie prawdopodobne, ale których rzeczywistość po-

świadczyły pruskie kaski ułańskie i konie, na których przyjechaliśmy do miasteczka.

Pan Vaucourt mówił prawdę. Swoją drogą, biedaczysko nie wspomniał o tem, że przyłożyłem mu lufę karabinową do ucha, aby namówić go do otworzenia klapy w balonie. Mówił przytem wszędzie: »my zabiliśmy«, »my wysiedliśmy« zamiast »oni«.

Podczas całego opowiadania staliśmy z Selimem ramię przy ramieniu, obaj oparci na karabinach. Oficerowie spoglądali na nas w milczeniu, poczem, gdy wreszcie pan Vaucourt skończył opowiadanie, generał podniósł się i począł mówić:

— Panowie! Oto przedstawiam wam tego walecznego syna Francyi — tu wskazał palcem na pana Vaucourt. — Gdyby wszyscy Francuzi wstępowali w jego... jakże się nazywa?... kraj nasz byłby już wolny od nieprzyjaciela. Ten waleczny nie zważał na wszelkie... jakże się nazywa? ale wśród kul i... tego... przybył aż do nas... i oto panowie... i oto panowie!...

Tu generał począł obcierać usta serwetą, oficerowie uśmiechali się, waleczny syn Francyi zaczerwienił się jak burak, i zmieszany, począł spoglądać na nas miłosiernym wzrokiem. Selim przygryzał wargi, ja zaś usiłowałem zapewnić oczyma walecznego syna Francyi, że

przeciw pochwałom, jakie go spotykały, nie mamy najmniejszego zamiaru protestować.

Tymczasem generał odpiął jeden z krzyżów, które na jego piersiach tworzyły nader liczną konstelacyę i mówił dalej:

— Zbliż się, waleczny synu Francyi... Spodziewam się, że... jakże się nazywa?... że dyktator potwierdzi ten mój postępek, zarówno jak i krzyż, którym pana ozdabiam.

Jeden z oficerów, wysoki mężczyzna, z twarzą surową i nieprzyjemną, nie mógł już wytrzymać i rzekł:

— Przepraszam, generale!... zdaje mi się, że ci dwaj panowie...

Ale generał ręką nakazał mu milczenie, odwrócił się do nas:

— Wy zaś, cudzoziemcy — rzekł — którzy dopiero zaciągnęliście się pod sztandary francuskie, zapatrujcie się na tego bohatera, a może być, że i na waszych piersiach zabłyśnie oznaka podobna.

Obawiałem się, żeby Selim nie zrobił jakiego wyskoku, żeby nie parsknął śmiechem, ale nie: stał spokojny, zimny, choć widać było, że cała ta scena i gniewa go i śmieszy jednocześnie.

Poczciwy zresztą pan Vaucourt począł głośno oświadczać, że krzyż należy się nam, nie jemu skutkiem czego inteligencya generała znalazła się wobec niepodobnego do rozwiązania zagad-

nienia: czy pan Vaucourt jest więcej waleczny, czy skromny? Poczem rozeszliśmy się w dwie strony.

Tego dnia jeszcze wieczorem Mirza zaprosił oficerów na obiad, na którym rzucał złotem, jak książę. Nazajutrz zaś puściliśmy się do La Rochenoire'a.

Tak odbył się nasz wyjazd z Paryża.

II.

Aż do departamentu Haute-Sâone jechaliśmy mniej więcej krajem, zajętym przez Francuzów, jakkolwiek, działające na południu armie bawarskie utrzymywały związek z pruską, oblegającą stolicę. Niebezpieczeństwo groziło nam tylko ze strony maruderów francuskich, których pełno było po drogach, i którzy tu i owdzie pozwalali sobie łupić i rabować. Nie obawialiśmy się ich jednak, tem bardziej, że znowu jechaliśmy we trzech, bo jakkolwiek »waleczny syn Francyi«, pan Vaucourt, odjechał inną drogą do Bordeaux, ale już drugiego dnia podróży przyłączył się do nas niejaki Jean Marx, z pochodzenia alzatczyk, młody osiemnastoletni chłopak, który nie bał się niczego na świecie i, po jednodniowej znajomości, byłby nawet w piekło za nami poszedł.

Kraj wszędzie nosił na sobie ślady wojny. Gdzieniegdzie trafialiśmy na zburzone wioski,

których mieszkańcy kryli się za naszem zbliżeniem, pola leżały nieobrobione, miejscami spotykaliśmy gromadki wychudzonych i zgłodniałych biedaków, błąkające się nakształt widm po zeszłorocznych polach kartoflanych i wyszukujący przegniłych kartofli. Wojna wisiała w powietrzu nad całym krajem; wszędzie prawie towarzyszył nam zapach spalenizny. Nocami krańce widnokręgu często czerwieniły się łuną pożarną, po księżycu z odległych pustkowi dochodziły nas wycia psów. Kilkakrotnie trafiliśmy na pola bitew, na których nie było już wprawdzie trupów końskich i ludzkich, ale które poznawaliśmy po mnóstwie białych papierków z wystrzelonych ładunków. Miejscami papierki te pokrywały, jakby śniegiem, ziemię, miejscami były rzadsze. Raz przyjechaliśmy do wioski zupełnie pustej, w której, prócz chudych kur, uciekających z krzykiem za naszem zbliżeniem, była tylko jedna staruszka, mająca pomieszanie zmysłów. Staruszka ta siedziała na przyzbie pół rozwalonej chaty i rozmawiała ze sobą głośno. Zaledwie mogliśmy z jej bezładnych odpowiedzi wywnioskować, że mieszkańcy parę dni temu strzelali do ułanów, teraz zaś uciekli, sądzili bowiem, że wioska będzie spalona. Pewnej nocy zapukaliśmy do chaty, w której okienku błyszczało światło. Przez długi czas nie chciano nam otworzyć, a wreszcie otworzył

nam człowiek z twarzą tak podobną do głowy wilka, iż myśleliśmy, że to sam wilk przyjmuje nas w gościnę. Marx utrzymywał, że to jest obdzieracz trupów i nie radził nocować, bo, jak mówił, w nocy można dostać nożem pod żebro, ale, że byliśmy pomęczeni, więc postanowiliśmy pozostać. Wkrótce jednak nadeszło jeszcze czterech podobnych rzezimieszków i wszyscy poczęli nam się przypatrywać z podełba, spoglądając przytem z pożądliwością na nasze podróżne przybory. Marx został przy koniach na dworze, Mirza zaś, niewiele myśląc, wziął za gardło naszego wilka przycisnął go do ściany i, przyłożywszy mu pistolet do paszczy, rzekł:

— Pomorek na ciebie, piekielne bydlę! Wypędź tych urwisów za drzwi, bo i im i tobie we łby postrzelam, jeżeli zaś w nocy coś zginie, będziesz wisiał.

Rzezimieszkowie mruknęli ponuro, jeden z nich oświadczył nawet, że jest z merostwa i hardo pytał nas o paszporty, w odpowiedzi na co, Selim pochwycił szpicrutę i począł okładać ich niemiłosiernie, szczególniej nie szczędząc pleców urzędnika z merowstwa. Noc przeszła nam spokojnie, nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę.

Ale droga ta coraz była trudniejsza; wjechaliśmy teraz w kraj, prawie wyłącznie zajęty przez Niemców, między którymi kręciły się rzadkie oddziały wolnych strzelców, szczwane i pę-

dzone wszędzie jak dzikie zwierzęta. Wioski i miasta jednak mniej tu były zniszczone niż na szlakach, na których spotykały się i walczyły dwie armie. Ludność nie narażała się Niemcom i znosiła ich przewagę, ale też prawie niepodobieństwem było otrzymać jakąś pomoc i wskazówki. Postanowiliśmy koniecznie dostać się do La Rochenoira, jakkolwiek zadanie to przechodziło prawie siły ludzkie, ponieważ z jednej strony nikt nie wiedział, gdzie się La Rochenoire podziewa, a codzień koczował gdzieindziej; z drugiej strony, trzeba się było do niego dostawać prawie przez paszczę pruską, ze wszystkich oddziałów bowiem, żaden nie był pilniej strzeżony i staranniej otaczany.

Mogę też powiedzieć, że wówczas już we trzech, z Marxem i Mirzą, rozpoczęliśmy prawdziwą wojnę na własną rękę. Posuwaliśmy się naprzód tylko nocami, kierowaliśmy się zaś według wieści o zabranych konwojach, rozbitych podjazdach, pochwyconych patrolach i tym podobnie. Ale też teraz byliśmy dobrani, jakbyśmy się w korcu maku szukali.

Ach! cóż za wyborny był chłopiec ten Marx ze swoją alzacką flegmą, komiczną, zepsutą francuzczyzną i obojętnością na wszystko, co się koło niego działo. Chwilami zdawało mi się nawet, że odwaga jego płynie z nadmiaru przytępionej wrażliwości i z niezrozumienia nie-

bezpieczeństwa. Ale był tego inny powód. Oto Marx nienawidził Niemców ze wszystkich sił duszy, a w temperamentach flegmatycznych nienawiści podobne szczególniej bywają zaciekłe. Posiadał jednak roztropność wyżla i więcej zimnej krwi, niż my obaj.

III.

Małą tylko część drogi przebyliśmy kolejami, wogóle bowiem drogi żelazne w okolicach, zajętych przez Francuzów, były zrujnowane, a wobec powszechnego pogromu i nieładu mało troszczono się o ich naprawę. Utrudniało to ruchy wojsk, ale wówczas wszystko składało się na klęskę Francyi.

Departament Wyższej Soany, w którym krążył La Rochenoire, zajęty był przez Niemców dlatego, dostawszy się w jego granicę, znowu odbywaliśmy podróż lasami i prawie wyłącznie wśród nocy. Dni spędzaliśmy w chmielnikach lub winnicach, śpiąc, czyniąc zwiady i obmyślając najbliższe do La Rochenoira drogi.

Na parę dni przed przybyciem do niego dotarliśmy do wioski, zwanej La Mare; nie było to po drodze, ale Selim twierdził, że musi się widzieć z mieszkającym tam od niejakiego czasu panem La Grange, którego znał jeszcze z Paryża.

Zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie, było bo-

wiem prawdopodobnem, że w wiosce znajdują się patrole bawarskie lub pruskie. Robiło się już ciemno, słońce zaszło i tylko w powietrzu świeciły rozproszone resztki światła zorzy. Okna w domach wiejskich poczynały także tu i owdzie się rozświecać. Na pozór wszystko było spokojnie. Czołgaliśmy się chmielnikiem jak węże, psy jednakże zwietrzyły nas i poczęły ujadać. Naraz ujrzeliśmy ciemne sylwetki kilku postaci ludzkich, stojących koło płotu i wiodących półgłośną rozmowę.

Przysiedliśmy natychmiast w chmielniku. Tymczasem głosy umilkły, a jedna z czarnych postaci, przechyliwszy się przez płot, pilnie patrzyła w gąszcze. Potem z ciemności doszła nas znów francuska rozmowa.

— Czego tam patrzycie, kumie Grousbert?

— Psy szczekają; a ot tam się coś porusza.

— E, nie! Księżyc wschodzi, to psy zwyczajnie niespokojne.

Inny głos dodał:

— A może to dusze umarłych? Mówią, że psy czują dusze ludzkie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Poczem doleciały nas westchnienia.

Mirza szepnął do mnie:

— Patrole tu muszą być.

Na drodze znowu poczęła się rozmowa, ale jeszcze cichsza i jakby tajemnicza.

— Wilki także się włóczą. Wojna mnoży wilki razem ze wszystkiem złem.

— Hej, taka dziś była zorza czerwona! Musieli się znowu gdzieś bić.

— Mer mówił, że znowu przyjdą do nas prusaki.

— Niech nas święty Hubert od nich strzeże.

Selim wówczas podniósł się z kryjówki i zawołał:

— Hop, hop, ludzie! którędy droga do pana La Grange?

— O, o! — zawołały wystraszone głosy. — A wyście co za jedni?

— Do dziś żołnierze, jutro co Bóg zdarzy! Pokażcie drogę i nie pytajcie.

Jeden z wieśniaków rzekł:

— Ja was zaprowadzę.

Poszliśmy szeroką wioskową aleją. Ciemno w niej było tak, żeśmy nie mogli widzieć jeden drugiego. Po kilkuset krokach zwróciliśmy nagle na prawo. Przed oczyma naszemi ukazał się w dali niewielki kościół, otoczony białym, nizkim murem, a bliżej ogromna masa drzew, wśród której połyskiwały oświecone okna. Wieśniak rzekł:

— Tam kościół św. Huberta, a tu mieszka La Grange.

Znaleźliśmy się wśród parku zarosłego tak gęsto, że gałęzie przesłaniały aleje i ścieżki.

Park ten wydawał się całkiem zapuszczony. Piękny dom w kształcie szaletu szwajcarskiego stał w środku, ale tak był pokryty dzikiem winem, czy inną jakąś pnącą się rośliną, że oświecone jego okna spoglądały, jak oczy z pod maski.

Drzwi od przedsionka były otwarte, weszliśmy więc, nie widząc, ani pytając nikogo W przedsionku nie było światła, ale księżyc stał w szybach i świecił tak jasno, żeśmy mogli odróżnić wszystko: stół w środku, pod ścianami szafy, a na nich bukiety z zeschłych kłosów.

Marx zastukał karabinem w podłogę. Wówczas usłyszeliśmy kroki; drzwi przyległego pokoju otworzyły się, jakaś postać kobieca — zapewne służącej — pokazała się w nich i jeszcze prędzej znikła, jak gdyby wystraszona. Marx stukał coraz mocniej.

Po chwili ukazała się taż sama postać z lampą w ręku, a za nią staruszek z białymi jak mleko włosami. Zbliżywszy się, zasłonił ręką oczy i spytał powolnym, łagodnym, ale bardzo podniesionym głosem:

— Czemuż robicie tyle hałasu, moi przyjaciele?

Poczem osłonił ręką ucho i spytał:

— A?

Jeżeli i robiliśmy hałas, biedny staruszek nie

słyszał go z pewnością, widocznie był przygłuchy.

— Przypominam się panu! — zawołał, pochyliwszy się do jego ucha Mirza.

Starzec spojrzał na niego, zebrał się z pamięcią, pomyślał, nakoniec rzekł:

— A to wy, hrabio?

Potem rzekł do siebie, ale zupełnie głośno:

— Co on robi w tych stronach?

— Zaciągam się do wojska — odparł Mirza.

— A witam, witam uprzejmie. Co?

Selim przedstawił mnie i Marxa, poczem starzec zaprosił nas dalej, ale musieliśmy się przebrać, bo wyglądaliśmy jak dziady. Służąca wskazała nam osobny pokój.

Podczas przebierania się Mirza rzekł:

— Zestarzał się jak grzyb i zdziecinniał.

— Co ty możesz mieć do niego za interes? On sam o sobie już nic nie wie!

— Pomówimy o wszystkiem dziś w nocy.

Poczem zeszliśmy na dół.

Starzec już czekał na nas koło zastawionego stołu, na którym położono świeże nakrycia, a po chwili jeszcze weszła młoda, piękna panna, wysoka, z przepyszną talią i czarnymi włosami. La Grange przedstawił ją, jako swoją wnuczkę.

Ukłoniłem się dość obojętnie w milczeniu;

nagle spostrzegłem coś, co zdziwiło mnie do wysokiego stopnia.

Oto panna La Grange, ujrzawszy Mirzę, zbladła jak płótno, a on nie mniej był wzruszony.

— Widzę, że miał powody tu przybyć — pomyślałem.

Siedliśmy do wieczerzy i wieczerzaliśmy w milczeniu. W tych czasach wojny ludzie nie ronili słów napróżno, a każdy mówił przyciszonym głosem, jakby w obawie i oczekiwaniu.

Zresztą, było coś między Selimem i panną La Grange. Ona unikała jego wzroku, ale spoglądała na niego jakoś dziwnie, gdy na nią nie patrzył. On napróżno starał się zawiązać rozmowę. Milczenie owo stawało się wreszcie przykrem, aż w końcu wieczerzy dopiero starzec spojrzał nagle w sufit i odezwał się ni w pięć, ni w dziesięć.

— Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, tak to czwartek.

Po wieczerzy Mirza wziął go pod rękę i poszedł z nim rozmawiać do drugiego pokoju. Zdaje mi się, że prosił go o przewodnika, ale zresztą rozmowy tej, lubo bardzo głośnej, nie mogłem posłyszeć; siadłem bowiem koło panny La Grange i starałem się ją bawić.

W każdym innym razie poszłoby mi to z łatwością. Panna była bardzo ładna, sympatyczna, miała czarne, rozumne oczy i śliczne ręce o pal-

cach zwężonych na końcu, którymi jakby przez kokieteryę poprawiała od czasu do czasu włosy. Tym razem jednak rozmowa nie szła. Ja byłem zmęczony, a panna La Grange roztargniona.

Spytałem ją wreszcie, jak dawno zna Mirzę.

Wówczas ożywiła się, ale zamiast odpowiedzieć, ona z kolei zaczęła wypytywać mnie, dlaczego przybyliśmy w te strony? Odrzekłem, że mi wszystko jedno, gdzie się bić, ale Mirza uparł się, żeby to było w tym departamencie. Zaciekawienie i gorączkowa jej niespokojność rosły. Może starałbym się ją wybadać, ale upadałem ze znużenia, Marx usnął w fotelu i chrapał, myślałem więcej o śnie niż o wszystkich pannach.

Tymczasem Mirza ze starcem ukazali się z drugiego pokoju. Staruszek teraz siadł przy mnie i chwyciwszy mnie za kolano, począł pleść trzy po trzy, robiąc przytem o wiele naprzód wszystkie giesty, które miały służyć jako ilustracya jego słów. Przez ten czas Mirza zbliżył się do panny La Grange. Usłyszałem, że zamienili ze sobą szybkie słowa, przyczem Mirza zdawał się błagać o coś natarczywie Usłyszałem tylko jeden frazes: »wszystko wyjaśnię!« ale w tej chwili znowu staruszek zrobił parę giestów naprzód, potem rzekł:

— Będziecie spali w drugim domu... Tylko

otworzyć tylne drzwi i zaraz chmielnik.. aż do lasu.

Potem otoczył dłonią ucho i spytał:

— A?

Nakoniec poszliśmy spać. Drugi ten dom leżał w głębi parku, o kilkadziesiąt kroków od szaletu. Widocznie nikt w nim nie mieszkał, gdyśmy bowiem weszli do środka, uderzył mnie zapach pustki i chmielu, który się suszył na górze. Ale jedna izba była ogarnięta, na podłodze zaś jej leżały trzy materace, zasłane poduszkami i bielizną. Tak wygodnego posłania nie widziałem już dawno, dlatego rzuciłem się na nie natychmiast, nie pomyślawszy o rozebraniu się. Selim i Marx położyli się także nierozebrani, wszyscy zaś mieliśmy karabiny pod ręką od wypadku.

Mirza rzekł:

— Słuchaj! nadeszła chwila, w której muszę ci wyznać i wyjaśnić wszystko...

Tyle też tylko słyszałem z tych wyjaśnień, bo natychmiast usnąłem jak suseł, i mogę powiedzieć, że spałem ze wszystkich sił, nie więcej jednak, jak parę godzin.

Koło drugiej rozbudziłem się nagle.

Z początku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem, po chwili jednak strząsnąłem z głowy zdrętwiałość i spojrzałem w okna, naprzeciw których leżały nasze posłania.

Słaby różowy odblask, jakby zorzy, świecił przez szyby.

Ale nie była to zorza, była to łuna dalekiego pożaru.

— Pali się — pomyślałem, nie myśląc zresztą wstawać z ogrzanego posłania. Muszą się bić w tamtej stronie.

Tak też i było.

Wkrótce uszu moich doszedł daleki, daleki odgłos strzałów rotowych.

Strzały te odległe, przytłumione, a szybkie i prawidłowe, jak muzyczna gama, to ustawały chwilami, to odzywały się z nową energią.

W przestankach słyszałem chrapania Marxa.

Po niejakim czasie zdawało mi się, że strzały się zbliżają, przytem jeden i drugi wystrzał armatni wstrząsnął szybami, które zadźwięczały żałośnie. Nie chciało mi się jeszcze wstawać, ale, na wszelki wypadek, postanowiłem rozbudzić Mirzę.

— Selim! — zawołałem.

Selim nie odpowiadał.

— Selim! — powtórzyłem głośniej.

W odpowiedzi zachrapał tylko Marx.

Tymczasem łuna stała się jaśniejszą. Przy jej czerwonym blasku spojrzałem na posłanie Selima: było puste.

Sądziłem, że wyszedł posłuchać, jak idzie

bitwa i, wziąwszy karabin, wyszedłem także do ogrodu.

Księżyc świecił jasno. Promienie jego, zmieszane z odblaskami łuny, zalewały ogród jakiemś tajemniczem pół-białem, pół-czerwonem światłem. Liście na drzewach szemrały cicho, mieniąc się srebrem i miedzią; długie czarne cienie kładły się na ziemię. Ale w ogrodzie było spokojnie. Okna szaletu pozostały ciemne. Znać, tu już ludzie przywykli do odgłosów bitew i łun pożarów.

Wszystko to było jakieś tajemnicze i uroczyste. Z jednej strony melancholia i spokój uśpionego ogrodu, a tam blaski krwawe, w dali bitwa, pożar i wrzawa, podobna do szumu morza.

Byłem tak przyzwyczajony do ciągłego czajenia się od czasu wyjazdu z Paryża, że i teraz mimowoli szedłem, jakbym się zbliżał pod pruską placówkę.

Nagle ujrzałem Mirzę i stanąłem, jak wryty.

Na ławce, w cieniu krzewów, siedziała panna La Grange, a przed nią klęczał Mirza i pokrywał pocałunkami jej ręce.

Swieciły im księżyc i łuna.

— Jedyna moja, jedyna moja! — szeptał namiętnie Mirza.

— Czy mi przebaczasz? — dodał po chwili.

Szmer jego słów i pocałunków zagłuszały coraz bliższe strzały rotowe.

Usłyszałem jednak jeszcze oderwany frazes.

— Umyślnie tu przybyłem...

W ogrodzie stawało się coraz czerwieniej. Światło księżyca bladło i mdlało, ale kochankowie zdawali się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Pomyślałem jednak, że bitwa może zawadzić o La Mare i że bezpieczeństwo wymaga, abyśmy się mieli na baczności. Cofnąłem się więc za gęstwinę i począłem gwizdać z cicha umówiony między nami sygnał.

Był to sygnał znany nam oddawna. Nuta jego znaczy nawoływanie: »dzieci zbierajcie się etc.!«

Jakoż natychmiast zaszeleściały liście, a po chwili ukazał się Mirza ze świecącemi oczyma i rumieńcami na twarzy, drżący ze wzruszenia.

— Co tam? — spytał.

— Biją się.

— To daleko. Nie nadużywaj sygnału, bo mnie wprowadzasz w błąd. Sygnał znaczy: niebezpieczeństwo tuż.

— Czym ci w czem przeszkodził?

Mirza zatrzymał się nagle.

— Ty widziałeś wszystko?

— Tak.

Umilkł, a po chwili porwał mnie za ramiona.

— To dobrze! — rzekł. — Chodźmy do kwa-

tery, mam z tobą pomówić o wielu rzeczach Nie zaśniesz przecie teraz?

— Nie zasnę.

Wróciliśmy. Ja położyłem się znowu na materacu, Mirza zaś siadł na swoim i zaczął mówić:

— Może pomyślisz sobie, że postąpiłem jak egoista, ale sądziłem, że ci wszystko jedno, gdzie się masz bić. Mnie się zawsze przytem wszystko wiodło, tobie nie, dlatego myślałem także, że, wiążąc los twój z moim, wiążę cię z mojem szczęściem. Ale to się może zmienić. Ja przedsięwziąłem sprawy dość niebezpieczne. Teraz ci je opowiem. Jeżeli zechcesz, to się cofniesz Jeszcze czas. Powiedz mi jednak naprzód, czy bezwarunkowo byłbyś poszedł na wojnę?

— Tak.

— To dobrze, zatem nie ja cię pociągnąłem?

— Nie ty.

— Teraz słuchaj. W Paryżu, jeszcze przed wojną, poznałem Lidyę La Grange, i zakochałem się w niej. Ona była mi wzajemną. Ale potem zerwało się wszystko, i wiesz, kto był tego powodem?

Nie wiem.

— La Rochenoire.

— La Rochenoire?

— Tak. Szczegółów nie mam czasu ci opo-

wiadać. La Rochenoire zakochał się w niej także, ale był powszechnie nielubiany, goły przy swoim tytule i zawsze miał złą opinię, wziąłem więc nad nim górę z łatwością. Wówczas wyzwał mnie. Strzelaliśmy się na pistolety. Trzy razy brałem na cel jego czerep i trzy razy darowałem mu życie. On nie umie strzelać. Mogłem go zabić i głupstwo zrobiłem, żem nie zabił, bo on potem nie przestał się mścić. Ja, widzisz, kochałem się zawsze na wszystkie strony i nieraz, zawiązawszy nowe stosunki, nie umiałem zerwać dawnych. Tak było wtedy. Na rok przed poznaniem Lidyi, poznałem w Jockey-klubie młodego porucznika marynarki, nazwiskiem Marillac, który odrazu dziwną powziął ku mnie sympatyę. Był to dzielny, młody chłopak, odważny, honorowy, słowem — prawdziwy rycerz, jakich mało. Po kilku tygodniach wprowadził mnie do siebie i ofiarował swą przyjaźń, a ja — niech mi Bóg przebaczy! — począłem bałamucić jego młodą i śliczną żonę. U nas uważa się to za zbrodnię, ale w Paryżu to rzecz zwyczajna. Byłem nielepszy, niż moje otoczenie. Swoją drogą, ciążyło mi to strasznie. Męża często nie bywało w domu, ale, gdy przyjechał, musiałem udawać dla niego przyjaźń, co było nad moje siły, bo brzydziłem się sam sobą. Poznawszy Lidyę, chciałem zerwać z przeszłością, nie dlatego, żeby uczucie dla Lidyi było powa-

żne, bo stało się takiem dopiero później, ale dlatego, że nie umiem być obłudnikiem. Sądziłem, że zerwanie łatwo pójdzie. Omyliłem się. Pani Marillac wiedziała o nowej mojej miłości dla Lidyi i, wiedziona zazdrością i zemstą, porozumiała się z La Rochenoirem. On nie umie nic przebaczać, i nie cofał się nigdy przed niczem, dlatego chwycił się pierwszej sposobności, żeby zerwać moje stosunki z Lidyą i zarazem zemścić się nademną. Opowiedział, że kocham tamtą. Nie chciała wierzyć, trzeba jej było dowodów. Wówczas odebrałem list od Marillacowej, wzywający mnie na ostatnią niby schadzkę. Odpisałem: »nie pójdę«. Wtedy odebrałem drugi ist, w którym były tylko te słowa: »Wiesz, że mąż mój przyjechał i boisz się go!« Tego było dosyć. Poszedłem. Była to zasadzka. La Rochenoire miał sprowadzić Lidyę i pokazać jej naocznie moje wiarołomstwo. Ale nie wystarczało mu to jeszcze. Nikczemnik, przez zemstę nademną, nie wahał się poświęcić i swojej wspólniczki, dał więc znać o schadzce, nietylko Lidyi, ale i Marillacowi. Spodziewał się, że Marillac mnie wyzwie i zabije, był to bowiem najsławniejszy fechtmistrz we Francyi, z którym nikt nie chciał przyjmować pojedynków. Katastrofa nastąpiła. Musiałeś o niej słyszeć, bo cały Paryż nie mówił o niczem innem. Postanowiłem dać się zabić Marillacowi, ale gdym zobaczył

krew, rozbudziła się we mnie moja nieszczęsna natura i wbiłem mu szpadę w piersi po samą rękojeść. Jeszcze dziś słyszę, jak ostrze jej zgrzytnęło o jego kość pacierzową.

Mirza wzdrygnął się. Twarz jego była blada, oczy zgorączkowane, w rysach malowała się boleść, ale zarazem i głucha, złowroga zaciętość.

Zakrył twarz rękoma i umilkł. Przez chwilę słyszałem wystrzały zbliżającej się bitwy.

— Mów dalej, bo nie będzie czasu — rzekłem.

— Co potem nastąpiło — mówił — łatwo zrozumieć. Lidya pokazała mi drzwi, wtedy zacząłem kochać ją naprawdę. Byłbym się strasznie pomścił na La Rochenoirze, ale nie wiedziałem, jaką odegrał rolę. Zresztą, natychmiast po katastrofie, odebrał rozkaz udania się do Marsylii, bo on także był wówczas porucznikiem marynarki. Przed wyjazdem oświadczył się Lidyi, która w chwili rozpaczy i zwątpienia przyjęła go. Ja zacząłem prowadzić życie szalone, traciłem mnóstwo pieniędzy. Byłem wodzem Jockey-klubu. Oni mieli mnie za bohatera, ja sam siebie za nikczemnika. Cierpiałem strasznie. Kochałem przytem coraz więcej Lidyę i to czyniło mnie jeszcze nieszczęśliwszym.

— Jak się dowiedziałeś o La Rochenoirze?

— Prowadząc życie szalone, spotkałem tamtą kobietę. Spadła bardzo nizko, ale ja starałem się ją podnieść. Nie było zresztą już czasu na to, bo chorowała na suchoty. Jakoż umarła wkrótce, ale przed śmiercią wyznała mi wszystko. Przysiągłem wtedy, że pomszczę się na La Rochenorze. I niech mi tak Bóg dopomoże, jak byłbym to natychmiast uczynił, gdyby nie to, że zaraz potem wybuchła wojna.

— Zdawało mi się — mówił dalej — że La Rochenoire przepadł w jej odmęcie i modliłem się do chrześciańskiego Boga i do mego głupiego Mahometa, aby go ocalił i zachował dla mnie. Wkrótce też jego nazwisko wypłynęło z odmętu, otoczone tą złowrogą sławą, która uczyniła go jednym z najgłośniejszych partyzantów. Wówczas pomyślałem: nadszedł czas!

— Co myślisz uczynić?

Mirza drżącemi rękoma oderwał podszewkę swego żołnierskiego kepi i, wyjąwszy z pod niej jakiś papier, podał mi go, mówiąc:

— Czytaj.

Przy blasku coraz rosnącej łuny począłem czytać i zdawało mi się, że śpię, a to wszystko co widzę, to tylko sen dziwny, który zniknie nad ranem.

Karta, którą trzymałem w ręku, była to ni mniej ni więcej, jak tylko nominacya Selima Mirzy na dowódcę oddziału La Rochenoira, oraz

rozkaz oddania pod sąd wojenny tegoż La Rochenoira i postąpienie z nim podług wyroku.

W milczeniu oddałem papier Mirzie.

On tymczasem zbliżył się do mnie. Na twarzy jego znowu pojawił się ów ostry wyraz, nadający rysom jakiś odcień czysto wschodniego okrucieństwa.

— Przysięgam na tę noc, na ten pożar, na tych, co tam konają teraz, że każę go rozstrzelać bez litości.

Potem otworzył nagle okno. Widać, potrzebował odetchnąć świeżem powietrzem.

Ale ja nie rozumiałem, co znaczy ta nominacya, więc rzekłem:

— Wytłumacz mi to.

Chwilę jeszcze chodził w milczeniu.

— Dziwi cię nominacya i rozkaz oddania pod sąd dowódcy, który bez wytchnienia bije Niemców? — rzekł wreszcie. — Ale ma to swoje powody. Temu człowiekowi zdaje się, że teraz, gdy stoi na czele oddziału, niema już nikogo nad nim. Jest arystokratą. Żołnierze jego w boju krzyczą, jakby za Ludwika XIV, »*vive le roi!*« On służy nie rzeczypospolitej, ale Henrykowi V-mu. Przytem pan margrabia postępuje z ludźmi trochę zbyt bez ceremonii. W wiosce Branche Verte kazał rozstrzelać mera, w Agneaux kazał powiesić dwóch wieśnia[illegible] wioskę Maric kazał spalić dlatego, że mu odmowiła żywności. Gdy

Chauzy przysłał kuryera z rozkazem, kazał kuryera oćwiczyć i odpowiedział Chauzemu gru. biaństwem. Za to jedno już śmierć. On chce być panem na czele swojego oddziału. Prowadzi wojnę na własną rękę, a to nie uchodzi. Och! dyktator miał aż nadto dosyć powodów. Zaocznie złożono go z dowództwa; gdy jednak zawakowało, nikt się go nie chciał podjąć, dopóki ja nie dowiedziałem się o tem.

Dowiedziawszy się, przedstawiłem swoje kwalifikacye, a ponieważ dzisiejszy dyktator znał je, zarówno jak i mnie, jeszcze z Jockey-klubu, zatem zostałem mianowany z łatwością. Ostrzeżono mnie tylko, że La Rochenoire, nie mając wiele do stracenia, a mając po sobie żołnierzy, każe z pewnością rozstrzelać tego, kto przyjdzie z nominacyą.

— Jakto? czy rząd nie ma siły go zrzucić?

— Rząd siłę ma; mógłby go otoczyć wojskiem i zgnieść. Ale dyktatorowi chodzi o to, coby powiedział kraj. Imię La Rochenoira zyskało popularność, stoczył on już ze czterdzieści potyczek, prawie zawsze zwycięskich. Kazano mi więc działać powolnie, co mi się zresztą nie podoba. Póty szczędzić będę La Rochenoira, póki ma za sobą żołnierzy, ale on już i żołnierzom ciąży niezmiernie. On i dla nich również okrutny. Nominacyi nie mam pokazywać na-

tychmiast, dopiero po zjednaniu sobie żołnierzy. Gdyby jednak La Rochenoire wydał rozkaz, aby mnie rozstrzelać natychmiast, wówczas palnę mu w łeb i pokażę nominacyę. Ale wątpię, czy do tego przyjdzie. La Rochenoire wie, że byłem w dobrych stosunkach z dzisiejszym dyktatorem. Rozstrzelać mnie, znaczyłoby spalić za sobą mosty zupełnie, a tego on sobie nie może życzyć. Zresztą, zobaczymy. Prawdopodobnie, nie przyjdzie do ostateczności. Rząd sobie jej nie życzy. La Rochenoire nie wie o niczem. Tak rzeczy stoją. Teraz ty powiedz swoje zdanie.

— Moje zdanie jest, że lepiejbyś zrobił, gdybyś mi odrazu wszystko wyznał.

— Źlem zrobił, ale bałem się, że mnie będziesz odmawiał od przedsięwzięcia.

— I dlatego wciągnąłeś mnie w nie?

— Masz się czas cofnąć. Mówiłeś, że wszystko jedno, gdzie się bić. Niedaleko krąży oddział Corbeau. Możesz się tam zaciągnąć. Wyrobiłem na wszelki wypadek dla ciebie nominacyę.

— Słuchaj! — rzekłem wówczas żywo. — Chcesz się mścić, to się mścij, ale mi się droga twoja nie podoba. Rozumiałbym, gdybyś przyjechał i poprostu palnął w łeb La Rochenoirowi, ale ty chcesz i musisz zyskać pierwej jego zaufanie, a potem zdradzić je.

— Nie ja tę drogę wybrałem. Takie są in-

strukcye, których muszę słuchać, a podjąłem się je wykonać dlatego, że zabić go poprostu, to mało dla mnie. Ja go muszę wprzód strasznie upokorzyć. Mniejsza o to, czy to pięknie czy nie. Ja jestem Tatar. Ja chcę zemsty.

I istotnie podobny był w tej chwili do Tatara.

— Pomyśleć, co on mi zrobił! pomyśleć, że Lidya jest jego narzeczoną!...

I począł wyłamywać ręce, aż stawy palców trzeszczały głośno.

Po chwili rzekł:

— A zatem idziesz ze mną, czy nie?

— Idę. Jeżeli rzecz zaraz się rozstrzygnie gotów jestem ci pomagać, ale, jeśli powoli, nie chcę się wdawać w grę.

— Bo i nie potrzebujesz. Zatem dobrze. Dziękuję ci.

Uścisnął moją rękę.

— W każdym razie — mówił — nie pójdziemy razem do obozu, aby nie ściągnąć podejrzeń. Ja muszę tam być pierwej. Następnie, przyjedziecie ty i Marx. Będziemy udawali, że się nie znamy. To was na wszelki wypadek zasłoni przed jego zemstą.

Nie chciałem się zgodzić na to, ale Mirza mówił, że nie godzi się nam wciągać w przedsięwzięcie Bogu ducha winnego Marxa. Uległem.

— Kiedyż pójdziesz? — pytałem.

— Jak rozednieje. Wy zostańcie tutaj przez parę dni.

Potem uchwycił znów moją rękę.

— Bądź dobry dla Lidyi. Ja ją kocham, bardzo kocham. Współczuj mi chociaż w tem. Ona zasługuje na twoją przyjaźń... więcej, niż ja. Wycierpiała dużo, bo nigdy nie przestawała mnie kochać. Teraz wyjaśniło się wszystko.

I objąwszy mnie za szyję, położył głowę na moich piersiach. Potem podniósł się nagle i rzekł:

— Idę.

— Dokąd?

— Powiedzieć jej ostatnie: »bądź zdrowa!«. Biedactwo czeka jeszcze na mnie.

Wziął karabin i wyszedł. Zostałem sam ze śpiącym Marxem. Odgłosy bitwy nie cichły, przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze. Łuna tylko bladła, bo rozpoczynał się brzask ranny. Szyby zbielały. Czarne kontury gałązek za oknem stawały się coraz widoczniejsze. Oparłem się na dłoni i począłem rozmyślać. Nie rozmyślałem o tem co się stało. W naturze mojej leżała pewna obojętność, która kazała mi przyjmować fakta spełnione, jako konieczność, turecki »kiszmet«, z marmurową obojętnością. Była to pewna bierność, która jednak często służyła mi w ówczesnej epoce, jako zasada — pocieszycielka. Życie nie wydawało mi się warte

jednego sous. Byłem w epoce sceptycyzmu życiowego; za długo żyłem tylko wewnętrznie, dlatego wyczerpałem się do dna. Dlatego także szukałem wtedy takich wrażeń, od których biła woń prochu, jaskrawych, niebezpiecznych, bo odrywały mnie one od spoglądania w próżnię i od obwijania wątka nici naokoło nicości. Rozmyślałem więc tylko o Mirzie, o tem bogactwie wiary w życie i samego siebie, o życiu, jakie kipiało w nim i wylewało się nazewnątrz. Bił się, kochał, mścił i do głębi duszy był przekonany, że to wszystko warte zachodu. Na duszę jego nie padał ani cień zwątpienia. Nie było w nim jednej kropli krwi Hamleta. Takich ludzi zwą ludźmi czynu. Biło od niego jakieś ciepło życiowe, przy którem i ja odgrzewałem zdrętwiałą duszę.

Oto i w tej chwili żegnał się tam ze śliczną panną i w pocałunkach zapominał o świecie całym. Ja na jego miejscu czułbym, niestety, że całuję usta, które prędzej lub później, muszą być umarłemi.

Dniało coraz bardziej. Noc pierzchła. W La Mare poczęły piać koguty, a jeden podawał głos drugiemu. Podszedłem do otwartego okna, aby spojrzeć na widnokrąg i nagle ujrzałem mdły krążek światła latarki, zbliżający się z cieniów, do uszu moich zaś doszło pośpiesznie kle-

kotanie drewnianych trzewików, jakich we Francyi używają wieśniacy.

Po chwili mały chłopak z kudłatą czupryną, bez czapki, dobiegł aż do naszej kwatery, podniósł latarkę i ujrzawszy mnie stojącego w oknie, zawołał zdyszanym głosem:

— Nie śpicie?

— Co tam?

— Prusacy wchodzą do wioski.

— Zgaś latarkę i zmykaj — rzekłem cicho.

Rozbudziłem Marxa, potem wyszedłem przed sień i zagwizdałem znowu:

Dzieci zbierajcie się etc.

Mirza pojawił się natychmiast.

— Hop! hop! — zawołał.

— Niemcy w La Mare!

Weszliśmy prosto w chmielnik, który ciągnął się aż do lasu. Nie potrzebowaliśmy zresztą odchodzić zbyt daleko, Niemcy bowiem nie mogli nic o nas wiedzieć, usiedliśmy więc spokojnie wśród liści i poczęliśmy się wsłuchiwać w odgłosy z La Mare. Bitwa już ustała; łuna zgasła. Z początku w La Mare cicho było i spokojnie, ale potem do uszu naszych doszła daleka, potem coraz bliższa wrzawa. Wkrótce mogliśmy odróżnić tentent i rżenie koni, dźwięki mosiężnych trąb, warczenie bębnów. Zagrzmiały wreszcie i pieśni bojowe. Jazda zaśpiewała

»Wacht am Rhein!« a głosy niosły się daleko wśród ciszy po rosie. Biło od nich jakąś niewypowiedzianą siłą i dzielnością; czułeś, że to są odgłosy tryumfu, że pułki Cymbrów znojne, pokryte jeszcze kurzem i krwią, upojone radością, święcą tą pieśnią nowe zwycięstwo.

A tymczasem pierwsze różowe promienie jutrzenki musiały padać, jak aureola, na ich wysokie sztandary. Słuchaliśmy w milczeniu. Flegmatyczny Marx pobladł ze złości i szeptał przez zaciśnięte zęby swoim łamanym językiem: »*c'est pien! nous ferrons!*« Mirza oddał się także całkowicie chwili. Zapomniał wówczas zapewne ten szczęśliwiec o wszystkiem i żył za dwóch jednem wrażeniem, w każdym razie więcej wartem, niż hamletowa refleksya.

Był to jednak widocznie tylko przemarsz wojsk, bo stopniowo wrzawa, tentent i pieśń oddalały się coraz bardziej, cichły, cichły, mieszały się ze szmerem liści chmielowych, przechodziły jak gomon, a potem już tylko silniejszy powiew wiatru zawiewał jeszcze pieśnią.

Wreszcie ucichło wszystko.

— Przeszli — szepnął Selim.

— Przeszli.

— Trzeba i mnie iść. Wy wracajcie do La Mare.

Żegnaliśmy się długo i serdecznie. Następnie Mirza otarł łzę, zarzucił na ramię kara-

bin przekręcił na bok kepi i odszedł zwolna, nucąc:

Tyś szyła chorągiewki!

Potem odwrócił się jeszcze i zasyłał nam znaki pożegnania. W milczeniu wróciliśmy z Marxem do Lą Mare.

IV.

We trzy dni później, wieczorem, zbliżaliśmy się do obozu. Serce biło mi jak młotem, nie wiedziałem bowiem, czy jeszcze zastanę Mirzę przy życiu. Przez drogę nauczyłem Marxa, jak ma się zachować, i powiedziałem mu, co było można. Dzielny ten chłopak, który przywiązał się do Selima, jak brat, pierwszy oświadczył, że jeśli Selim już nie żyje, to on strzeli w łeb La Rochenoirowi, jak psu.

Do obozu prowadził nas chłop, który był szpiegiem La Rochenoira, a jednocześnie udawał, że jest szpiegiem pruskim, za co od Prusaków brał pieniądze. Zwał się Hugon.

Dla pozbycia się dręczącej mnie niespokojności zacząłem z nim rozmawiać.

— Musicie mieć piękne zyski? — spytałem.

Hugon zwrócił do mnie swoją zwierzęcą twarz i uśmiechnął się, co czyniło go podobnym do psa, wyszczerzającego zęby.

— Zapłata licha — rzekł — ale Pan Bóg

ześle czasem coś więcej. Spojrzysz — leży trupek, poszukasz — talary przy nim są, zegarek jest, pierścioneczek na palcu jest. Inaczej, z głodu przyszłoby umierać.

— A! więc obdzieracie trupy?

— To i cóż? zmówię za każdego raz »wieczny odpoczynek«, a jak warto, to i dwa. Inni i tego nie robią. Pan Bóg miłosierny. Ja Francuzom służę darmo. Corbeau, niech się ziemia pod nim rozstąpi, kazał mnie powiesić, co prawda, służyłem wtedy tylko Prusakom, ale La Rochenoire kazał mnie odciąć. Odtąd, powiada, będziesz mnie służył. Toż i służę mu wiernie, jak pies. Ja tu znam każdy krzak. Prowadzę Niemców tam, gdzie on mi każe, a że tam czasem koło nieboszczyków się pokręcę, on się za to nie gniewa. On mi mówi zawsze »bydlę!« ale jemu wolno, jako panu.

Poszliśmy dalej w milczeniu. Po niejakim czasie Hugon rzekł:

— Zaraz i obóz!

Obóz leżał w gęstwinie leśnej, wśród powywracanych przez burzę drzew. Przewodnik nasz okrzyknął się głosem sowy z placówką, która nas zatrzymała aż do czasu przybycia patrolu, patrol wprowadził nas do środka.

Gdy weszliśmy do obozu, był zachód słońca. Pod powywracanymi korzeniami drzew i pod krzakami nie było ani jednego namiotu, ale wszę-

dzie leżały kupy słomy, którą nazwozili wieśniacy. Na uboczu stało kilkanaście wozów, zaprzężonych w zbiedzone szkapy. Między wozami siedzieli chłopi podwodnicy, posilając się na noc serem i kawałkami chleba. Żołnierze po największej części leżeli na słomie, niektórzy pozagrzebywali się w nią tak, że im było widać tylko głowy. Wyglądali wszyscy jak najgorzej: twarze wychudzone i brudne, zaszłe krwią oczy, podarte mundury, wszystko to czyniło ich podobniejszymi do rozbójników niż do żołnierzy. Zresztą, doznaliśmy niezbyt uprzejmego przyjęcia. Gdy patrol prowadził nas przez majdan, tu i owdzie z jam i z pod korzeni wychylały się zbójeckie głowy, a ochrypłe głosy pytały:

— Hej! a kogo to tam prowadzą?

— To franty z bulwarów.

— Sam tu, młody skowronku! — wołał na Marxa jakiś drab — ojczyzna potrzebuje cię upieczonego.

— Głupiś — odparł inny, spoglądając na gołowąsą twarz mego towarzysza, to nie skowronek, to przebrana dziewczyna. Czy nie widzisz, jak palce podnosi, idąc?

— Ażeby dyabeł powykręcał twoje palce. Pomór na ciebie! Jeśli to dziewczyna, to tem lepiej. Bodajeś połknął kulę.

— To tak, miła gąsko? Kazał ci się lis kłaniać.

Marx pokazał im pięść, ja zaś szukałem

oczyma naokoło Mirzy, ale nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że trzeba nam będzie wziąć się do La Rochenoira. Tymczasem wprowadzono nas między wielkie drzewa, z pod których dochodziły uszu naszych jakieś bolesne wrzaski. Gdym, zbliżywszy się, spojrzał tam, odrazu ciężki kamień spadł mi z piersi; pierwszą bowiem osobą, na którą padł mój wzrok, był Mirza. Ubrany w oficerski mundur adjutanta, rozmawiał poufale z jakimś małym człowieczkiem o kręconych blond włosach, księżej minie i wyżółkłej twarzy, w którym domyślałem się La Rochenoira. Nieco opodal stał mąż atletycznej postawy, z twarzą pooraną przez ospę, dziwnie szpetną. Ten, na głowie, zamiast wojskowego kepi, miał brudną białą chustkę, poplamioną krwią. Był to, jak się później dowiedziałem, porucznik Simon, prawa ręka we wszystkiem La Rochenoira.

Patrol zatrzymał się nieco opodal w milczeniu. Mirza spojrzał na nas przelotnym, obojętnym wzrokiem, poczem odwrócił się, jakby nas nie znał nigdy i począł palcem otrząsać popiół z cygara. La Rochenoire i Simon także nie zwrócili na nas zrazu uwagi, zajęci bowiem byli: jeden rozmową z Mirzą, drugi przypatrywaniem się chłoście wieśniaków, oskarżonych, jak powiedział nam oficer patrolowy, o to, że zbici przez Prusaków, wskazali im przed tygodniem leże obozu. Biedacy ci drżeli na całem ciele, Si-

mon kazał im przypatrywać się nawzajem. Dwóch z tych nieszczęśliwych siadało na trzecim i chłostało go do krwi, potem wybity podnosił się, wypijał łyk wina i zabierał się zaraz do następnego, mówiąc:

— Wasza kolej, kumie!

Simon pilnował operacyi, machając w takt ręką i powtarzając:

— Mocniej!

La Rochenoire z Mirzą od czasu do czasu szeptali coś z sobą z cicha. Zdawali się być w jak najlepszych stosunkach.

Nakoniec operacya się skończyła. Oficer patrolowy zameldował o naszem przybyciu La Rochenoirowi. Wówczas wzrok jego padł chwilowo na nas. Jak żyję, nie widziałem takich oczu. Siwa ich barwa prawie nie odbijała od światła. Były to oczy jakby zgasłe.

— Simon, wziąć tych ludzi! — wymówił suchym, prawdziwie oficerskim głosem.

Simon wydobył obrzydliwą zatłuszczoną książkę, zapisał nasze nazwiska, potem oddał nas młodemu oficerowi, imieniem Touvenir, rzekłszy:

— Sekcya czwarta, na miejsce Blaina i Renarda.

Touvenir wskazał nam kupę słomy, mówiąc:

— Spocznijcie.

Tak odbyła się nasza instalacya do obozu.

W kilka dni później obudziłem się w nocy trochę chory. Słoma, na której leżałem, była wilgotna; zaraz po zachodzie słońca niebo pokryło się chmurami i począł mżyć deszcz, a raczej gęsta, przejmująca mgła, która, osiadając na liściach drzew, spadała w postaci kropel na nasze posłanie. Szelest tych kropel dziwnie rozstrajał moje nerwy. Byłem zniechęcony i przybity. Zdawało mi się, że wszystko idzie jak najgorzej. Od czasu przybycia do obozu widywałem Mirzę codziennie, ale nie zamieniłem z nim ani słowa. Nie umiałem sobie wytłómaczyć jego stosunku do La Rochenoira. Skąd taka przyjaźń? Selim był jego adjutantem, skądże ta nagła, a niespodziewana nominacya? Podejrzywałem w tem wszystkiem jakiś podstęp; podejrzywałem, że chytrzejszy Francuz igra z Mirzą, jak kot z myszą. Dręczyło mnie to. A tymczasem krople deszczu spadały i spadały, zsuwając się z liścia na liść coraz częściej. Ogarnęła mnie gorączka i jakieś niewypowiedziane rozbujanie wyobraźni. Na myśl, że zostaniemy tu, w tym obozie, wśród ciągłych zdrad i podstępów, porywała mnie rozpacz. Z jakiemże utęsknieniem myślałem wówczas o armii regularnej, o tych pułkach konnych, idących w biały dzień, jak wicher do ataku. A my? my musieliśmy błądzić, jak wilki, w ciemnościach, czaić się w chaszczach, kąsać z nienacka.

Obrzydło mi to życie, zanim się go dotknąłem. Nie mogłem usnąć, ale po niejakim czasie czułem się jakby odurzony. Przez parę godzin wsłuchiwałem się bezmyślnie w szelest kropel i w głos jakiegoś ptaka czy dyabła, który na poblizkiem drzewie odzywał się monotonnie: »to-to! to-to!« Co tam za ptak mógł tak gwarzyć wśród nocy i deszczu! Chwilami przychodziło mi na myśl, że to może jaka istota nadnaturalna, która wróży mi śmierć.

Potem zacząłem doznawać halucynacyi. Mroczne przestrzenie leśne zbiegały się ze wszystkich stron i tworzyły cztery ściany pokoju. Był to niby pokój w rodzinnym moim domu. Na stole paliła się lampa, koło stołu siedział ojciec, matka i młodsze rodzeństwo. To znów te osoby niknęły, a na ich miejscu widziałem dwie nieznane mi panny, przeglądające jakąś starą kronikę z rycinami. Zachodziłem im z pleców i przypatrywałem się rycinie. Przedstawiała w średniowiecznych, niezgrabnych sztrychach bitwę pod Azincourt. Pod spodem czytałem wyraźnie gotycki napis: »Bitwa pod Azincourt«. Nagle wzdrygnąłem się bez powodu, widzenie znikło i znowu koło mnie był las, mroczne, czarne głębie, do uszu zaś dochodził szelest kropel i sapiące oddechy towarzyszów.

Wówczas powtarzałem sobie, by się bronić halucynacyom: jesteś w lesie, służysz w wojsku,

dowódcą jest La Rochenoire, Mirza adjutantem, koło ciebie śpi Marx.

Potem uczułem, że się boję, sam nie wiem czego. Bałem się tak, że chciało mi się krzyczeć o ratunek.

Nagle przeraźliwy odgłos świstawki rozbudził wszystkich. Odetchnąłem głęboko. Była to przynajmniej rzeczywistość. Żołnierze zerwali się na równe nogi i w kwadrans potem staliśmy pod bronią w szeregach. Porucznicy z obnażonemi szpadami przy swoich kompaniach z cicha, ochrypłymi głosami, podawali sobie rozkazy. Wkrótce ukazał się La Rochenoire, a za jego zbliżeniem, ów szmer, który we wszystkich, a zwłaszcza francuskich szeregach, brzmi nawet na musztrach — cichł wszędzie, jakby żołnierze ujrzeli zbliżająca się śmierć samą. La Rochenoire szedł w towarzystwie Mirzy. Obaj przesuwali się zwolna, przeglądając szeregi. Żołnierze wyciągali się jak struny, prezentując broń przed nimi. Tu i owdzie La Rochenoire rzucił jakie słówko, które podchwytywali w lot porucznicy. Po chwili rozległa się głośna komenda, szeregi złamały się na dwoje... Połowa oddziału pod wodzą La Rochenoira i Mirzy poszła w prawo; druga połowa, a w niej ja i Marx, udała się pod rozkazami Simona wprost przed siebie. Była jeszcze noc zupełna. Czarne masy drzew, wywrócone pnie z korzeniami, sterczącymi do góry, ryso-

wały się w fantastyczne, godne apokalipsy, kształty. Las był poprostu straszny. Szliśmy w zupełnem milczeniu i jak najciszej. Dla człowieka myślącego służba wojenna ma jeszcze tę obrzydliwą stronę, że nigdy nie wiesz, co się z tobą robi. Jakaś ręka posuwa tobą, jak pionkiem, i oto wszystko. Tak było i ze mną. Wiedziałem, że La Rochenoire, wziąwszy udział w tej bitwie, której odgłosy słyszałem w La Marè, był pobity; sądziłem więc, że idziemy powetować klęskę, ale, dokąd idziemy i z jakiemi siłami przyjdzie nam się mierzyć, nie miałem najmniejszego pojęcia. Las się wkrótce skończył. Na horyzoncie nocnym zarysowało się wzgórze, na niem wiatrak, a dalej do trzydziestu chat, ku którym poczęliśmy się skradać. W oknie wiatraka świeciło się, pod wiatrakiem zaś rysowała się czarna nieruchoma postać pruskiego szyldwacha w śpiczastym hełmie, opartego o karabin. Mimo, że byliśmy ukryci w zaroślach i szliśmy jak najciszej, szyldwach posłyszał szmer. Głośne „*Werda?*“ rozległo się w ciszy, a natychmiast huknął strzał, rozdarłszy czerwonem światłem powietrze. Wówczas wydaliśmy okrzyk i rzuciliśmy się w największym pędzie na chałupy, z których wraz poczęły się sypać strzały. Zawrzała bitwa. Ja, Marx i kilkunastu innych żołnierzy, pod osobistą wodzą Simona, dotarliśmy do drzwi jednej chaty i poczęliśmy odbijać je kolbami,

a tymczasem z dachu i okien strzelano do nas o parę kroków. Drzwi jednak chwiały się, a wreszcie pękły, i wpadliśmy do wnętrza. Niemcy dali nam ognia w same oczy, ale nie uczynili szkody. Wówczas to poszło na kolby, na bagnety, wreszcie na pazury, zęby i pięści. Do innych chat dostali się nasi żołnierze prawie jednocześnie, tak, że strzały wszędzie umilkły, ustąpiwszy miejsca walce ręcznej. W naszej chacie wkrótce zwykła bojowa zawziętość zmieniła się we wściekłość. Słychać było tylko trzask łamiących się karabinów, zgrzyt bagnetów, chrapanie i zziajany oddech walczących, którzy tarzali się po ziemi, wodzili się za włosy i gryźli się zębami. Jakiś wysoki chłop uchwycił Marxa za gardło i upadł z nim razem na podłogę, ale Marx, silny jak buhaj, w jednej sekundzie już był na wierzchu, ukląkł mu na piersiach i począł tłuc strasznie jego głową o ceglaną podłogę. Inny jednak Prusak natychmiast siadł mu na kark. Chciałem wówczas pospieszyć Marxowi na ratunek, ale w tej chwili otrzymałem uderzenie kolbą w piersi i padłem jak długi na ziemię, tuż obok komina, na którym paliło się ognisko.

Jak długo leżałem, nie wiem. Gdym przyszedł do siebie, nie mogłem się z początku poruszyć. W chacie było cicho. Ognisko dogasało. Z wielkiem wysileniem odwróciłem się twarzą do ziemi i uniosłem się trochę na ręku. Pierw-

szą rzeczą, którą spostrzegłem przy błękitnawym płomieniu gasnących węgli, był trup Simona z otwartemi ustami i wyszczerzonymi zębami.

Zemdlałem na nowo.

Drugie jednak moje przebudzenie było słodsze. Leżałem na tapczanie, nie na ziemi. Wzrok mój padł naprzód na sympatyczną twarz Mirzy, schyloną nade mną troskliwie.

— To ty? — spytałem.

— To ja — odparł wesoło. — Narobiłeś mi strachu, ale ci nic nie jest.

Istotnie, czułem się zdrów zupełnie.

Uderzenie, które otrzymałem w piersi, przerwało mi na razie oddech, ale nie uczyniło innej szkody. Oddychałem teraz swobodnie i bez bólu.

Nie chciało mi się jednak wstawać z tapczana, powiodłem tylko naokoło oczyma. Była to taż sama chata, w której biliśmy się wczoraj, czy onegdaj. Ślady walki wszędzie były widoczne: okna powybijane, piec nawpół rozwalony, na ścianach piętna krwi, na podłodze gruzy odpadłego tynku, ale ani jednego trupa. Przez dziury w oknach świeciło słońce i wpadał wiatr, wywiewając dym z komina, na którym paliło się znowu. Zapach spalenizny napełniał powietrze.

— Jak długo spałem? — spytałem Mirzy.

— Dobę, jak kamień.

— A ty nie byłeś ranny?

— Trochę podrapany.

To mówiąc, zawinął rękaw od koszuli i wyciągnął swoją białą, marmurową rękę, na której widniała długa czerwona rysa i błękitne ślady ukąszenia zębami.

— Ci Niemcy — rzekł — nie dają się przecież zabijać, jak owce.

— Wszakże pobiliśmy ich?

— Trochę. Mało który wyszedł.

— Wyście nadeszli nam na pomoc?

— Tak.

— Gdzie Marx? — spytałem po chwili milczenia.

— Na patrolu. Marx jest już kapralem.

— Simon, zdaje mi się, poległ?

— Już pochowany.

— Kto na jego miejscu?

— Ja.

Wówczas siadłem na tapczanie.

— Wytłómacz mi, co to wszystko znaczy.

Mirza począł się śmiać.

— Oficerowie trochę się krzywią — rzekł — ale mój przyjaciel, La Rochenoire, ani chciał słyszeć, żeby kto inny zastąpił Simona.

— Nie rozumiem nic.

— Jednak to proste. Mówią o zawieszeniu broni. Pewno to nieprawda, ale mówią. Otóż, jeśli zawieszenie przyjdzie do skutku, La Ro-

chenoire, zadarłszy z rządem, znajdzie się w smutnem położeniu.

— Dlaczegóż więc ciebie proteguje?

— Dlatego, abym ja w danej chwili protegował go nawzajem. Jako bogaty cudzoziemiec miałem w Paryżu wszystkie drzwi otwarte i znałem wielu ludzi, stojących dziś na czele. Co więcej, lubili mnie wszyscy. Byłem *„persona grata“*, więc słowo moje może dziś coś znaczyć. Moja obecność i wysokie stanowisko w obozie godzi niejako La Rochenoira z tymi ludźmi, uprawnia go. Ach, gdyby nie to, jużby prawdopodobnie jeden z nas nie żył. Gdym przybył do obozu, wpatrywał się we mnie swemi siwemi oczyma, jakby wilk wpatrywał się w kozę, którąby go przyszła prosić o nocleg w jego jamie. Ale ja rzekłem, że przychodzę po prostu bić się, a że on najlepiej się bije, więc do niego; wietrzył coś i śmiał się ze mnie, jak z głupca. Już zwrócił się do Simona, by mu wydać na moją skórę rozkazy, ale widocznie pomyślał w tej chwili, że rozstrzelać mnie, to znaczy osobiście zadrzeć z dyktatorem i innemi rządowemi figurami. Przyszło mu zapewne na myśl, że w pierwszej bitwie pozbędzie się mnie gładziej. A ja, widząc jego uśmiech, rzekłem: »śmieszy może pana to, że przychodzę wówczas, kiedy zaczynają mówić o zawieszeniu broni?« To zawieszenie broni było pierwszą kozerą, jaką położyłem na stół,

Sposępniał i począł wypytywać mnie, co wiem o tem. Odrzekłem, że gdybym był widział dyktatora, mógłbym coś pewniejszego powiedzieć, bo dyktator zawsze zaszczycał mnie zaufaniem i przyjaźnią.

To była druga kozera. La Rochenoire, lubo nie boi się niczego, wie, że z Jednookim niema żartów. Coby mu przyszło robić podczas zawieszenia? Jednooki porachowałby się z nim wówczas z pewnością. A przytem La Rochenoire ma inne wyrachowanie: on człowiek ambitny, wierzy w restauracyę Henryka V-go i widzi swoją świetną rolę pod Henrykiem. Ma nadzieję porachować się wówczas ze wszystkimi, a przytem, z golego margrabiego, któremu w Paryżu na cygara nawet nie starczyło, stać się potęgą. O, tak! w czasie restauracyi ten człowiek miałby ogromną przyszłość, gdyby nie to, że w tej przyszłości ja tkwię.

— Grasz grę niebezpieczną.

— Rozumiem to, ale jestem spokojny. Słuchaj dalej. La Rochenoire wie jednak, że przed Henrykiem musi przejść okres panowania Jednookiego i wie, że nim słońce zaświeci, rosa może oczy wyjeść, a to tembardziej, że znali się także z Gambettą z klubu i nie lubili się nigdy. Potrzeba mu więc ubezpieczyć się na ten czas i sądzi, że bezpieczeństwo znalazł we mnie.

Mirza począł się śmiać,

— Gram grę niebezpieczną, ale ją wygram, bo znam wszystkie jego karty, co do jednej, a moje dla niego zakryte.

— A wiesz, jak się taka gra nazywa?

Zamiast odpowiedzieć Mirza wpadł w pasyę.

— Intryga, — zawołał — zdrada! to była jego gra! Śmierć Marillaca, upadek i śmierć jego żony, łzy Lidyi — oto owoce tej gry. A ja się będę teraz wahał i drogę do zemsty wybierał? Co robić? dokąd iść? jak działać inaczej? jeżeli wiesz, to powiedz, naucz. Czy strzelić mu w łeb, tak, żeby nie wiedział nawet za co, dlaczego i z czyjej ręki ginie? Toż pierwszy lepszy żołnierz pruski może mnie w tem wyręczyć. A potem co? Sława przylgnie do imienia, że już jej i nie odczepisz. Dziękuję za taką zemstę. Zresztą, nie wdajesz się w nic, więc i nie moralizuj. Ty na mojem miejscu oddałbyś mu może Lidyę i pobłogosławił jeszcze, a potem przeglądał się w lustrze, czy ci do twarzy z poświęceniem. Ale jam z innego metalu. Te środki są dla mnie dobre, które wiodą do celu. Zresztą, mam instrukcye i muszę je wykonać. Jam żołnierz.

— Rób, jak ci się podoba, ale się strzeż. Bytność twoja tak blizko La Marè obudzi w nim podejrzenia, chyba, że ślepy.

Selim sapał jeszcze przez długą chwilę, ale wreszcie się pomiarkował i rzekł;

— Nie! wszystko się składa, żeby temu psu zawiązać oczy. Po zerwaniu z Lidyą, pozawiązywałem nowe stosunki, zacząłem szaleć. Znasz moją przeklętą naturę. Kochałem się, a raczej udawałem, że się kocham z dziesięć razy. Potrzebowałem wrażeń. Otóż La Rochenoire, który o tem wie dobrze, ani przypuszcza, żebym miał jeszcze pamiętać o Lidyi.

Potem dodał prędko i jakby mimowolnie:

— Ja sam się sobie dziwię...

Roześmiałem się.

— Ale nie krzywdź mnie ani Lidyi podejrzeniami — zawołał znów gwałtownie. — Ja kocham ją, jak uczciwy człowiek.

— Myślisz się z nią żenić?

— Co? Tak, oczywiście!

— A potem wrócicie zapewne do kraju. Stary twój ojciec tam codzień, siedząc z wilczycą przy kominku, wygląda twego powrotu.

Nie odpowiedział na to Mirza nic, ale na twarz jego padł pewien odcień rzewności i jakby utęsknienia za domem i za życiem spokojnem w rodzinnem gnieździe. Znałem ten ród Mirzów, jak swój własny. Oni wszyscy burzyli się za młodu, ale wykipiawszy wracali do gniazda. Taki był dziad, taki ojciec, taki i on zapewne. Pomyślałem, że dotrzyma słowa Lidyi, że pojmie ją za żonę, a potem wróci,

Dalszą rozmowę przerwało nam wejście znanego mi już oficera.

— Rozkaz od dowódcy! — rzekł.

Mirza rzucił okiem na podany papier i rzekł:

— Dobrze.

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Rochenoira.

V.

W nocy nastąpiło połączenie się oddziałów; nazajutrz zaś w południe biliśmy się znowu, a raczej napadliśmy na konwój, prowadzący rannych, i wytępiliśmy go do szczętu. Wówczas to zaczęło się to życie nadludzkich prawie trudów i wysileń, niepodobnych do wiary marszów, głodu, bezsennych nocy, ustawicznych pościgów, zasadzek i wzajemnego wytępiania się bez przestanku. Cierpliwość Prusaków wyczerpana była do dna. Nie mogli przecież, pobiwszy wielkie armie, pozwolić, aby jeden oddział, złożony z pięciuset ludzi, wyprawiał krwawe rzezie tuż pod ich obozami. Dowódcy ruchomych kolumn pruskich położyli sobie za punkt honoru wytępić tych przeklętych franctireurów, których nie uważali zresztą nawet za żołnierzy. Nigdy nie było większą prawdą, niż wówczas, to, co mawiali nasi żołnierze: »mieszkamy za kołnierzem u Prusaków«. Żelazne koło zamykało się

codzień koło nas i codzień napróżno. Ludzie nasi dziczeli w ciągłych walkach coraz bardziej i, mimo strasznej karności, dopuszczali się nieraz okrutnych nadużyć nietylko nad jeńcami, ale nawet nad francuskimi wieśniakami.

Dowódcom ruchomych kolumn pruskich zdawało się nieraz, że to oni nas ścigają, a tymczasem my, uchodząc niby i wymykając się, nie przestawaliśmy ani na chwilę na nich czatować. Lada nieostrożność z ich strony, przynosiła im nową klęskę. Nigdy też świetny talent wojskowy La Rochenoira nie błyszczał tak potężnie, jak w owych trudnych czasach. Zuchwalstwo jego przechodziło wszelkie granice, ale też i szczęście sprzyjało mu stale. Czasem, rzekłbyś, pozwalał się dobrowolnie otaczać, a potem uderzał nagle jak obuchem. Raz zdarzyło się, że oddział, liczący blizko ośmiuset ludzi, szedł naprzód co sił, w mniemaniu, że idzie w nasze ślady, a to my tymczasem szliśmy po jego tropie i, napadłszy nań wreszcie na błotach wśród nocy, wybiliśmy mu trzecią część ludzi. Innym razem La Rochenoire umiał tak urządzić, że dwa oddziały pruskie strzelały w ciemnościach do siebie, sądząc, że strzelają do nas. Zimna krew jego dorównywała talentowi. Nieraz w czasie bitwy, wśród nocy, przy blasku wystrzałów, widywałem tego małego człowieka z cygarem w ustach, bez żadnej

broni, stojącego wśród kul i spoglądającego jakby flegmatycznie swemi siwemi oczyma na przebieg walki.

Nie szczędził ludzi, był bez miłosierdzia dla żołnierzy, bywał często dla wysokiego stopnia okrutny, tak do nich, jak i do wieśniaków, ale też nie szczędził i siebie. Przypatrując mu się ciągle, wyrobiłem sobie pojęcie o jego charakterze. Człowiek ten najgwałtowniejszych wrodzonych namiętności wychował się u jezuitów, odebrał już podobno nawet pierwsze święcenia. Wychowanie to nadało tak całej jego postaci, jak wreszcie namiętnościom, pewne spokojne, układne i zastygłe formy, przez które jednak namiętności objawiały się tem straszniej. Żyjąc w Paryżu, stracił naprzód wiarę, a następnie nauczył się pogardzać ludźmi. Był biedny, więc do pogardy tej przyłączyła się wkrótce i nienawiść. To uczyniło go arystokratą nie tyle w zasadzie, ile w obyczajach i obejściu się z innymi. Wysoki tytuł margrabiego, który przy biedzie był raczej pośmiewiskiem, popchnął go jeszcze dalej na drogę arystokracyi. Wszystkiemi siłami pragnął Henryka V, bo wiedział, że pod jego rządami tacy ludzie, jak on, będą wszystkiem i będą mogli deptać po drugich, co, jak dla niego, byłoby jedną z największych rozkoszy. Mimo jednak swych legitymistycznych skłonności był sceptykiem nietylko w rzeczach

religijnych, ale i w życiu. Francyi nietylko nie kochał, ale czuł dla niej pogardę. Wiódł wojnę dla wojny. W przegniłej atmosferze paryskiej stracił poczucie zła i dobra. Dla niego było to wszystko jedno. Przy gwałtownych wrodzonych namiętnościach czyniło to z niego jedno z najniebezpieczniejszych w świecie indywiduów, tembardziej, że z natury był człowiekiem czynu, nie refleksyi.

Z takim to człowiekiem zwarł się na śmierć Mirza. Byłem prawie pewnym z początku, że w tej walce padnie, ale przekonywałem się coraz dotykalniej, że i Mirza był to ptak również niebezpieczny. Napozór jednak panowała aż dotąd między nimi najlepsza zgoda. Bili się z Prusakami dotychczas z powodzeniem, i trzeba wyznać, że do tego powodzenia przyczyniał się także niemało Mirza, który pod każdym względem przewyższał Simona.

Nakoniec jednak, po miesiącu owej gry w ślepą babkę po lasach z Niemcami, położenie nasze stało się rozpaczliwem. Ruchome kolumny otaczały nas ze wszystkich stron, wymykać się z oddziałem, liczącym pięciuset ludzi, było dłużej niepodobna, również jak i znaleźć dla niego dość żywności, wskutek tego na radzie wojennej postanowiono się rozdzielić. Jedną połowę miał prowadzić Mirza, drugą La Rochenoire.

Obaj spodziewali się wymknąć w ten sposób z departamentu wyższej Soany, a przytem i wyżywić się łatwiej. Postanowili jednak trzymać się nie dalej od siebie nad dzień drogi, aby w razie wypadku mógł jeden drugiemu podać rękę.

Od tej pory Mirza począł działać prawie na własny rachunek. Wyznaję, że ciekawy byłem, jak sobie będzie radził, bo położenie było trudne. Ale ufałem mu, jako też przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Pierwszego zaraz dnia po rozłączeniu stoczył świetną potyczkę z ułanami, której zresztą mało co życiem nie przypłacił; potem wykręcał się z taką zręcznością, że zdawało mi się czasem, iż przewyższa La Rochenoira. Czasem myślałem nawet, że to jest jaka wschodząca niepoślednia gwiazda militarna, a wiem, że i on sam był tego pewien. Żołnierze pokochali go wkrótce i szli na oślep za nim w ogień. Mirza jednak był dla nich prawie tak surowym, jak La Rochenoire, ale daleko więcej dbałym. Kiedy jednak żołnierz przeskrobał coś, a Selim, patrząc na niego, pobladł, żołnierz wiedział, że z nim źle. Nazywali go szeregowcy panną ze względu na jego niepospolitą urodę. Otóż raz słyszałem, jak na biwaku mówił jeden żołnierz do drugiego.

— Gdy panna zblednie, śmierć w oczy zajrzy.

— To i cóż! — odpowiedział drugi. — Panna

umie być i dyablem i matką, a La Roche jest tylko dyablem.

W tem życiu żołnierskiem, trudnem, męczącem, niepewnem jutra, nie brakło jednak czasem i stron komicznych. Raz, pamiętam, gdy maszerowaliśmy lasem, zsunął się nagle z drzewa jakiś człowiek, zupełnie jakby spadł z nieba. Stój! coś za jeden? Odpowiada: Wołak. Pochodzi z Galicyi, służył w wojsku tureckiem, włoskiem, w legii zagranicznej francuskiej, był w Meksyku i w Algierze. Czego chce? Służby. Zaciągnęliśmy go do szeregu. Nie wyszło pół dnia czasu, Wołak już wodził za nos wszystkich żołnierzy. Przegadał najbardziej wygadanych, podbił oko najsilniejszemu, poprzyczepiał innym przezwiska, od niektórych pożyczył pieniędzy, które mu się nie mogły na nic przydać, innych ograł w karty — wszystkich zaś traktował, jak nauczyciel dzieci. Co wieczór śpiewał nadzwyczaj głupią piosnkę o kluczniku, która jednak przyprawiała żołnierzy prawie o utratę rozumu ze śmiechu. Piosenka kończyła się słowami: »A ty panie klucznik, daj klucz od...« Wymawiając »panie klucznik«, Wołak wskazywał palcem na jednego z żołnierzy. Być mianowanym w ten sposób klucznikiem uważało się za największy zaszczyt. Przychodziło nawet o to do swarów i bójek.

— Mnie to nigdy nie zrobi klucznikiem! —

wołał jeden żołnierz, ciskając ze złością na ziemię kepi.

— Ciebie klucznikiem: ciebie, sowo! ciebie, coś o trzy lata za wcześnie przyszedł na świat? — odpowiedział Wolak. — A wiesz ty, gdzie rosną rybki? co znaczy młyn wodny, co wietrzny? Ten pan fiołkami żyje, a ty zegarek masz, co? samca czy samicę? Widzisz go!

I nim odurzony żołnierz przyszedł do siebie inni wybuchali śmiechem, który czasem przerywały pruskie strzały.

W ten sposób upłynęło nam ze dwa tygodnie. Tymczasem zdarzyło się stoczyć bitwę, wobec której dotychczasowa sława La Rochenoira zbladła zupełnie. Pewnego wieczoru nadciągnęło do nas około trzystu ludzi z oddziału Emila Corbeau, a z niemi około pięćdziesiąt koni. Oficer, który ich przyprowadził, oświadczył, że oddział ten był wczorajszego dnia na głowę pobity przez ruchomą kolumnę, która prawdopodobnie ściga i tę resztę pozostałą z liczby ośmiuset ludzi. Żołnierze ci byli istotnie w opłakanym stanie. Mimo to, Mirza, wzmocniony nimi, postanowił przyjąć bitwę z kolumną ruchomą, a raczej pójść na jej spotkanie i uderzyć na nią na gościńcu z zasadzki. Kolumna liczyła dziewięciuset ludzi, w tej liczbie około dwustu jazdy, dowodził zaś nią młody, ale bardzo biegły oficer, Otto von Hohenstein, który

szczególniejszym był postrachem franctireurów. Uśmiechała się Mirzie nadzieja pobicia tak wsławionego przeciwnika, dlatego, pozwoliwszy się tylko posilić ludziom Corbeau, ruszył w kierunku gościńca. Była noc, nad lasem zaś zawisła mgła, tak gęsta, że o parę kroków nie można było nic dojrzeć. Siedzieliśmy w krzakach po obu stronach drogi ze dwie godziny w takiej ciszy, że słyszałem bicie własnego serca. Pod karą śmierci nie wolno się było odezwać ani słowem, musiałem więc, jako oficer już, czuwać i nad ludźmi, a szczególniej nad Wolakiem, któremu z największem wysileniem przychodziło siedzieć spokojnie. Mieliśmy dokładne instrukcye: wystrzał z pistoletu Mirzy miał być znakiem rozpoczęcia ataku. Słyszałem, że i inne serca biją obok mnie niespokojnie. Niemasz nic bardziej drażniącego, nawet dla starych żołnierzy, jak czekać z zasadzki. Upłynęło jeszcze z pół godziny, nareszcie usłyszeliśmy z daleka skrzypienie kół i miarowe kroki piechoty. Nastała wówczas taka cisza, że słyszałem szmer każdego liścia na drzewie. Kroki zbliżały się. Nakoniec nadjechała szpica, składało ją sześciu ułanów. Ludzie ci pod sekretem palili fajki. Wówczas, gdy przejeżdżali koło nas, jeden zbliżył się do drugiego i usłyszeliśmy w ciemnościach głosy:

— Bruder, daj ognia!

— Dadzą tobie Francuzi ognia.

Potem przeszli i znów nastała cisza. Nadciągał wreszcie główny oddział. Na przodzie szła jazda, za nią piechota, ale piechury nie pilnowali porządku. Znać, ludzie ci nie spodziewali się niczego i nie zachowywali nawet zwykłych ostrożności. Maszerując, powtarzali, według zwyczaju niemieckiego, w takt z krokami marszu i akcentując ostro każdą sylabę: »*Fünf — par — laederne — Strümpfe!...*«

A tu śmierć czyhała na nich z obu stron drogi.

Gdy nadciągnęli w sam środek zasadzki, wówczas wśród głuchej ciszy huknął nagle wystrzał pistoletowy.

Natychmiast odpowiedziała mu grzmiąca salwa karabinowa z lewej strony drogi. Powstała wrzawa nie do opisania, wśród której słychać było strzały karabinowe, okrzyki: »formuj się!« i donośny, spokojny, ale chwilami panujący nad wszystkimi głos niemieckiego dowódcy. Obrócono front na lewo, i w tej chwili posypały się na nas gałęzie i liście krzaków, postrącane kulami. Dzielni żołnierze niemieccy szybko stanęli w szyku. Ale w tej chwili druga salwa z prawej strony wstrząsnęła mocno powietrzem. Niemcy uformowali dwa fronty, tymczasem jednak Mirza zamknął już im obydwa ujścia drogi. Posypały się strzały ze wszystkich stron.

Dym powiększył jeszcze grubą, nieprzebitą ciemność. Żołnierze nasi wyli teraz naokoło niemców, jak stado zgłodniałych wilków. W ciemnościach ci nieszczęśliwi sądzili się być otoczeni przez Bóg wie jakie siły. Strzelali na oślep. Konie ułanów, ogłupiałe, wystraszone, poczęły chrapać z przerażenia i mieszać się. Cały oddział ruszył naprzód, przywitała go salwa, w tył — znowu salwa. Nagle wybuchnęła skrzynia z prochem. Konie się rozszalały zupełnie, zamieszanie się wzmogło. Słychać było głosy: Światła! Światła! Wówczas to niemieckiemu dowódcy przyszła nieszczęśliwa myśl oświecenia drogi. Ujrzeliśmy żołnierzy pruskich, podnoszących na bagnetach wiązki palącej się słomy. Krwawe światło oświecało drogę i poblizkie drzewa, ale wyszło ono tylko na naszą korzyść: wiedzieliśmy bowiem, jak strzelać. »W oficera, w oficera!« — zaczęli wołać nasi żołnierze; jakoż przy blasku palącej się słomy ujrzeliśmy wysoką, dumną postać w szpiczastym hełmie, ze złotemi binoklami na oczach, stojącą zuchwale na wozie i wydającą rozkazy. Płomienie oświecały ją od stóp do głowy. »W oficera!« — powtórzyły głosy. Kule zawarczały, z wiązek posypały się iskry i płonące źdźbła, ale oficer pozostał nietknięty. Wówczas podbiegł ku nam sam Mirza.

— W oficera! — krzyknął i wyrwawszy

Wolakowi karabin, przyłożył go do twarzy. Strzał buchnął, młody oficer zachwiał się, przechylił w tył i padł głową w dogorywającą wiązkę słomy.

Tymczasem słoma między prusakami zgasła, salwy stawały się słabsze, rzadsze. Bronili się jeszcze, ale bez nadziei, a tu ogień z naszej strony ożywiał się coraz bardziej, zwierzęce okrzyki żołnierzy stawały się coraz przeraźliwszymi.

Po pięciu jeszcze minutach komenda »Na bagnety!« — rozległa się po wszystkich szeregach. Ujrzałem znów przez chwilę Mirzę, jak z pochyloną głową i szpadą w ręku wysunął się wraz z falą błyszczących ostrz, ale nagle w szeregach pruskich błysnęła znów zapalona wiązka, a obok niej rozpięta na dwóch bagnetach biała chustka:

— Stój, poddają się! — zawołały ze wszystkich stron głosy.

Jakoż tak i było. Bitwa skończyła się.

W pół godziny potem cisza, taka jak i niedawno, zalegała tę krwawą drogę, kazałem ją uprzątnąć. Sam odszukałem ciało Ottona von Hohenstein z twarzą opaloną w płomieniu i zabrałem jego papiery, a przytem i portret żony lub narzeczonej, który zachowałem do dziś dnia. Potem poszedłem szukać Mirzy. Znalazłem go na uboczu siedzącego na korzeniach drzew i oddychającego szybko. Włosy miał jeszcze

spocone, twarz uczernioną prochem, drżące ręce, ale w oczach świeciła mu duma nieograniczona, której nie próbował ukrywać. Następnych dni duma jego jeszcze urosła. Odtąd odrzucał wszelkie zdania, a raczej nie pytał o nie nikogo. W obejściu z oficerami stał się despotycznym, ze mną nawet inny był już, niż dawniej, skutkiem czego nasze stosunki znacznie ochłodły.

O La Rochenoirze nie było między nami od owej chwili mowy, ale widziałem, że Mirza bierze górę i poczyna lekceważyć przeciwnika. Ba! stał już teraz na czele dwa razy większych i ślepo sobie oddanych sił, czegóż więc miał się go obawiać?

W dwa dni potem uderzył na wioskę Deux-Pouts, gdzie stały załogi pruskie. Uderzył już nie w nocy, ale w biały dzień. Przyjął bitwę regularną i bitwa ta dodała nowy listek wawrzynu na jego skronie.

Uczynił to wbrew rozkazom La Rochenoira. Spodziewał się zapewne, że wywoła to między nimi katastrofę, ale widocznie uznał, że czas nadszedł.

Jakoż przyszła wiadomość, że La Rochenoire, napadnięty przez ten czas, poniósł znaczne straty. Gdy Mirza dowiedział się o tem, rzekł do oficerów:

— La Rochenoire wymarnuje tylko ludzi, którzyby mi się przydali.

Oficerowie spojrzeli po sobie w milczeniu.

Przecie zamiast uderzyć na Deux-Pouts mógł Mirza pójść na ratunek La Rochenoirowi, bo wtedy mieliśmy już ruchy swobodniejsze. Kolumny ruchome były przetrzebione, znaczniejsze zaś siły ściągnęli Niemcy przeciw armiom regularnym.

Wieczorem tego dnia przyleciał od La Rochenoira oficer z rozkazem, żeby Mirza natychmiast maszerował do głównej kwatery.

Pamiętam tę chwilę, jak dziś. Było to w merostwie Deux Pouts. Oficer stał we drzwiach, trzymając palce przy daszku kepi, Selim zaś siedział przy stole, odczytując powoli rozkaz.

Patrzyłem na niego bacznie. Trudy wojenne widne były na jego twarzy. Wychudł, pobladł i jak gdyby postarzał, a przytem jakiś odcień surowości przebijał z tych tak dawniej słodkich, młodzieńczych rysów. Znać w nim było człowieka, który przywykł rozkazywać, nie zaś słuchać rozkazów.

Nagle wstał, zbliżył się do oficera i, podarłszy w jego oczach rozkaz, cisnął go na ziemię.

— Powiedz pan La Rochenoirowi, że idę do La Mare! — rzekł zimno.

Oficer skłonił się i wyszedł. Wówczas Mirza zwrócił się do mnie.

— Proszę zwołać wszystkich oficerów oddziału.

W kilka minut potem sprowadziłem wszystkich kolegów. Mirza podał im spokojnie swoją nominacyę, mówiąc:

— Zechciejcie panowie odczytać głośno ten dokument.

Jeden z oficerów odczytał głośno rozkaz dyktatora.

Mirza podczas czytania stał dumny i zimny.

Zapadło głuche milczenie.

— Panowie! — rzekł Selim. — Z oddziału rozbójniczego, wyjętego z pod praw, stajecie się znowu żołnierzami rzeczypospolitej. Wasze męstwo, okazane w różnych bitwach, skłoniło prawy rząd do pobłażania. Mam prawo karać, ale wolę przebaczyć. Tym z was, którymby nie podobało się moje postępowanie od czasu przybycia do obozu, oświadczam, że postępowałem według instrukcyi, i że wreszcie nie potrzebuję się tłumaczyć przed wami. Dodaję przytem, że każę natychmiast rozstrzelać każdego, kto okaże najmniejsze nieposłuszeństwo.

Ani jeden głos protestacyi nie przerwał tej energicznej przemowy. Po niejakiej chwili najstarszy z oficerów, szpakowaty już zupełnie mąż, rodem Włoch, a nazwiskiem Michealis, pierwszy wyprostował się jak trzcina, przyłożył palce do skroni i rzekł:

— Czekamy na rozkazy.

— Ogłosić żołnierzom zmianę dowódcy.

Oficerowie wyszli i wkrótce głośne: »*Vive la Republique!*« »*Vive Mademoiselle!*« i »*á bas La Rochenoire!*« przekonało nas, jak zmiana została przyjęta.

Gdyby La Rochenoire mógł słyszeć te okrzyki, mógłby powtórzyć wraz z królami Salomonem i Gelimerem: »wszystko próżność!«

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Mare.

VI.

Przyszliśmy tam już późną nocą. Nie zastaliśmy w domu ani pana La Grange, ani Lidyi. Okiennice w domu były pozamykane, cisza zaległa szalet i ogród. Widziałem, jak złe wrażenie uczyniła na Selimie niespodziana nieobecność Lidyi. Obiecywał sobie zapewne odetchnąć i dać folgę słodkim uczuciom, jakie dawno nie postały w jego duszy, tymczasem spotykał go zawód. Spodziewał się może jakiego listu, albo znaku, bo troskliwie wypytywał o wszystko służącą, która zresztą nie umiała nic więcej powiedzieć nad to, że państwo wyjechali i że za trzy dni wrócą. Dla mnie ten wyjazd był zupełnie naturalny, ale Mirza bolał nad nim więcej, niżem się spodziewał, i nie umiał ukryć niespokojności. Był to dla niego jeden z tych wypadków, które same przez się nie znaczą nic, ale które na razie wydają się jakby umyślne przeciwieństwo losu. Sama jednak bytność w domu

Lidyi zdawała się na Mirzę wpływać korzystnie. Na twarzy jego zniknął ów odcień surowości, a natomiast pojawił się inny, bardziej miękki wyraz. Nasze stosunki stały się zaraz cieplejsze. Ten groźny wódz strzelców znowu przypomniał mi teraz zakochanego studenta Selima. Wziąwszy mnie pod rękę, błąkał się po całym domu. Dla zakochanego pusty dom, w którym mieszkała droga istota, ma jakiś tajemniczy urok. Słodycz wspomnień miesza się w owym uroku ze smutkiem i z echami, jakiemi odbrzmiewają opuszczone ściany. Każde z tych ech zdaje się mówić: »niema jej!« Zaszliśmy naprzód do pokoju Lidyi. W porcelanowych wazonikach, po obu stronach ubieralni, stały zwiędłe kwiaty, na ubieralni zaś leżał grzebień w kształcie korony, jakie kobiety noszą w warkoczach. Mirza odwrócił się niby do okna, ale widziałem, jak przyciskał do ust ten grzebień. Musiał tę Lidyę kochać naprawdę. Zresztą nic w pokoju nie zdradzało niedawnej jej bytności. Firanki z nad łóżka były zdjęte, na łóżku nie leżała pościel, znać było, że jakaś ręka robiła tu już głupi porządek, który zatarł wspomnienia mieszkanki tego pokoju. Meble w białych pokrowcach pozakładane były jedne na drugie, lustra i fotografie, wiszące na ścianach, pozasłaniane muślinem. Mirza odsłonił fotografie. Jedna z nich przedstawiała Lidyę, jeszcze jako dziecko, w krót-

kiej sukience. Był to dagerotyp stary i wyżółkły. Twarz była widoczna, ale białe pończoszki dziecka tworzyły już tylko dwie białe plamy, ciemna zaś sukienka zlewała się z tłem. Chciało mi się śmiać z tego portretu, bo Lidya, jako dziecko, widocznie nie była ładna, minkę miała przytem na tym dagerotypie wystraszoną, usta otwarte, wyraz gapiowaty. Selim odwrócił się ode mnie, jakby nie chcąc, abym spoglądał obojętnem, a może i złośliwem okiem na ten bohomaz. Sądziłem, że jemu musi wydawać się on czemś dziwnie wdzięcznem, ale sądziłem po sobie. Mirza zbyt był trzeźwy i zbyt mało sentymentalny. Jakoż odsunął wkrótce z niechęcią portret i rzekł:

— Ależ to karykatura!

Roześmiałem się szczerze, a on mi zawtórował. Potem zostawiłem go z jego wspomnieniami, sam zaś poszedłem do oficerów, którzy kładli się w sali jadalnej, popijając wino i paląc fajki.

Przed udaniem się na spoczynek, wziąwszy patrol, poszedłem jeszcze pozmieniać straże. Noc była zimna, ciemna. Pod lasem za chmielnikami wilk wył, jak najęty, a złowrogie modulacye jego głosu rozlegały się dziwnie żałobnie. W przerwach, od strony wioski, dochodził głos jakiegoś wieśniaka, nawołującego żonę czy córkę:

— Rozyna! Rozyna!

Wróciłem od strony ogrodu. Okna pokoju

Lidyi były oświecone. Widocznie Selim jeszcze w nim siedział.

Myślałem, że złapię go na marzeniach, ale zastałem go schylonego nad mapą.

— Niemcy są o dzień drogi stąd — rzekł do mnie. — Stoją w dość znacznej sile, ale pojutrze napadnę na nich.

— Kto wie, czy jutro nie będziesz miał rozprawy z La Rochenoirem — odrzekłem.

Machnął ręką.

— Mniejsza o to. Czas z nim skończyć, choć to dla mnie przeciwnik nie wart zachodu.

— Przeceniasz się.

— Przyszłość pokaże.

I wymawiając słowo »przyszłość«, spojrzał na mapę i uderzył po niej ręką.

Nazajutrz cały ranek zszedł mu na wydawaniu rozkazów. Spodziewał się bitwy. Ale przedtem »kiszmet« chciał, aby stoczył tę, którą mu przepowiedziałem.

Była godzina trzecia, siedzieliśmy przy obiedzie, gdy drzwi nagle otworzyły się i wszedł La Rochenoire.

W trzydzieści sześć godzin zrobił drogę, wymagającą trzech dni. Pokryty był kurzem i jak gdyby zmęczony. Twarz jego była spokojna, oczy nieruchome, nie znać było na nim żadnego napozór wzruszenia; podobniejszy był tylko do księdza, niż kiedykolwiek.

Gdy wszedł, dawni jego oficerowie zerwali się mimowoli na równe nogi.

Mirza spojrzał na niego nieokreślonym wzrokiem, oczy mu błyszczały, ale pozostał spokojny. Widać, był nawet przygotowany, bo skinął na adjutanta, który natychmiast wyszedł z pokoju.

La Rochenoire postąpił kilka kroków. Złowrogie jego oczy nieruchomo spoczywały na Mirzie.

— Przesłałem panu wczoraj rozkaz — mówił z cicha.

— A ja nie uznałem za stosowne go posłuchać.

Połowa twarzy La Rochenoira zaczęła drgać nerwowo, jak drgała zwykle w czasie bitew.

— Aresztuję pana! — wyrzekł spokojnie do Mirzy.

Mirza ruszył ramionami i, odwróciwszy się, rzekł:

— Michaelis! wziąć tego szaleńca.

W tej chwili, w niezamkniętych drzwiach, ukazał się adjutant na czele czterech żołnierzy. Żołnierze podeszli automatycznymi ruchami do La Rochenoira i stanęli w milczeniu po obu jego stronach.

— W imieniu Rzeczypospolitej jesteś pan aresztowany — rzekł adjutant.

Wówczas ten mały człowieczek w mgnieniu oka skurczył się w sobie i twarz mu pociemniała.

W jednej chwili domyślił się wszystkiego i zemsty Mirzy i dróg Mirzy. Poznał, że wpadł w straszną zasadzkę, z której wyjście było tylko do grobu.

Ale nie był to człowiek, któryby napróżno słowa ronił. Ów zwycięzca w tylu bitwach, ów straszny partyzant nie próbował teraz niczego. Twarz jego nie wyrażała ani sztucznej dumy, ani sztucznej pogardy; nie piorunował Mirzy wzrokiem, pozostał bierny, jakby w poczuciu, że wszystko, coby mógł przedsięwziąć, byłoby tylko próżnem szamotaniem się, przeciwnem jego godności.

Przeciwnie, twarz Mirzy wyrażała powagę władzy. Nie raczył nawet spojrzeć na La Rochenoira. Dla niego był to już nie współzawodnik, nie równy mu przeciwnik, ale zwyczajny biedak przed majestatem sądu — „*pauvre diable*“, którym nie było warto więcej zajmować się, niż tego wymagały paragrafy kodeksu wojennego.

Było w tem wszystkiem, w tej nagłej zmianie ról i stosunków, w tem bezdennem upokorzeniu tak dumnego, jak La Rochenoire, człowieka, coś tak tragicznego, że dalsze następstwa tej sprawy bladły przed chwilą obecną.

— Wyprowadzić go — rzekł Mirza.

Miarowe kroki żołnierzy odezwały się złowrogo. Odprowadzono La Rochenoira do tego

domu, w którym nocowaliśmy za pierwszej bytności w La Mare.

Po odejściu aresztowanego w pokoju panowało głuche milczenie. Dziwne jakieś uczucie ściskało wszystkich za gardła.

Ludzie wojny nie są zwykle dobrymi chrześcijanami, nie przebaczają przeciwnikom, dostawszy ich w ręce, a jednak czułem teraz do Mirzy żywą niechęć.

La Rochenoire przychodził do niego bezbronny, a on występował zbrojny w równą nieubłagalność, ale w większą siłę, w pewność zwycięstwa, w bezpieczeństwo osobiste, w powagę władzy w majestat sędziego, w straszne paragrafy wojenne, w przemoc.

Słowem, po jednej stronie było wszystko, po drugiej nic.

Wiedziałem przytem, że Mirza mu nie przebaczy. Sąd wojenny zebrał się. Sędziami byli: Michaelis, Marx i ja. Mirza z obowiązku musiał prezydować. Touvenir pełnił obowiązki sekretarza.

Wprowadzono La Rochenoira. Gdym spojrzał na niego, zdawało mi się, że przez tę godzinę postarzał przynajmniej o jaki rok, ale był spokojny, a raczej doskonale obojętny.

Gdy po odczytaniu zarzutów, z których jeden tylko byłby dostatecznym, aby skazać go

na śmierć, Mirza spytał go, co ma na swoje usprawiedliwienie, ruszył tylko ramionami.

Przed wydaniem wyroku odprowadzono go napowrót do aresztu. Poczem przystąpiliśmy do wydania wyroku. Mirza usunął się od głosowania.

Przypomniałem sędziom, że obwiniony stoczył przeszło czterdzieści zwycięskich potyczek. Zdawało mi się, iż moje słowa uczyniły pewne wrażenie.

Nakoniec podaliśmy wota.

La Rochenoire skazany został na śmierć.

Wypadło mi pójść ogłosić mu wyrok. Czyniłem to z największą przykrością.

Niespodziewanie przyjął mnie nietylko spokojnie, ale nawet z grzecznością. Gdy po spełnieniu swego smutnego posłannictwa zabierałem się do odejścia, rzekł:

— Wiedziałem, że pan będziesz głosował przeciw śmierci. Gdyby głos twój przeważył, uczyniłbyś mi największą krzywdę.

Poczem wyszedłem, ale przedtem opatrzyłem jeszcze straże. Dwóch żołnierzy stało we drzwiach, jeden pod oknem od strony chmielnika.

W żadnym razie La Rochenoire nie mógł się ratować ucieczką.

Poczem wróciłem do głównej kwatery, ale nie było mi przeznaczonem spocząć tej nocy. Ponieważ wyrok miał być wykonany wobec wszystkich żołnierzy La Rochenoira, dostałem

więc rozkaz sprowadzenia tej części oddziału, która pozostawała dotąd tam, gdzie ją La Rochenoire zostawił.

Wymagało to ogromnych dwóch dni czasu. Nie chciało mi się jechać, ale jeszcze bardziej nie chciało mi się prosić Mirzy, ażeby mnie zastąpił kto inny.

Wziąłem więc kilkunastu żołnierzy z jazdy Corbeau i puściłem się w drogę.

Zaraz za La Marc żołnierze dostrzegli koło kościoła jakiegoś człowieka, który chciał się ukryć w złamach muru cmentarnego. Schwytali go i przyprowadzili do mnie.

Poznałem naszego dawnego przewodnika Hugona.

— Co ty tu robisz? — spytałem go dość groźnie.

Hugon był pijany, lub udawał pijanego.

— Ja tu znam każdy krzak — mruczał. — Z przeproszeniem waszej wielmożności idę do szaletu. Tam pełno żołnierzy. Przyczołgałem się chmielnikiem, bom myślał, że Niemcy, aż tu żołnierz pod suszarnią chciał mnie bagnetem, rodak to był, rodak nie Niemiec...

Tu Hugo rozpłakał się.

— Idź spać, tyś pijany.

— To z biedy, proszę waszej wielmożności, z biedy. Dziś człowiek pod wozem, jutro na wo-

zie... albo i inaczej. Tego wczoraj żołnierze się bali, a jutro rozstrzeliwać go będą.

Jakieś podejrzenie mignęło mi w głowie.

— Widziałeś La Rochenoira — spytałem.

— Tam pełno żołnierzy, proszę waszej wielmożności. Nikogo nie puszczają. A to myślę: prześpię się na cmentarzu. Dziś człowiek żyje, jutro go tam położą.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, że może La Rochenoire znalazł jaki sposób porozumienia się z Hugonem i że może wysłał go po swoich żołnierzy. Ale potem sam roześmiałem się z tej myśli. Przecie Selim miał dwa razy większe siły, a przytem Hugon nie mógł przede mną przybyć do tej części oddziału. Zostawiłem go więc na drodze, a sami puściliśmy się dalej.

Nie wiem, jakim cudem wieść o losie La Rochenoira przybyła do oddziału przede mną. Oficerowie i żołnierze przyjęli mnie w głuchem milczeniu.

Ale nikt nie okazał najmniejszego nieposłuszeństwa. Było to teraz stado baranów, z którem mogłem robić, co mi się podobało.

Wydałem rozkaz wymarszu i ruszyliśmy natychmiast.

Około południa dałem żołnierzom dwie godziny wypoczynku, potem znów naglilem ich do pośpiechu. Po wioskach chłopi kryli się przed nami do chałup. Chciałem podwód, by jak naj-

prędzej dostać się do La Mare, i zabieralem po drodze wszystkie wozy z końmi. Wszędzie jednak przywołany mer wioskowy na pierwsze pytanie odpowiadał mi:

— Niema.

Wówczas przykładałem mu rewolwer do nosa i dotknięcie zimnej lufki miało dziwną własność rozgrzewania merowskiego patryotyzmu: podwody znajdowały się, jakby wychodziły z pod ziemi.

Zbliżaliśmy się do La Mare głęboką nocą i w zupełnym porządku. Ja jechałem naprzód z moimi konnymi żołnierzami o pół mili francuskiej od oddziału. Chciałem być pierwszy, a przytem musiałem się okrzyknąć hasłem z placówkami oddziału Mirzy.

Od strony wioski nie dochodził najmniejszy szmer, ciemno było w niej zupełnie. Mirza zachowywał zawsze ostrożności większe jeszcze od La Rochenoira, i nie palił nigdy głęboką nocą ognisk.

Byliśmy już niedaleko kościoła. Mój podoficer podjechał do mnie.

— Panie poruczniku, — rzekł — placówki się pospały.

— Nie może być — odpowiedziałem — za to śmierć.

Księżyc świecił jasno. Jak okiem sięgnął, nie było widać szyldwachów.

— Co to jest? — pomyślałem niespokojny.

Przy bramie cmentarnej spodziewałem się jednak, że lada chwila usłyszę:

— *Qui vive?*

Naokoło panowała cisza.

Podoficer zbliżył się znowu do mnie, szepcząc:

— Panie, tu coś zaszło. Szyby w kościele powybijane.

Spojrzałem pod światło księżyca. Blade jego promienie łamały się na oknach kościelnych, ale w niektórych miejscach widać było czarne, głuche otwory: istotnie szyby były potłuczone.

— Tu musieli się chyba bić — szeptał podoficer.

Brama cmentarna była otwarta, wjechaliśmy na cmentarz.

Nagle kopyto mego konia uderzyło o jakiś twardy przedmiot, który odezwał się głuchem echem.

Sądziłem, że to zapewne czaszka ludzka, ukryta w zielsku, kazałem jednak żołnierzowi, by podniósł ten przedmiot.

Żołnierz siadł z konia, schylił się i podał mi pikelhaubę pruską.

Było więc rzeczą pewną, że Mirza bił się podczas mojej niebytności i po bitwie musiał wymaszerować dalej.

Jechaliśmy dalej po cmentarzu, badając każdą wklęsłość ziemi z osobna.

O pięćdziesiąt kroków od miejsca, na którem znaleźliśmy pikelhaubę, leżał pierwszy trup pruskiego piechura. Znać było po nim, że leżał już kilkanaście godzin i że bitwa musiała się odbyć wczoraj.

Coraz nowe jej oznaki wychylały się z trawy i zielska. Miejscami grunt na przestrzeni kilkunastu łokci pokryty był, jak śniegiem, szczątkami tektury z ładunków; dalej leżały same pruskie trupy, dalej same francuskie, jeszcze dalej jedne i drugie razem, poprzewracane na wznak i na twarz, często wsparte na sobie głowami lub piersiami. Walczono tu widocznie na białą broń. Promienie księżyca schodziły z jednych grup i oświecały coraz nowe. Ciche te grupy zdawały się spać.

— Do szaletu! — krzyknąłem gwałtownie.

Pomknęliśmy jak burza i wypadli na drogę.

Zdala widać było zbliżające się ciemne masy ludzi: to mój oddział dochodził już do początku muru cmentarnego. Wstrzymałem pochód znakiem ręki, sam zaś z moimi ludźmi, omijając trupy, coraz gęściej leżące na drodze, pocwałowałem dalej. W minutę później szalet zarysował się przed nami: okna jednego pokoju były oświecone i otwarte na roścież, również otwarte drzwi od sieni.

Wszedłem pośpiesznie.

W pierwszym pokoju było pusto i ciemno.

z następnej sali dochodziło światło przez szpary we drzwiach.

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty.

Na środku stała nizka sofa bez poręczy a na niej leżał umarły, przykryty prześcieradłem, przez które rysował się jego nieruchomy profil.

W głowie zmarłego stały dwie świece kościelne. Przy jego nogach klęczała czarno ubrana kobieta, z czołem opartem o brzeg sofy i z zaciśniętemi nad głową rękoma.

Gdym wszedł, podniosła się. Poznałem Lidyę. Twarz jej była blada, surowa, bezsenna, zmęczona, kamienna i postarzała, ale nie zapłakana.

— Panno Lidyo!... — zawołałem przyduszonym głosem.

Podeszła ku mnie na palcach, jakby obawiając się zakłócić spokój nieboszczyka i tak cicho, jak mówi się przy umarłych, szepnęła:

— Nie żyje!

To rzekłszy, wsparła się na mojem ramieniu. Suche łkania wstrząsały jej piersią.

Wówczas dopiero przyszła mi myśl, że ten umarły to może być stary La Grange.

Zbliżyłem się szybko do nieboszczyka i podniosłem zasłonę. Z pod prześcieradła wionęło trupim chłodem. Żółte światło świec padło na zsiniałą twarz ze wzdętemi ustami, wykrzywioną, okropną.

Była to twarz... Selima Mirzy.

VII.

Nazajutrz rano wyprowadziłem śledztwo, z którego okazało się, co następuje: La Rochenoire porozumiał się istotnie z Hugonem, któremu wydał rozkaz zawiadomienia Prusaków o postoju Mirzy w La Mare. Hugon podprowadził ich chmielnikami tak zręcznie, że placówki dały dopiero wówczas ognia, kiedy oddział całkowicie był otoczony. Rozpoczęła się bitwa. Mirza poległ z samego jej początku. La Rochenoire zaś, który działając w widokach zemsty, nie liczył nawet na osobiste ocalenie, wśród powszechnego zamieszania zdołał jednak przy pomocy Hugona wydostać się w chmielniki, a stamtąd przedrzeć się do lasów.

W rok potem, już po wojnie, dowiedziałem się o jego pobycie w Wenecyi. Odziedziczył znaczny majątek w Bretanii, ożenił się i żył spokojnie.

Nie mogłem sprawdzić, czy żoną jego była Lidya La Grange.

CZY CI NAJMILSZY?

...W dali było widać ciemną wstęgę boru, przed borem łąkę, a wśród łanów zboża stała chata, pokryta słomianą strzechą i mchami. Brzozy zwieszały nad nią zielone warkocze, na świerku w gnieździe stał bocian, a w sadzie wiśniowym czerniały ule.

Przez otwarte wrota na dziedziniec wszedł wędrowiec i rzekł do niewiasty, stojącej w progu:

— Pokój tej cichej chacie, tym drzewom, zbożom i okolicy całej, i tobie, matko!

Ona, powitawszy go gościnnie, rzekła:

— Chleba i mleka przyniosę ci, wędrowcze, a tymczasem siądź i odpocznij, bo widać, że z dalekiej wracasz podróży.

— Jako ów bocian i jako jaskółka, wędrowałem; wracam z daleka i od dzieci ci twoich wieść przynoszę.

Więc onej matce dusza cała zbiegła do oczu i zaraz spytała wędrowca:

— Czy wiesz co o synu moim, Jaśku?

— Czy ci on najmilszy, że o niego pytasz najpierwej? Oto jeden twój syn w puszczach z siekierą pracuje i w jeziora sieć zapuszcza; drugi konie na stepie pasie, pieśni tęskne zawodzi i w gwiazdy patrzy; trzeci po górach się wspina, na turniach i halach z owcami noce spędza, w orłów krakania się wsłuchuje. Do kolan się wszyscy twoich chylą i pozdrowienia ci przysyłają...

— A Jaśko? — pytała z troską na twarzy.

— Wieść smutną chowam na ostatek. Źle się Jaśkowi wiedzie: rola plonu mu nie daje, bieda i głód dokucza, w niedoli płyną mu dni i miesiące. Wśród obcych i nędzy mowy twej nawet zapomina, więc i ty o nim, bo już nie twój... zapomnij!...

Gdy to rzekł, kobieta, wziąwszy go za rękę, wwiodła do spiżarni w chacie i, zdjąwszy bochenek chleba z pułki, rzekła:

— Wędrowcze, daj to Jaśkowi.

Nakoniec z chustki rozwiązała pieniądz srebrny, błyszczący i drżącym głosem rzecze:

— Niebogatam ja sama, ale i to dla Jaśka.

— Niewiasto! — rzekł ze zdziwieniem wielkiem wędrowiec — synów masz wielu, a jednemu wszystko oddajesz. Czy go kochasz najwięcej? czy ci on najmilszy?

Ona zaś, podniósłszy wielkie smutne oczy, łzami zalane, tak rzecze:

— Błogosławieństwo moje wszystkim, ale datki temu jednemu, bom ja matka, a on najbiedniejszy.